

Porywająca historia kobiety szpiega z wielką wojną w tle.  
Wspaniała powieść, gwarantuję, że ją pokochacie.

REESE WITHERSPOON

K A T E Q U I N N

S I E Ć  
A L I C E



MANDO

K A T E Q U I N N

S I E Ć

A L I C E

Przełożyła  
Nina Dzierżawska

MANDO 

Powieść *Sieć Alice* jest fikcją literacką. Odniesienia do prawdziwych osób, wydarzeń, miejsc, organizacji mają na celu jedynie stworzenie pozorów autentyczności. Pozostałe postacie, wydarzenia, dialogi są wytworem wyobraźni i skutkiem zamysłu literackiego autorki.

Originally published under the title *The Alice Network*

© Kate Quinn, 2017  
All rights reserved

Opublikowane w porozumieniu z HarperCollins. Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2020

Rozdziały 38 i 45 przełożyła Aleksandra Żak

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz  
Redakcja: Anna Śledzikowska  
Korekta: Maria Armatowa, Katarzyna Onderka  
Projekt okładki: Mariusz Banachowicz  
Zdjęcie na okładce: © Everett Collection/Shutterstock  
Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-2451-9

MANDO

ul. Kopernika 26 \*\*\* 31-501 Kraków  
tel. 12 62 93 200  
[www.wydawnictwomando.pl](http://www.wydawnictwomando.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 \*\*\* faks 12 62 93 496  
e-mail: [handel@wydawnictwomando.pl](mailto:handel@wydawnictwomando.pl)

Druk i oprawa: POZKAL \*\*\* Inowrocław

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0  
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

Mamie  
Mojej pierwszej czytelniczce, krytyczce i fance.  
To dla Ciebie

## Spis rozdziałów

### I

1. Charlie
2. Eve
3. Charlie
4. Eve

### II

5. Charlie
6. Eve
7. Charlie
8. Eve
9. Charlie
10. Eve
11. Charlie
12. Eve
13. Charlie
14. Eve
15. Charlie
16. Eve

### III

17. Charlie
18. Eve
19. Charlie
20. Eve
21. Charlie
22. Eve
23. Charlie
24. Eve
25. Charlie
26. Eve

27. Charlie
28. Eve
29. Charlie
30. Eve
31. Charlie
32. Eve
33. Charlie
34. Eve
35. Charlie
36. Eve
37. Charlie
38. Eve
39. Charlie
40. Eve
41. Charlie
42. Eve
43. Charlie
44. Eve
45. Charlie

Od autorki

Podziękowania

Przypisy

**I**

# 1

## Charlie

*Southampton, maj 1947*

Pierwsza osoba, którą spotkałam w Anglii, była wytworem halucynacji. Przyplłynęła na spokojnym pokładzie liniowca wiozącego mnie, znękaną i otępiałą z żalu, z Nowego Jorku do Southampton.

Siedziałam naprzeciwko matki przy wyplatany stoliku wśród doniczkowych palm w hotelu Dolphin, usiłując nie zwracać uwagi na to, co sugerował mi wzrok. Blondynka obok recepcji nie była tym kimś, na kogo mi wyglądała. Wiedziałam, że nie jest. To była po prostu jakaś młoda Angielka czekająca przy bagażach swojej rodziny, ktoś, kogo nigdy wcześniej nie widziałam – a jednak mój umysł nie przestawał mnie przekonywać, że jest inaczej. Odwróciłam wzrok i spojrzałam na trzech angielskich chłopaków przy sąsiednim stoliku zajętych kombinowaniem, jak się wymigać od wręczenia kelnerce napiwku.

– Pięć procent czy dziesięć? – pytał, machając rachunkiem, ten w uniwersyteckim krawacie, a jego koledzy się śmiali. – Ja coś zostawiam tylko wtedy, gdy są ładne. Ta miała za chude nogi...

Posłałam im niechętnie spojrzenie, za to moja matka zupełnie nie zwracała na nich uwagi.

– Co za zimny i mokry maj, *mon Dieu!* – Rozłożyła na kolanach serwetkę, spowita w szeleszczące jedwabie, kobieca i pachnąca lawendą, siedząc obok stosu naszych bagaży. Zupełnie inaczej niż ja, wymięta i zła na cały świat. – Łopatki razem, *chérie*. – Od czasu ślubu z moim ojcem mieszkała w Nowym Jorku, lecz wciąż przeplatała swoje wypowiedzi francuskimi zwrotami. – Przestań się garbić.

– Nie mogę się garbić, mając na sobie to coś.

Siedziałam ściśnięta pasem wyszczuplającym niczym żelazną obręczą; wprawdzie byłam chuda jak patyk, jednak bez tego pasa moja marszczona koronkowa spódnica nie układałaby się jak należy, toteż byłam skazana



na żelazną obręcz. Niech diabli wezmą Diora razem z tym jego New Lookiem. Matka zawsze nadażała za modą, a jej sylwetka idealnie pasowała do najnowszego stylu: wysoka, wąska w talii i krągła wszędzie tam, gdzie powinna; w swoim podróżnym kostiumie przypominała deser z bitą śmietaną. Ja także miałam na sobie szykowny kostium, ale tonęłam w tych wszystkich falbanach. Rok 1947 był piekłem dla drobnych, chudych dziewcząt, takich jak ja, które źle wyglądały w kreacjach Diora. Choć właściwie dotyczyło to każdej młodej damy lubiącej bardziej rozwiązywać zadania matematyczne niż czytać „Vogue”, słuchać Édith Piaf, a nie Artiego Shawa, a także każdej dziewczyny bez obrączki, za to z rosnącym brzuchem.

Wszystkie te trzy rzeczy charakteryzowały mnie, Charlie St. Clair. To był drugi powód, dla którego matka nalegała na pas wyszczuplający. Wprawdzie byłam dopiero w trzecim miesiącu, ona jednak nie zamierzała ryzykować ujawnienia, jaką to dziwkę wydała na ten świat.

Ukradkiem zerknęłam na drugą stronę patio. Blondynka stała tam nadal, a mój mózg wciąż usiłował mi wmówić, że jest kimś, kim na pewno nie była. Jeszcze raz odwróciłam wzrok, mrugając powiekami. Tymczasem do naszego stolika podeszła uśmiechnięta kelnerka.

– Czy zostaną panie na podwieczorek?

Rzeczywiście miała chude, kościste nogi, a gdy przyjęła nasze zamówienie i ruszyła pospiesznie w stronę kuchni, chłopcy przy sąsiednim stoliku dalej biedzili się nad napiwkami.

– Pięć szylingów za każdą herbatę. Zostaw jej dwa pensy i już...

Nasz podwieczorek przyniesiono wkrótce przy akompaniamencie brzęku kwiecistej porcelany. Matka się rozpromieniła.

– Poproszę jeszcze trochę mleka. *C'est bon!*

Choć tak naprawdę wcale nie było to takie *bon*. Małe twarde drożdżówki, wyschnięte tartinki i żadnego cukru. Chociaż Dzień Zwycięstwa miał miejsce dwa lata temu, w Anglii dalej racjonowano żywność, a w menu nawet wytwornych hoteli wciąż odczuwało się narzucone odgórnie ograniczenia – nie więcej niż pięć szylingów na osobę. Powojenny kac dawał tutaj o sobie znać bez porównania wyraźniej niż w Nowym Jorku. Przez hotelowy dziedziniec nadal dryfowali żołnierze w mundurach,

flirtując z pokojówkami, a godzinę temu, gdy wysiadałam z liniowca, zwróciłam uwagę na zbombardowane domy szpecące okolice tak, jak wybite zęby psują ładny uśmiech. Moje pierwsze spojrzenie na Anglię – od nabrzeża po hotelowy dziedziniec wyglądała na szarą i wyczerpaną wojną, i wciąż wstrząśniętą aż do głębi. Zupełnie jak ja.

Sięgnęłam do kieszeni wrzosowego zakietu, dotykając karteczki, która znajdowała się tam od miesiąca niezależnie od tego, czy miałam na sobie podróżny kostium czy piżamę, tyle że nie wiedziałam, co z tą kartką począć. Co właściwie mogłam z nią zrobić? Nie miałam pojęcia, a mimo to wydawała się cięższa niż dziecko, które nosiłam. Jego w ogóle nie czułam, nie mówiąc już o ustaleniu, jakie emocje tak naprawdę we mnie budzi. Nie miałam porannych mdłości ani zachcianek typu grochówka z masłem orzechowym, ani żadnych innych rzeczy, jakie powinna mieć dziewczyna, której przytrafiła się wpadka. Byłam tylko odrętwiała. Nie mogłam uwierzyć w to dziecko, bo w gruncie rzeczy niczego nie zmieniło. Poza całym moim życiem.

Chłopcy przy sąsiednim stoliku wstali, rzucając na blat kilka pensów. Zobaczyłam kelnerkę, która wracała do nas z mlekiem – szła, jakby bolały ją stopy – i podniosłam wzrok na trzech młodych Anglików kierujących się do wyjścia.

– Przepraszam – odezwałam się i zaczęłam, aż się odwróca. – Pięć szylingów za każdy podwieczorek; rachunek na piętnaście szylingów daje dziewięć pensów w przypadku pięcioprocentowego napiwku. Przy dziesięciu procentach byłby to szyling i sześć pensów.

Popatrzyli na mnie ze zdumieniem. Byłam do tego przyzwyczajona. Nikt nie wierzył, że dziewczęta w ogóle potrafią liczyć, tym bardziej w głowie, i to dotyczyło nawet bardzo prostych rachunków. Jednak ja studiowałam w Bennington matematykę – liczby miały dla mnie sens, były uporządkowane, racjonalne i łatwe do zrozumienia w odróżnieniu od ludzi – i nie istniał taki rachunek, którego nie potrafiłabym sama podliczyć prędzej niż z pomocą sumatora.

– Dziewięć pensów albo szyling i sześć pensów – powtórzyłam ze znużeniem wpatrującym się we mnie chłopakom. – Zachowajcie się po dżentelmeńsku. Zostawcie dziesięć procent.

– Charlotte – syknęła matka, gdy chłopcy wyszli ze skwaszonymi minami. – To było bardzo nieuprzejme.

– Dlaczego? Przecież powiedziałam „przepraszam”.

– Nie wszyscy dają napiwki. I nie powinnaś była się wtrącać. Nikt nie lubi narzucających się dziewcząt.

Ani dziewcząt studiujących matematykę, ani takich, które raptem zachodzą w ciążę, ani... Opuściłam sobie tę wyliczankę, byłam zbyt zmęczona, by się kłócić. Przez sześć dni płynęłyśmy przez Atlantyk w jednej kabinie – ze względu na niepogodę dłużej, niż zapowiadano – i te dni wypełniła nam seria nerwowych sprzeczek przechodzących z czasem w jeszcze bardziej niezręczną wzajemną uprzejmość. Pod tym wszystkim kryło się moje zawstydzone milczenie i jej bezgłośna wściekłość. Właśnie dlatego natychmiast skorzystałyśmy z okazji, by spędzić jedną noc na lądzie – gdybyśmy nie wyrwały się z ciasnego zamknięcia kajuty, rzuciłybyśmy się sobie do gardeł.

– Twoja mama jest w każdej chwili gotowa się na kogoś rzucić – zauważyła moja francuska kuzynka Rose wiele lat temu, gdy *maman* palnęła nam dziesięciominutowe kazanie, bo słuchałyśmy Édith Piaf. „To nie jest muzyka dla małych dziewczynek, przecież to nieprzyzwoite!”

Cóż, tym razem zrobiłam coś znacznie bardziej nieprzyzwoitego niż słuchanie francuskiego jazzu. I teraz mogłam tylko odpychać od siebie emocje, póki nie przestałam ich czuć, i bronić się przed ludźmi hardo zadartym podbródkiem mówiącym: „A co mi tam”. Zadziałało to całkiem nieźle na niesympatycznych chłopaków, którzy nie zostawiliby kelnerce napiwku, lecz matka potrafiła w dowolnej chwili przebić się przez ten pancierz.

Teraz trajkotała w najlepsze, narzekając na naszą podróż.

– ... wiedziałam, że trzeba było popłynąć następnym statkiem. Zawiózłby nas prosto do Calais, zamiast urządzać jakiś nedorzeczny przystanek w Anglii.

Milczałam. Jedna noc w Southampton i jutro prosto do Calais, skąd pociąg zabierze nas do Szwajcarii. W Vevey była pewna klinika, w której matka umówiła mnie na dyskretną wizytę. „Charlie, bądź wdzięczna” – powtórzyłam sobie po raz tysięczny. Przecież ona wcale nie musiała ze mną

jechać. Mogła mnie wysłać do Szwajcarii z sekretarką ojca czy inną obojętną płatną opiekunką. Moja mama nie miała obowiązku rezygnować z urlopu w Palm Beach tylko po to, żeby osobiście zawieźć mnie na tę wizytę. Ona jest tu z tobą, upomniałam siebie samą. Robi, co może. Doceniałam to mimo spowijających mnie oparów dusznego wstydu i złości. Przecież miała prawo być na mnie wściekła, uważać mnie za dziwkę i awanturnicę. Takie właśnie były dziewczęta, które pakowały się w coś takiego jak ja. Pora przyzwyczaić się do tej etykiety.

*Maman* paplała dalej z uporczywą beztróską:

– Pomyślałam, że możemy się wybrać do Paryża po twojej Wizycie. – Za każdym razem, gdy wymawiała to słowo, słyszałam wielką literę na początku. – Kupimy ci jakieś porządne ubrania, *ma petite*. Zrobimy coś z włosami.

Tak naprawdę mówiła: „Jesienią wrócisz na uczelnię całkiem odmieniona i szykowna i nikt się nie dowie o twoim Drobnym Kłopotcie”.

– *Maman*, naprawdę trudno mi sobie wyobrazić, żeby to równanie się zgodziło.

– Jakie równanie? Co masz na myśli?

Westchnęłam.

– Jedna studentka drugiego roku minus jedna drobna niedogodność podzielone przez upływ sześciu miesięcy i pomnożone przez dziesięć sukienek z Paryża plus nowa fryzura nie pozwoli mi w magiczny sposób odzyskać nieskazitelnej reputacji.

– Życie to nie zadanie z matematyki, Charlotte.

Gdyby nim było, na pewno radziłabym sobie o wiele lepiej. Często żałowałam, że nie potrafię rozgryźć ludzi równie łatwo jak zadań: po prostu sprowadzić do wspólnego mianownika i rozwiązać. Liczby nie kłamią; zawsze istnieje odpowiedź, która jest albo poprawna, albo niepoprawna. Proste. W życiu jednak nic nie było proste i nie miałam tu odpowiedzi, której wystarczyło poszukać. Tylko jeden wielki bałagan w postaci Charlie St. Claire siedzącej przy stoliku ze swoją matką, z którą nie miały wspólnego mianownika.

*Maman* popijała słabą herbatę promiennie uśmiechnięta, ale wciąż z urazą w sercu.

– Zapytam, czy nasze pokoje są gotowe. Nie garb się! I nie spuszczaaj z oka sakwojażu, masz w nim perły po babce.

Odpłynęła w stronę długiego marmurowego kontuaru i uwijających się za nim pracowników, a ja sięgnęłam po swoją walizkę – kanciastą i wysłużoną; nie było czasu obstałować nowego eleganckiego bagażu. Miałam pół paczki gauloises'ów schowanych pod płaską kasetką z perłami (tylko moja matka mogła się uprzeć, żebym zabrała ze sobą biżuterię do szwajcarskiej kliniki). Z przyjemnością zostawiłabym bagaż razem z perłami na pastwę złodziei, gdybym tylko mogła się wymknąć na zewnątrz i zapalić. Moja kuzynka Rose i ja pierwszy raz spróbowaliśmy papierosów w wieku odpowiednio trzynastu i jedenastu lat, zwędziwszy paczkę mojemu starszemu bratu. Wdrapałyśmy się na drzewo, żeby się przekonać, na czym polega ten nałóg dorosłych.

– Wyglądam jak Bette Davis? – spytała Rose, usiłując wydmuchać dym przez nos. Omal nie zleciałam z drzewa, chichocząc i kaszląc na przemian po zaciągnięciu się ten jeden jedyny raz, a ona pokazała mi język. – Charlie, ty głuptasie!

Nikt poza Rose nie nazywał mnie Charlie zamiast Charlotte; ona robiła to z francuska – *Szar-li*, akcent na obu sylabach.

Oczywiście to Rose widziałam teraz przed sobą, jak spogląda na mnie z drugiej strony dziedzińca. I jednocześnie nie była to Rose, tylko jakaś młodziutka Angielka oparta niedbale o stertę bagaży, jednak mój mózg uparcie wmawiał mi, że patrzę na swoją kuzynkę: trzynastoletnią blondynkę śliczną jak obrazek. W takim wieku była ostatniego lata, gdy się widziałyśmy, kiedy siedziała na tamtym drzewie ze swoim pierwszym papierosem.

Teraz byłaby starsza, miałam dziewiętnaście lat, więc ona miałaby dwadzieścia jeden...

Jeśli jeszcze żyła.

– Rose – szepnęłam, wiedząc, że powinnam odwrócić wzrok, lecz nie robiąc tego. – Och, Rose.

W mojej wyobraźni uśmiechnęła się szelmowsko i gestem podbródka wskazała ulicę na zewnątrz. Idź.

– Dokąd mam iść? – zapytałam na głos. Ale już wiedziałam. Wcisnęłam rękę do kieszeni i znów dotknęłam kartki, którą nosiłam ze sobą od miesiąca. Początkowo była sztywna i krucha, z czasem zrobiła się miękka i giętka. Na niej był adres. Mogłabym...

„Nie bądź głupia – odezwało się moje sumienie ostrym, potępiającym tonem, który piekł niczym zadraśnięcie krawędzią papieru. – Wiesz, że jedyne miejsce, dokąd pójdziesz, to pokój w hotelu na górze”. Pokój, w którym czeka na mnie świeża pościel i którego nie będę musiała dzielić z cichą furią matki. Balkon, na którym będę mogła w spokoju zapalić. Jutro ostatnia część podróży statkiem, a potem Wizyta, jak eufemistycznie określali to moi rodzice. Wizyta, która rozwiąże mój Drobnny Kłopot, a potem wszystko będzie W Porządku.

Albo mogłam przyznać, że nic nie jest W Porządku i nic takie nie będzie. I ruszyć, w tym momencie, ścieżką, która rozpoczynała się tutaj, w Anglii.

Planowałam to, szepnęła Rose, dobrze o tym wiesz. I tak było. Nawet przez ostatnich kilka tygodni pogrążona w biernej, tępej rozpaczyci nalegałam, żebyśmy popłynęły z matką statkiem, który zawijał do Anglii, zamiast późniejszym, który zabrałby nas prosto do Francji. Upierałam się przy tym, nie roztrząsając, dlaczego to robię: dlatego, że w kieszeni miałam pewien angielski adres, a teraz, gdy nie dzielił mnie już od niego ocean, brakowało mi jedynie odwagi, żeby tam pojechać.

Nieznajoma Angielka, która nie była Rose, już sobie poszła; ruszyła w stronę schodów w towarzystwie obładowanego boya hotelowego. Spojrzałam na puste miejsce po Rose. Dotknęłam karteczki w kieszeni. Przez moje odrętwienie przebiły się strzępy jakiegoś uczucia. Strachu? Nadziei? Determinacji?

Jeden nabazgrany adres plus szczypta determinacji podniesiona do dziesiątej potęgi. Masz przed sobą równanie, Charlie.

Rozwiąż je.

Znajdź X.

Teraz albo nigdy.

Nabrałam powietrza do płuc. Wyciągnęłam karteczkę, a z nią pomięty banknot jednofuntowy. Niecierpliwie rzuciłam go na stolik obok, na którym hałaśliwi chłopcy zostawili swój nędzny napiwek, i wymaszerowałam

z hotelu, ściskając swoją walizkę i francuskie papierosy. Przeszłam przez szerokie drzwi i zwróciłam się do portiera:

– Przepraszam, czy może pan mi powiedzieć, jak dojść na dworzec kolejowy?

\*\*\*

Nie był to najmądrzejszy z moich pomysłów: nieznanne miasto, samotna dziewczyna. Ostatnich kilka tygodni spędziłam w takim oszołomieniu – Drobny Kłopot, krzycząca po francusku matka, lodowate milczenie ojca – że byłam gotowa dać się poprowadzić dokądkolwiek. Pomaszerowałabym w przepaść, bezmyślna i posłuszna, i pewnie zauważyłabym, że spadam, dopiero w połowie drogi w dół. Jeszcze przed chwilą leciałam w otchłań, jaką stało się moje życie, obracając się bez końca w powietrzu. Lecz teraz udało mi się czegoś chwycić.

Owszem, tym czymś była halucynacja; zjawą, którą widywałam od miesięcy, mój mózg upierał się bowiem przy nadawaniu rysów twarzy Rose każdej mijającej mnie młodej blondynce. Za pierwszym razem bardzo się przestraszyłam, i to nie dlatego, żebym uznała Rose za ducha, lecz pomyślałam, iż tracę rozum. Może i byłam szalona, ale nie widziałam duchów. Bez względu na to, co mówili moi rodzice, nie do końca wierzyłam, że moja kuzynka nie żyje.

Trzymałam się tej nadziei, biegnąc w stronę dworca kolejowego na wysokich korkowych obcasach swoich niepraktycznych butów („dziewczęta niskie jak ty, *ma chère*, muszą chodzić na obcasach, inaczej zawsze będziesz wyglądała jak mała dziewczynka”). Przepychałam się przez tłum robotników idących rozkołysanym krokiem ku nabrzeżu, schludnie ubranych ekspedientek, żołnierzy wystających na rogach ulic. Biegłam tak długo, aż zabrakło mi tchu, i pozwalałam nadziei rozkwitnąć, wypełnić mnie bólem, od którego zapiekły mnie oczy.

„Wracaj, jeszcze możesz wrócić – upominał mnie ostry głos sumienia. – Do pokoju w hotelu, do matki podejmującej wszystkie decyzje, do spowijającej cię jak wata mgły obojętności”. Lecz ja biegłam dalej. Usłyszałam gwizd pociągu i poczułam zapach sadzy i obłoków pary.

Dworzec Southampton Terminus. Z pociągu wylewali się pasażerowie: mężczyźni w kapeluszach, marudne dzieci o czerwonych buziach, kobiety unoszące nad głowami pomięte gazety, by ochronić fryzurę przed mżawką. Kiedy zaczęło padać? Czułam, jak moje ciemne włosy robią się oklapłe pod zielonym kapeluszem, który wybrała dla mnie matka; tym, w którym wyglądałam jak irlandzki skrzat.

Konduktor coś krzyczał. Odjazd za dziesięć minut, kierunek Londyn.

Jeszcze raz spojrzałam na ścisowaną w dłoni kartkę. Hampson Street numer 10, Pimlico, Londyn. Evelyn Gardiner.

Kim u licha była ta kobieta.

Matka pewnie już szukała mnie w Dolphinie, wygłaszając do pracowników hotelu nieznośne sprzeciwu monologi. Mnie to jednak nie obchodziło. Byłam zaledwie sto dwadzieścia kilometrów od Hampson Street numer 10, Pimlico, Londyn, a pociąg stał przed moim nosem.

– Pięć minut! – ryknął konduktor. Pasażerowie zaczęli pospiesznie gramolić się do środka, wciągając za sobą bagaże.

„Jeśli teraz nie pojedziesz, nie zrobisz tego nigdy”, pomyślałam.

Kupiłam więc bilet, wsiadłam do pociągu i w jednej chwili zniknęłam w kłębach dymu.

\*\*\*

Popołudnie przeszło w wieczór, w wagonie zrobiło się zimno. Otuliłam się swoim starym czarnym płaszczem przeciwdeszczowym. W przedziale poza mną była siwowłosa kobieta z trojgiem wnucząt pociągających nosami. Babcia spojrzała z niechęcią na moją gołą dłoń bez obrączki, jakby chciała spytać, co to za dziewczyna podróżuje do Londynu bez towarzystwa. W czasie wojny dziewczęta z pewnością często jeździły same pociągami, jej jednak wyraźnie się nie spodobałam.

– Jestem w ciąży – powiedziałam, gdy cmoknęła z dezaprobatą po raz trzeci. – Chce pani zmienić przedział?

Zesztywniała i wysiadła na najbliższej stacji, ciągnąc za sobą wnuki, które jęczały:

– Ale, babciu, mieliśmy wysiąść dopiero...



Zadarłam brodę i po raz ostatni spojrzałam jej w oczy z miną „a co mi tam”, gdy zaś drzwi się za nią zamknęły i wreszcie zostałam sama, opadłam na siedzenie. Przycisnęłam dłonie do zarumienionych policzków, roztrzęsiona, skołowana, pełna nadziei i poczucia winy. Tyle emocji, że niemal w nich tonęłam. Brakowało mi dawnej skorupy odrętwienia. Co jest ze mną nie tak?

„Ruszasz w Anglię z adresem i nazwiskiem – odezwał się mój ostry wewnętrzny głos. – I co niby zrobisz? Jesteś rozbita i kompletnie bezradna, w jaki sposób masz komukolwiek pomóc?”

Wzdrygnęłam się. Nie jestem bezradna.

„Owszem, jesteś. Pamiętasz, co się stało ostatnim razem, gdy próbowałam komuś pomóc?”

– A teraz znowu próbuję – powiedziałam głośno do pustego przedziału. Rozbita i bezradna czy nie, w każdym razie byłam tutaj.

\*\*\*

Zapadła już noc, gdy chwiejnym krokiem wysiadłam z pociągu w Londynie, zmęczona i wygłodniała. Powlokłam się w stronę ulicy, a miasto kłębiło się przede mną w całym swoim ciemnym, zadymionym ogromie; w oddali dostrzegłam sylwetkę potężnej wieży zegarowej, górującej nad Westminsterem. Stałam tak jakiś czas, ochlapywana przez przejeżdżające samochody, i zastanawiałam się, jak musiał wyglądać Londyn jeszcze kilka lat temu, gdy mgłę przecinały spitfire’y i messerschmitty. Po chwili otrząsnęłam się z tej myśli. Nie miałam pojęcia, gdzie jest Hampson Street 10, a w portfelu zostało mi tylko kilka monet. Zatrzymując taksówkę, modliłam się, żeby to wystarczyło. Naprawdę mi się nie uśmiechało odrywać perłę z naszyjnika babci tylko po to, aby zapłacić za taksówkę. Może nie powinnam była zostawiać kelnerce całego funta... Mimo wszystko nie żałowałam.

Kierowca zawiózł mnie w miejsce, które nazwał „Pimlico”, i wysadził przy szeregu niskich domów. Rozpadało się na dobre. Rozejrzałam się w poszukiwaniu wytworu swojej halucynacji, ale nigdzie nie było widać błysku blond włosów. Nic, tylko ciemna ulica, zacinający deszcz, zniszczone

stopnie domu pod numerem 10 prowadzące do obskurnych drzwi obłazących z farby. Dźwignęłam walizkę, wspięłam się po schodach i zastukałam kołatką, nie czekając, aż opuści mnie odwaga.

Żadnej odpowiedzi. Zastukałam znowu. Padało coraz mocniej i poczułam wzbierającą falę rozpacz. Waliłam i waliłam, aż rozboleła mnie pięść. Wreszcie dojrzałam leciutkie drgnięcie zasłony za drzwiami.

– Wiem, że ktoś tam jest! – Szarpnęłam za klamkę, oślepią deszczem. – Proszę mnie wpuścić!

Ku mojemu zaskoczeniu klamka się obróciła, a ja wpadłam do środka i od razu się przewróciłam w swoich niepraktycznych butach, upadłam na kolana na podłodze ciemnego korytarza i rozdarłam pończochy. Drzwi się zamknęły i usłyszałam trzask odbezpieczanego pistoletu.

Jej głos był niski, chropowaty, niewyraźny i wściekły.

– Kim jesteś i co, do kurwy nędzy, robisz w moim domu?

Rozmyte światło ulicznych latarni przedostawało się przez zasłony, tylko trochę rozpraszając mrok korytarza. Widziałam w nim wysoką, wychudłą postać, kosmyk włosów i żar palącego się papierosa. Błysnęła lufa pistoletu wycelowanego prosto we mnie.

Powinnam była czuć przerażenie, odskoczyć ze strachu przed pistoletem i być zszokowana językiem. Jednak moja wściekłość wymiotła resztki mgły otępienia. Podniosłam się, jeszcze bardziej rozdzierając pończochę.

– Szukam Evelyn Gardiner.

– Mam gdzieś, kogo szukasz. Jeśli zaraz mi nie powiesz, czemu jakaś jankeska włamuje mi się do domu, zastrzelę cię. Może i jestem stara i pijana, ale to jest Luger P08, kaliber 9 milimetrów, w idealnym stanie. Trzeźwa czy pijana, z tej odległości mogę ci odstrzelić tył głowy.

– Nazywam się Charlie St. Clair – powiedziałam, odgarniając z twarzy mokre włosy. – Moja kuzynka Rose Fournier zaginęła we Francji w czasie wojny, a pani może wiedzieć, jak ją odnaleźć.

Nagle zapaliła się elektryczna lampa. Zamrugałam, oślepią ostrym światłem. Przede mną stała wysoka, chuda kobieta ubrana w wypłowiałą wzorzystą sukienkę, jej zniszczoną twarz otaczały siwiejące włosy. Mogła mieć pięćdziesiąt lat, ale równie dobrze siedemdziesiąt. W jednej ręce trzymała lugera, w drugiej palącego się

papierosa. Żołądek podszedł mi do gardła, gdy przyjrzałam się jej dłoniom. Mój Boże, co się stało z jej dłońmi?

– To ja jestem Eve Gardiner – powiedziała wreszcie. – I nic nie wiem o tej twojej kuzynce.

– Może jednak? – odparłam zdesperowana. – Jeśli pani ze mną porozmawia, może jednak okaże się, że coś pani wie.

– Tak to sobie wymyśliłaś, jankesko? – Wpatrywała się we mnie zmrużonymi ciemnoszarymi oczami niczym pogardliwy, drapieżny ptak. – Pakujesz mi się do domu w nocy, bez planu, i założę się, że bez pieniędzy, w nadziei że będę coś wiedziała o twojej z-zaginionej koleżance?

– Tak. – Widząc jej pogardę oraz pistolet, nie mogłam zrozumieć, czemu szansa na odnalezienie Rose stała się nagle jedynym celem mojego złamanego życia. Nie rozumiałam tej przedziwnej, dzikiej desperacji, która mnie tu zaprowadziła. – Musiałam tu przyjechać.

– Cóż. – Eve Gardiner opuściła pistolet. – Pewnie chcesz się napić herbaty.

– Tak, to byłoby bardzo...

– Ale nie ma. – Odwróciła się i ruszyła w głąb ciemnego korytarza długim, niepewnym krokiem. Jej białe stopy wyglądały jak orle szpony. Trochę się zataczała, wymachując lugerem. Zauważyłam, że cały czas trzyma palec na spuście. „Wariatka – pomyślałam – to babsko kompletnie zwariowało”. W dodatku te jej dłonie: potworne i guzowate, a każdy staw groteskowy i zdeformowany. Wyglądały raczej jak szczypce homara niż dłonie.

– Nie guzdraj się – powiedziała, nie odwracając się, więc pobiegłam za nią. Otworzyła drzwi i zapaliła światło. Moim oczom ukazał się zimny salon: potworny bałagan, w kominku nie napalone, zasłony zaciągnięte tak, żeby z ulicy nie wpadało do środka ani trochę światła, wszędzie walające się stare gazety i brudne filiżanki po herbacie.

– Pani Gardiner...

– Panno. – Opadła na zniszczony fotel, z którego miała widok na cały pokój, i rzuciła pistolet na stojący obok stolik. Skrzywiłam się. – I możesz mi mówić po imieniu. Skoro w-wpakowałaś mi się do domu, to wymusiłaś na mnie jakiś rodzaj bliskości, za co już cię nie lubię. Jak się nazywasz?

– Wcale nie chciałam się narzucać...

– A właśnie, że chciałaś. Czegoś chcesz, i to bardzo. O co chodzi?

Z trudem wydobyłam się z mokrego płaszcza i usiadłam na pufie, nagle zupełnie nie wiedząc, od czego zacząć. Tak bardzo byłam skupiona na dotarciu tutaj, że nie zastanowiłam się, co właściwie powinnam powiedzieć. Dwie dziewczyny razy jedenaście lat podzielić przez jeden ocean i jedną wojnę...

– N-no już, zaczynaj. – Eve chyba trochę się jąkała, ale nie byłam pewna, czy to przez alkohol, czy z innego powodu. Sięgnęła po kryształową karafkę stojącą obok pistoletu i odkorkowała ją, niezdarnie manewrując przy niej okaleczonymi palcami. Poczulałam zapach whisky. – Niedługo nie będę już taka trzeźwa, więc lepiej nie marnuj czasu.

Westchnęłam. To nie tylko stara wariatka, ale w dodatku jeszcze stara pijaczka. Widząc takie nazwisko jak Evelyn Gardiner, wyobrażałam sobie kogoś z ligustrowym żywopłotem i eleganckim kokiem, a nie z karafką whisky i naładowanym pistoletem.

– Czy mogę zapalić?

Wzruszyła kościstymi ramionami i gdy ja wyciągnęłam swoje gauloises'y, ona sięgnęła po szklanekę. Nie było żadnej w zasięgu jej ręki, więc naląła bursztynowy płyn do filizanki w kwiatki. „Boże – pomyślałam, zapalając papierosa, trochę zafascynowana, a trochę z odrazą. – Kim ty jesteś?”

– Nieuprzejmie tak się gapić – powiedziała, patrząc na mnie tak samo lustrująco jak ja na nią. – Jezu, ile tych falbanek, to kobiety tak się teraz ubierają?

– Czy ty w ogóle wychodzisz z domu? – spytałam, nim zdążyłam się powstrzymać.

– Niewiele.

– To się nazywa New Look. Tak teraz chodzą w Paryżu.

– Wygląda ch-cholernie niewygodnie.

– I takie jest. – Zaciągnęłam się z ponurą miną. – No dobrze. Nazywam się Charlie St. Clair, to znaczy Charlotte, i właśnie przyjechałam z Nowego Jorku. – Co by teraz pomyślała moja matka? Pewnie oszalałaby z wściekłości i byłaby gotowa mnie oskalpować. Ale odłożyłam tę myśl na bok. – Mój ojciec jest Amerykaninem, a matka Francuzką. Przed wojną

spędzaliśmy wakacje we Francji z moją francuską rodziną. Oni mieszkali w Paryżu i mieli letni dom niedaleko Rouen.

– Twoje dzieciństwo brzmi jak piknik z obrazów Degas. – Eve pociągnęła łyk whisky. – Powiedz w-wreszcie coś ciekawego, bo inaczej będę szybciej pić.

To rzeczywiście było jak z Degas. Wystarczyło, że zamknęłam oczy, i wszystkie te wakacje zlały się w jedną mglistą wizję: wąskie, kręte uliczki, stare wydania „Le Figaro” porzucane po starym domu pełnym zakamarków, zabałaganionych strychów i sfatygowanych sof, promienie słońca przebijające się przez liście i wpadające do domu, by oświetlić kłębki kurzu.

Poczułam, jak łzy napływają mi do oczu.

– Moja kuzynka Rose Fournier jest dla mnie jak starsza siostra. Jestem od niej dwa lata młodsza, ale nigdy mnie nie lekceważyła. Wszystkim się ze sobą dzieliłyśmy i wszystko sobie opowiadałyśmy.

Dwie dziewczynki w letnich sukienkach pobrudzonych trawą bawiące się w berka, wspinające się na drzewa i toczące wściekłą wojnę ze swoimi braćmi. Potem dwie starsze dziewczyny: Rose już trochę urosły piersi, a ja nadal byłam koścista i miałam obtarte kolana; szczebiotałyśmy, słuchając jazzu, i chichotałyśmy, obie zakochane w Errolu Flynnie. Rose była tą odważną i wciąż miała szalone pomysły, a ja byłam jej wiernym cieniem, którego broniła jak lwica, gdy przez jej pomysły pakowałyśmy się w tarapaty. Usłyszałam jej głos tak nagle, jakby rzeczywiście stała obok w salonie: „Charlie, schowaj się w moim pokoju, a ja zaceruję twoją sukienkę, zanim mama zauważy dziurę. Nie powinnam była cię zabierać na te skały”...

– Błagam, nie płacz – powiedziała Eve Gardiner. – Nie znoszę płaczących kobiet.

– Ja też. – Przez wiele tygodni nie uroniłam nawet jednej łzy, ale teraz oczy mnie paliły, więc zaczęłam mocno mrugać. – Ostatni raz widziałam Rose w lecie trzydziestego dziewiątego. Wszyscy byli zaniepokojeni sytuacją w Niemczech, wszyscy oprócz nas. Rose miała trzynaście lat, ja jedenaście i myślałyśmy tylko o tym, by codziennie wymknąć się do kina. To wydawało nam się znacznie ważniejsze od wszystkiego, co się działo

w Niemczech. Polska została zaatakowana tuż po moim powrocie do Stanów. Moi rodzice chcieli, żeby rodzina Rose przyjechała do Ameryki, ale oni się wahali... – Matka Rose była przekonana, że jest zbyt delikatna, by podróżować. – Zanim zdążyli wszystko zorganizować, Francja się poddała.

Eve przełknęła kolejny łyk whisky, jej oczy, przysłonięte opadającymi powiekami, nie mrugały. Ja znów się zaciągnęłam, by się uspokoić.

– Dostawałam listy – powiedziałam w końcu. – Ojciec Rose był wysoko postawionym przedsiębiorcą i miał znajomości, więc rodzina mogła czasem wysłać komuś parę słów. – Listy Rose były wesołe. Wciąż pisała o tym, co będzie, jak się znów zobaczymy. Jednak my znaleźliśmy najświeższe wiadomości, wszyscy wiedzieli, co się tam dzieje: flagi ze swastykami powiewające nad Paryżem, ludzie wywożeni ciężarówkami i znikający bez śladu. Błagałam, by pisała mi, czy u niej naprawdę wszystko w porządku, a ona zawsze odpowiadała, że tak, ale...

Wiosną czterdziestego trzeciego roku wymieniliśmy się fotografiami, bo tak długo się nie widziałyśmy: Rose miała siedemnaście lat i była prześliczna, pozowała jak *pin-up girl* i uśmiechała się do obiektywu. Teraz miałam to zdjęcie przy sobie, już mocno sfatygowane i rozmiękłe na krawędziach.

– W ostatnim liście Rose pisała o chłopaku, z którym spotykała się w tajemnicy. Mówiła, że było to „bardzo ekscytujące”. – Drząc, nabrałam powietrza. – To było na początku czterdziestego trzeciego. Potem nie miałam już żadnych wiadomości ani od Rose, ani od nikogo z jej rodziny.

Eve patrzyła na mnie, a jej zniszczona twarz była niczym maska. Nie umiałam stwierdzić, czy było jej mnie żal, czy mną gardziła, czy nic jej nie wzruszało.

Mój papieros wypalił się już prawie do końca. Zaciągnęłam się po raz ostatni i zgasiałam peta na spodku, z którego wysypywał się popiół.

– Wiedziałam, że to przecież o niczym nie świadczy, że Rose nie pisze. W czasie wojny poczta działała piekielnie źle. Trzeba tylko poczekać, aż wojna się skończy i listy znów zaczną przychodzić. Tymczasem wojna się skończyła, a tu nadal nic.

Znów cisza. To było trudniejsze, niż się spodziewałam – powiedzieć to wszystko.

– Próbowaliśmy się czegoś dowiedzieć. Trwało to całe wieki, ale w końcu otrzymaliśmy odpowiedzi. Mój francuski wujek zmarł czterdziestym czwartym, zastrzelili go, gdy usiłował nielegalnie zdobyć leki dla mojej ciotki. Dwóch braci Rose zginęło pod koniec czterdziestego trzeciego od wybuchu bomby. Ciotka przeżyła; moja matka chciała, aby zamieszkała z nami, ale ona się nie zgodziła. Zaszyła się w domu pod Rouen. A Rose... – Przełknęłam ślinę. Rose przechadzająca się przede mną pośród zamglonej zieleni. Rose klnąca po francusku podczas szczotkowania niesfornych loków. Rose w tamtej prowansalskiej kawiarni w najszcześniejszym dniu mojego życia... – Rose zniknęła. Opuściła swoją rodzinę w czterdziestym trzecim. Nie wiem dlaczego. Mój ojciec próbował się czegoś dowiedzieć, ale po wiośnie w czterdziestym czwartym ślad Rose się urywa. Nic.

– Wiele śladów urwało się w czasie wojny – rzekła Eve, a ja zdziwiłam się, słysząc jej chrapliwy głos tuż po tym, jak sama mówiłam tak długo. – Masa ludzi zaginęła. Chyba nie myślisz, że ona jeszcze żyje? To już dwa lata od zakończenia tej pieprzonej w-wojny.

Zacisnęłam zęby. Moi rodzice już dawno uznali, że Rose na pewno nie żyje, że zginęła w wojennej zawierusze, i najprawdopodobniej mieli rację, lecz...

– Nie wiemy tego na pewno.

Eve przewróciła oczami.

– Tylko mi nie mów, że poczułabyś to, gdyby umarła.

– Nie musisz mi wierzyć. Po prostu mi pomóż.

– Czemu? Co to wszystko ma wspólnego ze mną, do cholery?

– Mój ojciec ostatnio wysyłał zapytania do Londynu, żeby sprawdzić, czy Rose nie przyjechała tu z Francji. Był tu urząd pomagający uchodźcom. – Wzięłam głęboki oddech. – Pracowałam tam.

– W czterdziestym piątym i szóstym. – Eve naląła sobie więcej whisky do swojej kwiecistej filiżanki. – Wywalili mnie w ostatnie święta.

– Dlaczego?

– Może dlatego, że przychodziłam do pracy wstawiona. A może dlatego, że powiedziałam swojej szefowej, że jest mściwą, starą pizdą.

Nie mogłam się powstrzymać przed wzdrygnięciem. Nigdy w życiu nie spotkałam nikogo, kto kłąłby tyle co Eve Gardiner, a już na pewno żadnej takiej kobiety.

– Czyli... – Zakręciła swoją whisky. – Dokumenty twojej kuzynki pewnie znalazły się na moim biurku? N-nie pamiętam. Mówiłam ci, często przychodziłam wstawiona.

Nigdy też nie spotkałam kobiety, która by tyle piła. Moja matka pijała sherry, ale najwyżej dwa małe kieliszki. Eve wlewała w siebie czystą whisky, jakby to była woda, i już zaczynała niewyraźnie mówić. Może to jej jąkanie też było od picia.

– Dostałam kopię raportu dotyczącego Rose – powiedziałam zdesperowana, żeby zdążyć, zanim Eve odpłynie z braku zainteresowania albo z powodu whisky. – Był na nim twój podpis. Stąd wzięłam twoje nazwisko. Telefonowałam, udając twoją amerykańską siostrzenicę, i tak zdobyłam twój adres. Chciałam do ciebie napisać, ale... – Cóż, mniej więcej wtedy Drobnny Kłopot zagnieżdżył się w moim brzuchu. – Jesteś pewna, że nie pamiętasz, czy coś jeszcze było wiadomo o Rose? Cokolwiek?

– Posłuchaj, niunia. Nie mogę ci pomóc.

– Cokolwiek! W czterdziestym trzecim opuściła Paryż, rok później na wiosnę pojechała do Limoges. Tyle dowiedzieliśmy się od jej matki.

– Mówiłam, nie mogę ci pomóc.

– Musisz! – Stałam wyprostowana, choć nie pamiętałam, jak to się stało. Wewnątrz mnie wzbierała rozpacz niczym twarda kula, znacznie cięższa od nieokreślonego cienia, jakim było moje dziecko. – Musisz mi pomóc! Nie wyjdę stąd, dopóki mi nie pomożesz! – Jako dorosła kobieta nigdy nie krzyczałam, aż do teraz. – Rose Fournier, była w Limoges, miała siedemnaście lat...

Eve też się zerwała z miejsca. Była ode mnie dużo wyższa i górowała nade mną, stukając mnie w mostek jednym z tych swoich okropnych palców. Jej głos był groźny i cichy.

– Nie drzyj się na mnie w moim własnym domu.

– Teraz miałyby dwadzieścia jeden lat. Ma blond włosy, jest piękna i wesoła...



– Mam to gdzieś, może nawet być Joanną d’Arc. Nie obchodzi mnie to ani twoje problemy!

– ... pracowała w restauracji Le Lethe, u niejakiego *monsieur* René, ale nikt nie wie, co było potem...

W tym momencie na twarzy Eve coś się zmieniło. Nic się nie poruszyło, a mimo to coś się stało – tak jak coś się dzieje na dnie bardzo głębokiego jeziora, po czym prawie niezauważalnie wzbiera na jego powierzchni. Nie jest to nawet najdrobniejsza fala, a jednak wiadomo, że w głębi coś się porusza. Spojrzała na mnie z błyskiem w oku.

– Co? – Dyszałam, jakbym przebiegła dwa kilometry, policzki mnie paliły od emocji, a zębra napierały na żelazny uścisk gorsetu.

– Le Lethe – powiedziała cicho. – Znam tę nazwę. Powiedziałaś, że k-któ był właścicielem?

Rzuciłam się do walizki, odsunęłam ubrania i odszukałam kieszeń w podszewce. Były tam dwie złożone kartki papieru. Podałam je Eve.

Spojrzała na krótką notatkę na górze strony, poniżej widniał jej podpis.

– Tu nie ma nic o nazwie restauracji.

– O tym dowiedziałam się później, spójrz na moje notatki na drugiej stronie. Zadzwoiłam do biura w nadziei, że będę mogła z tobą porozmawiać, ale wtedy już tam nie pracowałaś. Namówiłam urzędnika, żeby odnalazł pierwotne sprawozdanie w dokumentacji. Była tam wymieniona nazwa Le Lethe, gdzie właścicielem okazał się niejaki *monsieur* René, znajdowało się tylko samo imię, nazwisko nieznane. Było bardzo przekręcone, więc może dlatego nie zostało wpisane do raportu. Założyłam jednak, że skoro podpisałaś raport, to widziałaś pierwotną notatkę.

– Nie. Gdybym ją widziała, nie p-podpisałabym raportu. – Eve spojrzała na drugą kartkę i nie odrywała od niej oczu. – Le Lethe... znam tę nazwę.

Nadzieja to bardzo bolesne uczucie, boleśnieszce od gniewu.

– Skąd?

Eve odwróciła się i znów sięgnęła po butelkę whisky. Nalała więcej do swojej filiżanki i wypła wszystko jednym haustem. Znowu napełniła filiżankę i zastygła, wbijając wzrok w przestrzeń gdzieś obok mnie.

– Wynoś się z mojego domu.

– Ale...

– Możesz tu spać, jeśli nie masz dokąd p-p-pójść. Lecz rano ma cię tu nie być, jankesko.

– Ale... ale ty coś wiesz. – Wzięła lugera i przeszła obok mnie. Złapałam jej kościstą rękę. – Proszę...

Okaleczona dłoń Eve podniosła się szybciej, niż zdążyłam się uchylić, i teraz po raz drugi tego wieczoru celowano do mnie z pistoletu. Cofnęłam się, lecz ona zrobiła pół kroku do przodu i wycelowała lufę dokładnie między moje oczy. Od dotyku zimnego kółka ścierpła mi skóra.

– Ty stara wariatko – szepnęłam.

– Tak – wychrypiała. – I zastrzelę cię, jeśli nadal tu będziesz, gdy się obudzę.

Odeszła chwiejnym krokiem z salonu i dalej korytarzem bez dywanu.

## 2

# Eve

*Londyn, maj 1915*

Szansa zjawiała się w życiu Eve ubrana w tweed. Tego dnia dziewczyna spóźniła się do pracy. Jej szef niczego jednak nie zauważył, kiedy dziesięć po dziewiątej wślizgnęła się do biura działu prawnego. Sir Francis Galborough rzadko zauważał cokolwiek poza rosnącą stertą dokumentów na biurku.

– To dla ciebie, moja droga – powiedział, kiedy weszła, wręczając jej stos papierów.

Wzięła dokumenty w swoje szczupłe ręce. Była wysoką dziewczyną o orzechowych włosach, delikatnej skórze i zwodniczych, sarnich oczach.

– Oczywiście, s-s-sir.

Słowa na literę „s” były nie lada wyzwaniem. Dwukrotne zająknięcie uznała za swój sukces.

– Kapitan Cameron ma dla ciebie do przepisania francuski list. Powinieneś posłuchać, jak ona mówi po francusku! – powiedział sir Francis do chudego żołnierza, który siedział naprzeciwko niego przy biurku. – To prawdziwa perła ta nasza panna Gardiner. Pół-Francuzka! Ja nie znam ani słowa po ichniemu.

– Ja też nie. – Kapitan z uśmiechem bawił się swoją fajką. – Całkowicie mnie to przerasta. Dziękuję za wypożyczenie dziewczyny, Francis.

– Nie ma problemu!

Eve nikt nie zapytał, czy to dla niej jakiś problem. Niby dlaczego miałyby zapytać? Dziewczyny z archiwum były w końcu czymś w rodzaju mebli. Wprawdzie bardziej ruchome niż paprotka, ale tak samo głupie i głuche.

„Masz szczęście, że dostałaś tę pracę”, upomniała się w duchu Eve. Gdyby nie wojna, pewnie jakiś młody mężczyzna z wypomadowanymi włosami zająłby posadę w kancelarii adwokackiej. „Masz szczęście”, powtórzyła w myślach. W istocie, dużo szczęścia. Praca Eve była prosta. Adresowanie

kopert, wypełnianie papierów, od czasu do czasu przepisanie listu po francusku. Żyła we względnym komforcie. Nawet jeśli spowodowany wojną brak cukru, śmietany i świeżych owoców zaczynał coraz bardziej doskwierać, to cóż, była to niewielka cena za bezpieczeństwo. Równie dobrze mogła utknąć i głodować w północnej Francji okupowanej przez Niemców. Mieszkańcy Londynu krążyli przerażeni po mieście, wypatrując na niebie nadlatujących zeppelinów. Jednak Lotaryngia, gdzie dorastała Eve, zmieniła się w morze błota i krwi, o czym dowiedziała się z gazet, które teraz zawzięcie pochłaniała. Miała szczęście, że była tutaj, wystarczająco daleko, by czuć się bezpiecznie.

Dużo szczęścia.

Eve bez słowa wzięła list od kapitana Camerona, który od pewnego czasu regularnie zaglądał do biura. Zwykle zamiast zielonego munduru nosił wymięty tweedowy garnitur, jednak proste plecy i żołnierski krok zdradzały jego rangę lepiej niż jakiegokolwiek odznaczenia. Miał około trzydziestu pięciu lat i choć w jego głosie dało się słyszeć delikatny szkocki zaśpiew, stanowił kwintesencję wszystkiego, co angielskie. Wyjątkowo szczupły, z siwiejącymi włosami i w nieco pogniecionej marynarce wyglądał niczym najprawdziwszy brytyjski gentleman prosto z powieści Conan Doyle'a. Eve cisnęły się na usta pytania: „Musisz palić tę fajkę? Nosić ten swój tweedowy garnitur? Musisz być aż tak stereotypowy?”.

Kapitan rozsiadł się na krześle i skinął głową Eve, która zmierzała w stronę drzwi.

– Poczekam na list, panno Gardiner.

– Tak, s-sir – wymamrotała, wycofując się.

– Spóźniła się pani – przywitała ją w archiwum panna Gregson, pociągając nosem. Jako że była najstarsza spośród wszystkich dziewcząt pracujących w archiwum, miała skłonności do rządzenia pozostałymi. Twarz Eve błyskawicznie przybrała wyraz głębokiego zakłopotania. Nienawidziła swojego wyglądu – delikatna i łagodna twarz, na którą patrzyła codziennie w lustrze, była na swój sposób ładna, lecz zupełnie pozbawiona wyrazu. Nie było w niej nic charakterystycznego poza ogólnym wrażeniem młodości sprawiającym, że ludzie brali ją za nastolatkę. Jednak w razie jakichkolwiek kłopotów wygląd zdecydowanie jej pomagał. Zawsze

gdy tylko pojawiały się problemy, Eve rozwierała swoje wielkie oczy i mrugała szybko, sprawiając wrażenie niewinnej i zagubionej, co pozwalało jej uniknąć wszelkich konsekwencji. Panna Gregson westchnęła rozdrażniona i odwróciła się. Później Eve przyłapała ją szepczącą do innej dziewczyny:

– Czasem zastanawiam się, czy ta pół-Francuzka nie jest trochę ograniczona.

– No cóż – odpowiedziała jej rozmówczyni, wzruszając ramionami – przecież słyszała pani, jak ona mówi.

Eve skrzyżowała ręce na piersi, ściskając mocno ramiona, aby powstrzymać odruch zaciśnięcia dłoni w pięści. Skupiła uwagę na liście kapitana Camerona, tłumacząc go nieskazitelną francuszczyzną. W końcu po to ją zatrudnili. Dla perfekcyjnej znajomości francuskiego i angielskiego. Choć Eve miała dwie ojczyzny, w żadnej nie czuła się jak w domu.

Kiedy później wspominała ten dzień, wydał jej się nieznośnie nudny. Pisanie, wypełnianie dokumentów, w południe kanapka, którą sobie przygotowała. Taksówka, która ochlapała jej spódnicę, gdy brnęła w stronę domu o zachodzie słońca. Zatechły zapach smażonej wątróbki i mydła lifebuoy w bursie w Pimlico. Wymuszony uśmiech, który posłała innej pensjonariuszce, młodej pielęgniarce, która właśnie się zaręczyła z młodym porucznikiem i siedziała przy stole, połyskując małym diamentem na palcu.

– Powinnaś pracować w szpitalu, Eve. Tam można znaleźć męża, nie w archiwum!

– Nie z-zależy mi na znalezieniu męża.

Zarówno pielęgniarka, jak gospodyni i jeszcze jedna z pensjonariuszek na te słowa rzuciły jej zdziwione spojrzenie. „Skąd to zaskoczenie – pomyślała Eve. – Nie chcę męża, dzieci, weselnego zespołu ani zastawy. Chcę...”

– Chyba nie jesteś jedną z tych sufrażystek, co? – zapytała gospodyni, zatrzymując łyżkę w połowie drogi do ust.

– Nie. – W istocie, Eve nie zależało na wrzucaniu do urny karty do głosowania. Trwała wojna, a ona chciała walczyć. Chciała udowodnić, że jąkała Eve Gardiner może służyć swojej ojczyźnie równie dobrze, jak

tysiące innych, płynnie mówiących osób, które całe życie okazywały jej lekceważenie, uznając ją za idiotkę. Jednak żadna ilość rzucanych przez sufrażystki cegieł nie mogła pomóc jej dostać się na front. Ani jako wolontariuszce, ani jako kierowcy ambulansu. Odrzucono jej kandydaturę na oba stanowiska z powodu jąkania. Odsunęła talerz, przeprosiła i odeszła od stołu, udając się do swojego schludnego pokoju, w którym stało jedynie rozklekotane biurko obok wąskiego łóżka.

Kiedy rozplątywała włosy, usłyszała pod drzwiami mruczenie. Uśmiechnęła się i wpuściła do pokoju kota gospodyni.

– Zostawiłam ci trochę wątróbki – powiedziała, sięgając po zawinięty w serwetkę kawałek mięsa, który zabrała ze swojego talerza. Kot wyprężył się, mrużąc. Trzymany wyłącznie do polowania na myszy, żywił się skromnymi odpadkami z kuchni i tym, co udało mu się złapać. Przytył jednak ostatnio dzięki wrażliwej duszy Eve, która przynosiła mu resztki z kolacji.

– Chciałabym być kotem – powiedziała Eve, podnosząc pręgowane zwierzę na swoje kolana. – Koty nie m-m-m... Nie muszą mówić, chyba że w bajkach. Choć może powinnam po prostu chcieć być mężczyzną.

Gdyby była mężczyzną, mogłaby chociaż uderzyć każdego, kto skomentowałby jej jąkanie, zamiast cierpliwie się uśmiechać. Eve głaskała mrużącego kota.

– Równie dobrze mogę sobie życzyć gwiazdki z nieba.

Godzinę później ktoś zapukał do drzwi. Była to gospodyni z ustami zaciśniętymi tak mocno, że mało całkiem nie zniknęły.

– Ma pani gościa – oznajmiła oskarżycielsko. – To mężczyzna.

Eve odłożyła na bok protestującego kota.

– O tej porze?

– Tylko bez tych niewinnych oczu, panienko. Żadnych adoratorów po zmroku, taka jest moja zasada. Zwłaszcza żołnierzy. Powiedziałam mu to, ale twierdzi, że to pilne. Pozwoliłam mu zaczekać w salonie. Możecie wypić herbatę, lecz drzwi mają zostać uchylone.

– Żołnierz? – zdziwiła się Eve.

– Kapitan Cameron. To doprawdy nie do pomyślenia, że odwiedza panią wojskowy, i to po zmroku!

Eve przytaknęła, spinając z powrotem swoje kasztanowe włosy i zarzucając na bluzkę z golfem żakiet, jakby znów szła do biura. Niektórzy mężczyźni w każdej pracującej dziewczynie, sprzedawczyni czy pracownicy archiwum widzieli swoją szansę. „Jeśli przyszedł tu na zaloty, spoliczkuję go – pomyślała Eve. – Nawet jeśli zgłosi to sir Francisowi i stracę przez to pracę”.

– Dobry wieczór. – Eve otworzyła na oścież drzwi od salonu, od razu narzucając spotkaniu oficjalny charakter. – Zaskoczył mnie pan, k-k-k... – Jej prawa ręka zacisnęła się w pięść i udało jej się wykrztusić – ... kapitanie. Czym mogę s-służyć?

Uniosła dumnie głowę, nie pozwalając, by zażenowanie zaróżowiło jej policzki.

Ku jej zaskoczeniu kapitan Cameron odpowiedział po francusku.

– Może przejdziemy na francuski? Słyszałem, jak pani rozmawiała z innymi dziewczętami po francusku i wtedy jąkała się znacznie mniej.

Eve wpatrywała się w tego typowego Anglika, który rozsiadł się w fotelu w salonie ze swobodnie skrzyżowanymi nogami i uśmiechał się lekko spod swojego przystrzyżonego wąsa. Przecież nie mówił po francusku. Powiedział to jeszcze tego samego dnia rano.

– *Bien sûr* – odpowiedziała. – *Continuez en Français, s'il vous plait.*

Kontynuował po francusku.

– Pani gospodyni podsłuchująca nas na korytarzu będzie wściekła.

Eve usiadła, wygładzając niebieską wełnianą spódnicę, i pochyliła się nad dzbankiem z herbatą.

– Jaką herbatę pan pije?

– Z mlekiem i dwiema kostkami cukru. Panno Gardiner, proszę mi powiedzieć, jak dobrze mówi pani po niemiecku?

Eve gwałtownie uniosła głowę. Nie wspominała o tej umiejętności, kiedy szukała pracy. Rok 1915 nie był najlepszym czasem na przyznawanie się do języka wroga.

– N-nie mówię po niemiecku – odpowiedziała, podając mu filiżankę.

– Mhmm. – Spoglądał na nią znad swojej herbaty. Eve położyła ręce na kolanach i odwzajemniła jego spojrzenie wzrokiem pełnym uroczego zakłopotania.

– Pani twarz... – zaczął kapitan. – Trudno powiedzieć, co się za nią kryje, nie sposób cokolwiek z niej wyczytać. A ja jestem dobry w czytaniu z twarzy, panno Gardiner. Zwykle ludzi zdradzają maleńkie mięśnie wokół oczu. Pani ma swoje pod kontrolą.

Eve znów otworzyła szeroko oczy, mrugając niewinnie.

– Obawiam się, że nie wiem, o czym pan mówi.

– Pozwoli pani, że o coś zapytam, panno Gardiner? Wszystko w granicach przyzwoitości, obiecuję.

Przynajmniej nie próbował pogłaskać jej po kolanie.

– Oczywiście, panie k-k-kapitanie.

Oparł się wygodniej na fotelu.

– Sir Francis wspominał, że jest pani sierotą. Czy mogłaby pani opowiedzieć mi coś o swoich rodzicach?

– Mój ojciec był Anglikiem. Wyjechał do Lotaryngii, żeby pracować we francuskim banku. Tam poznał moją matkę.

– Była Francuzką? To bez wątpienia wyjaśnia pani perfekcyjną znajomość języka.

– Tak.

„Ciekawe, skąd wie, że mój akcent jest rzeczywiście perfekcyjny”, dodała w myślach.

– Wydawałoby się, że dziewczyna z Lotaryngii mogłaby znać również niemiecki. To niedaleko od granicy.

Eve spuściła wzrok.

– Nie uczyłam się niemieckiego.

– Doprawdy świetnie pani kłamie, panno Gardiner. Nie chciałbym grać z panią w karty.

– Damie nie wypada grać w karty. – Choć każdy nerw zdawał się ją ostrzegać, Eve była odprężona. Zawsze się rozluźniała, kiedy wyczuwała niebezpieczeństwo. Moment, gdy się ukrywała w sitowiu podczas polowania na kaczki, tuż przed wystrzałem. Palec na spuście, ptak zastygły w bezruchu, kula zaraz zostanie wystrzelona. W tamtych chwilach Eve czuła głęboki spokój, a bicie jej serca spowalniało. Zwolniło również teraz, kiedy nachyliła głowę ku kapitanowi.



– Pytał pan o moich rodziców? Mój ojciec żył i pracował w Nancy, matka zajmowała się domem.

– A pani?

– Chodziłam do szkoły. Każdego popołudnia wracałam na podwieczorek. Matka uczyła mnie francuskiego i haftu, a ojciec angielskiego i polowania na kaczki.

– Pełna kultura.

Eve uśmiechnęła się słodko, wspominając jednocześnie wrzaski za zaciągniętymi zasłonami, prostacki bełkot i brutalne kłótnie. Nauczyła się nakładać maskę delikatności, lecz wychowała się w zgoła mniej cieplarnianych warunkach. Ciągłe krzyki i tłuczenie porcelany, ojciec wydzierający się na matkę za trwonienie pieniędzy, matka wrzeszcząca na ojca za to, że ktoś go widział z kolejną barmanką. Był to dom, w którym dziecko szybko się uczy, jak przemykać niezauważone pod ścianą pokoju, zniknąć niczym cień po zapadnięciu zmroku na pierwszy dźwięk awantury. Słuchać wszystkiego i zapamiętywać, cały czas pozostając niezauważonym.

– Tak, to było bardzo pouczające dzieciństwo.

– Proszę wybaczyć pytanie... To jąkanie, miała je pani od zawsze?

– Było bardziej w-w-wyraźne, kiedy byłam dzieckiem.

Jej język zawsze się szarpał i potykał o słowa. Jedyne części Eve, która nie była delikatna i dyskretna.

– Musiała pani mieć dobrych nauczycieli, że pomogli pani z tym walczyć.

Nauczycieli? Widzieli, jak się czerwieniła, gdy słowa blokowały jej usta na tak długo, że była bliska płaczu. Jedyne, co robili, to zadawali pytanie kolejnemu uczniowi, który mógł szybciej na nie odpowiedzieć. Większość miała ją za głupkowatą, myśleli, że nie potrafi się wysłowić. Niechętnie odrywali się od swoich zajęć, by odciągnąć od niej dzieci, które otaczały Eve, krzycząc: „Powiedz, jak się nazywasz, powiedz! G-g-g-g-ardiner”. Czasem śmiali się razem z nimi.

Nie. Eve zmusiła jąkanie do posłuszeństwa brutalną siłą woli, czytając na głos wiersze, jeden drżący wers za drugim. Przesiadywała w sypialni, potykając się o samogłoski tak długo, aż w końcu jej język odbijał się od nich, wypuszczając słowo na wolność. Pamiętała, jak na dziesięć minut utknęła we wstępie do *Kwiatów zła* Baudelaire’a, a przecież francuski był

jej „lepszym” językiem. Baudelaire twierdził, że gdy pisał *Kwiaty zła*, cierpliwość mieszała się w nim z wściekłością. Eve rozumiała to doskonale.

– Pani rodzice – kontynuował kapitan Cameron – co się z nimi stało?

– Mój ojciec zmarł w 1912 roku. Miał zator w sercu. – Zator spowodowany nożem rzeźniczym, wbitym w serce przez człowieka, któremu ojciec Eve przyprawił rogi. – Mojej matce nie podobała się sytuacja w Niemczech, więc postanowiła zabrać mnie do Londynu. – Tak naprawdę chciała uniknąć skandalu, a nie Niemców. – Zmarła na gripę w zeszłym roku, niech spoczywa w spokoju.

Zgorzkniała, wulgarna, pouczała Eve aż do końca, ciskając w nią filizankami herbaty i przeklinając.

– Niech Bóg ma ją w swojej opiece – powtórzył kapitan z żalem, w którego szczerłość Eve nie uwierzyła nawet na chwilę. – I oto jest pani tutaj, Evelyn Gardiner. Sierota władająca perfekcyjnym francuskim i perfekcyjnym angielskim... Jest pani pewna co do niemieckiego? Pracując w biurze mojego przyjaciela, sir Francisa Galborough, prawdopodobnie zabija pani czas, czekając, aż wyjdzie za mąż. Ładna dziewczyna, choć na ogół trudno ją zauważyć. Czy to przez nieśmiałość?

Pręgowany kot wszedł przez otwarte drzwi, zapowiadając się głośnym miauknięciem. Eve przywołała go na swoje kolana.

– Panie kapitanie – odezwała się, głaszcząc kota pod brodą z uśmiechem, który sprawił, że wyglądała na szesnaście lat – czy próbuje mnie pan uwieść?

Udało jej się go zaskoczyć. Zawstydzony, odchylił się do tyłu w fotelu i poczerwieniał.

– Panno Gardiner, nawet przez myśl mi nie przeszło...

– Cóż więc pan tu robi? – zapytała wprost.

– Jestem tu, aby panią ocenić. – Skrzyżował nogi, odzyskując pewność siebie. – Mam panią na oku od kilku tygodni. Od momentu, kiedy wstąpiłem do biura mojego przyjaciela, udając, że nie znam francuskiego. Mogę mówić wprost?

– Myślałam, że od początku rozmawiamy otwarcie.

– Nie sądzę, by kiedykolwiek mówiła pani wprost, panno Gardiner. Słyszałem, jak cichutko przedstawia pani swoim koleżankom wymówki,

by uniknąć obowiązków, które wydają się pani nudne. Słyszałem, jak kłamię im pani prosto w twarz, podając powód dzisiejszego spóźnienia. Coś o taksówkarzu, którego niechciana uwaga spowodowała pani opóźnienie... Za każdym razem jest pani niewzruszona, kłamię pani bez wahania, za to pięknie udaje zdenerwowanie. Nie spóźniła się pani przez zaloty taksówkarza. Dobre dziesięć minut wpatrywała się pani w plakat z ogłoszeniem o pracy na drzwiach biura. Mierzyłem czas, obserwując panią z okna.

Tym razem to Eve opadła na fotel z rumieńcem na twarzy. Rzeczywiście, gapiła się na plakat, który przedstawiał rząd młodych, rosłych żołnierzy, niemal identycznych. Napis na środkowej pustej przestrzeni głosił: „W szeregu wciąż jest miejsce dla CIEBIE!”, nad nim widniał nagłówek: „ZAJMIESZ JE?”. I rzeczywiście, Eve stała tam, myśląc z żalem, że to nie do niej. Pomiedzy żołnierzami dodano małą czcionką: „To miejsce jest zarezerwowane dla sprawnego mężczyzny!”. A więc Eve nie mogła go zająć, choć miała dwadzieścia dwa lata i była zupełnie sprawna.

Kot na kolanach zaprotestował, gdy poczuł, jak jej palce zaciskają się na jego futrze.

– A zatem, panno Gardiner – odezwał się znów kapitan Cameron – czy otrzymam od pani szczerą odpowiedź, jeśli o coś zapytam?

„Nie licz na to”, pomyślała Eve. Kłamstwa i wykręty przychodziły jej równie łatwo jak oddychanie. Robiła to przez całe swoje życie, musiała to robić. Kłamała z twarzą niewinną niczym stokrotka. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz była z kimś zupełnie szczerą. Kłamstwa były prostsze od brutalnej prawdy.

– Mam trzydzieści dwa lata – zaczął kapitan. Jego pobrużdżona twarz sprawiała, że wyglądał na starszego. – To za dużo, żebym mógł walczyć na froncie. Mam inne zadanie. Nasze powietrze jest pełne niemieckich zeppelinów, nasze wody niemieckich okrętów podwodnych. Atakują nas codziennie.

Eve skwapliwie pokiwała głową. Dwa tygodnie temu zatopiono Lusitanię. Mieszkanki bursy płakały całymi dniami. Eve, rozwścieczona, lecz bez jednej łzy, pochłaniała gazety.

– Potrzebujemy ludzi, żeby zapobiec kolejnym atakom – kontynuował. – Moim zadaniem jest znaleźć odpowiednich ludzi. Na przykład takich, którzy znają francuski i niemiecki, którzy potrafią kłamać, zachowując niewinny wygląd. Są odważni. Kiedy ich znajdę, zatrudniam, żeby wywęszyli, jakie plany wobec nas mają szkopy. Widzę w pani potencjał, panno Gardiner. Zatem proszę pozwolić, że zapytam, czy jest pani gotowa bronić Anglii?

Pytanie uderzyło ją niczym młot. Roztrzęsiona, głośno wypuściła powietrze, odkładając kota na bok, i odpowiedziała bez zastanowienia:

– Tak.

Cokolwiek miał na myśli, odpowiedź była twierdząca.

– Dlaczego?

Zacząła składać w głowie jakąś patetyczną odpowiedź, coś o podłych szwabach, o tym, że mogłaby pomóc żołnierzom w okopach. Powoli pozwoliła, by kłamstwo opuściło jej myśli.

– Chcę udowodnić każdemu, kto kiedykolwiek pomyślał, że jestem przygłupia i słaba, bo się jąkam, co naprawdę potrafię. Chcę w-w-w... Chcę w-w-w...

Słowo utknęło jej w ustach na długo, aż poczuła, jak palą ją policzki. Kapitan Cameron nie próbował skończyć za nią zdania, jak to robiła większość ludzi. Odruch, który napełniał ją wściekłością. Siedział cicho, aż uderzyła zaciśniętą pięścią w kolano, a słowo uwolniło się z jej krtani. Wykrztusiła je przez zaciśnięte zęby tak gwałtownie, że wypłoszyła kota z pokoju.

– Chcę walczyć.

– Czyżby?

– Tak.

Trzy szczere odpowiedzi. To był jej rekord. Siedziała bliska płaczu, trzęsąc się pod jego uważnym spojrzeniem.

– Zapytam więc po raz czwarty i ostrzegam, że nie będzie piątego. Czy mówi pani po niemiecku?

– *Wie ein Einheimischer* – odparła. Jak rodowita Niemka.

– Doskonale. – Kapitan Cecil Aylmer Cameron wstał. – Evelyn Gardiner, czy chciałaby pani służyć Koronie Brytyjskiej jako szpieg?

# 3

## Charlie

*Maj 1947*

Dreńczyły mnie niewyraźne koszmary o wystrzałach w szklankach z whisky, blondynkach znikających za kolejowymi wagonami i kimś szepczącym „Le Lethe”. Po czym dobiegł mnie męski głos:

– A panna kim jest?

Z jękiem uchyliłam sklezione powieki. W nocy zasnęłam na popsutej starej sofie w salonie, nie mając śmiałości błąkać się po domu w poszukiwaniu łóżka, gdy grasowała tu ta wariatka z lugerem. Rozpięłam swój falbaniasty kostium podróżny, zwinęłam się pod wytartą szydełkową narzutą i poszłam spać w samej halce, a teraz najwyraźniej było już rano. Przez szparę w ciężkich zasłonach przeświecało słońce, w drzwiach stał ktoś i się na mnie gapił: ciemnowłosa mężczyzna w znoszonej marynarce, oparty łokciem o framugę.

– Kim pan jest? – odezwałam się na wpół przytomnie.

– Ja spytałem pierwszy. – W jego niskim głosie pobrzmiwał szkocki akcent. – Za mojej pamięci Gardiner nigdy nie miała gości.

– Jeszcze nie wstała, prawda? – Zerknęłam gorączkowo za jego plecy. – Groziła, że mnie zastrzeli, jeżeli nadal tu będę, kiedy wstanie...

– To w jej stylu – przyznał Szkot.

Chciałam rzucić się na poszukiwanie moich ubrań, ale przecież nie mogłam pokazać się obcemu mężczyźnie w samej halce.

– Muszę się stąd wydostać...

„I dokąd pójdiesz?”, wyszeptał głos Rose, a ja poczułam, że głowa mi pęka. Nie wiedziałam, dokąd iść, miałam tylko tę kartkę z nazwiskiem Eve. Co mi zostało? Oczy mnie piekły.

– Niech sobie panienska nie zawraca głowy – powiedział Szkot. – Jeśli Gardiner była wczoraj uczciwie zalana, to dziś już pewnie nic nie pamięta.

– Odwrócił się, ściągając marynarkę. – Zrobię herbatę.

– Kim pan jest? – zaczęłam mówić, ale drzwi się zatrzasnęły. Po chwili wahania zrzuciłam z siebie koc i poczułam, jak chłód szczypie mnie w nagie ramiona. Spojrzałam na zmiętą kupkę, w którą zamienił się mój kostium podróżny, i zmarszczyłam nos. W walizce miałam jeszcze jedną suknię, lecz była tak samo falbaniasta, wcięta w talii i niewygodna. Włożyłam więc stary sweter i wytarte spodnie, których moja matka nie cierpiała, i ruszyłam bosą w poszukiwaniu kuchni. Od dwudziestu czterech godzin nie miałam nic w ustach i burczenie w brzuchu zagłuszało mi wszystko, nawet strach przed pistoletem Eve.

Kuchnia okazała się zaskakująco jasna i czysta. W imbryku parzyła się herbata, a stół był nakryty. Szkot powiesił znoszoną marynarkę na krześle i stał teraz w równie zużytej koszuli.

– No więc kim pan jest? – zapytałam, nie mogąc opanować ciekawości.

– Finn Kilgore. – Sięgnął po patelnię. – Człowiek od wszystkiego w domu Gardiner. Proszę nalać sobie herbaty.

Ciekawe, że mówił na nią po prostu „Gardiner”, tak jakby była mężczyzną.

– Człowiek od wszystkiego w jej domu? – powtórzyłam w zamyśleniu, biorąc sobie wyszczerbiony kubek. Miałam wrażenie, że poza utrzymywaniem czystości w kuchni nikt nic w tym domu nie robi.

Mężczyzna zanurkował w lodówce i wyciągnął z niej jajka, boczek, grzyby i pół bochenka chleba.

– Przyjrzała się panna jej ręką?

– Tak... – Herbata była mocna i ciemna, dokładnie tak jak lubiłam.

– Ile można zrobić takimi rękami?

Zaśmiałam się.

– Z tego, co wczoraj widziałam, to z obsługą pistoletu i otwieraniem whisky radzi sobie znakomicie.

– Zgadza się, z tymi dwiema rzeczami. Do reszty zatrudnia mnie. Załatwiam jej sprawunki. Odbieram pocztę. Wożę ją, kiedy się wybiera do miasta. Co nieco gotuję. Ale sprzątać nie pozwala mi nigdzie poza kuchnią.

– Wrzucał na patelnię plasterki bekonu, jeden po drugim. Był wysoki, smukły i poruszał się ze swobodnym wdziękiem, jakby od niechcienia. Mógł mieć dwadzieścia dziewięć albo trzydzieści lat, na jego twarzy widać było

cień zarostu, a rozczochrane ciemne włosy sięgały kołnierza koszuli i ewidentnie wymagały fryzjera. – A panienka co tu robi?

Zawahałam się. Moja matka powiedziałaaby, że to wysoce niestosowne, żeby człowiek od wszystkiego zadawał pytania gościowi. Mnie jednak trudno było nazwać gościem, a on miał większe prawo być w tej kuchni niż ja.

– Charlie St. Clair – odparłam, po czym popijając herbatę, przedstawiłam mu okrojoną wersję tego, co sprowadziło mnie na próg Eve (oraz na jej kanapę). Pomięłam wrzaski i lufę pistoletu wciśniętą między moje oczy. Nie pierwszy raz zadałam sobie po cichu pytanie, jak to się stało, że moje życie w ciągu doby stanęło na głowie.

„Bo przyjechałaś tu w pogoni za duchem aż z Southampton – szepnęła Rose. – Bo jesteś trochę szalona”.

„Wcale nie szalona – odparowałam. – Chcę cię uratować. To nie znaczy, że brak mi piątej klepki”.

„Ty chcesz ratować wszystkich, Charlie kochana. Mnie, Jamesa, każdego bezpańskiego psa, którego widziałaś na ulicy, kiedy byliśmy małe”...

James. Wzdrygnęłam się, a tamten wredny wewnętrzny głos wyszeptał: „Jego ratowanie nie poszło ci najlepiej, co?”.

Odegnałam tę myśl, nim zdążyła mnie zalać fala nieuchronnego poczucia winy, i czekałam, aż człowiek Eve zacznie zadawać mi pytania, bo moja historyjka była co najmniej dziwna. On jednak stał w milczeniu nad patelnią, dorzucając grzyby i fasolę z puszki. Nigdy wcześniej nie widziałam, jak mężczyzna gotuje; mojemu ojcu nie zdarzało się nawet posmarować grzanki masłem. Takimi rzeczami zajmowałyśmy się obie z matką. A ten Szkot mieszał fasolkę i podsmażał bekon całkiem zgrabnie, nie przejmując się skwierczącym tłuszczem, który od czasu do czasu pryskał mu na przedramiona.

– Panie Kilgore, od dawna pracuje pan dla Eve?

– Od czterech miesięcy.

Zaczął kroić chleb.

– A przedtem?

Nóż zawisł w powietrzu.

– W sześćdziesiątym trzecim pułku artylerii przeciwpancernej.

– A teraz dla Eve, to dopiero odmiana. – Zastanawiałam się, czemu się zawahał. Może się wstydził, że z żołnierza walczącego z hitlerowcami zmienił się w pana gosposię u wariatki wymachującej pistoletem. – Jak się...

Urwałam, nie wiedząc, jak dokończyć pytanie. Jak się u niej pracuje? Jak doszło do tego, że ona stała się tak dziwna?

– Co jest z jej rękami? – zapytałam w końcu.

– Nie wiem. – Zaczął wybijać jajka na patelnię, jedno po drugim. Zaburczało mi w brzuchu. – Tylko się domyślałam.

– Że co się wydarzyło?

– Że ktoś zmiotł jej po kolei wszystkie stawy w palcach.

Wzdrygnęłam się.

– Ale co to mógł być za wypadek?

Finn Kilgore po raz pierwszy spojrzał wprost na mnie. Pod prostymi czarnymi brwiami miał ciemne oczy, jednocześnie czujne i zamyślane.

– A kto mówi, że to był wypadek?

Oplotłam palce (całe, niepołamane) wokół kubka. Herbata wydała mi się nagle zimna.

– Angielskie śniadanie. – Zdjął patelnię z kuchenki i postawił ją obok pokrojonego chleba. – Muszę rzucić okiem na jedną ciekącą rurę, ale proszę się częstować. Tylko niech panienka zostawi sporo dla Gardiner. Zejdzie tu z paskudnym bólem głowy, a to śniadanie to najlepszy lek na kaca na całych Wyspach. Jak panienka zmiecie wszystko, to naprawdę dostanie kulkę w łeb.

Wyszedł z kuchni, nie patrząc na mnie więcej. Wzięłam talerz i zbliżyłam się do skwierczącej patelni, a do ust napłynęła mi ślinka. I kiedy tak wpatrywałam się w dymiącą górę jajek, bekonu, grzybów i fasolki, mój żołądek nagle się zbuntował. Zatkanam sobie usta ręką i odwróciłam się od kuchenki, żeby nie zwymiotować prosto na najlepszy lek na kaca na całych Wyspach.

Wiedziałam, co się dzieje, choć nigdy wcześniej tego nie doświadczyłam. Wciąż czułam głód, ale torsje były tak silne, że nie zdołałabym przełknąć kęsa, nawet gdyby Eve znów celowała do mnie ze swojego lugera. To były



poranne mdłości. Po raz pierwszy Drobny Kłopot postanowił dać o sobie znać.

Było mi niedobrze i nie chodziło tylko o to, co działo się z moim żołądkiem. Nie mogłam złapać tchu, dłonie zaczęły mi się pocić. Drobny Kłopot liczył sobie trzy miesiące, ale do tej pory robił wrażenie jakiejś mglistej wizji – nie czułam go, nie potrafiłam go sobie wyobrazić i nie widziałam żadnych oznak jego obecności. Był po prostu czymś, co wpadło w sam środek mojego życia jak pędzący pociąg. A po tym, jak w sprawę wmieszali się moi rodzice, stał się zwykłym problemem, który należało wymazać niczym niepoprawne równanie. Jeden Drobny Kłopot plus jedna wycieczka do Szwajcarii równa się zero, zero, zero. Proste jak drut.

Teraz jednak to wszystko wydawało się czymś znacznie więcej niż Drobny Kłopotem, i to wcale nieprosty.

– I co ja zrobię? – odezwałam się cicho. Zadałam sobie to pytanie po raz pierwszy od długiego czasu. Nie co zrobię w sprawie Rose, rodziców czy powrotu na uczelnię, co zrobię ze sobą?

Nie wiem, jak długo tam stałam, zanim z tej posągowej zadumy wyrwał mnie zgryźliwy głos.

– Widzę, że amerykańska inwazja nadal trwa.

Odwróciłam się. W drzwiach stała Eve w tej samej wzorzystej podomce co zeszłego wieczoru. Jej siwiejące włosy były rozpuszczone i potargane, a oczy przekrwione. Zesztywniałam, ale pan Kilgore chyba miał rację. Zdaje się, że kobieta rzeczywiście zapomniała o swoich groźbach z poprzedniego wieczoru, bo sprawiała wrażenie bardziej zajętej masowaniem sobie skroni niż moją osobą.

– Czterej jeźdźcy Apokalipsy próbują rozsadzić mi czaszkę od środka – odezwała się – a w ustach mam taki smak, jakby w nocy ktoś pomylił je z pisuarem. Powiedz, że ten cholerny Szkot zrobił ś-śniadanie.

Machnęłam ręką, czując, że w żołądku dalej mi się przewraca.

– Na kuchence stoi eliksir na kaca.

– Złoty chłopak. – Eve wyciągnęła z szuflady widelec i zaczęła jeść prosto z patelni. – Czyli poznałaś Finna. Apetyczny kąsek, co? Gdybym nie była stara jak świat i brzydka jak nieszczęście, na pewno bym mu nie przepuściła.

Odsunęłam się od pieca.

– Nie powinnam była tu przychodzić. Przepraszam, że urządziłam wczoraj takie najście. Lepiej pójdę już sobie i...

I co? Wrócę z podkulonym ogonem do matki, narażę się na jej wściekłość, popłynę promem na Wizytę? Co innego mogło mnie czekać? Poczułam, jak znów zalewa mnie znajoma fala odrętwienia. Chciałam oprzeć głowę na ramieniu Rose i zamknąć oczy, skulić się nad klozetem i wymiotować tak długo, aż nic we mnie nie zostanie. Byłam okropnie chora i bezradna.

Eve zgarnęła grubą pajdą chleba żółtko z patelni.

– Siadaj, j-jankesko.

Ten chrapliwy głos miał w sobie coś władczego niezależnie od jąkania. Usiadłam.

Wytarła palce w ścierkę, sięgnęła do kieszeni podomki i wyłowiła z niej papierosa. Zapaliła go i zaciągnęła się powoli.

– Pierwszy poranny szlug – powiedziała, wydmuchując dym. – Zawsze smakuje najlepiej. Prawie że rekompensuje tego przekłętego kaca. Jak się nazywała ta t-twoja kuzynka?

– Rose. – Serce zaczęło mi szybciej bić. – Rose Fournier. Ona...

– Słuchaj – przerwała mi Eve. – Dziewczyny twojego pokroju mają bogate mamcie i papciów. Czemu twoi rodzice nie poruszają nieba i ziemi, żeby odszukać tę zbłąkaną owieczkę, swoją siostrzenicę?

– Próbowali. Dowiadywali się. – Mimo złości na rodziców miałam świadomość, że zrobili, co było w ich mocy. – Przez dwa lata nie znaleźli żadnego śladu i mój ojciec stwierdził, że Rose na pewno zginęła.

– Zdaje się, że ten twój ojciec to niegłupi facet.

Rzeczywiście. A jako specjalista od prawa międzynarodowego znał odpowiednie kanały i dyskretne dojścia, dzięki którym można było zdobyć informacje za granicą. Zrobił, co tylko mógł, ale skoro nikt nie dostał od Rose choćby telegramu – nawet ja, osoba, którą kochała najbardziej z całej naszej rodziny – papa wyciągnął logiczny wniosek: moja kuzynka nie żyje. Usiłowałam pogodzić się z tą myślą, przekonać samą siebie, że tak naprawdę jest. Sytuacja zmieniła się pół roku temu.

– Mój starszy brat wrócił z Tarawy bez połowy nogi, a sześć miesięcy temu się zastrzelił. – Usłyszałam, jak głos mi się łamie. Jako dzieci James

i ja nie żyliśmy ze sobą blisko, byłam dla niego po prostu smarkatą siostrą, której mógł dokuczać. Kiedy jednak wyrósł z okresu ciągnięcia mnie za włosy, dokuczanie stało się łagodniejsze; on żartował, że przegoni każdego chłopaka, który zechce się ze mną umówić, ja nabijałam się z okropnej fryzury, jaką będzie miał po wstąpieniu do piechoty morskiej. Był moim bratem, kochałam go, a rodzice uważali go za ósmy cud świata. A potem nagle już go nie było i mniej więcej w tym czasie Rose zaczęła, zamiast we wspomnieniach, pojawiać się w moim polu widzenia. Każda przebiegająca obok mnie dziewczynka zmieniała się w sześć-, ośmio- czy jedenastoletnią Rose, każda blondynka spacerująca po kampusie stawała się starszą Rose, wysoką, z zaznaczającymi się dopiero krągłościami... Dziesięć razy na dzień serce zaczynało walić mi jak młotem, po czym nagle zamierało – pamięć płałała mi bezlitosne figle.

– Wiem, że to pewnie beznadziejna sprawa. – Spojrzałam Eve prosto w oczy, pragnąc ze wszystkich sił, by mnie zrozumiała. – Wiem, że moja kuzynka pewnie... Wiem, jak marne są szanse. Naprawdę, potrafię wyliczyć je z dokładnością do kilku miejsc po przecinku. Ale muszę spróbować. Muszę sprawdzić każdy ślad do samego końca, choćby najdrobniejszy. Jeśli istnieje choć minimalna szansa, że ona jeszcze gdzieś jest...

Głos znów uwiązał mi w gardle. Straciłam w tej wojnie brata. Skoro miałam jakąkolwiek nadzieję na odzyskanie Rose, musiałam jej zawierzyć.

– Proszę mi pomóc – zwróciłam się jeszcze raz do Eve. – Proszę. Jeśli ja jej nie odzyskam, nikt inny tego nie zrobi.

Kobieta powoli wydmuchnęła dym.

– Czyli pracowała w restauracji o nazwie Le Lethe, gdzie?

– W Limoges.

– Mmm. A właścicielem był...?

– Niejaki *monsieur* René. Zadzwoiłam w parę miejsc, ale nikomu nie udało się ustalić jego nazwiska.

Zacisnęła usta. I przez dłuższą chwilę po prostu wpatrywała się w przestrzeń, a te jej straszliwe palce kurczyły się i rozkurczały, kurczyły i rozkurczały. W końcu spojrzała na mnie oczami nieprzeniknionymi jak mrożone szkło.

– Może jednak zdołam ci pomóc.

\*\*\*

Wyglądało na to, że rozmowa telefoniczna Eve nie przebiega najlepiej. Słyszałam tylko jej połowę – tę wykrzykiwaną do słuchawki przez Eve krążącą w tę i z powrotem nagim korytarzem i wymachującą papierosem jak rozwścieczony kot ogonem – lecz ta połowa wystarczyła, żeby zorientować się w sytuacji.

– Mam gdzieś, ile kosztuje rozmowa z Francją, ty głupia biurwo, po prostu mnie połącz!

– Z kim próbujesz się skontaktować? – zapytałam po raz trzeci, ale tak jak poprzednio puściła to mimo uszu i dalej wymyślała telefonistce.

– Opuść sobie to „proszę pani”, zanim się udławisz, i przełącz mnie do majora...

Wyślizgnęłam się z domu, lecz dalej słyszałam ją przez przeszklone drzwi frontowe. Wczorajsza mglista szarość zniknęła, dziś Londyn przystroił się w błękit nieba, przemykające po nim obłoczki i słoneczny blask. Osłoniłam oczy, rozglądając się za kształtem, który chyba widziałam wczoraj przez okno taksówki, o tam. Jedna z tych jasnoczerwonych budek telefonicznych, tak typowo angielskich, że wyglądała aż niedorzecznie. Ruszyłam w jej stronę, czując, jak znowu robi mi się słabo. Po telefonie Eve do tajemniczego majora wmusiłam w siebie kawałek suchej grzanki, co uspokoiło rozdrażniony Drobny Kłopot, jednak to były mdłości innego rodzaju. Sama musiałam gdzieś zadzwonić i obawiałam się, że moja rozmowa wcale nie będzie łatwiejsza od tej prowadzonej przez Eve.

Sprzeczka z telefonistką, kolejna z recepcjonistą w hotelu w Southampton, któremu musiałam podać nazwisko. I w końcu:

– Charlotte? *Allo, allo?*

Odsunęłam słuchawkę od ucha i wbiłam w nią wzrok, nagle poirytowana. Moja matka nigdy nie odbierała w ten sposób telefonu, chyba że obok był ktoś, kto mógł ją usłyszeć. Można by sądzić, że w obliczu nocnej ucieczki ciężarnej córki do Londynu nie będzie się aż tak przejmować tym, jakie wrażenie robi na recepcjoniście w hotelu.

Słuchawka nadal skrzeczała. Przyłożyłam ją z powrotem do ucha.

– Dzień dobry, *maman* – powiedziałam rzeczowo. – Nikt mnie nie porwał ani tym bardziej nie zabił. Jestem w Londynie cała i zdrowa.

– *Ma petite*, czyś ty zwariowała? Jak mogłaś tak nagle zniknąć? Masz pojęcie, jak mnie wystraszyłaś? – Dyskretnie pociągnęła nosem i wymruczała *merci*; widocznie recepcjonista podsunął jej chusteczkę, żeby otarła sobie oczy. Szczerze wątpiłam, żeby makijaż jej się rozmazał. Może była to z mojej strony złośliwość, ale nie umiałam nic na to poradzić. – Charlotte, mów, gdzie jesteś w Londynie. Natychmiast.

– Nie – odpowiedziałam i poczułam, jak w moim brzuchu rośnie coś jeszcze poza mdłościami. – Przykro mi, ale nie.

– Nie bądź śmieszna. Musisz wrócić do domu.

– Wrócę – odparłam. – Kiedy już ustalę z całą pewnością, co stało się z Rose.

– Z Rose? Co u...

– Niedługo znów zadzwonię. Obiecuję. – I odwiesiłam słuchawkę.

Kiedy wróciłam do domu Eve i weszłam do kuchni, Finn Kilgore odwrócił się w moją stronę.

– Poda mi panienka ścierkę? – Wskazał ją podbródkiem, bo ręce miał po łokcie zajęte szorowaniem patelni. Po raz kolejny przyjrzałam mu się z niedowierzaniem. Mój ojciec był przekonany, że brudne filiżanki po kawie w magiczny sposób myją się same.

– Znowu do kogoś dzwoni – powiedział Finn, biorąc ode mnie ścierkę. – Chciała porozmawiać z jakimś angielskim oficerem we Francji, ale ten jest na urlopie. Teraz krzyczy przez telefon na jakąś kobitkę, nie mam pojęcia, co to za jedna.

Zawahałam się.

– Panie Kilgore, wspominał pan, że jest pan kierowcą Eve. Czy... czy mógłby pan dokądś mnie zawieźć? Nie znam Londynu na tyle, żeby pójść tam piechotą, a na taksówkę nie mam pieniędzy.

Sądziłam, że odmówi, biorąc pod uwagę to, jak mało mnie znał, lecz on wzruszył ramionami, wycierając ręce.

– Przyprawdzą samochód.

Popatrzyłam na swoje stare ogrodniczki i sweter.

– Najpierw muszę się przebrać.

Kiedy się w końcu przebrałam, Finn stał już w otwartych drzwiach, przytupując czubkiem buta, i spoglądał na ulicę. Na dźwięk moich obcasów obejrzał się przez szczupłe ramię i uniósł nie jedną, lecz obie proste czarne brwi. Bynajmniej nie wzięłam tego za wyraz podziwu. Mój strój składał się z jedynych czystych ubrań, jakie zostały mi w walizce, i nadawał mi wygląd pasterki z porcelany: zwiewna biała spódniczka na rozłożystej krynolinie, różowy kapelusik z półwoalką i obcisły różowy żakiet, który podkreślałby wszystkie kobiece krągłości, gdybym miała cokolwiek do podkreślenia. Zadarłam brodę i spuściłam tę głupią woalkę na oczy.

– To jeden z międzynarodowych banków – odezwałam się i wręczyłam mu adres. – Bardzo dziękuję.

– Panienki w tyłu halkach zazwyczaj nie zawracają sobie głowy dziękowaniem kierowcy – zauważył Finn, przytrzymując mi drzwi. Mimo butów na obcasach przeszłam pod jego ramieniem bez schylania.

Z drugiego końca korytarza doleciał głos Eve:

– Nie waz się odkładać słuchawki, ty durna francuska małpo...

Przystanąłam na chwilę; chciałam zapytać Eve, czemu mi pomaga. Poprzedniego wieczoru wydawała się nieprzejednana. Ale na razie nie dopytywałam o szczegóły, choć miałam ochotę złapać ją za kościste ramiona i potrząsnąć nią tak, żeby wykrztusiła z siebie wszystko, co wie. Lepiej było jej nie denerwować ani nie zniechęcać, bo ewidentnie coś wiedziała. Tego byłam pewna.

Zostawiłam ją więc i ruszyłam za Finnem. Auto mnie zaskoczyło: ciemnoniebieski kabriolet z podniesionym dachem, stary, ale tak wypolerowany, że błyszczał jak lustro.

– Niezła bryka. To Eve?

– Moja.

Samochód nie pasował do szczeciny na jego podbródku i łat na łokciach.

– Co to za marka, Bentley? – Mój ojciec miał forda, ale lubił angielskie auta i zawsze mi je pokazywał, kiedy przyjeżdżaliśmy do Europy.

– Lagonda LG6. – Finn otworzył przede mną drzwi. – Wskakuj, panienko.

Uśmiechnęłam się, podczas gdy on zajął miejsce za kierownicą i sięgnął po dźwignię zmiany biegów, na wpół ukrytą wśród falban mojej spódnicy.

Miło było znajdować się wśród obcych, którzy nie znali mojej niedawnej wstydlivej historii. Podobało mi się patrzenie w czyjeś oczy i dostrzeganie tam odbicia mnie jako kogoś, kto zasługiwał na pełne szacunku „panienko”. Przez kilka ostatnich tygodni we wzroku moich rodziców czytałam tylko: „dziwka – rozczarowanie – porażka”.

„Bo jesteś jedną wielką porażką”, szepnął mój wredny wewnętrzny głos, ale odepchnęłam go z całej siły.

Za oknami widziałam migawki Londynu; szarego, brukowanego, z widocznymi śladami zniszczeń, gruzami, rozbitymi dachami i ścianami, z których ziały głębokie wyrwy. Pamiątki po wojnie, choć był już rok 1947. Przypomniało mi się, jak ojciec odetchnął z satysfakcją, czytając gazetę donoszącą o zakończeniu wojny.

– Doskonale, teraz wszystko wróci do normy.

Tak jakby dachy, budynki i strzaskane okna z chwilą ogłoszenia pokoju miały się zrosnąć jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Finn ostrożnie prowadził lagondę ulicami tak podziurawionymi, że przypominały szwajcarski ser, kiedy spojrzałam na niego, tknięta nagłą myślą.

– Do czego właściwie Eve potrzebuje samochodu? Przecież ciągle brakuje benzyny, nie byłoby jej łatwiej jeździć tramwajem?

– Nie czuje się najlepiej w tramwaju.

– Czemu?

– Nie wiem. Tramwaje, ciasne pomieszczenia, tłumy, to wszystko działa jej na nerwy. Ostatnim razem, kiedy pojechaliśmy gdzieś tramwajem, mało nie wybuchła jak granat. Darła się i dziobała łokciami te nieszczęsne kury domowe wokół i ich zakupy.

W zamyśleniu potrząsnęłam głową, a lagonda z pomrukiem zatrzymała się przed imponującą marmurową fasadą banku, do którego miałam wejść. Na mojej twarzy musiało się odbić zdenerwowanie, bo Finn zapytał łagodnie:

– Potrzeba panience eskorty?

Miałam na to ochotę, jednak towarzystwo ponurego nieogolonego Szkota raczej nie dodałoby mi wiarygodności, więc pokręciłam głową i wysiadłam z auta.

– Nie, dziękuję.

Idąc po wypolerowanej marmurowej posadzce banku, usiłowałam naśladować swobodny, posuwisty krok swojej matki. Podałam nazwisko i sprawę, z którą przyszłam, i po chwili wprowadzono mnie do gabinetu starszego pana w garniturze w pepitkę. Mężczyzna podniósł wzrok znad wykresu, na którym gryzmolił jakieś cyfry.

– Czym mogę pani służyć, młoda damo?

– Już mówię – odparłam z uśmiechem i wskazując na leżące przed nim papiery, zagadnęłam: – Nad czym pan pracuje?

– Procenty, liczby. Doprawdy nic ciekawego. – Wstał i wskazał mi krzesło. – Proszę, zechce pani spocząć.

– Dziękuję. – Usiadłam, poprawiłam woalkę i nabrałam powietrza. – Chciałabym podjąć pieniądze.

Moja amerykańska babka przed śmiercią założyła mi fundusz powierniczy. Nic specjalnie wielkiego, ale znajdowała się tam całkiem ładna sumka, a ja sumiennie wpłacałam na konto kolejne pieniądze od czasu, gdy skończyłam czternaście lat i po raz pierwszy dostałam wakacyjną pracę w biurze ojca. Nigdy wcześniej nie tknęłam tego konta, rodzice opłacali mi pobyt w college’u i to mi wystarczało. Zwykle trzymałam książeczkę bankową w szufladzie toaletki pod bielizną, jednak podczas pakowania się na prom w ostatniej chwili wrzuciłam ją do walizki. Odpowiadała za to ta sama część mnie, która wzięła adres Eve i sprawozdanie z ostatniego miejsca pobytu Rose. Nie było to do końca świadome układanie planów, po prostu usłuchałam głosiku szepczącego: „Może ci się to przydać, jeśli zbierzesz się na odwagę i zrobisz to, czego naprawdę pragniesz...”.

Cieszyłam się, że to zrobiłam i zabrałam książeczkę, bo w tej chwili byłam bez grosza. Nie miałam pojęcia, czemu Eve zdecydowała się mi pomóc, ale wątpiłam, by wynikało to z jej dobrego serca. Byłam gotowa zapłacić jej z góry, jeśli tego oczekiwała, podobnie jak każdemu, kto mógłby doprowadzić mnie do Rose, jednak do tego potrzebne były pieniądze. Zatem wyjęłam książeczkę i dokumenty, po czym uśmiechnęłam się do bankiera.

Dziesięć minut później uśmiechałam się dalej wyłącznie dzięki sile woli.



– Nie rozumiem – powiedziałam po raz co najmniej czwarty. – Ma pan dokument potwierdzający moje nazwisko i wiek, a fundusze na rachunku są niewątpliwie wystarczające. Dlaczego w takim razie...

– Młoda damo, wypłacanie tak dużych sum to niezwykle rzadka praktyka. Celem funduszu powierniczego jest zabezpieczenie pani przyszłości.

– Kiedy to nie jest tylko fundusz powierniczy. Tam są moje własne oszczędności...

– Wobec tego czy moglibyśmy pomówić z pani ojcem?

– Ojciec jest w Nowym Jorku. A to wcale nie jest taka duża suma...

Mężczyzna przerwał mi po raz kolejny.

– Wystarczy telefon do biura pani ojca. Gdybyśmy mogli z nim porozmawiać, uzyskać jego zgodę...

Tym razem to ja weszłam mu w słowo.

– Nie potrzebujecie jego zgody. Na rachunku widnieje moje nazwisko. Ustalono, że będę miała dostęp do konta po ukończeniu osiemnastu lat, a mam dziewiętnaście. – Jeszcze raz podsunęłam swoje dokumenty urzędnikowi. – Niepotrzebna jest niczyja zgoda poza moją własną.

Bankier poruszył się niespokojnie w swoim skórzanym fotelu, lecz na jego twarzy wciąż malował się dobrotliwie protekcyjny wyraz.

– Proszę mi zaufać, coś z pewnością da się załatwić, o ile tylko będziemy mieli możliwość porozmawiania z pani ojcem.

Zazgrzytałam zębami.

– Chciałabym podjąć...

– Niezmiernie żałuję, młoda damo.

Wbiłam wzrok w łańcuszek jego zegarka, w pulchne dłonie i światło odbijające się od łysiny. Mężczyzna nawet już na mnie nie patrzył, wrócił do swojego wykresu, gryzmolił na nim kolejne cyfry, a potem znów je wykreślał.

Nie było to eleganckie z mojej strony, ale wyciągnęłam mu kartkę spod ręki i przyjrzałam się liczbom. Zanim zdążył się unieść, wzięłam z biurka ogryzek ołówka, wykreśliłam jego cyfry i wpisałam poprawne.

– Pomylił się pan o ćwierć procentu – powiedziałam, przesuwając wykres z powrotem w jego stronę. – To dlatego rachunek się nie zgadzał. Ale na

wszelki wypadek proszę sprawdzić jeszcze na sumatorze. Mnie przecież najwyraźniej nie można ufać w sprawach pieniężnych.

Jego uśmiech zbladł. Podniosłam się z miną „a co mi tam”, zadzierając brodę najwyżej, jak się dało, i wymaszerowałam z budynku prosto na słońce. Moje własne pieniądze. I to nie tylko te odziedziczone, ale te, na które ciężko pracowałam, a teraz nie mogłam uszczknąć z nich choćby pięciu centów, jeżeli nie miałam ze sobą ojca. Było to tak dogłębnie niesprawiedliwe, że wciąż zgrzytałam zębami, choć nie mogłam powiedzieć, żeby ta historia całkiem mnie zaskoczyła.

I dlatego miałam plan B.

Finn podniósł wzrok, gdy rzuciłam się na siedzenie pasażera, przytrzymując sobie drzwiami prawie połowę spódnicy.

– Proszę mi wybaczyć, ale wygląda pan nieco podejrzanie – odezwałam się, ponownie otwierając drzwi i szarpnięciem wciągając do środka resztę mojej krynoliny. – Panie Kilgore, czy rzeczywiście jest pan podejrzanym osobnikiem, czy po prostu nie lubi się pan golić?

Zamknął podniszczoną książkę, którą przed chwilą czytał.

– Jednego i drugiego po trosze.

– To dobrze. Potrzebny mi lombard. Taki, gdzie nie będą zadawać za dużo pytań dziewczynie, która ma coś do sprzedania.

Wpatrywał się we mnie przez chwilę, po czym ruszył z miejsca i włączył się w hałaśliwy londyński ruch.

Amerykańska babka zostawiła mi fundusz powierniczy. Francuska babka miała spektakularny podwójny sznur pereł, który przed śmiercią rozdzieliła na dwa pojedyncze naszyjniki.

– Jeden dla *petite Charlotte* i jeden dla *belle Rose*! Powinnam dać je swoim córkom, ale *mon Dieu*, z tych waszych matek wyrosły takie marudy – powiedziała z typową dla siebie francuską bezpośredniością, na co wybuchnęłyśmy zawstydzonym chichotem. – Więc wy je noście, kiedy wyjdziecie za mąż, *mes fleurs*, i myślcie o mnie.

Myślałam o niej, sięgając do torebki i dotykając sznura gładkich pereł. Moja francuska babunia dzięki Bogu zmarła na długo przedtem, zanim nad jej ukochanym Paryżem załopotwały swastyki. *Pardonnez-moi, grandmère*, poprosiłam w duchu, naprawdę nie mam wyboru. Nie mogłam podjąć

własnych oszczędności, ale miałam w odwodzie swoje perły. Matka zupełnie serio planowała po Wizycie zaciągnąć mnie do Paryża, kupić mi nowe ubrania i odwiedzić starych znajomych, żeby było jasne, że jesteśmy w Europie ze względów towarzyskich i że w grę absolutnie nie wchodzi żaden skandal. Dlatego w naszym bagażu był i ten naszyjnik. Pozwoliłam sobie na ostatni rzut oka na lśniące mleczne kule z zapięciem zrobionym z pojedynczego szmaragdu, po czym wkroczyłam do lombardu, przed którym zatrzymał się Finn, z hałasem położyłam perły na ladzie i zapytałam:

– Ile może mi pan zaproponować?

Oczy kupca rozbłysły, jednak odparł gładko:

– Będzie panienka musiała poczekać. Mam parę ważnych zamówień do załatwienia.

– Z reguły tak robią – mruknął Finn, który tym razem nieoczekiwanie wszedł za mną. – Chcą człowieka zdenerwować, żeby łatwiej się zgodził na to, co mu dają. Trochę to pewnie potrwa.

Wysunęłam brodę.

– Mogę tu siedzieć cały dzień.

– To może ja zajrzę do Gardiner, mieszka bliźutko stąd. Nie nawieje mi panienka?

– Wiesz co, nie musisz ciągle nazywać mnie „panienką”. – Wprawdzie całkiem mi się to podobało, ale te formalności wydawały się jednak trochę bez sensu. – Ostatecznie nie eskortujesz mnie po pałacu Buckingham.

Wzruszył ramionami i już był na zewnątrz.

– Racja, panienko – dodał w momencie, gdy drzwi się zamykały.

Pokręciłam głową, a potem z perłami babci przeplecionymi przez palce usiadłam na niewygodnym krześle i czekałam dobre pół godziny, zanim właściciel lombardu skierował na mnie swoją uwagę (oraz szkło powiększające).

– Obawiam się, że oszukano panią, młoda damo – powiedział z westchnieniem. – To szklane perły. Z dobrego szkła, ale jednak. Chyba mógłbym dać pani za nie parę funtów...

– Proszę się im dobrze przyjrzeć.

Wiedziałam co do centa, na ile mój naszyjnik jest ubezpieczony. W głowie przeliczyłam dolary na funty, dodałam dziesięć procent i wymieniłam swoją sumę.

– Ma pani jakiś dowód ich pochodzenia? Na przykład paragon? – W jego lupie odbiło się światło i zobaczyłam, że jego ręce same się wyciągają do szmaragdowego zapięcia. Szarpnęłam naszyjnik w swoją stronę i targowaliśmy się dalej. Powoli upłynęło kolejne pół godziny, człowiek z lombardu był uparty jak osioł, a ja czułam, że z minuty na minutę ogarnia mnie desperacja.

– Pójdę z tym gdzie indziej! – warknęłam wreszcie, ale mężczyzna tylko uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Nigdzie nie dostanie panienka lepszej ceny. Nie ma mowy bez dowodu pochodzenia. Co innego, gdyby był z panią ojciec czy mąż, ktoś, kto zagwarantowałby, że ma pani pozwolenie na pozbycie się tych pereł...

Boże, znowu to. Chociaż od ojca dzielił mnie ocean i tak wciąż byłam od niego zależna. Odwróciłam się w stronę okna, by ukryć wściekłość, a w tłumie za szybą mignęła mi blond głowa Rose. Chwilę później dotarło do mnie, że to tylko jakaś biegnąca uczennica. „Och, Rosie – pomyślałam z rozpaczą, odprowadzając dziewczynkę wzrokiem. – Zostawiłaś swoją rodzinę i pojechałaś do Limoges. Jak ci się to udało, na miłość boską? Przecież nikt nie pozwala dziewczętom nic robić. Ani wydawać naszych własnych pieniędzy, ani sprzedawać rzeczy, które do nas należą, ani samodzielnie kierować własnym życiem”.

Szykowałam się do beznadziejnej kłótni, kiedy drzwi lombardu otwarły się z trzaskiem i rozległ się damski głos:

– Charlotte, doprawdy, kochanie, przecież ci mówiłam, żebyś na mnie poczekała. Pewnie wiedziałaś, że rozstanie z tymi b-błyskotkami złamie twojej babce biedne stare serce, i postanowiłaś jej tego oszczędzić, tak?

Wlepiłam w nią wzrok. Eve Gardiner nadchodziła tak rozpromieniona, jakbym była jej oczkiem w głowie. Miała na sobie tę samą wzorzystą sukienkę co rano, wyświechtaną i pogniecioną, ale włożyła do niej pończochy i porządne pantofle, zniekształcone dłonie skrywała para pocerowanych rękawiczek z kozłej skóry, a rozczochrane włosy zniknęły pod ogromnym, niegdyś szykownym kapeluszem przyozdobionym egretą.

Ku mojemu zdumieniu wyglądała jak dama. Ekscentryczna, owszem, ale jednak dama.

Oparty dyskretnie o framugę drzwi Finn posłał mi niemal niedostrzegalny uśmiech.

– Ach, będzie mi ich brakować – westchnęła Eve, poklepując mój naszyjnik jak psiaka i uśmiechając się powściągliwie do właściciela lombardu. – To perły z Morza Południowego, wie pan, prezent od mojego ukochanego m-męża nieboszczyka. – Otarła oczy chusteczką, ja zaś mogłam tylko patrzeć bez słowa i pilnować, żeby szczyka nie opadła mi na podłogę. – A ten szmaragd pochodzi z Indii! Z Kanpuru, jest w mojej rodzinie od lat, od czasów dziadziusia, który służył pod królową W-wiktorią. Rozprawiał się z sipajami i bardzo słusznie, tym brązowym łobuzom należała się nauzka. – Jej głos aż ociekał elegancją rodem z Mayfair. – A teraz bardzo proszę, żeby przyjrzał się pan jeszcze raz temu połyskowi i podał nam dobrą cenę.

Jego spojrzenie prześlizgnęło się po pieczołowicie zacerowanych rękawiczkach i drżącej egrecie na kapeluszu. Kwintesencja zubożałej arystokratki, angielska dama, dla której los nie był ostatnio łaskawy, więc przysłała zastawić swoje klejnoty.

– Czy ma pani jakiś dowód pochodzenia tych pereł? Jakiś...

– Tak, naturalnie, mam go gdzieś tutaj. – Eve z hukiem postawiła na ladzie przepastną torebkę, przygniatając nią szkło powiększające. – Proszę, a nie, to nie to. Charlotte, moje okulary...

– Są w torbie, babciu – odparłam, wreszcie zdobywając się na to, by wydusić coś z siebie pomimo zdumienia.

– Myślałam, że ty je masz. Sprawdź w torbie, proszę cię. Nie, potrzyмай to. Czy to to? Ach nie, to rachunek za ten chiński szal, niech spojrzę... Potwierdzenie musi gdzieś tutaj być...

Na kontuar w lombardzie sypały się kartki i karteczki. Eve chwyciła każdą z nich niczym sroka, paplając z tym nieposzlakowanym akcentem, jakby wpadła tu prosto z herbatki z królową, gorączkowo szukając nieistniejących okularów i starannie oglądając każdy świstek pod światło.

– Charlotte, bardzo cię proszę, sprawdź jeszcze raz w swojej torebce, jestem zupełnie pewna, że miałaś moje okulary...

– Łaskawa pani – odchrząknął właściciel na widok kolejnych klientów wchodzących do lombardu. Eve nie zwróciła na nich najmniejszej uwagi i ofuknęła go niczym wdowa z powieści Jane Austen:

– Proszę mnie nie popędzać, doprawdy. Już to mam, a nie, to znowu nie to, ale gdzieś tu musi być...

Egreta na jej kapeluszu zachwiała się niebezpiecznie, zasypując kontuar deszczem piór o zapachu naftaliny. Właściciel próbował przemieścić się w stronę następnych klientów, lecz Eve pacnęła go w rękę jego własną lupą.

– Proszę mnie tak nie zostawiać, dobry człowieku, jeszcze nie skończyliśmy! Charlotte, kochanie, przeczytaj to, proszę, moje biedne oczy...

Klienci, którzy weszli do środka, postali przez jakiś czas, aż wreszcie wyszli z lombardu.

Stałam tam jak statystka w filmie, gdy właściciel w końcu wydał wargi ze zniecierpliwieniem.

– Mniejsza o to, proszę pani. Nie trzeba paragonu, ostatecznie jestem na tyle dżentelmenem, by móc rozpoznać damę i zaufać jej słowu.

– Doskonale – odparła Eve. – A zatem jaką cenę pan proponuje?

Targowali się przez jakiś czas, lecz ja wiedziałam, kto wygra. Chwilę później moje perły zniknęły za ladą, a pokonany właściciel odliczył mi za nie całą masę banknotów. Odwróciłyśmy się i ujrzałyśmy Finna, który przytrzymał nam drzwi z uśmiechem widocznym tylko wokół jego oczu.

– Tędy, jaśnie pani – powiedział z kamienną twarzą, a Eve przeszła przez drzwi niczym księżna wdowa, kołysząc egretą.

– Ach – odezwała się, gdy tylko drzwi się za nami zamknęły – to mi się podobało.

W jej głosie nie było już śladu wytwornego akcentu.

Ani trochę nie przypominała wczorajszej pijanej wiedźmy z filiżanką pełną whisky i lugerem w dłoni. Wyglądała też zupełnie inaczej niż skacowana staruszka, którą zapamiętałam z dzisiejszego ranka. Sprawiała wrażenie trzeźwej, rześkiej i pysznie ubawionej. Jej szare oczy błyszczały, a kościste ramiona zrzuciły z siebie wiek i aurę zubożałej arystokratki niczym niewygodny szal.

– Jak to zrobiłaś? – zapytałam z niedowierzaniem, ściskając w dłoni banknoty.

Eve Gardiner ściągnęła rękawiczkę, znów ukazując tę potworną dłoń, i wyciągnęła z torby nieodłączne papierosy.

– Ludzie są głupi. Wystarczy podsunąć im jakąś h-historyjkę, kawałek papieru i przy odpowiednim tupecie i opanowaniu zawsze się udaje.

Brzmiało to tak, jakby kogoś cytowała.

– Zawsze? – powtórzyłam.

– Nie. – Z jej oczu zniknął błysk. – Nie zawsze. Ale tu n-niewiele ryzykowaaliśmy. Ten pompatyczny osioł wiedział, że t-to jest okazja. Ja tylko doprowadziłam do tego, że zapragnął wykopać mnie z lombardu ciut szybciej.

Zaczęłam się zastanawiać, od czego zależy to, kiedy Eve się jąka, a kiedy nie. Przedstawienie w sklepie odegrała z niewiarygodnym opanowaniem. Tak w ogóle to dlaczego zdecydowała się na takie posunięcie? Wpatrywałam się w zagadkową kobietę, która wyciągnęła papierosa w stronę Finna, a ten podał jej ogień.

– Nie lubisz mnie – powiedziałam w końcu.

– Nie – odparła i znów posłała mi to szczególne spojrzenie – jak orlica spoglądająca w dół ze swojego gniazda. W jej oczach było widać rozbawienie, ale nie dostrzegłam w nich żadnej sympatii, cienia życzliwości.

Nie przeszkadzało mi to. Mogła mnie nie lubić, ale rozmawiała ze mną jak z równą sobie, nie jak z dzieckiem czy dziwką.

– W takim razie dlaczego pomogłaś mi w lombardzie? – spytałam równie bezpośrednio jak ona. – Czemu w ogóle mi pomagasz?

– Może dla pieniędzy? – Popatrzyła na banknoty, które ściskałam w ręce, i wymieniła taką sumę, że zabrakło mi tchu. – M-mogę zaprowadzić cię do kogoś, kto być może wie coś o tej twojej kuzynce, ale nie zamierzam robić tego za darmo.

Zmrużyłam oczy, czując się okropnie niska, wciśnięta między wysokiego Szkota a wysoką Angielkę.

– Nie dostaniesz ani pensa, dopóki mi nie powiesz, do kogo dzwoniłaś dziś rano.

– Do angielskiego oficera, który obecnie stacjonuje w Bordeaux – odparła bez wahania. – Znamy się od trzydziestu lat, z tym że on w tej chwili jest na urlopie. Więc odezwałam się jeszcze do jednej dawnej znajomej, babki, która wie parę rzeczy. Zapytałam ją o restaurację Le Lethe i jej właściciela, a ona rzuciła słuchawką. – Prychnęła. – To babsko coś wie. Jeśli pojedziemy pogadać z nią twarzą w twarz, w-wyciągnę to z niej. A gdyby się nie udało, na pewno dowiem się czegoś od mojego oficera, jak już wróci z polowania na kaczki w Le Marche. I jak, jesteś gotowa wydać na to parę funciaków?

Żądała znacznie więcej niż paru funciaków, ale pominęłam to milczeniem.

– Czemu nagle się zainteresowałaś, kiedy wspomniałam o *monsieur René*? – wypaliłam za to. – Jak możesz go znać, skoro nie mamy nawet jego nazwiska? Czy to nazwa restauracji tak na ciebie podziałała?

Eve uśmiechnęła się do mnie poprzez chmurę dymu.

– Odpierdol się, jankesko – rzekła słodko.

No proszę, to była w stanie wypowiedzieć bez zająknięcia. Nigdy wcześniej nie słyszałam takiego słowa z ust kobiety. Finn patrzył w niebo, a na jego twarzy malowała się wystudiowana obojętność.

– W porządku – powiedziałam. Odliczyłam banknoty i wręczyłam jej jeden po drugim.

– To połowa tego, o czym mówiłam.

– Resztę dostaniesz, jak już porozmawiasz z tymi znajomymi – odparłam równie słodko. – Inaczej pewnie przepiłabyś wszystko i zostawiła mnie na lodzie.

– Niewykluczone – przyznała Eve. Ale mimo wszystko miałam wątpliwości. Zależało jej na czymś więcej niż tylko na pieniądzach. Byłam tego pewna.

– No dobrze, to gdzie znajdziemy tę twoją dawną znajomą? – Wcisnęliśmy się wszyscy do kabrioletu, Finn za kierownicą, Eve pośrodku, z ręką przerzuconą niedbale przez jego ramię, ja przy drzwiach. Wepchnęłam resztę banknotów do portfela. – Dokąd jedziemy?

– Do Folkestone. – Eve wyciągnęła dłoń, żeby zgasić papierosa na desce rozdzielczej, ale Finn spiorunował ją wzrokiem, wyrwał jej niedopałek i wyrzucił przez okno. – A po Folkestone do Francji.



# 4

## Eve

*Maj 1915*

Francja. To tam Eve miała pracować jako szpieg. „Szpieg – pomyślała na próbę, sprawdzając tę myśl tak, jak dziecko sprawdza dziurę po wyrwanym zębie. Miała ściśnięty żołądek, trochę z nerwów, a trochę z podekscytowania. – Będę szpiegiem we Francji”.

Ale Francja potem, najpierw do Folkestone.

– Wydaje się pani, że mogę panią zabrać z biura i wywieźć prosto na terytorium wroga? – powiedział kapitan Cameron w pociągu, niosąc wypchaną torbę podróżną Eve. Było to następnego dnia po tym, jak zwerbował ją nad filiżanką herbaty w saloniku w pensjonacie. Poszłyby za nim od razu tamtego wieczoru, tak jak stała, nie oglądając się na dobre maniery, jednak kapitan nalegał, że zachowa się odpowiednio, przyjedzie po nią następnego popołudnia i poda jej ramię w drodze na stację, jakby wybierali się na urlop. Eve pożegnał tylko bury kot, którego pocałowała w nos i szepnęła: „Zajrzyj do sąsiadki, pani Fitz. Kazałam jej obiecać, że będzie ci dawała okrawki, jak mnie nie będzie”.

– Gdyby ktoś pytał – powiedział kapitan Cameron, kiedy już rozgościli się w pustym przedziale – to jestem kochającym wujkiem, który zabiera swoją ulubioną siostrzenicę do Folkestone, żeby złapała trochę słońca. – Zatrzęsnał drzwiami dla pewności, by mieli cały przedział tylko dla siebie, i sprawdził, czy nikt nie podsłuchuje.

Eve przekrzywiła głowę i przyjrzała się jego szczupłej twarzy i pomiętemu tweedowemu ubraniu.

– Jest pan chyba trochę za młody, by być moim wujkiem?

– Ma pani dwadzieścia dwa lata, a wygląda na szesnaście. Ja mam trzydzieści dwa, a wyglądam na czterdzieści pięć. Jestem pani wujem Edwardem. To będzie nasza przykrywka teraz i w przyszłości.

Wcześniej dowiedziała się, że naprawdę nazywa się Cecil Aylmer Cameron. Prywatne szkoły, Królewska Akademia Wojskowa, służba w Edynburgu (co dodało tę szkocką nutę, jaka pobrzmiwała w jego angielskim akcencie) – Eve poznała jego oficjalne dane skrupulatnie przez niego wymienione, gdy przyjmowała jego ofertę. Nieoficjalne będzie poznawać tylko w razie potrzeby, bo samo to zajęcie ma bardzo nieoficjalny charakter... Teraz poznała pierwszy taki szczegół: kryptonim. „Niech będzie wuj Edward”. Znów poczuła ucisk w żołądku.

– A jaki będzie mój kryptonim? – Czytała Kiplinga, Childersa i Conan Doyle’a, nawet w tak głupich książkach jak *Szkarłatny kwiat* szpiedzy mieli kryptonimy i się przebierali.

– Dowiesz się.

– A dokąd p-p-p... dokąd pojedę we Francji? – Już się nie przejmowała jękami w jego obecności.

– Cierpliwości, to się dopiero okaże. Najpierw szkolenie. – Uśmiechnął się, a wokół jego oczu pojawiły się zmarszczki. – Ostrożnie, panno Gardiner. Widać, jak bardzo jest pani podekscytowana.

Eve zapanowała nad twarzą, aż nabrała wyrazu porcelanowej niewinności.

– Tak lepiej.

Folkestone. Przed wojną senne nadmorskie miasteczko. Teraz był to tętniący życiem port, do którego codziennie przybijały promy wypełnione uchodźcami, a w dokach częściej niż angielski było słychać francuski i flamandzki. Kapitan Cameron nie odzywał się, dopóki nie opuścili ruchliwej stacji i nie wyszli na deptak, gdzie mieli więcej prywatności.

– Folkestone to najbliższy port od holenderskiego Vlissingen – powiedział, narzucając takie tempo, żeby nie mogły ich usłyszeć inne przechadzające się pary. – Do moich zadań należy dopilnowanie, by uchodźcy byli przesłuchiwani, zanim zezwoli im się na wjazd do Wielkiej Brytanii.

– Szuka pan osób takich jak ja?

– I takich jak pani, które pracują dla przeciwnej strony.

– A ile pan znalazł?

– Sześć tych i pół tuzina tamtych.

– Czy jest wiele kobiet? – dopytywała Eve. – Wśród... rekrutów? – Jak oni się właściwie nazywali? Szpiegzy praktykanci? Kandydaci na szpiegów? Wszystko to brzmiało nedorzecznie. Jakaś część Eve wciąż nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. – Nigdy nie sądziłam, że kobiety w ogóle bierze się pod uwagę przy takich zadaniach – powiedziała szczerze. Kapitan Cameron (wuj Edward) w jakiś dziwny sposób zawsze potrafił wydobyć z niej prawdę. Pomyślała, że musi być świetny podczas przesłuchań. Tak delikatnie wyciągał z człowieka informacje, że ten nawet nie wiedział, co się dzieje.

– Jest dokładnie odwrotnie – odrzekł kapitan. – Lubię werbować kobiety. Często potrafią przejść zupełnie niezauważone tam, gdzie mężczyzna wzbudziłby podejrzenia i został zatrzymany. Kilka miesięcy temu zwerbowałem pewną Francuzkę – nagle uśmiechnął się ciepło niczym do jakiegoś szczególnie miłego wspomnienia – która dziś zarządza siecią ponad stu kontaktów i robi to z niesłychaną wprost łatwością. Jej sprawozdania o pozycjach artylerii przychodzą tak szybko i są tak dokładne, że w ciągu paru dni możemy doprowadzić do bombardowania. To nadzwyczajne. Nie mamy nikogo lepszego od niej ani wśród mężczyzn, ani wśród kobiet.

Eve ukłuło pragnienie współzawodnictwa. „Teraz ja będę najlepsza”.

Kapitan wezwał taksówkę.

– Poproszę na Parade pod numer 8. – Było to niepozorne, obskurne miejsce, niewiele różniące się od pensjonatu, w którym przedtem mieszkała Eve, i prawdopodobnie zresztą udawało pensjonat przed co bardziej wścibskimi sąsiadami. Jednak gdy kapitan popchnął Eve do środka i gdy stanęła na spłowiełej wycieraczce, na jej powitanie nie wyszła sztywna, stara pokojówka z zaciśniętymi ustami, lecz wysoki major w mundurze.

Obrzucił Eve powątpiewającym spojrzeniem, podkreślając koniuszek imponujących, wypomadowanych wąsów.

– Bardzo młoda – rzekł z dezaprobatą, taksując ją z góry do dołu.

– Proszę dać jej szansę – odparł łagodnie kapitan Cameron. – Panno Evelyn Gardiner, oto major George Allenton. Pozostawiam panią pod jego opieką.

Eve poczuła nagły strach, widząc, jak odziane w tweed plecy Camerona znikają, jednak szybko odeгнаła to uczucie. „Nie mogę się niczego bać – napomniała się. – Inaczej poniosę porażkę”.

Major nie wyglądał na zachwyconego. Eve domyślała się, że nie podzielał zdania kapitana Camerona na temat rekrutowania kobiet.

– Pani pokój jest pierwszy na drugim piętrze. Proszę się tu zameldować z powrotem za piętnaście minut.

Tak właśnie, zupełnie prosto, otworzył się przed nią sekretny świat. Kurs w Folkestone trwał dwa tygodnie. Dwa tygodnie w dusznych, niskich pokojach, których zapieczętowane okna skutecznie chroniły przed majowym ciepłem. Pokojach pełnych praktykantów, którzy nie wyglądali jak szpiedzy i uczyli się dziwnych i niebezpiecznych rzeczy od mężczyzn, którzy nie wyglądali jak żołnierze.

Mimo preferencji rekrutacyjnych kapitana Camerona Eve okazała się jedyną kobietą. Instruktorzy pomijali ją, podążając wzrokiem za obecnymi w pomieszczeniu mężczyznami, zanim pozwalali Eve cokolwiek powiedzieć, jednak nie przeszkadzało jej to, ponieważ w ten sposób miała czas, by wyrobić sobie zdanie na temat kolegów z kursu. Było ich tylko czterech, a tyle ich od siebie różniło. To zdziwiło Eve najbardziej. Wszystkie plakaty nakłaniające do zaciągnięcia się do wojska pokazywały szeregi identycznych chłopaków, krzepkich i silnych, bezosobowych, bo tak do siebie podobnych. Taki był właśnie żołnierz idealny: to szereg, regiment, cały batalion silnych mężczyzn, niczym się od siebie nieróżniących. Eve zrozumiała, że plakat zachęcający do zostania szpiegiem musiałby przedstawiać wiele bardzo różnych osób, z których żadna nie wyglądałaby jak szpieg.

Był krępy Belg z siwiejącą brodą, dwóch Francuzów: jeden z lyońskim akcentem, drugi kulejący, oraz szczupły angielski chłopak pałający tak gorącą nienawiścią do wroga, że aż prawie świecił. „On nie da sobie rady – oceniła Eve. – W ogóle nad sobą nie panuje”. Nie miała też pewności co do kulejącego Francuza, którego dłonie zaciskały się w pięści, ilekroć coś powodowało jego frustrację. W ogóle cały kurs polegał na ćwiczeniu się w panowaniu nad frustracją, trzeba było opanować umiejętności wymagające ogromnej cierpliwości: otwieranie zamków wytrychem, pisanie

kodek, naukę o szyfrach. Wykonywanie i odczytywanie różnych rodzajów atramentu sympatycznego. Czytanie i rysowanie map. Ukrywanie tajnych wiadomości. Belg klął pod nosem, gdy uczyli się pisać sprawozdania na maleńkich skrawkach papieru, bo miał ręce wielkie jak bochny. Eve natomiast szybko opanowała system malutkich literek, nie większych od napisanego na maszynie przecinka. Instruktor, szczupły Cockney, który po jej przyjeździe nawet na nią nie spojrzał, teraz się uśmiechał, widząc pracę Eve, i zaczął jej poświęcać więcej uwagi.

To tylko dwa tygodnie – Eve zastanawiała się, jak bardzo można było się zmienić w tak krótkim czasie. A może to nie była żadna zmiana, tylko ona stawała się tym kimś, kim miała się stać? Czuła się tak, jakby płonęła i traciła swoje wierzchnie warstwy, resztki obciążającego ją umysłowego i cielesnego balastu. Każdego ranka budziła się z radością, odrzucała kołdrę i wyskakiwała z łóżka, a jej umysł wypełniał potężny, wygłodniały krzyk domagający się tego, co miał przynieść nowy dzień. Manewrowała palcami przy maleńkich skrawkach papieru tymi samymi zręcznymi ruchami, które przekonywały zamek, by ujawnił swoje sekrety, i gdy po raz pierwszy usłyszała, jak zaskoczyły zapadki, poczuła większe podniecenie i dzikszą przyjemność niż kiedykolwiek, gdy ktoś próbował ją pocałować.

„Jestem do tego stworzona – myślała. – Nazywam się Evelyn Gardiner i tu jest moje miejsce”.

Kapitan Cameron przyjechał ją odwiedzić pod koniec pierwszego tygodnia.

– Jak się miewa moja uczennica? – spytał, wchodząc bez zapowiedzi do dusznej prowizorycznej klasy.

– Bardzo dobrze, wuju Edwardzie – odparła Eve skromnie.

– Co teraz ćwiczycie? – Oczy mu się śmiały.

– Ukrywanie wiadomości. – Jak błyskawicznie rozciąć szew w mankiecie i wsunąć tam małą, zwiniętą karteczkę i jak ją szybko z powrotem wyciągnąć. Wymagało to szybkości i zręcznych palców, ale Eve miała obie te cechy.

Kapitan oparł się o brzeg stołu. Nosił mundur. Eve pierwszy raz go widziała w takim stroju, było mu w nim do twarzy.

– A w ilu miejscach mogłabyś ukryć wiadomość w ubraniu, które teraz masz na sobie?

– W mankietach, w brzegach ubrań, w końcówkach palców rękawiczek, owiniętą wokół pierścionka albo wewnątrz o-obcasa...

– Lepiej zapomnij o tym ostatnim miejscu. Podobno szwaby poznały się na tej sztuczce.

Eve skinęła głową i skreśliła ten sposób. Rozwinęła swoją niezapisaną karteczkę i od razu zaczęła ją wpychać w zaszyty brzeg chusteczki do nosa.

– Twoi koledzy z klasy ćwiczą strzelanie do celu. Dlaczego ty nie?

– Major Allenton uznał, że to nie jest konieczne. – Powiedział: „Nie wyobrażam sobie sytuacji, w której kobieta miałaby strzelać z pistoletu”. I tak Eve została, a jej koledzy poszli na strzelnicę z pożyczonymi webleyami. Teraz zostało ich już tylko trzech, bo szczupłego Anglika uznano za niezdatnego do służby, na co zareagował płaczem i przekleństwami. „Jeśli chcesz walczyć z Niemcami, lepiej zaciągnij się do wojska”, pomyślała Eve nie bez sympatii.

– Uważam, że jednak powinna pani nauczyć się strzelać, panno Gardiner.

– Czy to nie byłoby w-wbrew rozkazom majora? – Cameron i Allenton się nie lubili, Eve zauważyła to już pierwszego dnia.

– Proszę ze mną – powiedział po prostu kapitan.

Nie zabrał Eve na strzelnicę, tylko na pusty kawałek plaży daleko od hałaśliwych doków. Ruszył w stronę wody, przewiesiwszy przez ramię plecak pobrzękujący przy każdym kroku. Eve szła za nim, jej buty zapadały się w piasek, wiatr rozwiewał starannie zakręcone włosy. Poranek był bardzo ciepły i Eve najchętniej zdjęłaby żakiet, jednak ta samotna wycieczka na pustą plażę w towarzystwie mężczyzny, który zdecydowanie nie był jej wujem, okazała się już wystarczająco niestosowna. „Panna Gregson i dziewczyny z biura pomyślałyby o mnie same najgorsze rzeczy”. Eve szybko jednak odepchnęła tę myśl i po chwili była już w samej bluzce, uzasadniając to sobie myślą, że jako szpieg nie zaszłaby daleko, gdyby zaprzętała sobie głowę tym, czy coś wypada.

Kapitan znalazł wyrzuconą przez morze gałąź, wypakował z plecaka dużo pustych butelek i ustawił je w szeregu na kłodzie.

– Tak będzie dobrze. Cofnij się dziesięć kroków.

– Czy nie powinnam umieć strzelać z większej odległości? – zaprotestowała Eve, rzucając żakiet na kępę wodorostów.

– Jeśli celujesz w człowieka, to raczej jesteś blisko. – Kapitan Cameron odliczył dystans i wyciągnął swój pistolet z kabury. – To jest luger P08, kaliber 9 milimetrów...

Eve zmarszczyła nos.

– Niemiecki p-pistolet?

– Proszę nie drwić, panno Gardiner, to broń bardziej precyzyjna i niezawodna od naszych angielskich. Nasi chłopcy dostają webleye Mk IV i to na nich ćwiczą twoi koledzy z klasy, ale równie dobrze mogliby sobie darować, bo żeby nauczyć się dobrze strzelać z webleya, potrzeba wielu tygodni, gdyż lufa skacze przy wystrzale. Z lugerem wystarczy kilka godzin, żeby zaczęła pani trafiać do celu.

Kapitan Cameron sprawnie rozłożył pistolet na części i podał ich nazwy, a Eve musiała go składać i rozkładać, dopóki nie zapanowała nad niezdarnością. Gdy już to opanowała i zobaczyła, jak zręcznie i szybko poruszają się jej dłonie, poczuła tę samą dojmującą radość, jaką czasami czuła po przyjeździe tutaj, ilekroć udawało jej się rozszyfrować mapę albo wiadomość. „Więcej – myślała. – Chcę więcej”.

Cameron kazał jej ładować i rozładowywać broń dość długo i Eve zorientowała się, że czekał, aż ona będzie go błagała, żeby już strzelać, a nie bawić się częściami pistoletu. „Chce zobaczyć, czy jestem cierpliwa”. Odgarnęła za ucho powiewający na wietrze kosmyk włosów i bez słowa wykonywała instrukcje. „Mogę tak przez cały dzień, kapitanie”.

– Tam. – Wreszcie wskazał jej pierwszą butelkę stojącą na wyrzuconej przez morze kłodzie. – Ma pani siedem strzałów. Proszę patrzeć wzdłuż lufy, o tak. Nie kopie tak jak webley, ale będzie lekkie szarpnięcie. – Przesunął palcem jej ramię, brodę i dłonie, żeby skorygować postawę. Nie było w tym nic intymnego. – Eve pamiętała francuskich chłopców w Nancy, kiedy przyjeżdżała na polowanie na kaczki. „Pokażę ci, jak się celuje!” I natychmiast obejmowali ją ramionami.

Kapitan pokiwał głową, cofając się. Silny słony wiatr czochnął jego krótkie włosy i wzburzał ciemnoniebieskie fale kanału La Manche.

– Ognia.

Opróżniła magazynek ze wszystkich siedmiu naboji, a każdy wystrzał rozlegał się echem na pustej plaży. Nie udało jej się jednak trafić nawet w jedną butelkę. Poczula ukłucie rozczarowania, ale nie miała zamiaru tego po sobie pokazywać, tylko po prostu znów naładowała broń.

– Dlaczego chce pani to robić, panno Gardiner? – spytał kapitan i skinął głową, żeby strzelała.

– Chcę spełnić swój obowiązek. – Ani razu się nie zająknęła. – Czy to takie dziwne? Ubiegłego lata, gdy wybuchła wojna, każdy młody mężczyzna w Anglii palił się, żeby wziąć udział w walce, zrobić coś ważnego. Czy ich ktokolwiek pytał dlaczego? – Podniosła lugera i oddała kolejnych siedem strzałów w równych odstępach. Drasnęła jedną butelkę, aż odprysk szkła poszybował w powietrze, jednak sama butelka się nie rozbiła. Kolejne szarpnięcie rozczarowania. „Ale przyjdzie taki dzień, że będę najlepsza – poprzysięgła sobie. – Lepsza od tej twojej ulubionej rekrutki z Lille, kimkolwiek ona jest”.

Kapitan mówił dalej.

– Nienawidzisz szwabów?

– Nie było do nich daleko z Nancy, gdzie dorastałam. – Eve znów się zabrała do ładowania broni. – Wtedy ich nie nienawidziłam. Ale potem napadli na Francję, rozszarpali ją na kawałki i zabrali dla siebie wszystko, co było w niej najlepsze. – Wcisnęła ostatnią kulę. – Jakim prawem?

– Żadnym. – Przyjrzał się jej uważniej. – Jednak uważam, że w twoim wypadku chodzi nie tyle o patriotyzm, ile o potrzebę udowodnienia, że się do tego nadajesz.

– Tak – przyznała z satysfakcją. Tego właśnie pragnęła przede wszystkim. Tak mocno, że aż bolało.

– Rozluźnij trochę chwyt. Ciągniesz spust, zamiast go naciskać, przez co znosi cię w prawo.

Za drugim strzałem rozbiła butelkę.

– Nie myśl, że to jest zabawa. – Kapitan spojrzał na nią. – Widzę tylu młodych mężczyzn, którzy palą się, żeby pokonać niemieckie świnie. I jeśli chodzi o wojsko, to jest zupełnie w porządku. Pierwszy tydzień w okopach wyleczy ich z wszelkich złudzeń i oprócz utraty niewinności nie stanie im się nic złego. Jednak szpiedzy nie mogą się do niczego palić. Szpiedzy,



którzy myślą, że to jest zabawa, ściągną śmierć na siebie i prawdopodobnie na swoich towarzyszy. Niemcy są bystrzy i bezwzględni w przeciwieństwie do tego, co mogłaś słyszeć o tępych szwabach, i od chwili, gdy znajdziesz się we Francji, będą zdeterminowani, żeby cię złapać. Jako kobieta pewnie nie zostałabyś postawiona pod ścianą i rozstrzelana, tak jak dziewiętnastoletni chłopak, którego wysłałem do Roubaix w zeszłym miesiącu. Ale mogliby cię zamknąć w niemieckim więzieniu, gdzie powoli umierałabyś z głodu wśród szczurów i gdzie nikt nie mógłby ci pomóc, nawet ja. Czy mnie pani rozumie, Evelyn Gardiner?

„Kolejny test”, pomyślała Eve, czując, jak mocno bije jej serce. Jeśli go nie zda, o Francji będzie mogła tylko pomarzyć. Jeśli nie zda, będzie musiała wrócić do domu, do pensjonatu i pracy w biurze. Nie.

Tylko jaka jest prawidłowa odpowiedź?

Kapitan Cameron czekał, nie spuszczając z niej wzroku.

– Nigdy nie myślałam, że to jest zabawa – rzekła w końcu. – Ja się nie bawię. Zabawy są dla dzieci, a ja może i wyglądam na szesnaście lat, lecz właściwie nigdy nie byłam dzieckiem. – Znów zaczęła ładować pistolet. – Nie mogę obiecać, że nie poniosę porażki, ale gdyby tak się stało, to nie dlatego, że mi się wydaje, iż to jest zabawa.

Zawzięcie odwzajemniła jego spojrzenie, a jej serce nadal waliło jak młotem. „Czy to była dobra odpowiedź?” Nie miała pojęcia. Mimo to nie mogłaby odpowiedzieć inaczej.

– Zostaniesz wysłana do Lille okupowanego przez Niemców – rzekł wreszcie kapitan Cameron, a pod Eve prawie ugięły się kolana. – Ale najpierw pojedziesz do Hawru, żeby się spotkać ze swoim kontaktem. Będziesz się nazywała Marguerite Le François. Naucz się reagować na to nazwisko tak, jakby było twoje własne.

*Marguerite Le François*. To tak, jakby się nazywała Małgorzatka Francuska. Eve uśmiechnęła się. Idealne nazwisko dla niewinnej dziewczyny, którą można ignorować i wchodzić jej w słowo. Nieszkodliwy kwiatek, którego urocza twarzyczka czai się na krzaku.

Kapitan Cameron odwzajemnił jej uśmiech.

– Pomyślałem, że będzie pasowało. – Znów wskazał rząd butelek, których teraz było już tylko sześć. Miał szczupłe, opalone ręce, a Eve zauważyła

błysk obrączki na lewej dłoni. – Jeszcze raz.

– *Bien sùr, oncle Édouard.*

Pod koniec popołudnia wszystkie butelki były roztrzaskane. Po paru kolejnych dniach ćwiczeń pod jego kierunkiem potrafiła rozbić siedem butelek siedmioma strzałami.

– Ten Cameron poświęca pani bardzo dużo czasu – zauważył któregoś dnia major Allenton, gdy wróciła do klasy po ćwiczeniach. Od jej przybycia nie zawracał sobie głowy odzywaniem się do niej, ale teraz przyjrzał się jej uważnie. – Niech pani uważa, moja droga.

– Nie rozumiem, co pan s-sugeruje. – Eve usadowiła się przy swoim biurku. Przyszła jako pierwsza na zajęcia z łamania kodów. – Pan kapitan jest dżentelmenem.

– Nie takim znowu dżentelmenem, była przecież ta przykra sprawa, przez którą wylądował na trzy lata w więzieniu.

Eve prawie spadła z krzesła. Cameron ze swoim ujmującym głosem pobrzmiwającym szkockim echem, z nienaganną angielszczyzną wyniesioną z prywatnej szkoły, łagodnym spojrzeniem i nieco niezgrabnym chodem... „W więzieniu?”

Major podkreślił wypomadowanego wąsa, najwyraźniej czekając, aż ona zacznie wypytywać o pikantne szczegóły, lecz Eve tylko bez słowa gładziła spódnice.

– Oszustwo – powiedział w końcu. – Mówienie źle o podwładnym niewątpliwie dawało mu satysfakcję. – Jeśli to panią ciekawi. Jego żona usiłowała zgłosić kradzież perłowego naszyjnika, co podchodziło pod oszustwo ubezpieczeniowe. Bardzo podejrzana sprawa. On wziął winę na siebie, ale kto wie, jak było naprawdę? – Major wydawał się bardzo zadowolony z zaskoczonej miny Eve. – Pewnie pani nie opowiadał o odsiadce, co? – Tu mrugnął. – Ani o żonie.

– Ani jedno, ani drugie – odparła Eve lodowatym tonem. – To nie moja sprawa. A skoro został przywrócony do służby Jego Królewskiej Mości, i to do tak poufnych zadań, to n-nie mam powodu p-podważać jego autorytetu.

– To nie ma nic wspólnego z zaufaniem, moja droga. Wojna wybiera sobie najróżniejszych kochanków. Przydadzą się wszystkie ręce do pracy, nawet te brudne. Cameron został ulaskawiony i przywrócony do służby, ale to nie

znaczy, że chcę, żeby moja podopieczna chodziła z nim sama na długie spacerunki po plaży. Jak ktoś już raz był za kratkami...

Eve przypomniła sobie szczupłe dłonie Camerona ładujące dla niej lugera. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że te dłonie mogłyby cokolwiek ukraść.

– Czy t-t-to wszystko, sir? – Oczywiście bardzo chciała dowiedzieć się więcej, ale prędzej dałaby się powiesić, niż miałyby wypytywać tego złośliwego morsa z jego niedorzecznymi wąsami o choć jeden szczegół. Major wyszedł, wyraźnie rozczarowany, a następnego dnia Eve ukradkiem obserwowała Camerona. Jednak o nic go nie zapytała, bo w Folkestone każdy miał swoje tajemnice. W dniu zakończenia kursu kapitan w prezencie włożył lugera do jej porządnie spakowanej torby podróżnej i powiedział:

– Jutro rano jedziesz do Francji.

# II

# 5

## Charlie

*Maj 1947*

Nie wiem, ile czasu zajęło nam przepłynięcie kanału La Manche. Czas dłuży się w nieskończoność, jeśli się go spędza na wymiotowaniu.

– Nie zamykaj oczu. – Szkocki terkot Finna Kilgore’a rozległ się za moimi plecami, gdy kurczowo trzymałam się barierki. – Nudności są gorsze, jeśli nie widzisz, z której strony wzbierają fale.

Zacisnęłam powieki jeszcze mocniej.

– Nie wypowiadaj tego słowa.

– Jakiego?

– „Wzbierają”.

– Po prostu patrz na horyzont i...

– Za późno – jęknęłam i przechyliłam się za burzę. Już nie miałam czym wymiotować, ale mój żołądek i tak wywrócił się na lewą stronę. Kątem oka zobaczyłam dwóch elegancko ubranych Francuzów marszczących nosy i oddalających się od nas. Gwałtowny podmuch wiatru smagnął pokład statku i mój ciemnozielony kapelusz z okropnym podwiniętym rondem potoczył się w dal.

– Zostaw, niech leci – wysapałam, gdy Finn przechylił się za barierkę. – Nienawidzę tego kapelusza!

Uśmiechnął się, odgarnął włosy z mojej twarzy i przytrzymał je, gdy zwymiotowałam po raz ostatni. Byłam okropnie zawstydzona za pierwszym razem, kiedy zrobiłam to w obecności Finna, ale teraz czułam się już tak źle, że w ogóle nie myślałam o upokorzeniu.

– Masz delikatny żołądek jak na jankeskę – zauważył. – Sądząc po tych waszych hot dogach i kawie, myślałem, że Amerykanie nigdy aż tak nie chorują.

Wyprostowałam się. Byłam pewnie tak zielona jak stary groszek z puszki.

– Proszę, nie mów o hot dogach.

Puścił moje włosy.

– Jak sobie życzysz.

Staliśmy na końcu statku przeciwnym do tego, na którym znajdowała się Eve. Tak ją bawiło moje nieszczęście, że musiałam się oddalić, żeby jej nie zabić. Potem dołączył do mnie Finn. Pewnie miał już dość jej przeklinania i papierosowego dymu, chociaż trudno mi było sobie wyobrazić, żeby coś mogło być gorsze od moich nieustających nudności.

Stojąc tyłem do barierki, oparł się o nią łokciami i odchylił głowę, by spojrzeć na przysadzisty górny pokład.

– Dokąd pojedziemy, kiedy już dotrzemy do Hawru?

– Eve mówi, że kobieta, z którą musimy porozmawiać, mieszka w Roubaix, więc możemy najpierw pojechać tam, a do Limoges później. Ale tak się zastanawiam... – Zamyśliłam się.

– Nad czym?

– Najpierw do Rouen? – Zabrzmiało to za bardzo jak pytanie i zaraz skarciłam się w myślach. Nie musiałam prosić o pozwolenie, żeby gdziekolwiek jechać. To była moja misja, choć to chyba za mocne słowo. Mój obowiązek? Moja obsesja? Cóż, jakkolwiek to nazwać, i tak ja za wszystko płacę, więc ja tu rządzę. Wydawało się, że dla Finna i Eve było to oczywiste, natomiast dla mnie po tylu tygodniach czucia się jak liść wciągany przez wir bardzo przyjemne.

– Pojedziemy do Rouen – powiedziałam stanowczo. – Moja ciotka po wojnie wyjechała z Paryża i na stałe zamieszkała w letnim domu. To matka Rose. W listach nie była bardzo przyjazna, ale jeśli pojawię się na progu jej domu, na pewno ze mną porozmawia.

Pomyślałam o francuskiej ciotce, o jej torebce, w której grzechotały opakowania leków na te wszystkie choroby, na które niby chorowała, przekonana, że jest umierająca. Chciałam ją chwycić za te jej kościste ramiona i wytrząsnąć z niej odpowiedzi, których tak potrzebowałam. „Dlaczego Rose wyprowadziła się z domu w 1943? Co się stało z twoją córką?”

Spojrzałam na pokład i zobaczyłam ośmioletnią Rose, kościstą i piegowatą, podskakującą wzdłuż barierki. Uśmiechnęła się do mnie i wtedy uświadomiłam sobie, że to nie jest Rose. Dziewczynka nawet nie

miała jej blond włosów. Popatrzyłam za nią, jak biegnie na dziób, do matki, a moja wyobraźnia wciąż usiłowała mi wmówić, że na szczupłych plecach podskakują jasne warkocze Rose, a nie ciemniejsze włosy obcej dziewczynki.

– Rouen – powtórzyłam. – W Hawrze zatrzymamy się na noc, a rano ruszymy w drogę. Gdybyśmy pojechali pociągiem, moglibyśmy dotrzeć tam już dzisiaj... – Eve kategorycznie odmówiła podróżowania środkiem lokomocji innym niż samochód, więc musiałam pozbyć się sporych pieniędzy, żeby lagonda Finna mogła zostać załadowana dźwigiem na statek. Tak jakbyśmy byli brytyjskimi arystokratami wybierającymi się na przejażdżkę po Kontynencie i piknik z szampanem. Za te same pieniądze, które wydałam na przewóz samochodu – a z jego powodu zamiast do Boulogne musieliśmy popłynąć wolniejszym promem do Hawru – mogłabym przewieźć sześć osób do Francji i z powrotem.

– Czy ta mała nie mogłaby się uspokoić i przecierpieć jazdy pociągiem? – burknęłam.

– Nie wydaje mi się – odparł Finn.

Zerknęłam na swoją dziwaczną sojuszniczkę na drugim końcu pokładu. Kiedy przedtem jechaliśmy samochodem, była na przemian nieznośna albo milcząca, gdy dojechaliśmy do Folkestone, nie chciała wyjść z samochodu, a Finn musiał mnie zaprowadzić tam, gdzie miałam kupić bilety na rejs przez kanał La Manche. Kiedy wróciliśmy do lagondy, Eve zniknęła i dopiero po dłuższych poszukiwaniach znaleźliśmy ją stojącą przed nędznym szeregowym domkiem na Parade 8. Po prostu tam stała ze skrzywioną miną.

– Wciąż się zastanawiam, co się stało z tym chudym Anglikiem – powiedziała nagle. – Tym, co go w-wywalili z kursu. Może dołączył do chłopców w okopach i wyleciał w powietrze? Cholerny szczęściarz.

– Jakiego kursu? – zapytałam zirytowana, ale ona tylko zaśmiała się tym swoim szczekliwym śmiechem i spytała, czy nie śpieszymy się przypadkiem na statek.

Teraz siedziała w oddalonym kącie pokładu w swoim sfatygowanym płaszczyku, bez kapelusza, paląc jednego papierosa za drugim. Wyglądała zaskakująco krucho.

– Mój brat zawsze tak siadał – powiedziałam. – Plecami do kąta. To znaczy, odkąd wrócił z Tarawy. Któregoś wieczoru się upił i powiedział mi, że nie był już w stanie czuć się bezpiecznie, jeśli nie widział wszystkich miejsc, skąd mógł paść strzał. – Poczułam, jak ściska mnie w gardle, gdy przypomniałam sobie szeroką, przystojną twarz Jamesa, która wtedy z powodu alkoholu i wymuszonego uśmiechu już nie była tak przystojna, bo jego oczy były puste...

– Wielu żołnierzy tak robi – powiedział Finn obojętnie.

– Wiem. – Przełknęłam ślinę. – Nie tylko mój brat. Widziałam to wiele razy u żołnierzy przychodzących do kawiarni, w której pracowałam. – Zauważyłam zdziwione spojrzenie Finna. – Co, myślałeś, że bogata amerykańska dziewczyna nigdy nie pracowała?

Było jasne, że dokładnie tak myślał.

– Mój ojciec uważał, że jego dzieci powinny znać wartość pieniądza. Zaczęłam pracować w jego biurze, gdy miałam czternaście lat. – Była to kancelaria specjalizująca się w prawie międzynarodowym. W rozmowach telefonicznych język francuski i niemiecki było słycać równie często jak angielski. Najpierw tylko podlewałam kwiaty i robiłam kawę, ale już wkrótce mogłam wypełniać dokumenty, porządkować notatki ojca, a nawet zajmować się księgowością, gdy okazało się, że robię to szybciej i staranniej od jego sekretarki. – Potem wyjechałam do Bennington – ciągnęłam – pod nieobecność matki, żeby nie mogła mi tego zabronić. Dostałam pracę w kawiarni i właśnie tam widziałam tych żołnierzy.

Finn wyglądał na zdziwionego.

– Po co pracować, skoro nie musiałaś?

– Lubię być użyteczna. Byle tylko uciec od białych rękawiczek i kotylionów. W kawiarni można obserwować ludzi, wymyślać sobie o nich historie. Ten pan jest niemieckim szpiegiem, a tamta panna aktorką wybierającą się na przesłuchanie na Broadwayu. Poza tym dobrze mi idzie liczenie, bo w kawiarni to ważna umiejętność, mogę w pamięci obliczać resztę, mogę zarządzać kasą. Ostatecznie studiowałam matematykę.

Jakże zmarszczyły się brwi mojej matki, gdy usłyszała, że w Bennington zapisałam się na zajęcia z analizy matematycznej i algebry.



– Wiem, że lubisz takie rzeczy, *ma chère*, nawiasem mówiąc, nie wiem, jak ja sobie poradzę z moją książeczką czekową, gdy ty będziesz w Vermont, ale nie przechwalaj się tym na randkach. Nie rób tak jak zawsze, że dodajesz ceny z rachunku w restauracji, żeby zobaczyć, czy zrobisz to szybciej od kelnera. Chłopcy nie lubią takich rzeczy.

Może właśnie dlatego zdecydowałam się na pracę w kawiarni, gdy przyjechałam do Bennington. Był to mój mały bunt przeciwko litanii, której musiałam wysłuchiwać przez całe życie: co wypada, jak należy się zachować, co lubią chłopcy. Matka wysłała mnie na studia, żebym znalazła sobie męża, lecz ja szukałam czegoś zupełnie innego, nowej ścieżki, odmiennej od tej, którą dla mnie wybrano: podróże, praca, kto wie. Jednak zanim podjęłam decyzję, pojawił się Drobnny Kłopot i pokrzyżował plany zarówno matki, jak i moje.

– Obliczanie rachunków za filiżanki kawy – uśmiechnął się Finn. – Ładne zajęcie na czas wojny.

– To nie moja wina, że byłam za młoda, żeby być pielęgniarką. – Zawahałam się, ale w końcu go spytałam. Mój żołądek nadal dawał o sobie znać, a rozmowa pomagała mi odwrócić od tego uwagę.

– A co ty robiłeś w czasie wojny? – Bo dla każdego wojna była czymś innym. Dla mnie oznaczała prace domowe z algebry, sporadyczne randki i codzienne oczekiwanie na listy od Rose i Jamesa. Dla moich rodziców wojna to Victory Gardens, zbiórki złomu na potrzeby frontu i moja matka niepokieszona, że musi sobie malować pończochy na nogach, zamiast nosić prawdziwe. Natomiast dla mojego biednego brata... Cóż, nie opowiadał o wojnie, lecz to z jej powodu wsadził sobie w usta lufę i pociągnął za spust.

– Czym była wojna dla ciebie? – Ponownie spytałam kierowcę Eve, mrugając, by odegnąć obraz Jamesa, żeby znów nie czuć ścisku w gardle. – Mówiłeś, że służyłeś w dywizji przeciwpancernej?

– Nie byłem ranny. Świetnie spędziłem czas, było cholernie fajnie. – Wiedziałam, że Finn z czegoś kpi, ale nie wydawało mi się, żeby ze mnie. Chciałam jeszcze dopytać, lecz jego twarz zastygła w dziwnym grymasie i nie mogłam się zdobyć na to, by dalej naciskać. Ostatecznie prawie wcale go nie znałam, to dla Eve był służącym od wszystkiego, Szkotem, który

robił śniadanie. Nie wiedziałam, czy choć trochę mnie lubił, czy po prostu był uprzejmy.

Chciałam, żeby mnie polubił. Zresztą nie tylko on, Eve też, mimo że mnie denerwowała i wprawiała w zakłopotanie. Naszą znajomość zaczynałam zupełnie od zera. Dla nich byłam Charlie St. Clair, przywódczynią najdziwniejszego zespołu poszukiwawczego na świecie. A nie Charlie St. Clair, latawicą, która przyniosła wstyd swojej rodzinie.

W końcu Finn poszedł, a mój żołądek znów zaczął się skręcać. Spędziłam resztę podróży, gapiąc się w horyzont i mocno przełykając ślinę. Wreszcie rozległ się krzyk: „Hawr!”, i jako pierwsza zesłam z pokładu. Ciągnęłam za sobą walizkę i byłam tak szczęśliwa, że mam stały ląd pod stopami, że aż chciało mi się go ucałować. Dopiero po chwili zauważyłam, jak wygląda moje otoczenie.

Było widać, że Hawr bardziej ucierpiał w czasie wojny niż Londyn. Przypomniałam sobie, że port został zbombardowany i zrównany z ziemią, atak nazwano „nawałnicą żelaza i ognia”. Wciąż było widać dużo gruzów i pustych miejsc po budynkach. Co więcej, ludzie byli zmęczeni i szarzy z przygnębienia. Londyńczycy, których spotkałam, zdawali się podchodzić do życia ze specyficznym, wisielczym humorem, jakby chcieli powiedzieć: „Może i nie mamy skąd wziąć na śmietanę do rogalików, ale przynajmniej nas nie napadli, no nie?”.

Francja natomiast mimo entuzjazmu, o którym czytałam w gazetach – generał de Gaulle maszerujący triumfalnie paryskimi bulwarami, radosne okrzyki tłumów – wyglądała na wykończoną.

Gdy Eve i Finn do mnie dołączyli, zdążyłam już zwalczyć ten nagły napad melancholii i liczyłam plik franków, które kupiłam w Folkestone. („Skarbie, czy twój ojciec wie, że wymieniasz tyle pieniędzy?”). Finn przyprowadził Eve z jej rozpadającą się walizką i pobiegł sprawdzić, czy dźwig nie uszkodził jego ukochanej lagondy.

– Musimy sobie znaleźć hotel – powiedziałam zamyślona, na nowo przeliczając franki i walcząc z nagłą falą zmęczenia. – Znasz jakieś tanie miejsce?

– W portowych miastach nie brakuje tanich miejsc. – Eve popatrzyła na mnie rozbawiona. – Przewaletujesz Finna? Dwa pokoje kosztują mniej niż

trzy.

– Nie, dziękuję – odparłam zimno.

– Jacy ci Amerykanie pruderyjni – zachichotała. Stałyśmy w milczeniu, dopóki zza rogu nie wychyłała z mrukiem ciemnoniebieska lagonda.

– Jak mu się udało zdobyć taki samochód? – zapytałam, myśląc o znoszonej koszuli Finna.

– Pewnie zrobił coś nielegalnego – powiedziała Eve bez troski.

Zamrugalam.

– Chyba żartujesz!

– Nie. Wydaje ci się, że on tak dla przyjemności pracuje u takiej nieprzyjemnej suki jak ja? Nikt inny nie chciał go zatrudnić. Ja zresztą pewnie też nie powinnam, ale mam słabość do przystojniaków ze szkockim akcentem i po odsiadce.

Prawie mi szpilki spadły.

– Co?

– Nie domyśliłaś się? – Uniosła brew. – Finn był w więzieniu.

# 6

## Eve

*Czerwiec 1915*

Marguerite Le François weszła prosto z deszczu do kawiarni w Hawrze i usiadła przy stoliku w dalekim kącie. Porządna dziewczyna w kapeluszu i rękawiczkach mówiąca z północnofrancuskim akcentem nieśmiało poprosiła kelnera o lemoniadę. Gdybyśmy zajrzeli do jej portfela, wszystkie dokumenty znalazłibyśmy na swoim miejscu: urodziła się w Roubaix, miała siedemnaście lat i pozwolenie na pracę. Kim Marguerite była poza tym, Eve jeszcze nie wiedziała, jej osobowość była płaska, na razie niewzbogacona szczegółami, dzięki którym stałaby się prawdziwa. Kiedy kapitan Cameron – wuj Edward – odprowadził ją na statek wypływający z Folkestone, dał jej jedynie nieskazitelny zestaw fałszywych papierów, porządny, choć znoszony strój podróżny i poobijaną walizkę pełną przyzwoitych, noszonych już ubrań, a na końcu podał cel podróży.

– W Hawrze – powiedział jej na pomoście – spotka się pani ze swoim kontaktem. Ona przekaże pani wszystko, co pani powinna wiedzieć.

– Czy to ta pańska najjaśniejsza gwiazda? – Eve nie mogła się powstrzymać przed zadaniem tego pytania. – Ta najlepsza agentka?

– Tak. – Cameron uśmiechnął się, a w kącikach jego oczu pokazały się zmarszczki. Nienaganny mundur w kolorze khaki zamienił z powrotem na bezosobowy tweedowy garnitur. – Pomyślałem, że nikt pani lepiej nie przygotowuje.

– Będę tak samo dobra. – Eve spojrzała na niego hardo. – Będzie pan ze mnie d-dumny.

– Jestem dumny z was wszystkich – odparł Cameron. – Jestem dumny już w chwili, gdy rekrut przyjmuje swoje zadanie. Bo ta praca jest nie tylko niebezpieczna, lecz także brudna i obrzydliwa. Naprawdę, podsłuchiwanie pod drzwiami i czytanie cudzej korespondencji nie jest w porządku, nawet

jeśli chodzi o wroga. Nikt nie uważa, że dżentelmeni powinni robić takie rzeczy, nawet w czasie wojny. A porządne kobiety to już w ogóle.

– Bzdura – skwitowała Eve dosadnie, a Cameron się zaśmiał.

– Kompletna bzdura. Mimo to nasza praca nie jest szczególnie szanowana nawet przez tych, którzy polegają na naszych sprawozdaniach. Nie przynosi nam poklasku, sławy ani pochwał. Jedynie niebezpieczeństwo. – Poprawił jej skromny kapelusik, żeby lepiej wyglądał na jej starannie zakreconych włosach. – Tak więc, panno Gardiner, proszę nigdy nie myśleć, że nie jestem z pani dumny.

– *Mademoiselle* Le François – poprawiła go Eve.

– Właśnie. – Uśmiech znikł z jego twarzy. – Proszę na siebie uważać.

– *Bien sûr*. Jak się nazywa ta pani z Hawru? Pańska gwiazda, którą mam zamiar zastąpić?

– Alice – powiedział kapitan, rozbawiony. – Alice Dubois. To oczywiście nie jest jej prawdziwe nazwisko. I jeśli się pani uda ją prześcignąć, w pół roku doprowadzi pani do zakończenia wojny.

Długo stał na pomoście, patrząc, jak statek z Eve na pokładzie znika wśród wzburzonych fal. Ona zaś patrzyła wstecz, dopóki odziana w tweed postać nie zniknęła. Poczowała ukłucie, kiedy przestała widzieć kapitana – pierwszego człowieka, który wierzył w nią i w to, że mogła być kimś więcej, nie wspominając już o tym, że był jej ostatnim łącznikiem ze wszystkim, co pozostawiała za sobą. Jednak poczucie osamotnienia szybko ustąpiło miejsca ekscytacji: Eve Gardiner opuściła Anglię, a do Hawru przybyła Marguerite Le François. Teraz czekała, popijając lemoniadę i nie pokazując po sobie zaciekawienia, które można określić jako wręcz wygłodniałe – kim była ta tajemnicza Alice?

W kawiarni było tłoczno. Kelnerzy z kwaśnymi minami przeciskali się przez tłum, odnosząc brudne talerze i stawiając na stołach butelki wina, nowi goście wchodzili do środka, strząsając krople deszczu z parasoli. Eve bacznie przyglądała się każdej kobiecie. Korpulentna, dziarska matrona wyglądała wystarczająco anonimowo i kompetentnie, by po mistrzowsku zarządzać siatką szpiegowską... A może to ta koścista młoda kobieta, która zostawiła rower na zewnątrz oparty o ścianę, a potem musiała zatrzymać

się w progę, by przetrzeć okulary. Mogła w ten sposób ukrywać sokołe oczy zdolne przejrzeć niemieckie plany...

– *Ma chère Marguerite!* – zapiszczał obok przeraźliwie kobiecy głos, a Eve zaczęła się gorączkowo rozglądać, słysząc imię, na które nauczyła się reagować, tresując samą siebie jak szczenię. Wydawało jej się, że nagle zwała się na nią jakiś kapelusz – niesamowity, wielki jak koło młyńskie, obleczone w różowy tiul i jedwabne różyczki. Potem właścicielka kapelusza otoczyła ją obłokiem zapachu konwalii i ucałowała w oba policzki z głośnym cmoknięciem.

– *Chérie*, ślicznie wyglądasz! Co u kochanego wujka Édouarda?

Eve wiedziała, że to zdanie usłyszy na samym początku, ale teraz była w stanie tylko się gapić. „To ma być osoba, która zarządza siatką w Lille?”

Francuzka była filigranowa, drobnokoścista, miała może trzydzieści pięć lat i sięgała Eve ledwo do brody. Miała na sobie szykowny kostium w odcieniu wściekłego fioletu i do tego gigantyczny różowy kapelusz. Wokół niej spiętrzyły się torby z zakupami, gdy wreszcie usiadła przy stoliku, przechodząc z szybkiego francuskiego na równie szybki angielski. W tej części Francji angielskie głosy słyszało się równie często co francuskie dzięki żołnierzom i pielęgniarkom na przepustce z frontu.

– *Mon Dieu*, ale pada! Mój kapelusz na pewno jest już zrujnowany. I może powinien być zrujnowany. Nie mogłam się zdecydować, czy jest zupełnie koszmarny, czy zupełnie cudowny, więc nie pozostało mi nic innego, jak go kupić. – Wyciągnęła kilka perłowych szpilek z włosów i rzuciła kapelusz na wolne krzesło, odsłaniając blond grzywkę. – Zawsze kupuję moralnie wątpliwe kapelusze, gdy przyjeżdżam w te okolice. Oczywiście nie mogłabym ich zabrać ze sobą dalej na północ. Założ ładny kapelusz, a jakiś niemiecki wartownik od razu go skonfiskuje dla swojej najnowszej dziwki. Tak że w Lille chodzę w zesłorocznych serżach i żałosnych słomkowych kapelutkach, a wszystkie modne ubrania muszę zostawiać, gdy tylko tam wracam. Moje moralnie wątpliwe kapelusze są rozsiane chyba już po całej Francji.

– Koniak raz – powiedziała do kelnera, który pojawił się przy jej łokciu i którego obdarzyła olśniewającym uśmiechem, gdy się odsunął. – To był zupełnie spieprzony dzień – powiedziała otwarcie – więc poproszę

podwójną porcję, *monsieur*, i proszę się tak nie krzywić. Tak że... – Obróciła się znów z taksującym spojrzeniem w stronę Eve, która w milczeniu wybałuszała na nią oczy podczas słuchania jej powitalnego monologu. – *Merde*. To teraz wuj Edward przysłał mi bobasy prosto z kołyski?

– Mam dwadzieścia dwa lata – odparła Eve chłodno. Żadna milutka paryżanka, która łączy różowy z fioletowym, nie każe jej się czuć jak niemowlę. – Panno Dubois...

– Muszę ci przerwać.

Eve znieruchomiała i rozejrzała się po obskurnej kawiarni.

– Czy ktoś nas podsłuchuje?

– Nie, nie, jesteśmy bezpieczne. Jeśli ktokolwiek rozumie tu po angielsku, w co wątpię, to siedzimy w kącie pomieszczenia, gdzie jest tak głośno, że nikt nie byłby w stanie usłyszeć nic przydatnego. Nie, chodziło mi o to, żebyś się do mnie nie zwracała tym okropnym nazwiskiem. – Wzdrygnęła się ekstrawagancko. – *Alice Dubois*. Za jakie grzechy dostałam takie nazwisko? Chyba będę musiała spytać mojego spowiednika. *Alice Dubois* brzmi jak wychudzona nauczycielka z twarzą jak wiadro. Mów mi Lili. To też nie jest moje prawdziwe imię, ale przynajmniej ma charakter. Musiałam bardzo dręczyć wuja Edwarda, żeby on też go zaczął używać. Chyba mu się spodobało, bo teraz zaczął dawać kwiatowe imiona swoim innym „siostrzenicom”, na przykład *Violette*. Niedługo ją poznasz, na pewno cię nie polubi, ale ona nikogo nie lubi, a teraz ty: *Marguerite*, nasza stokrotka. Jesteśmy jego ogródkiem, nad którym skacze jak stara panna z konewką. – *Alice/Lili* mówiła, trzymając głowę blisko Eve, tak by ich rozmowy nie było słychać, lecz i tak od razu przerwała, gdy przyszedł kelner z jej koniakiem. – *Merci!* – Uśmiechnęła się do niego promiennie, ignorując jego pełne dezaprobaty spojrzenie.

Eve nigdy w życiu nie spotkała dobrze urodzonej kobiety, która piłaby mocny alkohol, chyba że w celach leczniczych. Nic jednak nie powiedziała, obracając swoją szklankę z lemoniadą. Kapitan Cameron ostrzegał ją przed traktowaniem tej pracy jak zabawy, tymczasem jego ulubiona agentka zdawała się wszystko traktować jak dobry żart. „Ale czy na pewno?” Spod wesołego szczebiotu Lili wyzierała instynktowna czujność: przerywała

w pół zdania, ilekroć ktoś choć trochę zbliżył się do ich stolika, mimo że jej głos był tak cichy, że Eve musiała się do niej poufale nachylać, by nie uронić żadnego słowa. Wyglądały jak dwie kobiety zdradzające sobie różne tajemnice, co zresztą rzeczywiście robiły.

Lili chyba zupełnie nie przeszkadzało, że Eve bacznie ją obserwuje. Odwzajemniła się tym samym, a jej głęboko osadzone oczy poruszały się przy tym niezwykle płynnie.

– Dwadzieścia dwa lata? – powtórzyła. – Nigdy bym nie uwierzyła.

– I dlatego w papierach mam siedemnaście. – Eve bardzo szeroko otworzyła oczy i zatrzepotała rzęsami w wyrazie słodkiego zakłopotania, a Lili wybuchnęła radosnym śmiechem, klaszcząc w ręce.

– Nasz wspólny wujek chyba jednak jest geniuszem. Niezłe z ciebie ziółko, *chérie*, prosto ze szkoły i głupia jak kwiatuszek, dałabym sobie głowę uciąć!

Eve skromnie spuściła wzrok.

– Jest pani b-b-bardzo miła.

– Tak, wujek Edward wspominał, że czasem ci się płacze język – powiedziała Lili otwarcie. – Podejrzewam, że w życiu to musi być okropne, ale teraz to ci bardzo pomoże. Ludzie dużo mówią przy kobietach, przy dziewczynach jeszcze więcej, a przy dziewczynie, która wydaje się przygłupia, zaczynają trajkotać jak przekupki. Radzę ci, żebyś wykorzystywała to, ile się da. Zamówmy bagietki! W Lille nie dostaniesz dobrego chleba. Cała dobra biała mąka idzie do szwabów, więc zawsze, jak jadę na południe, napycham się dobrym chlebem i modnymi kapeluszami. Kocham to miasto!

Gdy Lili dopiła koniak i zamówiła bagietki i dżem, Eve wreszcie się uśmiechnęła.

– Wuj Edward mówił, że masz dla mnie informacje. – Na to miała znacznie większą ochotę niż na chleb.

– Od razu przechodzisz do interesów, co? – Lili zaczęła skubać pierwszą bagietkę i zjadać małe kawałeczki jak schludny, mały ptaszek. – W Lille będziesz pracowała w bardzo modnej restauracji. To takie miejsce, gdzie nie podaliby koniakowi pani w moralnie wątpliwym kapeluszu. – Lili brzęknęła swoim pustym kieliszkiem. – Zamówić jeszcze jeden, *oui* czy



*non?* Oczywiście *oui*. Jeśli się ma ten luksus, że można bezpiecznie przespać noc, zawsze trzeba się napić więcej koniaku. – Podniosła palec, dając znak kelnerowi trzy stoliki dalej i wskazując na swój kieliszek. Kelner wyglądał na wykończonego. – Restauracja nazywa się Le Lethe – kontynuowała Lili, jeszcze bardziej ścisząc głos. – Niemiecki *Kommandant* jada tam przynajmniej dwa razy w tygodniu, a za nim tłumnie podąża połowa oficerów z całej okolicy, zwłaszcza że do kucharzy z Le Lethe trafia połowa produktów, jakie można dostać na czarnym rynku w Lille. Pracował tam jeden kelner, bystry chłopak, przekazywał mi dużo informacji. *Mon Dieu*, czego to się człowiek nasłucha, kiedy ci oficerowie wypiją trochę swojego schnapsa! Chciałam umieścić kogoś na jego miejsce, kiedy go złapali, i *voilà*: wujek Edward mówi, że zerwał dla mnie idealny kwiatusek.

– Złapali?

– Kradł jedzenie. – Lili pokręciła głową. – Miał świetne ucho, ale zero rozsądku. Kraść kurczaki i cukier od ludzi, których się szpieguje? *Merde*, co za idiota. Oczywiście zaciągnęli go w najbliższą boczną uliczkę i zastrzelili.

Eve poczuła ucisk w żołądku i odłożyła swoją bagietkę. „Zastrzelili”. Jakie to się wszystko stawało prawdziwe, znacznie prawdziwsze tu, w parnej kawiarence niż na słonecznej plaży w Folkestone.

Lili uśmiechnęła się krzywo.

– Wiem, zrobiło ci się niedobrze. To normalne. Wobec tego zjem twoją bagietkę. Zresztą naprawdę powinnaś trochę schudnąć, zanim pójdziesz na rozmowę o pracę. Wyglądasz zbyt zdrowo jak na kogoś, kto przyjechał z Roubaix. Na północy wszyscy wyglądają jak kij od miotły. Popatrz na mnie, skóra i kości, cera jak z popielniczki.

Eve już zwróciła uwagę na oznaki zmęczenia pod oczami Lili, a teraz dostrzegła też bladość jej szczupłej twarzy, skrytą za uśmiechem. Zastanowiła się, czy też będzie tak wyglądała za kilka miesięcy, i przełożyła swoją bagietkę na talerz Lili.

– Jaką rozmowę? – spytała.

– O pracę w Le Lethe. Właściciel ogłosił, że rozważy możliwość zatrudniania kelnerek zamiast kelnerów. Normalnie padłby trupem, zanim pozwoliliby kobiecie pracować w swojej restauracji, ale kelnerzy to jedyny

towar, jakiego nie można dostać na czarnym rynku. Wojna sprawiła, że mężczyźni jeszcze trudniej zdobyć niż białą mąkę, i to nawet takiemu staremu wyjadaczowi jak René Bordelon. Który, ostrzegam, jest potworem. Sprzedałby Niemcom własną matkę, nie że on w ogóle ma matkę. Już prędzej został wysrany przez diabła po nocnej pijatyce z Judaszem. – Lili wyjadła ostatnie okruchy, jakie zostały po bułce Eve. – Będziesz musiała przekonać *monsieur* Bordelona, żeby cię zatrudnił. Jest cwany, więc nie myśl sobie, że łatwo ci pójdzie.

Eve kiwała głową, a osobowość Marguerite Le François nabierała kształtu. Dziewczyna ze wsi, z szeroko otwartymi oczami, niezbyt bystra, niezbyt wykształcona, ale zręczna, cicha i mająca tyle gracji, by podać *boeuf en daube* i *ostrygi en brochette*, nie zwracając przy tym na siebie uwagi.

– Jak już cię zatrudni, to znaczy, o ile w ogóle cię zatrudni, będziesz mi przekazywała wszystko, co tam usłyszysz. – Lili pogrzebała chwilę w swojej torebce i wyciągnęła srebrną papierośnicę. – A ja dopilnuję, żeby to dotarło do wuja Edwarda.

– Jak? – spytała Eve, starając się nie gapić, jak Lili zapala zapałkę. „Tylko pospolite kobiety palą”, zwykła powtarzać matka Eve, ale Lili na pewno nie można było nazwać pospolitą mimo jej wściekle różowego kapelusza i koniaku.

– To już zadanie kuriera – odparła Lili wymijająco. – Moje zadanie. Mogę się stać dowolną postacią i dostać się w dowolne miejsce, natomiast gdybyś ty tego spróbowała, twoje jękanie od razu by cię zdradziło. Wobec tego zajmijmy się twoimi mocnymi stronami.

Eve nie miała zamiaru poczuć się dotknięta. Ostatecznie to była prawda. Wyobraziła sobie Lili przechodzącą przez punkty kontrolne obsadzone uzbrojonymi żołnierzami, szczebioczącą bez ustanku, i uśmiechnęła się.

– Twoja praca jest bardziej n-n-niebezpieczna od mojej.

– Och, *phi*. Jakoś sobie radzę. Wystarczy podstawić im pod nos byle papier i być pewnym siebie, to cię puszczą. Zwłaszcza jak jesteś kobietą. Czasem zabieram masę paczek i toreb i upuszczam wszystkie po kolei, szukając dokumentów, cały czas przy tym gadając, a oni machają, żebym już poszła, bo mają mnie dość. – Lili wydmuchała długą smugę dymu. –

Prawdę mówiąc, ta nasza szczególna praca jest w większości dość nudna. Myślę, że to dlatego kobietom tak dobrze to wychodzi. Bo nasze życie samo w sobie już jest nudne. Rzucamy się na propozycję wujka Edwarda, gdyż niedobrze nam się robi na myśl o dalszym wypełnianiu dokumentów albo uczeniu zasmarkanych dzieci pisania literek. Potem się okazuje, że ta praca też jest śmiertelnie nudna, ale przynajmniej pozostaje nam ta ożywcza myśl, że ktoś może nam przystawić lugera do szyi. To nadal lepsze, niż gdybyśmy miały się same zastrzelić, co wiemy, że niechybnie zrobimy, jeśli będziemy musiały napisać choć jedną literę więcej na maszynie albo wbić choć jeden łaciński czasownik więcej do zakutej dziecięcej łepetyny.

Eve zastanawiała się, czy przed wojną Lili była nauczycielką. Zastanawiała się, jak kapitan Cameron zwerbował Lili, ale wiedziała, że nikt jej tego nie powie. Żadnych prawdziwych nazwisk, żadnych osobistych historii, o ile nie będzie to konieczne.

– Wuj Edward mówi, że jesteś najlepsza – oznajmiła zamiast tego. Lili znów wybuchnęła śmiechem.

– Co za romantyk z niego! Istny święty Jerzy w tweedowym garniturze. Naprawdę, uwielbiam go. Jest stanowczo zbyt honorowy do tej pracy.

Eve zgodziła się, mimo że wiedziała o jego wyroku. W wolnych chwilach zastanawiała się nad tą tajemnicą. Cameron w więzieniu, i to za oszustwo? Jednak tak naprawdę nie miało to znaczenia. Jakakolwiek była jego historia, Eve mu ufała, a Lili najwyraźniej też.

– Chodźmy już. – Lili zgasła papierosa. – Powinnaś poznać Violette Lameron. Mówi o sobie, że jest moim porucznikiem, ale gdybyśmy rzeczywiście miały jakieś stopnie, to ja mogłabym besztać ją, a tak to ona cały czas beszta mnie. Sądzę, że to dlatego, że kiedyś była pielęgniarką, zresztą dobrze, żebyś o tym wiedziała na wypadek, gdybyś była ranna i potrzebowała pomocy. Wprawdzie Violette poprzysięgła sobie, że prędzej da się zastrzelić, niż zwinie choć jeden bandaż więcej dla Czerwonego Krzyża, ale nadal wie, co robić, jak zobaczy połamane kości albo krwawiące rany, i pomoże ci, jeśli kiedykolwiek stanie ci się krzywda. Tylko nie będzie to przyjemne. Boże, jak ona zrzędzi! – Mówiła to jednak z sympatią. – Zapewniam cię, że zwyczaj zrzędzenia nie opuszcza żadnej pielęgniarki bez

względu na to, czym się zajmuje. – Lili przypięła swój ogromny różowy kapelusz do blond fryzury, pozbierała paczki i wyprowadziła Eve na ulice Hawru. Mimo deszczu było całkiem ciepło, rumiane matki wołały swoje dzieci z powrotem do domów, a koła dorożek rozchlapwały kałuże. Jak zauważyła Eve, nikt nie był tu tak chudy ani nie wyglądał na tak zmęczonego jak Lili i być może Lili pomyślała to samo, bo rozłożyła parasolkę z gwałtownym trzaskiem i powiedziała, że nienawidzi tego miasta.

– Przecież mówiłaś, że je k-kochasz.

– Bo kocham i nienawidzę zarazem. Hawr, Paryż. Kocham ich bagietki i kapelusze, ale *merde*, ludzie nie mają pojęcia, co się dzieje na północy. Ani trochę. – Jej na ogół żywa twarz teraz na chwilę zastygła. – W Lille jest pełno potworów, a tutaj ludzie fukają, kiedy chcesz się napić koniaku i zapalić po ciężkim dniu.

– Lili – spytała Eve pod wpływem nagłego impulsu – czy ty kiedykolwiek czegoś się boisz? – Lili odwróciła się, a krople deszczu kapały z brzegu jej parasolki, rozdzielając obie kobiety srebrną zasłoną. – Tak, ale dopiero wtedy, gdy niebezpieczeństwo mija. Przedtem strach jest słabością. – Wsunęła dłoń pod łokieć Eve. – Witaj w siatce Alice.

# 7

## Charlie

*Maj 1947*

Wakacje niemal dokładnie dziesięć lat temu. Miałam dziewięć lat, a Rose jedenaście, kiedy nasze rodziny wybrały się na wycieczkę samochodową po Prowansji i na prawie sześć godzin zostałyśmy same w przydrożnej kawiarni.

Oczywiście przypadkiem. Dwa auta, jedno z dorosłymi i to drugie, telepiące się za nim, z dziećmi i nianią. Przystanek w kawiarni z widokiem na winnicę, rodzice szukają toalet i pocztówek, Rose i ja podążamy za zapachem świeżego pieczywa do kuchni, nasi bracia łobuzują... i jakimś cudem, kiedy już wszyscy na powrót załadowali się do samochodów – niania sądziła, że wsiadliśmy z rodzicami, rodzice, że z nianią – odjechali bez nas.

Wtedy jedyny raz widziałam Rose przestraszoną i nie mogłam tego zrozumieć. Nic nam nie groziło, pulchna, troskliwa kucharka prowansalska bardzo była zaaferowana, kiedy odkryła, co się stało. „Bez obaw, *mademoiselles!* Za dwadzieścia minut wasze mamy będą z powrotem”. Wkrótce siedziałyśmy przy własnym stoliku pod pasiastą markizą z widokiem na winnicę, a przed sobą miałyśmy szklanki zimnej lemoniady oraz grube kanapki z kozim serem i prosciutto.

– Niedługo wrócą – powiedziałam z pełną buzią. Jeśli o mnie chodziło, zdecydowanie wolałam siedzieć tu, niż pocić się na ciasnym tylnym siedzeniu renaulta, ofukiwana przez nianię i podszcypywana przez braci.

Ale Rose bez uśmiechu wbijała wzrok w stolik.

– Może nie wrócą – powiedziała. – Mama mnie nie lubi.

– Oczywiście, że lubi.

– Teraz już nie, bo jestem, no wiesz. Coraz starsza. – Rose spojrzała na siebie. Choć miała dopiero jedenaście lat, zaczynał rosnać jej biust. – *Maman* to się nie podoba. Czuje się staro.

– Bo jak dorosniesz, będziesz ładniejsza od niej. Ja swojej nie dorównam.  
– Westchnęłam, ale ponury nastrój nie trwał długo. Dzień był na to zbyt piękny, a uśmiechnięta kucharka właśnie postawiła przed nami talerz gorących magdalenek.

– Czemu zawsze musi chodzić o to, która jest ładniejsza? – wybuchnęła Rose, wpatrując się gniewnie w oszałamiające winnice pod błękitnym niebem.

– Nie cieszysz się, że jesteś ładna? Ja bym chciała być.

– Jasne, że się cieszę. Ale kiedy ludzie poznają naszych braci, nie komentują ich wyglądu. Pytają, jak im idzie w szkole albo czy grają w piłkę. Nas nigdy nikt o to nie pyta.

– Dziewczyny nie grają w piłkę.

– Wiesz, o co mi chodzi. – Rose wyglądała na oburzoną. – O chłopcach nasi rodzice nigdy by nie zapomnieli. Chłopcy zawsze są najważniejsi.

– No i? – Tak po prostu było, nie należało się tym obruszać ani nawet za dużo o tym myśleć. Kiedy James ciągnął mnie za włosy albo wrzucał do strumienia tyle razy, że wreszcie się rozplakałam, moi rodzice tylko się śmiali z pobłażaniem. Chłopcom wolno było wszystko, a dziewczynki miały grzecznie siedzieć i ładnie wyglądać. Nie byłam specjalnie ładna, mimo to rodzice mieli wobec mnie śmiałe plany: białe rękawiczki, porządna szkoła, a pewnego dnia ślub z bajki. *Maman* oznajmiła mi jakiś czas temu, że jeśli mi się poszczęści, pójdę w jej ślady i w wieku dwudziestu lat będę już zaręczona.

Rose okręcała w palcach koniec jasnego warkocza.

– Kiedy dorosnę, nie chcę być tylko ładna. Chcę robić coś innego. Napisać książkę. Przepłynąć w pław kanał La Manche. Pojechać na safari i ustrzelić lwa...

– Albo zostać tu na zawsze. – Letni wietrzyk niosący zapach lawendy i rozmarynu, ciepłe promienie słońca, radosna francuszczyzna płynąca od sąsiednich stolików, kozi ser i chrupiący, pyszny świeży chleb, dla mnie ta mała kafejka była rajem.

– Nie zostaniemy tu na zawsze! – Rose znów wyglądała na przestraszoną.  
– Nie mów tak.

– Tylko żartowałam. Nie zostawią nas tu, prawda?

– Nie. – Widziałam, że ta prawie dorosła jedenastolatka, która wiedziała o świecie o wiele więcej ode mnie, stara się zachować rozsądek. Jednak po chwili szepnęła, jakby nie mogła się powstrzymać: – A co, jeśli nie wrócą?

Uświadomiłam sobie wtedy, czemu Rose jest moją przyjaciółką. Była dwa lata starsza, mogłaby mnie traktować jak dokuczliwego bąka, a mimo to nigdy mnie nie odpędzała. W tamtej niebiańskiej kafejce to do mnie dotarło: jej bracia mieli własne zabawy, matka za nią nie przepadała, ojciec wiecznie był w pracy. Poza wakacjami, kiedy przyjeżdżałam z wizytą i chodziłam za nią krok w krok, była samotna.

Miałam tylko dziewięć lat i nie umiałam ubrać tego w słowa ani nawet w pełni zrozumieć. Mimo to, patrząc, jak walczy ze strachem, że rodzicom nie będzie się chciało po nią wrócić, miałam o tym wszystkim jakieś niejasne pojęcie i ścisnęłam ją za rękę.

– Nawet jeśli nie wrócą, masz mnie – powiedziałam. – Ja cię nie zostawię.

\*\*\*

– Panienko?

Zamrugałam i wróciłam z lata 1937 do maja 1947. Tak mocno pograżyłam się we wspomnieniach, że ze zdumieniem ujrzałam przed sobą ciemne oczy i zmierzwione włosy Finna zamiast jasnych warkoczy i błękitnej melancholii jedenastoletniej Rose.

– Dojechaliśmy – powiedział. – To adres, który mi podałaś.

Zadrzałam. Auto stanęło. Wyjrzałam na zwirowany podjazd wiodący do budynku o nieregularnej bryle, w którym spędzałam każde wakacje, zanim Niemcy najechały Francję, do domu ciotki i wuja pod Rouen. Mimo to jakimś cudem wciąż miałam przed oczami przydrożną kafejkę w Prowansji, w której dwie dziewczynki spędziły prawie sześć godzin, zanim ich rodzice dotarli tam pędem, gdy na kolejnym postoju uświadomili sobie swoją pomyłkę. To było sześć magicznych godzin: Rose i ja opychałyśmy się kozim serem i magdalenkami, bawiłyśmy się w berka wśród winorośli, opasane fartuchami pomogłyśmy miłej kucharce zmywać kubki, a potem poczułyśmy się całkiem jak dorosłe, kiedy każda z nas dostała od niej mały kieliszek rozwodnionego różowego wina. Przytulone do siebie, stykając się

głowami, sennie obserwowaliśmy zachód słońca nad winnicą. Gdy zdenerwowani rodzice wreszcie nadjechali i zdyszani chwycili nas w objęcia, szepcząc do ucha przeprosiny, ogarnęło nas leciutkie rozczarowanie. To był najlepszy dzień w naszym życiu. A w każdym razie w moim, za sprawą najprostszej zasady matematycznej pod słońcem: Rose plus ja równa się szczęście.

„Ja cię nie zostawię”, obiecałam jej. A potem ją zostawiłam i straciłam.

– Wszystko w porządku? – zapytał Finn. Niewiele umykało bystremu spojrzeniu jego ciemnych oczu.

– W porządku – odparłam, wysiadając. – Zostań z Eve.

Eve drzemała na tylnym siedzeniu, jej chrapanie przebijało się przez brzęczenie cykad. Po nocy spędzonej w tanim hotelu w Hawrze jazda nieznośnie się dłużyła. Wyruszyliśmy późno, ponieważ Eve oczywiście miała kaca, a potem długo, podskakując na wybojach, brnęliśmy kiepskimi francuskimi drogami, zatrzymując się mniej więcej co godzinę, żebym mogła zwymiotować. Twierdziłam, że to choroba lokomocyjna, ale prawdziwą przyczyną był mój Drobny Kłopot. A może myśl o tym, co mnie czeka, wywoływała zawroty głowy? Znów popatrzyłam na dom. Zamknięte okiennice wyglądały jak martwe oczy.

– Proszę iść. – Finn wyciągnął spod siedzenia sfatygowany numer „The Autocar” i oparł się łokciem o okno, przyjmując pozycję do czytania. – Kiedy panienka wróci, pojedziemy do Rouen i znajdziemy jakiś hotel.

– Dziękuję. – Odwróciłam się od lśniącej niebieskiej lagondy i ruszyłam w stronę domu.

Nikt nie zareagował na pukanie do drzwi. Zapukałam więc jeszcze raz. Minęło tyle czasu, że już miałam zamiar zaglądać do okien. W końcu jednak ze środka dobiegło szuranie kroków i drzwi się uchyliły.

– *Tante Jeanne* – zaczęłam, ale w tym momencie zmroził mnie jej widok. Moja francuska ciotka zawsze była smukła, pachnąca i jasnowłosa jak Rose. Choć podupadała na zdrowiu, nosiła się w stylu Greta Garbo, w domu zawsze w eleganckich peniuarach, delikatnie pokaszująca. Tymczasem stanęła przede mną okropnie wychudzona siwowłosa kobieta w poplamionym swetrze i szaroburej spódnicy. Pewnie nie poznałabym jej



na ulicy, a sądząc po jej pustym spojrzeniu, ona także nie od razu pojęła, kogo ma przed sobą.

Przełknęłam ślinę.

– *Tante*, to ja, Charlotte. Twoja siostrzenica. Przyszłam zapytać o Rose.

Nie zaproponowała mi herbaty ani ciastek, osunęła się po prostu na wiekową sofę i patrzyła na mnie obojętnym wzrokiem. Przysiadłam na brzeżku wytartego fotela naprzeciwko. „Ona wszystko straciła – pomyślałam, spoglądając na jej przedwcześnie postarzałą twarz. – Wdowa... obaj synowie nie żyją... po córce zaginął ślad”. Nie wiedziałam, jakim cudem ciotka jeszcze trzyma się na nogach. Wiedziałam, że kochała moją kuzynkę mimo wszystkich wątpliwości, jakie towarzyszyły małej Rose.

– Przykro mi, *tante* – zaczęłam. – Z powodu... tego wszystkiego.

Przesunęła palcem po blacie stolika, zostawiając ślad na zakurzonej powierzchni. W ciemnym pomieszczeniu wszystko przykrywała gruba warstwa kurzu.

– Wojna.

Krótkie słowo, dwie ponure sylaby, a wystarczyło, by opisać ogrom strat. Szczypiące łzy podeszły mi do oczu. Splotłam dłonie w rękawiczkach.

– *Tante*, w sprawie *oncle'a*, Jules'a i Pierre'a już nic nie da się zrobić... Ale jest jeszcze Rose. Choć szanse są niewielkie, to przecież możliwe, że wciąż...

Żyje. Eve szydziła z mojego optymizmu, ale musiałam mieć nadzieję. Mnóstwo rzeczy mi w życiu nie wychodziło, lecz w tym jednym byłam dobra.

– A cóż ja mogę wiedzieć. Ostatni raz pisała do mnie z Limoges – oznajmiła ciotka, jakby chciała tym zakończyć rozmowę. – Trzy lata temu przestała. Mniej więcej w połowie czterdziestego czwartego.

– Czemu stąd wyjechała? – spytałam, wypatrując w jej oczach iskierki, jakiegoś błysku, czegokolwiek. – Dlaczego?

W cichym głosie ciotki brzmiała gorzkość.

– Bo to mała awanturnica bez zasad. Bez kręgosłupa moralnego.

Ścisnął mi się żołądek.

– S-słucham?

*Tante Jeanne* wzruszyła ramionami.

– Nie. – Potrząsnęłam głową. – Nie, to nie w porządku powiedzieć coś takiego, a potem wzruszać ramionami.

– Ta dziewczyna całkiem oszalała. W Paryżu roіło się od nazistów, a ona nawet nie próbowała się kryć. Najpierw zaczęła wymykać się z domu, słuchać Bóg wie kogo w tych klubach, w których głupcy wzywali do oporu, a do domu wracała w środku nocy. I robiła ojcu dzikie awantury. Niemcy żądali nazwisk socjalistów i Żydów pracujących w jego firmie, to co miał zrobić, odmówić? Nie masz pojęcia, co do niego wykrzykiwała...

Wpatrywałam się w ciotkę, krew łomotała mi w uszach. Ona tymczasem ciągnęła drewnianym głosem:

– Zaczęło się od rozkładania ulotek na samochodach, potem rozbijała szyby. Pewnie skończyłoby się na tym, że wysadziłaby coś w powietrze i dostała kulkę w łeb, gdyby nie ten chłopak.

Przypomniałam sobie ostatni list od Rose. Pełen zachwytów nad chłopcem, z którym potajemnie się spotykała.

– Jaki chłopak?

– Étienne jakiś tam. Miał dziewiętnaście lat, pracował w księgarni. Takie zero. Raz przyprowadziła go do domu. Aż promienieli, kiedy na siebie patrzyli, od razu było widać, że są... – Tu rozbrzmiało pełne dezaprobaty prychnięcie. – Tak czy siak, skończyło się kolejną awanturą.

Pokręciłam głową, odrętwiała po koniuszki palców.

– Czemu nic nam nie powiedziałaś? Kiedy ojciec pytał?

– Powiedziałam. Pewnie uznał, że takie rzeczy nie nadają się dla twoich uszu.

Przełknęłam ślinę.

– Co było potem?

– Przyłapali go z ludźmi z ruchu oporu. Wywieźli diabli wiedzą dokąd. Wtedy w jedną noc zniknęło pół Paryża. Rose też pewnie by zabrali, wcześniej omal nie została aresztowana za kopnięcie brunatnej koszuli na Rue de Rivoli, więc zabraliśmy ją z powrotem do Rouen. Ale...

– Co? – Omal nie krzyknęłam. – Ale co?

– A jak myślisz? – Ciotka skrzywiła się, jakby jadła cytrynę. – Rose była w ciąży.



Nie pamiętam, jak dobiegłam do buka przed domem. Nagle uświadomiłam sobie, że stoję oparta o szorstki pień, a oddech wydobywa się ze mnie urywanymi sapnięciami. Bałam się spojrzeć na gałąź w górze, przerażona, że zobaczę na niej dwie dziewczynki. To było nasze drzewo, tu chowałyśmy się przed wrednymi braćmi, zanim James podrósł i zrobił się miłszy. Siadywałyśmy razem na gałęzi, machając nogami tak samo jak w tamtej prowansalskiej kafejce. Nie groziła nam samotność, póki miałyśmy siebie.

„Rose. O, Rose”...

„Chcę zrobić coś innego”. I była do tego zdolna – oczywiście, że mogła wędrować po Paryżu, rozbijając szyby i kopiać żołnierzy w brunatnych koszulach. Powinnam była się domyślić, że Rose zaangażuje się w ruch oporu. A mimo to wpadła w najstarszą pułapkę świata tak samo jak ja. Wiedziałam, że już nie napisze książki, nie przepłynie kanału La Manche, nie zrobi nic „innego”, bo kiedy kobieta zajdzie w ciążę, jest skończona.

Chciałam uratować kuzynkę, lecz przed tym nikt nie zdoła jej ocalić. Tkwiłam w tej samej pułapce. Bezsilna.

Z gardła wyrwał mi się szloch tak głośny, że drgnęłam z zaskoczenia. Czy po tym, jak tamtego wieczoru powiedziała o wszystkim rodzicom, Rose siedziała tu, na naszej gałęzi, całkiem sama? Po tym, jak matka poradziła jej wziąć gorącą kąpiel, napić się mocnego dzinu i sprawdzić, czy nie uda jej się „tego z siebie wytańczyć”. Po tym, jak ojciec wykrzyczał jej w twarz, że na zawsze okryła rodzinę hańbą? *Tante* Jeanne opowiedziała mi to wszystko, a ja wysłuchałam, siedząc bez ruchu.

Kiedy ja powiedziałam mojemu ojcu, nie podniósł głosu. To matka krzyczała, a on siedział tylko i patrzył na mnie. Gdy wychodziłam, odwrócił głowę i z niedowierzaniem powiedział jedno słowo: „Dziwka”.

Zdażyłam już o tym zapomnieć.

Ciekawe, czy Rose też nazwali dziwką.

Wbiłam pięści w pień buka, z całych sił pragnąc się rozplakać i pogрузić w starym, dobrym, izolującym odrętwieniu. Ale łyzy utknęły mi w gardle zebrane w wielką, paskudną gulę, a szpile wściekłości i bólu nie pozwalały

nie czuć. Uderzałam więc w drzewo, aż zapiekły mnie kłykcie pod rękawiczkami.

Kiedy w końcu się odwróciłam, czułam piasek pod powiekami. Ciotka obserwowała mnie z progu tylnych drzwi, krucha i zgarbiona.

– Opowiedz mi resztę – zażądałam i tak też zrobiła, mówiąc pustym głosem. Wuj wysłał Rose do małego miasteczka pod Limoges, żeby urodziła w miejscu, gdzie nikt jej nie zna. Po porodzie nie napisała, w ogóle się nie odezwała, a oni nie zadawali pytań. Cztery miesiące później dostali krótki liścik, w którym pisała, że zamierza pracować w Limoges i że spłaci co do franka całą sumę, jaką wydali na utrzymanie jej w ukryciu. Pieniądze nadeszły, później rodzina jeszcze dwa razy wymieniała listy: matka zawiadomiła Rose najpierw o śmierci ojca, potem braci, na co ta przesłała zmoczone łzami kondolencje. Nie, *tante* Jeanne nie pamięta adresu córki. Nie zachowała listów ani kopert, a po tych z połowy czterdziestego czwartego nic więcej już nie przyszło.

– Nie wiem, czy wciąż mieszka w Limoges – powiedziała, a po chwili milczenia dodała: – Prosiłam, żeby wróciła do domu. Jej ojciec nie chciał o tym słyszeć, ale po jego... no, w każdym razie prosiłam ją. Nie odpowiedziała.

Nie spytałam, czy w ramach tej wielkodusznej propozycji przewidziany był kącik również dla dziecka Rose. Za bardzo się trzęsłam.

– Zostaniesz na noc? – W głosie *tante* Jeanne pobrzmiwała żalność. – Tu człowiek czasem bywa naprawdę samotny.

„A czyja to wina? – miałam ochotę wrzasnąć. – To ty wyrzuciłaś stąd Rose jak śmiecia. Trzeba było zostawić ją tam, w Prowansji”. Słowa paliły, boleśnie wyrywały mi się z gardła, ale je powstrzymałam. Ciotka była przeraźliwie chuda, miałam wrażenie, że wystarczy lekki wietrzyk, by ją porwać, i wreszcie wyglądała na osobę tak chorą, jak zawsze twierdziła, że jest. Mąż i dwaj synowie, wszyscy martwi. Straciła tak wiele. „Bądź miła”.

Nie chciałam być miła, ale przynajmniej zdołałam ugryźć się w język. Powiedziałam tylko sztywno:

– Nie, *tante*, nie mogę zostać. Muszę jechać do Roubaix.

Westchnęła.

– Cóż, trudno.

Nie potrafiłam się zmusić, żeby ją uściskać. Bąknęłam sztywne „do widzenia” i chwiejnym krokiem ruszyłam przez zachwaszczony trawnik w stronę ciemnoniebieskiej lagondy.

Finn podniósł wzrok znad wytartych stron „The Autocar”. Nie wiem, co zobaczył na mojej twarzy, lecz wyskoczył z samochodu jak z procy.

– Panienko?

– Za co poszedłeś do więzienia? – zapytałam niemal bezwiednie.

– Ukradłem czapkę wartownikowi przed pałacem Buckingham – odparł z nieodgadnioną miną. – Wszystko w porządku?

– Z tą czapką to bujda.

– Rzeczywiście. Wsiadaj.

Podeszłam do kabrioletu, ale potknęłam się na zwirowanej ścieżce. Finn złapał mnie w pasie, zanim upadłam, podniósł i pomógł mi wsiąść.

Eve nie spała, świdrowała mnie przenikliwym wzrokiem spod opadających powiek.

– No i?

Potarłam rozgrzany policzek zimną ręką. Finn wśliznął się za kierownicę.

– Dowiedziałam się, czemu Rose wyjechała. Bo... bo była w ciąży.

Zapadła ogłuszająca cisza.

– Cóż – powiedziała w końcu Eve, kierując znaczące spojrzenie na mój brzuch. – O ile się nie mylę, z tobą jest tak samo.

# 8

## Eve

*Czerwiec 1915*

Tym, co naprawdę wstrząsnęło Eve, nie były rozliczne okropności Lille – a były to naprawdę rzeczy straszne – ale plakat. Wisiał na ścianie kościoła, łopotał na wietrze i było na nim napisane po francusku i niemiecku:

**KAŻDY CYWIL, W TYM CYWILNI PRACOWNICY FRANCUSKIEGO RZĄDU, UDZIELAJĄCY POMOCY WOJSKOM WROGIM NIEMCOM LUB DZIAŁAJĄCY NA SZKODĘ NIEMIEC ZOSTANIE UKARANY ŚMIERCIA.**

– A, to. – Głos Lili zabrzmiał zupełnie obojętnie. – Porozwieszali je pod koniec zeszłego roku. Nie sądzę, żeby na początku ktokolwiek w to wierzył. A potem w styczniu jakąś kobietę rozstrzelali za ukrywanie dwóch francuskich żołnierzy i to wszystkich przekonało.

Eve przypomniała sobie propagandowy plakat, przed którym zatrzymała się w Londynie, gdy obserwował ją kapitan Cameron. Krzepcy żołnierze, a między nimi na środku puste miejsce: „W szeregu wciąż jest miejsce dla CIEBIE. ZAJMIESZ JE?”.

Rzeczywiście, zajęła je. A teraz stała przed plakatem, który zapowiadał, że jeśli ją złapią, zginie, co nagle stało się realne. Bardziej niż zapewnienia kapitana Camerona na wietrznej plaży w Folkestone, że Niemcy nie strzelają do kobiet.

Eve spojrzała w głęboko osadzone oczy Lili w jej żywej, uśmiechniętej twarzy.

– Jesteśmy w p-p-paszczy bestii, prawda?

– Tak. – Lili wsunęła rękę pod ramię Eve, odciągając ją od powiewającego plakatu. Wyglądała zupełnie inaczej niż w Hawrze: żadnych horrendalnych kapeluszy, żadnych wymyślnych fryzur. Była schludna i przygaszona, ubrana w zwykły kostium z serży, na dłoniach miała wielokrotnie naprawiane rękawiczki, przez ramię przewiesiła torbę. W papierach

wyrobionych na kolejne fałszywe nazwisko było napisane, że jest szwaczką. W torbie miała szpule nici i igły – oraz wszyte w podszewkę mapy z zaznaczonymi celami. Całe szczęście, że Eve dowiedziała się o tym już po przejściu przez punkty kontrolne w Lille. Prawie zemdląła, gdy Lili się zaśmiała:

– Ale by się szkopy cieszyły, gdyby znalazły to wszystko! Zaznaczyłam do zbombardowania wszystkie nowe pozycje ich artylerii.

– Ż-ż-żartowałaś z niemieckimi wartownikami, kiedy przeglądali twoje papiery, mając to w torbie?

– *Oui* – odparła Lili spokojnie, a Eve gapiała się na nią z podziwem i przerażeniem zarazem. Zdała sobie w tamtej chwili sprawę, że jej przechwałki przed kapitanem Cameronem, że prześcignie jego najlepszą agentkę, nigdy się nie spełnią, bo nikt nigdy nie będzie w stanie pokonać Lili pod względem tupetu. Jednocześnie Eve zastanawiała się, czy jej zwierzchniczka nie była trochę szalona, i wykazywała bezgraniczny podziw dla niej.

Niewątpliwie odczucia te podzielała Violette Lameron, która przyjęła je w obskurnym wynajmowanym pokoju niedaleko Grand Place. Violette była krępa, patrzyła spode łba, włosy miała upięte w ciasny kok i nosiła najprostsze, okrągłe okulary. Objęła Lili z widoczną ulgą, jednocześnie robiąc jej wyrzuty.

– Powinnaś była pozwolić mi pojechać po tę nową dziewczynę. Za bardzo rzucasz się w oczy, ktoś cię w końcu zauważy!

– *Tais-toi*, cały czas się tylko zamartwiasz! – Lili przeszła na angielski, wcześniej poinstruowała Eve, że powinny tak robić, gdy będą same. Gdyby ktoś je usłyszał, lepiej zmyślić historyjkę o tym, dlaczego mówią po angielsku, niż pozwolić, żeby ktoś zrozumiał, jak po francusku omawiają tajne wiadomości i brytyjskie szyfry. Angielski Lili był bezbłędny, tylko poprzetykany francuskimi przekleństwami.

– Teraz musimy wprowadzić Marguerite w szczegóły, zanim pojedziemy na granicę, żeby przekazać sprawozdania. – Uśmiechnęła się do Violette. – Nasza nowa koleżanka ma doskonale głupawą twarz i będzie świetna, tylko trzeba nad nią trochę popracować.

W Folkestone szkolenie Eve było sformalizowane: instruktorzy, rzędy biurek, mundury i flagi. To szkolenie było zupełnie inne. Odbywało się w zawilgoconym pokoiku z wąskim łóżkiem, małą umywalką i pęknięciem biegnącym przez cały sufit, a z powodu ciągle padającego deszczu wszędzie unosił się zapach stęchlizny. Pokój nie został wybrany ze względu na wygodę, ale dlatego, że nie dałoby się ich tutaj podsłuchiwać, bo z jednej strony budynku znajdowała się gruba ściana kaplicy, z drugiej rozpadająca się, opuszczona kamienica, a nad nimi był pusty strych. W tym pokoju trzy kobiety siadały z kubkami niedobrego naparu z liści orzecha włoskiego i lukrecji – bo Niemcy konfiskowali całą kawę – i rozmawiały bez emocji o potwornych rzeczach.

– Niemiecki oficer nadchodzi z naprzeciwka ulicą – rozpoczęła Violette po tym, jak sprawdziły i zaryglowały okno i drzwi. W porównaniu z żywotną Lili wypadła wręcz ponuro. O ile jej przełożona nie miała zamiaru zachowywać się poważnie, to ona najwyraźniej była ponura za nie dwie. – Co robisz?

– Mijam go i na niego nie patrzę.

– Źle. Skłaniasz głowę. Jeśli tego nie zrobisz, narażasz się na grzywnę i trzy dni aresztu. – Violette spojrzała na Lili. – Czy w tym Folkestone czegokolwiek ich uczą?

– Uczyli nas bardzo dużo – zachnęła się Eve.

– Będą z niej ludzie – zapewniła Lili swoją podkomendną. – Niemiec każe ci pokazać papiery, a potem zaczyna cię obmacywać. Co robisz?

– Nic? – zgadywała Eve.

– Nie. Uśmiechasz się, bo jeśli nie będziesz umiała udać, że choć trochę ci się to podoba, to oberwiesz, a potem zostaniesz przeszukana. Niemiec pyta cię, czemu trzymasz ręce w kieszeniach. Co robisz?

– J-jak najszybciej je wyjmuję...

– Nie. Nigdy nie trzymaj rąk w kieszeniach, bo szkopy pomyślą, że masz tam nóż, i zadźgają cię bagnetami. – Eve uśmiechnęła się z zażenowaniem.

– Przecież na pewno by nie...

Dłoń Violette uderzyła ją w policzek z trzaskiem przypominającym wystrzał z karabinu.



– Wydaje ci się, że przesadzamy? W zeszłym tygodniu dokładnie to spotkało czternastoletniego chłopca!

Eve przyłożyła rękę do piekącej twarzy. Jej wzrok powędrował w stronę Lili, która siedziała spokojnie, trzymając w obu dłoniach kubek.

– No co? – powiedziała Lili. – Myślisz, że jesteśmy tu po to, żeby się z tobą zaprzyjaźnić? My cię mamy wyszkolić, kwiatuszku.

Eve ogarnął gniew – a nawet więcej, poczucie zdrady. W Hawrze Lili była dla niej taka miła i serdeczna, natomiast tutaj robiło się coraz bardziej nieprzyjemnie.

– Już zostałam wyszkolona.

Violette przewróciła oczami.

– Odeślijmy ją. Jest do niczego.

Eve już otworzyła usta, żeby się odgryźć, ale Lili położyła palec na jej wargach.

– Marguerite – zaczęła, a jej głos brzmiał zupełnie spokojnie. – Nie masz pojęcia, jak tu jest. Wujek Edward też nie. On cię wysłał na szkolenie, a to sprawiło, że mogłaś się tu znaleźć, ale dzięki Violette i mnie będziesz dla nas użyteczna, i pozostaniesz przy życiu. Mamy na to tylko kilka dni. Jeżeli się nie nauczysz, staniesz się dla nas wyłącznie ciężarem.

Jej spojrzenie było pewne i szczerze. Równie dobrze mogłaby być nadzorczynią w fabryce przygotowującą nowego robotnika. Policzki Eve zapłonęły ze wstydu. Powoli wypuściła powietrze, rozluźniła szczęki i zdobyła się na kiwnięcie głową.

– Kłaniać się wszystkim niemieckim oficerom. Nie bronić się przed obmacywaniem. Nie trzymać rąk w-w-w... w kieszeniach. Co jeszcze?

Zaczęły ją wałkować. Sytuacje spotkań: „Co zrobisz, jeśli...?”. Sytuacje zaskoczenia: „Jeśli cię nakryją, zanim zdążysz ukryć sprawozdanie, co zrobisz, żeby odwrócić ich uwagę i opóźnić reakcję?”. Oprócz tego uczyły ją nowych zasad życia w Lille.

– Nie ufaj niczemu, co przeczytasz w gazecie albo biuletynie. Jeśli coś ukazuje się drukiem, to jest kłamstwem – zawyrokowała Lili.

– Zawsze miej przy sobie swoje papiery, ale ukrywaj pistolet. – Violette miała własnego lugera, z którym obchodziła się z dużą swobodą i pewnością. – Cywilom nie wolno posiadać broni.

– Trzymaj się z daleka od niemieckich oficerów. Uważają, że wolno im mieć każdą kobietę, czy ma na to ochotę, czy nie...

– ... a jeśli do czegoś dojdzie, to wielu ludzi w Lille będzie tobą gardzić jako kolaborantką i mówić, że rozłożyłaś nogi dla korzyści.

– Będziesz mieszkała tu, w tym pokoju. Do tej pory używałyśmy go jako mety, żeby móc się w razie czego przespać, ale teraz ty będziesz tu mieszkała, więc na drzwiach na dole musi być podane twoje nazwisko i wiek, na wypadek gdyby sprawdzali budynek.

– Niedozwolone są zgromadzenia więcej niż dziesięciu osób...

– Jak można w ogóle ż-żyć w ten sposób? – zastanawiała się Eve drugiego dnia, gdy wreszcie udało jej się zasłużyć na tyle niechętnej aprobaty, że odważyła się zadać pytanie.

– To gówniane życie – powiedziała Lili – i dalej będzie gówniane, dopóki nie wygonimy stąd Niemców.

– Kiedy mam wam zdawać raporty? Jeśli się czegoś d-d-dowiem?

– Będziemy tu z Violette często przychodziły. – Lili uśmiechnęła się szeroko do swojej podkomendnej. – Przenocujemy tu, jeśli będziemy musiały spędzić noc w mieście. Jednak między moimi dostawami wciąż jesteśmy w rozjazdach, więc najczęściej będziesz tu sama.

Violette spojrzała na Eve kompletnie bez emocji.

– O ile cię to nie przerasta.

– *Salope!* – Lili pociągnęła Violette za upięte w kok włosy. – Nie bądź taką zdzirą!

Eve wkrótce się przekonała, że okupowane przez Niemców Lille było okropnym miejscem. Przed wojną z pewnością to wspaniałe kolorowe miasto, z kościelnymi wieżyczkami celującymi prosto w niebo, gołębiami latającymi nad Grand Place i latarniami rzucającymi snopy ciepłego, żółtego światła o zmierzchu, tętniło życiem. Teraz było przygaszone i nędzne, a twarze ludzi smutne i wychudzone z głodu. Było stąd już blisko do okopów, żołnierzy oraz prawdziwych działań wojennych, dochodzące z oddali wystrzały grzmiały niczym daleka burza, czasem nad głowami przelatywały dwupłatowce bzyczące jak jadowite osy. Niemcy zajęli Lille poprzedniej jesieni i wszystko sobie podporządkowali: pojawiły się nowe znaki z niemieckimi nazwami ulic, na kocich łbach dudniły kroki

niemieckich butów, we wszystkich miejscach publicznych słyszało się głośne niemieckie rozmowy. Jedyne rumiane, dobrze wyglądające twarze należały do Niemców i już to wystarczyło, że dotychczasowa niechęć, jaką Eve żywiła do wroga, szybko przekształciła się w mocny płomień nienawiści.

– Nie możesz mieć tak płomiennego spojrzenia – radziła Lili, pomagając Eve ubrać się na rozmowę w schludną, biedną spódnicę i bluzkę. Nie poprzestała na samych ubraniach: za pomocą strategicznych muśnięć kredą i sadzą starała się ukryć zdrowy rumieniec na policzkach dziewczyny. – Musisz wyglądać na przybitą i sponiewieraną, kwiatuszku. To właśnie chcą widzieć Niemcy. Ogień w oczach sprawi, że zaczną ci się baczniej przyglądać.

– P-przybitą – powtórzyła Eve ponuro. – *Oui*.

– Włosy jej za bardzo błyszczą. – Violette obrzuciła ją spojrzeniem, błyskając okrągłymi okularami.

Zmatowiły je odrobiną kurzu. Eve wstała i włożyła pocerowane rękawiczki.

– Jestem dziewczyną z prowincji, dopiero co przyjechałam z Roubaix – wyrecytowała. – Bardzo potrzebuję pracy, nie jestem wykształcona. Schludna, zręczna, trochę g-g-łupia.

– Wyglądasz na głupią – powiedziała Violette rzeczowo, a Eve spojrzała na nią spode łba. Nie przepadała za Violette, która niewątpliwie była świetna w swojej pracy. Po Evelyn Gardiner nie było już śladu – źle wypolerowane lustro, jedyne w pomieszczeniu, ukazało odbicie bladej i wygłodniałej Marguerite Le François.

Eve spojrzała na Marguerite i nagle poczuła ukłucie tremy niczym aktorka tuż przed wyjściem na scenę.

– A co, jeśli mi się n-n-... jeśli mi się nie uda? Jeśli właściciel Le Lethe mnie nie zatrudni?

– Wtedy odeślemy cię do domu. – Lili nie była niemiła, tylko szczerą. – Nie mamy innego zadania, do którego mogłybyśmy cię przydzielić, kwiatuszku. Wobec tego idź tam, kłam, ile wlezie, postaraj się dostać tę pracę i nie zarobić przy tym kulki.

Jeżeli René Bordelon rzeczywiście był potworem, to miał bardzo elegancką jaskinię. To była pierwsza myśl, jaka przyszła Eve do głowy po wejściu do Le Lethe.

Sześć dziewcząt, licząc Eve, stało pomiędzy stolikami nakrytymi lnianymi serwetami, na tle pokrytych ciemną boazerią ścian, czekając na swoją kolej. Przyszły jeszcze dwie, ale natychmiast je odesłano, gdy na pytanie kierownika sali przyznały, że znają niemiecki.

– Nikt, kto tu pracuje, nie może w ogóle znać języka naszych gości, którzy wymagają absolutnej dyskrecji w miejscach, gdzie chcą rozmawiać swobodnie.

Eve zastanawiała się, jak mieszkańcy Lille mogli uniknąć nauczania się niemieckiego, skoro okupacja trwała już tak długo. Jednak nic nie powiedziała, obstając tylko przy swoim kłamstwie, że nie rozumie ani słowa po niemiecku z wyjątkiem *nein* i *ja*, po czym dano jej znak ręką, że ma usiąść i poczekać.

Le Lethe było oazą elegancji w szarym okupowanym Lille: kryształowe żyrandole mieniły się dyskretnym blaskiem, dywan w głębokim kolorze czerwonego wina ustępował pod naciskiem stóp, a obrusy na stolikach – porozstawianych tak, by zapewnić idealną prywatność – były białe jak śnieg. Frontowe okno miało charakterystyczny łukowaty kształt i wychodziło na rzekę Deûle. Eve była w stanie zrozumieć, dlaczego Niemcy przychodzili tu na kolację. Było to cywilizowane miejsce, gdzie można się odprężyć po długim dniu gnębienia podbitego narodu.

W tamtej chwili nastroje nie miały jednak wiele wspólnego z odprężeniem – wyczuwało się raczej napięcie i zaciekłość, gdy sześć dziewczyn patrzyło po sobie, zastanawiając się, które dwie zostaną wybrane, a które cztery wrócą do domu. Praca tutaj oznaczała, że będzie można jeść, zamiast głodować. Eve była w Lille dopiero od kilku dni, ale już rozumiała, na czym polegało życie na krawędzi. Po miesiącu będzie miała taką szarą cerę jak Violette. Po dwóch jej kości policzkowe będą wystawać tak jak u Lili.

„Dobrze – pomyślała. – Głód sprawi, że będziesz czujna”.

Dziewczyny kolejno prowadzono na górę. Eve czekała, ściskając torebkę i pozwalając sobie wyglądać na zdenerwowaną, natomiast nie pozwalając na martwienie się o to, czy zostanie zatrudniona. Zostanie i kropka. Nie

miała zamiaru dać się odesłać do domu z powodu porażki, zanim zdoła udowodnić, że jest świetna.

– *Mademoiselle* Le François, *monsieur* Bordelon teraz panią przyjmie.

Poprowadzono ją bezgłósnymi schodami pokrytymi dywanem do błyszczących dębowych drzwi. Okazało się, że René Bordelon zajmował przestronne mieszkanie nad swoją restauracją. Drzwi się otworzyły, ukazując prywatny gabinet, który był wręcz... nieprzyzwoity.

Właśnie to słowo przyszło Eve do głowy, gdy się rozejrzała. Nieprzyzwoity, ale też piękny, ze złotym zegarem na hebanowym gzymsie kominka, dywanem z Aubusson i fotelami obitymi skórą barwy mahoni. Regały z żółtodrzewu ugięły się pod oprawionymi w skórę tomami i ozdobnymi wyrobami szklanymi od Tiffany'ego, było tam też niewielkie marmurowe popiersie przedstawiające zgarbionego mężczyznę. Ten pokój, którego ściany obito zielonkawym jedwabiem, zdawał się szeptać o bogactwie, wyrafinowanym guście, luksusie i braku umiaru. W porównaniu z podbitą krainą, jaką było Lille widoczne przez nieskazitelne zasłony, taka obfitość wydawała się właśnie nieprzyzwoita.

Eve znienawidziła ten gabinet i jego właściciela, jeszcze zanim padło jakiegokolwiek słowo.

– *Mademoiselle* Le François – powiedział René Bordelon. – Proszę usiąść.

Wskazał na przepastny fotel. Sam pólleżał w drugim w pozie niewymuszonej elegancji, kanty jego spodni były ostre jak brzytwa, a śnieżnobiała koszula i zakiet skrojone z paryską precyzją. Miał jakieś czterdzieści lat, był smukły i wysoki, a jego siwiejące na skroniach włosy zaczesane do tyłu odsłaniały szczupłą, nieprzeniknioną twarz. Jeśli kapitan Cameron był dla Eve uosobieniem typowego Anglika, to René Bordelon wyglądał na typowego Francuza.

A mimo to każdego wieczoru odgrywał przed Niemcami rolę uprzejmego gospodarza.

– Bardzo młodo wyglądasz. – Pan Bordelon otaksował ją wzrokiem, gdy usiadła na brzegu swojego fotela. – Jesteś z Roubaix?

– Tak, *monsieur*. – Violette, która wychowała się w tym maleńkim miasteczku, na wszelki wypadek uzbroiła Eve w konkretne szczegóły na jego temat.

– Czemu tam nie zostałaś? Lille to duże miasto dla... – tu zerknął na jej papiery – ... siedemnastoletniej sieroty.

– Nie ma tam gdzie pracować. Pomyślałam, że może uda mi się znaleźć pracę w L-L-Lille. – Eve złączyła kolana, ściskając swoją torebkę i starając się sprawiać wrażenie onieśmiałej i zagubionej w otaczającym ją luksusie. Marguerite Le François na pewno nigdy nie widziała złotego zegara ani dzieł zebranych Rousseau i Diderota w dziesięciu oprawnych w skórę tomach, więc gapiała się na nie z szeroko otwartymi oczami.

– Pewnie ci się wydaje, że praca w restauracji jest łatwa. Że rozkłada się srebrne sztuce, że zbiera się talerze. To nieprawda. – Jego głos nie unosił się i nie opadał jak głosy normalnych ludzi. Był to głos metaliczny i trochę przerażający. – Ja wymagam perfekcji, *mademoiselle*. Perfekcyjne ma być jedzenie, które opuszcza moją kuchnię, osoby podające je do stołu i atmosfera, w jakiej jest spożywane. Tworzę tu cywilizację, pokój w czasach wojny. Miejsce, które pozwala na chwilę zapomnieć, że w ogóle jest jakaś wojna. Stąd nazwa Le Lethe.

Eve otworzyła oczy najszerszej, jak potrafiła, i popatrzyła na niego sarnim wzrokiem.

– *Monsieur*, kiedy ja nie wiem, co to z-z-znaczy.

Spodziewała się uśmiechu, protekcyjnego spojrzenia, nawet irytacji, lecz on tylko na nią patrzył.

– P-p-pracowałam już kiedyś w kawiarni, *monsieur* – dodała pośpiesznie, jakby ze zdenerwowania. – Jestem s-sprawna i sz-sz-szybka. Sz-szybko się uczę. Ciężko pracuję. Ja chcę t-t-t-t-t-t...

Strasznie się zacięła na tym słowie. Przez ostatnie kilka tygodni nie zwracała specjalnej uwagi na swoje jąkanie, być może dlatego, że rozmawiała głównie z kapitanem Cameronem i z Lili, którzy też potrafili nie zwracać na to uwagi, jednak teraz przypadkowa sylaba utknęła za jej zębami i za nic nie chciała wyjść, a René Bordelon tylko siedział i patrzył, jak się męczy. Podobnie jak kapitan Cameron nie pośpieszył, żeby skończyć zdanie za nią. Eve nie sądziła jednak, że wynikało to z uprzejmości, jak u Camerona. Eve Gardiner zwinęłaby dłoń w pięść i zaczęłaby z furją i uporem walić w swoje udo, aż słowo by się odkleiło. Marguerite Le François jąkała się jednak dalej, aż zamilkła, zrobiła się czerwona na

twary i wyglądała na tak zawstydzoną, że mogłaby zapaść się pod podłogę pokrytą wspianiałym dywanem.

– Jąkasz się – powiedział pan Bordelon. – Ale myślę, że nie jesteś głupia. Zacinający się język nie musi oznaczać zacinającego się mózgu.

Życie Eve byłoby znacznie prostsze, gdyby wszyscy tak myśleli, ale nie w tej chwili, na litość boską. „Byłoby dużo lepiej, gdyby uznał, że jestem idiotką”, pomyślała i po raz pierwszy poczuła ukłucie zdenerwowania. Przecież on powinien uznać, że jest głupia. Nie chodziło tylko o jąkanie, Eve wciąż dokładała Marguerite kolejne warstwy, odkąd przekroczyła próg pokoju. Jeśli go nie przekonywał najprostszy kamuflaż, jaki zapewniało jej jąkanie, będzie potrzebowała tarczy innego rodzaju. Przysłoniła oczy rękami, otulając się dezorientacją niczym kocem.

– *Monsieur*?

– Popatrz na mnie.

Przełknęła ślinę i podniosła wzrok, by odwzajemnić jego spojrzenie. Jego oczy miały nieokreślony kolor i chyba nigdy nie mrugały.

– Myślisz, że jestem kolaborantem? Spekulantem?

„Tak” .

– Jest wojna, *monsieur* – odparła Eve. – Wszyscy robimy to, co musimy.

– Tak, zgadza się. Czy jesteś gotowa robić to, co musisz, i usługiwać Niemcom? Naszym najeźdźcom? Naszym pogromcom?

Podpuszczał ją. Eve zastygła. Nie miała żadnej wątpliwości, że jeśli Bordelon zobaczy ogień w jej spojrzeniu, jak ujęła to Lili, szansa będzie stracona. Nie zatrudni dziewczyny, o której pomyśli, że mogłaby napluć do boeuf bourguignon. Ale jaka była prawidłowa odpowiedź?

– Nie kłam – powiedział – bo jestem bardzo dobry w wyczuwaniu kłamstw, *mademoiselle*. Czy byłoby to dla ciebie kłopotliwe, żeby usługiwać moim niemieckim gościom, i robić to z uśmiechem?

„Nie” było odpowiedzią zbyt absurdalną, by nawet ją rozważać. „Tak” było szczerością, na którą nie mogła sobie pozwolić.

– Jest dla mnie k-k-kłopotem, jak nie mam co jeść – rzekła w końcu, tylko trochę podkreślając jąkanie. – Nie m-m-mam czasu na inne kłopoty, *monsieur*. Mam tylko ten jeden. Bo jeśli mnie pan nie zatrudni, to nigdzie indziej nie znajdę pracy. Nikt nie chce zatrudnić dziewczyny, k-k-która się

jąka. – To akurat była prawda. Eve wróciła myślami do dni spędzonych w Londynie i do tego, jak trudno było znaleźć pracę w głupim biurze, ponieważ zajęcia niewymagające elokwencji zdarzały się bardzo rzadko. Pamiętała, jaką frustracją napełniały ją poszukiwania pracy, i pozwoliła, by pan Bordelon dostrzegł to rozgoryczenie. – Nie mogę odbierać telefonów ani tłumaczyć, jak dojść do jakiegoś sklepu, nie z tym p-p-plączącym się językiem. Ale mogę w ciszy nosić talerze i rozkładać srebra, *monsieur*, i mogę to robić bardzo dobrze.

Znów obdarzyła go sarnim spojrzeniem: zdesperowana, głodna i upokorzona młoda kobieta. Złączył koniuszki palców – niezwykle długich, bez obrączki – i popatrzył na nią.

– Co za niedbałość z mojej strony – powiedział w końcu. – Jeśli jesteś głodna, nakarmię cię. – Zabrzmiało to tak swobodnie, jakby mowa była o wystawieniu mleka dla bezdomnego kota. Chyba nie proponował przekąsek wszystkim dziewczynom? „Niedobrze, jeśli mnie sobie wybierze”, myślała Eve, ale on tymczasem pociągnął za dzwonek i teraz rozmawiał z kelnerem, który przyszedł do gabinetu z restauracji na dole. Zamienili kilka słów półgłosem; kelner wyszedł, a potem wrócił z talerzem. Tost był tak gorący, że aż parzył. Eve zauważyła, że został zrobiony z dobrego białego chleba, jaki był właściwie nie do zdobycia w Lille, i rozrzutnie posmarowany grubą warstwą prawdziwego masła. Eve nie była jeszcze tak głodna, by zahipnotyzował ją widok takiego tost, ale Marguerite owszem. Eve pozwoliła, by zadrżała jej dłoń, gdy podnosiła trójkątną kromkę do ust. On czekał, żeby zobaczyć, czy łapczywie ją pożre, jednak ona tylko odgryzła sam rożek jak prawdziwa dama. Marguerite nie mogła być aż taką prowincjuszką, jak Eve pierwotnie planowała. Jasne było, że René Bordelon wymagał od swoich kelnerek trochę więcej ogłady. Eve przeżuła kęs, przełknęła i ugryzła kolejny kawałek. Dżem truskawkowy został posłodzony prawdziwym cukrem – pomyślała o gotowanych burakach, których Lili używała do słodzenia.

– Praca u mnie ma zalety – powiedział wreszcie pan Bordelon. – Każdego wieczoru resztki z kolacji są dzielone między pracowników. Osoby zatrudnione w restauracji są zwolnione z przestrzegania godziny policyjnej. Nigdy jeszcze nie zatrudniałem tu kobiet, ale teraz to nieuniknione.



Chciałbym cię jednak zapewnić, że nie będę od ciebie oczekiwał... zabawiania klientów. Takie rzeczy obniżają prestiż restauracji. – W jego głosie pobrzmiwał wyraźny niesmak. – Jestem cywilizowanym człowiekiem, *mademoiselle* Le François, i od oficerów, którzy się tu stołują, oczekuję, że także będą się zachowywali jak cywilizowani ludzie.

– Tak – wyszeptała Eve.

– Ale – dodał obojętnie – jeśli mnie okradniesz... Cokolwiek to będzie, jedzenie, zastawa albo chociaż łyk wina, to wydam cię Niemcom. I wtedy zobaczysz, że nie zawsze zachowują się w cywilizowany sposób.

– Rozumiem, *monsieur*.

– Dobrze. Zaczynasz jutro. O ósmej rano zaczniesz szkolenie u mojego pomocnika.

Nie poruszył kwestii zapłaty. Wiedział, że ona weźmie pracę bez względu na to, jaka będzie stawka, zresztą one wszystkie by wzięły. Eve przełknęła ostatni kęs tostu, elegancko, ale w pośpiechu, bo przecież nikt w tym mieście nie zostawiłby na talerzu niedojedzonego tostu z masłem, szybko dygnęła i wystrzeliła z gabinetu.

– No i? – Violette podniosła wzrok znad niedokończonej wiadomości, którą zapisywała na maleńkim skrawku papieru ryżowego, gdy Eve wpadła do zalatującego stęchlizną pokoju.

Eve prawie zawyła z radości, jednak nie chciała wyjść na rozgorączkowaną małą dziewczynkę, więc powiedziała rzeczowo:

– Zatrudnili mnie. Gdzie jest Lili?

– Poszła odebrać sprawozdanie od jednego ze swoich informatorów na kolei. Potem pojedzie na granicę. – Violette pokręciła głową. – Nie wiem, jak ona to robi, że jej jeszcze nikt nie zastrzelił. Światła przygranicznych szperaczy znalazłyby pchłę ukrywającą się na dnie piekła, a jednak jej zawsze udaje się jakoś prześlizgnąć.

„Aż do dnia, kiedy jej się nie uda”, Eve nie mogła powstrzymać tej myśli, gdy rozsznurowywała buty, lecz roztrząsanie tego, na ile różnych sposobów mogłyby zostać złapane, nic by jej nie dało. „Rób, jak mówiła Lili: możesz się bać, ale dopiero jak będzie po wszystkim. Przedtem strach jest słabością”.

Teraz, gdy znajdowała się poza zasięgiem spojrzenia René Bordelona, tych jego eleganckich, zadbanych dłoni i nieruchomych powiek, Eve w końcu poczuła strach, który łaskotał jej skórę niczym zatruta bryza. Zrobiła długi wydech.

– Już tobą telepie? – Violette uniosła brwi, a szkła jej okularów odbijały światło. Eve pomyślała, że takie okulary muszą być bardzo przydatne: wystarczyło przechylić głowę w stronę światła i oczy stawały się zupełnie niewidoczne. – Poczekaj, aż ci się trafi gorszy punkt kontrolny albo będziesz musiała zagadać wartownika, żeby przejść.

– René Bordelon. – Eve położyła się na twardym posłaniu, podkładając sobie dłonie pod głowę. – Co o nim wiesz?

– To ohydny kolaborant. – Violette z powrotem pochyliła się nad swoją pracą. – Czy trzeba wiedzieć coś więcej?

„Nie kłam – szeptał jego metaliczny głos. – Bo jestem bardzo dobry w wyczuwaniu kłamstw, *mademoiselle*”.

– Sądzę – powiedziała Eve powoli, a dudnienie strachu stało się odrobinę głośniejsze – że szpiegowanie pod jego nosem może się okazać bardzo trudnym zadaniem.

# 9

## Charlie

*Maj 1947*

– Nie – oświadczyła Eve. – Nienawidzę Lille i nie spędzimy ani jednej nocy w tych przeklętych murach.

– Nie mamy specjalnego wyboru – odrzekł Finn łagodnie, podnosząc wzrok znad wnętrzości lagondy. – Zanim uda mi się ją na powrót uruchomić, będzie już pora na nocleg.

– Nie w tym cholernym Lille. Możemy dojechać po ciemku do Roubaix. Po dobie spędzonej w towarzystwie Eve miałam jej po dziurki w nosie.

– Stajemy w Lille.

Spiorunowała mnie wzrokiem.

– Bo co, bachor znów daje ci się we znaki?

Hardo odwzajemniłam ostre spojrzenie.

– Nie, bo to ja płacę za hotel.

Eve rzuciła epitet, który jeszcze mniej nadawał się do druku niż jej zwykle przekleństwa, i zaczęła chodzić w tę i z powrotem wzdłuż pobocza. „Co za dzień”, pomyślałam, podczas gdy Finn dalej cierpliwie grzebał pod maską samochodu. Paskudna, niemal bezsenna noc w tanim hotelu w Rouen, przeplatana niewyraźnymi snami, w których Rose znikwała w niekończących się korytarzach przy wtórze głosu swojej matki syczącego: „Dziwka”. Następnie długa i krępująca podróż samochodem. Eve wygłaszała zjadliwe komentarze za każdym razem, gdy musiałam zwymiotować, natomiast Finn nic nie mówił, co z jakiegoś powodu było jeszcze gorsze.

„Dziwka”, szeptała ciotka w moim śnie, a ja wciąż się trzęsłam. Tak bardzo cieszył mnie nowy początek, który oznaczała dla mnie ta podróż; rozkoszowałam się faktem, że nikt w aucie nie wiedział o spowijającym mnie cieniu. No cóż, ta czysta karta stanowiła złudzenie – w istocie Charlie St. Claire była dziwką, a teraz wszyscy mieli tego świadomość dzięki Eve,

temu pozbawionemu taktu babsku, które nie umiało trzymać języka za zębami.

Na przedmieściach Lille spod lśniącej maski lagondy zaczęła wydobywać się para, więc Finn zatrzymał się i wyciągnął skrzynkę z narzędziami.

– Uda ci się postawić ją na nogi? – spytałam, gdy oznajmił, że mamy smar w rozrządzie, wodę w silniku czy może żyrafaćka w skrzyni biegów, nie mam pewności. – Przynajmniej na tyle, żebyśmy doteleпали się do Lille?

Wycierał ręce w poczerniałą od smaru szmatę, a Eve, znowu przeklinając, miotła się wzdłuż pobocza.

– Jeśli będziemy jechać powoli.

Skinęłam głową, nie patrząc na Finna. Trudno było mi patrzeć mu w oczy od czasu, jak prawda o moim Drobnyim Kłopocie wyszła na jaw. Z Eve potrafiłam nadrabiać bezczelnością – kiedy traktowała mnie obcesowo, mogłam znów przywdziać swój pancerz cynizmu i odpłacić jej tym samym. Finn jednak nic nie mówił, a ja nie umiałam pokonać go milczeniem w grze w „kto powie mniej”. Pozostało mi tylko udawanie, że niczym się nie przejmuję.

Załadowaliśmy się z powrotem do samochodu i w żółwym tempie ruszyliśmy przed siebie. Lille wydawało się całkiem ładnym miastem ze swoimi rzędami domów, akcentami flamandzkiej cegły na francuskim kamieniu, przywodzącymi na myśl bliskość Belgii, i wdzięcznym rozmachem Grand Place. W czasie wojny było atakowane, ale najwyraźniej bomby nie zamieniły go w gruz. Panowała tu pogodniejsza atmosfera niż w Hawrze, a mijający nas ludzie z zakupami, czasem z małymi terierami na smyczy, szli bardziej sprężystym krokiem. Jednak twarz Eve posępniała coraz bardziej, w miarę jak zagłębialiśmy się w miasto.

– Każdy cywil – odezwała się, ewidentnie coś cytując – w tym cywilni pracownicy francuskiego rządu, udzielający pomocy wojskom wrogim Niemcom lub działający na szkodę Niemiec, zostanie ukarany śmiercią.

Pokręciłam głową.

– Hitlerowcy...

– To nie byli hitlerowcy.

Eve znów wyjrzała przez okno, jej twarz wyglądała jak skamieniała maska. Lagonda minęła kawiarnię z pasiastą markizą i stolikami

z widokiem na Deûle, a ja odprowadziłam ją tęsknym wzrokiem, wspominając prowansalską kafejkę, w której spędziłyśmy z Rose tamto magiczne popołudnie. Zaczęłam się zastanawiać, czy byłam równie szczęśliwa w jakimkolwiek innym miejscu. W tutejszej kawiarni pracowała kelnerka mniej więcej w moim wieku, niosła bagietki i karafkę z winem. Poczułam zazdrość, ona nie miała Drobnego Kłopotu, tylko piegi na nosie, fartuszek w czerwoną kratkę i unoszący się wokół zapach dobrego pieczywa.

Moje myśli przerwał głos Eve, zimny i zawzięty:

– Po jego zniknięciu powinni byli doszczętnie spalić cały budynek i posypać ziemię solą. Trzeba było puścić tam wody prawdziwej Lety, żeby wszyscy zapomnieli.

Wpatrywała się w tę samą śliczną kawiarenkę z charakterystycznym wykuszowym oknem od frontu, ozdobionym złotymi wolutami.

– Gardiner? – Finn obejrzał się przez ramię. Głos Eve brzmiał zajadle, lecz ona sama wydawała się skurczona i krucha. Splotła swoje zniekształcone palce tak, jakby chciała powstrzymać je przed drzeniem. Wymieniłam z Finnem zaskoczone spojrzenia, zbyt zdziwiona, by pamiętać, że unikam jego wzroku.

– Musimy iść do hotelu – powiedział cicho. – Natychmiast.

Stanęliśmy przed pierwszą *auberge*, jaką znaleźliśmy, i poprosiliśmy o trzy pokoje. Recepcjonista zrobił błąd, sumując koszty, a kiedy zwróciłam mu uwagę, nagle przestał rozumieć mój francuski. W końcu Eve nachyliła się nad kontuarem i posłała mężczyźnie wiązaną francuszczyznę z najczystszym północnym akcentem, co mnie zdumiało, a jednocześnie sprawiło, że recepcjonista błyskawicznie odzyskał umiejętność liczenia.

– Nie wiedziałam, że tak dobrze znasz francuski – odezwałam się, ona zaś tylko wzruszyła ramionami i wcisnęła nam pojedyncze klucze do rąk.

– Lepiej niż ty, jankesko. Dobranoc.

Zerknęłam na niebo na zewnątrz. Dopiero zmierzchało, a żadne z nas jeszcze nic nie jadło.

– Nie chcesz kolacji?

– Mam kolację w płynie. – Eve poklepała się po torbie. Usłyszałam brzęk piersiówki w środku. – Zamierzam zalać się w trupa, ale jeśli jutro

będziecie czekać, aż się wyśpię, to was zamorduję, bez żartów. Mamy się zebrać i wpakować do samochodu o świcie, bo chcę jak najprędzej wydostać się z tego diabelskiego miasta i jeśli będzie trzeba, pójdę piechotą.

Zniknęła w wynajętym pokoju, a ja równie szybko schroniłam się w moim. Nie miałam najmniejszej ochoty zostawać w hallu z Finnem.

Moja kolacja składała się z taniej paczuszki kanapek zjedzonych na wąskim łóżku. Uprałam bieliznę i bluzkę w małej umywalce, myśląc o tym, że wkrótce będę potrzebowała większych ubrań, aż wreszcie zebrałam się w sobie i ruszyłam na dół, żeby skorzystać z hotelowego telefonu. Nie zamierzałam mówić matce, dokąd jadę, na wypadek gdyby zjawiała się tam w obstawie policji – ostatecznie byłam wciąż nieletnia – jednak nie chciałam też, żeby się martwiła, że coś mi się stało. Recepcjonista w Dolphinie powiedział mi, że się wymeldowała. Zostawiłam więc dla niej wiadomość, zakłopotana odwiesiłam słuchawkę i poszłam z powrotem na górę, walcząc z nagłym wyczerpaniem. Przez cały dzień tylko siedziałam w samochodzie, a mimo to nigdy w życiu nie byłam tak zmęczona. Te dziwne fale znużenia dokuczały mi od tygodni, najwyraźniej była to kolejna oznaka Drobного Kłopotu.

Po powrocie do pokoju odepchnęłam od siebie wszystkie myśli o D.K. Jutro do Roubaix. Jakaś część mnie w ogóle nie chciała się tam wybierać, to Eve upierała się, że jest tam ktoś, z kim musi porozmawiać, kto może coś wiedzieć, ale ja dzięki ciotce już coś wiedziałam. Wiedziałam, że Rose została odesłana do miasteczka dalej na południe, a potem wyjechała do pobliskiego Limoges w poszukiwaniu pracy. To tam chciałam jechać, a nie do Roubaix, w poszukiwaniu jakiegoś podejrzanego kontaktu, na który liczyła Eve.

Usiadłam na brzegu łóżka i pozwoliłam rozwinąć się temu uczuciu: nadziei. Mimo że godzina z *tante* Jeanne była straszna, dała mi jednak właśnie nadzieję. Chociaż walczyłam, by przekonać samą siebie, że Rose wciąż żyje, to podświadomie cały czas myślałam, iż moi rodzice mają rację, że to niemożliwe. Przecież inaczej dziewczyna, którą kochałam jak siostrę – ta, która bała się samotności – zdążyłaby już nas odnaleźć.

Skoro jednak wszyscy najbliżsi ją odrzucili, odesłali gdzieś daleko, żeby tam urodziła swojego bękarta, a potem umyli ręce... Cóż, znałam Rose.

Była dumna i zapalczywa. W życiu nie wróciłaby do domu w Rouen po tym, jak rodzice ją stamtąd wypędzili.

Rozumiałam nawet, że nie napisała mi o swoim kłopotcie. Czemu miałyby to zrobić? Podczas naszego ostatniego spotkania byłam tylko małą dziewczynką, kimś, kogo należy chronić, a nie zwierzać mu się z mrocznych sekretów. Do uczucia wstydu można się szybko przyzwyczaić. Nie byłam pewna, czy ja sama umiałabym napisać jej o Drobnym Kłopotcie, nawet gdybym znała jej adres. Twarzą w twarz pewnie wyplakałabym się jej w ramię, lecz przelewanie takich rzeczy na papier oznaczało konieczność przedstawienia własnej hańby czarno na białym.

Jeżeli żyła, mogła teraz mieszkać w Limoges. Może razem z dzieckiem. „Chłopcem lub dziewczynką”, pomyślałam i usłyszałam własny drżący śmiech. Rose i jej dziecko. Spojrzałam na swój brzuch, płaski i niewinnie wyglądający, który na przemian wywoływał u mnie wyczerpanie albo mdłości, i oczy mi się zaszkliły.

– Och, Rosie – szepnęłam. – Dlaczego wpakowałyśmy się w takie bagno?

Właściwie to ja się wpakowałam. Ona znalazła miłość w osobie młodego francuskiego księgarza, członka ruchu oporu. Taki chłopak musiał się Rose spodobać. Byłam ciekawa, czy jej Étienne miał jasne czy ciemne włosy i czy przekazał je dziecku. Zastanawiałam się, czy wsadzili go do więzienia, czy w ogóle jeszcze żyje. Prawdopodobnie nie. Tyle osób pozniakało i zginęło podczas wojny, że dopiero zaczynaliśmy zdawać sobie sprawę z przerażającej skali tych strat. Chłopak Rose zapewne nie żył, a jeśli ona przetrwała, to była sama. Opuszczona, jak wtedy w tej prowansalskiej kafejce.

„Już niedługo, Rose. Jadę po ciebie”, zapewniłam ją w duchu. Nie udało mi się uratować brata, lecz ją jeszcze mogłam.

– A wtedy może się dowiem, co mam zrobić z tobą – zwróciłam się do swojego brzucha. Nie chciałam go, nie miałam pojęcia, co z nim zrobić. Mdłości z ostatnich kilku dni uświadomiły mi z bolesną wyrazistością, że dłużej nie mogę go po prostu ignorować.

Za oknem rozciągała się francuska noc, miękka i ciepła. Wśliznęłam się do łóżka, oczy same mi się zamykały. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, że usnęłam, dopóki ciemności nie przeszył krzyk.

Zerwałam się przerażona i wyskoczyłam z łóżka. Stałam boso, serce waliło mi jak oszalałe, w ustach miałam sucho, a to straszne wycie nie ustawało. Krzyk kobiety, pełen grozy i cierpienia. Co prędzej wybiegłam z pokoju.

W tym samym momencie na korytarz wypadł Finn, także boso i z nagimi ramionami.

– Co się dzieje? – spytałam bez tchu. Drzwi obok zaczęły się uchylać. Finn nie odpowiedział, tylko ruszył prosto do tych znajdujących się pomiędzy naszymi pokojami, spod których widać było wąski paseczek żółtego światła. Krzyk dobiegał właśnie stamtąd.

– Gardiner! – Szarpnął za klamkę. Krzyk urwał się tak nagle, jakby nóż przeciął naprężone gardło. Usłyszałam trzask odwodzonego kurka w lugerze, dźwięk nie do pomylenia z niczym innym.

– Gardiner, wchodzę do środka.

Finn oparł ramię o drzwi i popchnął je mocno. Tania zasuwka z jękiem wyrwała się ze ściany i korytarz zalało światło. Wewnątrz stała Eve – wysoka, z siwiejącymi włosami do ramion – i patrzyła na nas oczami pełnymi udreki. Gdy zobaczyła w drzwiach Finna i mnie za nim, uniosła pistolet i wypaliła.

Wrzasnęłam i skulona rzuciłam się na podłogę, ale magazynek był pusty. Finn wyrwał lugera z dłoni Eve, ta zaklęła i skoczyła mu do oczu. Mężczyzna cisnął broń na łóżko i oburącz złapał Eve za chude nadgarstki. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, ze zdumieniem przekonałam się, że Szkot jest całkiem spokojny.

– Znajdź recepcjonistę i powiedz mu, że wszystko w porządku, zanim ktoś wezwie policję – polecił mi, mocno trzymając Eve. Kobieta przeklinała na przemian po francusku i niemiecku. – Lepiej nie szukać po nocy nowego hotelu.

– Ale... – Nie potrafiłam oderwać wzroku od pistoletu na łóżku. Ona do nas strzeliła. Dotarło do mnie, że dłońmi szczelnie osłaniam Drobny Kłopot.

– Powiedz, że miała zły sen.

Finn zerknął na Eve. Przestała kląć i oddychała teraz płytko i gwałtownie. Patrzyła niewidzącym wzrokiem na ścianę obok. Nie wiem,



gdzie była, ale na pewno nie tutaj.

Usłyszałam za sobą poirytowaną francuszczyznę i obejrzałam się. W korytarzu stała właścicielka *auberge*, zła i zaspana.

– *Pardonnez-moi* – odezwałam się, szybko zamykając drzwi między nią a przedziwną sceną w pokoju. – *Ma grandmère, elle a des cauchemares...*

Swoim slangowym amerykańsko-francuskim lałam oliwę na wzburzone wody, dopóki oburzenie właścicielki w końcu nie ostygło (do czego przyczyniła się także garść franków). Wreszcie kobieta wróciła do swojej sypialni, a ja odważyłam się znów zajrzeć za drzwi.

Finn usadził Eve nie na łóżku, tylko w najdalszym kącie pokoju, tym, z którego najlepiej było widać drzwi i okno. Odsunął krzesło tak, żeby mogła przycisnąć się do ściany, i narzucił jej koc na ramiona. Kuczał obok niej i mówił po cichu, powolnym ruchem kładąc jej na kolanach piersiówkę.

Wymamrotała coś, jakieś imię. Brzmiało jak „René”, a ja poczułam, jak przechodzi mnie dreszcz.

– Nie ma tu żadnego René – zapewnił ją Finn łagodnym głosem.

– To ja jestem bestią – wyszeptała Eve.

– Tak, tak. – Podał jej lugera kolbą naprzód.

– Zwariowałaś? – szepnęłam, lecz on tylko machnął na mnie ręką. Eve nie podnosiła wzroku. Była teraz spokojna, lecz wciąż wpatrywała się w pustkę oczami, które raz po raz przeskakiwały z okna na drzwi i z powrotem. Jej zniekształcone palce znów zacisnęły się wokół pistoletu, a Finn go puścił.

Wstał i bosy ruszył w moją stronę. Wycofałam się na korytarz, a mężczyzna wyszedł za mną, delikatnie zamknął za sobą drzwi i głęboko odetchnął.

– Czemu oddałeś jej pistolet? – wyszeptałam. – Gdyby był naładowany, jedno z nas już by nie żyło.

– Jak myślisz, kto wyjął z niego naboje? – Popatrzył na mnie. – Robię to co wieczór. Przeklina mnie w żywy kamień, ale pamięta, że na samym początku współpracy o mało nie odstrzeliła mi ucha, więc trudno jej ze mną dyskutować.

– O mało nie odstrzeliła ci ucha?

Finn zerknął na drzwi.

– Do rana dojdzie do siebie.

– Jak często jej się to zdarza?

– Od czasu do czasu. Gdy coś ją wystraszy, na przykład znajdzie się w tłumie albo usłyszy, jak spada jakieś rusztowanie, i myśli, że to wybuch. Nie idzie tego przewidzieć.

Zdałam sobie sprawę, że dłońmi wciąż osłaniam brzuch. Nie bardzo potrafiłam myśleć o Drobnym Kłopocie jako o czymkolwiek innym niż, hm, kłopocie, lecz moje ramiona instynktownie go ochroniły, gdy tylko dostrzegłam pistolet Eve. Opuściłam ręce, drżąc na całym ciele. Nie czułam tak mocno, że żyję – każdym roztrzęsionym mięśniem, każdym mrowiącym centymetrem skóry, każdym stojącym dęba włoskiem – od bardzo, bardzo dawna.

– Muszę się napić.

– Ja też.

Ruszyłam za Finnem do jego pokoju, co było absolutnie nie na miejscu, gdyż w nylonowej halce, której używałam jako koszuli nocnej, czułam się półnaga. Mimo to kazałam zamilknąć wrednemu, przemądrzałemu głosowi w mojej głowie i zamknęłam za sobą drzwi, podczas gdy Finn zapalał lampę i grzebał w swojej torbie. Podał mi piersiówkę znacznie mniejszą niż ta Eve.

– Niestety nie mam szklanek.

No tak, teraz już nie było mowy o żadnej „panience”. Wzruszyłam ramionami, nawet się nie dziwiąc. Doskonale wiedziałam, jakie równanie się tutaj pisze.

– Po co komu szklanki? – Pociągnęłam łyk whisky, rozkoszując się ogniem w gardle. – No dobrze. René. Eve zna to imię. Jeśli to ten sam człowiek, u którego pracowała Rose...

– Nie mam pojęcia. Wiem tyle, że kiedy jest w takim nastroju, to w kółko o nim gada.

– Czemu mi tego nie powiedziałaś?

– Bo pracuję dla niej. – Łyknął z piersiówki. – A nie dla ciebie.

– Niezła z was parka – prychnęłam. – Dwa kłębki drutu kolczastego zrobione z sekretów.

– I nie bez kozery.

Przypomniał mi się przejmujący szept Eve cytującej ten kawałek o śmierci, która czeka wrogów Niemiec. Ta kobieta miała w sobie coś typowego dla kombatantów. Widziałam mojego brata po jego powrocie z wojny i zmartwionymi, kochającymi oczami rejestrowałam zmiany, jakie w nim zaszły. Nie był jedynym ekszołnierzem, jakiego miałam okazję obserwować – tańczyłam z nimi na dansingach, rozmawiałam na przyjęciach, przyglądanie im się weszło mi w nawyk, bo liczyłam, że zauważę coś, dzięki czemu pomogę Jamesowi. Nie udało się, nic, co zrobiłam, mu nie pomogło i do tej pory nienawidziłam się za to, niemniej umiałam rozpoznać kombatanta, a Eve zdradzała wszelkie objawy.

– Jutro będzie w porządku?

Następnego dnia po epizodach tego typu James w ogóle nie chciał wychodzić z pokoju.

– Pewnikiem. – Finn oparł się o parapet otwartego okna i spojrzał w dół na rząd latarni, w zamyśleniu pijąc swoją whisky. – Z reguły na drugi dzień zachowuje się tak, jakby nic się nie stało.

Chciałam sondować dalej, ale cała ta trudna sprawa z Eve i jej sekretami przyprawiała mnie o ból głowy. Pozwoliłam sobie na razie o niej nie myśleć i dołączyłam do Finna przy parapecie. W końcu taki był dalszy ciąg równania: dziewczyna plus chłopak pomnożyć przez whisky. Teraz dodać bliskość.

– Czyli jutro będziemy w Roubaix, jeśli auto znów się nie popsuje.

Moje ramię otarło się o jego ramię.

Finn podał mi piersiówkę.

– Dopilnuję, żeby wszystko działało.

– Nieźle sobie radzisz z tymi narzędziami. Gdzie się tego nauczyłeś?

W więzieniu? Zżerała mnie ciekawość.

– Od dzieciaka szwendam się po warsztatach. Już w kołysce bawiłem się kluczami francuskimi.

Pociągnęłam kolejny łyk.

– Mogłabym jutro poprowadzić lagondę czy nie pozwalasz nikomu innemu siadać za kierownicą?

– Umiesz prowadzić? – Zerknął na mnie z tym samym zaskoczeniem jak wtedy, gdy powiedziałam, że miałam pracę. – Myślałem, że twoja rodzina

trzyma szofera.

– Finn, nie jesteśmy żadnymi Vanderbiltami. Jasne, że umiem prowadzić. Brat mnie nauczył. Słodkie, bolesne wspomnienie: James uciekł z rodzinnego grilla, wywożąc mnie stamtąd swoim packardem, i urządził mi lekcję jazdy. Chyba zrobił to tak naprawdę dlatego, żeby nie przebywać z naszymi krzykliwymi krewnymi. Ale dobry był z niego instruktor.

Zmierzwił mi włosy, mówiąc: „Teraz pokaż, co potrafisz, i zawieź nas do domu”. A gdy z piskiem opon dumnie zajechałam na miejsce, siedzieliśmy razem jeszcze chwilę, nim dołączyliśmy do rodzinnego zgiełku. Spytałam Jamesa, czy pójdzie ze mną na najbliższą potańcówkę. „Z nikim innym się nie umówię, a tak to będziemy siedzieć sobie z boku i nabijać się z dziewczyn ze stowarzyszenia studentek”. Uśmiechnął się lekko i odparł: „Chętnie, siostrzyczko”. Pomyślałam sobie, że wreszcie udało mi się pomóc bratu, kiedy wpadł w ten swój nastrój.

Nie minęły trzy tygodnie i się zastrzelił.

Zamrugalam powiekami, odrzucając ten obraz.

– Może któregoś dnia pozwolę ci się za kółkiem lagondy. – Finn popatrzył na mnie znad szczupłego ramienia. Światło lśniło w jego ciemnych włosach. – Ona wymaga cierpliwości. W końcu to kapryśna damulka. Ciut ekscentryczna, trzeba mieć do niej podejście. Ale ostatecznie zawsze da sobie radę.

– Nie mów do mnie zagadkami, Szkocie jeden. – Upiłam kolejny łyk i oddałam mu piersiówkę, muskając jego palce. – Jest po drugiej w nocy.

Uśmiechnął się i znów przeniósł wzrok na nocne światła miasta. Czekałam, aż się do mnie przysunie. Lecz on tylko dopił whisky i usiadł na sofie pod ścianą.

Mój ostry wewnętrzny głos wciąż mówił wredne rzeczy. Zanim przybrał na sile, postanowiłam dokończyć równanie: chłopak plus dziewczyna razy whisky i bliskość równa się... Wyjęłam piersiówkę z ręki Finna, usiadłam mu na kolanach i go pocałowałam. Poczułam smak whisky na jego miękkich wargach i szorstkość nieogolonej szczęki. A potem on się odsunął.

– Co ty robisz?

– A jak myślisz? – Objęłam go za szyję. – Proponuję, że się z tobą prześpię.

Jego ciemne oczy przyjrzały mi się z uwagą. Nonszalancko przekrzywiłam ramię i pozwoliłam ramiączku halki ześlizgnąć się w dół. Ręce Finna musnęły moje nagie rozchylone kolana, po czym spoczęły na nylonowym rąbku zamiast pod nim i powędrowały w górę, aż do talii, trzymając mnie mocno, podczas gdy ja spróbowałam nachylić się i pocałować go jeszcze raz.

– Coś takiego – powiedział. – Noc pełna niespodzianek.

– Czyżby? – Przez cienki nylon czułam na swojej talii dotyk jego dłoni, dużych i ciepłych. – Cały dzień o tym myślałam.

Od momentu, gdy zobaczyłam, jak rozbiera się do koszuli, żeby naprawić lagondę. Miał znacznie lepsze ramiona niż większość chłopców z college'u – te zazwyczaj bywały albo chuderlawe, albo ciastowate.

Głos Finna brzmiał nieco chropawo, ale bardzo spokojnie.

– Czemu taka miła dziewczyna chce wskoczyć do łóżka byłemu więźniowi?

– Wiesz, że nie jestem miłą dziewczyną. Eve nie pozostawiła w tej sprawie wątpliwości. Zresztą przecież nie zabierasz mnie na bal – dorzuciłam obcesowo. – Nie przedstawiam cię moim rodzicom. To tylko numerek w hotelu.

Uniósł brwi.

– Chociaż jestem ciekawa, co takiego zrobiłeś – dodałam szczerze, przesuwając palcem po jego karku – że wylądowałeś w więzieniu.

– Ukradłem łabędzia z Królewskich Ogrodów Botanicznych.

Nadal mocno trzymał mnie w talii, nie pozwalając mi się zbliżyć.

– Kłamczuch.

– Zwędziłem brylantową tiarę z klejnotów koronnych w Tower of London.

– Niepoprawny kłamczuch.

W przyćmionym świetle jego oczy wydawały się czarne i niezgłębione.

– To po co mnie pytasz?

– Lubię słuchać, jak kłamiesz. – Znów oplotłam mu szyję ramionami, wsuwając palce w jego miękkie włosy. – Czemu jeszcze rozmawiamy?

Większość chłopców brała się do obmacywania, gdy tylko światło zgasło. Dlaczego on nie? Kiedy Eve ujawniła, jaka ze mnie panienka, uznałam, że Finn zaraz przestanie traktować mnie z szacunkiem i spróbuje zaciągnąć do łóżka. Do tego przywykłam. Mogłam albo go odepchnąć, albo się zgodzić,

i już zdecydowałam się na to drugie. Nie miałam jednak zwyczaju nikogo uwodzić. Może nie byłam ładna, za to dostępna, i to z reguły wystarczało, żeby mężczyzna zaczynał ściągać ze mnie ubrania bez mojej pomocy czy choćby zachęty.

Ten Szkot jednak się nie ruszał, tylko wciąż na mnie patrzył. Jego wzrok powędrował ku mojej talii.

– Nie masz swojego chłopca? Narzeczonego? – zapytał.

– Widzisz jakiś pierścionek?

– No to kto to był?

– Harry S. Truman – odparłam.

– Kłamczucha.

Powietrze było gęste i ciepłe. Poruszyłam biodrami i poczułam jego reakcję. Wiedziałam, czego chce. Czemu tego nie brał?

– Co cię obchodzi, z kim wpadłam? – szepnęłam, znowu poruszając biodrami. – Ty już tego nie zrobisz i to się liczy. Zero ryzyka.

– To paskudne – odparł cicho.

– Ale prawdziwe.

Przyciągnął mnie do siebie, jego twarz znalazła się tuż przy mojej i poczułam mrowienie na skórze.

– Dlaczego właściwie tak się do mnie rwiesz?

„Dziwka”. Słowo zadźwięczało w mojej głowie, wypowiedziane głosem matki, a może ciotki. Wzdrygnęłam się i udałam, że wzruszam ramionami.

– Jestem łatwa – rzuciłam nonszalancko. – Każdy wie, że łatwe dziewczyny sypiają, z kim popadnie. A ty jesteś całkiem apetyczny. Więc czemu nie?

Uśmiechnął się, tak naprawdę, a nie tylko kącikiem ust jak zazwyczaj.

– Charlie, dziewczuszko – odezwał się, a ja miałam czas pomyśleć, jak bardzo podoba mi się moje imię wypowiedziane z tym szkockim akcentem – trzeba mieć lepszy powód.

Uniósł mnie ze swoich kolan jak lalkę i postawił na podłodze. Wstał, podszedł do drzwi i otworzył je na oścież, a ja poczułam, jak szyć oblewa mi szkarłatny rumieniec.

– Dobranoc, panienko. Śpij dobrze.

# 10

## Eve

*Czerwiec 1915*

Dwa wieczory później Eve zadebiutowała zarówno jako szpieg, jak i pracownica Le Lethe. Bardziej wyczerpujące okazało się to drugie: René Bordelona nie zadowalało nic poza perfekcją, a tę trudno było osiągnąć w ciągu dwudniowego szkolenia. Mimo to Eve ją osiągnęła. Ostatecznie porażka nie wchodziła w grę. Dziewczyna skrupulatnie notowała w pamięci wszystkie zasady, które chlebodawca powtarzał swoim metalicznym głosem dwóm nowym podwładnym tuż przed rozpoczęciem ich pierwszej zmiany.

Ciemna suknia, gładko uczesane włosy.

– Macie nie rzucać się w oczy, jesteście cieniem.

Lekkie stopy, drobne kroki.

– Oczekuję, że każdy wasz ruch będzie płynny i posuwisty. Nie należy zakłócać rozmów moim gościom.

Cisza i jeszcze raz cisza, żadnych szeptów czy wdawania się w pogawędki z klientami.

– Nie musicie zapamiętywać list win ani przyjmować zamówień. Przynosicie do stołu talerze, a następnie je sprzątacie.

Wino należy rozlewać tak, by ramię tworzyło wdzięczny łuk.

– Wszystko w Le Lethe jest pełne gracji, nawet to, co przechodzi niezauważone.

I ostatnia reguła, najważniejsza:

– Złamiecie którąś z zasad, zostaniecie odprawione. W Lille nie brakuje głodnych dziewcząt czekających na wasze miejsce.

Le Lethe budziło się do życia wieczorem, tworząc nienaturalne skupisko światła, ciepła i muzyki w mieście, które wraz z zachodem słońca spowijał mrok. Stojąca w wyznaczonym kącie sali Eve w swojej ciemnej sukience przypomniła sobie legendy o wampirach. Francuzi w Lille kładli się

o zachodzie, bo niezależnie od godziny policyjnej po prostu brakowało parafiny i węgla, by oświetlić mieszkania. Tylko Niemcy wychodzili nocami, niczym upiory, celebrując swoje niekwestionowane panowanie. Zjawiali się w Le Lethe rozbawieni, głośni, w błyszczących od orderów mundurach, a ubrany w doskonale skrojony smoking René Bordelon witał ich niewymuszonym uśmiechem. „Zupełnie jak Renfield”, pomyślała Eve, ten z powieści Brama Stokera: człowiek pozbawiony godności, upodlony przez służbę u krwiopicców.

„Ponosi cię wyobraźnia – upomniała samą siebie. – Nadstaw uszu i wyłącz myślenie”.

Przez resztę wieczoru poruszała się niczym pełen wdzięku automat, bezgłośnie wynosząc talerze, usuwając ze stolików okruszki i dolewając wina. Można by pomyśleć, że nie ma wojny: wszędzie płonęły świece, na każdym stole stało białe pieczywo i prawdziwe masło, każdy kieliszek był pełny po brzegi. Musiała trafiać tu co najmniej połowa czarnorynkowej żywności w Lille, Niemcy najwyraźniej lubili dobrze zjeść.

– To jedzenie – szepnęła druga kelnerka, młoda wdowa o szerokich biodrach, z dwójką małych dzieci w domu. – Samo patrzeć na nie to udręka!

Przełknęła ślinę, odnosząc do kuchni talerz: były na nim resztki potrawy, w mieście, gdzie Francuzi zmiatali wszystko do ostatniego okruszka. Kałuża sosu beszamelowego, kilka kęsów cielęciny... Eve także burczało w brzuchu, posłała jednak dziewczynie ostrzegawcze spojrzenie.

– Nie wolno nam tego nawet skubnąć. – Zerknęła przez ramię na *monsieur* Bordelona, który krążył po sali niczym nienagannie ubrany rekin. – Ani kęsa aż do końca zmiany, przecież w-w-wiesz.

Dopiero na koniec wszystkie resztki z kuchni zbierano i następnie dzielono pomiędzy personel. Każdy z radością doniósłby na współpracownika, który uszczknąłby coś przed tym podziałem, ponieważ wszyscy byli głodni. System ten budził w Eve cyniczny podziw: *monsieur* Bordelon zdołał wymyślić nagrodę, która jednocześnie gwarantowała uczciwość podwładnych i zachęcała ich do wzajemnego szpiegowania.

O ile jednak wszyscy pracownicy byli spięci i nieżyczliwi, o tyle klienci zdecydowanie gorsi. Jakże łatwo było nienawidzić Niemców, gdy widziało



się z bliska, ile żywności marnują. W pierwszym tygodniu pracy Eve komendant Hoffman i generał von Heinrich w otoczeniu przybocznych zjawili się w restauracji trzy razy, żądając przepiórek i szampana, by uczcić ostatnie niemieckie zwycięstwa, i wypełniając salę grzmiącym śmiechem. *Monsieur* Bordelona zawsze zapraszano, żeby po kolacji napił się z gośćmi koniaku; siadał przy stole w niedbałej pozie i częstował cygarami ze srebrnej papierośnicy z monogramem. Eve nadstawiała uszu, dolewając do szklanek, lecz nie mogła pozwolić sobie na to, by jej przedłużająca się obecność rzucała się w oczy, a zresztą rozmowy gości wcale nie dotyczyły planów bitew czy rozmieszczenia dział, tylko najnowszych kochanek. Mężczyźni porównywali ich szczególne cechy fizyczne i dyskutowali na przykład o tym, czy dziewczyna generała jest naturalną blondynką, czy jednak nie.

Czwartego wieczoru Hoffman zamówił koniak, więc Eve cichutko zjawiała się z karafką.

– ... zbombardowane – mówił po niemiecku do przybocznych – ale nowa bateria będzie na miejscu za cztery dni. Co do pozycji...

Serce Eve przystanęło pod wpływem skrzącego się jak diament podniecenia. Wzięła do ręki kieliszek komendanta i napełniła go najwolniej, jak tylko mogła, pozwalając trunkowi załsnąć w szkle, podczas gdy mężczyzna opowiadał o nowych stanowiskach artylerii. Zwróciła uwagę, że ręce wcale jej nie drżą. Odstawiła naczynie na stół, modląc się w duchu o pretekst, by zostać tu jeszcze chwilę. Wysłuchał jej jeden z adiutantów, który strzelił palcami, żądając koniaku i jednocześnie zadając pytanie o zasięg nowych dział. Eve zwróciła się w jego stronę po kieliszek i zobaczyła utkwione w sobie spojrzenie *monsieur* Bordelona ściskającego przy sąsiednim stoliku dłoń niemieckiego kapitana i dwóch poruczników. Palce dziewczyny zacisnęły się kurczowo na szkle i Eve w nagłym przypływie paniki zaczęła się zastanawiać, czy pozwoliła, by na jej twarzy odbiło się zrozumienie słów komendanta. Gdyby Bordelon się domyślił, że Marguerite Le François zna niemiecki...

„Nie domyśla się”, powiedziała sobie w duchu, przybierając doskonale obojętną minę i z wdziękiem nalewając koniak do kieliszka. *Monsieur* Bordelon kiwnął z uznaniem, komendant odesłał ją skinieniem głowy,

a dziewczyna wróciła na zaplecze z niewinną buzią i rewelacyjnymi wiadomościami – znała dokładne rozmieszczenie nowych niemieckich dział wokół Lille.

Reszta zmiany upłynęła jej na gorączkowym powtarzaniu sobie informacji – liczb, nazw, parametrów – i modleniu się, żeby tylko niczego nie zapomnieć. Natychmiast po dotarciu do domu spisała wszystko na skrawku ryżowego papieru drobnym pismem, którego nauczyła się w Folkestone, owinęła karteczkę wokół szpilki do włosów, wpięła ją sobie w kok i z ulgą osunęła się na łóżko. Lili zjawiała się w Lille następnego wieczoru, a Eve ceremonialnie – niczym przy prezentacji wieńca laurowego – skłoniła głowę, wyjęła z włosów szpilkę i wręczyła ją przywódczyni siatki Alice.

Kobieta odczytała wiadomość i aż pisnęła z zachwytu, obejmując Eve za szyję i całując z rozmachem w oba policzki.

– *Mon Dieu*, wiedziałam, że będziesz dobra.

Gdyby była tu ponura Violette z jej okrągłymi okularami i wieczną dezaprobatą, Eve usiłowałaby ukryć swoje przejęcie, ale w obliczu rozradowania Lili pozwoliła sobie na wybuch śmiechu, który powstrzymywała od zeszłego wieczoru.

Lili zmrużyła oczy, wpatrując się w mały skrawek papieru.

– Stracę wzrok, przepisując to do raportu! Następnym razem po prostu to dla mnie zakoduj.

– Spędziłam nad t-tym cztery godziny – odrzekła zgnębiona Eve.

– Żółtodzioby zawsze wkładają w pierwszą wiadomość jakieś sześć razy tyle wysiłku, ile trzeba – roześmiała się Lili, klepiąc ją po policzku. – Rozchmurz się, to kawał dobrej roboty! Przekażę to wujkowi Edwardowi, a do przyszłego czwartku nowa bateria zostanie zbombardowana.

– Do czwartku? Dasz radę załatwić to w takim tempie?

– *Bien sûr*. Mam najszybszą siatkę w całej Francji. – Lili owinęła karteczkę z powrotem wokół szpilki i wsunęła ją w swoją blond fryzurę à la Pompadour. – A ty będziesz naszym wielkim atutem, stokroteczko. Już to czuję.

Jej ruchliwa twarz promieniała tak nieskrępowaną radością, że rozświetlała ponury pokój niczym reflektor na przejściu granicznym. Eve

poczuła, jak jej wargi rozciągają się w uśmiechu. Udało jej się, wykorzystwała swój trening, spełniła zadanie. Była prawdziwym szpiegiem.

Lili chyba wyczuła wewnętrzny przypływ triumfu u dziewczyny, bo jeszcze raz się roześmiała, opadając na jedyne w pomieszczeniu krzesło.

– Ależ to jest przyjemne, co? – zagadnęła, jakby zwierzała się Eve z czegoś nieprzyzwoitego. – Może nie powinno tak być. To bardzo poważne zajęcie, służba *la belle France* przeciwko jej wrogom, tylko zarazem takie radosne! Nie ma drugiej pracy, która przynosiłaby tyle satysfakcji co szpiegostwo. Matki będą ci wmawiać, że najbardziej satysfakcjonujące jest wychowanie dzieci, ale, *merde* – powiedziała szczerze – one są zbyt ogłupiałe od wiecznie tych samych obowiązków, żeby wiedzieć, co mówią. Ja zawsze przedłożę ryzyko kulki w łeb nad nieuchronność zafajdanych pieluch.

– Wiesz, co mi się najbardziej podobało? – spytała Eve. – Gdy odchodziłam od stolika, wokół którego siedziały te zwierzaki w mundurach, zostawiałam ich przy koniaku i cygarach i żaden z nich nawet nie miał pojęcia...

Była tak szczęśliwa, że się w ogóle nie jąkała, a gdy przypomniała sobie o tym później, zaskoczyło to ją samą.

– Prztyczek w nos Niemcom – skomentowała Lili, rozkładając na stole kawałek starej halki. – Chodź, nauczę cię mojego sposobu transkrypcji pozycji na mapie. To prosta siatka współrzędnych, znacznie skuteczniejsza przy komunikacji rozmieszczenia...

Ciemny pokój rozjaśniło światło ich entuzjazmu, jaśniejsze niż setka świec w Le Lethe. Po skończeniu transkrypcji mapy nie kładły się jeszcze zdecydowanie za długo, Lili dzieliła się z Eve odrobiną zwędzonego skądś koniaku i opowiadała rozmaite historyjki.

– Raz udało mi się przemyścić kilka skradzionych meldunków pod nosem strażnika, bo włożyłam je na dno pudełka z ciastem. Żałuj, że nie widziałas miny wujka Edwarda, kiedy wręczyłam mu kasetkę z dokumentami całą w lukrze!

– Pochwal mnie, kiedy będziesz mu dawać mój raport, dobrze? – poprosiła Eve. – Chcę, żeby był ze mnie dumny.

Lili przekrzywiła głowę i spojrzała na dziewczynę z figlarnym uśmiechem.

– Stokroteczko, czyżbyś się zakochała?

– Może trochę – przyznała Eve. – Ma taki piękny głos...

I to on zobaczył, że Eve ma potencjał, żeby być tutaj i zajmować się właśnie tym. Tak, bardzo trudno byłoby jej nie zakochać się choć trochę w kapitanie Cameronie.

– *Merde* – roześmiała się Lili. – Nic dziwnego, sama mogłabym poczuć do niego *tendresse*. Bez obaw, będę cię przed nim bezwstydnie wychwalać. Wiesz, możliwe, że prędzej czy później sama się z nim spotkasz, bo raz na jakiś czas przejeżdża przez okupowane przez Niemców terytoria z jakąś strasznie tajemniczą misją. Jeśli się tak zdarzy, przyrzeknij mi, że zrobisz, co w twojej mocy, żeby zedrzeć z niego cały ten tweed.

– Lili! – Eve zatoczyła się od śmiechu. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tyle się śmiała. – Przecież on jest żonaty!

– A czemu niby to miałoby cię powstrzymać? Jego żona to żoźła, która ani razu nie odwiedziła go w więzieniu.

A więc Lili wie o jego wyroku.

– Myślałam, że musimy utrzymywać swoje historie w tajemnicy, o ile...

– Wszyscy już wiedzą o historii wujka Edwarda, pisały o niej gazety, więc trudno robić z czegoś takiego sekret. Poszedł siedzieć za żonę, która, o ile mi wiadomo, nigdy go potem nie odwiedziła. – Eve sapnęła z oburzeniem, na co Lili się uśmiechnęła. – Mówię ci, warto zagiąć na niego parol. A jeśli sumienie będzie ci wyrzucać taką drobnostkę jak cudzołóstwo, to spędź kwadransik w konfesjonale i zmów kilka „Ojczy nasz”.

– W-wiesz, my protestanci wierzymy, że winę lepiej poczuć, niż odklepać kilka modlitw i mieć z głowy.

– I właśnie dlatego Anglicy czują się za bardzo winni, żeby być dobrymi kochankami – zawyrokowała Lili. – Poza okresami wojny, bo to nawet dla nich jest wymówka, która pozwala dobrze się bawić. Kiedy życie może w każdej chwili zakończyć niemiecki bagnet, nie pozwól, by burżuazyjna moralność stanęła na przeszkodzie igraszkom z odzianym w tweed żonatym byłym więźniem.

– Nic nie słyszę – zachichotała Eve, zatykając sobie uszy. Resztę nocy wypełnił im śmiech i poczucie triumfu. Dziewczyna wciąż się uśmiechała, gdy obudziła się następnego ranka i zobaczyła, że Lili zniknęła wraz z tajną wiadomością, za to zostawiła jej liścik nabazgrany na skrawku halki: „Wracaj do pracy i uważaj, nie bądź zbyt pewna siebie! Zajrzę za pięć dni” .

„Pięć dni – pomyślała Eve, wkładając ciemną sukienkę i wyruszając do Le Lethe. – Wtedy będę miała dla niej więcej informacji”. Czuła błogą pewność. Udało jej się raz i znowu się uda.

Być może faktycznie była trochę zbyt pewna siebie, przepełniona myślami o uznaniu Lili i uśmiechu w oczach Anglika ubranego w tweed, gdy bocznymi drzwiami weszła do restauracji. Czekał tam na nią René Bordelon, który odezwał się nieodgadnionym tonem:

– *Mademoiselle* Le François, proszę mi powiedzieć, skąd naprawdę pochodzisz?

Eve zamarła. Nie na zewnątrz, szybko ściągnęła kapelusz, złożyła dłonie w rękawiczkach i zrobiła zaskoczona minę. Wachlarz naturalnych reakcji typowych dla osoby niewinnej. W środku jednak lekkość i ożywienie dziewczyny natychmiast ściał lód.

– *Monsieur?*

René Bordelon zwrócił się w stronę schodów wiodących do jego prywatnych apartamentów.

– Proszę za mną.

Znowu znalazła się w tym nieprzyzwoitym gabinecie, gdzie kotary w oknach zasłaniały wojenną brzydotę Lille, a zapalone w ciągu dnia lampy pochłaniały taką ilość parafiny, że Eve odczuwała to jak wymierzony jej policzek. Znowu stała przed wyłożonym miękką skórą fotelem, gdzie niecały tydzień wcześniej zdobyła tę pracę, nakazując sobie bezruch niczym ukryte w krzakach zwierzątko czekające, aż myśliwy się oddali. Co ten człowiek wie? Co w ogóle może wiedzieć?

„Niczego nie wie – odpowiedziała sama sobie. – Ponieważ Marguerite Le François nie wie nic”.

Mężczyzna usiadł, stykając czubki swoich długich palców i patrząc na nią badawczo. Na twarzy Eve malował się wyraz zdziwionej niewinności.

– Cz-czy moja praca pozostawia coś do życzenia, *m-monsieur*? – zapytała w końcu, gdy stało się jasne, że przełożony czeka, aż to ona przerwie milczenie.

– Wprost przeciwnie – odparł. – Pracujesz znakomicie. Nie trzeba ci powtarzać, jak należy coś robić, i masz w sobie pewien naturalny wdzięk. Ta druga dziewczyna to niezdara. Postanowiłem ją wymienić.

„W takim razie czemu to mnie przepytujesz”, pomyślała Eve, litując się jednocześnie w duchu nad Amélie o szerokich biodrach i z dwójką małych dzieci w domu.

– Jestem z ciebie bardzo zadowolony z jednym wyjątkiem. – Wciąż nie mrugnął ani razu. – Zdaje mi się, że skłamałaś, mówiąc, skąd jesteś.

To niemożliwe. Przecież on nie może podejrzewać, że Eve jest pół-Angielką. Jej francuszczyzna była nienaganna.

– Mówiłaś, że skąd pochodzisz?

On wie.

Nic nie wie.

– Z Roubaix – odparła Eve. – Tutaj mam d-dokumenty.

Podsunęła mu swoje papiery, ciesząc się, że przez chwilę może zająć ręce i oczy czymś innym niż to nieruchome spojrzenie.

– Wiem, co jest napisane w twoich dokumentach. – Nawet nie spojrzał. – Że Marguerite Duval Le François pochodzi z Roubaix. Lecz to nieprawda.

Znów przywołała na twarz wyraz niewinności.

– Ależ tak.

– Kłamiesz.

To nią wstrząsnęło. Od bardzo dawna nikt nie przyłapał jej na kłamstwie. Być może mężczyzna odczytał zaskoczenie Eve, bo obdarzył ją lodowatym uśmiechem.

– Mówiłem ci, że jestem w tym dobry, *mademoiselle*. Chcesz wiedzieć, jak cię zdemaskowałem? Twój akcent nie jest z tego regionu. To francuszczyzna z Lotaryngii, o ile się nie mylę. Jeżdżę tam często, zaopatrując restauracyjną piwniczkę, i znam miejscowy akcent równie dobrze jak gatunki wina z tamtych stron. A zatem czemu w twoich papierach widnieje Roubaix, skoro twoje samogłoski wskazują, powiedzmy, na Tomblaine?

Co za nadzwyczajne ucho. Tomblaine leżało po drugiej stronie rzeki, naprzeciw Nancy, gdzie dorastała Eve. Zawahała się, przypominając sobie głos kapitana Camerona, niski i spokojny, pobrzmiwający leciutkim szkockim akcentem: „Gdy jesteś zmuszona skłamać, najlepiej jest powiedzieć tyle prawdy, ile tylko się da”. Słowa z czasów jej szkolenia, kiedy zabrał ją na tamtą samotną plażę, by strzelać do butelek.

René Bordelon siedział, czekając na prawdę.

– Nancy – szepnęła Eve. – To tam s-się u-u-ur...

– Urodziłaś?

– Tak, m-m-m-m...

Przerwał jej machnięciem dłoni.

– Po co w takim razie kłamać?

Prawdziwa odpowiedź z fałszywym uzasadnieniem: Eve miała nadzieję, że zabrzmii przekonująco, bo nic innego nie przychodziło jej do głowy.

– Nancy leży blisko N-N-Niemiec – odparła pospiesznie, jakby zawstydzona. – We Francji wszyscy mają nas za z-z-zdrajców, którzy są po ich stronie. Przyjeżdżając do L-L-Lille, wiedziałam, że będą mnie nienawidzić, jeżeli... Wiedziałam, że nie znajdę p-p-pracy. Nie będę miała co jeść. Dlatego s-s-s... dlatego skłamałam.

– Skąd wzięłaś fałszywe dokumenty?

– T-to nie tak. Po prostu z-z-zapłaciłam urzędnikowi, żeby wpisał inne miasto. Było mu m-m-mnie żal.

Jej przełożony odchylił się na fotelu, bębniąc palcami w biurko.

– Opowiedz mi o Nancy.

Eve była zadowolona, że tym razem nie próbowała kłamać, że nie podała mu jakiegoś innego miasta. Nancy znała jak własną kieszeń, znacznie bardziej szczegółowo niż to, co udało jej się zapamiętać na temat Roubaix. Zaczęła wymieniać ulice, znane miejsca, kościoły; wszystko to były wspomnienia z jej własnego dzieciństwa. Zaczynała się tak, że jej policzki płonęły szkarłatem, jednak nie zważając na jąkanie, mówiła dalej wzruszonym głosem, z szeroko otwartymi oczami.

W jej słowach musiała dźwięczeć prawda, bo *monsieur* Bordelon przerwał jej w pół zdania.

– Widać, że świetnie znasz to miasteczko.

Dziewczyna nie zdążyła odetchnąć z ulgą, gdyż zaraz dodał, przechylając wąską głowę:

– Nancy jest tak blisko granicy z Niemcami, że tamtejsza ludność często się miesza. Powiedz, *mademoiselle*, czy mówisz po niemiecku? Jeszcze jedno kłamstwo, a gwarantuję, że cię zwolnię.

Krew w żyłach Eve znowu ściała lód. Jej przełożony w ogóle nie brał pod uwagę zatrudnienia kogokolwiek, kto zna niemiecki. Fakt, że Le Lethe stanowiła dla niemieckich klientów oazę prywatności i dyskrecji, zapewne gwarantował restauracji duże dochody. Spojrzenie mężczyzny wwierało się w Eve, pożerało ją w całości, dostrzegał każdy ruch, każde drgnienie mięśnia, każdą zmianę w wyrazie twarzy.

„Kłam, Eve – nakazała sobie surowo. – Niech to będzie najlepsze kłamstwo w twoim życiu”.

Spojrzała pracodawcy prosto w oczy i odparła zupełnie płynnie:

– Nie, *monsieur*. Mój ojciec ich nienawidził. Nigdy by się nie zgodził, żeby pod jego dachem ktokolwiek mówił w tym języku.

Kolejna długa chwila przerywanej tykaniem pozłacanego zegara ciszy, którą Eve ledwie zniosła. A jednak nie spuściła wzroku.

– A czy ty ich nienawidzisz? – spytał w końcu Bordelon. – Nienawidzisz Niemców?

Nie ośmieliła się tak prędko skłamać po raz kolejny. Zamiast tego spojrzała w dół, pozwalając swoim wargom zadrzeć, i odpowiedziała ze znużeniem:

– Kiedy odsyłają do kuchni niezjedzoną połowę b-b-boeuf en croûte, to tak, t-t-trudno mi nie myśleć o nich z nienawiścią. Ale jestem za b-bardzo zmęczona, by ich mocno nienawidzić, *monsieur*. Muszę jakoś sobie radzić w tym świecie, bo inaczej nie d-d-dożyję końca wojny.

Zaśmiał się cicho.

– To raczej mało popularny punkt widzenia, nieprawdaż? Ja jednak patrzę na sprawy podobnie, *mademoiselle*. Tyle że nie dążę jedynie do tego, by jakoś sobie radzić. – Objął gestem swój piękny gabinet. – Ja zamierzam się bogacić.

Eve nie miała najmniejszych wątpliwości, że tak będzie. Wystarczy przedłożyć zysk nad wszystko inne: swój kraj, rodzinę, Boga, i nie zostaje



praktycznie nic, co mogłoby człowieka powstrzymać.

– Powiedz mi, Marguerite Le François – chociaż głos René Bordelona brzmiał niemal figlarnie, Eve nie odprężyła się ani na moment – czy nie masz ochoty zrobić kariery? Wystarczy ci samo przetrwanie?

– Jestem tylko zwykłą d-dziewczyną, *monsieur*. Moje ambicje są bardzo skromne. – Spojrzała na niego z rozpaczą szeroko rozwartymi oczami. – Proszę, nie powie pan nikomu, że pochodzę z N-N-Nancy? Jeśli ludzie się dowiedzą...

– Wyobrażam sobie. Mieszkańcy Lille to – popatrzył na nią porozumiewawczo – gorący patrioci. Mogliby zachować się mało życzliwie. Twój sekret jest u mnie bezpieczny.

Eve czuła, że ten człowiek lubi tajemnice. O ile to on jest w ich posiadaniu.

– D-d-dziękuję, *monsieur*. – Dziewczyna chwyciła jego dłonie i uściśnęła je szybko i niezgrabnie, nisko pochylając głowę i przygryzając wnętrze policzka, aż do oczu napłynęły jej łzy. René Bordelon cenił sobie uniżoną wdzięczność w równym stopniu jak sekrety. – Dziękuję.

Puściła jego ręce, by nie poczuł się rozdrażniony faktem, że dotyka go podwładna, po czym cofnęła się i wygładziła spódnicę. Jego komentarz był niespodziewany i został wygłoszony po niemiecku.

– Ileż w tobie wdzięku, nawet gdy się boisz.

Wyprostowała się i spojrzała w oczy chlebobdawcy, który wpił się w nią wzrokiem, szukając najmniejszej oznaki zrozumienia. Eve przybrała zakłopotany wyraz twarzy i powoli zamrugała powiekami.

– *Monsieur?*

– Nic takiego. – Mężczyzna wreszcie się uśmiechnął, a ona miała wrażenie, że zdjął palec z cyngla. – Możesz odejść.

Zanim dziewczyna dotarła na piętro, na którym znajdowała się restauracja, paznokcie zdążyły zostawić na jej dłoniach głębokie czerwone ślady, jednak świadomie rozchyliła kurczowo zaciśnięte pięści, nie mogła dopuścić, żeby pojawiła się krew. Bo René Bordelon na pewno by to zauważył. O, bez wątpienia.

„Było naprawdę blisko”, pomyślała Eve, rozpoczynając swoją zmianę. Spodziewała się, że skoro niebezpieczeństwo już minęło, zaraz zrobi jej się

niedobrze. Lecz jej wnętrzości pozostały jak z kamienia. W gruncie rzeczy niebezpieczeństwo nie minęło, dopóki musiała pracować i jednocześnie szpiegować na oczach swojego spostrzegawczego chlebowodawcy, była zagrożona. Eve zawsze umiała kłamać jak z nut, lecz po raz pierwszy w życiu zaczęła się zastanawiać, czy to wystarczy.

„Nie ma czasu na strach – upomniała się surowo. – Nie pobłażaj sobie. Nadstaw uszu i wyłącz myślenie”.

I zabrała się do pracy.

# 11

## Charlie

*Maj 1947*

– Proszę, proszę. – Eve uniosła brwi, kiedy wdrapywałam się na tylne siedzenie lagondy zamiast z przodu obok Fina. – Nie chcesz dzielić powietrza ze skazańcem?

– Nie chcę, żebyś siedziała za mną – odparłam. – Próbowalaś mnie wczoraj zabić.

Eve przewróciła oczami, były wyraźnie przekrwione w świetle poranka.

– Jak widać, spudłowałam. Zabierajmy się z tego miasta i ruszajmy do cholernego Roubaix.

Przewidywania Finna okazały się trafne: Eve była wymizerowana i poszarzała. Gdy wsiadała do samochodu, poruszała się sztywno jak staruszka, ale nie zająknęła się na temat wczorajszego epizodu z lugerem. Finn pogrzebał chwilę pod maską, mamrocząc coś w szkockim dialekcie, który stawał się mocniejszy i bardziej melodyjny, w miarę jak wnętrzności auta okazywały się coraz bardziej odporne.

– Przestańże się wreszcie krztusić, kupo złomu.

Na koniec wsiadł z powrotem, jeszcze coś poprawiając, i odpalił silnik.

– Spróbujemy, krok po krocuku – powiedział, kiedy odjeżdżaliśmy spod hotelu przy dźwięku grzechotania skrzyni biegów.

Obróciłam głowę i gapiłam się przez okno. Krok po krocuku to z pewnością nie była ulubiona metoda Charlie St. Claire. Zapomnieć o krocukach, chlapanąć whisky, a potem wskoczyć na trzydziestoletniego Szkota i zaproponować numerek.

„Dziwka”, zaszeptał mój wredny wewnętrzny głos, aż się wzdrygnęłam. Może nie potrzebowałam Finna ani Eve do końca tej podróży. Eve знаła kogoś w Roubaix, kto być może potrafiłby opowiedzieć nam o restauracji w Limoges, w której pracowała Rose, ale czy potem Eve w ogóle będzie chciała mi dalej towarzyszyć? Chyba mnie nie lubiła. Mogłam ją spłacić

i wysłać do domu razem z jej lugerem i kierowcą skazańcem, a potem, jak cywilizowany człowiek, wsiąść do pociągu i pojechać do Limoges w poszukiwaniu Rose. Wystarczyłoby usunąć z tego równania jednego Szkota oraz jedną uzbrojoną i niebezpieczną Angielkę i mogłabym prowadzić swoją szaloną misję z pomocą tylko własnej równie szalonej osoby, oczywiście nieskrępowana jeszcze bardziej szalonymi towarzyszami podróży.

– Dzisiaj – powiedziałam głośno, a Finn spojrzał na mnie przez ramię. – Musimy się dostać do Roubaix dzisiaj.

Im szybciej, tym lepiej.

Oczywiście, to właśnie dzień, w którym nie mogłam już dłużej znieść ani samochodu, ani towarzystwa, okazał się wspaniałym dniem na jazdę: pełnym majowego słońca i gnających po niebie chmur. Do Roubaix nie było daleko, nikt też się nie sprzeciwił, gdy Finn opuścił dach lagondy – nawet Drobnny Kłopot uznał, że bujanie samochodu nie przeszkadza mu tak bardzo, więc chociaż ten jeden raz nie spędziłam przejażdżki, wymiotując po drodze. Oparłam podbródek na przedramionach i patrząc na mijane przez nas pola, zastanawiałam się, czemu krajobraz wygląda znajomo, dopóki coś nie przeskoczyło z tyłu mojej głowy. Kolejna samochodowa wyprawa, rodzina Rose i moja, dwa lata po tym, gdy zostawiono nas w tamtej prowansalskiej kawiarence. Przejechaliśmy przez Lille aż do wsi i po dniu uroczystego zwiedzania kościołów i starych pomników Rose zwinęła dywan w naszym pokoju hotelowym i nauczyła mnie tańczyć lindy hop. „No dalej, Charlie, rozluźnij stopy...” Jej loki podskakiwały w ruchu; wysoka, rozkwitająca trzynastolatka przyznała potem, że miała już za sobą pierwszy pocałunek. „Georges, syn ogrodnika. Coś okropnego. Język, język i jeszcze więcej języka!”

Musiałam uśmiechnąć się do wspomnień, bo Eve powiedziała:

– Cieszę się, że komuś podoba się ten region.

– A tobie nie? – Nadstawiłam twarz w stronę słońca. – Kto nie wolałby być tutaj, zamiast patrzeć na rumowiska Londynu albo Hawru?

– Żywy – wolałbym raczej zmówić się z krukami, by zleciały się szarpać me plugawe ciało<sup>[1]</sup> – powiedziała Eve, mrugnawszy. – To cytat, ty ignorancka jankesko. Baudelaire. Z wiersza *Le m-mort joyeux*.

– Wesóły zmarły? – przetłumaczyłam, marszcząc nos. – Uch.

– Trochę upiorne – przyznał Finn z za kierownicy.

– Trochę – przyznała Eve. – Oczywiście, musiał więc należeć do jego ulubionych.

– Czyich? – spytałam, ale nie odpowiedziała. Czy kiedy akurat nie była wulgarna, musiała być skryta? Przypominało to podróż ze żłopiącym whisky Sfinksem. Finn przyłapał mnie na przewracaniu oczami i uśmiechnął się, a ja odwróciłam wzrok z powrotem w stronę pól na zewnątrz.

Wkrótce na horyzoncie pojawiło się Roubaix. Znacznie mniejsze od Lille, cichsze, bardziej zakurzone. Minęliśmy wspaniałą ratusz oraz iglice gotyckiego kościoła. Eve podała Finnowi nabazgrany adres i wkrótce zjechaliśmy na wąski brukowany krawężnik na wprost czegoś, co wyglądało jak antykwariat.

– Kobieta, z którą musisz porozmawiać, jest tutaj? – spytałam zdziwiona.

– Kim ona jest?

Eve wyskoczyła z samochodu, wyrzucając papierosa do rynsztoka mistrzowskim pstryknięciem wykoślawionych palców.

– Po prostu kimś, kto mnie nie lubi.

– Nikt cię nie lubi – zauważyłam. Nie mogłam się powstrzymać.

– Ona bardziej niż pozostali. Ch-chodźcie. Albo nie, jak chcecie.

Ruszyła do drzwi, nie oglądając się za siebie. Podążyłam za nią, a Finn tymczasem wystawił łokieć przez otwarte okno i zaczął znowu przeglądać „The Autocar”. Z walącym sercem weszłam za Eve w ciemny chłód antykwariatu.

Było to miejsce małe i zatłoczone, ale przytulne. Wysokie mahoniowe gabloty stały rzędami wśród ścian, wejście na tyły przegradzała długa lada i wszędzie dostrzegałam blask chińskiej porcelany. Miśnieńskie wazy, zestawy herbaciane Spode, figurki pasterek z Sèvres i nie wiadomo co jeszcze. Za ladą kobieta w czerni ogryzkiem ołówka uzupełniała księgę rachunków. Na dźwięk otwieranych drzwi uniosła wzrok.

Była krzepką osobą mniej więcej w wieku Eve, nosiła okulary o doskonale okrągłych szklach i miała ciemne włosy splecione w zgrabny kok. Jak u Eve jej twarz znaczyły trudy życia.

– W czym mogę pomóc, *mesdames*?

– To zależy – powiedziała Eve. – Dobrze wyglądasz, Violette Lameron.

Słyszałam to nazwisko po raz pierwszy. Spojrzałam na kobietę za ladą, wyraz jej twarzy pozostał niezmienny. Przechyliła powoli głowę, aż szkiełka jej okularów zaczęły odbijać światło.

Eve parsknęła śmiechem.

– Chcesz, żebyśmy nie widzieli twoich oczu, stara sztuczka. Chryste, zapomniałam o niej.

Violette, czy kimkolwiek była ta kobieta, jednostajnym głosem powiedziała:

– Nie słyszałam tego nazwiska od lat. Kim jesteś?

– Jestem siwiejącym wrakiem i czas nie był dla mnie łaskawy, lecz poszperaj w pamięci. – Eve zatoczyła palcami krąg wokół swojej twarzy. – Drobną dziewczyną o sarnich oczach? Nigdy mnie nie lubiłaś, ale z drugiej strony nigdy nie lubiłaś nikogo poza nią.

– Poza kim? – wyszeptałam, jeszcze bardziej zdumiona, lecz tym razem zobaczyłam, że rysy tamtej kobiety tężeją. Wbrew sobie przechyliła się przez ladę, patrząc nie tyle w twarz Eve, ile przez nią, jak gdyby bruzdy czasu były tylko maską. Zobaczyłam, jak krew odpływa z twarzy antykwariuszki, jak ta twarz blednie w kontraście z wysokim, czarnym kołnierzem.

– Wynocha – powiedziała. – Wynocha z mojego sklepu.

„Jezu – pomyślałam. – W co się wpakowałyśmy tym razem”.

– Zbierasz filizanki, Violette? – Eve przebiegła wzrokiem po półkach pełnych porcelany. – Trochę za łagodnie jak na ciebie. Zrozumiałabym kolekcję głów wrogów... Wtedy jednak spróbowałabyś zdobyć moją.

– Przyjechałaś tu, a więc musisz pragnąć, żebym cię zabiła. – Usta Violette ledwie się poruszyły. – Tchórzliwa suko o nogach z waty.

Wzdrygnęłam się, jak gdyby ktoś mnie spoliczkował. Ale te dwa czołgi po prostu stały tam, rozdzielone ladą i spokojne, jakby rozmawiały o chińskich łyżeczkach. Dwie tak różne kobiety, jedna wysoka, wychudzona i zniszczona, druga silna, elegancka i godna. Ale stawały do pojedynku, wyprostowane i sztywne niczym granitowe bloki, a nienawiść biła od nich

jak dym, czarnymi falami. W ustach mi zaschło, stałam tam jak zaczadzona.

„Kim jesteście – myślałam. – Kim jest każda z was?”

– Jedno pytanie. – Cyniczne rozbawienie Eve zniknęło, była teraz poważna jak nigdy. – Jedno pytanie i znikam. Spytałabym przez telefon, ale się rozłączyłaś.

– Nic ci nie powiem. – Kobieta cedziła słowa, cięła je jakby tępym odłamkiem szkła. – Bo w przeciwieństwie do ciebie nie jestem tchórzliwą suką o długim języku.

Spodziewałam się, że Eve rzuci się na nią. Przystawiła mi lugera do głowy za nazwanie jej starą wariatką. Tutaj zaś znosiła kolejne zniewagi z podniesioną głową, jak gdyby stała naprzeciwko celu na strzelnicy, który przyjmuje kolejne pociski, przy tym spięta, z zaciśniętą szczęką.

– Jedno pytanie.

Violette splunęła jej w twarz.

Odetchnęłam głęboko, robiąc pół kroku w przód, ale równie dobrze mogłoby mnie tam wcale nie być, żadna z nich nie zwracała na mnie uwagi. Eve stała chwilę bez ruchu, ze śliną ciekącą po policzku, a potem ściągnęła rękawiczkę i nieśpiesznie wytarła twarz. Violette przyglądała się jej, szkła okularów odbijały światło, a ja zrobiłam kolejny krok. Nie w taki sposób klóciły się kobiety, które znałam, wzajemnie wbijające sobie szpile, rozpuszczające paskudne plotki krążące po akademiku. Takie właśnie jak ta kończyły się sięgnięciem po pistolet.

„Czemu nic nie może być proste”, pomyślałam.

Eve upuściła rękawiczkę na podłogę i uderzyła gołą dłonią w ladę. Zabrzmiało to jak strzał z karabinu. Dostrzegłam satysfakcję w oczach Violette na widok jej zniszczonych palców.

– Czy René Bordelon zginął w siedemnastym roku? – spytała Eve niskim głosem. – Tak czy nie, i wychodzę.

Poczułam gęsią skórę na plecach. René, bez przerwy wracałyśmy do tego imienia. W raporcie na temat Rose. W koszmarach Eve. Teraz tutaj. „Kim on jest, kim on jest”, myślałam.

Violette wciąż gapiła się na dłonie Eve.

– Zapomniałam o tych twoich palcach.

– Wtedy mówiłaś, że na to zasłużyłam.

Pogarda zmroziła twarz Violette.

– Jąkasz się zdecydowanie mniej. To whisky ci pomaga? Śmierdzisz jak pijaczka.

– Whisky i wściekłość to świetne lekarstwa na jąkanie się. Jestem pełna obu – warknęła Eve. – René Bordelon, ty stara cipo. Co się z nim stało?

– Skąd miałabym wiedzieć? – Wzruszyła ramionami. – Opuściliśmy Francję w tym samym czasie, a on radził sobie bardzo dobrze. Wciąż prowadził Le Lethe.

Le Lethe – restauracja, w której pracowała Rose. „Ale to było w Limoges, nie w Lille”, pomyślałam zdezorientowana. Poza tym szukałam informacji na temat 1944 roku, a nie pierwszej wojny. Otworzyłam usta, żeby to powiedzieć, lecz zamknęłam je zaraz. Nie chciałam wkraczać między te dwie mierzące się wzrokiem kobiety.

Orle spojrzenie szarych oczu Eve pozostawało nieruchome.

– Po wojnie wróciłaś na chwilę do Lille. Cameron powiedział mi, że...

Cameron? Ile nowych postaci zostało właśnie wypchniętych na scenę tego dramatu? Miałam ochotę krzyknąć, ale milczałam wpatrzona w Eve, jak gdybym mogła w ten sposób wydostać z niej odpowiedzi. „Przestań zadawać pytania i zacznij wypluwać odpowiedzi, do cholery”, myślałam.

– Cameron powiedział mi też, że René Bordelon zginął w siedemnastym roku, zastrzelony przez mieszkańców Lille za to, że był parszywym kolaborantem.

– Bo był parszywym kolaborantem – oznajmiła Violette. – Ale nikt go nie zastrzelił, inaczej bym o tym wiedziała. Ludzie tańczyliby na ulicach, gdyby zdechł tak, jak na to zasłużył. Nie, powiedziano mi, że ten drań spakował się i uciekł, gdy tylko Niemcy się wycofali, bo wiedział, że kulka w plecy to najlepsze, czego może się spodziewać. Nikt w Lille nie widział go ponownie, to pewne. Ale żył jeszcze w osiemnastym roku, co najmniej wtedy. Ten człowiek zawsze potrafił przeżyć. – Violette uśmiechnęła się lodowato. – Jeśli więc Cameron powiedział ci coś innego, to kłamał. A zawsze byłaś taka dumna z tego, że potrafisz świetnie wywęszyć kłamstwo.



Nic mi to wszystko nie mówiło, ale dostrzegłam, że dumna postawa Eve traci na sprężystości. Jej zniszczone dłonie chwyciły za krawędź lady. Nim sama się zorientowałam, otoczyłam ją ramieniem w pasie w obawie, że się przewróci. Spodziewałam się, że mnie odepchnie ze zgryźliwym komentarzem, ale jej powieki pozostawały zaciśnięte.

– Kłamca – szepnęła. Kosmyki jej siwych włosów zatańczyły w powietrzu, gdy potrząsnęła głową. – Cholerny kłamca w tweedowym garniturze.

– A teraz – Violette zdjęła okulary i przetarła szkła – wynoście się z mojego sklepu.

– Daj jej chwilę – warknęłam. Eve mogła doprowadzać mnie czasem na skraj szaleństwa, nie zamierzałam jednak pozwolić, żeby jakaś niedowidząca sklepikarka rozerwała ją na strzępy, gdy była tak oszołomiona i bezbronna.

– Nie dam jej choćby trzydziestu kolejnych sekund, a co dopiero „chwili” – odparła, spojrzawszy na mnie po raz pierwszy. Sięgnęła pod ladę, wyciągając lugera, takiego samego jak ten należący do Eve. – Umiem tego używać, dziewczynko. Zabieraj stąd tę sukę, bo będziesz musiała ją wyciągnąć za nogę.

– Co jest z wami i tymi pistoletami, wy stare wariatki? – krzyknęłam, ale Eve wyprostowała się. Jej twarz ściągnęła się w upiorną maskę.

– Skończyłyśmy – powiedziała cicho i ruszyła w stronę drzwi. Zabrałam rękawiczkę z podłogi i podążyłam za nią z łomocącym sercem.

Dobiegł mnie głos Violette z za pleców.

– Śnisz czasem, Eve?

Eve zatrzymała się, ale nie odwróciła. Jej ramiona były proste i sztywne.

– Co noc.

– Mam nadzieję, że cię dusi – powiedziała Violette. – Mam nadzieję, że każdej nocy ona wydusza z ciebie resztki życia.

Brzmiało to tak, jak gdyby Violette sama się dusiła, gdy wychodziłyśmy. Drzwi zamknęły się za nami wraz z odgłosem zdławionego szlochu, nim zdążyłam spytać, o kogo chodzi.

\*\*\*

– Przepraszam – powiedziała Eve ni stąd, ni zowąd.

Byłam tak zaskoczona, że mało nie wylałam kawy. Siedziała śmiertelnie blada, z palcami zaciśniętymi niczym szpony wokół kubka kawy.

Kiedy wyszliśmy ze sklepu, Eve usiadła w lagondzie i gapiała się przed siebie, a ja powiedziałam cicho do Finna: „Znajdź hotel”. Finn zajechał do *auberge* naprzeciwko przytulnego ratusza Roubaix i ruszył zaparkować lagondę, podczas gdy ja i Eve usiadliśmy przy jednym ze stolików na otwartym dziedzińcu hotelu. Swoim perfekcyjnym francuskim zamówiła kawę i zignorowała dezaprobatę w spojrzeniu kelnera, gdy wlała do filiżanki zawartość srebrnej piersiówki.

Podniosła na mnie wzrok i niemal wzdrygnęłam się na widok pustki w jej oczach.

– Nie powinnam cię tu zabierać. Strata twoich p-pieniędzy. Nie szukałam twojej kuzynki, szukałam kogoś innego.

– Tej kobiety?

– Nie. – Eve pociągnęła łyk swojej wzmocnionej kawy. – Mężczyzny, o którym przez ostatnie trzydzieści lat myślałam, że nie żyje... Przypuszczam, że Cameron powiedział mi, że nie żyje, żebym zaznała spokoju. – Pokręciła głową. – Cameron był tak cholernie szlachetny, za szlachetny, żeby zrozumieć taką podłą sukę jak ja. Zaznałabym spokoju, widząc głowę René nabitą na pal.

Cedziła słowa wpatrzona w tłum recepcjonistów i hotelowych gońców kotłujących się pośród doniczkowych paproci.

– René... Bordelon, tak powiedziałaś w sklepie. – Teraz miałyśmy również nazwisko tajemniczego *monsieur* René.

– Był właścicielem Le Lethe. Tego w Lille w każdym razie.

– Skąd go znałaś?

– Pracowałam dla niego w czasie pierwszej wojny.

Zawahałam się. Ostatnia wojna tak całkowicie przesłoniła poprzednią, że nie wiedziałam wiele o tym, jak wyglądały czasy, gdy Niemcy zaatakowali po raz pierwszy.

– Jak bardzo źle było, Eve?

– Och, sama wiesz. Niemieckie buty depczące karki głodujących, ludzie zabijani w zaułkach. Źle.

A więc stąd brały się jej koszmary. Spojrzałam na jej zniszczone dłonie i zadrżałam.

– Istniały zatem dwie restauracje Le Lethe?

– Wygląda na to, że tak, skoro twoja kuzynka pracowała w tej w Limoges. Poczułam fale chłodu biegnące wzdłuż kręgosłupa.

– A ten drugi mężczyzna o imieniu René? Czy może René Bordelon był również właścicielem restauracji w Limoges?

Jej dłoń uderzyła w stół.

– Nie – powiedziała. – Nie.

– Eve, nie wierzę w tak wiele zbiegów okoliczności, ty też nie. Kobieta ze sklepu powiedziała, że przeżył pierwszą wojnę, uciekając z Lille. Spokojnie mógł dożyć czterdziestego czwartego roku, gdy Rose pojawiła się w Limoges. On może wciąż żyć.

Podniecenie płynęło teraz przeze mnie razem z niepokojem. Pracodawca Rose, ktoś, kto ją znał – choćby był potworem – miał wreszcie imię. Imię oznaczało, że mogłam go odnaleźć.

Eve kręciła z uporem głową.

– Byłby po siedemdziesiątce. On... – Jej głowa wciąż kiwała się mechanicznie w tył i w przód. – Może przeżył pierwszą wojnę. Ale nie może być nadal żywy, nie ktoś taki jak on, nie po trzydziestu latach. Ktoś wpakowałby kulę w ten jego czarny zgniły mózg.

Zerknęłam w dół na swoją zimną kawę, niezdolna do porzucenia nadziei.

– W każdym razie ta restauracja w Limoges prawdopodobnie wciąż jest. Tam właśnie się wybieram.

– Miłej zabawy, jankesko. – Głos Eve był twardy. – Tutaj się rozstaniemy. Zamrugałam zdziwiona.

– Przed chwilą mówiłaś, że chcesz zobaczyć jego głowę nabitą na pal. Jak to możliwe, że nie rwiesz się do odszukania dawnego wroga?

– Co cię to o-o-obchodzi? Nie masz ochoty się mnie pozbyć?

Miałam. Ale to było, zanim zdałam sobie sprawę, że jej stawka w tych poszukiwaniach była równie wysoka jak moja. Chciała kogoś odnaleźć, podobnie jak ja. Nie potrafiłabym wykluczyć jej z czegoś, co miało tak wielkie znaczenie. Zdążyłam już zrezygnować z planu porzucenia Eve,

przekonana, że będzie nalegała na dokończenie poszukiwań, a tymczasem ona zamierzała się poddać?

– Rób, co chcesz. Ja kończę z szukaniem wiatru w polu. – Jej głos był szorstki, spojrzenie puste. – René musi być martwy. Twoja kuzynka też.

Tym razem to moja dłoń uderzyła w stół.

– Nie – warknęłam. – Nie waż się. Chowaj głowę w piasek na myśl o swoich demonach, jeśli masz ochotę, ale ja zamierzam ścigać swoje.

– Głowę w piasek? Dwa lata po zakończeniu wojny, a ty pokładasz nadzieję w jakiejś bajeczce o tym, że twoja kuzynka wciąż żyje.

– Wiem, jakie są szanse – odparłam. – Nawet jeśli to tylko promyk nadziei, wolę go od rozpacz.

– Nie masz nawet promyka. – Eve nachyliła się do mnie przez stół, jej szare oczy błyszczały. – „Dobrzy” nigdy nie przeżywają. Zdychają w rowach, przed plutonami egzekucyjnymi i na brudnych więziennych pryczach za grzechy, których nigdy nie popełnili. Oni zawsze umierają. To podli żyją długo i szczęśliwie.

Uniosłam brodę.

– Skoro tak, to dlaczego jesteś przekonana, że ten twój René Bordelon nie żyje? Dlaczego ma być martwy, skoro podłym zawsze się udaje?

– Bo gdyby żył, czułabym to – powiedziała cicho. – Tak jak ty czułabyś, gdyby twoja kuzynka była martwa. Co być może czyni nas obie szalonymi, ale w każdym razie oznacza, że to dla nas koniec.

Spojrzałam na nią i powiedziałam bardzo dobitnie:

– Tchórz.

Myślałam, że wybuchnie. Ona jednak siedziała skulona jak w oczekiwaniu na cios, gdzieś na dnie jej oczu zobaczyłam panikę. Nie chciała, żeby jej stary wróg wciąż żył. A więc był martwy. Prosta sprawa.

– Dobrze więc. Nic mnie to nie obchodzi. – Sięgnęłam po portfel i odliczyłam pieniądze, jakie byłam jej winna, odejmując to, co zapłaciłam właśnie za jej pokój hotelowy. – Pełna wypłata. Postaraj się nie przepić tego w jednym barze.

Wstała, zbierając banknoty. Bez słowa pożegnania wzięła klucz do pokoju i odeszła w stronę schodów.

Nie wiem, czego się spodziewałam. Może tego, że powie mi więcej o Lille i Wielkiej Wojnie. I dlaczego jej ręce są... Nie wiem. Siedziałam przy stoliku jak głupia, czułam się porzucona i żałowałam, że w antykwariacie objęłam ją w pasie i pozwoliłam się oprzeć na mnie. Bo nawet gdy wydedukowała istnienie Drobego Kłopotu i była wystarczająco nietaktowna, żeby o tym wspomnieć, jakaś część mnie wciąż pragnęła jej szacunku. Była inna od każdej kobiety, którą dotąd spotkałam; mówiła do mnie jak do dorosłej, a nie jak do dziecka, i mimo to teraz pozbyła się mnie jak zużytego niedopałka. Powiedziałam sobie, że nic mnie to nie obchodzi. Cóż, jednak obchodziło.

„Nie potrzebujesz jej – skarciłam się w duchu. – Nie potrzebujesz nikogo”.

Zjawił się Finn z moją walizką na ramieniu.

– Gdzie jest Gardiner?

Podniosłam się.

– Mówi, że to koniec.

Jego uśmiech zniknął.

– Zatem się zmywasz?

– Zapłaciłam już za pokoje, więc równie dobrze możecie zostać z Eve na noc. Ale wcale bym się nie zdziwiła, gdyby rano zdecydowała, że chce wracać do Londynu.

– A ty gdzie się wybierasz?

– Do Limoges. Moja kuzynka może tam być. Albo ktoś, kto ją znał. – Posłałam Finnowi pozbawiony wyrazu uśmiech, unikając jego spojrzenia.

– Teraz?

– Jutro. – Byłam zbyt zmęczona, by tego dnia jeszcze się gdzieś ruszać, zapłaciłam więc również za pokój dla mnie.

– No cóż. – Odgarnął włosy znad oczu, wręczając mi bagaż. Zastanawiałam się, czy było mu przykro, czy może czuł ulgę na wieść, że ich zostawiam. Raczej czuł ulgę.

Chciałam powiedzieć: „Przepraszam. To moja wina, że uznałeś mnie za dziwkę. Żałuję, że się z tobą nie przespałam. Czyli naprawdę jestem dziwką. Przepraszam”. Zamiast tego wyrzuciłam z siebie jedyną rzecz, która przyszła mi do głowy, a nie dotyczyła mnie wdrapującej mu się na kolana, żeby wpić się w jego usta.

– Jak wylądowałaś w więzieniu?

– Ściągnąłem *Monę Lisę* prosto ze ściany w British Museum – odparł z kamienną twarzą.

– *Mona Lisa* nie wisi w British Museum – sprzeciwiłam się.

– Nie, już nie wisi.

Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Na ułamek sekundy złapałam nawet jego spojrzenie.

– Powodzenia, panie Kilgore.

– Powodzenia, panienko. – Moje serce urosło odrobinę na dźwięk słowa „panienko”.

Ale po wyjściu Finna nie mogłam się jeszcze zmusić, żeby pójść do pokoju. Dopadła mnie kolejna fala całkowitego wyczerpania, a poza tym siedzenie w samotności w hotelowym pokoju wydawało się smutniejsze niż pozostanie na zatłoczonym hotelowym dziedzińcu. Zamówiłam kolejną kawę i siedziałam, gapiąc się na nią.

Powiedziałam sobie, że samej będzie mi łatwiej. Nigdy więcej szalonej, starej raszpli celującej do mnie z pistoletu. Nigdy więcej obelg, nigdy więcej opóźnień przez kaca Eve i to, że nie potrafi podróżować inaczej niż w poobijanym wraku. Nigdy więcej szkockich skazańców sprawiających, że zachowuję się jak dziewczyna sama pakująca się w kłopoty, w których przecież i tak już jest. Nigdy więcej bycia nazywaną „jankeską”. Mogę wreszcie wyruszyć sama na poszukiwania Rose, wolna i czysta.

Sama. Nie powinnam czuć się tak dziwnie, byłam do tego przyzwyczajona. Pozostawałam sama tak naprawdę, odkąd rozstałam się z Rose, jeszcze przed wojną. Sama w zabieganej rodzinie, która ledwo dostrzegała, że tam jestem; sama w roześmianym dormitorium z dziewczynami z akademika, które też nie dostrzegały, że jestem wśród nich.

„Weź się w garść – powiedziałam sobie ostro, gdy mijał mnie chłopiec hotelowy. – Zwyczajnie weź się w garść. Nie użalaj się nad sobą, Charlie St. Clair, bo to po prostu cholernie nudne”.

Eve zostawiła we mnie ślad. Teraz bez przerwy przeklinałam. Nawet we własnej głowie.

„Masz na mnie zły wpływ – oznajmił Drobny Kłopot. – Cicho bądź – zwróciłam się do własnego brzucha. – Nie jesteś prawdziwy. Nie słyszę cię”.

„Czyżby?”

Pięknie. Drobny Kłopot zaczął mówić. Najpierw halucynacje, teraz głosy.

Wtedy usłyszałam przenikliwy, czarująco modulowany okrzyk tuż za sobą.

– Charlotte! Och, *ma p'tite*, jak mogłaś...

Poczułam zimny pot na czole i odwróciłam się, żeby ujrzeć matkę, która właśnie mnie znalazła.

# 12

## Eve

*Lipiec 1915*

To był bardzo dobrze zorganizowany rabunek. Niemal pedantyczny. Przybyli w samo południe: niemiecki oficer z teczką pod pachą, a po obu jego skrzydłach żołnierze. Stukanie rozległo się raptownie, słychać w nim było brutalną nadgorliwość. Podobne jak w tonie oficera, kiedy szczechnął:

– Inspekcja miedzi!

Pretekst taki dobry jak każdy inny. Już na pierwszy rzut oka było widać, że w pokoju nie znajdzie się żaden kawałek miedzianego poszycia, żadna miedziana rura. Nic, co nadawałoby się do niemieckiej zbiórki metalu.

Eve dobrze wiedziała, co robić. Lili i Violette dokładnie ją przeszkoliły. Przekazała swoje dokumenty i stała oparta o ścianę, gdy przewracali mieszkanie do góry nogami. I po co? Niewiele mogli znaleźć, a jeszcze mniej wziąć. Oczywiście z wyjątkiem należącego do Eve lugera, który leżał ukryty pod podwójnym dnem jej powycieranej torby podróżnej. No i najświeższego raportu dla Lili zawierającego szczegółowy opis kolejnej dostawy samolotów, które miały pilnować przestrzeni powietrznej Lille, razem z nazwiskami i datą przybycia ich pilotów. Wszystkie informacje zasłyszane, gdy Eve przyniosła tacę z crème brûlée i Kirschtorte dwóm niemieckim kapitanom na tyle nierozważnym, by dyskutować o pracy przy deserze. Cieniutką kartkę miała wczepioną we włosy.

Oficer i jego ludzie byliby w siódmym niebie, gdyby ją znaleźli.

Tak więc Eve spoglądała na czubki swoich palców u stóp, niby wijąc się ze wstydu i zmieszania, gdy jej ubrania latały po pokoju, a materac był dźgany i szturchany. Tylko na chwilę strach zmroził jej serce – jeden z żołnierzy uniósł torbę podróżną i potrząsnął nią parę razy – ale drugie dno było wypchane materiałem, a pistolet porządnie w nie wciśnięty. Po chwili torba znów znalazła się na podłodze.

Któryś wojskowy ściągnął ze ściany karnisz, by bliżej się mu przyjrzeć.



– Szmelc – powiedział, po czym rzucił go gdzie popadnie.

Zerwane zasłony wepchnął do worka, spoglądając przy tym ukradkiem na Eve jakby w poszukiwaniu choć najmniejszego znaku protestu. Nie dała po sobie nic poznać. Wzięła głęboki oddech, kryjąc w nim swoją złość, i powoli wypuściła powietrze z płuc. Te drobne sytuacje, których świadkiem była codziennie, potrafiły doprowadzić ją do szału o wiele pręcej niż ogólna świadomość tego, co się dzieje. Fakt, że niemieccy żołnierze mieli prawo ją rozstrzelać, o wiele mniej ją gniewał niż ich obecność w jej pokoju. Wparadowali tu jak gdyby nic i zabrali zasłony.

– Ukrywasz coś, *Fräulein*? – zapytał żołnierz, a jego ręka spoczęła na karku Eve. – Jedzenie... Może jakieś mięso?

Jego palce gładziły ją po skórze niecałe centymetry od zapisanej kodem wiadomości. Spojrzał prosto w jej szeroko otwarte, niewinne oczy. Niech ją głaszcz, dotyka, nieważne, byleby nie odnalazł małej, zwiniętej rolki papieru.

– Nie, *monsieur*.

Wytaszczyli za drzwi wór zagrabionych przedmiotów. Eve pamiętała, by lekko kiwnąć głową i wymamrotać parę słów podziękowania, gdy po zapisaniu wszystkiego w swoim notatniku oficer wręczył jej bon za zasłony. Bony nie miały żadnego pokrycia, ale procedury są po to, aby ich przestrzegać. Była to lekcja, jaką okupanci szybko wpoili Francuzom.

Już od ponad miesiąca Eve praktykowała oba swoje zajęcia w Lille. Każdego ranka po wyjściu z łóżka wślizgiwała się w postać Marguerite Le François, wczuwając się w swoją nową tożsamość z tak wielką łatwością, że chwilami zapominała, kim naprawdę jest. Marguerite rzadko wychodziła z pokoju – czasem musiała jednak uzupełniać zapasy jedzenia – i robiła wszystko, by nie zwracać na siebie uwagi. Marguerite witała się lękliwie z rodziną mieszkającą po drugiej stronie ulicy, z mizerną matką paru wychudzonych dzieciaków, i obdarzała piekarza nieśmiałym uśmiechem zawsze, gdy przepraszał za twardej jak skała chleb. Milkliwość nie wyróżniała jej z tłumu. Większość mieszkańców Lille była podobnie wycofana, apatyczna z powodu głodu i monotonii ciągłego strachu.

Takie nastąpiły czasy i być może trzeba się było z tym pogodzić. Lecz dla Eve szarość dni stawała się znośna wyłącznie dzięki nocom. Sześć dni

w tygodniu harowała w Le Lethe – i przynajmniej raz w tygodniu podsłuchiwała coś, co warto było przekazać Lili.

– Miło b-byłoby wiedzieć, czy c-cokolwiek to zmienia – wyznała szefowej siatki Alice pewnej długiej lipcowej nocy.

Przelotne wizyty Lili sprawiały wrażenie kropli szampana w życiu mdłym jak słaba herbata – zrzucała wtedy z siebie Marguerite niczym poszarzałą sukienkę i przemieniała się na powrót w Eve.

– Skąd p-pewność, że ma to ja-ja... że ma to jakikolwiek sens?

– Nie mamy pewności. – Lili wsunęła ostatni raport Eve za rozpruty szew w torebce. – Przekazujemy każdą informację, która wydaje się pomocna, a potem modlimy się, żeby rzeczywiście się taka okazała.

– A przekazałaś kiedyś w-wiadomość, która nie-niewątpliwie coś zmieniła? – Eve nie dawała za wygraną.

– Parę razy. Co za uczucie! – Cmoknęła się w palce. – Ale bez obaw. Wujek Edward kazał mi cię powiadomić, że wykonujesz robotę pierwsza klasa. Co Brytyjczycy mają z tymi klasami? Nie wszystko musi mieć swoją szufladkę. To jakby puszyć się z powodu ukończenia szkoły prywatnej. – Lili posłała Eve swój łobuzowaty uśmiešek. – No i proszę! Ten rumieniec to moja sprawka?

Robota pierwsza klasa. Słowa te kołysały Eve do snu. Materac był twardy i ciężki, a gorące noce kruszyły się od dalekich uderzeń pocisków artyleryjskich. Ale w Lille pomimo grożącego jej niebezpieczeństwa Eve spała jak dziecko. Była niedożywiona, chociaż co noc otrzymywała swoją część resztek ze stołów restauracyjnych, pracowała każdego dnia do upadłego, a za jedyne go stałego towarzysza miała strach; straciła na wadze, kolory opuściły jej policzki, chwilami wydawało jej się, że za filizankę porządnej kawy gotowa byłaby zabić, ale zasypiała uśmiechnięta. Każdego ranka pozwalała sobie na jedną własną myśl, zanim stawała się Marguerite.

„Tu jest moje miejsce”.

Nie tylko Eve miała takie wrażenie.

– *Putain de merde* – westchnęła pewnego wieczoru Lili, gdy przeglądając talię kart z fałszywymi tożsamościami, nie potrafiła zdecydować, czy woli jutro odegrać rolę młodej szwaczki Marie, czy też wcielić się w pracującą

w pralni Rosalie. – Jak sobie poradzę, kiedy po wojnie znowu będę po prostu sobą? Co za nuda.

– Wcale nie jesteś n-nudna. – Eve uśmiechnęła się do sufitu, leżąc na twardym materacu. – To ja jestem nudna. S-segregowałam listy, sypiałam w b-bursie, a r-resztkami kolacji dzieliłam się z k-kotami. – Teraz trudno było jej uwierzyć, że kiedyś mogła tak żyć.

– To nie znaczy, że byłaś nudna, *ma petite*. Tylko znudzona. A większość kobiet się nudzi z tego prostego powodu, że bycie kobietą jest nudne. Wychodzimy za męża, bo tak się przyjęło. A potem rodzimy dzieci i szybko się okazuje, że są one jedyną rzeczą nudniejszą niż inne kobiety.

– Czy to znaczy, że z-zanudzimy się na śmierć, kiedy s-skończy się wojna i stracimy p-pracę? – pomyślała Eve na głos.

Nie potrafiła wyobrazić sobie, by wojna kiedykolwiek miała się skończyć, zdawała się pochłaniać wszystko, być wszędzie. W sierpniu zeszłego roku każdy zarzekał się, że do Gwiazdki będzie już po wszystkim. Ale tutaj, parę kilometrów od okopów, gdzie w tle rozlegała się wieczna kanonada strzałów, a zegarki były na stałe przestawione na czas niemiecki, nie wydawało się to takie pewne.

– Po wojnie znajdziemy inną robotę. – Lili rozłożyła talię kart z tożsamościami niczym wachlarz. – Wolałabym zająć się czymś ekscytującym, a ty? Czymś... wyjątkowym.

„Lili już jest wyjątkowa... w przeciwieństwie do mnie”, przeleciało przez głowę Eve. Myśl ta nie była podszyta zazdrością, bo to dzięki temu obie tak sprawnie wypełniały swoje zadanie. Stać się każdym; za pomocą paru sztuczek, zmiany postury czy wymowy przepływać z jednej tożsamości w drugą – szwaczki, praczki czy sklepowej – oto misja, jaką powierzono Lili. A o ile od Lili wymagano, by potrafiła stać się każdym, o tyle od Eve oczekiwano, że pozostanie nikim, cieniem, na który nikt nie zwróci uwagi.

Kwestia ta nie dawała jej spokoju. Jak się okazuje, ktoś jednak zwrócił na nią uwagę.

Tamtej nocy René Bordelon został w restauracji po wyjściu ostatniego gościa. Nie po raz pierwszy, czasem lubił rozkoszować się cygarem, gdy pracownicy w ciszy sprząтали dookoła. Wśród Niemców miał opinię *bon vivanta*, choć ze znanych tylko sobie powodów wolał pędzić niemal

samotniczy tryb życia. Pod tym względem przypominał rekina. Mieszkał sam, czasem pozostawiał restaurację pod opieką szefa kuchni, by obejrzeć sztukę lub pójść na koncert, a popołudniowe temperatury znosił w nieskazitelnym kaszmirowym płaszczu, machając przy tym laską o srebrnej główce. Eve zastanawiała się, o czym mógł rozmyślać wieczorami, gdy uśmiechając się w stronę ciemnych okien, pozwalał, by restauracja zamykała się dookoła niego. Może zwyczajnie cieszył się dziennym utargiem? Eve trzymała się od niego z daleka. Odkąd rozpoznał jej akcent, a potem przymusił do wyjawienia miejsca urodzenia, omijała go szerokim łukiem.

Lecz zdarzało się, że nie ułatwiał jej tego zadania.

– Niech pani schowa tę płytę – powiedział, gdy Eve sprzątała stoły. Gramofon w kącie izby, niekiedy przygrywający cicho niemieckim patronom, którzy mieli słabość do ojczystej muzyki, wydawał z siebie szum. Nagranie dobiegło końca. – Z czasem i Schubert zaczyna męczyć.

Starając się uciec z jego pola widzenia, Eve ruszyła w stronę gramofonu. Było już po północy. Jej pracodawca siedział przy stole w jasno oświetlonym rogu sali. W dłoni trzymał kieliszek koniaku. Inne stoły stały puste, obrusy były poplamione winem, zasłane okruchami ciast. Na niektórych wciąż stały kieliszki. Z kuchni dobiegały odgłosy krzątania zbyt ciche, by zakłócić panujący w sali spokój.

– Wybrać inną płytę, *monsieur*? – wymamrotała Eve.

Pragnęła jedynie skończyć pracę, dostać się do domu i spisać plan przyjazdu pociągów, które wiozły rannych żołnierzy z frontu – istną perełkę, którą podłapała tego wieczoru...

Odstawił koniak.

– Nie lepiej będzie, jeśli sam zapewnię nam muzykę?

– *Monsieur*?

Jeden z kątów sali zajmował instrument, mały fortepian przykryty chustą wyszywaną w fantastyczne wzory i przyozdobiony paroma świecami. Jego obecność sprawiała wrażenie, że Le Lethe wcale nie jest restauracją, lecz prywatnym mieszkaniem, którego kuchnię obsługuje wyjątkowo utalentowany kucharz. Bordelon podszedł do fortepianu nieśpiesznym krokiem, usiadł przy nim, po czym przemknął swoimi

nadzwyczajnie długimi palcami po klawiszach. Gdy zaczął w nie uderzać, rozbrzmiała melodia jakby złąkniona, unosząca się i opadająca jak krople deszczu.

– Satie – wyjaśnił. – Jedna z *Gymnopedies*. Zna je pani?

Eve знаła doskonale. Marguerite nie.

– Nie, *monsieur* – odpowiedziała, zbierając na tacę serwetki i zagubione widelce. – Nie znam się na m-muzyce.

– A chciałaby pani, bym panią nauczył? – Delikatna, senna melodia nie cichła. – Satie jest impresjonistą, choć nie pozwala sobie na ekscesy w stylu Débussy'ego. Tworzy kompozycje czytelne, ale i eleganckie w sposób niezaprzeczalnie francuski. Tak w każdym razie zawsze uważałem. Potrafi wzbudzić melancholię bez zbędnych ozdobników. Trochę niczym piękna kobieta w najzwyczajniejszym stroju, która doskonale rozumie, jak niepotrzebne są te wszystkie koronki i szale.

Jego wzrok powędrował na chwilę ku Eve.

– Pani pewnie nigdy nie posiadała eleganckiej sukni?

– Nie, *monsieur*.

Eve przeniosła na tacę dwa kieliszki do wina, jeden pusty, drugi częściowo wypełniony paroma łykami nieskazitelnie złotego trunku. Spojrzenie uparcie wlepiła w ten napój – wszystko, byle nie patrzeć na swojego pracodawcę. W pierwszej lepszej restauracji kucharze opróżniliby zawartość kieliszka, gdy tylko zaniósłaby go na zaplecze. Nie tutaj. Tu z namaszczeniem odleją te trzy łyki wina z powrotem do butelki, ponieważ nawet restauracja opływająca w produkty zakupione na czarnym rynku nie mogła sobie pozwolić, by marnować alkohol. Co innego resztki jedzenia, a co innego ostatki wina. Tych pod koniec nocy nie rozdzielano między pracowników. Każdy, począwszy od najbardziej gburowatego kuchty, na wyszczekanym kelnerze kończąc, rozumiał, że René Bordelon był skłonny odprawić pracownika choćby za te nędzne trzy łyki białego wina.

Pracodawca Eve wciąż grał, w tle unosiła się i opadała melodia płynąca z fortepianu, uparcie przyciągająca jej uwagę.

– Skoro analogia do pięknej sukni bez falban do pani nie przemawia, proponuję przyrównać muzykę Satiego do wyśmienitego wytrawnego

vouvray. Elegancja i umiarkowanie. – Skinął głową w stronę kieliszka na tacy Eve. – Proszę spróbować. Niech się pani sama przekona.

Na jego twarzy widniał cień uśmiechu. Czy kierował nim jakiś nagły kaprys? Eve miała taką nadzieję. W duszy błagała, by nie chodziło o nic innego. Niezależnie od jego pobudek nie mogła odmówić. Podniosła kieliszek i pociągnęła nieśmiało jak mała dziewczynka. Rozważała, czy się nie zakrztusić, ale to już mogłaby być lekka przesada. Odkładając pusty kieliszek, uśmiechnęła się nerwowo.

– Dziękuję, *monsieur*.

Ku wielkiej uldze Eve René nie powiedział już nic więcej. Skinieniem głowy pozwolił jej wyjść. Raz jeszcze zerknęła w stronę samotnej sylwetki przy fortepianie: nie zwracaj na mnie uwagi, miała ochotę błagać, jestem nikim. Lecz wcale nie była pewna, czy jej pracodawca podziela to zdanie. Starannie opracowaną przez nią anonimowość podważył w dniu, w którym spostrzegł, że głoski, z których składa się jej mowa, nie pasują do danych zawartych w jej dokumentach. Zainteresowało go to, wciąż badał, pytał. Być może i teraz zastanawiał się, jakie sekrety skrywa Marguerite Le François.

Dwa wieczory później właściciel Le Lethe opuścił salę restauracyjną niedługo przed zamknięciem. Wkrótce starszy kelner wręczył Eve księgę rachunkową i wysłał na górę, do wystawnego gabinetu, gdzie czekał na nią ten znajomy cień uśmiechu.

– *Mademoiselle* – zwrócił się do niej, opuszczając książkę i znacząc stronę.  
– Dzisiejszy utarg?

Eve kiwnęła głową i przekazała mu rejestr. Przerzucił parę stron, zwracając uwagę na jakąś plamkę i jedną nietypową rezerwację, po czym powiedział niespodziewanie:

– Baudelaire.

– Słucham, *monsieur*?

– Marmurowe popiersie, od którego nie potrafi pani oderwać wzroku. To replika popiersia Charles’a Baudelaire’a.

Eve spoglądała na rzeźbę jedynie po to, by nie patrzeć w stronę swojego pracodawcy. Dopiero teraz dotarło do niej, co przedstawia. Zamrugowała.

– Tak, *monsieur*.

– Zna pani Baudelaire’a?

Eve pomyślała, że Marguerite straci na wiarygodności, jeśli wyjdzie na zupełną ćwierćinteligentkę. Niestety *monsieur* Bordelon dawno zważył w jej głupotę.

– Słyszałam o nim.

– Tomik *Kwiaty zła* to zbiór najwspanialszych wierszy, jakie kiedykolwiek spisano na papierze. – Zakładka trafiła między kartki księgi rachunkowej. – Poezja nieodłącznie wiąże się z pasją. Nie powinna być jedynie ładna... powinna przytłaczać i kaleczyć, rozumie pani? Baudelaire doskonale to pojmował. Piękno mieszał z tym, co obsceniczne, lecz robił to w sposób bardzo... elegancki. – Na jego twarzy znów pojawił się uśmiech. – Nadzwyczaj francuski zabieg, z bezwstydną niemoralnością uzyskać wytworność. Niemcy też tak próbowali, ale nigdy nie wzniesli się ponad zwyczajną wulgarność.

Eve zaciekało, czy jego obsesja na punkcie elegancji dorównywała jego uwielbieniu dla wszystkiego co francuskie.

– Tak, *monsieur*.

Jej odpowiedź jakby go rozbawiła.

– Czyżby dziwiło to panią, *mademoiselle*?

– Dziwiło?

– Że usługuję Niemcom, choć uważam ich za wulgarnych. – Wzruszył ramionami. – Ponieważ są wulgarni. Na tak prymitywnej nacji można jedynie zarabiać. Za mało osób zdaje sobie z tego sprawę. Większość mieszkańców Lille wybiera pogardę i głód, zamiast myśleć praktycznie i się bogacić. Żyją zgodnie z mottem, że pozwolę sobie tu zacytować Baudelaire’a: „Wolałbym raczej zmówić się z krukami, by zleciały się szarpać me plugawe ciało”, niż służyć Niemcom. Szkoda, ale ta uparta duma nie zapewni nam zwycięstwa. – Długim palcem delikatnie gładził grzbiet rejestru. – Tylko wyda nasze ciała na pastwę kruków.

Eve kiwnęła głową. Co innego mogła zrobić? W uszach dzwoniło jej od powolnych uderzeń zmrożonego strachem serca.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, Francuzi potrafią być praktyczni – ciągnął dalej. – Historycznie rzecz biorąc, myśleniem praktycznym ugraliśmy więcej niż dumą... gdy już uda nam się na nie zdobyć. To

względy praktyczne skróciły naszego króla o głowę. Natomiast duma obdarzyła nas Napoleonem. Proszę się zastanowić, co w ogólnym rozrachunku bardziej pomogło? – Spojrzał na nią pytająco. – Pani, jak mi się zdaje, jest istotą praktyczną. Zaryzykowała pani wiele, kłamiąc w swoich papierach, ponieważ zauważyła pani możliwość zysku. Świadczy to o pani pragmatyzmie i, co ważniejsze, o wielkiej śmiałości.

Wolała, by nie zastanawiał się dłużej nad tym, jak umiejętnie potrafi kłamać.

– Czy r-rejestr będzie jeszcze potrzebny, *monsieur*? – wtrąciła. Zignorował pytanie.

– Jeżeli pamięć mi służy, na drugie ma pani Duval? Baudelaire również miał swoją *mademoiselle* Duval, choć nazywała się Jeanne, nie Marguerite. Kreolka, którą wyciągnął z rynsztoku i przemienił w piękność. Jego czarna Wenus, jak ją nazywał, natchnęła go do spisania wielu nieprzyzwoitych i lubieżnych scen na tych stronach. – Poklepał okładkę książki odłożonej, gdy Eve wchodziła do gabinetu. – O wiele ciekawiej wydobywać piękno, niż delektować się pięknem gotowym, nie sądzi pani? „Niejeden cenny klejnot śpi w ziemi, gdzie nie dojrzy go nikt, w mroku i zapomnieniu”... – Spojrzał wprost na nią szeroko otwartymi oczami, nie mrugając. – Zastanawia mnie, jakie klejnoty drzemią pod tą pani skromną powierzchownością.

„On wie – pomyślała Eve, sparalizowana nagłym przyływem lodowatego strachu.

„Nie... nie może nic wiedzieć”, uspokoiła się niemal natychmiast. Wypuściła powietrze i spuściła wzrok.

– Pan Baudelaire wydaje się b-bardzo interesujący – odparła. – Z chęcią z-znowu po niego sięgnę. Czy to będzie w-wszystko, *m-m-m...*

– Tak – wręczył jej z powrotem księgę rachunkową.

Eve zamknęła za sobą drzwi. Gdy tylko znalazła się w samotności, jej kolana odmówiły posłuszeństwa. Była zlane potem. Po raz pierwszy od czasu przyjazdu do Lille czuła, jak rośnie w niej panika. Uciekać, biec, schować się gdzieś. Gdziekolwiek, byle daleko.

Violette wciskała swojego lugera pod fałszywe dno torby podróźnej, gdy Eve wreszcie wróciła z pracy. Wystarczyło jedno spojrzenie na pobladłą twarz towarzyszkę.



– Nerwy? – powiedziała z lekką rezygnacją.

– N-nie.

Eve zaczęła, aż nieunikniona rutyna sprawdzania okien i drzwi dobiegnie końca. Nie było nikogo, żadnego przybłądy, który mógłby podsłuchać ich rozmowę. Choć pokój, odizolowany od reszty świata grubymi kamiennymi murami, znajdował się w opuszczonym budynku, lepiej było nie ryzykować.

– Szef coś podejrzewa – zaczęła cichym głosem. Violette uniosła głowę.

– Zadaje niewygodne pytania?

– Nie. Ale rozmawia ze mną. Ze m-mną, swoją podwładną. Przeczuwa, że coś nie jest w p-porządku.

– Weź się w garść. Nie czyta ci w myślach.

Eve nie była tego taka pewna. Wiedziała, jak niepoważnie to brzmi, jednak nie potrafiła przestać o tym myśleć.

– Dostarczasz Lili ważne informacje, więc lepiej nie łap teraz cykora.

Violette zdjęła okrągłe okulary i wdrapała się na swój prowizoryczny materac. Eve miała ochotę błagać o przeniesienie – przydział do miejsca, w którym nie napotykałaby co chwilę świdrującego wzroku René Bordelona – lecz ugryzła się w język. Nie zniosłaby pogardy Violette. Co ważniejsze jednak, nie miała zamiaru zawieść Lili. Lili jej zaufała, polegała na niej. Polegał też kapitan Cameron. Robota pierwsza klasa. „Weź się w garść – zrugła siebie. – Gdzie się podziała Evelyn Gardiner, która odnalazła swoje powołanie? Oszukałaś René Bordelona raz, zrobisz to znowu. I znowu, jeżeli będzie trzeba”.

– Może nie patrzy na ciebie podejrzliwie. – Głos Violette rozległ się w ciemności, przzerwany ziewnięciem. – Może to pożądanie.

– Nie. – Eve zaśmiała się sucho, schylając się, by rozwiązać buty. – Jestem dla niego z-za mało e-elegancka. Marguerite Le François to szara m-myszka. Z-za prosta na jego g-gust.

Pomimo prychnięcia Violette była tego całkowicie pewna.

# 13

## Charlie

*Maj 1947*

Stała przede mną. Moja matka: pachnąca lawendą i piękna jak zawsze... Tylko teraz oczy za woalką stylowego błękitnego kapelusza miała pełne łez. Już to wprawiło mnie w osłupienie, a ona tymczasem przyciągnęła mnie do siebie i zamknęła w uścisku.

– *Ma chère*, jak mogłaś! Przepaść tak gdzieś w obcym kraju! – Łajała mnie, ale czułam wokół siebie jej ramiona, a na plecach dłoń w rękawicze głaszczącą mnie tak, jakbym była małym dzieckiem. Odsunęła się i potrząsnęła mną lekko. – Tak mnie przerazić, i to bez powodu!

– Miałam powód. – Udało mi się wtrącić, lecz ona znów mnie objęła. Dwa uściski w ciągu paru minut, nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy matka ostatnio mnie przytulała, ale na pewno było to przed pojawieniem się Drobnego Kłopotu. Na długo przedtem. Właściwie nie do końca tego chciałam, jednak moje ręce same objęły jej wiotką talię.

– Och, *chérie*... – Znów się odsunęła, ocierając oczy, a ja odzyskałam mowę.

– Jak mnie znalazłaś?

– Zatelefonowałaś z Londynu, żeby powiedzieć, że szukasz Rose. Co innego mogło to oznaczać, jeśli nie eskapadę do Rouen na spotkanie z *tante* Jeanne? Wsiadłam na statek i zadzwoniłam do niej, kiedy dotarłam do Calais. Usłyszałam, że już cię tam nie ma, że pojechałaś do Roubaix.

– Skąd ona wiedziała... – Ale zaraz, przecież to ja się wygadałam. „Nie, *tante*, nie mogę zostać. Muszę jechać do Roubaix”. Tak bardzo starałam się nie nakrzyczeć na nią za to, że wyrzuciła z domu Rose, że sama się zdradziłam.

– Roubaix nie jest specjalnie duże. – Matka objęła gestem dziedziniec. – To dopiero czwarty hotel, do którego zajrzałam.

„Co za paskudny pech – pomyślałam, ale jednocześnie jakiś cichy głosik wewnątrz mnie powtarzał: – Ona mnie przytuliła”.

– Herbata – zdecydowała teraz, tak samo jak niecały tydzień temu w hotelu Dolphin w Southampton. Pomyślałam, że tych kilka dni to zdecydowanie za mało, by pomieścić Eve, Finna i wszystko, czego dowiedziałam się o Rose.

Matka zamówiła herbatę, po czym spojrzała na mnie z niepokojem, potrząsając głową.

– Wyglądasz okropnie! Czy ty mieszkałaś na ulicy? *Mon Dieu...*

– Nie, mam pieniądze. Za-zastawiłam perły *grandmaman*. – Poczułam nagłe ukłucie wstydu; jedyna rzecz, którą miałam po mamie mojej mamy, zastawiona, żebym mogła szukać wiatru w polu. – Mogę je odzyskać, przysięgam. Mam kwit z lombardu. Zapłacę z własnych oszczędności.

– Ja się tylko cieszę, że nie musiałaś spać w rowie – odparła matka, machnięciem ręki zbywając kwestię rodzinnych pereł. To znów mnie zaskoczyło. Jak to, nie dba o ten naszyjnik, o którym zawsze mówiła z przekonaniem, że babcia powinna była jej go zostawić? – W pojedynkę przeprowałaś się przez kanał La Manche! *Chérie*, przecież to takie niebezpieczne!

Omali nie sprostowałam, że nie w pojedynkę, jednak w porę doszłam do wniosku, że *maman* raczej nie uspokoiłaby informacja, iż jej córka podróżowała w towarzystwie byłego więźnia i pijaczki nierozstającej się z pistoletem. Ogarnęło mnie nagłe uczucie wdzięczności, że Eve i Finn zdążyli pójść sobie na górę.

– Przykro mi, że tak cię wystraszyłam. Nie chciałam...

– Ach, te włosy. – Cmoknęła i założyła mi jakiś niesforny kosmyk z powrotem za ucho. Jakim cudem nagle czułam się taka mała i bezradna, skoro przez ostatnich kilka dni forsowałam drzwi do pokoju Eve, patrzyłam we wlot lufy lugera, pokonywałam kanał La Manche?

Wyprostowałam się na krześle, układając w głowie argumenty. *Maman* mnie nie wysłucha, jeśli zamiast dorosłej kobiety z konkretnym planem będę sprawiać wrażenie rozzłoszczonego i nadąsanego dziecka.

– Nie chciałam okazać niewdzięczności w sprawie tej Wizyty. Ja...

– Naturalnie. – Matka podniosła filiżankę do ust. – Za bardzo na ciebie naciskaliśmy z ojcem...

– Nie, nie w tym rzecz. Chodziło o Rose.

– ... w sprawie Szwajcarii. I Wizyty. – Znow ta wielka litera. – Kiedy wysiadliśmy w Southampton, po prostu spanikowałam.

Wzruszyłam ramionami. Rzeczywiście, tyle że...

– My tylko chcemy dla ciebie jak najlepiej, twój ojciec i ja. – Wyciągnęła rękę, żeby poklepać mnie po dłoni. – Tak samo jak wszyscy rodzice. Więc wsadziliśmy cię na statek, zanim zdążyłaś się zorientować, co się dzieje.

– Czy ja wszystko zepsułam? – spytałam wreszcie, spoglądając jej w oczy. – Czy teraz jest już za późno na...

Nie wiedziałam, do którego momentu ten zabieg jest bezpieczny. O niczym nie miałam pojęcia.

– Możemy umówić się na kolejną wizytę, *ma chère*. Jeszcze nie jest za późno.

Serce mi się ścisnęło: było w tym trochę rozczarowania, a trochę ulgi. Czułam wewnątrz mnie, że Drobnny Kłopot jakby wibrował, chociaż w żołądku nic się nie działo.

Moją rękę znow przykryła matczyzna dłoń, ciepła i miękka.

– Rozumiem, że się boisz. Ale w takich przypadkach im wcześniej, tym bezpieczniej. Kiedy będzie już po wszystkim, wrócimy do domu i damy ci czas, żebyś sobie spokojnie odpoczęła, zastanowiła się...

– Nie chcę odpoczywać. – Podniosłam wzrok, czując, jak przez moje zakłopotanie przebija się znajoma nutka gniewu. – Nie chcę wracać do domu. Chcę spróbować odnaleźć Rose, jeśli jeszcze żyje. Czy możesz mnie posłuchać?

Matka westchnęła.

– Naprawdę dalej się łudzisz, że ona żyje?

– Tak – oznajmiłam. – Dopóki nie będę miała pewności, że jest inaczej. Bo po tym, co się stało z Jamesem, nie mogę tak po prostu postawić na niej krzyżyka. Przynajmniej zanim nie wyczerpię wszystkich możliwości.

Zwinęła w palcach serwetkę z wyrazem tego samego napięcia na twarzy, jaki się pojawiał na niej zawsze, gdy padało imię mojego brata.

– *Maman*, przecież jest nadzieja – odezwałam się, usiłując jakoś do niej dotrzeć. – Dla Jamesa już za późno, ale może uda nam się uratować Rose. Wyprowadziła się z domu, a *tante* Jeanne powiedziała mi dlaczego.

Błysk zrozumienia. A więc moja matka wiedziała. Na myśl, że nie uznała za stosowne podzielić się tym ze mną, poczułam, jak znów rośnie we mnie gniew, lecz go stłumiłam.

– Rose na pewno nie chciałaby po czymś takim wracać do rodziny. Może nadal jest w Limoges. A jeśli tak, to musimy ją odnaleźć.

– A ty? – Matka spojrzała na mnie. – Nie możesz ze względu na nią stawiać własnej przyszłości pod znakiem zapytania. Charlotte St. Clair jest tak samo ważna jak Rose Fournier. Ona sama na pewno pierwsza by to przyznała.

Objęłam wzrokiem westybul, zastanawiając się, czy zobaczę blond główkę Rose albo jej sylwetkę. Nic.

– Twoja Wizyta. – Głos *maman* brzmiał łagodnie. – Pozwól, że zabiorę cię do kliniki, *ma chère*.

– A jeśli ja nie chcę żadnej Wizyty?

Nie mam pojęcia, skąd się wzięły te słowa. Zaskoczyły mnie tak samo jak moją matkę.

Patrzyła na mnie przez chwilę, po czym znów westchnęła.

– Gdybyś miała na palcu pierścionek, wszystko przedstawiałoby się inaczej. Przyspieszylibyśmy ślub, byłabyś piękną panną młodą, a pół roku później piękną mamą. Takie rzeczy się zdarzają.

Istotnie. Taką matematykę rozumiała każda kobieta: obrączka plus dziecko poczęte bez ślubu jakimś czarodziejskim sposobem wciąż dawały nieposzlakowaną opinię.

– Ale twoja sytuacja jest inna, Charlotte. Bez narzeczonego...

Urwała, a ja się wzdrygnęłam. Wiedziałam, co spotyka niezamężne matki. O tym się nie mówiło, ale i tak każdy wiedział. Nikt nie chciał się z taką ożenić ani dać jej pracy, rodzina się jej wstydziła, a przyjaciółki przestawały z nią rozmawiać. To był koniec.

– Nie ma innego wyjścia – dodała *maman*. – Jeden mały zabieg i odzyskasz swoje dawne życie.

Skłamałabym, mówiąc, że nie marzę o powrocie do normalności. Przejechałam palcem po brzegu filizanki.

– Proszę, *chérie*. – *Maman* odsunęła stygnącą herbatę i wyciągnęła przez stół obie ręce, by chwycić moje. – Wrócimy do poszukiwań Rose, skoro naprawdę tego chcesz. Ale najpierw zadbaj o własną przyszłość, zgoda?

– Pojadę do tej kliniki – powiedziałam ze ściśniętym gardłem. – Lecz potem odzujemy Rose. Przymknij mi to, *maman*. Proszę.

Jej dłonie ścisnęły moje.

– Przymknę.

\*\*\*

Nie mogłam zasnąć.

Drobny Kłopot zalał mnie kolejną falą wyczerpania, więc powinnam spać jak kamień. Matka zamieniła mi pokój, który sobie zarezerwowałam, na przyjemniejszy, położony bliżej niej, a poza tym zjadłam dobrą kolację przyniesioną na srebrnej tacy zamiast zwykłej paczuszki wyschniętych kanapek. Zastąpiłam wysłużoną nylonową halkę prawdziwą nocną koszulą pożyczoną od mamy. Nie musiałam już się martwić krzyczącą po nocach szaloną Angielką ani tym, co to będzie, jak skończą mi się pieniądze, bo *maman* była na miejscu, by wszystkim się zająć.

Kiedy jednak ucałowała mnie w czoło i udała się do swojego pokoju, zaczęłam wiercić się niespokojnie w chłodnej hotelowej pościeli. W końcu wstałam, zarzuciłam na siebie pożyczony szlafrok, wsunęłam kapcie, wzięłam papierosy i ruszyłam na świeże powietrze.

Wystarczyłyby mi balkon, lecz przeszklone drzwi na końcu korytarza były zamknięte na klucz. Ostatecznie zeszłam na parter mimo pogaszonych świateł zbyt zirytowana, by przejmować się zdumionym spojrzeniem, które posłał mi portier, gdy mijałam go, wychodząc na ulicę.

Wąziutki księżyc i nieliczne latarnie z trudem rozpraszały mrok. Według zegara w hotelowym lobby było po drugiej w nocy i ciche miasteczko Roubaix spało snem sprawiedliwego. Wyciągnęłam *gauloises*'a, w poszukiwaniu zapalek poklepałam się po kieszeniach szlafroka

i zauważyłam coś przy krawężniku kilka metrów dalej. Błysk ciemnoniebieskiego metalu.

– No cześć – odezwałam się do lagondy i podeszłam, by pogłaskać ją po smukłym zderzaku. – Muszę przyznać, że będzie mi ciebie brakowało.

– Bardzo jej miło. – Rozległ się cichy głos ze szkockim akcentem z tylnego siedzenia, a ja mało nie padłam trupem na miejscu.

– Co ty tutaj robisz? – Miałam nadzieję, że w tej ciemności Finn nie widzi zbyt dobrze mojej rozczochranej postaci. Czemu, ach czemu nie poprosiłam matki, żebyśmy przeniosły się do innego hotelu? Co za wstyd tkwić w tym samym miejscu co Eve i Finn, tak jakbym wciąż na coś od nich liczyła. Byłyśmy jak aktorki, które nie zauważyły sygnału, że ich scena już dobiegła końca. Życie powinno bardziej przypominać sztukę w teatrze, wejścia i wyjścia byłyby znacznie łatwiejsze do odczytania.

Przez okno wychyliła się zmierzwiona ciemna czupryna Szkota, zauważyłam żarzący się koniec papierosa.

– Nie mogłem spać.

Wcisnęłam ręce do kieszeni, razem z niezapalonym gauloises'em i resztą, żeby nie zacząć sobie przygładzać włosów. Czy na tym świecie istnieje jakikolwiek zestaw mniej szykowny niż kapcie i podomka?

– Zawsze chowasz się w samochodzie, kiedy nie możesz zasnąć? – zagadnęłam cierpko.

Finn oparł goły łokieć o otwarte okno lagondy.

– Ona ma w sobie coś uspokajającego. Dobrze robi na złe sny.

– Myślałam, że to Eve ma złe sny.

– Ja miewam swoje.

Byłam ciekawa, czego dotyczą. Nie zapytałam, tylko jeszcze raz pogładziłam zderzak. Dziwnie było pomyśleć, że rano nie wyruszę tym autem w dalszą drogę. Jutro wsiądę do pociągu do Vevey, a potem – czym oni wożą dziewczęta na Wizyty w tej Szwajcarii? Taksówkami z zegarem z kukułką? I kierowcami w drewniakach? Zadrżałam mimo ciepła letniej nocy.

Finn otworzył drzwi samochodu i odsunął się, robiąc mi miejsce na siedzeniu.

– Jak ci zimno, to wskakuj.

Nie było mi zimno, ale i tak wsiadłam.

– Masz ogień?

Zapalił zapałkę. W krótkim błysku płomienia zobaczyłam jego profil, a potem znów pograżyłam się w ciemnościach. Zaciągnęłam się głęboko i powoli wypuściłam dym.

– Jak to się stało, że masz taki samochód? – zapytałam ot tak, żeby coś powiedzieć. Skoro nie byliśmy tutaj po to, by się obściskować, to chyba wypadało zająć się rozmową.

– Odziedziczyłem trochę pieniędzy po wujku – odparł nieoczekiwanie. Rzadko odpowiadał na pytania wprost, a już na pewno nie odpowiadał zgodnie z prawdą. – Chciał, żebym się uczył, żebym do czegoś doszedł. Ale jak chłopak ze smarem pod paznokciami dorwie się do forsy, to ma całkiem inne pomysły.

– Czyli wydaje wszystko co do centa na auto marzeń? – Niemal usłyszałam, jak Finn się uśmiecha.

– Aha. Do bentleya nie udało mi się doskoczyć, lecz znalazłem tę tu ślicznotkę zajeżdżoną do cna przez jakiegoś palanta. Kupiłem ją, odszykowałem, a ona od razu mnie polubiła. – Finn z czułością rąbnął pięścią w siedzenie. – Jak była wojna, to większość żołnierzy miała przy sobie zdjęcia swoich dziewczetek. No, czasami matki, jeśli byli zaraz po szkole. Ja nie miałem żadnej dziewczuszki, więc nosiłem zdjęcie swojego auta.

Wyobraziłam sobie Finna w mundurze i hełmie, jak stojąc na pokładzie transportowca, patrzy na fotkę lagondy. Uśmiechnęłam się.

Wyrzucił przez okno niedopałek, ale zaraz zapalił następnego papierosa. Ciemność rozjaśnił na moment jasny płomień zapałki.

– Czyli jutro się stąd zwijasz?

– Tak – skinęłam głową. – Matka mnie tu znalazła. Rano ruszamy do Vevey.

– Nie do Limoges? Wydawało mi się, że jesteś gotowa puścić całe to miasto z dymem, byle znaleźć tę twoją kuzynkę.

– Do Limoges pojedziemy później. *Maman* mówi, że to – wskazałam na Drobny Kłopot, choć Finn pewnie i tak nie widział tego gestu – nie może



dłużej czekać. Co ja tam wiem, w końcu jestem tylko dziewczyną, która napytała sobie biedy.

– A do Vevey jeździ się... w biedzie?

– Nigdy nie słyszałeś o szwajcarskich wakacjach? – Uśmiechnęłam się szeroko. – Dziewczyny mojego pokroju trafiają właśnie tam.

– A ja myślałem, że w białej sukience przed ołtarz.

– Tylko jeśli uda im się złapać jakiegoś chłopaka.

W jego głosie dało się słyszeć to ponure szkockie rozbawienie.

– Musiałaś kogoś złapać, chyba że jesteś Przenajświętszą Dziewicą.

Roześmiałam się krótko i chrapliwie.

– Finn, złapałam połowę stowarzyszenia studentów. A nie mogę wziąć ślubu ze wszystkimi.

Zastanawiałam się, czy wzdrygnie się z obrzydzeniem. Czy odsunie się ode mnie. Ale on tylko siedział dalej na kanapie w aucie i patrzył na mnie przez mrok.

– Co się stało?

W biały dzień nie potrafiłabym tego powiedzieć. To wszystko było takie tandetne i pospolite, takie głupie. Ale otulająca mnie ciemność dodała mi odwagi, więc odwróciłam głowę tak, by Finn widział tylko mój profil i żarzący się koniuszek papierosa. Mój głos zabrzmiał spokojnie i rzeczowo.

– Jak jesteś dziewczyną, to składasz się z trzech części. – Nazywałam to randkowymi ułamkami, i nawet najtępsze studentki z mojego stowarzyszenia potrafiły je dodawać. – Takich, które chłopcy mogą swobodnie dotykać – ciągnęłam – takich, które mogą dotykać pod warunkiem, że jesteście zaręczeni, i takich, których przed ślubem dotykać nie wolno. Wszyscy znają tę mapę. Ale chłopcy i tak próbują, bo tacy już są, a my się nie zgadzamy. Chłopcy próbują, dziewczęta odmawiają. Na tym polega ta zabawa.

Umilkłam i strząsnęłam popiół z papierosa za okno. Powietrze zrobiło się chłodniejsze i inaczej pachniało. „Zbliża się letni deszcz”, pomyślałam. Finn siedział bez słowa.

– Mój brat był jednym z tych żołnierzy, którzy nie bardzo potrafili się odnaleźć po powrocie do domu. To znaczy strzelił sobie w łeb. „Wszędzie była krew i mózg”, powiedział nieostrożnie jeden z sąsiadów, nie zdając

sobie sprawy, że jestem w pobliżu i słyszę makabryczne szczegóły, których oszczędzili mi rodzice. Wbiegłam do domu i zwymiotowałam, wciąż miałam przed oczami ten straszliwy obraz. Moi rodzice... w tamtym semestrze wróciłam z uczelni do domu wcześniej, żeby przy nich być.

– Przynosiłam mamie kwiaty, zawiązywałam ojcu krawat, robiłam przypalony klops, kiedy było jasne, że nikt inny nie zdoła poradzić sobie z przygotowaniem niedzielnego obiadu. Próbowałam wszystkiego, byle tylko jakoś podnieść ich na duchu i sprawić, aby przestali być tak okropnie załamani.

– Po zimowych feriach musiałam w końcu wrócić na uczelnię i gdy nagle nie miałam się kim zajmować, po prostu... przestałam działać, jak zepsuty zegar. Nic nie czułam. Byłam w środku martwa. Nie potrafiłam nawet wstać z łóżka. Leżałam tylko, myśląc o Jamesie, Rose i rodzicach, i znowu o Jamesie. Ciągłe płakałam.

Mniej więcej w tamtym czasie zaczęłam wszędzie widzieć Rose. Małe dziewczynki z blond warkoczami zmieniały się w Rose z przeszłości, wysokie studentki idące na zajęcia także w nią, tylko starszą, dostrzegałam ją wszędzie, nałożoną na twarze obcych osób. Wyobrażałam ją sobie tak często, że zaczęłam podejrzewać się o szaleństwo... Choć niekiedy przemykało mi też przez głowę, że może jednak Rose żyje.

– Straciłam brata – powiedziałam ochryple. – Zawiodłam go. Gdybym tylko umiała mu pomóc w chwilach rozpacz, może nie zginąłby w ten sposób. Nie mogłam stracić do tego kuzynki, jeśli istniał choćby cień szansy, że ona żyje. I tak już oblewałam na studiach przedmiot za przedmiotem, nie potrafiłam podnieść się z łóżka na zajęcia z algebry, ale potrafiłam zrobić to dla Rose. Pisałam listy, telefonowałam, odwiedzałam urzędy do spraw uchodźców. Tyle wakacji przepracowałam w kancelarii ojca, że wiedziałam, dokąd dzwonić za granicę i o jakie dokumenty prosić. Dotarłam do wszystkiego, do czego tylko się dało. Tamten znudzony urzędnik w Anglii powiedział mi, że ostatnim raportem na temat Rose Fournier zajmowała się niejaka Evelyn Gardiner, zamieszkała obecnie pod numerem 10 przy Hampson Street. Niespodziewana wzmianka o Le Lethe.

Finn milczał. Zdążyłam wypalić papierosa niemal do końca. Zaciągnęłam się po raz ostatni i wyrzuciłam żarzący się niedopałek przez okno

samochołu.

– Można by pomyśleć, że ktoś da znać moim rodzicom, iż opuszczam tyle zajęć, ale nikogo to nie obchodziło. Każdy wie, że takie dziewczęta jak ja nie trafiają do college'u po to, by zdobywać stypendia czy nagrody, tylko żeby przebywać w towarzystwie chłopców z Ligi Bluszczowej i znaleźć męża. Ja akurat nie wychodziłam często, najczęściej zgłaszały się do mnie koleżanki, żeby umówić się na podwójną randkę, jeśli ich chłopak miał współlokatora i nie wiedział, co z nim zrobić, ale w tamtym czasie znajoma namówiła mnie na randkę w ciemno. Gość chyba miał na imię Carl. Kolacja i kino samochodowe. Jak tylko film się zaczął, wsadził mi rękę pod sweter. Oczywiście znam zasady gry: przez chwilę się całujemy, a potem ja go odpycham, gdy pozwoli sobie na za dużo. Tyle że tym razem po prostu nie widziałam sensu tego wszystkiego. Byłam zbyt odrętwiała, żeby zawracać sobie głowę całą tą zabawą. Zastanawiałam się, jak by to było, gdybym po prostu... pozwoliła mu zrobić, co chce. Carl specjalnie mi się nie podobał, lecz pomyślałam, że może dzięki niemu wreszcie coś poczuję. W każdym razie coś, co nie będzie bólem ani wyrzutami sumienia. Tak się jednak nie stało; dalej było tylko odrętwienie, pustka, nic. Potem Carl raz po raz zerkał na mnie z niedowierzaniem. Nie mieściło mu się w głowie, że go nie powstrzymuję. Grzeczne dziewczęta tak nie robią, a przecież ja byłam jedną z nich.

Finn dalej nic nie mówił. Ciekawe, czy uważał, że jestem obrzydliwa.

– Tydzień później Carl znów mnie zaprosił. Zgodziłam się. Za pierwszym razem nie było świetnie, ale przecież każdy wie, że pierwszy raz jest okropny. Miałam nadzieję, że z czasem robi się lepiej. – Nadal cisza. – Widocznie opowiedział o mnie kolegom ze swojego stowarzyszenia, bo nagle zaczęłam dostawać zaproszenia na randki. Przyjmowałam je i z tamtymi też szłam na całość. Niczego szczególnego nie czułam, ale robiłam to i tak, bo... – Urwałam, przeczekałam dotkliwe smagnięcie wstydu i zmusiłam się, by mówić dalej. – Bo byłam samotna. – Oddychaj. Oddychaj. – Byłam... zmęczona odrętwieniem i samotnością i wolałam obściskiwanie się na tylnym siedzeniu z pierwszym lepszym chłopakiem niż tkwienie we własnym pokoju, zalewanie się łzami i powtarzanie sobie, że na pewno mogłam powstrzymać brata przed odebraniem sobie życia. – Kolejny

urywany wdech. – Po jakimś czasie miałam już całkiem sporo pierwszych lepszych. Rozeszła się plotka, że Charlie St. Clair wiele nie trzeba. Wystarczy kupić jej koktajl mleczny i bilet. I przyjechać po nią autem.

Czułam, jak w moim gardle wzbiera szloch. Wystawiłam rękę przez okno i pozwoliłam nocnemu wietrzykowi owionąć moje palce. Wciąż unikałam wzroku Finna.

– Tak więc dni upływały mi na chowaniu się pod kocem, dzwonieniu do urzędów do spraw uchodźców albo pieprzeniu się z chłopakami, którzy właściwie mi się nie podobali. Wiosną byłam zmuszona przyjechać do domu i powiedzieć rodzicom, że wpadłam, nie mam pierścionka i najprawdopodobniej wylecę z Bennington. Pomiędzy jednym a drugim krzykiem matka ojciec spytał mnie, kim jest ten chłopak, to były praktycznie jedyne słowa, jakie padły wtedy z jego ust. Musiałam mu odpowiedzieć: „Tato, było ich sześciu czy siedmiu”. Od tego czasu właściwie się do mnie nie odzywa.

Ale na pewno zaczniesz, kiedy już wrócę do domu bez Drobnego Kłopotu. Prawda?

Finn odchrząknął cicho. Bezbronna i nieszczęśliwa czekałam na potępienie, może na mimowolne: „Dzięki Bogu, że cię nie tknąłem”.

– To tobie zależy, żeby jechać do Vevey? Czy twoim rodzicom?

Byłam tak zdumiona, że aż po raz pierwszy spojrzałam mu w twarz.

– Czy ja ci wyglądam na osobę, która mogłaby być czyjąkolwiek matką?

– Nie mnie to oceniać. Pytam po prostu, czy to rozwiązanie to coś, czego chcesz ty, czy oni.

Pomyślałam, że nie mam pojęcia, czego chcę. Nikt mnie właściwie nie pytał. Byłam nieletnia; rodzice podejmowali decyzje za mnie i uważali za rzecz oczywistą, że będę robić to, co mi każą. Do tego ten paskudny głosik w mojej głowie powtarzał, że do niczego się nie nadaję, że nie udało mi się pomóc Jamesowi, Rose, a teraz jeszcze samej sobie, więc nawet nie próbowałam ustalić, czy chcę czegoś innego. Jakie znaczenie ma to, czego ja chcę, skoro i tak nic z tego nie wyjdzie? Chciałam odzyskać Rose, odzyskać moją przyszłość, chciałam choć raz uratować kogoś, kogo kocham, zamiast patrzeć, jak odbiera mi go rozpacz, wojna czy śmierć, i nie miałam bladego pojęcia, jak się do tego zabrać.

Nagle poczułam, jak wzbiera we mnie gniew rozpalony przez ciche słowa Finna, które wdarły się pod ochronny pancerz zbudowany z takim trudem. Można było do woli bombardować go obelgami: dziwka, kurwa, puszczalska, żadne z tych słów nie było dla mnie nowością; używałam ich sama przeciwko sobie, by zaoszczędzić innym fatygi. Potrafiłam od rana do wieczora udawać, że nic mnie to wszystko nie obchodzi, bo przyznanie się do troski sprawiało, iż raptem stawałam się krucha i bezbronna.

– Finn, czemu właściwie jesteś dla mnie taki miły? Nie uważasz mnie za morderczynię, skoro chcę się tego pozbyć?

– Jestem byłym więźniem – odparł spokojnie. – Nie mam prawa w nikogo rzucać kamieniem.

– Dziwny jesteś – powiedziałam bliska łez, a Finn przyciągnął mnie do siebie. Ukryłam płonąca twarz w jego koszuli, nie mogąc złapać tchu. Przed Drobnym Kłopotem płakałam bez przerwy, od dnia, gdy wyznałam wszystko rodzicom, nie uroniłam ani jednej łzy. Nie mogłam teraz znów zacząć, bo nigdy nie przestanę. Finn pachniał dymem, smarem i wiatrem; siedziałam tak z policzkiem wtulonym w jego pierś i ramionami wstrząsanymi szlochami, aż wypalił papierosa do samego filtra.

Usłyszałam odległy dźwięk dzwonów wybijających godzinę. Trzecia nad ranem. Finn wyrzucił niedopałek przez okno, a ja usiadłam prosto, przyciskając do oczu nasadę dłoni. Nie pociekły mi łzy, ale niewiele brakowało.

Gdy Finn uniósł ramię, przesunęłam się po siedzeniu lagondy w stronę drzwi.

– Charlie, dziewczuszko – odezwał się, a moje imię wypowiedziane jego cichym, niskim głosem zatrzymało mnie i sprawiło, że obejrzałam się przez ramię. Patrzył wprost na mnie i może mój wzrok zdążył przyzwyczaić się do ciemności, bo wyraźnie widziałam jego oczy pod prostymi czarnymi brwiami. – Zrób to, czego sama chcesz – powiedział. – To twoje życie i twój szkrab. Może i jesteś nieletnia, lecz to jest twoje życie. Nie twoich rodziców.

– Oni chcą dla mnie dobrze. Nawet kiedy jestem na nich wściekła, wiem, że chcą dobrze. – Czemu mówiłam tak otwarcie? Z nikim nie rozmawiałam o Drobnym Kłopotcie, nie w ten sposób. – Finn...

Zacząłam się żegnać, ale przecież już się pożegnaliśmy w hotelowym lobby. Ten cały epizod w środku nocy tak naprawdę wcale się nie zdarzył.

On nadal czekał.

– Dziękuję – powiedziałam w końcu ochrypłym głosem. Wyśliznęłam się z auta i odwróciłam w stronę hotelu. Finn nic nie odpowiedział. Lecz ja i tak słyszałam jego głos.

„Zrób to, czego sama chcesz”.

# 14

## Eve

*Lipiec 1915*

Na największy sekret w Lille Eve natknęła się mimochodem. Istny diament. Komendant Hoffman i generał von Heinrich siedzieli przy swoim ulubionym stole, a Eve podchodziła właśnie, by sprzątnąć resztki czekoladowego musu, gdy usłyszała:

– ... osobiście odwiedzi linię frontu – mówił generał. Wyglądał na spiętego. – Cesarz przejedzie przez Lille za dwa tygodnie.

Eve sprzątała dalej, nie dając nic po sobie poznać.

– Chociaż inspekcja będzie tajna, musimy być na jego wizytę przygotowani. Nie wolno nam zawieść jego oczekiwań. Trzeba zorganizować niewielki komitet powitalny... Którym pociągiem przyjedzie?

„Błagam – Eve jęknęła w myślach. – Pociąg... i data!”

Generał podał dzień przyjazdu i numer linii, z grymasem zerkając do notesu, by sprawdzić, czy aby się nie pomylił. Niemcy szczylic się swoim przywiązaniem do szczegółów, a Eve dziękowała za to teraz Bogu. Odeszła bez guzdrania, a oni niczego nie podejrzewali. Jej stopy ledwo dotykały posadzki. Wiedziała, kiedy cesarz – cesarz! – przybędzie na front. Lili zawyje z radości. „*Parbleu*, stokroteczko, cudowna robota! Jedna bomba dla tego durnego łajdaka i wojna wygrana!”

– Co się tak śmiejesz? – zdziwiła się druga kelnerka, nierozgarnięta blondynka o imieniu Christine, która dawno już zastąpiła ociężałą Amélie.

– Stało się coś dobrego?

– Nic takiego.

Eve zajęła swoje miejsce przy ścianie i opanowała uśmiech, chociaż serce waliło jej tak, jakby właśnie zakochała się po raz pierwszy. Wojna już niedługo może się skończyć. Koniec okopów pełnych błota i konających żołnierzy, koniec głodu i przemocy w bezbronnym mieście Lille, koniec ryku samolotów i przytłumionego huku artylerii gdzieś z za horyzontu. Eve

wyobraziła sobie, jak z triumfem ściąga tablicę z niemieckim napisem, którą ktoś przybił nad francuską nazwą jej ulicy, i depcze ją, a w tle biją dzwony zwycięstwa. Nigdy jeszcze czas nie płynął tak wolno.

– Zabierzesz dzisiaj księgę do *monsieur* René? – poprosiła Christine, gdy kończyły zamiatać. – Muszę wracać do domu.

Christine się wzdrygnęła.

– On mnie przeraża.

– Po prostu wlep wzrok w podłogę i przytakuj, dopóki nie pozwoli ci odejść.

– Nie mogę. Boję się go.

Eve miała ochotę przewrócić oczami. A jaką to sprawia różnicę, czy się boisz, skoro i tak trzeba to zrobić? Czemu większość kobiet to takie bojaźliwe niunie? Pomyślała o lwiej dumie Lili i surowej, nieugiętej Violette. To dopiero są kobiety.

Rejestr przekazała w ręce kierownika sali i w pośpiechu opuściła lokal. Minęła już północ, księżyc był niemal w pełni – nie najlepsza noc na przekradanie się przez granicę. Wkrótce Lili będzie wracała przez Lille...

– *Fräulein!* – krzyknął ktoś za jej plecami po niemiecku. Usłyszała stukot niemieckich podeszew. – Jest godzina policyjna.

– Jestem upoważniona. – Eve sięgnęła do torebki w poszukiwaniu swoich papierów. – P-pracuję w Le Lethe, przed chwilą s-skończyłam zmianę.

Niemiec był młody i nadgorliwy, z twarzą poznaczoną śladami trądziku.

– Czekam na papiery, *Fräulein*.

Eve zaklęła pod nosem, przeszukując torebkę. Nie miała ich przy sobie, rano musiała wszystko wyrzucić, by rozpruć szew w torebce i przygotować lepszą kryjówkę na pisane kodem wiadomości. Dokumenty zostały pewnie na łóżku.

– Przepraszam, n-nie mam ich. Ale restauracja jest t-tam, na pewno p-potwierdzą...

– Wie pani, co grozi za włóczenie się po nocy? – warknął Niemiec.

Już sprawiał wrażenie zadowolonego, że będzie miał kogo spisać, gdy z ciemności za plecami Eve dobiegł spokojny głos.

– Mogę pana zapewnić, że dziewczyna pracuje dla mnie. Nie łamie żadnego prawa.



René Bordelon stanął obok Eve, a srebrna główka jego laski błysnęła w świetle księżyca. Kapelusz uchylił w geście obojętnego pozdrowienia. Zapewne zrezygnował z przeglądania rejestru, by pójść na przechadzkę pod gwiazdami.

– *Herr Bordelon...*

René uśmiechnął się z pogardliwą uprzejmością.

– Jeżeli pan sobie życzy, może pan podjąć ten temat z komendantem Hoffmanem. Miłej nocy.

Ruszył razem z Eve. Dziewczyna odzyskała głos, który uwiązał jej w gardle.

– D-dziękuję, *monsieur*.

– Ależ nie ma za co. Mogę służyć Niemcom, którzy zachowują maniery, lecz pokazywanie takim grubianom, gdzie ich miejsce, sprawia mi zbyt wielką przyjemność, bym sobie tego odmawiał.

Uwolniła ramię z jego uścisku.

– Nie śmiałabym zajmować panu więcej czasu.

– Nie ma o czym mówić. – Raz jeszcze ujął ją pod ramię. – Jesteś bez dokumentów. Odprowadzę cię do domu.

Zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen, choć nim nie był. Czego od niej chciał? Od ich ostatniej rozmowy, która tak wytrąciła Eve z równowagi, minęły dwie noce. Serce jej łomotało. Mimo nieprzepartej chęci, by uniknąć kontaktu ze swoim pracodawcą, doskonale zdawała sobie sprawę, że nie może mu teraz odmówić. Zrównała z nim krok. Pokaże mu, jaką potrafi być jąkałą. Jeżeli zamierza znowu ją o coś wypytywać, będzie musiał uzbroić się w istic anielską cierpliwość.

– Cały wieczór oczy błyszczą ci jak gwiazdy – zauważył. – Czyżby *mademoiselle* Le François była zakochana?

– Nie, *m-m-monsieur*. Nie mam na t-takie rzeczy cz-czasu.

„Cesarz czeka na śmierć”, pomyślała.

– Być może, a jednak widzę błysk w twoim oku.

„To królobójstwo tak na mnie działa”, przeleciało jej przez głowę. Natychmiast skarciła się w duchu.

– Jestem po prostu wdzięczna za to, co mam, *monsieur*.

Skręcili, oddalając się od rzeki. Jeszcze parę przecznic...

– Jesteś bardzo milcząca – powiedział. – Nie znam wielu milczących kobiet. Ciekaw jestem, o czym myślisz. Taka zagadka. Zazwyczaj mało mnie interesuje, co myśli większość kobiet. Najczęściej to banały. A ty? Jesteś banalna?

– Niczym się n-nie wyróżniam, *monsieur*.

– Śmiem wątpić.

„W to akurat proszę nie wątpić”, przeszło jej przez myśl. Może lepiej trajkotać jak ta bezmyślna Christine. Zanudzić go bzdurami.

– Czemu nazwał pan restaurację L-L-Le Lethe, *monsieur*? – Eve zadała pierwsze pytanie, jakie wpadło jej do głowy.

– Znów Baudelaire – odpowiedział. – „Otchłanie łózka twojego jedynie mogą pochłonąć mój lęk i westchnienia, w twych ustach jest potęga zapomnienia, przez pocałunki twoje Leta płynie”<sup>[2]</sup>.

Zmysłowy ton, z którym wypowiedział zdanie, sprawił, że Eve poczuła się niezręcznie. „To już lekka przesada”, pomyślała.

– Ł-ł... ładne – bąknęła pod nosem, przyspieszając kroku. Jeszcze jedna ulica...

– Ładne? Nic podobnego. Ale potężne.

Ręką powstrzymał ją przed wyskoczeniem w przód, kontrolując tempo spaceru. Długie palce lekko ścisnęły jej ramię.

– Leta to rzeka zapomnienia, która płynie przez zaświaty, jak nas uczą klasycy. A nie ma nic potężniejszego niż zapomnienie. I to właśnie oferuje moja restauracja w tych ciężkich czasach. Oazę spokoju, w której każdy może choć parę godzin odpocząć od zgiełku i horroru trwającej w świecie wojny. Nie ma okropności, *mademoiselle*, której nie dałoby się zapomnieć. Wystarczy jedynie znaleźć odpowiedni narkotyk. Może to być jedzenie albo napoje. Potrzeba ukojenia ciągnie nas też między uda kobiet.

Nonszalancja jego tonu podkreśliła wulgarną treść wypowiedzi. Policzki Eve zapłonęły czerwienią. „I dobrze – pomyślała. – Marguerite zareagowałaby podobnie. Dobry Boże, niech ten spacer się skończy!”

– Rumienisz się? – Srebrna siwizna na skroniach błysnęła w świetle księżycy, gdy schylił głowę, by przyjrzeć się bliżej jej twarzy. – Byłem ciekaw, czy to cię zawstydzi. Trudno coś wyczytać z twoich oczu. Jeżeli oczy są oknami duszy, to dobrze się kryjesz. „Oczy dziecka mojego, przestwórz,

mrok i głębie – cytował dalej ku coraz większemu zakłopotaniu Eve. – Ich światłem – myśl, gdzie Miłość wespół z Wiarą gości, migocąc na dnie samym niewinnie, lubieżnie”<sup>[3]</sup>.

Wpatrywał się w jej oczy bez mrugnięcia.

– Ten ostatni fragment najbardziej mnie zajmuje, *mademoiselle* Le François. Lubieżna czy niewinna? – Przyłożył palec do jej rozgrzanego policzka. – Sądząc po rumieńcu, to drugie.

– D-damie nie przystoi o t-tych sprawach d-dyskutować – udało się wydusić Eve.

– Darujmy sobie tę drobnomieszczańską hipokryzję. Nie pasuje do ciebie.

Dzięki Bogu znaleźli się pod drzwiami mieszkania. Eve weszła pod okap wejścia, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu kluczy. Pod sukienką pojedyncza kropla potu płynęła wzdłuż jej grzbietu.

– D-do widzenia, *monsieur* – powiedziała z ulgą, ale Bordelon podążył za nią w cień okapu.

Zbliżał się powoli, a ona cofała się, dopóki jej plecy nie natrafiły na drzwi wejściowe. Twarz miał skrytą w cieniu, a gdy schylił głowę, Eve poczuła woń drogiej wody kolońskiej i pomady do włosów. Swoimi cienkimi ustami musnął nie usta, lecz wgłębienie u podstawy jej szyi. Na skórze poczuła chłód jego języka.

Stała przyparta do drzwi, oszołomiona tym delikatnym dotykiem.

– Długo wyobrażałem sobie, jak smakujesz – mówił powoli, odsuwając się. – Tanie mydło, a pod nim słodycz. Zapach konwalii pasowałby bardziej. Coś lekkiego, aromatycznego... coś świeżego.

Nic, czego nauczono Eve w Folkestone, żadna z wielu rad Lili, żadne doświadczenie z dawnego życia w Londynie nie przygotowało jej do takiej sytuacji. Szukała słów, ale nic nie przychodziło jej do głowy, więc milczała zjeżona jak dzikie zwierzę, na które padło nagle światło reflektorów. „Za chwilę sobie pójdzie. Pójdzie sobie, a ty będziesz mogła zająć się pisaniem wiadomości dla Lili – powtarzała w głowie. – Sam cesarz przyjeżdża do Lille”. Lecz z jakiegoś powodu waga tej informacji nie przepelniała jej teraz dumą. Nie potrafiła się na niej skupić, gdy René Bordelon mierzył ją swoim ostrym jak brzytwa spojrzeniem z tak bliska.

Srebrną główkę laski zaczepił za ramię i zdjął z głowy kapelusz. Przynajmniej zęgnął się jak dżentelmen.

– Chciałbym cię posiąść – odezwał się od niechcienia. – Dziwna rzecz, nie zwykłem gustować w dziewicach bez żadnego doświadczenia i w tanim mydle, ale ciebie cechuje jakaś bezpretensjonalna elegancja. Rozważ moją propozycję.

„Boże Przenajświętszy”, pomyślała Eve. Stała całkowicie nieruchomo, póki nie nasunął kapelusza z powrotem na głowę i niespiesznym krokiem ruszył ulicą.

Jeden z sąsiadów Eve nie spał, dwa domy dalej rozległo się skrzypienie uchylanego okna. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że okap był prawdziwym błogosławieństwem – bez niego ktoś mógłby zobaczyć, jak daje się polizać po szyi mężczyźnie, który czasem popija brandy z samym komendantem. Zawartość żołądka podeszła jej do gardła, a ręce mimowolnie sięgnęły ku wilgotnej plamie na obojczyku.

Sąsiad Eve, bezpiecznie skryty w ciemnościach, zawołał za oddalającą się postacią René Bordelona.

– Kolaborant! – syknął, po czym splunął na ulicę.

René odwrócił się i uniósł kapelusz, pozdrawiając nieznanego.

– *Bon soir* – odpowiedział z lekkim ukłonem, a w nocnej ciszy rozbrzmiał jego krótki chichot.

\*\*\*

– *Parbleu*, stokroteczko, świetna robota! – Lili wpatrywała się z uśmiechem w raport Eve. – Dwa tygodnie, jeden udany nalot, i ta wojna naprawdę może się skończyć!

Eve uśmiechnęła się, choć wydarzenia poprzedniej nocy przygasiły jej poczucie dumy.

– Co prawda doradcy cesarza, przemysłowcy i inni, którzy czerpią korzyści z obecnej sytuacji, będą naciskać, by kontynuować działania zbrojne.

Zatrzymanie raz wprowadzonej w ruch maszynerii wojny nie było wcale łatwym zadaniem. Eve zdawała sobie z tego sprawę.

– Ale śmierć tego gnoja będzie początkiem końca. Ruszam z samego rana, gdy tylko skończy się godzina policyjna.

Lili ukryła wiadomość w podszewce swojej torebki. Dzisiaj wcielała się w szwaczkę Marie – miała przy sobie jej dokumenty i rekwizyty, a w zachowaniu przejawiała cały zestaw odpowiednich do tej postaci manieryzmów. Zaczęła rozpinąć buty.

– Takiej wiadomości nie powierzę kurierowi. Sama dostarczę ją do Folkestone. Przy okazji może sprawię sobie jakiś nieprzyzwoity kapelusz... skoro już będę w kraju, w którym wolno takie nosić. Wprawdzie zastanawiam się, czy wy, Anglicy, w ogóle potraficie robić rzeczy nieprzyzwoite, chociażby kapelusze...

– D-dostaniesz się do Anglii?

To zaskoczyło Eve. Już łatwość, z jaką Lili przekraczała granicę między okupowaną przez Niemców Francją a Belgią, wprawiała ją w osłupienie. Nie była to daleka droga, za to naszpikowana niebezpieczeństwami, którym często musiała stawiać czoło. Czyżby potrafiła również pokonać kanał La Manche?

– *Bien sûr*. – Przytłumiony głos Lili dobiegł zza fałd obszernej, starej koszuli nocnej, pod której osłoną przebierała się z zaskakującą sprawnością. – W tym roku byłam tam już trzy lub cztery razy.

Eve zdusiła w sobie nagły atak tęsknoty za Folkestone, za piaszczystymi plażami Anglii i pirsami przepełnionymi ludźmi. Oraz za tweedowymi ubraniami kapitana Camerona i jego ciepłym spojrzeniem. Ono przynajmniej nie przyprawiało jej o dreszcze – jak przenikliwy wzrok Francuza...

Potrząsnęła lekko głową. Myśl, że Lili widziała się z Cameronem, spowodowała niespodziewane ukłucie zazdrości.

– Masz przed s-sobą długą podróż. Śpij dzisiaj w łóżku.

Jakiś czas temu ustaliły wspólną wersję wydarzeń na wypadek, gdyby Lili chciała odpocząć w Lille: była przyjaciółką Eve, szwaczką, która wolała nie szwendać się w czasie godziny policyjnej. Tym sposobem udało im się oszukać już dwie niemieckie inspekcje. Patrzenie, jak Lili przeobraża się w Marie, dziewczynę bardziej bezmyślną niż Christine, z tą jej głową koloru kukurydzy, było fascynującym doświadczeniem.

– Skoro nalegasz.

Lili położyła stertę złożonych ubrań na podłodze i rzuciła się na materac. Po chwili zaczęła opowiadać o przygodzie, jaka spotkała ją rano na dworcu w Lille.

– Przewoziłam wiadomość od agenta w Lens między stronami czasopisma. Nie wiem, czy mi uwierzysz, ale... wypadła mi, gdy wychodziłam z pociągu. – Zaśmiała się szatańsko, odrzucając do tyłu głowę pełną jasnych włosów. – Jakiś niemiecki żołnierz podniósł ją z ziemi i, pobłogosław mu, Panie, oddał z powrotem w moje ręce!

Eve układała koce przy wąskim łóżku. Uśmiechnęła się słabo, choć wymagało to od niej sporego wysiłku. Od czasu ostatniej nocy uśmiechy nie przychodziły jej łatwo. Nie uszło to uwadze Lili, która była już w połowie kolejnej opowieści.

– No dobrze, to co się stało?

Eve spojrzała na przywódczynię sieci Alice. Lili przebrana w starą koszulę nocną nie wyglądała na swoje trzydzieści pięć lat. Jej rozczochrana grzywa blond włosów przypominała fryzurę dziewczynki, która cały dzień ganiała po dworze. Ale oczy miała stare, rozumiejące, a ostre rysy jej kości policzkowych wystawały spod cienkiej jak papier skóry. „Nie dokładaj jej zmartwień”, pomyślała Eve. Jej serce ścisnęło się, gdy nagle pojęła źródło ponurej opiekuńczości Violette. Tak jak i ona zapragnęła teraz wyłącznie chronić swoją przyjaciółkę. Lili dźwigała na swych ramionach ogromny ciężar, chociaż nie dawała tego po sobie poznać. Odciskało to na niej swoje piętno, była chuda jak patyk.

– *Merde* – powiedziała teraz zniecierpliwiona. – No już, gadaj!

– To nic ważnego...

– Pozwól, że sama to ocenię. Załamana na nic nam się nie przydasz.

Eve opadła na zaimprovizowaną polówkę, wpatrując się w swoje zaciśnięte pięści.

– René B-Bordelon chce mnie uwieść.

Słowa zawisły w powietrzu. Lili uniosła głowę.

– Jesteś tego pewna? Nie obraż się, ale nie sprawiasz wrażenia osoby doświadczonej w tych sprawach.

– Polizał moją szyję. A p-potem powiedział, że chce mnie p-posiąść. Tak, jestem d-dosyć pewna.

– *Quelle bête* – szepnęła Lili. Ze srebrnej papierośnicy wyciągnęła dwa papierosy i zapaliła je. – O takich draniach zwykle rozmawia się przy drinku, ale będziemy musiały zadowolić się papierosem. Trzymaj, rozjaśni ci to trochę umysł. I uciszy pusty żołądek.

Eve złapała papierosa w dwa palce, naśladowując chwyt Lili, lecz po chwili zawahała się. Przypomniała sobie słowa matki.

– Palenie to męski nałóg. Nie przystoi damie.

– *Tais-toi*. Żadne z nas damy. Jesteśmy żołnierzami w spódnicach, a żołnierze potrzebują czasem zapalić, do diabła.

Eve przycisnęła skręta do ust i zaciągnęła się. Zakasłała, chociaż smak jej odpowiadał. Był gorzki. Od momentu, w którym René zbliżył się do niej, w ustach czuła wyłącznie gorycz.

– A więc – ciągnęła rzeczowo Lili – Bordelon upatrzył sobie akurat ciebie. Pytanie teraz, co zrobisz, jeżeli będzie dalej naciskał. I co on jest gotów zrobić, jeżeli odmówisz. Byłby w stanie wydać cię Niemcom?

Chciała usłyszeć zawodową opinię Eve. Ta nie odpowiedziała od razu, znów zaciągając się papierosem. Już nie kasłała tak mocno. Zrobiło się jej niedobrze, choć nie z powodu dymu. Pomyślała o René.

– Nie zawracałby głowy Niemcom osobistymi porachunkami. Ich p-przychylność woli zachować na chwilę, gdy będzie j-jej potrzebował. Ale najpewniej pozbawi m-mnie pracy. Nie przywykł d-do ludzi, którzy mu odmawiają.

– Możemy znaleźć dla ciebie nowe miejsce – powiedziała Lili, lecz Eve potrząsnęła głową.

– A czy z-znajdziecie drugie t-takie miejsce jak Le Lethe? Lokal, z którego d-dwa razy w tygodniu p-przynosiłabym ważne informacje? Gdzie m-mogłabym usłyszeć o wizycie c-c-c... – Zaciśniętą pięścią uderzała w kolana, dopóki nie uwolniła słowa z ust. – C-cesarza? Razem z d-datą i godziną przyjazdu? Nie.

Tym razem zaciągnęła się głęboko, pozwalając, by dym wypełnił jej płuca. Rozkasłała się tak mocno, że z oczu popłynęły jej łzy.

– Potrzebujecie k-k-kogoś w Le Lethe.

– Racja – zgodziła się Lili. – Czy na pewno cię wyleje, jeśli odmówisz?

– Wszystko na to wskazuje.

– W takim razie jest jedno wyjście. – Lili spojrzała na sufit, wypuszczając spomiędzy warg kółko z dymu. – Czy przepisz się z René Bordelonem?

Eve zapatrzyła się na żar papierosa.

– Jeżeli będę musiała.

Wypowiedzenie tych słów sprawiło jej ulgę. Całą zeszłą noc zmagając się z tym, spoglądała na tę sytuację pod każdym możliwym kątem. Pomysł przyprawiał ją o mdłości, ale co z tego? Co z tego, że czegoś się boisz, skoro i tak trzeba to zrobić?

– Mężczyźni w jego wieku zakładają, że mają do czynienia z dziewicą, gdy widzą siedemnastoletnią dziewczynę. – Lili nie owijała w bawełnę. – Jesteś dziewicą?

Na ten temat Eve nie potrafiła się zdobyć na nonszalancję, choć bardzo chciała. Wbijając wzrok w deski podłogi, skinęła nieśmiało głową.

– *Putain de merde* – zaklęła Lili, gasząc energicznie papierosa. – Jeżeli naprawdę zamierzasz to zrobić, będziesz musiała zadowolić go w łóżku. Inaczej nic więcej z niego nie wyciągniesz. Za tak wysoką cenę warto zapewnić sobie coś więcej niż chwilę spokoju.

Eve nie miała zielonego pojęcia, co to znaczy „zadowolić w łóżku”. Mówiąc szczerze, granice jej wyobraźni sięgały chwili, w której René Bordelon rozpina swoją szytą na miarę koszulę. Poblądła. Lili to zauważyła.

– Na pewno dasz radę?

– Jakoś p-p-p... – Słowo nie uwolniło się, chociaż uparcie uderzała stopą w podłogę.

Zrezygnowana, wypuściła z sykiem powietrze. A potem wydusiła:

– Cholera.

Było to pierwsze przekleństwo Eve. Czowała, jak supły w jej gardle powoli się rozwiązują. Lili kiwnęła głową z uznaniem.

– Weź jeszcze papierosa. Trzeba to omówić od praktycznej strony. Mężczyzna, który wybiera na kochankę dziewicę, zamierza albo przyuczyć ją do swoich upodobań, albo pragnie, by pozostała bierna i niewinna, podczas gdy sam wykona całą robotę. Obserwuj go uważnie i odgadnij jego potrzeby. Chociaż są też metody, by zadowolić każdego mężczyznę...



Opisała parę przykładów rzeczowo, lecz taktownie, a Eve starała się jak najwięcej zapamiętać. Policzki płonęły jej szkarłatem. „Czy naprawdę będę musiała to zrobić? I to też?”, myślała.

Jeśli zamierza zachować pracę w Le Lethe... tak. Była gotowa zrobić wszystko.

Widząc stan Eve, Lili poklepała ją po dłoni.

– Zwróć uwagę, co sprawia mu przyjemność, i trzymaj się tego. Cała sztuka. A więc... wiesz, jak zapobiec ciąży?

– Tak.

Eve знаła jeden sposób. Miała dwanaście lat, gdy pewnego wieczoru zastała w łazience matkę wyplukującą coś spomiędzy ud. Widziała jakąś rurkę i gumowy woreczek. „Nie urodzę temu draniowi kolejnego dziecka”, warknęła kobieta, zadzierając podbródek w stronę sypialni, z której dobiegało chrapanie ojca. Eve pozostała jedynaczką. Matczyzny sposób musiał okazać się skuteczny.

– Żadna metoda nie jest doskonała – powiedziała Lili, jakby odczytując jej myśli. – Bądź ostrożna. Nikt nie potrzebuje ciężarnego szpiega. Wylądujesz z powrotem w Anglii, i to z hukiem, zwłaszcza że nikt w Lille nawet nie splunie w twoją stronę, jeżeli zajdziesz w ciążę z kolaborantem.

Co za ponury scenariusz... Eve odegnała od siebie czarne myśli i skupiła się na zadawaniu pytań.

– Czy kiedykolwiek musiałaś... t-to zrobić?

– Napotkałam jednego czy dwóch wartowników, którzy chcieli zobaczyć mnie na kolanach, zanim zostanę przepuszczona przez punkt kontrolny.

Jeszcze dziesięć minut temu Eve nie miałyby pojęcia, o czym mowa. Teraz dzięki szybkim korepetycjom zrozumiała, co przyjaciółka miała na myśli. Wciąż nie potrafiła wyobrazić sobie Lili na klęczkach sięgającej do spodni jakiegoś mężczyzny i...

– Jakie to... uczucie?

– Słone – odparła Lili i uśmiechnęła się, widząc zmieszanie Eve. – Nieważne, *chérie*.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Patrzyły teraz na siebie posepnie. Po chwili Eve odchyliła głowę do tyłu, raz jeszcze mocno zaciągając się papierosem. Palenie przypadło jej do gustu. Jeżeli w przyszłości znowu trafi na jakąś

pruderyjną gospodynię, która będzie traktować swoje lokatorki jak dziewczynki w internacie, zwyczajnie każe jej się wypchać.

– Lili, czemu nie mówili, że tak to m-może wyglądać? Tyle gadania, tyle różnych ćwiczeń, a o podobnej sytuacji n-n-nawet słowem się nie z-zająknęli.

– Bo nic o tym nie wiedzą. I jeżeli masz choć krztynę rozumu, nic im nie powiesz. – Twarz Lili była śmiertelnie poważna. – Zrobisz, jak uważasz, ale na twoim miejscu nie wspominałabym o tym kapitanowi Cameronowi, majorowi Allentonowi czy któremukolwiek z przełożonych.

Eve wyobraziła sobie, jak wyznaje kapitanowi, że wskoczyła do łóżka kolaborantowi, by zdobyć informacje. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz przerażenia.

– Nie przeszłoby mi to przez gardło!

– I bardzo dobrze. Mogliby zupełnie stracić do ciebie zaufanie.

Ze wszystkich rzeczy, które Eve usłyszała tego wieczoru, ta zaszokowała ją najbardziej.

– Czemu?

– Mężczyźni to dziwne stworzenia. – Uśmiech Lili bynajmniej nie był wesoły. – Uważają, że kobieta, która oddaje cnotę wrogowi, zdradza tym samym miłość do ojczyzny. Trudno im uwierzyć, że potrafimy nie zakochać się w mężczyźnie, z którym spędziłyśmy noc. Zresztą... łąka puszczalskiej nie przysparza szacunku, a w naszym zawodzie i tak rzadko się z nim spotykamy. Nie wolno nam splamić honoru państwa, któremu służymy, plamiąc swoją reputację. Wniosek z tego taki, że jeżeli mamy uprawiać szpiegostwo, musimy je uprawiać jako... damy.

– Co za bzdura – rzekła bez ogródek Eve, a Lili obnażyła zęby.

– Bez wątpienia, stokroteczko. Zupełna. Ale nie chcesz chyba, by odsunęli cię od zadania z powodu idiotycznego podejrzenia, że jakiś przystojny kolaborant zawrócił ci w tej ślicznej główce?

Eve strzepnęła popiół, czując, jak raz jeszcze przewraca jej się w żołądku.

– Czy kapitan Cameron naprawdę mógłby tak o mnie pomyśleć?

– Kto wie? Jak to mówicie w Anglii, porządny z niego gość. Ale parę razy już słyszałam, co inni oficerowie mają do powiedzenia o takich kobietach jak my.

– Szlag – zaklęła znowu Eve. Przeklinanie przychodziło jej coraz łatwiej. Palenie również. Uniosła głowę i spojrzała na Lili, która uśmiechała się do niej zagadkowo. Co stało za tym uśmiechem? Duma? Cierpienie?

– *C'est ainsi* – rzekła przygaszonym tonem. – Kurewski potrafi być ten zawód, nie sądzisz?

Tak, zgodziła się w duchu Eve. A jednak kochała to zajęcie. Pierwszy raz czuła, że naprawdę żyje. Wzruszyła nonszalancko ramionami, by nie dać poznać po sobie lęku.

– Ktoś musi go wykonywać. Jesteśmy w tym dobre, więc czemu nie my?

Lili pochyliła się i ucałowała ją w czoło. Eve oparła głowę na jej kolanie, a przywódczyni siatki Alice przesunęła dłonią po jej włosach.

– Nie spiesz się ze wskakiwaniem do łóżka tego oportunisty – powiedziała czułym głosem. – Znam cię... chcesz zacisnąć zęby i mieć to już za sobą. Ale nie ulegaj mu za szybko. Jeżeli za dwa tygodnie zmieciemy cesarza w pył, nastanie zupełnie nowy świat. Kto wie, może wrócisz do domu, zanim Bordelon zdąży zrzucić przed tobą ubranie.

Eve modliła się, by obie te przepowiednie okazały się prawdziwe, podczas gdy Lili głaskała ją po głowie z matczyną czułością, której dziewczyna nigdy wcześniej nie zaznała. Modliła się żarliwiej niż kiedykolwiek w swoim życiu. W tej chwili czuła się odważna, lecz wiedziała, że gdy tylko zamknie oczy, ujrzy René rozkoszującego się smakiem jej ciała. I znów zrobi jej się niedobrze.

# 15

## Charlie

*Maj 1947*

Matka obchodziła się ze mną tak, jakbym była kotem z nastroszonym futrem, gotowym uciec w każdej chwili. Raz po raz dotykała mojej dłoni albo ramienia, sprawdzając, czy nadal jestem w zasięgu ręki. Rano, kiedy skubałyśmy zamówione do pokoju suche grzanki i kawę, cały czas paplała beztrosko, podobnie jak w czasie pakowania moich rzeczy.

– Po Wizycie pojedziemy do Paryża i kupimy ci trochę nowych ubrań. Ten różowy kostiumik już nigdy nie będzie taki sam...

Poirytowana gryzłam swoją grzankę. Nie lubiłam rozmawiać z samego rana, zwłaszcza po prawie nieprzespanej nocy, i w ogóle odzwyczaiłam się ostatnio od prowadzenia błahych pogawędek. Eve zawsze miała takiego kaca, że do południa mogła co najwyżej popatrzeć na człowieka spode łba, a Finn wolał milczeć niezależnie od pory dnia. To znaczy, najwyraźniej z wyjątkiem trzeciej w nocy. „Charlie, dziewczuszko...”, przypomniało mi się.

– Nie garb się, *ma chère* – upomniała mnie matka.

Wyprostowałam się. *Maman* uśmiechnęła się z roztargnieniem, poprawiając sobie szminkę na ustach. Wczoraj z tymi łzami w oczach i impulsywnymi uściskami sprawiała wrażenie delikatniejszej niż matka, do której byłam przyzwyczajona. Dziś jednak ulga przywróciła jej pewność siebie i wyglądało na to, że z każdą warstwą szminki coraz bardziej staje się dawną sobą, przyodzianą w lśniącą, kolorową zbroję. Zamknęła kosmetyczkę, a ja wyciągnęłam rękę i dotknęłam jej dłoni.

– Możemy zostać tu trochę dłużej? Zamówić jeszcze coś do zjedzenia?

Drobny Kłopot tym razem, zamiast przyprawiać mnie o mdłości, wywołał wilczy głód. Suche grzanki? Śmiech na sali, chciałam śniadanie w stylu Finna: smażony boczek z chlebem i sadzonymi jajkami. Mmm, boczuś...

– A nie powinniśmy dbać o linię? – *Maman* z krzywym uśmiechem poklepała się po talii. – W końcu żeby być piękną, trzeba pocierpieć.

– Ja i tak nie będę piękna – odpaliłam. – Więc chcę croissanta, do cholery. Na jej twarzy odbił się autentyczny szok.

– Gdzie ty się nauczyłaś tak wyrażać?

„Od szalonej angielskiej wiedźmy, która próbowała mnie zastrzelić”, pomyślałam. O dziwo, brakowało mi Eve.

– Croissanty kupimy w pociągu – rzekła *maman*, zamykając walizkę. – Przecież nie chcemy się spóźnić.

Boy hotelowy już czekał pod drzwiami. Dokończyłam grzanekę na stojąco, a matka strzepnęła mi okruszek z twarzy i wygładziła kołnierzyk. Dlaczego przy niej ciągle czułam się jak małe dziecko?

„Bo jesteś dzieckiem – szepnął wredny głos w mojej głowie. – I dlatego nie nadajesz się, żeby mieć własne. Nic nie wiesz o świecie”.

„Co ty powiesz”, odezwał się Drobny Kłopot.

„Bądź cicho – przykazałam swojemu brzuchowi. – Przestań wpędzać mnie w poczucie winy. Nie mogę nic dla ciebie zrobić. Nie nadaję się do tego, żeby mieć dziecko. Wszyscy tak mówią”.

„A ty jak uważasz?”, zapytał D.K.

Nie miałam na to odpowiedzi, tylko wielką gulę w gardle.

– Charlotte?

– Idę. – Wyszłam za matką na korytarz, w stronę windy. – Może zadzwonimy do taty, zanim wsiądziemy do pociągu? – Udało mi się wykrztusić.

Matka wzruszyła ramionami.

– Pewnie się niepokoi. – Zastanawiałam się, czy w ogóle będzie się do mnie odzywał, kiedy wrócę. A jeśli pomimo Wizyty dalej będzie na mnie wściekły? I ciągle będzie uważał mnie za dziwkę? Gula w moim gardle zrobiła się jeszcze większa.

– Skoro już musisz wiedzieć, to nie powiedziałam mu o twojej eskapadzie do Londynu. – Zauważyła, jak na nią patrzę. – Dlaczego miałabym to robić? Nie chciałam dokładać mu zmartwień.

– Ale teraz mu powiedziałaś, prawda? – Weszliśmy do windy. – Przecież mamy prawie tydzień opóźnienia. Nie wrócimy do domu wtedy, kiedy się nas spodziewa.

Matka zaczekała na boya, który niósł nasze bagaże, po czym wcisnęła guzik.

– Po prostu będziemy w Paryżu tydzień krócej, niż planowałyśmy. W domu stawimy się na czas, a twój ojciec nie musi się o nic martwić.

– Mamy wrócić do domu wcześniej? Ale obiecałaś, że po Vevey porozmawiamy o Rose. I o wyprawie do Limoges...

– Porozmawiamy o tym w domu. – Uśmiechnęła się, a winda zaczęła zjeżdżać w dół. – Na wszystko przyjdzie czas.

Wlepiłam w nią wzrok.

– Jak to przyjdzie czas? Teraz jest odpowiedni moment. Przecież jesteśmy na miejscu.

– *Ma chère...* – Zerknęła w stronę boya, który przysłuchiwał się naszej angielskiej paplaninie z ciekawością, choć bez zrozumienia.

Zignorowałam go.

– Nie możemy tak po prostu wrócić do domu, nie po tym wszystkim, czego się dowiedziałam.

– Charlotte, to nie jest zadanie dla nas, tylko dla twojego ojca.

– Dlaczego? Jak do tej pory sama radziłam sobie całkiem nieźle, lepiej niż...

– To nie przystoi – ucięła matka. – Musisz wrócić do domu, a nie znowu rzucać się na poszukiwanie wiatru w polu. Twój ojciec się tym zajmie. Później go o to poproszę. Jak wrócimy do domu.

Później. Zawsze później. W moim żołądku wezbrała wściekłość.

– Obiecałaś.

– Wiem, ale...

– *Maman*, to dla mnie naprawdę ważne. – Dotknęłam jej ramienia. Tak bardzo mi zależało, żeby zrozumiała. – Żeby nie dawać za wygraną, dopóki...

– *Chérie*, ja nie daję za wygraną.

– Ale tak to wygląda. Czy będzie to dla ciebie pilne, gdy znajdziemy się z powrotem po drugiej stronie Atlantyku? – Mimowolnie podniosłam głos. – Kiedy to już nie będzie taka sobie obietnica, którą możesz złożyć, a potem złamać, byleby skłonić mnie do zrobienia tego, co chcesz?

Brzęknął dzwonek, drzwi windy się rozsunęły. *Maman* spiorunowała wzrokiem zaciekawionego boya, który chwycił nasze bagaże i potruchtał w stronę recepcji.

– No więc? – przycisnęłam.

– To nie jest odpowiednie miejsce na taką rozmowę. Chodź za mną i nie szukajmy już dziury w całym, bardzo cię proszę. – Posuwistym krokiem wyszła do gwarne go lobby.

– Szukanie dziury w całym? Tak to widzisz? – Ruszyłam za nią, tupiąc nogami.

Odwróciła się przez ramię i posłała mi nienaturalny uśmiech.

– Charlotte, proszę cię. Ojciec już i tak jest na ciebie bardzo zły. Rozgniewa się też na mnie, jeśli pojawią się kolejne opóźnienia, więc bardzo cię proszę, przestań się awanturować i chodź ze mną.

Znów wlepiłam w nią wzrok. Po prostu stałam i patrzyłam. Moja piękna, pewna siebie matka gryzła idealnie pomalowane wargi przerażona perspektywą gniewu ojca. Nie odważyła się mu powiedzieć, że uciekłam do Francji. Nie miała śmiałości poinformować go, że spóźnimy się choćby o tydzień. Tak bardzo chciała, żebym wsiadła do pociągu do Vevey, że była gotowa obiecać mi wszystko jak mała dziewczynka, która kłamie, żeby uniknąć lania. Jeżeli nie dostarczy mnie do domu na czas i z płaskim brzuchem, tata będzie na nią zły.

Przy *maman* zawsze czułam się jak dziecko. Teraz patrzyłam na nią z poczuciem, że to ja jestem dorosła.

– Ty nie zamierzasz szukać Rose. – To nie było pytanie.

– Bo Rose nie żyje, Charlotte! – krzyknęła w końcu. – I nie ma co udawać, że jest inaczej!

– Możliwe, że masz rację. Może to nawet prawdopodobne. – Mimo złości starałam się być sprawiedliwa. – Ale mnie to nie wystarcza, a ty przyrzekłaś, że będę mogła doprowadzić sprawę do końca. Chociażby po to, żeby mieć poczucie, że niczego nie zaniedbałam. – Umilkłam na chwilę. – Czy jeśli tata nie zechce wrócić do poszukiwań, to możesz mi szczerze obiecać, że na niego wpłyniesz?

Gwałtownie wypuściła powietrze.

– Idę zapłacić za nasz nocleg. Spróbuj się opanować.

Odmaszerowała drobnymi gniewnymi kroczkami ze stukotem obcasów. Zostałam przy bagażach, czując się dziwnie, krucha jak szkło, a kiedy spojrzałam na drugą stronę hotelowego lobby, zobaczyłam Rose. Oczywiście nie tę prawdziwą – to była tylko nadąsana pryszczata dziewczyna oparta o parapet i czekająca, aż jej rodzice wreszcie się zameldują – jednak francuskie słońce stworzyło aureolę wokół jej blond głowy, okrywając twarz cieniem, a ja przez chwilę pozwoliłam sobie wierzyć, że to naprawdę Rose. Stała tam i patrzyła wprost na mnie, kręcąc lekko głową.

„Nie jesteś dzieckiem, Charlie – odezwała się w mojej głowie. – Ani tchórzem”.

Zawsze była odważna. Nawet kiedy się bała, że zostanie sama, że wszyscy ją opuszczą, jak tamtego dnia w Prowansji, wciąż była dzielna. Na pewno przeraziło ją odkrycie, w co się wpakowała, a jednak nie poddała się i nie pozwoliła rodzicom „wszystkiego załatwić”. Urodziła dziecko i wzięła na siebie ciężar utrzymania go niezależnie od tego, jak bardzo musiała się bać.

Wrócił do mnie głos Finna z zeszłej nocy: „A czego ty chcesz?”.

„Być odważna”, pomyślałam.

„Wiesz, co to znaczy? – zapytał Drobnny Kłopot. – Potraktuj to jak równanie. Znajdź X. X równa się odważna”.

Patrzyłam, jak matka zamyka torebkę i rusza w moją stronę. Poczułam się chora. Nie wiedziałam absolutnie nic o niemowlętach. Były małe i bezradne, zachłanne i kruche oraz mnie przerażały. To konkretne dziecko mnie przerażało. Nie byłam na nie gotowa. Ani trochę.

Matka do mnie podeszła, a ja wzięłam głęboki oddech.

– Nie jadę do Vevey.

– Co? – Jej wyskubane brwi podjechały do góry. W tle pryszczata nastolatka, którą na moment zmieniałam w Rose, ruszyła z ociąganiem za swoimi rodzicami, kładąc kres złudzeniu.

– Nie jadę na Wizytę – odparłam.

– Charlotte, nie chcę więcej słyszeć na ten temat. Koniec dyskusji. Zgodziłaś się pojechać...

– Nie. – Dźwięk własnych słów dobiegł do mnie tak, jakby wychodziły z ust kogoś innego. – Nie pozbędę się go. Zamierzam je mieć.



Można by pomyśleć, że tak doniosłej decyzji towarzyszyć będzie poczucie ulgi czy *katharsis*. Nic podobnego. Mdlilo mnie i byłam okropnie wystraszona. A także głodna. Właściwie to umierałam z głodu. Eksperymentalnie zwróciłam się do Drobego Kłopotu: „Nakarmię cię”.

Wyglądało na to, że pomysł się przyjął. „Bekon”, usłyszałam w odpowiedzi.

Chyba powinnam wymyślić mu inne imię niż D.K.

– Charlotte, obie wiemy, że to jedyne wyjście, więc...

– Wcale nie jedyne. – Dotąd nigdy w życiu nie przerwałam matce, teraz to jednak zrobiłam. – To jest wyjście, dzięki któremu wy będziecie mieć najmniej problemów. Jeśli ktoś się mną zajmie, tata nie będzie musiał mówić nic krępującego współnikom, a ty paniom z klubu brydzowego. Wiem, że chcecie dobrze, ale to nie jest jedyne wyjście. Nie muszę się na nie decydować.

Jej rysy ściągnęła wściekłość, a głos zmienił się w jadowity szept.

– I jak zamierzasz żyć, ty niewdzięczna dziwko? Żaden szanujący się człowiek nie poślubi dziewczyny z bękartem. Z czego twoim zdaniem będziesz się utrzymywać?

– Mam pieniądze, *maman*. Pieniądze, które zarobiłam, nie tylko te z funduszu powierniczego. Mogę pracować. Umiem się o siebie zatroszczyć. Nie jestem bezradna. – Powtarzałam z uporem, bo to była prawda, do cholery, niezależnie od rozbrzmiewającego mi wciąż w głowie „jesteś do niczego, jesteś do niczego”. Z rachunkami radziłam sobie lepiej niż matka, moje poszukiwania Rose przyniosły więcej rezultatów niż te zorganizowane przez ojca i może fakt, że zawiodłam Jamesa, nie oznaczał, że nic mi nigdy nie wyjdzie. – Nie jestem bezradna.

– Owszem, jesteś! Jak niby zamierzasz zajmować się dzieckiem?

– Chyba będę musiała się nauczyć. – Przede mną piętrzyła się góra rzeczy, których będę musiała się nauczyć, lecz choć mnie to przerażało, to przecież jeszcze nie znaczyło, że nie dam sobie rady. – Nie wiem zbyt wiele o dzieciach, ale mam pół roku na to, by się dowiedzieć. I wiem jeszcze jedno. Że tu i teraz podejmę poszukiwania Rose.

Wzięłam do ręki swoją walizkę. Dłoń *maman* wystrzeliła, chwytając mnie za przegub.

– Jeżeli teraz sobie pójdiesz, możesz zapomnieć o powrocie do domu.

Odczułam to jak cios w splot słoneczny. Uniosłam jednak hardo brodę i odparłam:

– Nigdy nie zwracałaś na mnie uwagi, kiedy byłam w domu. Wątpię, żeby komukolwiek zrobiło to różnicę.

Szarpnęłam się, próbując uwolnić nadgarstek, lecz jej palce zacisnęły się mocniej.

– Nigdzie się nie wybierasz, Charlotte St. Clair, z wyjątkiem dworca. Jesteś nieletnia i mogę cię zmusić... – Krzyczała. Moja doskonale opanowana matka, tak zważająca na to, co ludzie pomyślą, krzyczała jak przekupka na targu. Wszyscy przebywający w lobby gapili się na nas. Odkrzyknęłam jej:

– Przed chwilą mnie wyrzuciłaś, *maman*. Nigdzie z tobą nie idę.

Szarpnęłam się jeszcze raz, ale trzymała mnie mocno.

– Nie waż się odzywać do mnie tym tonem!

Za mną rozległ się cichy gniewny głos. Cichy głos rozgniewanego Szkota.

– Jakiś problem, panienko?

– Nic podobnego, Finn. – Znowu szarpnęłam ręką i tym razem udało mi się ją uwolnić. Spojrzałam na mężczyznę. Przez ramię miał przerzuconą torbę podróżną Eve, a w dłoni kluczyki do auta; wyglądało na to, że właśnie się wymeldowują. – Czy w lagondzie znajdzie się dla mnie miejsce?

Uśmiechnął się szeroko i wziął do ręki moją walizkę.

Matka wlepiła w niego wzrok, przyglądając się jego pogniecionej koszuli z podwiniętymi rękawami i szczecinie na podbródku.

– Kim... – zaczęła, ale w tym momencie wkroczyła Eve.

– Chryste Panie, Finn – warknęła swoim schrypniętym przedpołudniowym głosem. – Widzę, że znalazłeś tę jankeskę.

– Albo zabieram was obie, albo żadną – odparł.

– Pracujesz dla mnie!

– Samochód jest mój.

Poczułam jakąś ciepłą vibrację w brzuchu. Brałam pod uwagę podróż do Limoges pociągiem, jednak myśl o wskoczeniu z powrotem do tego cudownego auta...! Uwielbiałam je. Przynosiło mi większe ukojenie niż

dom, z którego właśnie zostałam wyrzucona. Uniosłam wzrok na Finna i ze ściśniętym gardłem wyszeptalam:

– Dziękuję.

– I tak wątpiłam, że naprawdę cię już nie zobaczymy. – Ku mojemu zaskoczeniu w głosie Eve pobrzmiwała raczej aprobata niż irytacja. – Łatwiej pozbyć się rzepa niż Amerykanki.

– Kto to jest? – Tym razem matce udało się wyartykułować całe pytanie.

Eve skierowała spojrzenie na nią. Ależ z nich była para: moja modna mama z talią osy, ubrana w wytworny kapelusz i nieskazitelne rękawiczki, i obdarta Eve w starej sukni, z dłońmi przypominającymi szczypce homara. Popatrzyła władczo i groźnie na *maman*, która zamrugała oczami.

– Ty pewnie jesteś jej matką – odezwała się wreszcie Eve. – Nie widzę żadnego podobieństwa.

– Jak pani śmie...

– Eve – wtrąciłam. – Chcę odszukać swoją kuzynkę, a w cały ten bałagan zamieszany jest człowiek, którego się boisz. Myślę, że powinnaś się przekonać, czy on żyje, czy nie. Powinnaś pojechać ze mną.

Nie wiem, czemu to powiedziałam. Eve, jej humory i pistolet wszystko utrudniały, bez niej przemieszczałabym się szybciej. Lecz dziś zdobyłam się na odwagę, pomimo że bardzo mnie to przerażało, i teraz chciałam, by Eve także była odważna – pragnęłam znów zobaczyć w niej tę nieustraszoną, klnącą jak marynarz kobietę, która w lombardzie kłamała jak z nut, żeby mogła zastawić swoje perły, a w sklepie z porcelaną wydusiła odpowiedzi od ekspedientki, która ewidentnie jej nienawidziła. Nie chciałam, żeby uciekła z powrotem do Anglii i schowała się pod numerem 10 na Hampson Street. Miałam wrażenie, że to by było jakieś niegodne.

Miałam też bardziej osobiste pobudki. Zależało mi, żeby się dowiedzieć, co spotkało Eve podczas okupacji w Lille, nie tylko jej dłonie, ale jej duszę.

Usiłowałam wymyślić elokwentny sposób na wyrażenie tego wszystkiego, lecz nic nie przychodziło mi do głowy. Udało mi się powiedzieć tylko:

– Chcę usłyszeć resztę twojej historii.

– Nie jest to miła historia – odparła Eve. – I nie ma zakończenia.

– W takim razie napisz je teraz. – Spojrzałam jej w oczy, opierając ręce na biodrach. – Widzę, że się wahasz, ale nie jesteś tchórzem. No więc jak?

Wchodzisz w to czy nie?

– Co to za ludzie? Charlotte!

Nie zwracałam na matkę uwagi. Z osoby kierującej moim życiem zmieniła się w kogoś, kto nie ma z nim nic wspólnego. Jednak Eve zerknęła na nią z niechęcią.

– Jeśli mamuśka jedzie, to ja nie. Spędziłam w jej towarzystwie całe pół minuty i widzę, że jest dwa razy bardziej irytująca od ciebie. Po jednym dniu w samochodzie pewnie bym ją zastrzeliła.

– Ona nie jedzie. – Popatrzyłam na matkę i poczułam ostatnią falę gniewu splątanego z miłością, dogorywające pragnienie zrobienia tego, czego ona sobie życzy. I zaraz było po wszystkim. – Żegnaj.

Powinnam pewnie dodać coś jeszcze. Ale co mogłam powiedzieć?

Jej spojrzenie miało się pomiędzy Finnem a Eve.

– Nie możesz tak po prostu odjechać z... z...

– Finn Kilgore – odezwał się nieoczekiwanie Szkot. Wyciągnął rękę, a moja mama automatycznie ją uścisnęła. – Ostatnio z więzienia Jego Królewskiej Mości w Pentonville.

Rozchyliła usta i wypuściła jego dłoń, jakby nagle wyrosły na niej kolce.

– Uprzedzając pani pytanie – dodał Finn uprzejmym tonem. – Trafiłem tam za napaść. Wrzucanie denerwujących Amerykanów do Tamizy. Dobrego dnia szanownej pani.

Zarzucił mój bagaż na ramię i skierował się w stronę drzwi. Eve zapaliła papierosa, ruszyła za nim i obejrzała się na mnie.

– Chcesz posłuchać tej mojej historii czy nie, jankesko?

Ostatnie spojrzenie na moją matkę. Wpatrywała się we mnie tak, jakby mnie nie znała.

– Kocham cię – powiedziałam, a potem wyszłam z hotelu na gwarną ulicę Roubaix. Czułam się oszołomiona. Chora. Szczęśliwa. Przytłoczona. Dłonie mi się pociły, a w głowie panował chaos. Lecz jedna rzecz była jasna jak słońce.

– Śniadanie – odezwałam się, kiedy Finn podjechał lagondą ze złożonym dachem. Wsiadając na pokład staruszki, poklepałam ją po desce rozdzielczej. – Jedziemy do Limoges, ale najpierw pójdziemy na największe

śniadanie, jakie można dostać w Roubaix. Mała mówi, że chce, żeby ją nakarmić.

– To dziewczynka? – spytała Eve.

– Tak twierdzi.

# 16

## Eve

*Lipiec 1915*

„Za dziesięć dni cesarz będzie martwy”, powtarzała sobie Eve.

– Szybciej! – ponagliła ją Lili, przyspieszając kroku. Wspinały się na wzgórze; włosy kleiły się Eve do szyi, lecz na Lili panujący upał zdawał się nie robić żadnego wrażenia. Parła naprzód z podkasaną spódnicą i kapeluszem zsuniętym do tyłu. – Ty guzdrało!

Eve wcisnęła sobie zwinięty koc pod pachę i wydłużyła krok. Lili znała wiejskie okolice Lille jak własną kieszeń.

– *Mon Dieu*, co to za frajda dla odmiany wędrować po tych wzgórzach za dnia, a nie po ciemku, przy tym cholernym księżycu, z wlokącymi się z tyłu przewodnikami! Dobra, jeszcze tylko jedno wzgórze...

I puściła się sprintem w górę zbocza. Zlana potem Eve obrzuciła Lili wściekłym spojrzeniem, zdając sobie sprawę, jak bardzo ostatnie półtora miesiąca niedojadania odbiło się na jej kondycji. Kiedy jednak znalazły się na grzbiecie wzgórza, nastrój dziewczyny od razu się poprawił. Dzień był bezchmurny, porośnięte trawą zbocze złoto-zielone w blasku słońca. Znajdowały się raptem kilka kilometrów od Lille, ale oddalenie się od niemieckich ogłoszeń i niemieckich żołnierzy było jak wymknięcie się spod ciemnej chmury. Choć oczywiście życie na wsi też nie przypominało sielanki. Każde z niewielkich gospodarstw mijanych przez Eve i Lili również doświadczało głodu i beznadziei, rolnikom rekwirovano jajka, masło i świnie. Lecz na tym wzgórzu można było choć przez chwilę udawać, że wszechobecnym okupantów już nie ma.

I być może wkrótce naprawdę znikną. O ile Królewski Korpus Lotniczy dobrze się spisze.

Dwie kobiety stały na grzbiecie wzgórza z identycznie założonymi rękami, wpatrując się w tory kolejowe ciągnące się w stronę Niemiec. Za dziesięć

dni przejedzie tędy pociąg z cesarzem. Jeszcze dziesięć dni, a świat może stać się innym miejscem.

– O, tam – Lili skinęła głową w stronę torów. – Rozglądałam się po okolicy, Violette i Antoine też. – Antoine był miejscowym księgarzem o zwodniczo potulnej minie. Falszował dla Lili dokumenty oraz przepustki i był poza Violette jedynym członkiem siatki Alice, którego poznała Eve. Przedstawienie ich sobie było koniecznością na wypadek, gdyby dziewczyna kiedyś potrzebowała awaryjnych papierów. – Wszyscy się zgadzamy, że to jest najlepsze miejsce na atak. – Lili uniosła spódnicę i zaczęła rozsznurowywać sobie halkę. – Bóg jeden raczy wiedzieć, czy dowództwo weźmie nasze sugestie pod uwagę.

– Rozłóżmy k-koc – przypomniała jej Eve. – W końcu jesteśmy na pikniku.

Gdyby znaleźli je niemieccy zwiadowcy, miały przygotowaną historyjkę: Marguerite Le François i jej przyjaciółka szwaczka zabrały ze sobą kilka kanapek i przyszły zjeść je tutaj, żeby nacieszyć się piękną pogodą. Kiedy jednak Eve przykryła już trawę wytartym kocem, Lili nie zawracała sobie głowy kanapkami. Wyciągnęła kawałek węgla i zaczęła szkicować nim mapę okolicy na rozłożonej halce.

– Coraz trudniej jest przemycić papiery – mruknęła i przez jej skupioną twarz przemknął figlarny uśmiech. – Ale ci strażnicy nie mają pojęcia, ile informacji można zmieścić na damskiej halce.

– Powiedz, co ja tutaj robię? Przecież Violette lepiej zna teren, czy to nie ona powinna ci pomagać w opracowaniu raportu?

– Już mi pomogła. Lecz to ty pierwsza usłyszałaś o wizycie cesarza, stokroteczko. Należy ci się udział w przygotowaniach. – Dłoń Lili poruszała się z prędkością kolibra, zaznaczając ukształtowanie terenu, jego nieregularności, tory, drzewa. – Wujek Edward poprosił, żebym wzięła cię ze sobą, kiedy będę dostarczać mu raport.

– M-mnie?

– Chce cię przepytąć, sprawdzić, czy uda mu się wyciągnąć jeszcze jakieś szczegóły z tego, co zapamiętałaś. W tak dużych sprawach wolą nie ryzykować. Wyjeżdżamy za dwa dni.

Za dwa dni zobaczy kapitana Camerona. Ta świadomość powinna być jak balsam, ale wywołała tylko u Eve dziwne uczucie. Kapitan wydawał się tak daleki, że równie dobrze mógłby znajdować się w innym świecie. A myśl o całej logistyce takiego wyjazdu, mimo wspomnienia ciepłych oczu Camerona, sprawiła, że pod dziewczyną ugięły się nogi.

– N-nie mogę jechać do Folkestone. Nie odważę się zwolnić z pracy.

– Nie musimy jechać aż do Folkestone. – Lili spokojnie kończyła swoje notatki. – Wujek Edward zgodził się spotkać z nami w Brukseli. Wrócimy w ciągu jednego dnia.

– Z moją wym-mową... będę się rzucać w oczy na granicy. Z-złapią cię przeze m-mnie.

Gdyby Lili wpadła przez jej jąkanie, Eve odcięłaby sobie język zardzewiałą brzytwą.

– *Je m'en fou!* – Lili zmierzwiła jej włosy. – Gadanie zostaw mnie! Jestem przyzwyczajona do radzenia sobie na stacjach. Ty tylko patrz tymi swoimi wielkimi niewinnymi oczami, a wszystko pójdzie jak z płatka. A swoją drogą, z jakiego niby płatka? Wy, Anglicy, macie naprawdę dziwne powiedzonka.

Lili specjalnie obracała wszystko w żart, Eve nie miała co do tego wątpliwości. Cała ta wesoła paplanina, podczas której kobieta wciągała na siebie poznaczoną węglem halkę, była celowym działaniem.

– Powinnaś bardziej uważać – odezwała się Eve, zbierając piknikowe rekwizyty. – Nie traktuj wszystkiego tak l-lekko. Jak wylądujesz przed p-plutonem egzekucyjnym, nie będzie ci do ś-śmiechu.

– Cóż. – Lili machnęła ręką, tak chudą, że pod światło była niemal przezroczysta. – Jasne, kiedyś mnie złapią, ale co z tego? Przynajmniej będę wiedziała, że do czegoś się przydałam. Więc się pospieszmy, trzeba robić wielkie rzeczy, póki czas.

– Nie ma go za w-wiele – jęknęła Eve, schodząc w ślad za Lili ze wzgórza. – Za d-dwa dni ruszamy do Brukseli. Jak mam się stąd wyrwać na cały dzień?

– Zobacz, czy uda ci się jakoś wyłgać w Le Lethe. – Zsuwając się po zboczu w stronę miasta, Lili obejrzała się na nią przez ramię. – Jak tam twój koszmarne absztyfikant?



Eve nie chciała myśleć o René Bordelonie. Od czasu, jak odprowadził ją do domu, starała się być niewidoczna; w Le Lethe bezszelestnie zbierała talerze, nalewała schnapsa i uważnie słuchała. Udało jej się nawet przygotować raport na temat Maksa Immelmanna, niemieckiego asa pilotażu, wszystko przy jednoczesnym schodzeniu z drogi szefowi. On jednak nie pozwalał jej zapomnieć, że wciąż ją obserwuje i czeka na odpowiedź. Czasem bez słowa wpatrywał się w jej szyję, na której do tej pory czuła dotyk języka smakującego jej skórę. Kiedy indziej po zamknięciu lokalu oferował jej łyk wina z kieliszka z odciśniętym śladem warg. Co to za świat, na którym odrobina trunku z cudzego kieliszka może służyć do zdobycia względów dziewczyny uznanej za wygłodzoną i zdesperowaną.

– Nie rezygnuje – odrzekła w końcu Eve.

Lili założyła kosmyk włosów za ucho.

– Udaje ci się trzymać go na dystans?

– N-na razie tak.

Zresztą czy w życiu, które prowadziła, było coś innego niż „na razie”? Spotkanie z kapitanem Cameronem za dwa dni, przyjazd cesarza za dziesięć – to wszystko należało do tej samej szarej strefy. Tak naprawdę istniała tylko przeszłość i to, co teraz. Nic innego nie było pewne. Ani prawdziwe.

Tego wieczoru w Le Lethe rozmowy wydawały się bardziej ożywione niż zazwyczaj, oficerowie hałaśliwsi, a śmiech towarzyszących im kobiet bardziej frywolny.

– Dziwki – szepnęła do Eve Christine. Stały pod ścianą, czekając, aż ktoś przywoła je skinieniem palca. – To jest Françoise Ponceau, ta, co paraduje w nowej jedwabnej sukni uwieszona na tamtym kapitanie. Piekarz robi dla takich zdzir specjalny chleb. Przed uformowaniem bochenka sika do ciasta...

– I s-słusznie – przyznała Eve, choć żołądek jej się ścisnął. Niepokój w oczach przeczył uśmiechom dziewczyny przy stoliku, która przez cały wieczór ukradkiem wsuwała sobie do torebki bułki, gdy kapitan nie patrzył. Miała w domu kogoś do wykarmienia, przypuszczalnie nie jedną osobę, a w zamian dostawała chleb z dodatkiem moczu i wyzwiska. Jednak

bezpieczniej było zgodzić się z opinią wyszeptaną przez Christine, bo prawdę mówiąc, większość mieszkańców Lille ją podzielała.

W tym momencie René podniósł wzrok na kelnerki, a w jego oczach zatańczył odblask świateł. „Popatrz na Christine – błagała w duchu Eve. – Ładna blondynka, a przy tym głupia jak but, czemu nie spojrzysz na Christine?” Lecz on skinął palcem na Eve, podeszła więc, by nalać gościom alkoholu, a kącki ust chlebodawcy uniosły się z aprobatą dla jej spokoju, milczenia i wdzięcznego łuku, w jaki układało się jej ramię.

– Czy ktoś inny może zanieść rejestr na górę? – zapytała pod koniec pracy inne kelnerki, ale one tylko się zaśmiały.

– To teraz twoje zadanie, Marguerite! On zawsze jest w lepszym humorze, kiedy ty do niego chodzisz, a przecież zależy nam, żeby *monsieur* René był zadowolony.

Chichotały jedna przez drugą, a do Eve dotarło, że spojrzenia René nie przeszły niezauważone.

– Świnie z was – warknęła i ruszyła tylnymi schodami na górę. Dygnięcie, suchy szept palców mężczyzny muskających jej palce, gdy odbierał od niej rachunki.

– Śpieszy się pani, *mademoiselle* Le François? – spytał, przeglądając staranne zapiski.

– Nie, *monsieur*.

Bez pośpiechu przerzucał strony. Była upalna letnia noc, więc zdjęwszy marynarkę, siedział w śnieżnobiałej koszuli, z włosami lśniącymi od brylantyny tak samo jak jego wyglansowane skórzane buty. Spinki do mankietów odznaczały się na tle białych rękawów złotym połyskiem i rubinową czerwienią.

– Szkło secesyjne – odezwał się, zauważając, na co patrzy Eve. Czy nic nie uchodzi jego uwadze? – W stylu Klimta. Słyszałaś o Klimcie? Miałem okazję obejrzeć niektóre jego obrazy w Wiedniu, jeszcze przed wojną. Nadzwyczajne. Jeden nosił tytuł *Danae*, to bohaterka mitu, którą Zeus nawiedził pod postacią złotego deszczu... Klimt ukazuje jej podniecenie złotem wlewającym się pomiędzy jej nogi.

Eve nie miała ochoty dyskutować tu o podnieceniu artystycznym ani żadnym innym.

– Nie, n-nie słyszałam o tym.

– To szął, zapamiętanie. – Rozpiął mankiety i położył spinki na dłoni dziewczyny, żeby je obejrzała. Następnie podwinął rękawy, ukazując szczupłe przedramiona o gładkiej bladej skórze, a Eve odwróciła wzrok, podnosząc szklane ozdoby pod światło i obserwując grę kolorów. – Złoty szął. Ludzie uznali, że to obsceniczne, ale jakie to ma znaczenie? Baudelaire’a też uważali za obscenicznego.

Eve ostrożnie odłożyła spinki obok popiersia poety. Spojrzała na brutalny marmurowy profil i zaczęła się zastanawiać, czy kochanka Baudelaire’a też nienawidziła go tak, jak Eve swojego chlebodawcy.

– Czy mogłabym pana o coś poprosić, *m-monsieur*?

– Poprosić? Zaintrygowałaś mnie.

– Czy mogłabym za dwa dni opuścić jeden dzień w pracy? Obiecałam przyjaciółce, że pojedę z nią do jej wujka, który mieszka dosyć daleko stąd.

Sama prawda. Przy René Eve starała się, by jej kłamstwa ograniczały się do tego, co niewypowiedziane.

– Chcesz zwolnić się z pracy – powtórzył powoli. – Jest wiele dziewcząt, które chętnie by cię zastąpiły i z radością obiecały, że nie opuszczą ani jednego dnia.

– Zdaję sobie z tego sprawę, *monsieur*. – Eve popatrzyła na niego błagalnie swoimi sarnimi oczami. – Miałam nadzieję, że jest pan na tyle zadowolony z mojej pracy, żeby...

Pozwolił jej czekać, bez pośpiechu odkładając na bok rejestr.

– Proszę bardzo – powiedział w końcu, a dziewczyna omal nie zemdląła z ulgi. – Masz jeden dzień zwolnienia.

– Dziękuję...

Przerwał jej.

– Jest już późno. Pamiętałaś o wzięciu przepustki czy będę musiał cię znów odprowadzić? – Rozluźnił węzeł krawata. – Zresztą może i tak cię odprowadzę. Chciałbym zacieśnić naszą znajomość, Marguerite.

„Dlatego, że o coś poprosiłam”.

Miała ochotę przełknąć gulę w gardle i pozwoliła sobie na to tak, by René widział, jak jej szyja się porusza. Zdenerwowanie na pewno mu się spodoba.

Mężczyzna rzucił krawat na skórzany podłokietnik fotela.

– Zastanawiałaś się nad moją propozycją?

Eve nie udawała, że nie wie, o czym mowa.

– Pańska propozycja mnie z-zaskoczyła, *monsieur*.

– Czyżby?

– Nie jestem odpowiednią dziewczyną dla człowieka z klasą. Jestem zwykłą kelnerką. Nie mam urody, d-dobrych manier, nic nie wiem o świecie. Więc tak, pańska propozycja bardzo mnie zaskoczyła.

Niespiesznie podniósł się z głębokiego fotela i podszedł do stolika z satynowego drewna, na którym stały kryształowe karafki. Odkorkował jedną z nich i nalał do szklanki na dwa palce jakiegoś bladego, skrzącego się płynu lśniącego jak diament. Podał go Eve.

– Spróbuj.

Nie miała wyboru, upiła łyk. Poczowała palenie w gardle: ognista słodycz, lekka kwiatowa nuta, bardzo mocny trunek.

– Nalewka z kwiatu czarnego bzu. – René oparł łokieć na hebanowej półce nad kominkiem. – Dostarcza mi ją prywatnie pewien winiarz z Grasse. To piękna okolica, powietrze pachnie kwiatami jak ten likier i uderza do głowy. Jest jedyny w swoim rodzaju, więc nie serwuję go w restauracji. Koniak, schnaps, szampan, takie podaję Niemcom. Lecz to, co wyjątkowe, zachowuję dla siebie. Myślę, że ci smakuje?

– Tak. – Nie było sensu okłamywać go, kiedy nie musiała. – A czemu częstuje pan m-mnie, skoro n-nie dzieli się pan tym, co wyjątkowe?

– Bo ty także jesteś wyjątkowa. Masz dobry gust, Marguerite, bardzo dobry, powiedziałbym, choć zupełnie niewyrobiony. Niczym Ewa w ogrodzie Eden.

Eve nie miała pojęcia, jak udało jej się nie podskoczyć na dźwięk imienia tak podobnego do jej własnego, tego prawdziwego. Poradziła sobie, upijając kolejny łyk ognia pachnącego czarnym bzem.

– Zawsze ceniłem u swoich kobiet dobry smak i elegancję – ciągnął dalej René. – Do tej pory wolałem skończony produkt od surowego materiału, jednak w Lille ostatnio trudno o wytworną kobietę. Głód i patriotyzm zmieniły w jędze wszystkie znane mi damy. Przyszło mi na myśl, że skoro pragnę odpowiedniej dziewczyny, będę musiał się zabawić w Pigmaliona

z greckiego mitu i wyrzeźbić sobie własną. – Uniósł długi palec i odsunął kosmyk z jej czoła. – Nie przypuszczałem, że będę czerpał z tego przyjemność. Ale jak widzisz, tobie także udało się mnie zaskoczyć.

Eve nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź. René zdawał się jej nie oczekiwać, wskazał tylko szklankę dziewczyny.

– Jeszcze?

– Poproszę.

Nalał kolejną solidną porcję. „Chce mnie upić”, pomyślała Eve. Siedemnastoletnia Marguerite raczej nie miałyby mocnej głowy. Parę kolejek i byłaby chętna i uległa.

Eve zajrzała w głąb szklanki i zobaczyła tory kolejowe, które zaprowadzą cesarza do Lille. Leniwe sylwetki komendanta i jego oficerów siedzących nad schnapsem i beztrosko omawiających wojskowe tajemnice. Rozpromienioną twarz Lili w dniu, gdy Eve udało się przekazać pierwszą cenną informację. Usłyszała nawet głos Lili: „Ależ to paskudne zajęcie”.

„Możliwe – pomyślała teraz Eve tak samo, jak odpowiedziała wtedy. – Ale ktoś musi je wykonywać. A ja jestem w tym dobra. Więc dlaczego nie ja?”

Wychyliła szklankę. Kiedy ją opuściła, René stał znacznie bliżej. Pachniał paryską wodą kolońską, czymś subtelnym i cywilizowanym. Zaczęła się zastanawiać, czy teraz ją pocałuje. Przed oczami przemknął jej obraz kapitana Camerona patrzącego na nią na plaży, wtedy gdy sądził, że ona ładuje pistolet. René schylił głowę, a ona pospiesznie przegnała tamto wspomnienie.

„Nie cofaj się”, przykazała sobie.

Przysunął twarz do szyi dziewczyny, wdychając jej zapach, po czym wyprostował się i nieznacznie wydał wargi.

– Może najpierw kąpiel. Proszę, możesz skorzystać z mojej wanny.

Poczuła mrowienie nietkniętych warg i przez chwilę nie rozumiała. A potem spojrzała na swoje dłonie, na mankiety zawsze upstrzone plamkami z beurre blanc i czerwonego wina, choćby nie wiem jak uważała przez całą zmianę, i zdała sobie sprawę, że pod suknią ma na sobie warstewkę zaschniętego potu, pozostałość po energicznym porannym spacerze z Lili. „Śmierdzą – pomyślała Eve z poczuciem takiego

upokorzenia, że zachciało jej się płakać. – Śmierdzą potem oraz tanim mydłem i przed defloracją należy mnie gruntownie wmyć”.

– Znajdziesz tam mydło. – René odwrócił się bezceremonialnie, szarpnięciem rozpinając sobie kołnierzyk. – Wybrałem je dla ciebie.

Czekał na wyraz wdzięczności.

– Dziękuję – wykrztusiła Eve, a on wskazał jej drzwi za swoimi plecami.

Łazienkę cechował ten sam nieprzyzwoity przepych co jego gabinet: czarno-białe kafelki, obszerna marmurowa wanna, lustro w złoczonej ramie. Na blacie leżała nowa kostka konwaliowego mydła, niewątpliwie skonfiskowana z łazienki jakiejś kobiety, a Eve przypomniała sobie, jak René mówił, że ten zapach by do niej pasował. Lekki, słodki, wonny i świeży.

Wszystkie rady Lili na temat tego, jakie zachowania sprawiają przyjemność mężczyznom, przyszły jej na myśl i przez chwilę Eve myślała, że zwymiotuje, lecz udało jej się opanować. „Zwróć uwagę, co mu się podoba”, mówiła Lili. Patrząc na mydło, Eve zrozumiała. Lekka, słodka, wonna i świeża. Dotyczyło to nie tylko zapachu, ale tego, jaka ma być. Jakie to uprzejme z jego strony, że dostarczył jej przepis.

Napełniła wannę, z mściwą rozrzutnością rozchlapując gorącą wodę, i drżąc, zanurzyła się w niej. Od ponad dwóch miesięcy myła się nad miską, używając wystrzępionej myjki. Gorąco i dwie solidne porcje nalewki z czarnego bzu sprawiały, że kręciło jej się w głowie. Mogłaby całe wieki pławić się w ciepłej pachnącej wodzie, ale miała zadanie do wykonania.

Lepiej czym prędzej mieć je za sobą.

Eve nie włożyła bielizny i znoszonej sukni, tylko zostawiła je na podłodze i owinęła się śnieżnobiałym ręcznikiem. Popatrzyła na siebie w lustrze i nie poznawała dziewczyny, którą zobaczyła. Kości policzkowe sterczały, przypominając o skąpych racjach żywnościowych, jednak chodziło o coś więcej. Evelyn Gardiner o łagodnej twarzy z pewnością nigdy nie spoglądała tak twardo i bezlitośnie. Marguerite Le François w żadnym razie nie była twarda, więc Eve zaczęła ćwiczyć przed lustrem – rozchylone wargi, drżące rzęsy – aż doszła do perfekcji.

– Ach. – René powitał dziewczynę uśmiechem, lustrując ją od bosych stóp do rozpuszczonych jasnobrązowych włosów. – Znacznie lepiej.

– Dziękuję – odparła. – Od miesiący nie brałam t-takiej kąpieli.

Wdzięczność. Wiedziała, że tego się od niej oczekuje.

Wsunął palce w jej wilgotne włosy i zbliżył je sobie do nosa.

– Wspaniale.

Nie był brzydki, tylko smukły i elegancki, garnitur zastąpił szlafrokiem z wzorzystego szarobłękitnego jedwabiu. Jego chłodna dłoń wśliznęła się pod włosy Eve i objęła jej szyję – palce miał tak długie, że mało brakowało, a mógłby je na niej zamknąć. I pocałował ją niespiesznie, wprawnie, z otwartymi ustami. Przez cały czas nie zamykał oczu.

– Zostaniesz na noc – wymruczał, gładząc jej biodro przez warstwę ręcznika. – Jutro rano spotykam się z komendantem Hoffmanem dość wcześnie, chce omówić szczegóły uroczystości na cześć tego ich asa pilotażu, Maksa Immelmanna. On ma przejąć wyłączną odpowiedzialność za obronę powietrzną Lille. Ale to nic nie szkodzi, mogę wybrać się do niego niezupełnie wypoczęty.

I proszę bardzo, właśnie po to Eve tutaj była. René zapomniał się na tyle, by ujawnić ten strzępek informacji, który z pewnością zainteresuje Królewski Korpus Lotniczy. Eve zanotowała to w głowie, a bicie jej serca się uspokoiło, wpadając w powolny rytm strachu i determinacji.

René uśmiechnął się do niej z góry.

– No dobrze – odezwał się i chwycił za ręcznik owinięty wokół jej piersi. – Zobaczmy, co tu mamy.

„Wytrzymasz – pomyślała Eve, zaciskając zęby. – Bo to się opłaca. I to jeszcze jak”.

Pozwoliła ręcznikowi opaść i uniosła twarz do następnego pocałunku. Jakie to ma znaczenie, że coś cię przeraża, skoro po prostu trzeba to zrobić?

„Tylu rzeczy się dzisiaj dowiedziałam. A tyle było jeszcze przede mną!”

# III



# 17

## Charlie

*Maj 1947*

Znajdowaliśmy się w połowie drogi do Paryża, a ja nie posiadałam się ze zdumienia, że jeszcze nie wylądowaliśmy w rowie. Był maj, otaczała nas kwitnąca francuska wieś, lecz ani Finn, ani ja nie zwracaliśmy na to uwagi, bo siedząca na tylnej kanapie Eve opowiadała nam o tym, jak to jest być szpiegiem.

Szpiegiem. Eve. Szpiegiem? Siedziałam z przodu odwrócona całkowicie w jej stronę, wpatrując się w nią z otwartą buzią i nawet Finn raz po raz oglądał się na nią przez ramię.

– Rozbijesz to cholerne pudło – oznajmiła cierpko. – A tobie, jankesko, zaraz mucha wleci do ust.

– Mów dalej – poprosiłam. Cała moja wiedza o szpiegach pochodziła z filmów i nigdy nie sądziłam, by cokolwiek z tego było prawdą, ale tu miałam przed sobą Eve. Może nie pasowała do hollywoodzkiej wizji szpiega w spódnicy, lecz coś w jej beznamietnym chrapliwym głosie, którym opowiadała o Folkestone, szyfrach i wujku Edwardzie, sprawiało, że wierzyłam w każde słowo. Lagonda połykała kilometry krętych francuskich dróg, a Eve nie przestawała mówić. O restauracji zwanej Le Lethe. O jej wytwornym właścicielu. O niezliczonych wersetach z Baudelaire'a. O koleżance z siatki szpiegowskiej noszącej okrągłe okulary i pseudonim Violette...

– To ta kobieta ze sklepu z porcelaną! – wykrzyknęłam, a Eve spojrzała na mnie z politowaniem.

– Jak na to wpadłaś, Sherlocku?

Uśmiechnęłam się szeroko, nie przejmując się jej sarkazmem. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że naprawdę poszłam sobie i zostawiłam matkę w tamtym hotelu; matkę, Wizytę i całe moje starannie zaplanowane życie. Ale zjadłam gigantyczne śniadanie i przy pełnym żołądku miejsce

zdeenerwowania zajęły ekscytacja i radość z przygody. Mknęłam samochodem z byłym więźniem i byłą członkinią siatki szpiegowskiej w stronę nieznaną przyszłości – jeżeli to nie był zestaw zmiennych matematycznych równających się przygodzie, to naprawdę nie wiem, co nim jest.

Eve czasem mówiła, a niekiedy milkła. Wojenne Lille, brak czegokolwiek, rekwizycje. Raz po raz przewijało się nazwisko René Bordelona. Jej pracodawcy, choć nienawiść w głosie kobiety kazała się domyślać, że był kimś więcej.

– Ten René – odezwał się Finn, kładąc rękę na oparciu i spoglądając przez ramię na Eve. – Myślisz, że on jeszcze żyje?

Nie chciała odpowiedzieć, chrząknęła tylko i zaczęła pociągać ze swojej piersiówki. Finn zapytał o ludzi, dla których pracowała, czy w siatce był ktoś poza Violette. Eve przez chwilę milczała, po czym odparła:

– Jedna czy dwie osoby.

Chciałam zadać kolejne pytanie, wprost płonęłam z ciekawości, lecz napotkałam wzrok Finna i oboje umilkliśmy. Między naszą trójką nieśmiało zawiązywał się nowy triumwirat, Eve nie jechała już z nami dlatego, że jej płaciłam; była tu z wyboru, a ja nie miałam prawa wtrącać się w jej sprawy. Poza tym teraz, gdy poznałam kawałek jej prawdziwej historii, miałam dla niej jeszcze więcej respektu, więc postanowiłam opanować swoją ciekawość. Kobieta pociągnęła kolejny łyk z piersiówki, niezdarnie unosząc ją w przypominających szczytce dłoniach, a mój awanturniczy nastrój nieco opadł. To, co doprowadziło jej ręce do takiego stanu, na pewno było pokłosiem udziału w wojnie, tak samo jak postrzał w nogę, po którym mój brat wrócił do domu kulawy. Przyznano mu Purpurowe Serce; medal leżał w pudełku obok Jamesa, kiedy ten wypalił sobie w głowę. Jakie wewnętrzne zranienia nosiła w sobie Eve?

Popołudniowe słońce wywoływało jej senność, na przemian mówiła i milkła na dłuższą chwilę. W połowie któregoś zdania zaczęła pochrapywać.

– Niech się zdrzemnie – odezwał się Finn. – I tak muszę wstąpić na stację benzynową.

– Daleko jeszcze do Paryża?

Ustaliliśmy, że w drodze do Limoges zatrzymamy się tam na nocleg.

– Kilka godzin.

– Zaraz, przecież jedziemy już od kilku godzin. To chyba nie jest aż tak daleko?

Finn wyszczerzył zęby.

– Zasłuchałem się w opowieść o tym, jak się łamie szyfry, skręciłem nie tam, gdzie trzeba, i mało brakowało, a zajechalibyśmy do Reims.

\*\*\*

O perłoworóżowym zmierzchu zatrzymaliśmy się przed obskurnym hotelikiem na obrzeżach miasta – przy obecnym stanie naszych finansów nie było mowy o niczym bardziej wytwornym. Niezależnie od skromnych funduszy musiałam jednak coś kupić, podczas gdy Eve i Finn meldowali się w recepcji woniejącej wczorajszą zupą rybną. Po niedługim spacerze handlową ulicą trafiłam na lombard. Znalezienie tego, czego potrzebowałam, zajęło mi raptem parę minut i już wracałam do hotelu, kiedy moje spojrzenie przyciągnął inny sklep: z używaną odzieżą. Byłam zmęczona noszeniem na przemian tych samych trzech zestawów ubrań i spaniem w halce.

Znad lady podniosła na mnie wzrok ekspedientka, jedna z tych drobniutek Francuzek o zaciśniętych wargach, ubranych jak spod igły i przypominających szykowne małpki.

– *Mademoiselle...*

– *Madame* – sprostowałam. Położyłam na kontuarze portmonetkę tak, by kobieta mogła zobaczyć obrączkę na mojej lewej dłoni. – Chciałabym kupić sobie parę rzeczy do ubrania.

Sprzedawczyni zmierzyła mnie jednym szybkim i uważnym spojrzeniem, a ja podałam jej swój budżet, usiłując powstrzymać się od obracania na palcu obrączki z lombardu. Była na mnie ciut za duża, podobnie jak tytuł madame. Jednak od zakończenia wojny minęły dopiero dwa lata i nierzadko widywało się młode wdowy. Owszem, zdecydowałam się na zachowanie Drobного Kłopotu, ale nie zamierzałam pozwolić pluć sobie w twarz jako niezamężnej matce. Dobrze wiedziałam, jak to działa: trzeba

postarać się o obrączkę, wymyślić historyjkę o chłopcu, który zginął na wojnie (w moim przypadku już po), i upiększyć ją kilkoma przekonującymi szczegółami. Ludzie będą mogli patrzeć na mnie z powątpiewaniem, lecz nic nie będą mówili, bo miałam odpowiednie rekwizyty: używaną obrączkę i nieżyjącego męża.

Donald, zdecydowałam, wchodząc do przymierzalni. Donald... McGowan był moim nieistniejącym mężem nieboszczykiem. Pół-Szkot, pół-Amerykanin, brunet. Oddział pancerny, służył u generała Pattona. Donald był moją wielką miłością, zginął niedawno w wypadku samochodowym. Zawsze jeździł za szybko, tyle razy go ostrzegałam... Jeśli urodzi się chłopiec, dam mu imię po ojcu.

Wyobraziłam sobie, jak Rose marszczy z niesmakiem nos.

– Charlie, co to za pomysł, żeby nazywać własnego syna Donald? Słowo daję!

– Masz rację – zgodziłam się. – Ale i tak myślę, że to będzie dziewczynka. Więc Donald świetnie się nada.

– Brzmi jak okropny nudziarz!

– Nie będziesz obrażać mojego Donalda!

– *Madame?* – Rozległ się podejrzliwy głos ekspedientki, więc stłumiłam śmiech, przymierzając kolejne używane ubrania. Pod moimi beztroskimi fantazjami kryły się autentyczne plany, choć na razie mgliste. Myślałam, że jeśli odzyskam Rose, to może znajdzie się gdzieś miejsce dla nas dwóch. Może tutaj, we Francji, kto wie? Miałam pieniądze, oszczędności, czemu nie miałybyśmy zafundować sobie nowego początku gdzieś, gdzie dwie fałszywe *mesdames* z dwiema fałszywymi obrączkami mogłyby wieść uczciwe życie? Przypomniała mi się prowansalska kawiarenka, w której u boku Rose spędziłam najszcześniejszy dzień mojego dzieciństwa. Czy jest gdzieś dla nas taka przystań teraz, gdy obie dorosłyśmy?

Pomyślałam o kafejce, wspominając, jak bardzo podobało mi się nie tylko tamto popołudnie, ale i dorywcza praca w kawiarni w Bennington. Obsługiwanie klientów, zapachy, od których napływała do ust ślinka, swobodna przyjemność żonglowania zamówieniami i robienia obliczeń w głowie. Kawiarnia gdzieś tutaj, we Francji? Wyobraziłam sobie lokalik z kartkami pocztowymi na sprzedaż, kanapkami z miękkim kozim serem

i dojrzewającą szynką, gdzie wieczorami nastawiałoby się Édith Piaf i przesuwano stoliki pod ściany, robiąc miejsce do tańca. Dwie młode wdowy prowadziłyby rachunki i flirtowały z Francuzami, rzucając od czasu do czasu smutne spojrzenia na fotografie swoich zmarłych mężów. Musiałabym kupić gdzieś porządne fałszywe zdjęcia...

– *Bien* – oceniła ekspedientka, kiedy wyszłam z przymierzalni, i z uznaniem pokiwała głową na widok wąskich czarnych spodni oraz krótkiego pulovera w paski, który miał mały dekolt, za to ledwie zakrywał mi talię. – New Look do pani nie pasuje – oznajmiła bez ceregieli, przeglądając stosik ubrań w moim rozmiarze i wybierając z niego tylko najwęższe spódnice, najbardziej dopasowane swetry i obcisłe spodnie. – Pani się ubiera u Diora, ale jest pani stworzona do rzeczy od Chanel. Znam ją: jest mała, ciemna i niezbyt ładna.

– Bardzo pani dziękuję. – Z rozdrażnieniem rozejrzałam się po ciemnym sklepie. – I szczerze wątpię, żeby znała pani Chanel.

– Przed wojną pracowałam u niej w atelier! Jeśli wróci do Paryża, znów się tam zatrudnię, a póki co muszę jakoś wiązać koniec z końcem. Wszyscy musimy jakoś sobie radzić, ale to nie tłumaczy niedobrych ubrań. – Sprzedawczyni spiorunowała mnie wzrokiem i wyciągnęła w moją stronę wypielegnowany paznokiec. – Koniec z falbankami! Kiedy idzie pani na zakupy, proszę szukać rzeczy dopasowanych, w paski i butów na płaskim obcasie. I proszę przestać zamęczać te włosy papilotami, ostrzyc je na wysokości brody...

Popatrzyłam na siebie w lustrze. Owszem, spodnie i pulover były używane, niemniej wyglądałam całkiem elegancko. Trochę chłopięco. I wreszcie było mi wygodnie, nie miałam na sobie żadnego pasa wyszczuplającego ani krynoliny. Ekspedientka włożyła mi na bakier nieduży słomiany kapelusik, a ja uśmiechnęłam się szeroko. Nigdy wcześniej nie wybierałam sobie ubrań; *maman* zawsze mi dyktowała, co mam nosić. Lecz teraz byłam *madame*, dorosłą kobietą, nie bezradną dziewczynką, i przyszła pora, abym wreszcie na to wyglądała.

– Ile?

Zacząłyśmy się targować. Miałam do dyspozycji niewiele franków, ale zauważyłam, jak łakomie sprzedawczyni patrzy na mój kostium podróżny,

mimo że kręciła nosem na New Look.

– Jest uszyty dokładnie na wzór kolekcji Diora, a w hotelu mam jeszcze jeden. Podrzucę go tu jutro, jeśli da mi pani te spodnie, dwie spódnice, swetry i czarną suknię.

– Suknię dostanie pani tylko pod warunkiem, że będzie ją pani nosić z perłami i intensywnie czerwoną szminką.

– W tej chwili nie mam pereł, ale szminkę da się załatwić.

– Zgoda.

Rozkołysanym krokiem ruszyłam do hotelu z paczką ubrań w dłoni. Z satysfakcją odnotowałam, że brwi Finna podjechały w górę, kiedy dołączyłam do niego i Eve w hotelowej kawiarni.

– Donaldowa McGowan, miło mi państwa poznać – odezwałam się, demonstrując im dłoń z obrączką.

– Jasna cholera – odparła Eve i pociągnęła łyk martini, które wyglądało mi na czysty gin.

Poklepałam Drobnego Kłopot.

– Uznałam, że przyda mi się fałszywa tożsamość.

– Donald McGowan? – powtórzył Finn. – Kto to taki?

– Brunet, kanciasta szczęka, absolwent prawa na Yale, służył w oddziale pancernym. – Otarłam oczy nieistniejącą chusteczką obrębianą czarną koronką. – Miłość mojego życia.

– Niezły początek – stwierdziła Eve. – Wolał mieć skarpetki w szufladzie poskładane czy zwinięte?

– Yy... Poskładane.

– Żadnego „yy”. Kawa czarna czy z mlekiem? Miał rodzeństwo? Grał w football na uczelni? Diabeł tkwi w szczegółach, jankesko. – Eve wycelowała we mnie palcem. – To szczegóły decydują o tym, czy fałszywa tożsamość jest wiarygodna. Wymyśl swojemu Donaldowi biografię i wkuwaj ją, dopóki nie zdołasz wyrecytować jej bez zajknięcia. I nie zdejmuj tej obrączki, noś ją tak długo, aż zrobi ci się na palcu taki rowek, jak u regularnych mężatek. Ludzie przyglądają się, czy dziewczyna go ma, gdy jest taka młoda, ma w wózku dziecko i każe się nazywać *madame*.

Uśmiechnęłam się od ucha do ucha.

– Tak jest! Zjemy kolację?

– Dobrze, i t-tym razem ja stawiam. Do tej pory ciągle ty za nas płaciłaś.

Subtelny sygnał, że Eve nie jest już z nami ze względu na moje pieniądze – wzruszyło mnie to, choć miałam dość oleju w głowie, żeby o tym nie wspominać.

– Świetnie, pod warunkiem że pozwolisz mi sprawdzić rachunek – odpowiedziałam. – Ty byłabyś gotowa podpisać się pod dowolnym ciągiem cyfr.

– Jak sobie życzysz. – Wzięła rachunek za drinki, który przed chwilą przyniósł kelner, i przesunęła go w moją stronę. – W końcu to ty jesteś tu bankierem.

– Nie da się ukryć. – W ciągu tego tygodnia sprawy finansowe jakoś naturalnie stały się moją domeną, chociaż byłam najmłodsza z naszej trójki. Finn i Eve automatycznie spoglądali na mnie, kiedy przychodziło do targowania się o ceny pokoi; rachunki bezzwłocznie podawano mi do przestudiowania, wydawana reszta trafiała do mnie, bo inaczej moi towarzysze podróży wrzucaliby ją gdzie bądź, tak że poniewierałaby się po całym samochodzie. – Słowo daję, co z was za para – rzuciłam, notując na rachunku. – Eve jest asem wywiadu, ty, Finn, radzisz sobie z tym samochodem jak nikt inny, a żadne z was nie potrafi obliczyć napiwku bez brudnopisu i dziesięciu minut drapania się w głowę.

– Łatwiej po prostu zdać się na ciebie – odparł Finn. – Jesteś jak małe liczydełko.

Znów się uśmiechnęłam, przypominając sobie tamtego bankiera w Londynie, który uznał, że jestem za młoda i głupia, żeby zarządzać własnymi pieniędzmi. A tutaj robiłam to za nas troje. Zaczęłam się zastanawiać, czym jeszcze potrafiłabym zarządzać.

Obróciłam na palcu fałszywą obrączkę, wyobrażając sobie, jak siedzę za świetnie zorganizowaną kasą, za paskiem obcisłych spodni mam ściereczkę, a włosy szykownie przycięte na wysokości brody. Oczyma duszy zobaczyłam Rose z jej blond lokami, w stylowej czarnej sukience, jak urzęduje obok mnie; w tle słychać było francuski jazz i piski dwojga dzieci – już nie Drobnych Kłopotów, tylko Coraz Większych Kłopotów, gaworzących na przemian po francusku i angielsku...

Wyobraziłam sobie panią Donaldową McGowan i panią Étienne'ową Fournier, obie spokojne i zadowolone z życia. Po prostu zadowolone.



# 18

## Eve

*Lipiec 1915*

Eve nigdy nie widziała Lili tak zniecierpliwionej.

– Skup się, stokroteczko! Twój umysł błąka się po bezdrożach.

– Już jestem skupiona – obiecała Eve, ale nic nie potrafiła na to poradzić.

Wciąż była obolała.

Nie bardzo obolała, co prawda. René Bordelon zachowywał się ostrożnie, by nie wyrządzić jej krzywdy. Trudno było uznać to za przejaw czułości – jego powściągliwość kończyła się tam, gdzie zaczynała rozkosz – ale przynajmniej był ostrożny. Pojawiło się parę plam krwi, chociaż obeszło się bez szczególnego bólu. „I to by było na tyle”, myślała Eve, gdy w końcu pozwolił jej się ubrać i wrócić do domu. Jeszcze jedna nocna zmiana, potem poranny kurs pociągiem z Lili do Brukseli i kapitana Camerona, raport o wizycie cesarza w Lille. Później René nie będzie już zaprzętał jej uwagi.

Lecz kolejnej nocy po zakończeniu zmiany znów poprosił, by zaczekała. To ją zaskoczyło.

– Zdaję sobie sprawę, że powinienem dać ci trochę czasu na odpoczynek – powiedział, uśmiechając się lekko. – Nie potrafię jednak ci się oprzeć. Masz coś przeciwko?

– Nie – odpowiedziała Eve. Co innego mogła zrobić?

Tak więc spędzili ze sobą kolejną noc. Po wszystkim, gdy wstała z łóżka i zaczęła się ubierać, René wpatrywał się w nią.

– Z niecierpliwością oczekuję twojego powrotu – rzekł oparty o poduszki, a nadzwyczajnie długie palce gładziły kołdrę nad jego kolanem.

– J-j-j... ja również – odparła, wlepiając wzrok w tarczę zegara, która wskazywała godzinę czwartą rano. Za niecałe cztery godziny była umówiona z Lili na dworcu kolejowym. – A-ale obawiam się, że m-muszę już iść. Dziękuję – o wdzięczności nie wolno jej było zapomnieć – za d-dzień wolny, *monsieur*.

Nie prosił, by zwracała się do niego po imieniu, chociaż jej imię szybko sobie przywłaszczył. Uśmiechnął się, gdy schowała twarz za kołnierzem płaszcza.

– Jakże niewiele mówisz, Marguerite. A większość kobiet ma zwyczaj gdakać jak kury. „O milcząca, Kocham cię tym mocniej, gdy uciekasz”.

Eve nie musiała pytać o autora. „Baudelaire – pomyślała. – Zawsze ten przeklęty Baudelaire”. Niecałe cztery godziny później była już w drodze na dworzec, niewypoczęta i skupiona na czekającym ją zadaniu, a do tego pachnąca René Bordelonem.

I wciąż obolała.

Spiesząc się wraz z Lili na pociąg, stąpała uważnie, by chwiejnym krokiem nie dać przypadkiem poznać swojej przypadłości. Lili wcześniej czy później z pewnością się domyśli, na razie jednak cała jej uwaga była skupiona na przedostaniu się przez granicę. A kapitan Cameron nigdy się nie dowie. Eve Gardiner nie miała zamiaru płacić swoim dziewictwem za bilet powrotny do domu, gdy wojna wciąż trwała. Do tego mogła być pewna, że znowu trafi do łóżka swojego pracodawcy. Nawet po tak krótkim czasie, po niecałych dwóch nocach spędzonych razem, stało się jasne, że drogi René ma słabość do gadania po. Tu wymsknęło mu się parę ciekawostek o niemieckim pilocie Maksie von Immelmannie, tam zdradził kilka nowych szczegółów dotyczących zbliżającej się wizyty cesarza... O tak, René paplał, a Eve zamierzała uważnie słuchać. A co do całej reszty... cóż, wcześniej czy później przywyknie. Nie ma innego wyjścia.

– Niedobrze – mruknęła pod nosem Lili, a Eve zdała sobie sprawę, że znowu pochłonęły ją myśli. „Skup się”, warknęła na siebie w głowie. Na peronie roiło się od niemieckich oficerów, żołnierzy i urzędników. Ukryte w rękawiczkach dłonie Eve zaczęły się pocić.

– Czy kogoś aresztowano? – wyszeptwała niemal bezgłośnie.

W siatce Alice aresztowań obawiano się jak ognia. Gdyby jedna z agentek Lili wpadła, szybko znalazłaby się w sali przesłuchań. Dobrze było więc wiedzieć jak najmniej, ale wystarczy parę słów i...

– Nie – odpowiedziała cicho Lili, przeciskając się przez tłum mundurów. – Witają tylko jakiegoś nadętego generała. Że też akurat dziś...

Przedzierały się dalej w stronę żołnierza sprawdzającego bilety i dokumenty, ale robiło się coraz tłoczniej, a pociąg zatrzymał się już na stacji. Stał teraz, wyrzucając z siebie kłęby dymu i sapiąc jak koń, który rwie się do drogi. Otoczeni zewsząd generalicją wartownicy wykonywali swoje obowiązki z nadzwyczajną dokładnością.

– Ja będę mówiła – szepnęła Lili. Tego dnia wcieliła się w rolę Vivienne, sprzedawczyni sera w słomkowym kapeluszu i pokrytej koronkami bluzce z wysokim kołnierzem. Plan działania ustaliły wcześniej: Lili miała zagadać strażników, podczas gdy Eve chybotałaby się niepewnie pod ciężarem paczek i toreb, gotowa w razie potrzeby je upuścić. Żołnierze, niesłyszący z cierpliwości, z ulgą machnęliby na nie ręką. Ale tego dnia ich oczy uważnie przyglądały się każdemu, kto nie miał na sobie niemieckiego munduru, a kolejka przesuwała się w ślimaczym tempie. „Nie możemy spóźnić się na ten pociąg”, powtarzała w głowie Eve, przygryzając wargę, kiedy Lili dotarła do czoła kolejki. Właśnie sięgała po dokumenty, gdy ktoś zawołał po francusku, chociaż z mocnym niemieckim akcentem:

– *Mademoiselle de Bettignies!* Czy mnie oczy nie mylą?

Eve pierwsza dostrzegła krzyczącego zza ramienia Lili Niemca. Wąsacz, wiek około czterdziestu pięciu lat, włosy szesane na czoło. Ociekał złotem, wręcz biło od niego wysoką rangą: ramiona ugiwały się pod ciężkimi pagonami, na piersi nosił dwa rzędy orderów. Eve rozpoznała go: Rupprecht, księżę koronny Bawarii, Generaloberst Szóstej Armii Niemieckiej i jeden z najzdolniejszych dowódców w szwabskiej służbie. Odwiedził Lille trzy tygodnie temu – pamiętała to doskonale, ponieważ zatrzymał się w Le Lethe, gdzie prawił komplementy René Bordelonowi za pyszną tartę alzacką oraz chwalił nowy nabytek sił powietrznych Niemiec, myśliwiec Fokker Eindecker. Eve zachowała w pamięci komentarze o samolocie, nalewając mu brandy.

A teraz jego otoczona tłumem asystentów postać górowała nad nimi. Wyciągnięta ręka spadła na ramię Lili, gdy krzyknął ze zdumieniem:

– Louise de Bettignies, a jednak to pani!

Lili jeszcze przez chwilę stała odwrócona, jej dłoń wciąż pozostawała zanurzona w torbie w poszukiwaniu dokumentów Vivienne, sprzedawczyni sera. Eve zobaczyła w jej oczach pustkę, choć nie trwała ona nawet ułamka

sekundy – Lili wepchnęła dokumenty Vivienne z powrotem do torby jak hazardzistka, która odrzuca słabe karty. Wykonując obrót, wyprostowała plecy, a usłużny uśmiech Vivienne przemienił się w inny, śmielszy i olśniewający. Wykonała skłon, który Eve szybko powtórzyła.

– Wasza Wysokość! Wie pan, jak schlebić damie. Rozpoznał mnie pan po kawałku szyi, przykrytej do tego tak nieciekawym kapeluszem?

Generał ucałował rękę Lili, jego orderzy zabłyśły.

– Zachwyca pani i bez bukietu róż, *mademoiselle*.

Lili (Louise?) posłała mu krótki uśmiech, a Eve, choć wciąż zaszokowana następstwem wydarzeń, nie potrafiła się otrząsnąć z wrażenia na widok całkowitej przemiany, jaka zaszła w przywódczyni sieci Alice. Jej mina wyrażała teraz pewność siebie, podbródek uniósł się ku górze, a lekki ruch ręki wystarczył, by okropny słomiany kapelusz opadł stylowo na jedno oko, zupełnie jak jedno z tych przybranych tiulem nakryć głowy wielkości koła młyńskiego, które zostawiała w przedziałach kolejowych w całej Francji. Jej francuski płynął wartko, jak przystało na prawdziwą arystokratkę, co prawda zubożałą, lecz wciąż arystokratkę. Przeciągając głoski w niezaprzeczalnie dworski sposób, odpowiedziała:

– Takie już moje szczęście. Spotykam księcia Bawarii, mając na sobie zeszłoroczną koronkę! – Machnęła lekko w stronę bluzki. – Księżna Elvira nie wybaczyłaby mi tego.

– Moja kuzynka zawsze żywiła ku pani ciepłe uczucia. Pamięta pani partię szachów, którą rozegraliśmy w jej salonie w Holleschau tej nocy...

– Ależ tak! Pamiętam doskonale. Zwycięstwo należało do pana. Otoczył pan moją formację i zmusił króla do ucieczki z zamku. Nic dziwnego, że dowodzi pan teraz Szóstą Armią, Wasza Wysokość...

Rozmowa rozwinęła się w najlepsze. Ani generał, ani jego asystenci nie obdarzyli Eve chociażby spojrzeniem. Tak więc trzymała powierzone jej paczki i torby, chybocząc się niepewnie za plecami Lili jak prawdziwa pokojówka. Kapelusz miała równie brzydki co jej towarzyszka, lecz nie miała przy tym jej naturalnego uroku i doskonale nadawała się do roli służącej. Tymczasem pociąg, jak zauważyła z przerażeniem, zdążył odjechać ze stacji.

– Co pani robi w Lille, *mademoiselle* de Bettignies? – zapytał generał, nie zwracając uwagi na ruszającą lokomotywę ani tłoczących się wokół niego asystentów. Pod jego oczami pojawiły się kurze łapki, a uśmiech miał ciepły i dobrotliwy. Gdyby nie fakt, że był jednym z najzdolniejszych dowódców w służbie cesarskiej, Eve pewnie by go polubiła. – To takie posępne miejsce!

„A czyja to niby sprawka?”, zapytała w myślach Eve, a cień sympatii, którą przez chwilę poczuła, wyparował bez śladu.

– Jestem w drodze do Belgii, by odwiedzić mojego brata. Ależ, *mon Dieu*... jak przekroczę granicę, skoro uciekł mój pociąg? – Lili przybrała komicznie poważny wyraz twarzy, przypominający minę Kolombiny, a generał bezzwłocznie strzelił palcami na jednego ze swoich asystentów.

– Samochód dla *mademoiselle* de Bettignies i jej służącej. Mój szofer dopilnuje, aby panie trafiły do celu.

– Gdy tylko *mademoiselle* pokaże swoje dokumenty – dodał asystent, a ciało Eve sparaliżował strach. Miały przy sobie jedynie sfałszowane papiery sprzedawczyni sera Vivienne, a jeżeli odkryją, że Lili próbowała przekroczyć granicę, podając się za kogoś innego...

Ale uśmiech nie opuścił twarzy Lili, gdy przeszukiwała swoją torbę jak gdyby nigdy nic.

– Gdzieś je tutaj... – Wyciągnęła chustę, brelok z kluczami i parę spinek do włosów. – Marguerite, masz może moje dokumenty?

Eve natychmiast domyśliła się, co robić, zaczęła mozolnie otwierać wszystkie pakunki, potrząsając przy tym głową jak nierozgarnięta dziewczyna ze wsi. Sytuacja wydawała się bawić generała, lecz jego asystenci niecierpliwie przestępowali z nogi na nogę.

– Wasza Wysokość – w końcu odezwał się jeden z nich. – Komendant nas oczekuje.

– Papiery nie będą konieczne, znam *mademoiselle* de Bettignies osobiście... – Generał wyglądał na przygnębionego, gdy ucałował rękę Lili. – ... ze spokojniejszych czasów.

– Szczęśliwszych czasów – dodała Lili, a kiedy po chwili samochód zatrzymał się przed peronem, generał pomógł jej wsiąść do środka.

Eve nie miała pojęcia, co myśleć o całej tej sytuacji. Wdrapała się do samochodu za swoją przyjaciółką, wciąż siłując się z górą pakunków. Siedzenia wyłożono drogim materiałem, a zapach skóry maskował woń oleju silnikowego. Lili zdążyła pomachać jeszcze chustą przez okno, żegnając się z generałem, a potem drzwi zatrzasnęły się i samochód ruszył. Warunki jazdy były nieporównywalnie lepsze niż w ciasnym przedziale kolejowym.

Lili nie odzywała się. Może raz zerknęła w stronę kierowcy i rzuciła jedną czy dwie uwagi na temat nieznośnego upału, jak przystało na podróżującą w lecie kobietę szlchetnego urodzenia. W głowie Eve roilo się od pytań, których nie mogła teraz zadać, lecz pomimo rosnących obaw nie podnosiła wzroku, nie wychodziła z roli pokornej służącej. Nawet gdy przekroczyli granicę Belgii, w samochodzie wciąż panowała cisza. Żaden wartownik nie ośmieliłby się zatrzymać wozu generała, a co dopiero księcia koronnego. Machano im tylko, gdy przemykali pod unoszonymi szlabanami. Choć kierowca zaproponował, że zawiezie je, dokąd tylko sobie zażyczą, Lili uśmiechnęła się rozbijając i poprosiła, by odstawić je pod najbliższą stację kolejową. Peron był o wiele mniejszy niż ten w Lille, mieściło się na nim zaledwie parę ławek.

– *Merde* – rzekła, gdy patrzyły, jak wóz z błyszczącą karoserią znika za zakrętem drogi. – Nie miałabym nic przeciwko podjechaniu do samej Brukseli... *mon Dieu*, dosyć już mam pociągów... ale wujek Edward nie byłby zadowolony, gdybym doprowadziła jakiegoś asystenta generała armii niemieckiej pod jego drzwi, nie sądzisz?

Eve wciąż milczała. Zresztą nie wiedziałyby, co powiedzieć. Na zakurzonej peronie panował okropny upał. Oprócz drzemiącej po przeciwnej stronie torów staruszki nie było nikogo, kto mógłby podsłuchać ich rozmowę.

Lili usiadła ciężko na najbliższej ławce, kładąc swoją walizkę na ziemi.

– A więc, stokroteczko – powiedziała wprost – zamierzasz oskarżyć mnie o bycie podwójną agentką, ponieważ dowódca Szóstej Armii zna mnie z widzenia?

– Nie – odrzekła Eve. Chociaż wstydziła się przyznać, przeszło jej to przez myśl. Teraz spuściła tylko głowę. Mogłaby uwierzyć we wszystko, ale nie

w to, że Lili pracuje dla obu stron.

– Cóż, poznałaś moje prawdziwe imię. – Lili uśmiechnęła się, ściągając rękawiczki. – Bardzo niewiele osób w naszej sieci wie, kim byłam. Tylko Violette i wujek Edward.

Violette, lojalna ponad wszystko, zabiłaby Eve powoli, gdyby ta kiedykolwiek naraziła przywódczynię sieci Alice na niebezpieczeństwo, wyjawiając jej prawdziwą tożsamość. Tej tajemnicy nie należało traktować lekko.

– Louise de Bettignies. Kim była?

– Córką mało znaczącej rodziny szlacheckiej z Francji, i powinna była zostać aktorką, biorąc pod uwagę jej zamiłowanie do wcielania się w różne role. – Lili wyjęła swoją chustę i przetarła czoło. – Ale córki arystokracji nie zostają aktorkami, moja droga.

– A więc k-kim mogą być?

– Jeżeli pochodzą z rodziny ubogiej jak myszy kościelne? Zostają guwernantkami dzieci lubieżnych magnatów włoskich, polskich hrabiów lub austriackich księżniczek. – Louise zadrżała. – Uwierz mi na słowo, lepiej już dostać kulkę, niż wbijać francuskie czasowniki do główek małych dziedziców, którzy oczekują na spadek w postaci niszczących zamków i zapomnianych przez świat herbów.

Eve postanowiła nie ustępować. Pytania zadawała ostrożnie, choć ciekawość opanowała jej umysł bez reszty.

– A jak Louise de Bettignies poznała s-samego księcia koronnego Bawarii? Uczyła jego dzieci?

– Nie, dzieci jego kuzynki, księżny Elviry. Skończona suka. Twarz jak kartofel, a osobowość i temperament więziennego naczelnika. Jej mrukliwe bachory przypominały dwa osły, które uwierzyły, że świat prawowicie należy do nich. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Jako guwernantka szybko nauczyłam się skradać i nadstawiać ucha. A mimo to... – westchnęła przeciągle – było tak okropnie nudno. Powtarzałam sobie, że przynajmniej nie haruję przy wyładowywaniu węgla ani nie spędzam osiemnastu godzin dziennie z palcami miażdżonymi w maglu, wdychając wyziewy z pralni. I co z tego? Byłam tak śmiertelnie znużona swoim życiem, że pozostały mi dwie możliwości: rzucić się pod pociąg

niczym Anna Karenina lub zostać zakonnica. Przez chwilę rozważałam złożenie ślubów, ale tak zupełnie poważnie... raczej nie odnalazłabym się wśród sióstr zakonnych.

Brzęczenie letnich owadów wypełniło powietrze dookoła nich. Z nieba spływał żar, a staruszka z naprzeciwka chrapnęła głośno.

– Oto historia Louise de Bettignies – podsumowała Lili. Lecz nie jest to już moja historia. Stałam się Lili i dobrze mi z tym. O wiele bardziej ją lubię.

– Rozumiem dlaczego.

„Louise de Bettignies” brzmiało wyniośle, wręcz groteskowo, kojarzyło się z kobietą w ciasno zapiętej pelerynce, z osobą pozbawioną jakichkolwiek zdolności z wyjątkiem wyrobionego pięknego charakteru pisma. Zupełnie nie pasowało do drobnej postaci Lili mającej wiecznie oczy dookoła głowy i podwójne dno w torebce, w której ukryta była połowa tajemnic niemieckich sił zbrojnych.

– Nikomu nie wyjawię twojej tajemnicy, Lili.

Eve zobaczyła uśmiech na twarzy swojej przyjaciółki.

– Ufam ci, stokroteczko.

Odpowiedziała uśmiechem. Miała wrażenie, że pokładana w niej wiara ogrzewa jej wewnątrz do szpiku kości.

– *Merde*. – Lili znów westchnęła. – Czy ten przeklęty pociąg kiedyś się tu zjawi?

Nigdy więcej nie poruszyły tego tematu.

\*\*\*

Podróż pociągiem była okropna, choć krótka. Emocje wzbudzone przygodą z generałem powoli opuszczały Eve, wydając ją na pastwę myśli o ostatniej nocy i René. Nie śledziła trasy, jaką pokonały, by znaleźć się w ustalonym miejscu spotkania. Wolałyby nie rozpoznać tego domu z wyblakłymi drzwiami o niebieskim kolorze, do którego prędko weszły.

Lili zniknęła w biurze wujka Edwarda pierwsza. Eve czekała w przedpokoju pod czujną obserwacją jakiegoś wychudzonego młodego porucznika. Gdy Lili w końcu wróciła, mrugnęła zawadiacko.



– No już, wchodź. Ja postaram się upolować trochę brandy – powiedziała, po czym nachyliła się tuż nad uchem Eve tak, by młody porucznik ich nie słyszał. – Nasz drogi wujek nie może się doczekać, aż cię zobaczy. Trudno tę niecierpliwą tłumaczyć tylko względami zawodowymi...

– Lili! – zasyczała Eve, spoglądając w stronę żołnierza.

– Jeżeli przyłapiesz kochanego kapitana bez spodni albo z opuszczoną gardą, zapytaj, proszę, dlaczego poszedł do więzienia za tę swoją drętwą żonę – zdążyła jeszcze rzucić na odchodnym. – Wręcz umieram z ciekawości!

Eve piekły uszy, gdy wchodziła do pokoju, w którym miała się odbyć rozmowa.

– Panno Gardiner – przywitał ją kapitan Cameron i uniósł się z krzesła, a serce Eve zamarło.

Nie wiedziała, czy podziałał tak na nią dźwięk jej prawdziwego nazwiska, którego dawno nie słyszała, czy też widok kapitana. „Zapomniałam już, jak wygląda”, pomyślała. Jeszcze przed chwilą wierzyła, że ma w głowie utrwalony obraz tego mężczyzny: pociągła twarz o typowo angielskich rysach, włosy w kolorze piasku, wąskie dłonie. Lecz prawdziwe wrażenie robiły detale, które ulotniły się z jej pamięci podczas paru miesięcy rozłąki, na przykład sposób, w jaki skrzyżował nogi, gdy znowu usadowił się w swoim fotelu, albo splatanie palców... I tak szczerzy uśmiech, że dało się z niego wszystko wyczytać.

– Proszę usiąść – zaproponował, a Eve zdała sobie nagle sprawę, że od jakiegoś czasu stoi w drzwiach.

Zasiadła naprzeciwko jego fotela na krześle z twardym oparciem, nie spiesząc się z poprawianiem spódnicy. Między nimi znajdowało się biurko.

– Dobrze znów panią zobaczyć, panno Gardiner. – Uśmiechnął się raz jeszcze, a myśli Eve powróciły do ich pierwszej rozmowy w salonie pensjonatu. Czy naprawdę minęły tylko dwa miesiące? Jak wiele rzeczy wydarzyło się w tym krótkim okresie. Choćby ta para chłodnych, francuskich dłoni, które zeszłej nocy badały uważnie każdą część jej piersi, głaskały miękkie wgłębienia przy łokciach i nadgarstkach, wewnętrzną część jej ud... Nie. Nie będzie o tym myśleć. Nie tutaj.

Cameron spojrział na nią znad splecionych palców, a pomiędzy jego brwiami pojawiła się zmarszczka.

– Dobrze się pani czuje? Wygląda pani...

– Jakbym schudła? W Lille n-niewiele mamy do jedzenia.

– Nie tylko. Chodzi mi o coś więcej. – O tej charakterystycznej nucie szkockiego akcentu w jego mowie również zdążyła zapomnieć. – Jak sobie pani daje radę, panno Gardiner?

W głowie miała pajęczne palce oplatające płatki jej uszu.

– Znakomicie.

– Jest pani pewna?

Wąskie usta muskające dolne partie jej brzucha, przestrzeń między jej palcami.

– Robię to, c-c-c... Robię, co konieczne.

– Do moich obowiązków należy ocenianie stanu naszych ludzi, nie tylko kolekcjonowanie informacji. – Zmarszczka pomiędzy brwiami kapitana Camerona nie zniknęła. – Świetnie się pani sprawuje. Alice Dubois... coś nie tak?

– Nic, kapitanie. Po prostu zwracam się do niej Lili. Gdy się poznałyśmy, powiedziała mi, że „Alice Dubois” pasuje jedynie do wychudzonej nauczycielki o twarzy przypominającej kosz na śmieci.

Zaśmiał się.

– Tak, to do niej podobne. Nie przebierała w słowach, chwalać panią. Robota pierwsza klasa, ale... – jego oczy skupiły się na niej – ... ta praca odciska na człowieku swoje piętno.

– Nie na mnie.

Zimne pocałunki i te otwarte oczy wciąż wpatrujące się, wpatrujące, wpatrujące.

Eve napotkała spojrzenie Camerona i szybko rozluźniła zaciśnięte na udach dłonie.

– Jestem stworzona do tej pracy.

Kapitan Cameron wciąż się jej przyglądał, bacznie obserwując każdy szczegół jej twarzy. Nie miał na sobie munduru, tylko stary garnitur, a jego marynarka leżała teraz przewieszona przez oparcie fotela. Podwinięte rękawy koszuli odsłaniały jego szczupłe nadgarstki. Choć sprawiał

wrażenie profesora uniwersyteckiego, Eve pod żadnym pozorem nie mogła zapomnieć, że tak naprawdę był tu w roli przesłuchującego. Potrafił wyciągnąć z człowieka informację, zanim ten w ogóle zarejestrował, że cokolwiek ważnego wyjawiał.

Tak więc Eve obdarzyła go szerokim uśmiechem kobiety, która dawno opanowała sztukę zachowywania dobrego humoru nawet w najmniej sprzyjającej sytuacji.

– Myślałam, że przyszedł tu, by rozmawiać o wizycie c-c-c... – jej pięść uderzyła w kolano, by wypuścić słowo z ust – wizycie cesarza, kapitanie.

– Ta informacja najwcześniej dotarła do pani uszu, w związku z czym to od pani chciałbym usłyszeć całą historię.

Eve opowiedziała mu wszystko, każdy szczegół, mówiąc o tym zwięźle i konkretnie. On słuchał, sporządzając notatki. Mrugał czasem. Jak przyjemnie było znowu widzieć mężczyznę, który potrafi mrugać. Gdy skończyła, przeciągnął się w fotelu, przeglądając ponownie swoje zapiski.

– Coś jeszcze?

– Cesarz przyjedzie do Lille z godzinnym opóźnieniem.

– A to nowość. Skąd pani o tym wie?

– Podśluchałam, obsługując gości.

„René mi powiedział, gdy we mnie skończył. Nie lubi od razu wyciągać, woli poczekać, aż pot ostygnie na jego plecach. Więc leży tak sobie i zaczyna... gadać”.

Kapitana Camerona zaniepokoiło coś w jej spojrzeniu.

– Coś się stało, panno Gardiner?

Ile radości sprawiało Eve słyszenie swojego prawdziwego nazwiska, szczególnie z jego ust. Być może za dużo, doskonale zdawała sobie sprawę, z jakim ryzykiem się to wiąże.

– Proszę zwracać się do mnie M-Marguerite Le François – powiedziała. – Tak będzie bezpieczniej.

– Dobrze.

Padły kolejne pytania dotyczące wizyty cesarza. Kapitan Cameron zbadał sprawę pod każdym względem, wyciągając z Eve wszelkie możliwe szczegóły. Udało mu się również dowiedzieć od niej paru rzeczy, na które sama by nie wpadła. Po jakimś czasie wydawał się usatysfakcjonowany.

– To chyba wszystko – rzekł, unosząc się z fotela. – Jest pani nieocenioną pomocą.

– Dziękuję. – Eve również wstała. – Proszę przekazać pilotom Królewskiego Korpusu Lotniczego, by nie spudłowali. Niech rozerwą ten pociąg na strzępy.

Widać było, że moc, z jaką wypowiedziała te słowa, rozpały ogień i w jego oczach.

– Przyjąłem.

Odwróciła się i zamierzała już wyjść, gdy raz jeszcze dobiegł ją ten zaciągający szkockim akcentem głos.

– Bądź ostrożna.

– Jestem ostrożna. – Jej dłoń spoczęła na klamce drzwi.

– Naprawdę? Lili martwi się o ciebie. Co prawda przejmuję się losem wszystkich swoich podopiecznych, trochę jak kwoka... ale mówi, że naprawdę stąpasz po samej krawędzi.

Znowu poczuła na swoim ciele ciężar ciała René przygniatający ją w ciemnościach.

– Masz rację. Prawdziwa z niej kwoka.

Tym razem jego głos zabrzmiał bliżej.

– Eve...

– Nie nazywaj mnie tak. – Odwróciła się na pięcie i zrobiła parę kroków, aż stanęli twarzą w twarz. – To nie jest moje imię. Nazywam się Marguerite Le François i to wy mnie nią uczyniliście. Eve stanę się znowu, gdy skończy się ta wojna lub gdy umrę. Czy to jasne?

– Nikt nie musi umierać. Po prostu bądź...

– Przestań.

Chciała się pochylić do przodu i przycisnąć usta do jego warg. To na pewno by go uciszyło. Wiedziała też, że będą gorące, nie potrafiła przestać o nich myśleć. „Nie możesz, za bardzo ci się to spodoba – powstrzymywała się w myślach. – Tak jak zbyt wielką przyjemność sprawia ci słuchanie, kiedy wypowiada łagodnym głosem twoje imię. Może to jedynie zaszkodzić Marguerite i jej misji”. Zaczęła się niepewnie odsuwać, ale ręka kapitana Camerona objęła ją w talii.

– To ciężka praca – szepnął cicho. – Nasz zawód potrafi człowieka zniszczyć. Nikomu nie powinien przychodzić łatwo. Więc jeżeli chcesz ze mną porozmawiać...

– Nie chcę rozmawiać... – wydusiła.

– Może ci to pomóc, Eve.

Jeżeli znowu powtórzy jej imię, oszaleje. Nie może. Oczywiście to z tego powodu wciąż się tak do niej zwracał – nierozważnie ujawniła swój słaby punkt i teraz naciskał na nią, badał. Sprawdzał, czy jego agentka gotowa jest się złamać. Taka jego praca, musi ją dokładnie sprawdzić. Eve podniosła wysoko brodę, postanawiając zniecka obrócić rozmowę przeciwko niemu.

– Albo pozwól mi wyjść z tego pokoju, albo zabierz mnie gdzieś, gdzie nie będziemy musieli rozmawiać.

Nie miała pojęcia, dlaczego to powiedziała. „Skąd się wzięły te słowa? Idiotka, idiotka!”, wyrzucała sobie w myślach.

Cameron wpatrywał się w nią, nie kryjąc zdziwienia, lecz jego ręka wciąż spoczywała na jej biodrze. Eve zdawała sobie sprawę, że powinna się odsunąć, ale jakaś część jej duszy, wygłodniała część, miała ochotę podejść bliżej, nie zważając na konsekwencje. Pragnęła oddać się temu mężczyźnie, którego słów i zachowań nie musiała bezustannie lustrować i oceniać. Cameron w końcu cofnął się o krok, bez słowa poprawiając złotą obrączkę na swojej lewej dłoni.

– Przez żonę trafiłeś do więzienia – powiedziała Eve wprost. – Z tego, co słyszałam.

Niewypowiedziane pytanie brzmiało: „Czy naprawdę cokolwiek jesteś jej winny?”.

Kapitan zachnął się.

– Kto ci to...

– Major Allenton w Folkestone. Czemu p-p... przyznałeś się do winy, skoro to twoja żona p-popełniła oszustwo? – Eve zyskała przewagę i nie zamierzała z niej rezygnować.

– To żadna tajemnica. – Odwrócił się i oparł dłońmi na krześle. – Myślałem, że uda mi się ją uratować od wyroku. Moja żona... nigdy nie była szczęśliwa. Ponad wszystko pragnęła dziecka, ale nie było jej to dane.

Co parę tygodni nabierała nadziei, że w końcu nastał ten czas. Gorycz i rozczarowanie sprawiały, że zachowywała się dziwnie. Kradła z domu rzeczy, a potem wszczyniała kłótnie, gdy nie mogliśmy ich znaleźć. Odprawiała pokojówki za podsłuchiwanie pod drzwiami, chociaż one w rzeczywistości znajdowały się po drugiej stronie domu. Dostała obsesji na punkcie pieniędzy, pragnęła zapewnić dziecku przyszłość, mimo że przecież wciąż go nie mieliśmy. W końcu zgłosiła kradzież naszyjnika z pereł, by ubiegać się o wypłatę ubezpieczenia... – Potarł czoło. – Gdy prawda wyszła na jaw, błagała mnie, abym wziął na siebie winę. Ktoś musiał trafić do więzienia, a ona była tak przerażona. Chciałem jej tego oszczędzić. Jest bardzo delikatna.

„Jest oszustką, której nie przeszkadzało, że zapłacisz za jej zbrodnie – przeszło przez myśl Eve. – Nawet za cenę twojej kariery, twojego życia”. Ale słowa te brzmiały zbyt okrutnie, więc ich nie wypowiedziała.

– Spodziewa się dziecka na wiosnę. – Znów stanął twarzą ku Eve. – Odkąd zaszła w ciążę, zrobiła się o wiele spokojniejsza. I... szczęśliwsza.

– Ty nie.

Pokręcił głową, zaprzeczając bez przekonania, ale Eve czytała w nim jak w otwartej księdze. Był zmęczony i zniechęcony, oboje byli, a wkrótce mogli być i martwi, pochłonięci przez ten koszmar pełen krwi i przemocy.

Wiedziała, że to zły pomysł, ale nie potrafiła się powstrzymać i zbliżyła się do niego. Zrobiłaby wszystko, by wygnać z głowy obraz przypominających pająka palców René, dźwięk jego pozbawionego barwy głosu. „Jestem tutaj – wołała bezgłośnie. – Weź mnie”.

Cameron uniósł jej dłoń do ust w zrezygnowanym geście błędnego rycerza, który nie odważy się splamić honoru damy. Eve miała na końcu języka, że nie jest już niewinna, że nie może mu dać niczego, czego Bordelon nie wziął wcześniej. Ale nie wolno jej było tego powiedzieć. Zaryzykowałyby utratę stanowiska w Lille. Miał nad nią władzę i mógł ją odsunąć od zadania. A może i tak to zrobi, jeżeli mu się odda?

„Głupia – głos Marguerite rozbrzmiał w głowie Eve. – Ty durna dziewczyno, zapomniałaś już o przestrożach Lili? Praca na plecach nie budzi zaufania, a ty rzucasz się w jego ramiona jak pierwsza lepsza dziwka?”

„On jest inny, nie pomyślałby tak o mnie – broniła się Eve. I powtarzała sobie: – Nie ma tak wąskich horyzontów”.

Ale Marguerite była mniej ufna. Po co ryzykować?

Eve zrobiła krok do tyłu. Nie powiedziała nic oczywistego, w razie potrzeby wystarczyło zaprzeczyć, że przecież nie miała nic intymnego na myśli, chociaż oboje wiedzieli, że było inaczej.

– Proszę wybaczyć, wuju Edwardzie. Czy skończyliśmy?

– W zupełności, *mademoiselle*. Proszę o siebie dbać w Lille.

– Lili o mnie dba. Razem z Violette.

– Marguerite, Lili i Violette – uśmiechnął się, ale z jego oczu dało się wyczytać cierpienie. – Stokrotka, lilia i fiołek. Moje trzy kwiaty.

– *Fleurs du mal* – wymsknęło się Eve. Dreszcz przebiegł po jej plecach.

– Słucham?

– Baudelaire. Nie wszystkie kwiaty należy zrywać i chronić, kapitanie. Niektóre rozkwitają dopiero, gdy dookoła panuje zło.

# 19

## Charlie

*Maj 1947*

Po wypitych do kolacji czterech martini z ginem Eve powędrowała prosto do łóżka, ja jednak nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Byłam zbyt zmęczona, żeby iść na spacer – Drobnny Kłopot wysysał ze mnie energię jak słodzone mleko z tubki; miałam nadzieję, że ten efekt bycia w ciąży prędko minie – ale mimo wszystko nie czułam się jeszcze gotowa na powrót do pokoju. W tym momencie Finn odsunął krzesło od stolika, chowając do kieszeni naboje do lugera, które oddała mu Eve.

– Muszę trochę pomajstrować przy samochodzie. Chcesz pójść potrzymać mi latarkę?

Kiedy jedliśmy kolację, na zewnątrz padało, więc wieczór był ciepły i pachniał deszczem. Chodnik lśnił w świetle latarni, auta mijaly nas z sykiem mokrych opon. Finn zanurkował w bagażniku, po czym wyłonił się ze skrzynką na narzędzia i latarką.

– Postaraj się nie trząść, zgoda? – poprosił, wręczając mi ją, i otworzył maskę samochodu.

– Co tym razem dolega naszej staruszce? – spytałam.

Finn włożył rękę we wnętrze lagondy.

– Coś w środku gdzieś przecieka, już od dawna. Co kilka dni ją dokręcę, żeby nie zrobiło się gorzej.

Minęła nas grupka rozchichotanych francuskich dziewcząt. Wspięłam się na palce, żeby oświecić odpowiedni punkt.

– Nie łatwiej byłoby znaleźć to miejsce, gdzie przecieka, i je naprawić?

– Chcesz, żebym poświęcił czas na rozłożenie tego cholernego silnika na części i złożenie go z powrotem?

– Niekoniecznie.

Choć dzisiejsza jazda była przyjemna – słońko przygrzewało, a między naszą trójką powoli zawiązywało się poczucie koleżeństwa – to nie mogłam



się doczekać, kiedy dotrzemy do Limoges. Rose. Im byłam bliżej tego ostatniego miejsca, w którym ją widziano, tym silniej płonęła we mnie nadzieja, że może ona naprawdę żyje i tam na mnie czeka. A kiedy już będziemy znów razem z Rose, my dwie przeciwko całemu światu, będę w stanie zrobić wszystko.

– No rrusz się – mruknął Finn do upartej nakrętki czy śruby, czy czego tam. Jego szkocki akcent zrobił się silniejszy, jak zawsze, kiedy próbował namówić auto do współpracy. – Zarrdzewiały stary rzęch... – Ścisnął mocniej klucz francuski, poruszając nim w tył i w przód. – Panienko, podnieś tę latarkę ciut wyżej...

– Finn, jeśli teraz będziesz mnie nazywał panienką, to mnie zdemaskujesz. Jak by powiedzieli szpiedzy pokroju Eve. – Postukałam palcem w fałszywą obręczkę. – Jestem panią Donaldową McGowan, pamiętasz?

Udało mu się odkręcić czy tam dokręcić śrubę.

– Byczy pomysł z tą obręczką.

– Potrzebuję zdjęcia mojego Donalda – zamyśliłam się. – Czegoś, na co będę patrzeć ze łzami w oczach, mówiąc, że moje serce jest w grobie.

– Donald chciałby, żebyś żyła dalej – stwierdził Finn. – Jesteś młoda. Powiedziałyby ci, żebyś znowu wyszła za mąż.

– Nie chcę wychodzić za mąż. Chcę znaleźć Rose, a potem może otworzymy razem kawiarnię.

– Kawiarnię? – Finn podniósł wzrok znad wnętrza bagażnika i wówczas kosmyk włosów wpadł mu do oczu. – Czemu?

– Najszczęśliwszy dzień w swoim życiu spędziłam z Rose we francuskiej kawiarni. Pomyślałam sobie, że może, jeśli ją znajdę... W każdym razie jest to jakiś pomysł. Muszę coś zrobić ze swoim życiem. – Teraz, kiedy miałam na głowie Drobny Kłopot, potrzebowałam nowego planu, innego niż klasyk mojej matki: „Zbieraj w Bennington czwórki, póki nie uda ci się złowić miłego młodego prawnika”. O dziwo, moja nieokreślona przyszłość nie napawała mnie takim lękiem, jak się spodziewałam. Teraz mogłam zrobić coś, na co miałam ochotę. Znaleźć pracę. Co w praktycznym świecie robią absolwenci wydziału matematyki? Nie chciałam uczyć i raczej nie mogłam być księgową, ale...

– Mogłabym mieć jakiś niewielki własny interes, na przykład kawiarnię – powiedziałam na próbę, oczyma duszy widząc rząd ksiąg rachunkowych wypełnionych schludnymi kolumnami cyfr.

– Donaldowi by się to nie spodobało. – Po twarzy Finna, który dalej mocował się z kluczem, błąkał się uśmiezek. – Wdowa po nim miałaby zbierać zamówienia i obsługiwać kasę?

– Donald potrafił niekiedy strasznie zadzierać nosa – przyznałam.

– Niech spoczywa w spokoju – odparł Finn z kamienną twarzą.

Ile się zmieniło w ciągu kilku dni. Wcześniej rozmawiało się z nim tak, jakby musiał płacić dolara za każde wypowiedziane przez siebie słowo, a teraz proszę bardzo, żartował sobie ze mną.

– A ty co chcesz robić?

– O co pani pyta, pani McGowan?

– Przecież nie będziesz wiecznie pracował u Eve, robił jej śniadań, leczył kaca i co wieczór przed pójściem spać odbierał jej broni. – Wciągnęłam w płuca wilgotną bryzę, pachniała tak, jakby znowu zanosilo się na deszcz. Dwóch starszych mężczyzn w pomiętych czapkach przeszło szybkim krokiem na drugą stronę ulicy, zerkając z niepokojem na niebo. – Co byś zrobił, gdybyś miał nieograniczony wybór?

– Przed wojną pracowałem w warsztacie samochodowym. Zawsze myślałem, że może kiedyś otworzę własny. Będę naprawiał ludziom samochody, czasem zajmowałem się renowacją... – Finn skończył uszczelniać lagondę i delikatnie opuścił maskę. – Ale teraz nie sądzę, żeby to wypaliło.

– Dlaczego?

– Nie nadaję się do prowadzenia interesów. Zresztą w tej chwili masa weteranów szuka roboty, a jeszcze więcej zabiega o pożyczkę. Kto zechce dać dobrą pracę w warsztacie albo kredyt na start byłemu żołnierzowi, który ma w aktach pobyt w Pentonville?

Mówił rzeczowo, bez goryczy w głosie.

– Czy to dlatego tłuczesz się do Limoges z Eve i ze mną? – Wyłączyłam latarkę i oddałam ją Finnowi. Latarnie uliczne dawały słabe światło, ale bez jasnego promienia latarki wydawało się, że jest bardzo ciemno. – Wiem, czemu ja tam jadę i co kieruje Eve. Ale ty?

– Nie mam wielu innych rzeczy do roboty. – W jego cichym głosie wyczuwało się ton wskazujący na uśmiech. – Poza tym lubię was obie.

Zawahałam się.

– Powiedz, dlaczego trafiłeś do więzienia? I nie opowiadaj mi, jak to ukradłeś łabędzia z Kew Gardens czy zwędziłeś klejnoty koronne – dodałam szybko, kręcąc fałszywą obrączką na palcu. – Pytam poważnie, co się stało. – Powoli wytarł w szmatę ubrudzone smarem ręce. – Eve powiedziała nam, że szpiegowała na rzecz Anglii w pierwszej wojnie. Ja przyznałam ci się, że spałam z połową stowarzyszenia studentów. Znasz nasze sekrety.

Odłożył skrzynkę z narzędziami do bagażnika. Czystą stroną szmaty zaczął wycierać ślady deszczu na granatowym zderzaku lagondy. Przez frontowe okno hotelu nieobecny wzrokiem patrzył na nas nocny portier.

– W ostatnim roku wojny – rzekł Finn – widziałem różne okropieństwa. Umilkł na tak długo, że myślałam, iż na tym skończy.

– Czasem mnie ponosi – dodał w końcu.

Uśmiechnęłam się.

– Żartujesz sobie. Jesteś wyjątkowo opanowanym człowiekiem...

Jego otwarta dłoń opadła na zderzak z nagłym klaśnięciem. Podskoczyłam i urwałam.

– Czasem mnie ponosi – powtórzył spokojnie. – Te parę miesięcy po opuszczeniu swojego pułku to nie był dobry czas. Wychodziłem na miasto, upijałem się, wszczynałem bójki. W końcu za jedną z nich mnie aresztowali. I wylądowałem w Pentonville za napaść.

Napaść. Paskudne słowo. Spojrzałam na Finna i po prostu nie mogłam sobie tego wyobrazić.

– Z kim się pobiliś? – zapytałam cicho.

– Nie wiem. Pierwszy raz go widziałem.

– A czemu wdałeś się z nim w bójkę?

– Nie pamiętam. Byłem zdrowo narąbany, chodziłem wkurzony po pubie. – Finn oparł się plecami o lagondę, z rękami splecionymi na piersi. – On coś powiedział, nie mam pojęcia co. Uderzyłem go. I biłem dalej. Sześciu ludzi mnie odciągnęło, jak zacząłem walić jego głową o framugę drzwi.

Dzięki Bogu, że oderwali mnie od tego człowieka, zanim rozbiłem mu czaszkę.

Milczałam. Z nieba zaczęła padać leciutka mżawka.

– Wylizał się – dodał Finn. – Po jakimś czasie. A ja trafiłem do Pentonville.

– Pobiłeś kogoś od tamtego czasu? – spytałam, bo czułam, że muszę coś powiedzieć.

Patrzył prosto przed siebie niewidzącym wzrokiem.

– Nie.

– Może problem nie tkwi w tym, że masz do tego skłonności.

Zaśmiał się krótko.

– Zrobiłem z człowieka miazgę, złamałem mu nos, szczękę, oczodół oraz cztery palce i nie mam do tego skłonności?

– Czy przed wojną wdawałeś się w takie bójki?

– Nie.

– Więc może te zachowania to nie jesteś tak naprawdę ty. Tylko wojna. – Czy raczej to, co tam widział. Zastanawiałam się, co to było, ale nie spytałam.

– To marna wymówka, Charlie. Gdyby tak było, każdy żołnierz, który wrócił z wojny, siedziałby za kratkami.

– Jedni idą do więzienia. Inni wracają do pracy. A jeszcze inni się zabijają. – Wspomnienie o bracie przeszło mnie bólem. – Każdy jest inny.

– Powinnaś wrócić do środka – odezwał się nagle Finn. – Zanim sweterek ci do cna przemieknie.

– Rozmawiasz z jankeską. Nie wiem, co to znaczy.

– Zanim zmokniesz. To może zaszkodzić maluchowi, pani McGowan.

Puściłam to mimo uszu i oparłam się o karoserię obok niego.

– Czy Eve wie?

– Tak.

– Co na to powiedziała?

– Mam słabość do przystojnych facetów ze szkockim akcentem i epizodem w więzieniu, więc dam ci szansę. I nigdy więcej o tym nie wspominała. – Pokręcił głową, a włosy znów wpadły mu do oczu. – Ona nie ma zwyczaju oceniać ludzi.

– Ja też nie.

– I nie powinnaś zadawać się z takim ladaco jak ja.

– Finn, kiedyś byłam grzeczną dziewczynką, a teraz jestem niezamężną przyszłą matką. Eve dawniej była szpiegiem, teraz jest pijaczką. Ty jesteś byłym więźniem, a obecnie mechanikiem, kierowcą i twórcą angielskich śniadań. Wiesz, czemu żadne z nas nie ocenia innych? – Szturchnęłam go w ramię, aż wreszcie na mnie spojrzał. – Bo żadne z nas nie ma, do cholery, prawa, żeby patrzeć z góry na czyjekolwiek grzechy.

Popatrzył na mnie z niewidocznym uśmiechem, który zaczynał się i kończył w kącikach oczu.

Sięgnęłam za siebie i podciągnęłam się tak, by usiąść na długiej masce lagondy. Znalazłam się niemal na tym samym poziomie co Finn, który odwrócił się do mnie, a ja nachyliłam się i ostrożnie, łagodnie wtuliłam wargi w jego usta. Były miękkie, szczeka zaś pokryta szorstkim zarostem, zupełnie jak za pierwszym razem, gdy próbowałam go pocałować. Jego dłonie uniosły się do mojej talii, tak samo jak wtedy, lecz tym razem to ja przerwałam pocałunek, żeby nie zdążył się odsunąć. Wiedziałam, że nie zniosę kolejnego odrzucenia.

Stało się jednak inaczej. Finn schylił głowę, zbliżając się do mnie na powrót i odnajdując moje usta. Czułam jego duże ciepłe dłonie na mojej talii, przyciągały mnie do niego, aż znalazłam się na krawędzi maski samochodu. Pozwoliłam swoim dłoniom wsunąć się w zmierzwione włosy mężczyzny, o czym tak długo marzyłam, a jego ręce wśliznęły się pod mój nowy pasiasty pulower. Ale zamiast natychmiast podjechać do góry, zostały na miejscu; Finn przesuwiał tylko niespiesznie palcami w górę i w dół po mojej nagiej talii, całując mnie. Kiedy w końcu oderwaliśmy się od siebie, drżałam na całym ciele.

– Uwaląłem cię smarem – odezwał się, spoglądając na swoje brudne dłonie. – Przepraszam, dziewczuszko.

– Zmyje się – zdołałam wykrztusić.

Nie chciałam zmywać tego z siebie, jego zapachu, smaku ani oleju silnikowego. Chciałam po prostu całować go dalej, ale byliśmy na środku ulicy, a mżawka zmieniała się w prawdziwy deszcz, więc zsunęłam się z maski samochodu i ruszyliśmy w stronę hotelu. „Chodź ze mną do pokoju

– miałam ochotę powiedzieć. – Chodź do mnie”. Nocny portier patrzył na nas z tym typowo francuskim wyrazem twarzy: nieprzenikniona mina, domyślne spojrzenie.

– *Bon soir, monsieur Kilgore* – powitał Finna, zerkając do rejestru hotelowego, gdzie się wpisaliśmy. – *Madame McGowan*.

– Wspaniale – mruknęłam, rzucając się na puste łóżko w swoim pokoju. – Udało mi się nie tylko zrujnować reputację Charlie St. Claire, ale na dobitkę pani McGowan.

Mój Donald byłby wstrząśnięty.

# 20

## Eve

*Lipiec 1915*

Prezent od René wręczony ceremonialnie wkrótce po powrocie Eve z podróży okazał się jedwabną suknią. Krwiście czerwoną i tak zwiewną, że można ją było przeciągnąć przez pierścionek – ale nie nową. Pachniała jeszcze trochę damskimi perfumami, a jej właścicielka pewnie widziała, jak ją rekwirowali podczas nalotu. Teraz suknia znalazła się na ciele Eve.

Wyobraziła sobie, że pociąg z kajzerem wylatuje w powietrze, niech ta wizja sprawi jej przyjemność, niech to uczucie pokaże się na jej twarzy, gdy przytuli policzek do jedwabnego materiału.

– Dziękuję, *m-monsieur*.

– Pasuje. – Odchylił się do tyłu, najwyraźniej zadowolony, że jej strój pasuje teraz do otoczenia. Eve uznała jego estetyczną ulgę za coś wisielczo zabawnego. Znajdowali się w jego luksusowym gabinecie, on miał na sobie jeden ze swoich pięknych szlafroków, jak zwykle, gdy czekał na Eve, aż ta skończy się kąpać, by zmyć z siebie resztki zapachów jedzenia po długiej nocnej zmianie. Teraz, gdy wyszła w jedwabnej sukni, a nie w ręczniku albo czarnej sukience do pracy, nie wyglądała już jak straszdyło.

– Chcę cię gdzieś zabrać. – Odkorkował karafkę z nalewką z czarnego bzu i sobie, jak zwykle nalał, niewielką ilość, a Marguerite tyle, żeby zakreśliło jej się w głowie. – Nie lubię pośpiesznych nocnych schadzek. Niedługo wybieram się do Limoges. Być może pojedziesz ze mną.

Eve upiła łyk.

– Dlaczego akurat do Limoges?

– Lille jest ponure. – Skrzywił się. – Byłoby miło przejść się ulicą, która nie ma niemieckiej nazwy. Poza tym zastanawiam się nad otworzeniem drugiej restauracji. Limoges może okazać się dobrym miejscem. Jadę tam na weekend, żeby obejrzeć lokale.

Weekend z René Bordelonem. Eve wzdrygnęła się nie tyle na myśl o nocach, ile o dniach. Długie kolacje, filiżanki herbaty, popołudniowe spacery u jego boku, konieczność uważania na każde słowo i kontrolowania każdej reakcji. Będzie wykończona na długo, zanim trafią do lnianej pościeli.

Pół partii szachów i dwa kieliszki pachnącego bzem płynnego ognia później przenieśli się do sypialni. Odczekawszy odpowiednią ilość czasu po tym, co tam zaszło, Eve ubrała się z powrotem w swoją służbową sukienkę i zaczęła się przygotowywać do wyjścia. Patrząc, jak Eve się ubiera, René cmoknął z niezadowoleniem.

– Te pośpieszne ucieczki, zanim pościel zdąży ostygnąć – rzekł. – To bardzo niecywilizowane.

– Nie chcę, ż-żeby ludzie gadali, *monsieur*. – Nie wspominając o tym, że nie śmiałyby zasnąć w jego obecności. A co, gdyby przez sen wymamrotała coś po niemiecku albo angielsku, albo gdyby zdarzyło się coś, z czego nie mogłaby się wyłgać? Nawet nie chciała o tym myśleć. „Ale jeśli masz spędzić z nim noc w Limoges, będziesz musiała o tym pomyśleć”.

– W mieście zaczną plotkować, jeśli nie będę wracała do domu na noc – powiedziała, wsuwając nogi w pończochy. – P-piekarz sika do ciasta, z którego piecze chleb dla kobiet, które... chodzą z Niemcami.

René wyglądał na rozbawionego.

– Przecież ja nie jestem Niemcem, moja droga.

„Jesteś jeszcze gorszy. Jesteś francuskim Judaszem, który dla zysku”...

W Lille nienawidzono Niemców, ale ludźmi takimi jak René Bordelon pogardzano i nienawidzono ich jeszcze bardziej. „Kiedy Niemcy przegrają wojnę, ty pierwszy zawiśniesz na latarni”.

– Będą ze mnie szydzić – broniła się Eve. – Grozić mi.

Wzruszył ramionami.

– Jeśli ktokolwiek będzie ci groził, podaj mi jego nazwisko. Zostanie zadenuncjowany Niemcom i dostanie grzywnę, która go zrujnuje, pójdzie do więzienia albo go spotka coś jeszcze gorszego. *Kommandant* mnie wysłucha i chętnie się przyczyni do likwidowania konfliktów wśród ludności cywilnej.



Myśl, że za jego namową ktoś mógłby wylądować w celi albo dostać grzywnę doprowadzającą go na skraj głodowej śmierci, zdawała się nie robić na René najmniejszego wrażenia. Eve wiele razy słyszała, jak przy kolacji nad koniakiem podawał Niemcom nazwiska osób, które go uraziły, gromadziły zarekwirowane towary albo źle mówiły o okupantach. Gdy jednak usłyszała tę sugestię rzuconą po prostu, ot tak... Uważnie przyjrzała się jego twarzy. Naprawdę zupełnie go to nie ruszało.

– Taka jesteś cały czas nieśmiała, kotku? – Przekrzywił głowę. – Zbyt nieśmiała, żeby się wszystkim przyznać, że jesteś teraz moja?

– Ja po prostu n-nie chcę chleba z sikami – wyszeptała Eve, udając, że pali się ze wstydu. Naprawdę było to przerażające.

René wyglądał tak, jakby nie mógł się zdecydować, czy w odpowiedzi na jej szczerość zachichotać, czy zmarszczyć brwi. Eve odetchnęła, gdy ostatecznie się zaśmiał.

– Przyjdzie taki czas, Marguerite, że nauczę cię nie przejmować się tym, co ludzie myślą. To bardzo wyzwalające nie przejmować się niczym zdaniem oprócz własnego. – Nawet nago nie przestawał wyglądać wytwornie: jasne, gładkie ciało na tle pościeli. – Niedługo jedziemy do Limoges. Zabieram cię ze sobą. Możesz zmyślić dla reszty obsługi jakąś historię o chorej ciotce, a ja ostentacyjnie okażę swoje niezadowolenie.

– Dziękuję, *monsieur*. – Jednak Eve nie miała najmniejszego zamiaru jechać z nim do Limoges. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, za dwa dni kajzer będzie martwy, a świat zostanie stworzony na nowo. „To wcale nie będzie takie łatwe”, mówiła sobie. Wojny to ogromne maszyny, które nie zatrzymują się natychmiast, gdy tylko jeden człowiek zginie, choćby ten człowiek był królem. Ale nawet jeśli wojna się nie skończy, to świat i tak będzie zupełnie nowym miejscem. W tym świecie René Bordelon będzie musiał zrobić szybki bilans przyjaciół i wrogów, a nie jeździć na weekendy do Limoges.

Dni poprzedzające przybycie kajzera mijały z prędkością lodowca, a noce spędzane w nieskazitelnym łóżku René jeszcze wolniej, mimo że Eve udało się poznać wiele intrygujących faktów i danych na temat miejscowych lotnisk polowych, które z pewnością zainteresowałyby wuja Edwarda. Wreszcie nadszedł Ten Dzień, gorący i lepki już od najwcześniejszych

godzin poranka, a Kwiaty Zła spotkały się w milczeniu. Eve widziała to samo uczucie w rozbieganych oczach Lili i w czujnym spojrzeniu Violette: nadzieję tak gwałtowną, że należałoby ją zdusić niczym hydrę. Pośpiesznie i bez słowa opuściły miasto, kierując się w stronę porośniętych trawą pagórków.

– Nie będziemy patrzeć na pociąg – powiedziała Violette.

– *Tais-toi* – odgryzła się Lili. – Chyba zwariuję, jeśli będę musiała siedzieć w domu, nasłuchując samolotów. Poza tym nie mogę napisać raportu dla wujka Edwarda, dopóki nie będę miała czegoś, więc nie ma sensu robić tego co zawsze.

– To zły pomysł – wymamrotała Violette, jednak żadna z nich nie zawróciła. Minąwszy miejscowe gospodarstwa, małe i splądrowane, trzy kobiety zajęły miejsca na podłużnym, niskim pagórku, z którego było widać biegnące w oddali szyny kolejowe. To z tego samego pagórka Eve i Lili robiły swego czasu rekonesans, by wybrać miejsce zamachu. Violette żuła źdźbło trawy w pełnej napięcia ciszy, Eve napinała i rozluźniała palce, a Lili gadała, jakby była na przyjęciu.

– Kiedy ostatnio przejeżdżałam przez Tournai, kupiłam zupełnie okropny kapelusz. Z niebieskimi satynowymi różyczkami i siateczką w kropki. Zostawiłam go w pociągu i chyba nadal tam leży. Żadna szanująca się ulicznica nie ukradłaby tej niebieskiej satynowej kupy...

– Lili – przerwała jej Eve. – Zamknij się.

– Dziękuję – powiedziała Violette, odzywając się po raz pierwszy od dwóch godzin. Patrzyły w dół na szyny, jakby samo skupienie się na ich widoku mogło wysadzić je w powietrze. Słońce wspinało się coraz wyżej.

Oczy Lili okazały się najbystrzejsze.

– Czy to nie...

Cieniutka smużka dymu. Pociąg.

Statecznie wtaczał się w ich pole widzenia, lecz był za daleko, by dało się usłyszeć odgłos kół albo huk pary buchającej z silnika. Za daleko, by dostrzec szczegóły... Jednak zgodnie z tym, czego dowiedziała się Eve, to był właśnie ten pociąg. Ten, który wioził kajzera Wilhelma *incognito* na front.

Eve spojrzała w górę. Niebieskie niebo było zupełnie puste.

Drobna dłoń Lili nakryła jej dłoń w trawie i mocno ją ścisnęła.

– *Nique ta mère* – zaklęła, podążając za spojrzeniem Eve. – Ci dranie z RFC...

Pociąg pomału podjeżdżał coraz bliżej. Uścisk Lili był jak imadło. Eve sięgnęła w drugą stronę, po dłoń Violette, i ścisnęła ją równie mocno. Violette odwzajemniła uścisk.

Gdy Eve usłyszała niski pomruk samolotów, wydawało jej się, że serce zaraz przestanie jej bić. Przez chwilę słychać było tylko brzęczenie podobne do bzyczenia pszczoł, a potem je zobaczyła – dwa samoloty niczym orły. Nie wiedziała, czy były to jednopłatowce, czy dwupłatowce, zupełnie nie znała się na lotnictwie, kojarzyła tylko nic nieznaczące techniczne terminy, jakie zapamiętała, słuchając niemieckich oficerów jedzących deser. Lecz te samoloty były tak bardzo piękne, że aż westchnęła. Lili mamrotała przekleństwa, które brzmiały jak modlitwa, a Violette zastygła w bezruchu.

– Wiecie – Eve usłyszała siebie samą, jak mówi w napięciu – że nawet nie wiem, jak samoloty bombardują swoje cele. Czy oni po prostu przerzucają ładunki wybuchowe bokiem?

Tym razem to Lili jej powiedziała, żeby się zamknęła.

Pociąg powoli sunął po torach. Samoloty pędziły na tle niebieskiego nieba. „Proszę – myślały wszystkie jednocześnie. – Proszę, uderzajcie. Niech to już się skończy, w ten letni dzień pachnący ciepłą trawą i rozbrzmiewający śpiewem ptaków”.

Były za daleko, by widzieć, jak spadają bomby czy pociski, czy cokolwiek to było. Zobaczyłyby już sam wybuch, ogień i dym. Niczym leniwe ptaki samoloty przeleciały nad pociągiem. „Teraz”, pomyślała Eve.

Ale nie było żadnego wybuchu.

Nie było dymu. Nie było ognia. Nie było eksplozji, która wykoleiłaby pociąg, rzucając go daleko od torów.

Kajzer spokojnie telepał się dalej w stronę Lille.

– Nie udało im się – powiedziała Eve tępo. – N-nie udało im się.

Violette rzuciła w gniewnym odruchu, że może ładunek wybuchowy był wadliwy.

„Spróbujcie jeszcze raz – wyła Eve w duchu. – Spróbujcie jeszcze raz!”  
Lecz samoloty zniknęły – już nie dumne orły, ale przegrane wróble z podwiniętymi ogonami. Dlaczego?

Czy to ważne dlaczego? Kajzer przeżył. Pojedzie na front, zobaczy swoich żołnierzy w okopach, być może przejedzie przez Lille i pokiwa głową z aprobatą, widząc zegary przestawione na berliński czas i szyldy z nowymi, niemieckimi nazwami bulwarów. O ile nie odwiedzi Le Lethe i nie da Eve okazji, by mu wbiła nóż do steków w kark albo doprawiła jego deser trutką na szczury, wróci do Niemiec cały i zdrowy, prowadząc maszynę wojny z taką łatwością, z jaką bez szwanku jechał pociągiem przez pola.

– To nie ma znaczenia. – Violette wstała, a jej głos brzmiał tak, jakby miała pełno żwiru w gardle. – Na pewno śmierć kajzera w Lille przyciągnęłaby całą uwagę Niemców. I pewnie by nas wszystkie złapali.

– A w-wojna przecież wcale by się tak od razu nie skończyła. – Eve usłyszała swój głucho brzmiący głos. – To niczego by nie z-z-z-z... – Nie zdołała sprawić, by słowo z niej wyszło, a nie zależało jej na tyle, żeby je do tego zmusić. Po prostu zamilkła i wstała, otrzepując spódnicę mechanicznymi ruchami.

Lili się nie ruszała. Gapiała się na jadący w oddali pociąg, a jej twarz miała nieruchomy wyraz, jak posąg. Violette spojrzała w dół, błyskając okularami.

– Wstawaj, Lili.

– Ci cholerni... – Pokręciła głową. – Ci dranie.

– *Ma p'tite*, proszę cię. Wstań.

Lili podniosła się. Przez chwilę patrzyła w dół i kopała stopą w trawie, ale gdy uniosła głowę, już się uśmiechała. Ponuro, słabo, ale się uśmiechała.

– Nie wiem, jak wy, *mes anges*, ale ja zamierzam się dzisiaj upić.

Eve nie będzie jednak razem z nimi piła zajzajeru udającego brandy albo whisky, czyli alkoholu, jaki uda się zdobyć Lili. „Ja mam dziś René – pomyślała. – I jutro. A niedługo, jeśli zabierze mnie do Limoges, będę go miała przez całe dwa dni i dwie noce”.

\*\*\*

Wszystkie wieczory miały swój rytm. Kąpiel. Spokojne dziesięć minut po kąpieli, szelest jedwabnej sukni na wilgotnej skórze, sączenie nalewki z dużego, pełnego kieliszka. Gdy Eve piła, René nastawiał płytę i opowiadał jej na przykład o utworze Débussey'ego, którego akurat słuchali, i o tym, jak impresjonizm przekładał się na język orkiestry, i kim byli inni impresjoniści w literaturze i w muzyce. To jeszcze było łatwe. Wystarczyło, że Eve słuchała z podziwem.

Potem przychodził moment, gdy René odbierał jej kieliszek i prowadził ją do sypialni. I wtedy zaczynało się robić trudno.

Jego pocałunki były długie i powolne i nigdy nie zamykał oczu. Jego oczy pozostawały przez cały czas otwarte i nie mrugały, oceniając i wypatrując najmniejszych westchnień i nagłych oddechów. Bez pośpiechu wydobywał Eve z krwistoczerwonej sukni, kładł ją powoli w nieskazitelnej pościeli, pozbywał się swojego szlafroka, kładł się na niej i nieśpiesznie robił swoje.

Jak bardzo, bardzo Eve pragnęła, żeby ta przyjemność zajmowała mu chwilę i żeby szybko było po wszystkim. Wtedy byłoby jej dużo łatwiej.

– Jeszcze nigdy nie szkolilem dziewicy – powiedział po ich pierwszym razie. – Na ogół bardziej od niewinności cenię sobie doświadczenie. Zobaczymy, jak szybko się będziesz uczyła. Nie spodziewam się, że cię zadowolę podczas pierwszych kilku spotkań. Kobiety już tak mają, zresztą zawsze uważałem, że to niesprawiedliwe.

René lubił badać każdą część ciała Eve, podążając za każdym zagłębieniem i zakątkiem, a jego język zatrzymywał się równie długo za jej uszami i pod kolanami, co w bardziej przewidywalnych miejscach. Przeciągał wszystko w nieskończoność, gotów się tak bawić długimi godzinami, ujmował jej dłoń i dotykał nią swojego własnego, bladego i gładkiego ciała. Obracał ją, pozował, układał i poznawał, obserwując i ucząc się.

– Twoje oczy otwierają się zawsze szerzej, gdy cię zaskoczę – zauważył którejś nocy. – Jak u sarny. – Nachylił się do jej piersi i brutalnie, ale umiejętnie użył zębów. – O, właśnie tak – powiedział, przesuwanym kciukiem po jej rzęsach. To było coś, o czym Eve dotąd nie pomyślała, że intymność kontaktu przez nagą skórę rozbierała ludzi z czegoś więcej oprócz ubrania, że to był kolejny sposób poznawania drugiego człowieka.

„Nie chcę, żeby on mnie znał”, myślała zrozpaczona. Jej praca opierała się właśnie na tym, że on jej nie znał, a tymczasem każdej nocy dowiadywał się czegoś więcej.

– Najtrudniej jest okłamywać tych, którzy znają nas najlepiej – powiedział jej kapitan Cameron w Folkestone. Eve odepchnęła myśl o nim, nie chcąc, by towarzyszyła jej w łóżku René, ale strach już jej nie opuścił. Jeśli René nauczy się jej odpowiednio dobrze, to czy ona potrafi dalej go oszukiwać?

„Tak – pomyślała z wściekłością. – Będziesz musiała kłamać więcej i lepiej, ale to przecież umiesz. I pamiętaj: ty też uczysz się o nim”.

Noc po nocy Eve uczyła się drgnień wszystkich mięśni René i wszystkich błysków w jego oczach. Mężczyznę zakutego w zbroję pięknych garniturów było jej łatwiej przejrzeć, gdy wiedziała, jak poruszają się mięśnie ukryte pod spodem.

Kiedy René już kończył się z nią bawić, sam akt trwał krótko. Wolał być za nią albo na niej, z dłonią wplecioną w jej włosy, by odchyłać jej głowę i widzieć wszystkie jej reakcje. Chciał, żeby patrzyła na niego. „Oczy otwarte, kotku”, rozkazywał jej często, nigdy nie wypadając z rytmu. Kiedy wreszcie już kończył, powoli na nią opadał, a jej ciało służyło mu za miękką poduszkę, i gdy oboje ochłonęli, wracali do rozmowy, którą wcześniej prowadzili w jego gabinecie, o Débussem, Klimcie albo prowansalskim winie.

Tego wieczoru rozmawiali o kajzerze.

– Słyszałem, że był zadowolony z wizyty. Podobało mu się lotnisko polowe, chociaż można się tylko domyślać, co sądził o okopach. To podobno okropne miejsce.

– Czy go p-p-oznałeś? – Eve leżała bez ruchu, ich splecione dłonie spoczywały na poduszce, a jej nogi oplatały jego smukłe uda. W takich momentach był najbardziej nieostrożny. – Miałam n-nadzieję, że przyjdzie do Le Lethe...

René zauważył u niej przebłysk emocji, mimo że przykryła twarz maską niewinności.

– Co, żebyś mogła napluć do jego vichyssoise?

Eve obróciła to w żart, nie uciekając się do kłamstwa. Nigdy nie kłamała, kiedy leżeli tak blisko siebie, dotykając się nagą skórą, to znaczy, jeśli tylko mogła tego uniknąć. Przez skórę myśli przedostają się szybciej.

– Nie naplułabym mu do zupy – powiedziała szczerze. – Ale p-p-pomyślałabym o tym.

René zaśmiał się, obracając się na bok. Ich ciała przestały się dotykać i Eve powstrzymała odruchowy dreszcz.

– Cesarz czy nie cesarz, słyszałem, że to wulgarny typ. Ale i tak miałem nadzieję, że przyjdzie do restauracji. To by było coś gościć cesarza.

Eve przykryła się prześcieradłem.

– Czy coś zmienił w rozkazach po tym, jak zobaczył Lille?

– Tak, to dość ciekawe...

I René jej powiedział.

– Dobre informacje zdobywasz – skomentowała Lili przy okazji następnej wizyty, parę dni po wyjeździe kajzera. Wpadła, gdy Eve przygotowywała się do wieczornej zmiany; ona szczotkowała włosy, a Lili robiła kopię najnowszego sprawozdania. Podniosła papier ryżowy, kręcąc głową trochę z pogardą, a trochę z rozbawieniem.

– Czy ten niemiecki *Kommandant* naprawdę opowiada o ulepszeniach artylerii w miejscu publicznym nad wiśniowym deserkiem i kieliszkiem brandy?

– Nie. – Eve nie odrywała wzroku od lustra nad biedną umywalnią. – René Bordelon opowiada o tym w prywatnej sypialni nad poduszką.

Dosłownie poczuła spojrzenie Lili na swoich plecach.

Eve starała się mówić tak formalnie i sucho, jak tylko mogła, ale i tak potknęła się już o pierwszy płótek.

– Jeśli chodzi o René, to tuż przed naszą rozmową z wujkiem Edwardem zostałam jego... – Właśnie, czym? Utrzymanką? Owszem, zatrudniał ją, ale jej nie utrzymywał. Dziwką? Nie płacił jej nic ponad pensję, nie licząc nalewki z czarnego bzu i sukni, w której nie wolno było jej się pokazywać nigdzie indziej poza jego gabinetem. Kochanką? Przecież nie było mowy o żadnej miłości.

Lili nie potrzebowała, by Eve skończyła to zdanie.

– *Pauvre petite* – powiedziała i przeszła przez pokój, żeby wziąć szczotkę z dłoni Eve. – Bardzo mi przykro. Czy on ci robi krzywdę?

– Nie – zacisnęła powieki. – Gorzej.

– Jak to?

– Tak... – Jej gardło się zacisnęło. – Tak m-mi wstyd.

Szczotka trzeszczała we włosach Eve.

– Wiem, że nie oglądasz się za każdym, kto się nawinie, więc pomyślałam, że mogłabyś zdecydować się na taki krok bez sprzeniewierzenia się swoim zasadom. Te sprawy bywają jednak bardziej skomplikowane, niż się tego spodziewamy. Czy poczułaś do niego *tendresse*?

– Nie. – Eve gorzko potrząsnęła głową. – Nigdy w życiu.

– Dobrze. Bo gdybym pomyślała, że są w tobie sprzeczne emocje, musiałabym to zgłosić. I zrobiłabym to – powiedziała Lili spokojnie, nie przestając przesuwać szczotki po włosach Eve. – Bardzo cię lubię, ale ta praca jest zbyt ważna, byśmy miały ją narażać. Czyli jeśli nie chodzi o *tendresse*, to skąd ten wstyd?

Eve zmusiła się do otworzenia piekących oczu i jej spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem Lili w lustrze.

– Bo przy tych pierwszych k-kilku razach, kiedy poszłam z nim do łóżka, nie wymagał ode mnie p-p-przyjemności. – Ani się jej nie spodziewał. – A teraz...

Tymczasem teraz Eve zdążyła się przyzwycząić do tego, co działo się w szeleszczącej, zawsze czystej pościeli. A René Bordelon miał tak samo wysokie wymagania w stosunku do swoich kochanek, jak do wszystkiego innego. Przyjemność była wymagana, i to nie tylko jej dawanie, ale też jej odczuwanie.

To doprowadziło do czegoś absolutnie niewyobrażalnego.

– Powiedz mi. – Głos Lili brzmiał rzeczowo. – Możesz być pewna, że mnie już mało co szokuje.

– Zaczyna mi się to podobać – powiedziała Eve i znów zacisnęła powieki.

Długie pociągnięcia szczotką ani na chwilę się nie zatrzymały.

– Brzydę się nim. – Eve udało się utrzymać spokój w głosie. – Więc jak może mi sprawiać przyjemność to, co on m-m-m... co on mi r-r-r... – Słowo nie chciało wyjść. Eve pozwoliła mu się wyciszyć.



– Musi być w tym dobry – powiedziała Lili.

– Przecież to wróg. – Eve zorientowała się, że cała drży. Nie wiedziała, czy to z gniewu, wstydu czy obrzydzenia. – W mieście są kolaboranci, których m-można żałować: kobiety, które sypiają z oficerami, żeby móc wyżywić rodzinę, mężczyźni, którzy pracują dla Niemców, żeby ich dzieci nie zamarzyły. Ale René Bordelon jest tylko spekulantem. Jest prawie tak zły jak szkopy.

– Być może – powiedziała Lili. – Ale uprawianie miłości to umiejętność jak każda inna. Zły człowiek może być dobrym stolarzem, dobrym kapelusznikiem albo dobrym kochankiem. Ta biegłość nie ma nic wspólnego z duszą.

– Och, Lili... – Eve potarła skronie. – To brzmi tak... f-francusko.

– Tak, a Francuzka to idealna rozmówczyni, jeśli chodzi o te sprawy. – Lili obróciła głowę Eve, by ta patrzyła prosto na lustro. – Czyli co, *monsieur* spekulant jest dobry w łóżku, a ty czujesz się winna, że sprawia ci to przyjemność?

Eve pomyślała o René przelewającym wino do karafki i wdychającym bukiet, o René leniwie przechylającym ostrzygę nad swoimi ustami.

– To wyrafinowany człowiek. Czy chodzi o kieliszek bordeaux, dobre cygaro, czy... czy o mnie, nie śpieszy się i wszystko robi tak, jak trzeba.

– Wiesz co, fizyczna reakcja na czyjeś umiejętności – powiedziała Lili ostrożnie – nie jest odzwierciedleniem tego, co się dzieje w głowie albo w sercu.

– Fizyczna reakcja niezwiązana z głową i sercem robi z k-kobiety dziwkę – skwitowała Eve brutalnie.

– Oj tam. Brzmisz jak ciotka z prowincji. Nigdy nie słuchaj takich osób, kwiatuszku. To na ogół wyzute z wszelkiej radości nudziary, które noszą perkalowe sukienki i uważają, że najwyższą cnotą jest zajmowanie się domem.

– I tak nadal się czuję jak dziwka.

Lili przestała szcztokować włosy i oparła brodę na czubku głowy Eve.

– Pewnie matka ci powiedziała, że kobieta, która czerpie przyjemność z towarzystwa mężczyzny, który nie jest jej mężem, to szmata?

– C-coś w tym stylu. – Eve trudno było się nie zgodzić z takim stwierdzeniem. Patrzyła na René z obrzydzeniem i tylko z obrzydzeniem, więc jak to możliwe, że te cierpliwe, poszukujące, chłodne dłonie mogły sprawiać jej przyjemność?

– Zwykle kobiety nie odczuwałyby... – zaczęła, ale Lili tylko machnęła ręką.

– Gdybyśmy były zwykle, siedziałybyśmy w domu, zaparzając herbatę po wiele razy z tych samych liści, i zwijały bandażę, by wesprzeć wojenne działania, a nie nosiłybyśmy przy sobie lugerów i nie przemycałybyśmy zaszyfrowanych wiadomości zwiniętych wokół spinek do włosów. Takich twardych sztuk jak ty i ja nie ocenia się według tych samych kryteriów co zwykle kobiety. – Lili podniosła brodę z czubka głowy Eve. – Posłuchaj mnie. Jestem od ciebie starsza i dużo mądrzejsza. Uwierz mi, jeśli ci mówię, że można pogardzać mężczyzną i jednocześnie mieć przyjemność z tego, co robi w łóżku. *Merde*, czasem tak jest nawet lepiej. Obrzydzenie dodaje wszystkiemu intensywności, „czy to ważne: spazmy gniewu czy spazmy miłości?”. Puccini w *Tosce* nie mylił się przynajmniej pod tym względem.

Marguerite Le François nie znałaby *Toski*, ale Eve owszem.

– Przecież Tosca zabija tego mężczyznę, żeby nie mógł jej wziąć przemocą.

– I może ty też kiedyś zabijesz Bordelona. Myśl o tym, kiedy on będzie na tobie, to na pewno przyniesie spazm przyjemności, zobaczysz.

Eve roześmiała się słabo. Ton Lili był lekki, ale jej ciepła, spokojna obecność stała się dla Eve jak tarcza.

– Czyli co? – Przewodnicząca siatki Alice cofnęła się, naląła dla nich obu kubki wstrętnej mikstury z gotowanych liści orzecha i lukrecji, która w żaden sposób nie zastępowała herbaty, i usiadła naprzeciwko Eve. – Poszłaś z *monsieur* spekulantem do łóżka z zamiarem robienia mu dobrze, żeby go szpiegować.

– Tak.

– Informacje, które od niego wydobywasz, są świetne, dużo lepsze od tego, czego się dowiadywałaś jako kelnerka – powiedziała Lili. – A teraz dowiedziałaś się, że jedną z rzeczy, które sprawiają przyjemność twojemu spekulantowi, jest pozwalanie mu, by to on sprawiał przyjemność tobie.

Będziesz musiała na to pozwalać, jeśli nie chcesz stracić dostępu do jego łóżka i do tych cennych informacji.

– Wolałabym udawać tę p-przyjemność. – Eve usłyszała siebie, jak to mówi. Co za dziwna rozmowa jak na biedny pokój i kubki udawanej herbaty: tak prozaiczna, jakby to dwie angielskie damy gadały nad porcelanowymi filiżankami o tym, jak było w kościele. – Lecz ja nie umiem tak dobrze kłamać, Lili. To znaczy, naprawdę świetnie kłamię, ale nie potrafiłabym powstrzymać p-p... powstrzymać przyjemności i jednocześnie jej udawać. On już potrafi d-d-doskonale mnie odczytać.

– A czy jest zadowolony z tego, co czyta?

– Tak. Wydaje mi się, że chyba mnie trochę polubił. Niedługo zabiera mnie na weekend do Limoges.

– To jedź. I weź od niego tyle, ile się da. – Lili wyglądała wręcz groźnie. – Każdy kieliszek wina przed pójściem do łóżka, każdą *petite mort* w łóżku, każdy skrawek informacji już po wszystkim. W tej pracy i tak mamy bardzo mało przyjemności. Jedzenie jest wstrętne, alkoholu prawie nie można dostać, papierosy zdarzają się coraz rzadziej, a ubrania są okropne. Mamy koszmary senne, cerę jak z popielniczki i żyjemy w ciągłym strachu, że nas aresztują. Więc nie czuj się winna z powodu przyjemności, które udaje ci się zdobyć, skądkolwiek by pochodziły. Po prostu je sobie bierz.

Eve pociągnęła kolejny łyk kwaśnego napoju.

– Nie powiesz nic o grzechu? – Lili była zaskakująco religijna, mimo że robiła wrażenie frywolnej. Przechodząc przez punkty kontrolne, zawsze miała przy sobie różaniec i zawsze mówiła z sympatią o swoim spowiedniku i zakonnicach z Anderlechtu.

– Jesteśmy śmiertelniczkami, więc grzeszymy – wzruszyła ramionami. – To nasze życiowe zadanie. A *Le Grand Seigneur* nam wybacza, bo to z kolei Jego zadanie.

– A jakie jest twoje zadanie? Podnosić nas na duchu, gdy jesteśmy w bagnie? – Nawet powściągliwa Violette miała swoje trudne momenty. Eve widziała ją któregoś wieczoru załamana i drżącą po tym, jak niemiecki strażnik zabił zestrzelonego pilota, gdy przeprowadzała go przez granicę. Wtedy właśnie Lili wyciągała ją z ciemności tak samo, jak teraz robiła to z Eve. – Czy ty kiedykolwiek czujesz strach i rozpacz?

Lili uniosła jedno ramię w kpiarskim geście.

– Nie boję się niebezpieczeństwa, ale nie lubię go oglądać. A czy ty przypadkiem nie masz jakiejś roboty? Bo ja mam.

Dziesięć minut później już jej nie było, wyszła z zapisanym na papierze ryżowym raportem zwiniętym wewnątrz rękojeści parasolki. Eve udała się w przeciwnym kierunku, do Le Lethe. Gdy weszła do restauracji, gdzie na stołach właśnie kładziono obrusy i srebrne sztuce, minęła się z Christine, która zebrała spódnicę, żeby jej nie dotknąć.

– Dziwka – wyszeptała prawie bezgłośnie. Eve zatrzymała się i obejrzała przez ramię. Uniosła brwi, nadając im kształt zabójczego łuku, jak Lili.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Widziałam cię. – Syk Christine był pełen nienawiści, chociaż nie spuszczała oczu ze świec, które zapalała. – Poszłaś na górę do mieszkania *monsieur* Bordelona po zakończeniu zmiany. On jest spekulantem, a ty zwykłą...

Eve zrobiła szybki krok do przodu i złapała Christine za nadgarstek.

– Powiedz choć słowo, a sprawię, że stracisz tę pracę. Jedno słowo plotki i wylecisz z tej roboty, gdzie dostajesz resztki tartiflette i homara bisque na koniec dnia. Słyszysz? – Wbiła paznokcie w nadgarstek Christine i przesunęła się, by mijający je kelnerzy nic nie zauważyli. – Mogę sprawić, że stąd wylecisz – powtórzyła Eve, ani razu się nie jęknąjąc. – Będiesz na czarnej liście. Nigdy nie znajdziesz w tym mieście pracy, a potem umrzesz z głodu.

Christine wyszarpnęła rękę.

– Dziwka – syknęła po raz drugi.

Eve wzruszyła ramionami, odchodząc. Sama się zadreęczała tym słowem już od wielu dni. Ale w tamtej chwili zrozumiała, że nie życzy sobie, by ktokolwiek poza nią samą nazywał ją dziwką, a już na pewno nie ta baba głupsza od talerza potrawy z homara.

# 21

## Charlie

*Maj 1947*

– Pamiętam to. – Eve wskazała na kamienny łuk mostu łączącego brzegi leniwej niebieskiej rzeki płynącej przez Limoges. „Rzymski most”, pomyślałam. Był stary i wyglądał bardzo romantycznie, a przejeżdżające po nim i trąbiące małe francuskie samochody wydawały się absurdalnie nowoczesne.

– Tylko że wtedy już się zmierzchało, to nie było popołudnie – ciągnęła Eve. – René Bordelon zatrzymał się tutaj, tuż przy rzece, i powiedział, że zawsze uważał za coś obrzydliwego stoliki na zewnątrz w restauracji, która przecież nie jest jakąś tam zwykłą kawiarnią, ale że gdyby miał do dyspozycji taki widok, mógłby to rozważyć.

Odwróciła się, wepchnęła dłonie w kieszenie postrzępionego swetra i popatrzyła w stronę trawiastej skarpy, drzew i budynków ciągnących się wzdłuż brzegu rzeki.

– I sukinsyn dostał to, czego chciał. Otworzył swoją drugą restaurację nad rzeką z takim widokiem.

Ruszyła szybkim krokiem brukowaną ulicą. Spojrzałam na Finna i oboje jednocześnie wzruszyliśmy ramionami, a potem poszliśmy za nią. Eve obudziła się wcześniej i udało nam się szybko dotrzeć z Paryża do Limoges. Znowu się rozgadała, więc każdy kilometr przynosił nowe historie, a w niektóre trudno było mi uwierzyć (nieudany zamach na kajzera?). Zaprowadziła nas do hotelu w pobliżu średniowiecznej katedry, posłała Finna, by zaparkował lagondę, a sama weszła do środka i szybką francuszczyzną przepytала konsjerżę, machając kartką z zapisanym adresem, którą jej dałam. Był to adres drugiej Le Lethe, gdzie pracowała Rose. Gdy tylko Finn wrócił, Eve poprowadziła nas pieszo przez miasto uliczkami wyłożonymi kocimi łbami. W Limoges było bardzo ładnie: wierzby płaczące, pochylające się nad powierzchnią wody, wycelowane

w niebo gotyckie wieżyczki kościelne, balkony z geranium w doniczkach – i wszystko to nie wyglądało nawet w części tak, jak zrujnowana północ Francji, gdzie naziści dokonali znacznie więcej zniszczeń.

– Spokojniej tu niż w Paryżu – powiedział Finn, wtórując moim myślom. Szedł w samej koszuli, przyciągając pełne dezaprobaty spojrzenia Francuzów w schludnych letnich garniturach, natomiast kobietom nie przeszkadzał jego niedbały wygląd, jeśli sądzić tylko po spojrzeniach. Finn odwzajemniał je i przyglądał się twarzom mijających go ludzi, zaaferowanych młodych matek w słomkowych kapeluszach lub mężczyzn marszczących brwi nad gazetami przy kawiarnianych stolikach. – Mają rumiane twarze – zauważył. – Nie takie wychudłe i ponure, jakie widzieliśmy na północy.

– Tu była strefa nieokupowana – powiedziałam, wreszcie mogąc dotrzymać Finnowi kroku. Miałam sandały na płaskim obcasie i spodnie rybaczeki, a nie chwiejne szpilki. – Rząd Vichy nie był niczym wspaniałym, ale ludziom było tu lepiej niż tym na północy.

– Ech – zachnęła się Eve wciąż idąca przodem. – Nie bądź taka pewna. Musieli się użerać z milicją, a to były straszne skurwysyny.

– Jaką milicją? – spytał Finn.

– Francuską milicją, której zadaniem było ściganie Francuzów na rozkaz Niemców. Zawsze nienawidziłam tych sukinsynów.

– Przecież podczas twojej wojny milicji nie było, Eve. – Przekrzywiłam głowę z ciekawością. – A ty nie brałaś udziału w ostatniej wojnie.

– A kto tak powiedział, jankesko?

– Czekaj, to ty pracowałaś też podczas drugiej wojny? Czyli co ty...

– Nieważne. – Eve zatrzymała się nagle, odwracając głowę w stronę dźwięku dzwonów, niesionego leniwym, letnim powietrzem. – Te dzwony, pamiętam te dz-dzwony. – Sztywno wyprostowana ruszyła dalej wzdłuż brzegu rzeki, a ja za nią, kręcąc głową.

– Kiedy była pani ostatni raz w Limoges, Gardiner? – spytał Finn.

– W sierpniu dziewięćset piętnastego – odrzekła Eve, nie odwracając się. – René Bordelon zabrał mnie tu na weekend.

To tylko parę słów, ale podejrzania co do wytwornego właściciela Le Lethe, które brałam pod uwagę, teraz zamieniły się w pewność. Już

z samego natężenia nienawiści w głosie Eve domyśliłam się, że musiał zajmować szczególne miejsce w jej życiu – nie można kogoś aż tak nienawidzić, nie będąc w to osobiście zaangażowanym. Teraz już wiedziałam: był jej kochankiem. Eve weszła do łóżka wroga, by móc go szpiegować.

Spojrzałam na nią, na jej dumną, zniszczoną twarz i na żołnierski krok, jakim szła brukowaną ulicą. Była wtedy niewiele starsza ode mnie. „Czy byłabyś w stanie chodzić do łóżka ze szkopem tylko po to, by go szpiegować, Charlie?” Udawać, że mi się podoba, śmiać się z jego żartów, pozwalać mu rozpinąć swoją bluzkę, a wszystko po to, by przeglądać zawartość jego biurka i wyciągać użyteczne informacje z rozmów z nim? Wiedząc, że jeśli mnie złapią, to mnie zastrzelą?

Spojrzałam na Eve z podziwem. Nie tylko zależało mi, by miała o mnie dobre zdanie, chciałam też sama być bardziej jak ona. Chciałam przedstawić ją Rose: „Poznaj tę wariatkę, która pomogła mi cię znaleźć wtedy, gdy wszyscy już się poddali”. Potrafiłam sobie wyobrazić Eve, jak patrzy na nią wyniośle, a Rose odwzajemnia spojrzenie. Potrafiłam sobie wyobrazić, jak we trzy pijemy drinki i mówimy jedna przez drugą, najdziwniejszy tercet kobiet, jakie kiedykolwiek mogły stać się przyjaciółkami.

Zastanawiałam się, czy Eve miała kiedyś przyjaciółkę, która znaczyła dla niej tyle, ile Rose dla mnie. We wszystkich jej wojennych opowieściach jedyną kobietą, o której wspominała, była Violette, która w Roubaix napłuła jej w twarz.

– Nagle zrobiłaś bardzo poważną minę – powiedział Finn, przyglądając mi się.

– Tak się tylko zamyśliłam. – Nie mogłam być zupełnie smutna. Nad głową grzało słońce, a moje ramię co parę kroków ocierało się o ramię Finna, co przyprawiało mnie o absurdalny dreszcz podniecenia. – Każdy kolejny krok przybliżył nas do Rose.

Finn uniósł brew.

– Czemu jesteś taka pewna, że ona tylko czeka na to, aż ją znajdziesz?

– Nie wiem. – Usiłowałam ubrać to w słowa. – Im bliżej jesteśmy, tym mocniejsza staje się nadzieja.

– Mimo że nie pisała do ciebie od... ilu lat? Trzech? Czterech?

– A może właśnie pisała. W czasie wojny listy wciąż ginęły. Poza tym kiedy widziała mnie po raz ostatni, miałam tylko jedenaście lat. Może wciąż myślała, że jestem za młoda, żeby się dowiedzieć o czymś tak skandalicznym, jak... – W milczeniu poklepałam się po brzuchu. – Coraz mocniej czuję, że ona tu jest. Eve szydzi ze mnie, kiedy mówię, że mogę ją „poczuć”, ale...

Eve zatrzymała się tak nagle, że prawie na nią wpadłam.

– Le Lethe – powiedziała cicho.

Kilka lat temu musiała to być urocza restauracja. Widziałam piękną architekturę budynku, mur pruski ze starymi belkami, ogrodzenie z kutego żelaza otaczające taras, z którego roztaczał się piękny widok. Jednak nisko wiszący szyld z wykaligrafowanym na złoto napisem „Le Lethe” został prostacko ochlapany czerwoną farbą, a szerokie frontowe okna były zabite deskami. Musiało minąć dużo czasu, odkąd kelnerzy po raz ostatni zaserwowali tu vichyssoise czy millefeuille.

– Co tu się stało? – spytałam, ale Eve już pobiegła do średniowiecznych drzwi zamkniętych na kłódkę i zabitych belką. Wskazała na litery byle jak wycięte w drewnie, ledwo widoczne spod kleksów farby: COLLABOR...

– *Collaborateur* – powiedziała cicho. – Co, cały czas te same sztuczki, René? Było się nauczyć za pierwszym razem, że Niemcy zawsze, kurwa, przegrywają.

– Łatwo tak mówić, patrząc wstecz – powiedział Finn łagodnie. – Wtedy, na miejscu, to nie było wcale takie oczywiste.

Ale Eve już była przy sąsiednim budynku. Stała pod drzwiami i zaczęła w nie walić. Nikt nie odpowiadał, więc przeszliśmy do następnego domu. Dopiero po czterech kolejnych próbach i jednej nieudanej rozmowie z gospodynią, która nic nie wiedziała na temat starej restauracji, w końcu znaleźliśmy bardzo starą Francuzkę z papierosem między kciukiem a palcem wskazującym i o bardzo, bardzo zgorzkniałym spojrzeniu.

– Le Lethe? – rzekła w odpowiedzi na pytanie Eve. – Zamknęła się pod koniec czterdziestego czwartego, i zresztą bardzo dobrze.

– Dlaczego bardzo dobrze?

Kobieta wydeła wargi.



– To była jaskinia Niemców. Każdy niemiecki oficer, gdy tylko miał wolny wieczór, siedł tam ze swoją kurwą.

– I właściciel na to pozwalał? – Postawa Eve uległa zmianie: zmiękła, jej ramiona opadły, a ton głosu stał się swobodny. Zmieniła się w kogoś innego, tak samo jak wtedy w londyńskim lombardzie. Finn i ja cofnęliśmy się, by pozwolić jej dokonać tej swojej magicznej sztuki. – Jak on się w ogóle nazywał?

– René du Malassis – powiedziała staruszka i splunęła. – Speculant. Niektórzy mówili, że siedzi w kieszeni milicji, wcale by mnie to nie zdziwiło.

Du Malassis. Zapamiętałam to nazwisko, a Eve spytała:

– A co się stało z *monsieur* du Malassis?

– Uciekł, jakby się rozpląnął. Na Boże Narodzenie w czterdziestym czwartym. Zdawał sobie sprawę z tego, jak się sprawy mają. Nikt nie wie, dokąd poszedł, a od tamtego czasu już się tu nie pokazał. – Na twarzy starej kobiety powoli pojawił się nieprzyjemny uśmiech. – Bo gdyby się pokazał, to czekałaby go krótka pętla i długie męczarnie na latarni.

– Za kolaborację?

– *Madame*, są kolaboranci i są tacy ludzie jak on. Wie pani, co du Malassis zrobił w czterdziestym trzecim? Na koniec nocnej zmiany wyciągnął przez tamte drzwi młodego *sous-chefa* i oznajmił, że chłopak jest złodziejem. Przeszukał go na ulicy na oczach wszystkich, całego personelu restauracji, przechodniów i sąsiadów takich jak ja, którzy się zbiegli, słysząc hałasy.

Mogłam to sobie wyobrazić: nocna mgła unosząca się nad rzeką, gapie z szeroko otwartymi oczami i trzęsący się ze strachu chłopak w fartuchu *sous-chefa*. Eve nic nie mówiła, tylko słuchała tak uważnie, aż zastygła w bezruchu. Staruszka ciągnęła dalej:

– Du Malassis powyciągał srebrne sztucce z kieszeni chłopca i powiedział, że zadzwoni na policję. Obiecał, że go aresztują i wywiozą na wschód. Trudno powiedzieć, czy naprawdę tak by się stało, ale wszyscy wiedzieli, że naziści mieli u niego spory dług wdzięczności. Chłopak spróbował uciec. Du Malassis miał w tej swojej eleganckiej marynarce pistolet i zastrzelił biedaka, zanim ten zdążył przebiec dziesięć kroków.

– Naprawdę? – powiedziała Eve cicho. Zadrżałam.

– Naprawdę – odrzekła staruszka szorstko. – A du Malassis po prostu tam stał, wycierając ręce chusteczką i krzywiąc się na zapach prochu. Powiedział kierownikowi sali, żeby zadzwonił do władz miasta, by ktoś to posprzątał. Potem odwrócił się plecami do martwego chłopca i wrócił do środka, nie tracąc zimnej krwi. Taki to był człowiek. Nie jakiś tam kolaborant, tylko elegant zabójca.

– Czy naziści robili potem jakieś problemy? – odezwał się Finn.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. Na pewno musiał oddać parę przysług, żeby uniknąć aresztu i nagany, bo restauracja dalej pracowała w najlepsze. Och, w Limoges jest masa osób, które chętnie zarzuciłyby mu sznur na szyję, i on dobrze o tym wiedział. Dlatego uciekł, jak tylko stało się pewne, że Niemcy przegrają. – Kobieta zaciągnęła się dymem z papierosa i obrzuciła nas bystrym spojrzeniem. – A co wy tacy ciekawi? Du Malassis to jakiś wasz krewny?

– Chyba raczej samego diabła – odparła Eve jadownicie i dwie kobiety wymieniły powściągliwe, kwaśne uśmiechy. – Dziękuję, że poświęciła nam pani swój czas – powiedziała i odwróciła się, by odejść. Ja jednak podeszłam do przodu i odezwałam się do staruszki moim łamanym amerykańskim francuskim.

– *Pardonnez-moi, madame*, bo ja rzeczywiście szukam swojej krewnej, która mogła pracować w Le Lethe. Nie była kolaborantką – dodałam szybko, widząc, jak kobieta marszczy brwi. – Mogła pani zwrócić na nią uwagę. Na Rose wszyscy zwracali uwagę. Młoda, blond włosy, śmiech jak dzwon. – Wyjęłam sfatygowane zdjęcie, które Rosie wysłała mi w jednym z listów w czterdziestym trzecim. Spoglądała na nim przez ramię niczym *pin-up girl* Betty Grable i uśmiechała się szeroko. Zanim stara kobieta się odezwała, już wiedziałam, że rozpoznała Rose.

– Tak – powiedziała. – Śliczna dziewczyna. Często widziałam, jak te świnię z SS podszczypywały ją w tyłek, kiedy przynosiła im alkohol, ale ona nie trzepotała rżęsami jak te inne dziwki, które du Malassis przyjmował do pracy. Zawsze znalazła sposób, żeby coś na nich wylać, a potem bardzo ich przepraszała, słodka jak miód. Wszystko to było widać z tego tarasu.

To głęboko mną wstrząsnęło. Nowe, nie moje wspomnienie o Rose. Rose wylewająca piwo na niemieckich żołnierzy. Oczy mnie zapiekły. To było do niej podobne.

– Kiedy widziała ją pani po raz ostatni? – Mój głos wyszedł z gardła szorstki i dopiero wtedy zorientowałam się, że Finn wziął mnie za rękę i mocno ścisnął.

– Jeszcze zanim restauracja się zamknęła. Chyba przestała tam pracować. – Kobieta znów splunęła na ziemię. – To nie było miejsce dla porządnych dziewczyn.

Serce stanęło mi w gardle. Miałam tak wielką nadzieję, że Rose odnajdzie się żywa tutaj, w Limoges. Spojrzałam jednak na staruszkę i zmusiłam się do uśmiechu.

– Dziękuję za pomoc, *madame*.

Ale pomysły jeszcze mi się nie skończyły.

\*\*\*

Tej nocy Eve znów miała gorszy nastrój. Tym razem nie zaczęła krzyczeć, tylko obudziła mnie serią głuchych uderzeń w ścianę, która dzieliła nasze sypialnie. Wystawiłam głowę na korytarz. Nie dostrzegłam Finna. Byłam sama.

Naciągnęłam sweter na piżamę i poczłapałam pod drzwi Eve, przykładając ucho do drewnianych desek na ścianie. Nadal było słychać głuche bum, bum, jakby uderzała czymś o ścianę. „Byle to nie była jej głowa”, pomyślałam i zapukałam cicho do drzwi.

– Eve?

Nadal było słychać uderzenia.

– Nie celuj do mnie z pistoletu, wchodzę.

Eve siedziała w kącie na podłodze, ale jej spojrzenie było tym razem przytomne i nie mamrotała, pogrążona w koszmarnym śnie na jawie. Gapiła się w sufit z lugerem w dłoni i metodycznie waliła jego rękojeścią w ścianę. Bum. Bum. Bum.

Oparłam dłonie na biodrach, patrząc na nią spode łba.

– Musisz?

– To mi pomaga myśleć. – Bum. Bum.

– Jest północ. Nie możesz spać, zamiast myśleć?

– Nawet nie próbowałam. Będę miała koszmary. Przeczekam do świtu – Bum. Bum.

– To postaraj się walić trochę ciszej. – Ziewnęłam i odwróciłam się, by odejść. Eve zawołała mnie z powrotem.

– Zostań. Przydadzą mi się twoje ręce.

Spojrzałam na nią przez ramię.

– Do czego?

– Umiesz rozłożyć lugera?

– Nie, nie uczyli nas tego w Bennington.

– A ja myślałam, że wszyscy Amerykanie mają obsesję na punkcie broni. Pokażę ci.

Usiadłam po turecku naprzeciwko Eve, a ona wskazywała na kolejne części pistoletu, który ja niezgrabnie rozmontowywałam.

– Lufa... Okładka rękojeści... Iglica...

– Czemu się tego uczyć? – spytałam i zaraz zapiszczałam, gdy uderzyła mnie po palcach za to, że odwrotnie wciskałam oś komory zamkowej.

– Kiedyś rozkładanie lugera naprawdę mi pomagało myśleć. Ale teraz mam za bardzo rozpieprzone ręce, żeby to robić tak, jak trzeba, więc pożyczę sobie twoje. Wyjmij olej z mojej torebki.

Zaczęłam układać części rozmontowanego pistoletu.

– Nad czym się zastanawiasz? – W jej oczach był błysk zamyślenia, jednak nie z powodu whisky, chociaż zauważyłam, że przy jej kolanie stała zwyczajowa szklanka do połowy wypełniona bursztynowym płynem.

– Nad René du Malassis – odparła. – Albo raczej nad René Bordelonem. I nad tym, dokąd poszedł.

– Czyli zakładasz, że jeszcze żyje. – A w Roubaix tak uparcie zaprzeczała.

– Teraz miałby siedemdziesiąt dwa lata – powiedziała cicho. – Ale tak, podejrzewam, że żyje.

Nie była w stanie powstrzymać drgnienia twarzy, jednocześnie wyrażającej nienawiść do niego i do samej siebie. Jakże rzadko zdarzało mi się u niej zobaczyć emocję, której nie zdążyła zamaskować. Wyglądała teraz na tak kruchą, że ogarnęła mnie dziwna opiekuńczość.

– Skąd pewność, że du Malassis to twój Bordelon? – spytałam łagodnie. Uśmiechnęła się półgębkiem.

– Bo Malassis to nazwisko wydawcy *Kwiatów zła* Baudelaire’a.

– Naprawdę zaczynam nie cierpieć Baudelaire’a. A przecież nigdy go nie czytałam. – W tym momencie nawet już nie musiałam.

– To masz szczęście – powiedziała sucho. – Ja musiałam wysłuchiwać René, jak cytuje jego wszystkie cholerne dzieła od deski do deski.

Zrobiłam pauzę, trzymając lufę lugera w jednej ręce i naoliwioną szmatkę w drugiej.

– Czyli ty i on byliście...

Uniosła brew.

– Jesteś zbulwersowana?

– Nie. Sama nie jestem święta. – Poklepałam Drobny Kłopot, który ostatnio wydawał się bardziej zadowolony. Nadal czułam się przez niego zmęczona, ale nudności ustąpiły i już nie wyczuwałam ze strony swojego brzucha dziwnie konkretnych myśli.

– René zabrał mnie do tego hotelu. – Eve rozejrzała się po pokoju, jakby nie do końca go widząc. – Nie do tego pokoju. Nie wytrzymałaby w takiej klitce. To był najlepszy pokój w hotelu: na czwartym piętrze, duże okna, niebieskie, aksamitne zasłony. Duże łóżko...

Nie pytałam, co się działo w tym łóżku. Eve miała powody, dla których zdecydowała się nie przespać nocy, zamiast ryzykować sen.

– Jak to się robi? – wymamrotałam, podnosząc różne części pistoletu, a ona pokazywała mi, jak przecierać każdą z nich naoliwioną szmatką. – Czyli kiedy René Bordelon musiał uciekać z Lille, stał się René du Malassis – powiedziałam w końcu. – I gdy musiał uciekać z Limoges, znów zniknął. Jak to możliwe, skoro tylu kolaborantów złapano? – Pomyślałam o tym, co na temat takich ludzi, kobiet i mężczyzn, widziałam w gazetach: upokorzenie i jeszcze gorsze rzeczy. Stara Francuzka nie rzucała słów na wiatr, gdy mówiła o wieszaniu ludzi na latarniach.

– René nie był głupi. – Eve niezdarnie odłożyła oliwiarę. – Służył tym, którzy byli u władzy, ale zawsze dopuszczał myśl, że kiedyś mogą przegrać. A gdy już wiedział, że na pewno przegrają, musiał mieć plan, by uciec ze wszystkimi pieniędzmi i z nowym nazwiskiem, aby zacząć wszystko od

początku, i po Lille, i po Limoges. – Przestała mówić i zastanowiła się. – Sądzę, że planował pierwszą z tych ucieczek, gdy zabrał mnie tu na weekend w dziewięćset piętnastym. Wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy. Mówił, że szuka dobrego miejsca na nową restaurację. Uznałam, że chciał powiększyć swój biznes, ale on chyba nawet tego nie brał pod uwagę. Może już szukał miejsca na nowe życie na wypadek, gdyby mu było potrzebne. I znalazł.

– Hmm. – Odłożyłam ostatnią naoliwioną część pistoletu. Moje ręce były brudne od oleju, lecz zaczęło mnie to wciągać. Gdyby na zajęciach praktyczno-technicznych zamiast pieczenia ciastek uczyli nas, jak rozmontować pistolet, może bym bardziej uważała. – Wiesz co, jest jednak pewna różnica między René Bordelonem a René du Malassis oprócz samego nazwiska.

– A niby jaka, jankesko?

– Chęć pociągnięcia za spust. – Popatrzyłam na spust lugera leżący niewinnie wśród pozostałych części. – Z tego, jak opisywałaś tego człowieka z pierwszej wojny, wyglądał na osobę zbyt wybredną, by zajmować się brudną robotą. Kiedy przyłapał na kradzieży twojego poprzednika, posłał po Niemców i to oni go zastrzelili. Za drugim razem, jak mówiła tamta kobieta, nie zawahał się pociągnąć za spust osobiście.

– To całkiem duża różnica – zgodziła się Eve. Brzmiało to tak, jakby sama już zdążyła poświęcić tej kwestii wiele czasu.

– Wobec tego co go zmieniło? – spytałam. – Zanim skończyła się pierwsza wojna, co zmieniło go ze spekulującego estety w... – tu przypomniałam sobie słowa staruszki – wytwornego zabójcę.

Eve uśmiechnęła się krzywo.

– Wydaje mi się, że to przeze mnie.

Była jeszcze jakaś część tej układanki, jakiej nie znałam, lecz zanim zdążyłam o cokolwiek zapytać, Eve zamilkła i gestem kazała mi złożyć pistolet z powrotem. Zmieniłam temat.

– Jak my go teraz znajdziemy? Nie będzie się już nazywał du Malassis, na pewno ma nowe nazwisko. – Wsunęłam bolec w lufę. – Dokąd mógł uciec z Limoges? – Poczułam dreszcz na myśl o tym, że ścigamy nie tylko starego kolaboranta, dawnego wroga... ale też mordercę.

– Jest taki jeden angielski oficer, z którym mogę się skontaktować – powiedziała Eve, akceptując moją zmianę taktyki. – Z dawnych czasów. Kierował siatką szpiegów takich jak ja, podczas drugiej wojny też. Teraz stacjonuje w Bordeaux. Dzwoniłam do niego jeszcze z Londynu, ale akurat wyjechał polować na kaczki. Do tej pory powinien już wrócić. Jeśli ktokolwiek jest w stanie odkopać informacje o starym kolaborancie, to tylko on.

Zastanawiałam się, czy to ten kapitan Cameron, o którym opowiadała. W jej historiach był to całkiem przyzwoity człowiek. Chciałam go zobaczyć i sprawdzić, czy pasował do mojego wyobrażenia o nim, ale teraz musiałam się zająć podążaniem za wyznaczonym tropem.

– Skontaktuj się ze swoim znajomym z Bordeaux – powiedziałam. – Ja zabiorę Finna i samochód i pojedziemy poszukać mojej kuzynki.

Eve uniosła brew, mimo że akurat pokazywała mi, jak docisnąć lufę lugera, żeby odciążyć sprężynę.

– Poszukać twojej kuzynki? Jeśli nadal żyje, może być wszędzie.

– Ciotka mówiła, że wysłali ją do wioski pod Limoges, żeby tam urodziła dziecko. To jakaś zupełna dziura, gdzie ludzie wysyłają dziewczęta, które przyniosły wstyd rodzinie. – Zaczynało mi dobrze iść z pistoletem. Jego części gładko przesuwwały się w moich pobrudzonych olejem palcach. – Rose zamieszkała tam, urodziła dziecko, a cztery miesiące później zaczęła pracę w Limoges. Może zostawiła dziecko u jakiejś rodziny na wychowanie. Może wróciła tam, gdy przestała pracować w Le Lethe. Kto wie? To mała miejscowość, a w takich wszyscy znają wszystkich. Ktoś na pewno rozpozna Rose ze zdjęcia. – Wzruszyłam ramionami. – Tak czy inaczej, mamy od czego zacząć.

– To dobry p-plan – zgodziła się Eve, a ja aż spuchłam z dumy. – Rozłóż pistolet jeszcze raz. – Znów zabrałam się do rozmontowywania lugera, Eve zaś rozpoczęła kolejną historię: o weekendzie, jaki spędziła tu z René Bordelonem latem 1915 roku. – Przyjechaliśmy pociągiem i René postanowił mi kupić nową sukienkę. Co innego, gdy przychodziłam do jego pokoi w stroju kelnerki, ale przecież nie mógł pokazać się ze mną na promenadzie czy w teatrze, jeśli miałabym na sobie stare łachy. Była to suknia firmy Poiret z pistacjowej jedwabnej mory, obszyta czarnym

aksamitem, a na plecach miała czterdzieści trzy guziki obciągnięte aksamitem. Kiedy je rozpiął, lubił je liczyć...

Zamontowałam z powrotem iglicę, zastanawiając się, co Eve zamierza zrobić, jak już znajdzie swojego starego wroga. Doprowadzi do jego aresztowania? Wszyscy wiedzieli, jak brutalnie Francuzi obchodzili się z kolaborantami. Czy zaufa swojemu lugerowi i zakończy sprawę? Nie można było tego wykluczyć.

„Co on ci zrobił, Eve? I co ty zrobiłaś jemu?”

Teraz opowiadała mi, jaka szara była przepływająca przez Limoges rzeka podczas jej ostatniej wizyty – nie tak jaskrawoniebieska jak dzisiaj. Mówiła też o tym, jak liście szeleściły pod obcasami jej nowych skórzanych butów dokupionych do sukni.

– Tak wyraźnie to wszystko pamiętasz... – zauważyłam, podając jej wyczyszczony i naoliwiony pistolet.

– No myślę. – Eve dopiła whisky. – To w tamten weekend nie dostałam okresu i zaczęłam się bać, że zaszłam z René w ciążę.



# 22

## Eve

*Wrzesień 1915*

Ledwo zaczęła się jesień, a już chłód ścisnął świat niczym imadło. Lille było miastem, w którym obok siebie istniały dwa światy, spadająca zaś temperatura czyniła ten podział wyraźniejszym niż jakakolwiek linia demarkacyjna. Po jednej stronie Niemcy, z węglem, świecami i ciepłą kawą, których potrzebowali. Po drugiej stronie Francuzi, którzy nie mieli żadnej z tych rzeczy. Oba światy opisywano wcześniej jako francuski i niemiecki lub jako podbitych i zdobywców, lecz teraz dzielili się po prostu na zmarzniętych i niezmarzniętych.

Eve nie zwróciła na to uwagi. Była w ciąży i ta myśl przyćmiła wszelkie inne.

To nie mogło trwać długo, ale nietrudno było odczytać objawy. Od dwóch miesięcy nie miała okresu – niektóre kobiety w Lille szeptały, że z powodu niedożywienia mają nieregularne cykle, lecz Eve nie sądziła, że ma tyle szczęścia. Zrobiła się chuda jak patyk, choć nadal miała tyle nielegalnych resztek z *Le Lethe*, żeby nie głodować. Poza tym szybko pojawiły się inne oznaki: jej piersi stały się drażliwe, niemal ciągle była zmęczona i musiała hamować nagłe napady mdłości, gdy z kuchni niesiono soczystą pieczeń lub gdy musiała przenieść pikantny kawałek *morbiera* na przekąskę serową.

Eve miała pewność. Była w ciąży z René Bordelonem.

Ta świadomość powinna doprowadzić ją do całkowitej rozpacz, ale nie było na to czasu. Siatka Alice miała dużo pracy. Francuski front w Champagne prowadził nieustanny atak, o którym niemiecki *Kommandant* i jego generałowie wspominali w cierpkich słowach rzucanych przy kawie. Słowach, które Eve raportowała. Spędzała wiele godzin na obsłudze stolików, a jeszcze więcej w łóżku René, pracując w ten lub inny sposób co najmniej dziewiętnaście godzin na dobę. Przekazywała informacje o rozmieszczeniu artylerii, o listach zabitych

i rannych, o planowanych przejazdach pociągów i magazynach z zaopatrzeniem. Była tak przyzwyczajona do balansowania na ostrzu brzytwy, że traktowała je niemal jak normę. Nieustannie pilnowała, żeby jej głos ani wyraz twarzy niczego nie zdradzały, aż czasami zastanawiała się, czy jest jeszcze zdolna do choćby jednej spontanicznej reakcji. Nie mogła panikować ani wpaść w rozpacz tylko dlatego, że jej ciało ją zdradziło. Absolutnie nie mogła.

W tamtą sobotę Eve otworzyła drzwi przed Violette, która jak zwykle robiła przystanek w Lille, i niemal krzyknęła z ulgi. Przez cały tydzień śniły jej się koszmary, w których Violette była aresztowana, i to akurat teraz. Eve nigdy nie przepadała za Violette, ale potrzebowała jej, i to jak!

Violette musiała zauważyć ten przebłysk ulgi, ponieważ cień zaskoczenia pojawił się za okrągłymi szklami.

– Wyglądasz, jakbyś cieszyła się na mój widok – zauważyła, zeszkrobując błoto z wysłużonych butów. Zmarszczyła brwi i dodała: – Jakieś wieści?

– Żadnych wieści – odpowiedziała Eve. – Ale potrzebuję pomocy i tylko ciebie mogę o nią prosić.

Violette zdjęła rękawiczki i zaczęła rozcierać zmarznięte dłonie, jednocześnie z zaciekawieniem przyglądając się Eve.

– Czemu mnie?

Eve wzięła głęboki oddech.

– Lili, o-o-o-ona mówiła, że byłaś pielęgniarką.

– W Czerwonym Krzyżu, tak. Ale niezbyt długo. Wojna dopiero co się zaczęła.

Eve odepchnęła nagłą falę wątpliwości i brnęła dalej, bo czy miała wybór?

– Jestem w ciąży – oznajmiła wprost i zmusiła się do spojrzenia Violette prosto w oczy. – Pomożesz mi się tym zająć?

Violette wpatrywała się w nią przez chwilę, a potem gwałtownie wypuściła powietrze z płuc.

– *Merde*, czy jesteś na tyle głupia, żeby mieszać romans z taką pracą? Nie mów mi, że zakochałaś się w Antoinie albo...

– Nie jestem durną pensjonarką – wciąła się Eve. – Musiałam sypiać z moim pracodawcą, żeby zdobywać informacje, informacje, Violette. Lili ci nie m-mówiła?

– Oczywiście, że nie. – Violette poprawiła okulary na nosie. – Nie pomyślałaś, żeby się zabezpieczyć?

– Próbowałam. Nie pomogło. – Wykradanie się nocą na palcach z jego łóżka, żeby zrobić płukanek w jego luksusowej łazience, było dla niej dużo bardziej obrzydliwe niż to, co działo się w łóżku, ale nigdy tego nie zaniedbywała. Żałowała, że nie pomogło. – Zanim zapytasz, nic innego też nie poskutkowało. Skakanie w dół po schodach, kąpiel w gorącej wodzie, spore d-dawki brandy. Nic.

Violette westchnęła po raz kolejny, tym razem spokojniej, i przysiadła na krawędzi łóżka.

– Jak długo?

– Dwa miesiące, tak myślę. – Według najlepszych szacunków Eve to musiało się stać na samym początku. Może za drugim albo trzecim razem.

– Więc nie za długo. Dobrze.

– Możesz mi pomóc czy nie? – Eve serce stanęło w gardle, a głos z trudem się przez nie przeciskał.

– Widziałam więcej ran bitewnych niż ciężarnych kobiet. – Violette zdecydowanym ruchem skrzyżowała ramiona na klatce piersiowej. – Czemu nie powiesz Bordelonowi? Taki bogaty mężczyzna jak on mógłby opłacić prawdziwego lekarza.

Eve już o tym myślała.

– A co, jeśli je zechce mieć? – Nie była pewna, czyby zechciał (René raczej nie był rodzinny), jednak Eve podejrzewała, że miał w sobie coś z dynasty. Co by było, gdyby uznał, że Eve może urodzić chłopca, i zdecydował, że taka możliwość jest... interesująca?

– Jeśli tak, wciąż możesz załatwić to sprytnie. Powiedz mu, że poroniłaś.

Eve pokręciła głową. Znała René. Nienawidził bałaganu i kosztów. Dla niego kochanka była czymś ładnym, co nie sprawiało kłopotów. Obojętne, czy straciłaby dziecko, którego chciał, czy też musiałby zapłacić, żeby się nią zajęli, sprawiłaby kłopot. Łatwo mogłaby stracić pracę w Le Lethe. Nie, najlepszym wyjściem, żeby nadal pracować dla Lili, było postaranie się, żeby wszystko zostało bez zmian.

– Hm. – Violette nie zasugerowała, żeby poinformować kapitana Camerona lub innych oficerów, którzy nadzorowali siatkę Alice. – Wiesz, że

procedura może być niebezpieczna. Jesteś pewna, że tego chcesz?

Eve energicznie przytaknęła.

– Tak.

– Możesz wykrwawić się na śmierć, jeśli tak to załatwisz. To dopiero pierwsze dni, jeżeli poczekaasz, możesz jeszcze poronić albo...

– Zrób to!

Jej głos zabrzmiał jak pełne desperacji warknięcie. Chodziło o coś więcej niż jej determinacja, żeby zostać, żeby kontynuować pracę. Chodziło o to, że za zasłoną pozornego spokoju Eve toczyła walkę z paniką, która sięgała szaleństwa. Odkąd przyjechała do Lille, poświęciła już tak wiele – dom, bezpieczeństwo, cnotę, a nawet własne imię – i zrobiła to chętnie dla nieznannej przyszłości, jasnego przebłysku gdzieś bezpiecznie z dala od wojny i najeźdźców. A teraz najeźdźca był w niej, przywłaszczając ją sobie w całości, jak Niemcy przywłaszczyły Francję, i nie było przyszłości. W jednej chwili ze szpiega i żołnierza, kogoś, kto walczył z wrogiem i ratował cudze życie, stała się tylko kolejną ciężarną kobietą, którą należało bezceremonialnie odesłać do domu i potraktować jak dziwkę. Eve doskonale wiedziała, jaka przyszłość czeka ją za siedem miesięcy, jeśli niczego nie zrobi: niezamężna, niechciana, bez pracy, bez pieniędzy, pogardzana i do końca życia związana z intruzem poczętym przez wroga w zimnym piekle strefy wojennej nękanym głodem. Jej ciało zdradziło ją we wszystkim: poddając się rozkoszy w ramionach spekulanta i zatrzymując jego część, choć ona co noc tak bardzo się starała zmyć wszelki ślad. Nie pozwoli, żeby nadal ją zdradzało.

Eve spędziła tygodnie skulona w swoim zimnym łóżku, walcząc z gwałtownymi falami ślepej paniki i lodowatego lęku, i wiedziała, że z radością zaryzykuje wykrwawienie się na śmierć w zamian za szansę na odebranie najeźdźcy swojej przyszłości.

Violette nieznacznie kiwała głową.

– W siatce jest chirurg, który leczy dla nas ludzi – odezwała się, podczas gdy Eve stała, walcząc z emocjami. – Nie ruszy czegoś takiego, codziennie chodzi na mszę, ale jutro mogę pod jakimś pretekstem pożyczyć trochę narzędzi.

– Jutro – wydusiła Eve przez zaschnięte gardło. – Tak.



Niedziela. Święty dzień, błogosławiony dzień, dzień pełen ironii, ponieważ właśnie tego dnia Eve postanowiła zrobić coś, o czym nawet nie powinna myśleć, bo samo rozważanie tego czyniło z niej nie tylko dziwkę, ale i morderczynię. To mogła być jedynie niedziela, ponieważ w niedzielę Le Lethe była zamknięta. Miała więc cały wolny dzień, żeby krwawić i umrzeć lub krwawić i dojść do siebie.

– Co się stanie, jeśli umrę? – zdołała zapytać, gdy Violette zjawiała się z torbą pożyczonych narzędzi. – W trakcie zabiegu lub po?

– Zostawię cię tu i nigdy nie wrócę. – Violette była rzeczowa. – Będę musiała. Jeśli spróbuję zorganizować ci pogrzeb, aresztują mnie. Twój sąsiad znajdzie cię pewnie za dzień lub dwa, a wtedy pochowają cię jak nędzarza, Lili zaś zawiadomi wujka Edwarda.

Brutalny realizm tych planów uderzył Eve jak cios nożem. „Cóż. Więc czas zaczynać”.

I spróbować nie umrzeć.

„Leż spokojnie”, ciągle powtarzała Violette tamtego popołudnia. Eve nie wiedziała dlaczego. Leżała spokojnie jak marmurowa figura na nagrobku. Może miało jej to dodać otuchy. Łóżko było zaścielone warstwą świeżych prześcieradeł, Violette miała na sobie fartuch z kopertowym wiązaniem, na pewno z czasów służby w Czerwonym Krzyżu, a w jej głosie słychać było pielęgniarską szorstkość. Narzędzia błyszcząły na złożonym płótnie, ale Eve nie przyglądała im się zbyt dokładnie. Zdjęła halki, rajstopy i bieliznę, wszystko poniżej pasa, i położyła się. Zimno. Było jej strasznie zimno.

– Laudanum, nalewka z opium – oznajmiła Violette, odkorkowując mały flakonik, a Eve posłusznie otworzyła usta i połknęła krople. – Będzie bolało, ostrzegam cię. – Jej głos był szorstki, oficjalny. Eve pomyślała o słowach Lili: „Nawyk strofowania, zapewniam cię, towarzyszy pielęgniarce bez względu na to, co robi”. Akurat teraz Eve odnalazła w tym ukojenie.

Violette przetarła narzędzia czymś odkażającym. Wyczyściła ręce tym samym ostro pachnącym środkiem i ogrzała metal przez chwilę w dłoniach.

„Lekarze – powiedziała – nigdy nie ogrzewają narzędzi. Nie wiedzą, jaki zimny wydaje się metal, kiedy dotyka miejsc intymnych”.

Laudanum już szumiało Eve w głowie. Pokój widziała jak przez mgłę. Czuła, że jej ciało jest bezwładne i ciężkie.

– Robiłaś to już kiedyś? – Eve usłyszała swój głos jakby z dystansu.

– Raz – rzuciła Violette opryskliwie. – Wcześniej w tym roku, młodsza siostra Antoine’a, Aurelié. Pracuje dla nas. Eskortuje kurierów, żeby miejscowi niczego nie podejrzewali. Kiedyś w nocy złapali ją jacyś niemieccy żołnierze, którzy chcieli się zabawić. Biedactwo ma tylko dziewiętnaście lat. Jej rodzina przyszła do mnie, kiedy się zorientowała, że przez tych drani jest *enceinte*.

– Czy ona przeżyła...? – Eve spojrzała na narzędzia w rękach Violette.

– Tak, i zaraz potem wróciła do pracy dla siatki, dobra, dzielna dziewczyna.

„Skoro ona przeżyła, to ja też mogę”, pomyślała Eve. Jednak nie pohamowała drżenia, gdy poczuła, jak Violette rozchyła jej nagie kolana i mówi: „Teraz się przygotuj”.

Mimo że Violette postarała się je ogrzać, narzędzie przeszło Eve jak sopel lodu. Ból, gdy nadszedł, był ostry. „Leż spokojnie”, padł rozkaz, choć Eve wcale się nie poruszyła. Violette zrobiła coś. Eve nie wiedziała co, wszystko wydawało się bardzo odległe. Ból napływał i odpływał, napływał i odpływał. Zimno. Eve zamknęła oczy, pragnąc zostawić to wszystko daleko, daleko za sobą. „Leż spokojnie”.

Narzędzia zniknęły. Było po wszystkim, ale i nie było. Violette coś mówiła.

– ... teraz będziesz krwawić. Nie panikujesz na widok krwi, prawda?

– Przed niczym nie panikuję – odpowiedziała Eve odrętwiałymi ustami, a Violette uśmiechnęła się niechętnie.

– Rzeczywiście nie, to muszę przyznać. Zobaczyłam cię po raz pierwszy i pomyślałam, że po tygodniu uciekniesz z krzykiem do mamy.

– To boli. – Eve usłyszała swój głos. – To boli.

– Wiem – odparła Violette i dała jej więcej kropli laudanum.

Gorzkie. Dlaczego wszystko w Lille smakowało gorzko oprócz tego, co pochodziło od René? To on był źródłem wykwintnego jedzenia, pysznego

wina i kubków gorącej *chocolat*, podczas gdy wszystko, co dzieliła z Lili i Violette, smakowało gorzko i obrzydliwie. W Lille wszystko stało na głowie, zło było pyszne, a dobro smakowało jak zółć.

Violette usuwała zakrwawione prześcieradła i wymieniała kompresy pod biodrami Eve i między jej nogami. „Jest dobrze – mówiła – leż spokojnie”.

Za oknem biły dzwony, wzywając na wieczorną mszę. Czy ktoś poszedł? Kto sądził, że modlitwa może zdziałać coś dobrego w tym miejscu? „Lille – powiedziała Eve i usłyszała, jak cytuje Baudelaire’a: »Z czarnymi oczarowaniami, z orszakiem piekieł i zazdrości, z szczękiem łańcucha, z trzaskiem kości, z flakonem jadu i z jej łzami!«”<sup>[4]</sup>.

– Majaczysz – stwierdziła Violette. – Spróbuj leżeć spokojnie.

– Wiem, że majaczę – odparła Eve. – I leżę spokojnie, ty przemądrzała suko.

– Ot i cała twoja wdzięczność – skomentowała Violette, obkładając Eve kolejnymi prześcieradłami.

– Zimno mi.

– Wiem.

Eve wybuchnęła płaczem. Nie z bólu, nie ze smutku. Z ulgi. René Bordelon już nie miał kontroli nad jej przyszłością, ta ulga przyniosła łyzy gwałtowne jak burza.

Do rana było po wszystkim. Violette miała całą listę wskazówek.

– Możesz jeszcze krwawić. Miej pod ręką dużo szmat, czystych! A na ból weź to. – Wcisnęła Eve w dłoń małą fiolkę laudanum. – Zostanę, żeby mieć na ciebie oko, ale dzisiaj muszę wrócić do Roubaix. Mamy pilne raporty, które trzeba przenieść przez granicę.

– Tak. – W końcu miały pracę do wykonania. – Uważaj na siebie, Violette. Mówiłaś, że fryce ostatnio za dokładnie monitorowały twoją podróż.

– Jeżeli będę musiała, wybiorę inną trasę.

Jeśli Violette się bała, a teraz nikt z siatki nie mógł się nie bać, bo Niemcy wiedzieli, że w rejonie są szpiedzy, i urządzali piekło na punktach kontrolnych, to nigdy nie okazywała strachu. W tym była podobna do Eve.

– Możesz znaleźć sposób, żeby przez jakiś czas nie sypiać z tym spekulantem? Potrzebujesz czasu, żeby wydobrzeć.

– Powiem mu, że mam ciężki okres. Dla niego te sprawy są obrzydliwe. To da przynajmniej tydzień. Violette wydeła usta.

– Co zrobisz, żeby to się nie powtórzyło?

Eve wzdrygnęła się.

– Ja, ja nie wiem. To, co robiłam, najwyraźniej nie zadziało.

Chyba nigdy więcej nie mogłaby przez to przejść. Nigdy.

– Istnieją pewne instrumenty, ale lekarz musi je założyć, a większość nie chce robić zabiegów u niezamężnych dziewczyn. Weź gąbkę, nasącz ją octem i wepchnij do środka. – Violette wykonała odpowiedni gest. – Czasem zawodzi, lecz lepsze to niż nic.

Eve przytaknęła.

– Dziękuję, Violette.

Szybkie machnięcie dłonią, jakby odganiała podziękowanie.

– Nie będziesz o tym nigdy opowiadać. Wiesz, co mężczyźni robią kobietom, które tak postępują. Nie tylko tobie, ale mnie za pomoc.

– Nigdy ani słowa.

Przez chwilę spoglądały na siebie, a Eve pomyślała, że gdyby były przyjaciółkami, pewnie by się uściskały. Wymieniły tylko skinienia głowy, Eve zarzuciła chustę i wyszła na ulicę. Być może jednak były przyjaciółkami. Być może zostały przyjaciółkami w taki sam sposób, jak mężczyźni często się zaprzyjaźniają – mrukliwość i zero beztróskich rozmów, jedynie dzięki wzajemnemu zrozumieniu bez słów.

– Powodzenia w Roubaix – zawołała Eve za ciężko stąpającą postacią, a Violette tylko podniosła dłoń bez oglądania się wstecz.

Potem Eve żałowała, że nie uściskała Violette. Tak bardzo tego żałowała.

Nawet to pomachanie Violette w drzwiach śmiertelnie ją zmęczyło i przyprawiło o zawroty głowy. Wczołgała się do łóżka, podciągnęła cienkie koce pod szyję i została tam, wciąż czując długie, powolne skurcze. Tępy ból, który napływał i odpływał. Nie pozostawało nic innego, jak przetrwać i czasem płakać. Łzy przetaczały się przez nią falami, napływając i odpływając jak ból.

Gdy zapadła noc, nie widziała już krwi, ale nadal była strasznie słaba. Wysłała wiadomość do Le Lethe, w której skarżyła się na potworną grypę. René nie będzie zadowolony, lecz nic nie można było na to poradzić. Eve nie



byłaby w stanie utrzymać się przez całą noc na nogach i nosić talerzy tam i z powrotem z kuchni. Leżała więc spokojnie, pociła się i dla zabicia czasu rozbierała lugera. To ją uspokajało – zapach oleju do pistoletów i chłód lufy w dłoniach. Celowała w pustkę i wyobrażała sobie, że pakuje René kulkę między oczy. Na trzeci dzień jej luger był najczystszy pistoletem we Francji, a Eve nieśmiało uznała, że jednak nie umrze. Wróciła do pracy, unikając zabójczych spojrzeń Christine, która na pewno myślała, że Eve powinna zostać zwolniona za opuszczenie trzech zmian, choć wiedziała, że nie będzie. Eve łagodnie przeprosiła René na osobności. Wiedziała, że wygląda na tak wymizerowaną i chorą, że jej historia o grypie i ciężkim okresie jest dość wiarygodna. Po zakończeniu zmiany nie zaprosił jej na górę. „Drobne akty łaski”, pomyślała Eve, gdy chwiejnym krokiem wracała do domu i marzyła o swoim pokoju i pustym łóżku, chociaż nie było na nim wypchanych poduszek jak u René.

Jednak gdy Eve weszła, pokój był już zajęty.

– Nie zwracaj na mnie uwagi – Lili machnęła ręką zupełnie bez sił. – Będę tu po prostu siedzieć i się trząść.

– Sądziłam, że przeprawiasz się do Belgii. – Eve zamknęła drzwi na klucz. – Eskortujesz tego zestrzelonego pilota.

– Tak było. – Lili siedziała w najdalszym kącie pokoju z kolanami podciągniętymi pod brodę i wysłużonymi paciorkami różańca z kości słoniowej owiniętymi ciasno na zaciśniętych palcach. – Pilot wyleciał w powietrze na minie. Odebrałam wiadomości w Brukseli i od razu ruszyłam w drogę powrotną.

W pokoju było lodowato, a Lili w białej bluzce koszulowej i szarej spódnicy trzęsła się z zimna. Eve zdjęła koc z łóżka i zarzuciła jej na ramiona.

– Masz krew na ubraniu.

– To pewnie pilot. – Oczy Lili były jak ze szkła, jakby to ona wypijała laudanum. – A może kobieta, która szła przed nim, albo jej mąż... Dopadło wszystkich troje.

Eve usiadła, przyciągając jasną głowę Lili do swojego ramienia. Wychodziło na to, że można było mieć gorsze noce niż te wypełnione

zimnymi narzędziami, ostrym bólem brzucha i zakrapianymi laudanum, wrywającymi ze snu koszmarami.

– Reflektory na granicy rozświetlają wszystko jak w biały dzień. – Lili pocierała kciukiem paciorki różańca. – Kiedy miniesz granicę i strzelców, trafiasz na zalesiony teren. Wiesz, Niemcy go zaminowują. Mój pilot nie chciał trzymać się za mną, pobiegł za parą, która szła przed nami. Myślę, że spodobała mu się ta kobieta... Cała trójka musiała wejść na minę lądową, bo wszystkich rozerwało na strzępy raptem parę kroków przede mną.

Eve zamknęła oczy. Widziała wybuch i ostre światła.

– A potem odebrałam nowe przepustki od Antoine'a. – Lili panowała nad głosem, ale Eve poczuła, że jej szczupłe ramiona zadrżały. – Zameldował, że...

– Ciii... – Eve oparła swój policzek na jasnych włosach Lili, które pachniały jak krew. – Nie musisz mówić. Zamknij oczy.

– Nie mogę. – Lili patrzyła prosto przed siebie, a łzy powoli spływały jej po policzkach. – Widzę ją.

– Kobietę, która weszła na minę?

– Nie. Violette. – Wtedy Lili ukryła twarz w splecionych ramionach i zaczęła łkać. – Antoine przekazał mi wiadomość, stokroteczko. Violette została aresztowana. Niemcy ją złapali.

# 23

## Charlie

*Maj 1947*

– Nie jesteście zaproszeni na kolację – oznajmiła Eve mnie i Finnowi. – Żadne z was.

Telefon Eve do angielskiego oficera przyniósł efekty. Przyjeżdżał dziś wieczorem z Bordeaux na kolację w hotelowej restauracji. Od czasu, kiedy spotkanie zostało potwierdzone, Eve skrywała się za maską zawziętości, teraz jednak potrafiłam choć trochę przejrzeć tę maskę. Przyglądałam się jej z pewnym zaciekawieniem, odkąd powiedziała mi, że zaszła w ciążę. W ciążę. Była wtedy niemal w moim wieku, w takim położeniu jak ja, tyle że ona praktycznie głodowała w mieście pełnym wrogów, którzy zaprowadziliby ją przed pluton egzekucyjny, gdyby wiedzieli, dla kogo naprawdę pracuje. Nagle mój Drobnny Kłopot zdawał się jeszcze mniejszy. Wiedziałam, czego uczono mnie, kiedy dorastałam, o tym, co zrobiła Eve, ale nie mogłabym jej potępić. Pochłonęła ją wojna, zrobiła to, co musiała zrobić. Szczerze mówiąc, podziwiałam ją za to, że otrząsnęła się po czymś takim i poszła dalej.

Wiedziałam, że zbagatelizowałyby mój podziw, więc jedynie się uśmiechnęłam.

– Powiedz mi tylko jedno, czy to z kapitanem Cameronem spotykasz się dziś wieczorem?

Eve wzruszyła ramionami, enigmatyczna jak zwykle.

– Nie mieliście przypadkiem jechać do wioski, do której pojechała twoja kuzynka?

– Tak.

Już od trzech dni byliśmy w Limoges. Wybrałabym się do wioski Rose wcześniej, ale Finn musiał poświęcić więcej czasu na grzebanie we wnętrznościach lagondy, zanim był gotowy zaufać jej na polnych drogach.

Dziś oznajmił, że jesteśmy gotowi, więc zamierzaliśmy zostawić Eve w oczekiwaniu na tajemniczego towarzysza posiłku.

– Jak myślisz? – zapytałam, wślizgując się na przednie siedzenie. – Czy to kapitan Cameron ma się z nią spotkać?

– Nie zdziwiłbym się.

– Myślisz, że wrócimy tak, żeby zdążyć go zobaczyć?

– To zależy, prawda? – Ustawił skład mieszanki i wyprzedził zapłon w lagondzie. – Od tego, czy dowiemy się czegoś o twojej kuzynce, czy też nie.

Zadrżałam po części w oczekiwaniu, po części ze strachu, gdy ruszyliśmy w dół ulicy.

– Dziś może być ten dzień.

Finn uśmiechnął się w odpowiedzi. Powoli wyjeżdżał z Limoges, trzymając tylko jedną rękę na kierownicy. Był w swojej starej koszuli z podwiniętymi rękawami, ale ogolił się i choć ten jeden raz miał gładką szczękę zamiast szczeciny. Miałam ochotę wyciągnąć dłoń i pogłaskać go po policzku. Ta ochota była tak wielka, że musiałam trzymać ręce grzecznie złożone na kolanach. Jak to możliwe, że lagonda wydawała się bardziej zatłoczona, gdy nie było z nami Eve?

– Niedługo powinniśmy dojechać – powiedziałam tylko po to, żeby coś powiedzieć. Według pomiętej mapy Finna nasz cel był coś około piętnastu mil na zachód od Limoges.

– Tak sędzę. – Finn prowadził lagondę wzdłuż ogrodzonej łąki, na której krowy żuły trawę, a w oddali widniała farma z szarego kamienia. Obrzeża Limoges szybko ustąpiły miejsca spokojnym wiejskim drogom i ścieżkom z koleinami. Nie mogło być bardziej malowniczo, tymczasem ja siedziałam sztywno, jakbym połknęła kij. Nie wiedziałam, dlaczego byłam taka zdenerwowana, po prostu tak było. Finn odwzajemnił mój pocałunek kilka dni temu, ale potem nigdy do tego nie wracał. Chciałam zrobić kolejny krok, lecz nie wiedziałam jak. Może i genialnie radziłam sobie z cyframi, we flirtowaniu jednak byłam beznadziejna.

– Jeszcze raz, jak nazywa się ta wieś? – zapytał Finn, przerywając moje dziwaczne rozmyślania.

– Oradour-sur-Glane.

Na starej mapie wyglądało to na malutką miejscowość. Trudno było wyobrazić sobie Rose w maleńkiej francuskiej wiosce, która nie zasługiwała nawet na miano miasteczka. Zawsze marzyła o paryskich bulwarach, światłach Hollywood. Pamiętam, jak mówiła: „W najgorszym razie Nowy Jork, Nowy Jork mi wystarczy”. Zamiast tego przyjechała do Oradour-sur-Glane, maleńkiej wioski na zupełnym odludziu.

Lagonda pokonała zakręt, jadąc wzdłuż surowego kamiennego muru, na którym rozsiały się dzikie skalne kwiaty. Zobaczyłam małą francuską dziewczynkę idącą boso po murze, dla równowagi rozkładając ręce na boki. Miała ciemne włosy, ale w moich oczach od razu stała się Rose z blond lokami tańczącymi na tle niebieskiej letniej sukienki, w której zapamiętałam moją kuzynkę z dawnych lat. Fala przecucia uderzyła mnie tak mocno, że stała się niemal pewnością. „Jesteś w Oradour-sur-Glane, Rosie – pomyślałam. – Wiem, że jesteś. Wskaż mi drogę, a ja cię znajdę”.

– Nie dojedziemy szybciej, jeśli będziesz tak naciskać – zauważył Finn, a ja spojrzałam w dół i zorientowałam się, że wciskam stopy w korkowych sandałach z całych sił w podłogę, jakbym wciskała pedał gazu.

– Czemu siedzisz jak w kościele?

– O co ci chodzi?

Lagonda dojechała do kamiennego mostu, po którym w przeciwnym kierunku przejeżdżał rower. Finn zahamował, żeby przepuścić rowerzystę, potem się schylił, chwycił mnie za kostki i postawił moje stopy na siedzeniu.

– Zwykle siedzisz z podwiniętymi stopami.

Zarumieniłam się, kiedy znowu ruszył. Palcami mógł objąć prawie całą moją kostkę. Wolałabym nie mieć takich chudych nóg. Byłam ubrana w wąską czerwoną spódnicę, którą kupiłam w Paryżu, i luźną białą koszulę wyglądającą jak męska, w której podwinęłam rękawy nad łokieć i zawiązałam ją w talii, zamiast włożyć w spódnicę. Wiedziałam, że dobrze w niej wyglądam, ale i tak nie chciałam mieć takich chudych nóg. Rose miała ładne nogi nawet w wieku trzynastu lat. Jeśli ją znajdę, najpierw obejmę ją tak mocno, aż nie będzie mogła oddychać, a potem zapytam, czy mogę dostać jej nogi.

– Gdzieś musieliśmy źle skręcić – odezwał się Finn kilka minut później. – Jesteśmy na południu, a nie na zachodzie. Te wszystkie nieoznakowane drogi... O, poczekaj chwilę.

Zatrzymał się przed przydrożnym sklepem z kolekcją pocztówek i kotem drzemącym na schodach. Kot ziewnął, gdy Finn przechodził nad nim, żeby zadać właścicielowi pytanie w swojej topornej wersji francuskiego ze szkockim akcentem. „Rosie i ja mogłybyśmy sprawić sobie kota”, pomyślałam, kiedy kocur lizał sobie ogon. Mój drogi świętej pamięci Donald (niech Pan czuwa nad jego duszą) nigdy nie pozwoliłby mi mieć kota, bo przez koty kichał. „Stwierdziłam, że nienawidzę Donalda – powiedziała Rose w mojej wyobraźni. – Nie mogłaś przynajmniej wymyślić jakiegoś sympatycznego zmarłego męża?”

– Uśmiechasz się – zauważył Finn, wskakując z powrotem do lagondy wciąż pracującej na wolnych obrotach.

– Zastanawiałam się tylko, co pomyślisz o mojej kuzynce, kiedy ją spotkasz. Właściwie to niepotrzebnie się zastanawiałam. Wszyscy lubią Rose.

– Czy bardzo przypomina ciebie?

– Ani trochę. Zabawniejsza, odważniejsza. Ładna.

Finn już miał skierować samochód z powrotem na drogę, ale wstrzymał się, posyłając mi długie spojrzenie tych swoich ciemnych oczu. W końcu wyłączył silnik, pochylił się i przyciągnął mnie do siebie. Wplątując dłoń w moje włosy, zbliżył usta do mojego ucha.

– Charlie, dziewczuszko. – Jego oddech był ciepły, a całą mnie przeszywał prąd, gdy całował pulsujące zagłębienie pod moim uchem. – Ty – pocałował krawędź mojej żuchwy – jesteś – pocałował mnie w kącik ust – odważna – pocałował mnie delikatnie w usta – nie wspominając o urodzie. Piękna jak wiosenny dzień.

– Wiesz, co mówią o Szkotach? – zdołałam zapytać. – Wszyscy są kłamcami.

– To Irlandczycy. U Szkotów nie ma mowy o bajerowaniu.

Jego usta znów odnalazły moje i całował mnie przez dłuższą chwilę. Niewyraźnie słyszałam, jak przejeżdżający rowerzysta dzwoni na nas, ale

trzymałam Finna ciasno za szyję, a moje serce biło mocno tuż przy jego szerokiej piersi.

W końcu odsunął się, choć nadal obejmował mnie jednym ramieniem.

– Mógłbym tu zostać całe popołudnie, ale co powiesz na to, żebyśmy pojechali znaleźć twoją kuzynkę?

– W porządku – odpowiedziałam i poczułam, że już bardzo dawno nie byłam tak szczęśliwa.

– Chcesz kierować?

Spojrzałam na niego wielkimi oczami, a potem uśmiechnęłam się szeroko.

– Powierzysz mi staruszkę?

– Przesiądź się.

Zamieniliśmy się miejscami. Wyciągnęłam się, żeby dosięgnąć do pedałów, i wciąż się uśmiechałam. Finn przeprowadził mnie przez procedurę odpalania.

– Gdyby była zimna, ustawiłabyś mieszankę na dość bogatą, ale teraz możesz przesunąć bliżej środka.

W końcu skierowałam lagondę z powrotem w kierunku zachodnim. Mruczała pod moimi dłońmi.

– Zabawne – odezwał się Finn. – Ten starszy mężczyzna ze sklepu, który dawał mi wskazówki, dziwnie na mnie spojrzał, kiedy powiedziałem, że szukam Oradour-sur-Glane.

– Jak spojrzał?

– Po prostu dziwnie.

– Hmm. – Przesunęłam dłonią po kierownicy lagondy, czując, jak miękkie rękaw koszuli Finna dotyka mojego ramienia. Słońce ogrzewało moją głowę, a kiedy prowadziłam kabriolet wyboistą drogą, zaczęłam nucić *Le Vie en Rose*. Nigdy nie chciałam wysiadać z tego samochodu.

\*\*\*

– Spójrz – wskazał Finn, ale już wcześniej to zauważyłam. Wyłaniający się kształt wieży kościelnej. – To musi być to.

Krew buzowała mi w żyłach, jakby przemieniła się w szampana. Znowu zamieniliśmy się miejscami, gdy zbliżyliśmy się do Oradour-sur-Glane,

ponieważ byłam zbyt podekscytowana, żeby skupić się na prowadzeniu samochodu. Droga przed nami wiała się w kierunku południowego krańca wioski, ponad rzeką Glane. Widziałam wieżę kościelną, otaczające ją niskie, przysadziste budynki, słupy telefoniczne. Dziwiłam się, czemu dachy były pochylone pod dziwnymi kątami.

– Cicho tu – zauważył Finn.

Żadnych szczekających psów, żadnego zgrzytu tramwajów, żadnych klaksonów motocykli, gdy wjeżdżaliśmy na obrzeża miejscowości. Finn zwolnił, choć na ulicach nie zauważyliśmy bawiących się dzieci. Byłam przede wszystkim zaintrygowana, lecz wtedy dostrzegłam, że na ścianach najbliższego domu widnieją smugi sadzy, a dach wpadł do środka.

– Musiał być tu pożar – powiedziałam, ale ślady wyglądały na stare, zatarte przez deszcz.

Finn zwolnił jeszcze bardziej, pozwalając lagondzie ledwo się toczyć. Jej silnik zawodził, jakby była zaniepokojona. Przenosiłam wzrok z jednej strony ulicy na drugą. Nadal nie było ludzi. Za to więcej śladów dymu, ognia. Zobaczyłam zegarek leżący na chodniku, jakby ktoś go upuścił i porzucił. Tarcza była w połowie stopiona, ale widziałam, że wskazówki zatrzymały się na czwartej.

– Ani jeden z tych domów nie ma dachu – zauważył Finn i wtedy zobaczyłam jeszcze więcej szerniałego drewna i zniszczonych gontów. Nic dziwnego, że ich zarysy z odległości wyglądały dziwnie. Z pewnością przeszedł tędy pożar, ale to były kamienne budynki, masywne i dobrze rozmieszczone. Jak ogień mógł się rozprzestrzeniać między takimi budowlami?

Moja buzująca w żyłach krew stała się bardzo, bardzo ciężka.

Kościół majaczył po naszej lewej stronie, masywny, również zbudowany z grubego, miejscowego kamienia. On również nie miał dachu.

– Czemu nikt tego nie odbudował? – wyszeptałam. – Nawet jeśli był tu pożar, czemu nikt nie wrócił?

Myśl zabrzmiała mi w głowie jak gwałtownie hamujący pociąg: „Może nikogo już nie ma”.

– Nie – powiedziałam na głos, jakbym dyskutowała sama ze sobą. – Całe miasto nie ginie w pożarze. – Ludzie by uciekli. I najwyraźniej wykonano



jakieś prace w Oradour-sur-Glane po pożarze, kiedykolwiek do niego doszło. Nie było gruzów ani śmieci. Ludzie wrócili, żeby posprzątać budynki i ulice.

„Więc dlaczego nie zostali? Dlaczego niczego nie odbudowali?”

Lagonda toczyła się powoli przez centrum wsi, mijając opuszczoną pocztę i pętlę tramwajową. Tory wyglądały zupełnie jak nowe, jakby lada moment zza zakrętu z łoskotem miał wyjechać tramwaj. Było jednak bardzo cicho, nigdzie nie dało się słyszeć ani jednego kroku czy miauknięcia kota. Dlaczego w ogóle nie śpiewały ptaki?

– Zatrzymaj się – powiedziałam drżącym głosem. – Muszę wysiąść, muszę...

Finn zatrzymał lagondę na środku brukowanej ulicy. Kto mógłby tutaj na niego zatrzeć, żeby się przesunął? Nie było żadnego ruchu. Wygramoliłam się na zewnątrz, prawie upadając, aż Finn złapał mnie za ramię dla równowagi.

– Nic dziwnego, że ten mężczyzna w sklepie tak na mnie patrzył.

– Co się tu właściwie stało? – Wszystko przypominało statek widmo porzucony na morzu, kiedy na stole wciąż stał posiłek. Było jak zabawkowe miasteczko bez lalek. Rose, gdzie jesteś?

Poszliśmy z powrotem w kierunku, z którego przyjechaliśmy. Zajrzałam przez okno do spalonego hotelu i zobaczyłam meble – stoliki pokryte grubą warstwą kurzu, wózki do obsługi gości, porzucone kontuary, za którymi kiedyś na pewno urzędowali recepcjoniści. Gdybym weszła do środka, pewnie na blacie znalazłabym w połowie stopiony dzwonek czekający, żeby wezwać dawno niewidzianego boya.

– Chcesz wejść? – zapytał Finn. Zdecydowanie zaprzeczyłam ruchem głowy.

Po lewej stronie majaczył pusty rynek albo plac targowy. Tkwił na nim porzucony samochód z rdzewiejącymi drzwiami. Finn przesunął dłonią po zderzaku, z którego odchodził lakier.

– Peugeot – powiedział. – Model 202. Czyjaś duma i radość.

– Więc czemu go tu zostawił?

Żadne z nas nie znało odpowiedzi. Ogarniał mnie strach, coraz większy z każdym krokiem powtarzanym przez echo.

Znów pojawił się kościół wyrastający między kamiennym murem przy drodze a stromym, trawiastym zboczem nieopodal. Zamajaczyło trio łukowatych okien, które wyglądały jak wpatrzone w nas puste oczodoły. Finn przesunął dłonią po dolnej ścianie i zamarł w miejscu.

– Charlie – odezwał się. – To otwory po kulach.

– Otwory po kulach?

Zbadał dłonią szereg zagłębień.

– I to nie po serii ze strzelb. Popatrz, jak równo są rozmieszczone. Żołnierze tutaj strzelali.

– Ale to jest wioska na końcu świata. Kto mógłby...

– Chodźmy stąd – zachwiał się, był blady. – Zapytamy w następnej wiosce, może ktoś nam powie, co się stało.

– Nie. – Odsunęłam się od niego. – Rose tu była.

– Teraz jej tu nie ma, Charlie, dziewczuszko. – Przebiegł wzrokiem w górę i w dół pustej ulicy. – Nikogo nie ma. Chodźmy stąd.

– Nie... – zaprotestowałam, jednak miałam ciarki na całym ciele, cisza doprowadzała mnie do szaleństwa i już stawiałam krok w stronę lagondy. Tak jak on nie chciałam zostać ani chwili dłużej.

Właśnie wtedy kątem oka dostrzegłam jakiś drobny ruch.

– Rose! – wyrwał mi się okrzyk. Nie widziałam twarzy, ale to niewątpliwie była kobieca postać, zgarbiona i opatulona starym płaszczem, choć było ciepło. Siedziała skulona na trawiastym zboczu u podnóża kościelnej ściany. Wyrwałam się Finnowi i popędziłam naokoło niższej ściany, w górę zbocza i wokół kolejnej ściany, ani na chwilę nie tracąc postaci z oczu. – Rose! – zawołałam jeszcze raz, słysząc, jak Finn gramoli się za mną, lecz postać pod ścianą kościoła się nie odwróciła. – Rose! – powtórzyłam po raz trzeci jak zakłęcie, jak modlitwę, a moja dłoń wylądowała w desperackim i błagalnym geście na jej ramieniu.

Odwróciła się.

To nie była Rose.

– Eve? Niemal zapytałam, choć kobieta wcale nie przypominała Eve. Była pulchna, babciowata, miała siwe włosy zaczesane w kok, więc dlaczego przywiodła mi na myśl wysoką, wychudzoną Eve? Wtedy jej ciemne oczy odnalazły mnie beznamytnie i dostrzegłam podobieństwo. Miała to samo

puste spojrzenie kobiety, którą udręczono i rozorano pazurami aż po dno duszy. Podobnie jak Eve mogła mieć zarówno pięćdziesiąt, jak i siedemdziesiąt lat. Dla niej nie miało to znaczenia, jak stopiony zegar zatrzymała się na zawsze na czwartej po południu. Kiedy umarło to miasto... w jakikolwiek sposób umarło.

– Kim pani jest? – wyszeptałam. – Co się tu stało?

– Jestem *madame* Rouffanche. – Jej głos był czysty, bez śladu mamrotania starszej pani. – A oni wszyscy umarli oprócz mnie.

Słońce ogrzewało mi głowę. Trawa szumiała. Drobne, codzienne sprawy stały się tłem dla cichej grozy w głosie *madame* Rouffanche.

Nie zdradzała cienia zainteresowania tym, kim jesteśmy, ani nie zdawała się zaskoczona naszym widokiem. Była jak chór w tragedii Szekspira; kurtyna poszła w górę, ukazując scenę tak dziwną i straszną, że widownia nie mogła jej pojąć, przynajmniej do czasu, gdy wyszła ona i spokojnym, martwym głosem objasniła scenę. Co się wydarzyło. Kiedy się wydarzyło. Jak się wydarzyło.

Nie dlaczego.

Nie wiedziała dlaczego. Przypuszczam, że nikt nie wiedział.

– To było w czterdziestym czwartym – powiedziała, gdy tak staliśmy pod pustymi oczodołami okien częściowo spalonego kościoła. – Dziesiątego czerwca. Tego dnia przyszli.

– Kto? – wyszeptałam.

– Niemcy. Od lutego dywizja pancerna SS stacjonowała na północ od Tuluzy. Po tym jak alianci wylądowali w czerwcu, dywizja wyruszyła na północ. Dziesiątego czerwca przyszli tutaj.

Pauza.

– Potem dowiedzieliśmy się, że ktoś doniósł, że Oradour-sur-Glane to kryjówka bojowników ruchu oporu... A może chodziło o Oradour-sur-Vayres. Nie wiem. To nigdy nie było jasne.

Finn chwycił mnie za rękę palcami zimnymi jak lód.

– Proszę mówić dalej – zdołałam wydusić przez zdrewniałe wargi.

*Madame* Rouffanche nie trzeba było zachęcać. Historia została rozpoczęta, opowie ją do końca, a potem znów zejdzie ze sceny. Jej wzrok biegł poza mnie i przeze mnie do dziesiątego czerwca 1944.

– Było około drugiej po południu. Niemieccy żołnierze wtargnęli do mojego domu i rozkazali nam: mojemu mężowi, synowi, dwóm córkom i wnuczce, iść na plac targowy. – Wskazała na plac, na którym widzieliśmy porzuconego peugeota. – Trochę osób z wioski już się tam zebrało. Kobiety i mężczyźni napływali ze wszystkich stron. Kobiety i dzieci kierowano do kościoła. – Poglądziła podziurawiony i osmolony dymem mur, jakby to były skronie zmarłego. – Kobiety niosły dzieci na rękach albo wiozły w wózkach. Było nas kilkaset.

„Nie Rose”, pomyślałam i ścisnęło mnie w gardle. Rose nie mogła być z nimi. Nie była wieśniaczką, mieszkała i pracowała w Limoges. Byłam pewna, że tu ją znajdę, ale nie w ten sposób. Nie było jej tu dziesiątego czerwca.

– Czekaliśmy długo – kontynuowała spokojnie *madame Rouffanche*. – Snuliśmy domysły, szeptaliśmy, baliśmy się. Około czwartej...

Czwarta. Pomyślałam o stopionym zegarze.

– ... weszło kilku żołnierzy. Właściwie młodych chłopców. Nieśli skrzynię, z której wystawały sznurki i ciągnęły się po podłodze. Postawili skrzynię w nawie blisko chóru i podpalili je. Wycofali się, a skrzynia eksplodowała; kościół był pełen czarnego dymu. Kobiety i dzieci biegały wszędzie, popychały się, krzyczały, krztusiły się.

Jej głos był płaski jak strona z gazety. Chciałam zasłonić uszy, żeby się odciąć od jej słów, ale tkwiłam sparalizowana strachem. Finn, który stał obok mnie, jakby nie oddychał.

– Wyważyliśmy drzwi do zakrystii i rzuciliśmy się tam. Usiadłam na stopniu, chciałam być nisko, tam gdzie lepsze powietrze. Córka podbiegła do mnie i właśnie wtedy Niemcy otworzyli ogień z drzwi i okien. Andrée zginęła tam, gdzie stała. – Pauza. Mrugnięcie. – Upadła na mnie, a ja zamknęłam oczy i udawałam, że nie żyję.

– Jezu – powiedział cicho Finn.

– Padło więcej strzałów, a potem Niemcy usypali naręczą słomy, drew i połamanych krzesel w stos nad ciałami, które leżały na posadzce. Wokoło nadal kłębił się dym. Wyczołgałam się spod mojej córki i ukryłam za ołtarzem. Za nim, wysoko w ścianie, były trzy okna. Skierowałam się do

środkowego, największego, i podstawiłam stołek, którego ksiądz używał do zapalania świec. Podciągnęłam się do okna najbliższej, jak potrafiłam.

Ta przygarbiona, niezdarna kobieta wdrapała się po gołej kamiennej ścianie ponad posadzką grubo zasłaną trupami, chaosem kul i kłębami dymu. Nie wiem, co *madame Rouffanche* zobaczyła na mojej twarzy, ale wzruszyła ramionami.

– Nie wiem jak. Nagle miałam wielką siłę.

– To się zdarza – zauważył ledwo słyszalnie Finn.

– Okno było już roztrzaskane. Podciągnęłam się i rzuciłam na zewnątrz. Spadłam około dziesięciu stóp w dół. – Spojrzała ponad naszymi głowami na czarne środkowe okno ziejące pustką wysoko w ścianie kościoła. – Tutaj.

Dławił mnie zduszony w gardle krzyk. „Tutaj”, to słowo odbijało się echem, „tutaj”. Ta kobieta trzy lata temu rzuciła się właśnie z tego okna na skrawek trawy, na którym teraz staliśmy w ciepłych promieniach słońca. „Tutaj”.

– Jakaś kobieta próbowała pójść za mną. Niemcy otworzyli ogień, gdy tylko nas zobaczyli. – *Madame Rouffanche* zaczęła iść. Powoli i z trudem stawiała kroki. – Trafili mnie pięć razy. Poczołgałam się w tę stronę. – Podążyliśmy za nią w milczeniu, otaczając ścianę kościoła. – Dotarłam do ogrodu przy zakrystii. Wtedy rośliny nie były martwe, rosły gęsto. – Staliśmy pośród zwiędłych chwastów, patrząc na nagi ogród. – Schowałam się między rzędami groszku. Słyszałam więcej strzałów, więcej wrzasków i krzyku... Wtedy zginęli mężczyźni i chłopcy, większość z nich. Rozstrzelani. A potem usłyszałam szum ognia, kiedy podpalili wszystkie dachy. Zapadła noc, a później rozległ się dźwięk strzelających korków od szampana... Niemcy zostali na noc i pili szampana.

Otworzyłam usta, ale nie padło z nich ani jedno słowo. Nie sędzę, żeby istniały właściwe słowa. Finn nagle odwrócił się plecami, lecz nie wypuścił mojej dłoni. Ścisnął tak mocno, że miałam wrażenie, że połamię mi palce, ja równie mocno odwzajemniałam uścisk. *Madame Rouffanche* spokojnie spoglądała poza nas, a jej palce poruszały się, jakby przesuwawała niewidzialne paciorki różańca.

– Niemcy zostali parę dni. Próbowali kopać doły, ukryć ciała. Nigdy nie pojęłam dlaczego. Nikt nie mógł ukryć tego, co zrobili. Ten smród palonych

ciał. Spanikowane psy biegające wszędzie i szukające swoich panów... Niemcy zabili większość z nas, ale mieli słabość do psów, nie zastrzelili żadnego. Wykopali dół na ciała tutaj, w ogrodzie przy prezbiterium, tak płytki, że ludzka ręka wciąż wystawała z ziemi, gdy go zasypali.

Spojrzałam na Finna. Nadal stał odwrócony, a jego ramiona unosiły się i opadały. Nie wiedziałam, dlaczego nie mogę się poruszyć, nie mogę wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Zamarłam.

– Zanim Niemcy porzucili sprzątaninę i wycofali się, zostałam ocalona. Dwóch mężczyzn, którzy zakradli się z powrotem do wioski, żeby sprawdzić, czy ich synowie przeżyli... Błagałam, żeby zabrali mnie nad rzekę i utopili, ale oni zabrali mnie do lekarza. Spędziłam rok w szpitalu. Kiedy wyszłam, było już po wojnie, a Niemcy odeszli. Ale wioska była wciąż...

Pauza. Mrugnięcie.

– ... właśnie taka.

Pauza. Mrugnięcie.

– Przeżyłam – kontynuowała rzeczowo. – Inni też. Mężczyźni, którzy wyczołgali się z płonących stodół po tym, jak zostali postrzeleni, mężczyźni, którzy byli na polach albo tego dnia wyjechali do sąsiednich miasteczek, kilkoro dzieci, które schowały się w ruinach albo uciekły przed strzałami. – Coś w jej oczach zdawało się próbować wydostać na powierzchnię. Sprawiała wrażenie, jakby powoli wracała do rzeczywistości z wyspy na oceanie czasu, jaką był dla niej dziesiąty czerwca 1944 roku. Po raz pierwszy spojrzała na mnie tak, jakby rzeczywiście mnie widziała. Widziała Charlie St. Clair w czerwonej spódnicy i korkowych sandałach stojącą pośród szczątków wszystkich duchów.

Finn odwrócił się.

– Czemu pani tu przychodzi? – Wskazał na puste, osmolone budynki wokół nas. – Czemu pani zostaje?

– To mój dom – odpowiedziała *madame Rouffanche*. – To nadal mój dom, a ja jestem jego żyjącym świadkiem. Nie jesteście pierwsi, którzy przyjeżdżają tutaj, żeby szukać... Lepiej znaleźć mnie niż nic. Więc powiedzcie mi, kogo szukacie. Ja wam powiem, czy przeżył. – Jej oczy były pełne litości i niezgłębione. – I powiem wam, czy umarł.

Przez dłuższą chwilę nikt z nas się nie odzywał. Staliśmy jak trójca w tym koszmarnym miejscu. Lekka bryza mierzwiła Finnowi włosy i marszczyła rąbek płaszcza *madame* Rouffanche. Potem sięgnęłam do portfela i wyciągnęłam sfatygowane zdjęcie Rose. Włożyłam je w pomarszczone dłonie *madame* Rouffanche.

Modliłam się wtedy. Tak gorąco się modliłam.

Wpatrywała się w zdjęcie, zbliżając je do starych oczu.

– Och... – westchnęła cicho, a w jej oczach budziło się wspomnienie.

– Hélène.

– Hélène? – zapytał ostro Finn, zanim ja zdążyłam.

– Powiedziała, że nazywa się Hélène Joubert, kiedy przyjechała tu, żeby urodzić dziecko. Wdowa, bardzo młoda. Sądzę, że wszyscy się domyśliliśmy, ale... – Wzruszyła ramionami. – Urocza dziewczyna. Nikogo to nie obchodziło. Zostawiła dziecko z rodziną Hyvernaud, kiedy pojechała do pracy w Limoges. *Madame* Hyvernaud mówiła, że wracała tramwajem na każdy weekend. – Uśmiechnęła się. – Hélène. Piękne imię, ale nigdy tak na nią nie mówiliśmy. Powiedziała, że w dzieciństwie wołano na nią Rose, bo miała różowe policzki, więc tak ją nazywaliśmy. *La belle Rose*.

Coś we mnie zaczęło krzyczeć.

– Proszę – błagałam łamiącym się głosem. – Niech pani powie, że wtedy jej tutaj nie było. Niech pani powie, że była w Limoges. Niech pani powie, że nie było jej tutaj.

Długie milczenie. *Madame* Rouffanche spojrzała na zdjęcie, na uśmiechniętą twarz Rose i widziałam, jak znów zapada się w siebie, wpada z powrotem w niekończącą się pętlę dziesiątego czerwca, dziesiątego czerwca, dziesiątego czerwca.

– W kościele – zaczęła – były trzy okna wysoko w ścianie. Skierowałam się do środkowego, największego, i podstawiłam stołek, którego ksiądz używał do zapalania świec. Spadłam około dziesięciu stóp w dół.

Użyła prawie tych samych słów co za pierwszym razem, stwierdziłam ogłuszona grozą. Ile razy opowiadała tę historię ludziom takim jak ja, którzy szukali ukochanych osób, że jej opowieść przyjęła sztywną formę tych samych słów powtarzanych w tej samej kolejności? Czy właśnie tak

starala się zostać przy zdrowych zmysłach, gdy co dzień dla naszego dobra przeczesywała swoje wspomnienia?

– *Madame*, proszę...

Znowu ruszyła z powrotem w kierunku, z którego przyszedliśmy, niepewnie i bezwiednie. Biegłam, żeby dotrzymać jej kroku.

– Kobieta próbowała wydostać się za mną przez okno.

Pauza. Mrugnięcie. Potem opowieść uległa zmianie, gdy wróciliśmy pod czarne roztrzaskane okno, z którego *madame* Rouffanche skoczyła trzy lata temu.

– Gdy spojrzalam w górę... – Popatrzyła teraz w górę, a ja skierowałam wzrok w to samo miejsce. Widziałam, co opisywała. Widziałam to, co widziała ona. – Szła za mną kobieta, która przez okno wyciągała do mnie dziecko.

Widziałam jasną głowę, blade ramiona wyciągnięte przez okno. Właśnie tutaj.

– Chwyciłam dziecko; krzyczało ze strachu.

Widziałam zawodzące zawiniątko i zaciśnięte, ruchliwe piastki.

– Kobieta skoczyła i upadła obok mnie. Zabrała ode mnie dziecko i zaczęła uciekać.

Widziałam smukłą, skaczącą postać, pełną gracji nawet w obliczu grozy. Widziałam jej białą sukienkę na tle trawy, gdy podnosiła się po upadku, poplamiona trawą i krwią, chwytala krzyczące zawiniątko w ramiona i rzucała się do ucieczki w bezpieczne miejsce.

– Ale Niemcy strzelali do nas. Z tuzin strzałów. Upadliśmy.

Widziałam kanonadę strzałów i blade strużki dymu z karabinów. Odłamki kamienia latające w powietrzu, gdy kościół został zaatakowany. Krople krwi i jasne włosy.

– Trafili mnie pięć razy. Zdołałam przeczołgać się dalej. – *Madame* Rouffanche delikatnie umieściła zdjęcie z powrotem w mojej drżącej dłoni.

– Ale twoja przyjaciółka *la belle Rose* i mała Charlotte zostały zabite.

Wtedy usłyszałam szelest i zamknęłam oczy. To był szelest letniej sukienki muskanej ciepłym wiatrem. Rose stała tuż za mną, gdybym się obejrzała, zobaczyłabym ją. Zobaczyłabym jej białą sukienkę poplamioną na czerwono, kule, które przeszyły delikatną szyję, i jej błyszczące oczy.



Zobaczyłabym, jak leży powykręcana z drżącymi nogami i wciąż z całych sił próbuje uciec. Zobaczyłabym dziecko w jej ramionach, dziecko, którego nigdy nie spotkam, dziecko, które nigdy nie dorośnie, żeby zostać starszą siostrą mojego. Dziecko, które nazwała Charlotte.

Rose stała za mną i oddychała. Tyle że nie oddychała. Od trzech lat była martwa. Nie było jej, a wszystkie moje nadzieje okazały się nic niewarte.

# 24

## Eve

### *Październik 1915*

Umarła pod gradem kul. Przemycane gazety grzmiały o szczegółach, a każdy czytał o nich z mieszanką oburzenia i fascynacji. Została stracona przez pluton egzekucyjny w Belgii. Pielęgniarka Czerwonego Krzyża i angielska szpieg, natychmiast sławna, bohaterka i męczennica za wspólną sprawę. Jej imię było wszędzie.

Edith Cavell.

Nie Violette Lameron. Edith Cavell była martwa, ale Violette – z informacji, jakie zebrała siatka Alice – wciąż żyła.

– Cavell wygląda jak Violette – oceniła Eve, pochłaniając zakazaną gazetę. Cavell została aresztowana w sierpniu, lecz dopiero teraz wyrok egzekucji miał swój brutalny finał. – To te oczy. – Zdjęcia Edith Cavell były w większości wyidealizowane, wleczono ją omdlewającą przed lufy karabinów, a retusz sprawił, że wyglądała na delikatną i kobiecą. Eve uważała jednak, że jej oczom daleko było do delikatności. Edith Cavell pomogła przeszmuglować setki żołnierzy z Belgii, to nie była praca dla delikatnych kobiet. Miała twarde, zdecydowane spojrzenie jak Violette, jak Lili, jak sama Eve. „Kolejna *fleur du mal*”, pomyślała Eve.

– To dobrze. Nie chcę być brutalna, ale śmierć Cavell jest zdecydowanie korzystna dla Violette. – Lili krążyła po pokoju. Od aresztowania Violette prawie trzy tygodnie wcześniej starała się nie wychylać i ukrywała się z Eve. Ukrywanie się nie było dla niej. Miotła się jak tygrys w klatce, a napięcie nie znikało z jej drobnej twarzy. – Niemcy są tak bardzo potępiani za egzekucję Cavell, że nie odważą się poprowadzić kolejnej kobiety przed pluton egzekucyjny.

„Co robią z nią zamiast tego?“, zastanawiała się Eve pełna obaw. Tortury nie były popularne wśród Niemców i ich więźniów nawet w przypadku szpiegów. Przesłuchania, bicie, więzienie – tak, i oczywiście mającące na

horyzoncie widmo egzekucji. Ale chociaż mogłeś zostać zastrzelony, przynajmniej nie groziło ci najpierw wyrwanie paznokci; każdy w siatce o tym wiedział.

A jeśli dla Violette zrobili wyjątek?

Eve nie wypowiedziała tej myśli na głos, wiedząc, że Lili i tak przeżywa katusze. Sama je przeżywała, ile razy wspomniała dłonie Violette, które tak delikatnie ją pielęgnowały i próbowały ogrzać metalowe narzędzia. Bez Violette Eve tkwiłaby teraz w potrzasku z pożerającym ją potomkiem René albo byłaby martwa, ponieważ bez doświadczenia Violette mogłaby posunąć się do szaleństwa i spróbować jakiegokolwiek specyfiku, jakiegokolwiek trucizny, która rozwiązałaby sprawę. Eve zawdzięczała Violette tak wiele.

– Będą ją przesłuchiwać. – Lili zwiesiła ramiona, wciąż chodząc po pokoju. – Antoine mówi, że nie mają nic konkretnego. Nie schwytano jej z dokumentami. Jej imię wypłynęło, kiedy złapali chłopaka z siatki w Brukseli, znał tylko jej imię. Więc szwaby będą ją przesłuchiwać, ale jeśli będą szukali u Violette słabego punktu, to trafią na skałę.

Eve wyobraziła sobie Violette, jak siedzi przy rachitycznym stole naprzeciwko niemieckiego śledczego i obraca głowę tak, żeby światło odbijało się od jej okularów i nie pozwalało niczego dostrzec. Nie, Violette nie będzie łatwym obiektem przesłuchań. Pod warunkiem że nie będą jej torturowali.

– Gdybym tylko mogła coś zrobić – wściekała się Lili. – Wyjść i zacząć zbierać jakieś nowe informacje, na pewno są raporty do odebrania. – W jej głosie pobrzmiwała stalowa nuta. – Nie stracę nikogo więcej przez Niemców. Wolałabym sama stanąć pod ścianą i dać się rozstrzelać niż stracić jeszcze kogoś.

– Nie bądź głupia. – Eve zauważyła, że przejęła od Violette władczą surowość i chwyciła w garść swoją dziwną szefową, skoro ich sierżant okularnik nie zdołał tego zrobić. – Pozwól mi sprawdzić, czego mogę się dowiedzieć w Le Lethe.

„Niedługo może cię nie być w Le Lethe”, podszeptał rozum. Skoro siatka została narażona na dekonspirację, mogło się szybko okazać, że Eve i Lili zostaną odwołane z Lille. To byłby logiczny krok, ale Eve nie mogła sobie

teraz pozwolić na fantazjowanie o opuszczeniu Lille i straceniu René Bordelona na zawsze z oczu. „Póki co wciąż tu jesteś, więc nie przestawaj słuchać”.

Lecz w gąszczu plotek nie dało się usłyszeć niczego o Violette. Nikt nie potrafił mówić o czymś innym niż egzekucja Cavell. Niemieccy oficerowie albo siedzieli z ponurymi twarzami, albo wybuchali gniewem nad schnapsem.

– Cholera jasna, ta kobieta była szpiegiem! – Eve usłyszała bełkot jakiegoś kapitana. – Mamy wypłakiwać morze łez nad jakimś parszywym szpiegiem tylko dlatego, że to kobieta?

– Wojna nie jest już taka jak kiedyś – odpowiedział pułkownik. – Szpiegdy w spódnicach?!

– Stawianie kobiety przed plutonem egzekucyjnym to hańba dla ojczyzny. Nie tak prowadzimy wojny...

– Szpiegostwo to niktzemny proceder. W Lille na pewno są szpiegdy, cały ten region jest przeklęty. Jednego zdemaskowali w Brukseli wiele tygodni przed egzekucją Cavell, i to też była kobieta...

Eve nadstawiła uszu, ale nic już nie wspomniano o Violette.

„Błagam, nie pozwól jej skończyć jak Cavell”.

To wszystko rozśmieszyło René, kiedy później tej samej nocy stał nagi przy kredensie, a przed nim karafka z płynem zielonym jak bryłka perydotu. Niedawno zapoznał Eve z absyntem.

– Jakimiż romantykami są Niemcy, rozprawiając tak, jak gdyby istniał jakiś honorowy sposób prowadzenia wojny! Wojna po prostu się przydarza. Na końcu wojny liczy się tylko to, kto żyje, a kto jest martwy.

– Nie tylko to – powiedziała Eve, która siedziała po turecku na miękkim łóżku, z ramionami owiniętymi prześcieradłem. – Liczy się jeszcze to, kto wychodzi z niej b-biedny, a kto wzbogacony.

Zasłużyła tym na uśmiech aprobaty, tak jak planowała. Marguerite musiała stać się kimś więcej niż naiwną wiejską dziewczyną, która na początku mu się spodobała. Nabrała pozorów wyrafinowania, nie spluwała już, gdy piła szampana, i wyrobiła w sobie pełne wdzięczności uznanie dla bardziej wyszukanych dziedzin życia, które jej kochanek z taką przyjemnością jej przedstawiał. Była uległa i chętna w łóżku i przejęła

niecynizmu René, to zaś wywoływało jego uśmiech, ponieważ naśladowała go z taką powagą. Tak, Eve pozwalała Marguerite stopniowo się rozwijać według ściśle określonego planu, a René zdawał się zadowolony z tego, co postrzegał jako własne dzieło.

– Nie rozumiem, co jest takiego strasznego w chęci zarabiania w trakcie wojny – kontynuowała Eve nieco wyzywająco, jakby badała jego spekulacyjne pobudki i próbowała je usprawiedliwić. – No kto, k-k-k-kto chce być głodny? Kto chce chodzić w łachmanach?

René położył srebrną łyżeczkę z kostką cukru na każdym z kieliszków.

– Jesteś mądrą dziewczyną, Marguerite. Jeśli Niemcy uważają kobiety za niewystarczająco mądre na szpiegów, to są głupcami i ofiarami losu.

Eve odwróciła uwagę od własnej mądrości.

– Mówi się, że Anglicy są wściekli z powodu egzekucji Cavell.

– Wściekli być może. – René skropił cukier wodą z lodem, tak że kostki powoli roztopiły się wprost do absyntu. – Ale jeszcze bardziej wdzięczni, jak sądzę.

– Czemu? – Eve wzięła swój kieliszek. *La fée verte* nie wywoływała u niej halucynacji ani przesadnej gadatliwości, tak jak się obawiała. René mówił, że to bzdury wymyślone przez francuskich właścicieli winnic, którzy byli zazdrośni o swój biznes, ale i tak pilnowała się, żeby pić oszczędnie.

– Nie widziałaś wykazów ofiar, z którymi muszą się mierzyć Anglicy, pieśczożko. Ci wszyscy ludzie umierający co miesiąc w okopach... Ich wspaniała mała wojna trwa drugi rok i ludzi zaczyna już męczyć przelewanie krwi. Jednak kiedy szkopy rozstrzelują Angielkę dobrego pochodzenia i o nieposzlakowanej opinii (czy może być ktoś porządniejszy niż pielęgniarka?), taki cios powinien odpowiednio zelektryzować tyły.

René popijał absynt, wsuwając się z powrotem do łóżka.

– A czy Niemcy zabiją tego drugiego szpiega? – odważyła się zapytać Eve. – Kobietę schwytaną w Brukseli?

– Nie, po warunkiem że są mądrzy. Nie będą chcieli karmić złej prasy. Zastanawiam się, czy ona jest młoda i ładna. – René zamyślił się, obserwując światło załamujące się w zielonym klejnocie jego kieliszka. – Jeśli jest, Anglicy powinni mieć nadzieję, że szwaby ją zastrzelą. Nawet lepsza od męczennicy w średnim wieku, jak Cavell, jest ładna męczennica.

Nic tak dobrze nie budzi publicznego oburzenia jak dziewczyna, która jest młoda, śliczna i martwa. Przełknij, Marguerite, i chodź tutaj... Nigdy nie próbowałaś opium, prawda? Kiedyś musimy spróbować. Kopulowanie w opiumowym śnie często otwiera oczy...

Jednak duch Edith Cavell jeszcze z nimi nie skończył. Kiedy Eve wróciła tamtej nocy do swojego pokoju, Lili siedziała przy sfatygowanym stoliku, a pod oczami miała wielkie sine cienie.

– Ciekawe wieści od wujka Edwarda, stokroteczko.

– Odwołali nas?

Eve wciąż lekko szumiało w głowie od absyntu, ale udało jej się uciec przed perspektywą opium. Nie miała zamiaru brać żadnej substancji, przez którą mogłaby zacząć paplać przy René.

– Ściągają nas z Lille? – Jeszcze mocniej zaszumiało jej w głowie od nadziei, teraz kiedy nadszedł ten moment.

– Nie – Lili zawahała się, a Eve ścisnęło w dołku – a zarazem... może.

Poirytowana Eve rozpięła płaszcz.

– Mów z sensem.

– Antoine przyniósł wiadomość wprost od wuja Edwarda. Decyzja o naszym odwołaniu była rozpatrywana, ale jego wąsaty przełożony – musiało chodzić o rubasznego, siejącego plotki majora Allentona, którego Eve pamiętała z czasów Folkestone – opowiedział się za zezwoleniem nam na kontynuowanie pracy.

– Mimo że szkopy będą próbowały odkryć siatkę teraz, kiedy mają jednego z naszych?

– Mimo to. – Lili odwinęła niedopałek papierosa z chusteczki i rozglądała się za zapałkami. – Wąsaty uważa, że nasze doskonałe umiejscowienie tutaj jest warte ryzyka. Dlatego mamy rozkaz nie wychylać się i kontynuować pracę przynajmniej przez kilka kolejnych tygodni.

– Ryzykowne – przyznała Eve. Nawet szalone. Jednak wojny wygrywano dzięki podejmowaniu ryzyka, a żołnierze brali niebezpieczeństwo na swoje barki. Z chwilą gdy Eve przyjęła tę pracę, oddała Królestwu swoje życie do dyspozycji. Jaki sens było teraz narzekać, choćby nie wiem jak pragnęła zostawić Lille i René za sobą? Usiadła ciężko na krawędzi łóżka, pocierając

zmęczone oczy. – Więc kontynuujemy – powiedziała z nutką goryczy w głosie.

Lili zapaliła niedopałek.

– Może nie.

– Mówże z sensem, Lili.

– Wujek Edward nigdy otwarcie by się nie sprzeciwił przełożonemu, ale ma... sposoby, żeby wyrazić sprzeciw ze swej strony. Na pewno walczył z decyzją o pozostawieniu nas na stanowisku. Ostro walczył. Nie ubierając tego specjalnie w słowa, dał jasno do zrozumienia, że jego zdaniem pozostawienie nas tutaj jest zdecydowanie zbyt niebezpieczne. Obawia się, że Violette zostanie stracona jak Cavell, a nas schwytają i podzielimy ten sam los.

– Możliwe. – Eve żyła z tym strachem tak długo, że wydawał jej się czymś normalnym. – Fryce solidnie zabrały się do roboty. Nie jest przecież tak, że nie zorientowali się, że mają tutaj dziesiątki kilometrów frontu, na którym nie mogą utrzymać sprawnej artylerii dłużej niż przez dwa tygodnie.

Lili wypuściła długą smużkę dymu.

– Wujek Edward uważa, że Wąsaty to idiota, ale nie może odwołać jego wyraźnych rozkazów. Jednakże zasugerował mi bardzo oględnie, że jeśli poprosiłybyśmy o przeniesienie z Lille, uzasadniając to przemęczeniem lub złym stanem psychicznym, mógłby do tego doprowadzić.

Eve otworzyła szeroko oczy.

– Tak jakby żołnierze mogli wybłagać odwołanie rozkazów...

– Zwykli żołnierze nie mogą. Ci w naszej branży są inni. Agent na granicy załamania nerwowego nie jest wart zaufania. Spowodowałybyśmy tylko straty. Dużo bezpieczniej nas zwinąć. Więc...

– Tak. – Przez chwilę Eve pozwoliła pochłonąć się tej oszałamiającej wizji. Koniec niedożywienia, niemieckich zegarów i chłodnych dłoni na jej ciele. Koniec snów o pociskach w ciemności. Koniec niebezpieczeństwa. Jednak i to miało swoje złe strony. – Gdybyśmy wyprosiły odwołanie, czy przenieśliby nas do pracy gdzie indziej? W Belgii lub...

– Pewnie nie. – Lili strzepnęła popiół z papierosa. – Byłybyśmy dziewczynami, które rozsypały się pod wpływem napięcia. Nikt nie stawia pękniętego kubka na stole w nadziei, że się nie rozpadnie.

Wrócić teraz do domu i byłoby po walce. Jakkolwiek długo trwałaby jeszcze ta wojna, Eve straciłaby szansę, żeby mieć w niej swój wkład.

– Pewnie powinnyśmy tak zrobić – stwierdziła Lili rzeczowym tonem. – Poprosić o odwołanie. Zdecydowanie bardziej wierzę w przeczucia wujka Edwarda niż Wąsatego. Jeśli on sądzi, że niebezpieczeństwo jest za duże, z pewnością ma rację.

– Tak – przyznała Eve. – Ale mamy jasny rozkaz, żeby zostać mimo to. Rozkaz! I to tylko na kilka tygodni. Jeśli nie będziemy się wychylać, to w momencie odwołania wyślą nas do pracy w nowe miejsce.

– No i do tej pory miałyśmy szczęście. – Lili wzruszyła szczupłymi ramionami. – Więcej niż szczęście, byłyśmy dobre.

Eve odetchnęła głęboko, pozwalając odpłynąć oszałamiającej wizji powrotu do domu.

– Dlatego sugeruję, żebyśmy jeszcze wytrzymały. Chociaż odrobinę dłużej.

– Sama już podjęłam taką decyzję, lecz nie chciałam na ciebie naciskać. Jesteś pewna?

– Tak.

– W takim razie załatwione. – Lili przyjrzała się resztkę papierosa. – Cholera. Chowałam go od dwóch tygodni, a wystarczyło raptem na dwa dobre zaciągnięcia. Nie potrafię ci powiedzieć, jak uwielbiam to prymitywne życie...

Eve pochyliła się i chwyciła dłoń Lili.

– Obiecuj, że będziesz ostrożniejsza. Martwię się o ciebie.

– Jaki jest sens się martwić? – Lili zmarszczyła nos. – Wiesz, jeszcze we wrześniu pozwoliłam sobie na zmartwienia. Miałam jakieś przeczucie, tak silne, że pojechałam odwiedzić rodzinę. Byłam przekonana, że muszę ich zobaczyć, póki jeszcze mogę, ostatni raz... Kiedy wyjechałam, nie przestawałam myśleć: „Teraz to już koniec, złapią mnie i zastrzelą”. I nic się nie stało, zupełnie nic. Zmartwienia to stracony czas, stokrocieczko.

Eve zawahała się, starannie dobierając słowa.

– Co będzie, jeśli zmuszą Violette, żeby cię wydała?

– Nawet jeśli zmuszą ją do opowiedzenia o mnie, nie mogą mnie odnaleźć. Jestem jak garść wody rozplywającej się we wszystkie strony. – Lili



uśmiechnęła się. – Zmienię swoje zwyczaje, zmienię trasy. Obiecuję. – Jej uśmiech zbladł. – Wąsaty ma rację co do jednego, to już nie potrwa długo, tego jestem pewna. W Szampanii front mocno się posunął, na pewno przebiją się przed Nowym Rokiem. Musimy wytrzymać jeszcze chwilę dłużej. – Jej głos złagodniał. – Wtedy Violette zostanie uwolniona. Jeśli dadzą jej tylko wyrok więzienia, może przeżyć.

– A jeśli to będzie więcej niż kilka miesięcy? – Eve spędziła w Lille zaledwie miesiące, ale równie dobrze mogła to być wieczność. – A co jeśli ta wojna potrwa latami?

– To będą lata – odpowiedziała Lili. – Co z tego?

Rzeczywiście, co z tego? I żadna z nich nie myślała więcej o wyproszeniu sobie powrotu do domu.

\*\*\*

Informacje wpadły Eve w ucho zaledwie kilka dni później dzięki komendantowi Hoffmanowi i kilku sierżantom mającym za sobą już sporo brandy. Nie była to taka bryłka złota jak wieści o wizycie cesarza, ale na tyle ważna, żeby Eve nadstawiła uszu.

– Jesteś pewna? – Lili wróciła do swoich wypraw, gdy postarała się o nowe dowody tożsamości, na wypadek gdyby jej stare nazwiska zostały wydane.

Eve przytaknęła. Przysiadła na krawędzi rachitycznego stołu.

– Niemcy planują zmasowany atak w styczniu bądź lutym nowego roku. Potwierdzone.

– Cel?

– Verdun. – Eve zadrżała lekko. – W tej nazwie było coś, czego wcześniej nie dostrzegała. Kategorie ostateczność. „Brzmi jak miejsce rzezi”, pomyślała. Ale nie musiało się nim stać, jeśli generałowie zostaną ostrzeżeni. Może Verdun stanie się symbolem końca rzezi.

– Ryzykujesz, przekazując to dalej – oceniła Lili. Nie wszystkie informacje od Eve mogły zostać przekazane, nie wtedy, gdy skorzystanie z nich zagrażało ujawnieniem źródła przecieku w Le Lethe.

– To ważne – odparła Eve. – Właśnie dla takich informacji postanowiłyśmy nie błagać o powrót do domu.

Lili rozważyła za i przeciw, ale w końcu się zgodziła.

– I tak miałam się spotkać z wujkiem Edwardem za dwa dni w Tournai. Będziesz musiała pojechać ze mną. W takiej sprawie zechcą nas obie przesłuchiwać, tak jak przy raporcie o cesarzu.

Eve przytaknęła. Pojadą na niedzielę, nie opuści pracy.

– Uda ci się zdobyć dodatkowy glejt na czas?

– Moje źródło jeszcze mnie nie zawiodło, niech Bóg ma je w opiece.

Eve żuła paznokiec na kciuku, choć był już obgryziony do żywego. Być może to z powodu aresztowania Violette, a może przez wściekle zimny październik, ale przez cały tydzień walczyła z falą złych przeczuć. Czy w pracy Christine posyłała jej podejrzliwe czy tylko pogardliwe spojrzenia? Niemiecki porucznik, który tak nagle umilkł, gdy Eve przyniosła mu kawę – czy miał świadomość, że ona podsłuchuje? Czy René, który ostatnio był taki troskliwy, wyczuł jedno z jej kłamstw i postanowił omamić ją fałszywym poczuciem bezpieczeństwa, zanim uderzy?

„Weź się w garść!”

Tamtego wieczoru została u René do późna. Rozpalił w kominku w swoim gabinecie, żeby było cieplej, i czytał Eve *À Rebours* Huysmansa na głos, od czasu do czasu odkładając książkę, żeby odegrać niektóre z bardziej perwersyjnych fragmentów. Perwersja bardziej nudziła Eve, niż podniecała, ale Marguerite była należycie zdziwiona i niepewna, co zdawało się zadowalać René.

– Szybko robisz postępy, pieszczoszko – wymruczał, przesuwając opuszką palca wzdłuż jej ucha. – Może powinniśmy wyjechać na jakiś czas na wieś jak bohater Huysmansa, co? Do cieplejszego miejsca niż Limoges, gdzie moglibyśmy cieszyć się sobą bez tego całego teutońskiego ponuractwa. Grasse jest bardzo sympatyczne o tej porze roku. Z każdej strony wiatr przynosi zapach kwiatów. Zawsze myślałem, że osiądę w Grasse, kiedy już będę miał dość gastronomii. Mam tam nawet walącą się małą posiadłość, która tylko czeka, żeby znowu stać się perełką wśród tamtejszych willi... Chciałabyś pojechać do Grasse, Marguerite?

– Gdziekolwiek, gdzie jest c-c-ciepło. – Eve zadrzała.

– Ostatnio ciągle jest ci zimno. – René wolniej przesuwał dłoń, badając jej skórę. – Nie jesteś w ciąży, prawda?

Już dawno nie był tak bliski zaskoczenia Eve i wywołania niekontrolowanej reakcji. Niewiele brakowało, a wzdrygnęłaby się ze wstrętem.

– Nie – odpowiedziała i zaśmiała się na dodatek, żeby mu schlebić.

– Hmm, gdybyś była, nie byłoby tragedii, pieszczoszek. – Ułożył dłonie płasko na jej brzuchu, a jego długie palce rozpościerały się od jednej kości miednicy do drugiej. – Nigdy nie widziałem siebie w roli ojca, ale mężczyzna osiąga pewien wiek i zaczyna rozważać swoje dziedzictwo. A może po prostu zrobiłem się bardziej refleksyjny przez tę paskudną pogodę. Możesz się odwrócić?

„Miałam rację, że mu nie powiedziałam”, myślała Eve nawet wtedy, gdy zaczęła poruszać się pod jego dotykiem. Mógł ją odesłać jak jakąś rozpieszczoną klacz zarodową i gdzie by teraz była?

Już prawie świtało, gdy Eve się wymknęła. Nie będzie czasu, żeby spać. Szybko zawinęła fałszywą paczkę, by mieć czym zonglować na punkcie kontrolnym, i ruszyła na stację. Lili się spóźniała i Eve z trudem ukrywała panikę, aż w końcu zobaczyła znajomą postać wysiadającą z powozu. Był zimny, mglisty poranek, a krople wilgoci zdawały się przywierać do słomkowego kapelusza Lili i jej jasnogranatowego płaszcza. Wydawała się niezwykle drobna, gdy szła przez strzępy mgły.

– Mamy problem – powiedziała, zniżając głos do szeptu, którego nie mógł usłyszeć żaden z przechodniów. – Udało się zdobyć jeden glejt. Pozwala podróżować do Tournai, ale jest tylko dla jednej osoby.

– Ty go w-weź. Ja nie muszę jechać.

– Z takim raportem musisz. Będą nalegali, żeby przesłuchać źródło.

– W takim razie pojedę sama...

– Nigdy wcześniej sama nie przeszłaś punktu kontrolnego. Ostatnio strażnicy są bardzo nerwowi, a do tego nie są przyzwyczajeni, że podróżujesz tam i z powrotem tak jak ja. Twój zacinający się język może ściągnąć uwagę. Jeśli wpadniesz w kłopoty, chcę tam być, żeby cię z nich wyciągnąć. – Lili zawahała się. Przygryzała wargę. – Nie możemy pozwolić, by to czekało do następnego tygodnia, nie coś tak ważnego. Jeśli uda się

nam prześlizgnąć na jednym glejcie w tę stronę, to w Tournai bez problemu możemy zdobyć drugi, żeby wrócić.

Eve spojrzała na niemieckich strażników na stacji po drugiej stronie ulicy. Wyglądali na zmokniętych i przygnębionych. Byli w takim stanie, że mogli okazać się złośliwi, ale równie dobrze na tyle zmarznięci i nieszczęśliwi, że aż nieuważni.

– Zróbmy to.

– Też tak mówię. Weź glejt, stokroteczko, i idź do kolejki, stań trzy osoby przede mną i nie oglądaj się wstecz.

Kilka szybkich wskazówek, a potem Eve przeszła przez ulicę, torując sobie drogę w grupie chłopców grających na placu w berka mimo zimnej mgły. Eve manewrowała paczką i udało jej się ukradkiem spojrzeć na Lili, która złapała za koniec przelatującego obok niej zielonego szalika i tak zwerbowała jednego z pędzących chłopców. Kilka słów do ucha, moneta do ręki, choć Lili zgrabnie to ukryła, i dzieciak poleciał dalej. Lili podeszła, żeby dołączyć do kolejki, a Eve nagle była tak zdenerwowana, że ledwo stała. Zdusiła w sobie strach.

Strażnik wysmarkał nos w ogromną chustkę. Najwyraźniej walczył z przeziębieniem. Eve się pilnowała, pokorna i pełna szacunku, bez słowa podała swój glejt. Przejrzał go i machnął ręką, żeby przeszła. Krew buzowała jej w żyłach, gdy odwróciła się plecami do strażników. Udawała, że chowa dokument z powrotem do portfela, a tak naprawdę trzymała go między palcami rękawiczki. Za moment chłopiec w zielonym szaliku wpadł między Niemców, którzy praktycznie nie zwracali uwagi na dzieci, chyba że przeganiali je z drogi, i wleciał wprost w Eve, przewracając się i wytrącając jej paczkę z rąk.

– No już, wstawaj! – Eve postawiła go na nogi, otarła błoto z rękawów, a złożony glejt niepostrzeżenie znalazł się w mankiecie. – Bądź bardziej oostrożny – pouczyła go, a jej głos zabrzmiał jej w uszach strasznie teatralnie, gdy podniosła paczkę, a dzieciak popędził dalej. Obiegł szybko plac – Lili musiała mu powiedzieć, żeby nie biegł wprost do celu – a potem wpadł w Lili, która złapała go za nadgarstek, by wygłosić kazanie. Eve patrzyła spod rzęs, ale choć szukała, nie znalazła momentu, w którym Lili

wyciągnęła glejt z rękawa chłopca. Jednak miała go pięć minut później, kiedy podeszła do początku kolejki.

Serce znowu waliło Eve jak młotem, kiedy niemiecki strażnik przebiegał wzrokiem po glejcie. Nie było na nim fotografii, zwykły kawałek papieru pozwalający na przejazd, wszystkie wyglądały podobnie; na pewno nie rozpozna, że widzi ten sam drugi raz...Przeszyło ją gwałtowne uczucie ulgi, gdy wysmarkał nos i machnął, pozwalając Lili przejść.

– Widzisz? – szepnęła Lili, dodatkowo zagłuszana przez przeraźliwy gwizd pociągu, gdy podeszła do Eve. – Są głupi. Podsuń im pod nos jakikolwiek kawałek papieru i zawsze uda ci się przejść.

Eve roześmiała się z ulgą, nieco zbyt beztrosko.

– Czy potrafisz żartować ze wszystkiego?

– Póki co tak – odpowiedziała nonszalancko. – Będziemy miały czas, żeby kupić głupie kapelusze w Tournai, jak myślisz? Marzy mi się różowa satyna...

Eve nadal się śmiała, kiedy to się stało. Potem zastanawiała się, czy to jej śmiech przyciągnął ich wzrok, czy była zbyt swawolna i beztroska. Potem zadała sobie pytanie: „Co mogłam zrobić?”. Potem pomyślała: „Gdybym tylko...”.

Niemiecki głos odezwał się za nimi, jak nóż ucinając śmiech Eve.

– Wasze dokumenty, *Fräuleins*.

Lili odwróciła się, unosząc jasne brwi. To nie był smarkający strażnik, tylko młody kapitan w idealnie skrojonym mundurze. Kropelki mgły osiadły na krawędzi jego czapki, a twarz miał surową i podejrzliwą. Eve zauważyła skaleczenie na jego policzku, miejsce, gdzie zaciął się przy goleniu, zauważyła, że ma bardzo jasne rzęsy, i język stanął jej kołkiem w ustach. Gdyby spróbowała się odezwać, nie mogłaby wydobyć ani jednego słowa, zanim nie wyjąkałaby go jak jeden z tych karabinów maszynowych Chauchat, które układały w stosy martwe ciała żołnierzy w okopach...

Ale Lili jednak się odezwała, a jej głos był lekki i zniecierpliwiony.

– Dokumenty? – Wskazała ze złością na strażnika. – Już je tam pokazałyśmy.

Kapitan wyciągnął dłoń.

– Pokażecie mi mimo to.

Lili najeżyła się jak urazona francuska pani domu.

– Kim pan jest...

Rzucił jej groźne spojrzenie.

– Jeśli macie paszporty, chcę je zobaczyć.

„To koniec – pomyślała Eve, a strach był tak dojmujący, że niemal ją uspokajał. Nie da się obejść tego, że nie miała przepustki. – Wezmą mnie. Wezmą mnie...”

Podniosła oczy, kiedy Lili podała kapitanowi swój własny glejt. Gdy pochylił głowę, żeby go sprawdzić, oczy Lili i Eve spotkały się. „Kiedy mnie wezmą, odejdz – Eve próbowała to jak najlepiej przekazać Lili – odejdz”.

I Lili uśmiechnęła się tym zawadiackim, przelotnym uśmiechem.

– To jej glejt – powiedziała wyraźnie. – Pożyczyłam go nielegalnie, ty durny szwabie.

# 25

## Charlie

*Maj 1947*

Nie żyła.

Moja najbliższa przyjaciółka nie żyła.

Zatem śmierć mojego brata nie wystarczyła, aby zaspokoić głód wojny łaknącej ofiar. Bestia pochłonęła też Rose. Pociski zmieniły jej ciało w sito, odbierając mi przyjaciółkę, którą kochałam jak rodzoną siostrę.

Chwila, w której stałam tam odrętwiała ze strachu, na tym małym kawałku skażonej trawy, unieruchomiona między ścianą kościoła pełną kul a *madame Rouffanche*, zdawała się trwać wieczność. Postać *madame* mogła być równie dobrze żoną Lota zmienioną w słup soli. Nieruchomym potworem, którym się stała, gdy ujrzała to, czego nigdy nie powinna była zobaczyć. Czułam, jak krzyk drażni moje gardło swoim ostrzem, lecz zanim zdołałam go z siebie wydobyć, Finn potrząsnął mną mocno. Wpatrywałam się w niego nieprzytomnie.

– Charlie – wyczytałam z ruchu jego warg. – Charlie, dziewczuszko...

Ale ja go nie słyszałam. Czułam, że moje uszy pokrywa twarda skorupa, a wszystko zagłusza przerażające buczenie.

*Madame Rouffanche* wciąż przyglądała mi się ze spokojem. Była jedynym świadkiem. Zasługiwała na moją wdzięczność w zamian za dźwiganie brzemienia doświadczeń. Zasługiwała na każdy lek, który mógłby ukoić jej ból, oraz order uznania za odwagę. Ja jednak nie mogłam nawet na nią spojrzeć. To ona była z Rose do samego końca, widziała ją, kiedy upadała. Dlaczego ona, nie ja? Dlaczego nie było mnie tutaj, by razem z Rose stawiać czoło nazistom? Dlaczego nie było mnie również u boku Jamesa, by słuchać, jak wpada w furję, by powiedzieć, że go kocham, zagłuszyć straszliwą kakofonię jego wspomnień? Oboje tak bardzo kochałam i oboje zawiodłam. Pozwoliłam bratu pójść samotnie w zimną noc, by zamiast na wspomniane przy wyjściu piwo trafił na kulę, która odebrała mu życie. Myślałam, że

uda mi się odkupić grzech tej pomyłki, szukając Rose, gdy wszyscy inni stracili już nadzieję. Lecz i tym razem się pomyliłam. W kawiarni Provençal powiedziałam Rose, że jej nie opuszczę. Zrobiłam to jednak. Pozwoliłam, by rozdzieliły nas ocean i wojna, a teraz ona nie żyła. Straciłam ich wszystkich.

„Zawiodłaś”, powtarzał w kółko szorstki głos w mojej głowie. Pieśń mojego życia. Zawiodłam.

Położyłam rękę na ramieniu *madame* Rouffanche, ściskając je delikatnie, to jedyne podziękowania, na jakie mogłam się zdobyć. Zaraz potem odwróciłam się na pięcie i pognałam w stronę ulicy. Biegłam, potykając się o wszystko. Przewróciłam się, zahaczając o pustą donicę, pękniętą glinianą misę, kiedyś pełną purpurowych pelargonii, które ozdabiały wejście do domu francuskiej gospodyni, zanim ktoś ją zastrzelił dziesiątego czerwca. Miałam poranione ręce, ale podniosłam się i biegłam dalej. Gdzieś w rozmazanym łzami obrazie dostrzegłam niebieski samochód. Skręciłam w jego stronę, by chwilę potem zdać sobie sprawę, że to nie lagonda, lecz peugeot. Stał tam, rdzewiejąc, porzucony przez swojego właściciela w dniu, kiedy zaciągnęli go na pola i zastrzelili. Odskokczyłam od tego straszego, choć niewinnego samochodu, rozglądając się zawzięcie za lagondą. Wtedy Finn mnie dogonił. Po czym przyciągnął do siebie. Ukryłam twarz w szorstkim materiale jego koszuli, zaciskając mocno powieki.

– Zabierz mnie stąd – powiedziałam czy raczej usiłowałam powiedzieć. Dźwięk, który z siebie wydałam, był mieszaniną ochrypłych, łkających odgłosów, ledwo przypominających słowa. Wydawało się, że Finn je zrozumiał. Poderwał mnie do góry, zaniósł do lagondy i położył na fotelu, nie otwierając drzwi. Sam wskoczył za kierownicę. Zwinęłam się na siedzeniu i z zamkniętymi oczami wdychałam zapach skóry i oleju silnikowego. Finn gwałtownie wrzucił bieg. Jechał tak, jak gdyby ścigało nas stado duchów. Ja zaś patrzyłam na prawdziwe duchy, widziałam je tuż przed sobą. W mojej głowie mała, raczkująca jeszcze dziewczynka wyciągała rączki. Chciała do swojej *tante* Charlotte, ale jej głowę zdmuchnęła siła wybuchu. Rose nazwała ją na moją cześć, a teraz ona również nie żyła.



Zmarła blisko trzy lata temu. Z moich ust wydobył się kolejny nieartykułowany dźwięk, kiedy samochód, trzęsąc się, przejeżdżał nad rzeką. Wszystko, co mnie tu przywiodło, było kłamstwem.

Gdy zostawiliśmy za sobą Oradour-sur-Glane, Finn zjechał za najbliższym znakiem wskazującym na *auberge*, gdzie dostaliśmy pokój na dzisiejszą noc. Być może właściciel ujrzał obrączkę na moim palcu (pani Donaldowa McGowan, Rose nigdy nie wyśmiewała się z mojej „pani Donaldowej”), być może w ogóle go to nie obchodziło. Wpadłam do kiepsko urządzonego pokoju. Stałam w miejscu, kołysząc się i spoglądając na łóżko oczami pełnymi łez.

– Dziś będę śnić – wyszeptałam, gdy Finn znalazł się za moimi plecami. – Jak tylko zamknę oczy, ujrzę ją w swoich snach taką, jaką... – Urwałam i zacisnęłam powieki, chwytając się rozpaczliwie kojącego uczucia odrętwienia i obojętności. Ono jednak odeszło bezpowrotnie. Łzy coraz szybciej napływały mi do oczu. Straciłam oddech, nic nie widziałam.

– Nie pozwól mi śnić – błagałam. Finn ujął moją twarz w swoje potężne dłonie.

– Nie pozwolę – powiedział, a ja ujrzałam łzy również w jego oczach. – Obiecuję.

Znalazł gdzieś butelkę whisky i przyniósł ją do pokoju. Nie traciliśmy czasu na kolację. Ściągnęliśmy buty i usiedliśmy na łóżku, opierając się o ścianę. Piliśmy, aż opróżniliśmy butelkę. Czasem płakałam, czasem po prostu patrzyłam za okno, obserwując, jak jasne, błękitne niebo zastępuje szarość zmierzchu, by w końcu zmienić się w czerń rozświetloną gwiazdami. Czasem, opowiadając coś, próbowałam przywołać wspomnienia o Rose i Jamesie, by chwilę potem znów opłakiwać ich oboje. Finn pozwalał mi na zmianę opowiadać i płakać, i znów opowiadać. Pozwolił, by moja głowa bezwładnie opadła na jego kolana. Gdy spojrzałam w górę, ujrzałam, jak po jego nieruchomej twarzy również spływają łzy.

– To miejsce – powiedział po cichu. – Mój Boże, to miejsce...

Uniosłam rękę, by pogłodzić jego wilgotny policzek.

– Czy widziałeś kiedyś gorsze?

Zamilkł na długo. Już myślałam, że nie odpowie, gdy nagle jednym haustem dopił resztę swojej whisky i powiedział:

– Tak.

Jeszcze nie byłam pewna, czy chcę wiedzieć, co mogło być gorszego od Oradour-sur-Glane, kiedy Finn zaczął swoją opowieść.

– Artyleria Królewska, 63. Pułk Przeciwpancerny. – Swoją dużą ręką pogłodził mnie po włosach. – Kwiecień czterdziestego piątego. Byliśmy na północy Niemiec, blisko Celle. Słyszałaś o obozach śmierci?

– Tak.

– Wyzwoliliśmy jeden. Obóz Belsen.

Usiadłam, przyciągając kolana do klatki piersiowej. Przerwał na chwilę. Zamrugał.

– Pluton C. Po lekarzach jako pierwsi przeszliśmy przez bramę obozu. Ujrzeliśmy miasto duchów, takie jak to, które widzieliśmy dzisiaj. Z tym że duchy Belsen nadal żyły. – Opowiadając, był tak obojętny, jak *madame Rouffanche* dzisiejszego popołudnia, a ja czułam coraz większe przerażenie. – Tysiące ludzi, żywe szkielety w pasiastych mundurach dryfujące pośród stert ciał. Zwłoki leżały wszędzie. Przypominały stosy szmat i kości. Nawet ci, którzy się poruszali, nie wyglądali na żywych. Sprawiali wrażenie, jakby to ktoś nimi poruszał. Było tak cicho. – Przerwa. Mrugnięcie. – Słońce świeciło. Zupełnie jak dzisiaj...

Z moich oczu znów popłynęły łzy. Bezużyteczne łzy. Jak mogły pomóc tym wszystkim, którzy odeszli? Tym z Oradour-sur-Glane. I tym z Belsen. Jamesowi, Rose. Cholerna wojna.

– Na ziemi leżała młodziutka Cyganka – kontynuował Finn. – Dowiedziałem się, że jest Cyganką, dopiero potem, kiedy ktoś powiedział mi, co oznaczała jej więzienna naszywka. Takie kobiety dostawały ciemny trójkąt z literą Z, jak *Zigeuner*... Ale ona nie jest jeszcze kobietą. To dziewczyna. Ma może piętnaście lat. Wygląda jednak jak stuletnia kobieta. Maleńki worek kości, łysa czaszka i wielkie oczy. Patrzy na mnie. Jej oczy są ciemne i puste jak dno wyschniętej studni. Jej ręka leżąca na moim bucie wygląda jak pająk. I właśnie w tej chwili umiera. Życie uchodzi z niej, kiedy tak wpatrujemy się w siebie nawzajem. Przecież jestem tam, żeby ją ratować. Ja i moi ludzie. I właśnie teraz ona umiera. Przetrwała tak wiele, by umrzeć właśnie teraz.

Pomyślałam, że teraz było zawsze wtedy, gdy wspominał tę małą Cygankę. Kiedy myślał o jej pustych oczach i białej, pajęczej ręce spoczywającej na jego bucie, ona umierała. Za każdym razem od nowa.

– Sporo wspomnień wyparłem. – Jego głos brzmiał teraz szorstko, z niewyraźnym szkockim akcentem – Nie próbowałem, po prostu... szczegóły się rozmyły. Kopanie grobów, wynoszenie ciał z baraków. Odwszawianie i karmienie tych, którzy przeżyli. Ale ta mała Cyganka. Było w niej coś takiego... Jej nie mogę zapomnieć.

Nie znalazłam słów, które mogłyby ukoić jego ból. Być może nie istniały. Być może ulgę mógł przynieść jedynie dotyk, ciepło, które mówiło „jestem tu”. Sięgnęłam po jego dłoń i ścisnęłam ją mocno.

– Ten smród... – Dreszcz wstrząsnął jego całym ciałem. – Tyfus, śmierć, gnijące zwłoki, gówno pływające w każdej kałuży. – Spojrzał na mnie. Jego ciemne oczy zdawały się nie mieć dna. – Ciesz się, że dotarłaś do Oradour-sur-Glane trzy lata później, dziewczuszko. Ujrzałaś słońce i ciszę, i duchy, ale nie poczułaś tego smrodu.

Wyglądało na to, że powiedział już wszystko. Dolałam nam whisky. Gwałtownie przechylił mi kieliszki w nadziei, że zapomnienie nadejdzie szybko. „*Salut!*”, rzekłaby Rose, lecz teraz milczała. Była martwa tak jak mała Cyganka z opowieści Finna. Gdy pokój zaczął wirować, położyłam głowę z powrotem na jego kolanach, a on siedział, gładząc moje włosy.

Księżyc za oknem stawał się coraz jaśniejszy i większy, aż zdałam sobie sprawę, że to słońce, które pokonało już połowę swojej drogi w górę nieba. Jasne promienie wpadały do pokoju, kłując moje oczy niczym ostrza mieczy.

Zamrugałam, usiłując dojść do siebie. Leżałam splątana w uścisku z Finnem. Oboje wciąż byliśmy całkowicie ubrani. Jego ręka spoczywała luźno na mojej talii. Wtulałam twarz w jego żebra, które poruszały się w rytmie jego sennego oddechu. Głowę rozsadzał mi ból, a żołądek podskoczył, gdy wydostawałam się z uścisku Finna. Z ledwością udało mi się zdążyć wyjść z łóżka i dobiec do zlewu w przeciwległym końcu pokoju.

Wymiotowałam raz za razem, krztusząc się kwaśnym smakiem nieprzetrawionej whisky. Chwilę potem Finn usiadł na łóżku.

– Nie wyglądasz dobrze – oznajmił.

Zdołałam posłać mu wściekle spojrzenie przed kolejnym napadem nudności.

Wydostał się z łóżka i podszedł do mnie. Miał koszulę rozpiętą do połowy i bose stopy. Odgarnął mi włosy, gdy po raz kolejny pochyliłam się nad zlewem.

– Coś ci się śniło? – zapytał cicho.

– Nie. – Wyprostowałam się i wycierając usta, sięgnęłam po szklanekę wody. Staralam się nie patrzeć mu w oczy. – A tobie?

Potrząsnął głową. Oboje usiłowaliśmy na siebie nie patrzeć, kiedy się myliśmy. Byliśmy jak stare, ranne drzewa, nieleczone od lat. Robiliśmy wszystko, żeby na siebie nie wpaść. Ból towarzyszył mi podczas każdego ruchu głową. „Rose”, pomyślałam. Kolejne uderzenie bólu. Tępego bólu, który przenikał do szpiku kości. To nie był koszmar. Zasnęłam i obudziłam się. Nie było żadnych koszmarów, tylko zgroza rzeczywistości. Oczy znów mnie zapiekły, lecz nie miałam już więcej łez.

Z otchłani wynurzało się jedno pytanie.

Finn wyłudził od właściciela dwie czarne kawy, które przyniósł do pokoju, kiedy już się umyliśmy. Mój wciąż niespokojny żołądek niechętnie przyjął kawę. Wkrótce potem znów byliśmy w samochodzie. Finn skręcił w stronę Limoges. Siedziałam tak w swoich pogniecionych, znoszonych ubraniach, trac pulsujące bólem skronie i powtarzając pytanie, z którym w końcu musiałam się zmierzyć.

Co dalej, Charlie St. Clair?

Co dalej?

\*\*\*

Podróż powrotna minęła w milczeniu. Miasto, w które się wpatrywałam, zachwycało beztroską letniego pejzażu wyglądającego jak sceniczna dekoracja: płaczące wierzby na brzegu rzeki, domy z muru pruskiego i piękny most sięgający czasów Imperium Rzymskiego. Rose przyglądałaby się temu wszystkiemu, serwując drinki w Le Lethe. Nie było już nic, co zatrzymałoby mnie w tym mieście na dłużej. Nie było też powodu, dla którego miałabym je opuścić.

– Ciekawe, czy Gardiner tu jest – powiedział Finn. To były jego pierwsze słowa, od kiedy zapytał mnie, czy coś mi się śniło.

Spojrzałam na niego obojętnie.

– Dlaczego miałyby tu nie być?

– Planowała spotkanie z tym angielskim oficerem z Bordeaux – odpowiedział Finn. – Pamiętasz?

Nie pamiętałam.

– Czy to nie było wczoraj?

– Być może. – Noc spędzona na wsi nie była planowana.

Co dalej? Pytanie wciąż odbijało się echem w mojej głowie. Co dalej?

Finn zaparkował lagondę. Weszliśmy do środka. Korytarz prowadzący do recepcji *auberge* był świeżo wypastowany. Czułam zapach wosku, który zdominował woń stojących na kontuarze recepcji kwiatów. Róże, różowe róże. Kolor policzków Rose, na którego widok znów poczułam pulsujący ból w mojej głowie. Za biurkiem siedziała nerwowa recepcjonistka. Przed nią stał Anglik. Jeden z tych, którzy wierzyli, że jeśli będą mówić wystarczająco głośno, każdy obcokrajowiec ich zrozumie.

– EVELYN GARDINER? Czy jest *ICI*? *Ici*, tutaj, *comprenez*? GARDINER

...

– *Oui, monsieur* – odpowiedziała recepcjonistka. – *Elle est ici, mais elle ne vent pas vous voir.*

– Po angielsku, *anglai* s? Ktokolwiek?

Mężczyzna rozejrzał się. Był wysoki. Twarz ozdabiał mu siwiejący wąs, a ciało – brzuch, który nosił przed sobą dumnie niczym honorową odznakę. Był w stroju cywilnym, ale jego postawa i wewnętrzna agresja pozwalały rozpoznać w nim żołnierza.

Finn i ja spojrzeliśmy po sobie, potem Finn wystąpił do przodu.

– Jestem kierowcą pani Gardiner.

– Dobrze, dobrze. – Mężczyzna, nie kryjąc niesmaku, obejrzał Finna uważnie, lecz ton jego głosu był pobłażliwy. – Powiedz pani Gardiner, że tu jestem. Ma się ze mną spotkać.

– Nie spotka się z panem – odparł Finn.

Mężczyzna poruszył wąsami, przypatrując się mu badawczo.

– Oczywiście, że się spotka. Widziałem się z nią ledwie wczoraj podczas kolacji. Spędziliśmy miły wieczór...

Finn wzruszył ramionami.

– Zdecydowanie nie chce pana teraz widzieć.

– Ale zrozum...

– To nie pan mi płaci, lecz ona.

Francuska recepcjonistka przewróciła oczami za plecami Anglika. Również zrobiłam krok naprzód powodowana ciekawością, która torowała sobie drogę poprzez mgłę mojej rozpacz.

– Przepraszam, czy może kapitan Cameron?

Nie pasował do mojego wyobrażenia na temat Camerona, ale jaki inny angielski oficer przybyłby tu z samego Bordeaux na zawołanie Eve?

– Cameron? Ten stary, żaloszny oszust? – prychnął pogardliwie mężczyzna. – Przed tobą major George Allenton, dziewczyno, i marnuję tutaj swój cenny czas, więc biegnij w te pędy na górę powiedzieć pani Gardiner, że tutaj jestem.

– Nie. – Wyczerpanie sprawiło, że moja odpowiedź zabrzmiała zuchwale.

Tak naprawdę nie widziałam powodu, dla którego miałabym choćby kiwnąć palcem dla kogoś tak nieuprzejmego. Cieszyłam się, że nie był kapitanem Cameronem. Lubiłam historie, które opowiadała o nim Eve.

Major spojrział na mnie, a jego twarz poczerwieniała. Otworzył usta, żeby dalej się spierać, lecz niespodziewanie wypuścił zaczerpnięte powietrze.

– Dobrze – powiedział, gmerając w kieszeni. – Powiedzcie tej kościstej starej panie, że Ministerstwo Obrony nie jest jej już nic winne bez względu na to, co zrobiła dla nas w przeszłości. – W moją dłoń plasnęło czarne, płaskie etui. – A to może spuścić w toalecie, jeśli tylko ma ochotę, nie będę tego dłużej dla niej trzymał.

– Kiedy pan ją poznał? – zapytał Finn, gdy major założył na głowę kapelusz.

– Pracowała dla mnie podczas obydwu wojen. I żałuję, że zrekrutowaliśmy tę zaczepną, podstępłą sukę podczas tej pierwszej...

Finn i ja patrzyliśmy po sobie, słysząc głośnie kroki oddalającego się majora. W końcu otworzyłam etui. Nie wiem, co się spodziewałam w nim znaleźć. Bizuterię, dokumenty, tykającą bombę? Z Eve wszystko było

możliwe. Ale to były medale. Cztery medale pieczołowicie przyczepione wzdłuż ozdobnej karty.

– Medaille de Guerre, Croix de Guerre z palmą, Croix de la Legion d’Honneur... – Finn zagwizdał nisko. – A to jest Order Imperium Brytyjskiego.

Odetchnęłam powoli. Eve nie była tylko szpiegiem. Była odznaczoną bohaterką, legendą przeszłości, przed którą skakali starsi oficerowie armii, nawet jeśli jej nie lubili. Opuszką palca musnęłam Order Imperium Brytyjskiego.

– Skoro została odznaczona tak dawno temu, dlaczego nie chciała ich zabrać?

– Nie wiem.

# 26

## Eve

### *Październik 1915*

Lili udało się wymamrotać jedno polecenie, gdy ona i Eve zostały siłą wprowadzone na posterunek. Niemcy krzyczeli, słyhać było dźwięki alarmu i wśród całego tego hałasu Lili wyszeptała przez nieruchome usta: „Udawaj, że mnie nie znasz. Wyciągnę cię stąd”.

Eve prawie niedostrzegalnie potrząsnęła głową, nie śmiąc spojrzeć na Lili. Popędzali je dwaj rośli żołnierze; Lili prawie nie dotykała stopami ziemi, a ramiona Eve znajdowały się w tak silnym uścisku, że jej dłonie zaczęły drętwieć. Jeszcze nie zdążyła poczuć przerażenia, jej myśli pędziły niczym myszy zaskoczone światłem. Jednak jej odmowa była świadoma: nie może odejść wolna i zostawić Lili w łapach Niemców. Nigdy.

Ale gdy rozległy się kolejne krzyki, usta Lili wyszeptały jedno słowo. „Verdun”.

Eve zamarła. Na przyszły rok planowano zmasowany atak na Verdun. W Tournai kapitan Cameron czeka na sprawozdanie, na skrawek papieru ze wszystkimi szczegółami, owinięty wokół wewnętrznej strony pierścionka na prawej dłoni Lili. Dobry Boże, gdyby Niemcy to znaleźli...

Nie było już jednak czasu na zastanawianie. Zdążyły tylko wymienić zdesperowane spojrzenia. Wepchnięto je do środka obok stanowiska telefonicznego i grupki niemieckich żołnierzy. Kapitan wydał rozkaz:

– Rozdzielić je. Ja wyślę powiadomienie.

Eve została zamknięta w wąskim pokoju z oknami wychodzącymi na ulicę. Było tam już kilku Niemców, niekompletnie ubranych i ziewających podczas porannych zajęć. Młody sierżant w podkoszulku, blondyn, gapił się na Eve, a drugi golił się nad wiadrem wody. Eve odwzajemniała ich spojrzenia, powstrzymując swoje oczy przed szukaniem drogi ucieczki. Nie było żadnej. Rzuciliby się na nią jak stado wilków, gdyby choć o centymetr zbliżyła się do okna. Po lewej stronie znajdowały się przeszklone drzwi,



przez które było widać drugi, jeszcze mniejszy pokój. Eve coś ścisnęło w gardle, gdy zobaczyła, że wepchnięto tam Lili. Nie miała kapelusza, a jej włosy opadały w dół w nieładzie. Wyglądała jak dziewczynka, która przebrała się w spódnicę i bluzkę swojej mamy. Oparła się o długi blat i z błyszczącymi oczami i uśmiechem na ustach zdjęła rękawiczki, jakby miała zaraz usiąść do herbatki.

– Nie d-d-dotykajcie mnie! – wrzasnęła Eve nagle, w panice popatrując po otaczających ją niemieckich żołnierzach. Żaden się nie ruszył, ale ona i tak jeszcze raz wydała z siebie przeszywający krzyk. Chciała, żeby patrzyli na nią, a nie przez szybę na Lili, która zdjęła pierścionek z palca prawej dłoni i zaczęła odwijać papierek.

– Zostawcie mnie! – krzyknęła, a najmłodszy żołnierz podszedł do niej, jakby chciał ją uspokoić. Eve spojrzała ponad nim na Lili, która nadal lekko się uśmiechała, i zobaczyła, jak jej towarzyszka wkłada skrawek papieru do ust i połyka go.

Niemiecki kapitan wbiegł z wrzaskiem do celi Lili, zanim Eve zdążyła poczuć ulgę. „Widział to, widział to”. Chwycił Lili za szyję i usiłował jej wsadzić palec do gardła, ale ona zacisnęła zęby, odsłaniając je przed nim niczym rosomak, on zaś odepchnął ją z obrzydzeniem. Na korytarzu rozległ się pośpieszny tupot wojskowych butów, a Eve opadła na podłogę i zaczęła szlochać. Nie tylko dlatego, że Lili została przyłapana na pozbywaniu się sprawozdania, lecz dlatego, że tak zachowałyby się Marguerite. Marguerite byłaby przerażona i niewinna i nie miałyby pojęcia, kim jest kobieta z tamtego pokoju. Eve chciałaby rzucić się na te niemieckie świnię i rozszarpać ich gardła, ale miała zadanie do wykonania.

Verdun.

Skuliła się więc na podłodze, wciąż płacząc, a wokół niej chodzili zażenowani Niemcy. Żołnierze gapili się na nią i szeptali między sobą, lecz Eve nie reagowała, bo przecież Marguerite nie rozumiała po niemiecku nic poza *ja* i *nein*. Każdym swoim krzyżącym nerwem skupiała się na sąsiednim pokoju, z którego nie dobiegały żadne odgłosy – naprawdę żadne – z ust kierowniczkę siatki Alice.

„Nie będą wiedzieli, że to ona wszystkim kieruje – myślała Eve. – Nie mają pojęcia, jaki skarb im się trafił”. Nadal jednak miała przed oczami

koszmarny obraz Lili postawionej pod ścianą jak Edith Cavell. Z zawiązanymi oczami, ze znakiem X na piersi, żeby strzelcy mieli w co celować. Lili osuwająca się na ziemię, pewnie cały czas z uśmiechem na ustach.

„Nie”, krzyczała Eve w duchu, a jednocześnie wiedziała, jak wykorzystać swoje własne przerażenie i jak sprawić, by ten obraz wywołał kolejny potok łez. Łzy i zupełna bezradność bardziej jej pomogą niż jakiegokolwiek oznaki odwagi. Nikt się nie przestraszy bezradnej, szlochającej dziewczyny.

Wkrótce przyszedł policjant w towarzystwie ubranej w zieloną serżę kobiety, którą Eve rozpoznała. Często pomagała na niemieckich punktach kontrolnych, bezlitosna suka, którą Eve przezwiała Żabą z powodu zielonego munduru i zachłannych, przyssawkowatych palców, którymi przeszukiwała bagaże. Spojrzała w dół na Eve z surową miną i wyszczeła dwa słowa po francusku.

– Rozebrać się.

– T-t-tutaj? – Eve podniosła się ze spuchniętymi oczami, obejmując się ramionami i cofając przed spojrzeniami zaciekawionych mężczyzn. – Ja nie m-m-m-m...

– Rozebrać się! – warknęła Żaba, ale policjant poczuł się chyba zażenowany, więc wyprosił żołnierzy z pomieszczenia. Eve została sama z Żabą, która zaczęła szarpać za jej guziki.

– Jeśli masz jakieś wiadomości jak tamta druga suka – ostrzegła – znajdę je i wtedy czeka cię pluton egzekucyjny. Zdarła z Eve bluzkę, ukazując prującą się podkoszulkę, a Eve rozpięła swoją spódnicę niezdarnymi palcami. „To się nie dzieje naprawdę”. Wkładała tę spódnicę jeszcze kilka godzin temu przy dogasającym ogniu w kominku u René, a on zmarszczył nos, widząc jej bieliznę, i powiedział:

– Wyglądasz jak jakaś nieszczęsna uczennica szkoły dla biedoty, kotku. Kupię ci porządną halkę, coś z koronkami z Valenciennes...

Eve zakręciło się w głowie i natychmiast to wykorzystała, osuwając się na podłogę, jakby straciła przytomność. Podniosła się z cichym jękiem, a Żaba zdjęła z niej resztę ubrania i zabrała się do upokarzającej rewizji. „Verdun”, myślała Eve z zaciśniętymi powiekami, gdy twarde palce kobiety sprawdzały miejsca pod jej piersiami, między palcami i brutalnie

przechasywały włosy. „Verdun”, myślała, gdy jej szpilki do włosów zostały wyrwane jedna po drugiej. Dzięki Bogu tym razem nie miała wiadomości owiniętej wokół szpilki...

Nie trwało to długo. Jakies dziesięć minut zajęło Żabie przeszukanie ciała Eve i jej ubrań: brzegu spódnicy w poszukiwaniu grudek, obcasów w poszukiwaniu skrawków papieru. Wreszcie siarczysty, piekący policzek zmusił Eve do otwarcia oczu, z których wciąż płynęły łzy.

– Ubrać się – powiedziała Żaba wyraźnie rozczarowana.

Eve usiadła, obejmując ramionami swoje nagie ciało.

– Czy m-m-mogłabym prosić o szklankę w-w-w-w...

– Szklankę czego, m-m-m-mała? – Żaba przedrzeźniała jej jąkanie.

– Wody – wyskoczyła Eve, siąkając nosem. Miała ochotę pocałować tę zdziwę za jej szyderstwo. „Niech sobie myślą, że jestem idiotką. Jakaś głupią gęsią, która pozwoliła obcej osobie pożyczyć swoją przepustkę”.

– Chcesz wody? – Żaba wskazała na szklankę pianistego płynu, w którym ubierający się żołnierze płukali swoje szczoteczki do zębów. – Częstuj się. – Wyszła, śmiejąc się z własnego żartu.

Eve ubrała się, poruszając się sztywno. Na zewnątrz Marguerite Le François drżała i trzęsła się, ledwo przytomna, natomiast wewnątrz umysł Evelyn Gardiner pędził niczym błyskawiczny pociąg. Zerknęła do sąsiedniego pokoju, gdzie Żaba już podchodziła do Lili. Dobrze wiedziała, jak Lili zamierza się zachować, i to napełniało ją obawą.

Żaba warknęła na Lili, żeby ta się rozebrała.

„Będziesz się opierać”, pomyślała Eve.

Lili stała spokojnie jak posąg i nie miała zamiaru się ruszać. Żaba złapała więc tę dużo drobniejszą od siebie kobietę i zaczęła szarpać jej spódnice.

„Będziesz się dalej opierać”, myślała Eve.

Lili walczyła, ale Żaba była krępa i silna, aż w końcu zerwała z Lili wszystkie ubrania jedno po drugim. Lili przestała się szarpać, lecz nie kulila się, gdy była już naga. Stała prosto i spokojnie, gdy Żaba ją obmacywała. Widać było każde zebro, a kości jej mostka wystawały niczym szczeble drabiny. Była taka malutka. Żaba ruszyła w stronę sterty ubrań ułożonych na torebce i popchnęła Lili tak brutalnie, że ta aż się zatoczyła,

ale pogardliwy uśmiech nie schodził z jej twarzy nawet wtedy, gdy patrzyła, jak Żaba przeszukuje jej torebkę.

„Niech ona tam nic nie znajdzie”, modliła się Eve, lecz zaraz rozległy się okrzyki, gdy po opróżnieniu torebki okazało się, że w środku było pięć czy sześć kart identyfikacyjnych, które Lili miała przygotowane, by szybko przejść przez kontrolę. Żaba zamachała kartami przed nosem Lili, coś wrzeszcząc, ale ona tylko na nią patrzyła, stojąc nieruchomo.

Wreszcie pozwolono Lili się ubrać, a gdy zapinała już ostatnie guziki pod szyją, do pomieszczenia wszedł mężczyzna z kubkiem w dłoni. Eve ustawiła się w takiej pozycji, by móc patrzeć zza zasłony zwieszających się włosów, mimo że nadal płakała, skulona. Rozpoznała przybysza: był to *Herr Rotselaer*, naczelnik policji z niedalekiego Tournai. Eve widywała go w Lille tylko z daleka, ale napisała o nim raport na podstawie tego, co mówili inni oficerowie. Był to niski mężczyzna o ciemnej karnacji, starannie ubrany w świetnie skrojony garnitur. Miał świdrujące spojrzenie, którym teraz poząrał Lili.

– *Mademoiselle* – odezwał się po francusku. – Może jest pani spragniona?

Podał jej kubek, który trzymał w dłoni. Nawet przez szybę Eve widziała żółtawy kolor zwarzonego płynu. Chcieli zmusić Lili, żeby zwymiotowała połkniętą wiadomość.

– Dziękuję, *monsieur* – odparła Lili uprzejmie. – Nie chce mi się pić, przynajmniej nie skisłe mleko. Macie tu koniak? To był zupełnie spieprzony dzień. – To samo powiedziała podczas ich pierwszego spotkania w Hawrze. Eve zobaczyła je dwie w dusznej kawiarni tamtego dnia: na zewnątrz lał deszcz, a Lili miała na sobie tamten horrendalny kapelusz, wielki jak młyńskie koło. To wspomnienie było jak dźgnięcie nożem. „Witaj w siatce Alice”.

– No już, bez wybrzydzenia! – Rotselaer usiłował się zdobyć na żartobliwy ton, podsuwając kubek w jej stronę. – Pij albo gadaj!

Żaba szarpnęła Lili za łokieć, lecz Lili tylko się uśmiechnęła i pokręciła głową.

*Herr Rotselaer* rzucił się w jej kierunku, próbując zmusić ją do wypicia zawartości kubka, gdy Żaba odchyliła jej głowę do tyłu, a Lili posłała kubek w powietrze. Żaba spoliczkowała ją, ale Rotselaer uniósł dłoń.

– Zabierzemy ją na przesłuchanie – powiedział, a Eve poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. – I tamtą też.

– Ją? – parsknęła Lili. – To jakaś głupia dziewczyna ze sklepu, żaden tam szpieg. Zagadałam do niej, bo tylko ona z całej kolejki wyglądała na taką idiotkę, która by mi pożyczyła przepustkę!

Rotselaer zerknął przez szybę tam, gdzie siedziała skulona i płacząca Eve.

– Proszę ją tu przyprowadzić. – Żaba wpadła przez drzwi łączące pomieszczenia, złapała Eve za łokieć i wciągnęła ją do celi Lili. Eve padła przed naczelnikiem na kolana, zmieniając szlochy i czkawkę na wycie. Zauważyła, że histeria przychodzi jej zaskakująco łatwo. Wewnątrz była zimna jak lód i tylko przyglądała się temu szlochającemu biedactwu. Przez zapuchnięte powieki widziała małe, bose stopy Lili jakieś piętnaście centymetrów obok.

– *Mademoiselle...* – *Herr* Rotselaer próbował złapać spojrzenie Eve, ale ona tylko się kuliła. – *Mademoiselle* Le François, o ile to jest pani prawdziwe nazwisko...

– Ja ją poznaję, panie naczelniku – zgłosił się jakiś niemiecki żołnierz. Był to ten sam młody kapitan, który przedtem je aresztował. Czy to dlatego chciał się dokładniej przyjrzeć ich papierom, że rozpoznał Eve? „To moja wina, moja wina”. – Mieszka przy Rue Saint-Cloux, pamiętam ją z inspekcji. To porządna dziewczyna.

– Marguerite Le François. – *Herr* Rotselaer wskazał podbródkiem na Lili, przeglądając dokumenty Eve. – Czy zna pani tę kobietę?

– N... N... – To było jak zdrada, to słowo, które miały wypowiedzieć usta Eve. – N... – Jak pocałunek zdrady na policzku Lili, jak trzydzieści srebrników ciężących na jej języku, kwaśnych i metalicznych. – Nie – wyszeptała w końcu Eve.

– No przecież, że mnie nie zna. – Głos Lili był szorstki i znudzony. – Nigdy wcześniej jej nie widziałam. Wydaje się wam, że w ogóle bym próbowała przejść przez punkt kontrolny z jękającą się idiotką?

*Herr* Rotselaer popatrzył na Eve: włosy lepiły jej się do mokrych policzków, a ręce trzęsły tak bardzo, jakby ktoś puszczał przez nie prąd.

– Dokąd się wybierałaś, mała?

– D-d-d...

– Na litość boską, nie możesz mówić normalnie? Dokąd się wybierałaś?

– D-d-d... – Eve nie udawała. Język jeszcze nigdy w życiu tak się jej nie plątał. – N-n-na komunię mojej b-b-b... mojej b-bratanicy. W Tour... Tour...

– Tournai?

– Tak, H-H-H... Tak, *Herr* R-R...

– Masz tam rodzinę?

Odpowiedź zajęła Eve długie minuty. Rotselaer przestępował z nogi na nogę. Lili sprawiała wrażenie obojętnej, ale Eve mogła wyczuć jej napięcie, wewnątrz była niczym struna. Stała dosłownie na wyciągnięcie ramienia, a jej myśli można było odczytać tak łatwo, jak przez szybę.

„Szlochaj dalej, kwiatuszku. Nie przestawaj”.

*Herr* Rotselaer spróbował zadać jeszcze kilka pytań, ale Eve zaczęła histerycznie zanosić się płaczem i znów opadła na podłogę. Parkiet miał ostry zapach środka dezynfekującego. Skowyczała jak kopnięte szczenię. Jej puls był powolny i zimny.

– Na litość boską... – *Herr* Rotselaer, zde gustowany, wykonał gest w stronę młodego kapitana. – Proszę wypisać tej dziewczynie nową przepustkę do Tournai i ją puścić. – Odwrócił się do Lili, a jego oczy płonęły. – A pani, *mademoiselle L’Espionne*, odpowie na parę pytań. Mamy pani koleżanki...

„Violette”, myślała Eve, nawet gdy niemiecki kapitan pomagał jej wstać.

– ... i sprawy nie będą dla nich wyglądały zbyt dobrze, jeśli nie zaczniesz pani mówić.

Lili przyjrzała się naczelnikowi policji.

– Pan kłamie – powiedziała wreszcie. – Bo się pan boi. To dobrze, *Herr* Rotselaer. Tymczasem ja już nic więcej nie powiem.

Jej spojrzenie skrzyżowało się na chwilę ze spojrzeniem Eve, było w nim pozdrowienie. Potem przeniosła wzrok na ścianę i zamknęła usta niczym posąg.

Rotselaer złapał ją za ramiona i zaczął nią trząść tak mocno, że jej głowa podskakiwała do przodu i do tyłu.

– Jesteś szpiegiem, żalonym szpiegiem i wszystko mi powiesz!

Lili nie powiedziała ani słowa. Wtedy Eve wyprowadzono z celi, szlochała tak bardzo, że nie była w stanie mówić. Tym razem jej płacz był prawdziwy.

Kapitan surowo ją napomniął na temat niebezpieczeństwa wynikającego z dzielenia się oficjalnymi dokumentami, ale widząc jej ciągły płacz, trochę odpuścił po części z irytacji, po części z litości.

– To nie jest miejsce dla młodej dziewczyny – powiedział, pstrykając palcami na urzędników, by wypisali dla niej nową przepustkę. – Postąpiła pani głupio, *mademoiselle*, ale przepraszam panią za te wszystkie nieprzyjemności.

Eve nie mogła przestać szlochać. „Lili – myślała zrozpaczona – och, Lili!” Miała ochotę wyrwać się, zawrócić i pobiec do pokoju, skąd dochodziło perorowanie Rotselaera. Chciała rozszarpać zębami jego gardło, ale została na miejscu, płacząc z twarzą w dłoniach, podczas gdy niemiecki kapitan ją napominał i strofował.

– Proszę wracać do domu – powtórzył, wciskając jej do ręki nową przepustkę. Najwyraźniej chciał się jej jak najszybciej stamtąd pozbyć. – Proszę wracać do Tournai, do rodziców. Do domu.

A Eve, ściskając nową przepustkę i czując się jak Judasz, odwróciła się od przyjaciółki i wyszła z niemieckiego aresztu.

\*\*\*

Dom, w którym miało się odbyć spotkanie, był mały, obskurny i niczym się nie różnił od innych domów ciągnących się po obu stronach ulicy. Eve wspięła się ciężko po schodach i zapukała w umówiony sposób. Nie zdążyła jeszcze opuścić dłoni, a drzwi już się otworzyły. Kapitan Cameron przez ułamek sekundy zagapił się na nią, zaskoczony, a potem wciągnął ją do domu i przytulił.

– Dzięki Bogu, że miałas na tyle rozsądku, żeby jednak przyjechać – wymamrotał. – Nawet po tym, jak aresztowali Violette, myślałem, że będziesz zbyt uparta, żeby wyjechać.

Eve wciągnęła zapach tweedu, fajkowego dymu i herbaty – bardzo angielski zapach. Przyzwyczaiała się, że męskie objęcia pachną paryską

wodą kolońską, papierosami marki Gauloises i absyntem.

Cameron opamiętał się i odsunął od niej. Nie miał krawata, rozpiął kołnierzyk pod szyją i pod jego oczami widać było oznaki przemęczenia.

– Miałaś bezpieczną podróż, przepuścili cię bez problemu?

Eve przełknęła ślinę, by uspokoić drżący oddech.

– Cameron, chodzi o Lili...

– Gdzie ona jest, spóźnia się, bo szuka wieści o Violette? Ona za bardzo ryzykuje...

Eve prawie to wykrzyczała.

– Lili została aresztowana. – Znów poczuła ból niczym kopnięcie w brzuch. – Nie przyjdzie. Niemcy ją złapali.

– Jezu Chryste. – Cameron powiedział to bardzo cicho, jak modlitwę. Podczas jednego oddechu jego twarz postarzała się o wiele lat. Eve zaczęła się bardzo szybko tłumaczyć, ale uciszył ją. – Nie tutaj. To musi się odbyć oficjalnie.

Oczywiście. Wszystko musi być oficjalnie, nawet taka kompletna katastrofa. Eve ruszyła sztywno za Cameronem do ciasnego salonu, gdzie wszystkie stoliki przesunięto pod ścianę, by zrobić miejsce na praktyczne szafki na dokumenty wypełnione po brzegi papierami. Dwóch mężczyzn przeglądało dokumenty: chuderławy urzędnik w samej koszuli i jakiś agresywnie wyglądający wojskowy typ z wypomadowanymi wąsami, który otaksował Eve spojrzeniem, gdy weszła do pomieszczenia. Był to major George Allenton, czyli Wąsaty. To on dopilnował, żeby Eve się dowiedziała o wyroku Camerona.

– To nie może być ta słynna Louise de B. – powiedział z niewyszukaną galanterią, najwyraźniej nie pamiętając Eve z Folkestone. – Za młoda i za ładna.

– Nie teraz, majorze – warknął Cameron, przysuwając krzesło dla Eve i wypraszając urzędnika. – Siatka Alice została wykryta. – Odwrócił się do nich, gdy drzwi zatrzasnęły się za urzędnikiem, i usiadł naprzeciwko Eve. Poruszał się jak stary człowiek. – Opowiedz mi wszystko.

I Eve wszystko mu opowiedziała w krótkich, szorstkich słowach. Gdy skończyła mówić, twarz Camerona zrobiła się szara, natomiast jego oczy wyrażały gniew pełen napięcia. Spojrzał na Allentona.



– A mówiłem – powiedział cicho – że dalsze pozostawienie kobiet w terenie było zbyt ryzykowne.

Allenton wzruszył ramionami.

– W czasie wojny trzeba ryzykować.

Mało brakowało, a Eve przechyliłaby się przez blat, żeby go spoliczkować, ale powstrzymała się, widząc, jak Cameron sam gryzie się w język, by nie powiedzieć kilku bardzo gniewnych słów. Allenton skubał paznokieć swojego kciuka, najwyraźniej nic nie zauważając, Cameron zaś przesunął dłońmi po swojej postarzałej nagle twarzy.

– Lili – powiedział i pokręcił głową. – Nie wiem, czemu tak bardzo jestem tym wstrząśnięty. Ona ciągle za dużo ryzykowała. Ale wszystko jej zwykle uchodziło na sucho... Chyba mi się wydawało, że zawsze tak będzie.

– Tym razem jej się nie udało. – Eve czuła się tak zmęczona, że nie była pewna, czy da radę podnieść się z krzesła. – I teraz je złapali, ją i Violette. Mam nadzieję, że szwaby dadzą je do jednej celi, bo razem zdołają znieść wszystko.

Major Allenton kręcił głową.

– Ale że te szkopy panią puściły!

– M-myśleli, że jestem p-pryglupia. – Tyle tego płaczu na pokaz. Teraz Eve czuła wewnątrz jedynie długi krzyk rozpacz, choć nie potrafiłaby już przywołać ani jednej łzy. Chciała się zwinąć w kłębek niczym umierające zwierzę, ale wciąż miała zadanie do wykonania, więc powtórzyła całe swoje sprawozdanie o Verdun i zobaczyła, jak zmęczenie w oczach Camerona ustępuje miejsca czujności. Zaczął robić notatki, spychając rozpacz gdzieś na dalszy plan. Major Allenton wciąż przerywał Eve pytaniami, co ją bardzo irytowało. Cameron zawsze pozwalał jej wyrecytować cały raport od początku do końca, a dopiero potem wracał do konkretnych szczegółów, natomiast major Allenton przerywał przy co drugim zdaniu.

– Verdun, powiada pani?

– Verdun. – Eve wyobraziła sobie, że wyrywa mu te wypomadowane wąsy. – To potwierdzone.

Allenton spojrział na Camerona z wyższością.

– To właśnie dlatego zdecydowałem, żeby ją jeszcze zostawić w terenie.

– Oczywiście. – Cameron wypuścił powietrze. – Teraz jednak chyba zgodzi się pan, że panna Gardiner powinna już wrócić do Folkestone. Nie mamy innego wyjścia, jak rozwiązać siatkę Alice.

– Dlaczego? – Allenton popatrzył na Eve. – Moim zdaniem powinniśmy ją odesłać do Lille. – Eve poczuła ciężar na sercu, ale mimo znużenia skinęła głową na zgodę. Cameron wyglądał na wstrząśniętego, a jego brwi zbliżyły się do linii płowych włosów. – Pan chyba nie mówi tego poważnie.

Nikt się nie zwrócił bezpośrednio do Eve, lecz ona odpowiedziała i tak.

– Pojadę tam, gdzie dostanę rozkaz. Mam zadanie do wykonania.

– Pani zadanie się zakończyło. – Cameron obrócił się w jej stronę. – Wykonała pani doskonałą pracę, ale rejon Lille jest teraz zbyt niebezpieczny, by utrzymywać tam informatorów. Bez Lili cała siatka się rozpadnie.

– Ktoś inny mógłby nią kierować. – Allenton wzruszył ramionami. – Ta dziewczyna przecież rwie się do roboty.

Głos Camerona zabrzmiał głucho.

– Proszę przyjąć do wiadomości, że pragnę wyrazić swój zdecydowany sprzeciw, majorze.

– Och, to nie będzie na długo, najwyżej parę tygodni.

– Pojadę na tak długo, jak to będzie potrzebne. – Eve odepchnęła swoje przerażenie. Chociaż bardzo jej się chciało, nie miała zamiaru płakać, gdy w grę wchodziło ludzkie życie. – Jeszcze dziś wieczorem złapię powrotny pociąg.

Cameron wstał. Jego szczeka była zaciśnięta z wściekłości, a dłoń, którą pomógł jej podnieść się z krzesła, wcale nie była delikatna.

– Majorze, chciałbym zamienić z panną Gardiner parę słów na osobności. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, porozmawiamy na górze.

Eve pozwoliła mu się wyprowadzić z salonu, a towarzyszył im rehot Allentona. Weszli piętro wyżej do prowizorycznej sypialni, w której jedynym meblem było żelazne łóżko przykryte stertą koców.

– Nieproszony wchodzi pan do sypialni damy? – powiedziała Eve. – Chyba naprawdę jest pan wzburzony.

– Wzburzony? – Jego głos niewiele odbiegający od szeptu drżał z napięcia. – Tak, jestem wzburzony. Odmawiasz możliwości uniknięcia

wykonania rozkazu, który jest kompletnie idiotyczny. Mogę tylko uznać, że po prostu chcesz dać się zastrzelić.

– Jestem szpiegiem. – Eve postawiła swoją walizkę na ziemi. – Niektórzy mogliby powiedzieć, że moja praca polega na tym, żeby do mnie strzelali. W każdym razie na pewno polega na tym, że muszę wykonywać rozkazy.

– A ja ci mówię, że ten jest absurdalny. Myślisz, że w wywiadzie nie ma idiotów, że twoi przełożeni to wybitni ludzie, którzy rozumieją, na czym ta zabawa polega? – Wykonał wściekły gest w stronę majora Allentona. – W tej robocie jest pełno durni. Pogrywają z ludzkim życiem i robią to nieudolnie, a kiedy umierają ludzie tacy jak ty, oni tylko wzruszają ramionami, mówiąc, że w czasie wojny trzeba ryzykować. Naprawdę jesteś gotowa stanąć przed plutonem egzekucyjnym dla takiego kretyna?

– Uwierz mi, naprawdę chciałabym już poprosić o możliwość powrotu. – Eve dotknęła jego rękawa, starając się powstrzymać wybuch wściekłości. – Ale nie powiem, że mnie to z-złamało, bo to nieprawda. Jeśli przeniosą mnie z Lille z powodu załamania albo przemęczenia, już nigdy do niczego się nie przydam. – Zrobiła pauzę. Cameron przecesał włosy, lecz nie zaprzeczył. – To tylko parę tygodni – ciągnęła Eve. – Dam radę przeżyć kolejnych parę tygodni, a potem...

– Wiesz, co on powiedział, jak wykonano egzekucję na Edith Cavell? – Cameron ściszył głos i znów zaczął gestykulować w stronę Allentona. – Że to była najlepsza rzecz, jaka mogła się zdarzyć, bo wszyscy w Anglii wściekli się w odpowiednim momencie. Nie lubię źle mówić o innych oficerach, ale musisz mnie zrozumieć: on w ogóle by się nie przejął, gdyby ciebie złapali tak jak Violette i Lili, bo martwe dziewczyny oznaczają lepszą sprzedaż gazet i większe wsparcie dla chłopców w okopach. Ja natomiast nie mam zwyczaju niepotrzebnie ryzykować życia moich ludzi.

– Ja nie robię tego niepotrzebnie...

– Chcesz się zemścić za Violette i Lili, bo je kochasz. Chcesz zemsty, a jeśli jej nie dostaniesz, to jesteś gotowa umrzeć, próbując się zemścić. Uwierz mi, bardzo dobrze znam to uczucie.

– Gdybym była mężczyzną, mówiłbyś, że jestem patriotką, bo chcę kontynuować swoją służbę ojczyźnie. – Eve skrzyżowała ramiona. – A kiedy kobieta chce tego samego, mówi się, że to samobójstwo.

– Szpieg, nad którym biorą górę emocje, na nic się nie przyda swojemu krajowi. A twoje emocje są dużo bardziej gwałtowne, niż to po sobie pokazujesz. Zresztą w takiej sytuacji każdy by się tak czuł. Na zewnątrz wydajesz się spokojna, ale przecież ja cię znam.

– Skoro tak, to wiesz, że jestem w stanie panować nad emocjami, jeśli mam jakieś zadanie, tak samo jak każdy żołnierz, który ma rozkazy do wykonania. Jak każdy człowiek, który złożył przysięgę.

– Eve, nie. Zabraniam ci.

Nazwał ją Eve, nie ma co, zdradził się. Uśmiechnęła się chłodno w duchu. Nie powinien był się tak odsłaniać.

– Przekonasz Allentona, że nie nadajesz się do kontynuowania służby w Lille – rozkazał Cameron, wygładzając swoje mankiety. – Potem odeślę cię do Folkestone. Nie lubię obchodzić decyzji przełożonych, ale tu nie ma innego wyjścia. Koniec dyskusji.

Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. Zaraz zejdzie na dół i powie Allentonowi, że ona przyznaje się do załamania nerwowego. Nie mogła na to pozwolić. Eve wzięła go za rękę.

– Zostań ze mną – wyszeptała.

Odsunął się, a jego gniew ustąpił czemuś skrytemu, ostrożnemu.

Sięgnęła w górę, wsunęła dłonie pod jego rozpięty kołnierzyk i przycisnęła usta do zagłębienia w jego szyi. Pachniał wodą Lifebuoy. „Eve”.

– Panno Gardiner, mnie tu nie powinno w ogóle być. – Położył dłonie na jej dłoniach.

Eve wspięła się na palce, by szepnąć mu do ucha.

– Nie zostawiaj mnie samej. – W jej głosie tkwił ukryty haczyk.

Był to cios poniżej pasa i Eve doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Cameron zatrzymał się. Czowała ciepło jego dłoni na swoich dłoniach. Naciskała dalej, dobrze wiedząc, co powiedzieć.

– Dziś rano widziałam, jak Lili zabrali Niemcy. Ja... Proszę, nie zostawiaj mnie teraz samej. Nie z-zniosłabym tego.

To była naprawdę nieuczciwa sztuczka mogąca zadziałać tylko dlatego, że Cameron był dżentelmenem, który nie mógł spokojnie patrzeć na cierpienie kobiety. René w życiu by się na to nie złapał.

Głos Camerona spoważniał.

– Ja też straciłem przyjaciół, Eve. Wiem, co teraz czujesz...

– Potrzebuję ciepła – wyszeptała w odpowiedzi, przesuwając palce przez jego włosy. Od jak dawna o tym marzyła? – Chcę się położyć, chcę ciepła, chcę zapomnieć.

– Eve... – Znow zaczął się odsuwać, wciąż jednak trzymając dłoń na jej nagiej szyi. Jego złota obrączka na serdecznym palcu zrobiła się ciepła od dotyku jej skóry. – Nie mogę...

– Proszę. – Poczowała dźgnięcie rozpacz, jakby to była żywa istota. Chciała zapomnieć, chociaż na kilka minut. Podniosła się i pocałowała go, wyczuwając za kolanami ramę łóżka.

– Nie mogę wykorzystać twojej słabości – powiedział, ale z ustami wciąż przy jej ustach.

– Pomóż mi zapomnieć – wyszeptała Eve. – Pomóż mi zapomnieć, Cameron. – I Cameron się złamał. Złamał się niczym zburzona ściana i przyciągnął Eve do siebie, ze zduszonym pomrukiem, a potem już wpili się w siebie, gorączkowo i z otwartymi ustami. Eve pociągnęła go na łóżko, zanim zdążył się opamiętać, i zsunęła koszulę z jego ramion. Było to podstępne i nie w porządku, Eve dobrze o tym wiedziała. Nie sprowokowała tej sytuacji z namiętności, tylko dlatego, że chciała go powstrzymać, by nie mógł jej uniemożliwić powrotu do Lille. To nie oznaczało, że namiętność nie była przewidziana w jej kalkulacjach, ponieważ prawda najlepiej pracowała na rzecz kłamstwa. A prawda była taka, że Eve pragnęła Camerona już od bardzo dawna, odkąd zobaczył szpiega w jaskajacej się dziewczynie z biura.

– Jezu, Eve – powiedział z bólem w oczach, gdy zdjął jej bluzkę oraz halkę i zobaczył na jej nagich ramionach siniaki w tych miejscach, gdzie chwycili ją niemieccy strażnicy. – Cholerni barbarzyńcy... – Pocałował każdy siniak, obejmując dłońmi jej żebra. – Jesteś taka chuda – szeptał między pocałunkami. – Moja biedna, odważna dziewczyno...

Eve przywarła do niego, oplótła go udami i wciągnęła głęboko. Prawdopodobnie mogłaby go nabrać, że jest jej pierwszym mężczyzną, wręcz może nawet powinna była udać nieśmiałość i niezręczność. Tak byłoby mądrzej, ale nie zniosłaby kolejnego kłamstwa, nie tutaj. Nie udawała przy René, gdy jego ciało o marmurowej skórze poruszało się nad

nią, więc tym bardziej nie będzie udawać teraz, gdy smukły mężczyzna w jej objęciach ma piegi na ramionach i głos niczym szkocka mgła, i jest to mężczyzna, który zamyka oczy podczas pocałunków. Objęła go mocniej, sama zamknęła oczy i zatraciła się, a gdy było już po wszystkim, zorientowała się, że cicho płacze, przytulona do niego.

– Wiem – powiedział cicho, głaszcząc jej rozpuszczone włosy. – Uwierz mi, Eve, wiem, jak to jest. Sam widziałem, jak aresztowano ludzi, którzy byli dla mnie ważni.

Spojrzała na niego, pozwalając łzom spłynąć po jej twarzy.

– Kto to był?

– Chłopak nazywał się Léon Trulin, był jednym z moich rekrutów. Nie miał nawet dziewiętnastu lat... Aresztowali go kilka tygodni temu. A byli też inni. – Cameron powoli przesunął dłoń po przyprószonych siwizną włosach. – Nigdy nie mogłem się do tego przyzwyczaić. To okropna robota.

Rzeczywiście, to była okropna robota, a Eve miała niebawem do niej wrócić, ale miała nadzieję, że jeszcze przez parę godzin uda jej się odwrócić jego uwagę. Obróciła się w jego objęciach i była tak blisko, że jej wilgotne rzęsy ocierały się o jego policzek.

– Macie tu herbatę? – spytała szczerze. – Od miesiący piję tylko gotowane liście orzecha.

Uśmiechnął się, co nagle odjęło mu lat. Eve wiedziała, że niedługo będzie go dręczyło poczucie winy i wyrzuty sumienia. Będzie miał sobie za złe, że wykorzystał niewinność swojej podwładnej i nieobecność żony, lecz w tamtej chwili jeszcze było mu dobrze.

– Tak – powiedział i znów się uśmiechnął. – Mamy herbatę i prawdziwy cukier.

Jęknęła, niemal wypychając go z łóżka.

– No to mi zrób!

Włożył spodnie i wyszedł, na drewnianej podłodze słychać było kroki jego bosych stóp. Było to tak inne od tego, co na ogół działo się już po wszystkim: papierosy René, jego brokatowy szlafrok, łóżkowe rozmowy, które Eve pilnie analizowała i zapamiętywała... Nie chciała tu myśleć o René, więc gdy Cameron wrócił, wzięła od niego kubek i cicho jęknęła.

– Mogłabym teraz tu u-u-umrzeć.

Jakaś jej część rzeczywiście tego chciała. Umrzeć teraz, siedząc w łóżku, opierając się o tors Camerona: nie musiałyby się martwić o Lille ani o pracę, która na nią tam czekała, już się do niej nieubłaganie skradając, niczym troll spod mostu. Odgoniła tę myśl, lecz Cameron zdążył coś zauważyć.

– O czym myślisz? – Odgarnął jej kosmyk włosów za ucho.

– O niczym. – Eve pociągnęła łyk herbaty.

Cameron zawahał się, głaszcząc jednocześnie jej szyję.

– Eve... Kim on jest?

Nie udawała, że nie rozumie. Gdy wysyłał ją do Lille, była niewinną dziewczyną, nie tą samą, która przed chwilą tak namiętnie obejmowała go w tym łóżku.

– Nikim – powiedziała rzeczowo. – To ktoś, kto nad poduszką zdradza mi przydatne informacje.

Cameron rzekł prawie niesłyszalnym głosem:

– Bordelon?

Kiwnęła głową. Nie miała odwagi spojrzeć na niego, ale poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Na pewno czytał raporty o René, o tym, kim i czym on był. Jeśli Cameron się teraz od niej odsunie z obrzydzeniem...

Cóż, teraz to było już bez znaczenia. Nadal miała pracę do wykonania.

– Już nie będziesz musiała do niego chodzić. – Cameron odstawił kubek z herbatą i mocno ją objął. – Jutro rano zabiorę cię do Folkestone. Już nigdy nie będziesz musiała oglądać tego człowieka.

Najwyraźniej założył, że skoro przestała z nim dyskutować, to zgodziła się wymigać od wykonania rozkazu powrotu do Lille. Przez chwilę poddała się tej pokusie. Wrócić do domu, do bezpieczeństwa, do Anglii. I do herbaty.

Potem westchnęła i uwolniła się od tej myśli, odstawiła swój kubek i oparła policzek o ramię Camerona. Ten zaczął mówić, że musi wstawać, ale ona wciągnęła go z powrotem do łóżka. Kochali się jeszcze raz, czule i powoli, a Eve zduszała swoje krzyki jego ramieniem. Później Cameron zapadł w głęboki sen. Eve zaczekała, aż jego oddech stanie się głęboki i miarowy, potem bezgłośnie wyslizgnęła się z łóżka i się ubrała. Popatrzyła na niego przez chwilę, zastanawiając się, czy on jej to kiedykolwiek wybaczy. „Chyba nawet nie powinien – pomyślała. – Nie

może sobie pozwolić na to, by mnie kochać”. Chociaż ona niewątpliwie go kochała. Odgarnęła płowe włosy z jego czoła, które było zmarszczone nawet podczas snu, tak jakby cały czas się martwił, a potem zeszła na dół.

Major Allenton uśmiechnął się krzywo, gdy weszła do prowizorycznego biura. Na pewno podejrzewał, że na górze do czegoś doszło. Eve nie przejmowała się tym. On już zdecydował, że ją odeśle z powrotem, obojętnie, czy jest dziwką, czy nie.

– Potrzebuję przepustki – powiedziała bez zbędnych wstępów. – Jestem gotowa jeszcze dziś wsiąść do pociągu do Lille.

To go zaskoczyło.

– Sądziłem, że Cameron będzie próbował panią przekonać, żeby odmówiła wykonania tego rozkazu. Potrafi być podstępny. Wie pani, to się zdarza, gdy wojskowi zbyt długo się zajmują takimi podejrzanymi sprawami jak szpiegostwo. Robią się przebiegli.

Na jego twarzy odmalowała się wyraźna niechęć. Po tym, jak Eve musiała nauczyć się odczytywać najdrobniejsze drgnienia twarzy René, oglądanie myśli przebiegających przez oblicze majora było jak patrzenie na psa biegającego wokół domu na smyczy. Eve pociągnęła tę smycz tyle, ile było trzeba, spuszczając wzrok sarnich oczu w wyrazie posłuszeństwa.

– Pan przewyższa kapitana Camerona rangą, sir. Oczywiście, że wykonam pański rozkaz. Chce pan, bym wróciła do Lille, więc w-w-wrócę.

– Pani naprawdę rwie się do tej roboty, co? – Major z zadowoleniem sięgnął po pióro. Wychudzony urzędnik poszedł już do domu, za oknem zapadała noc. Tanie lampy oświetlały wszystkie miejsca, z których odłaziła tapeta. – Jestem w stanie zrozumieć, czemu Cameron czuje do pani taką... sympatię. – Znów otaksował ją spojrzeniem. – Niby prawie chodzi po ścianach, zamartwiając się o dziewczyny z siatki, ale tak naprawdę to martwi się tylko o panią.

Eve poczuła nagły przypływ radości, zmieszanej jednak z poczuciem winy, bo zaraz miał zacząć znów się o nią martwić.

– A moja przepustka? – przypomniała, zdając sobie sprawę, że czas leci. Cameron mógł mieć lekki sen i gdyby teraz obudził się z drzemki i zszedł na dół, znów by się zaczęła dyskusja. Dużo lepiej, jeśli jej już nie będzie, kiedy on wstanie.



Major zaczął wypisywać przepustkę.

– Założę, się, że Cameron nigdy pani nie powiedział, jaki jest jego kryptonim. – Eve powstrzymała chęć przewrócenia oczami w odpowiedzi na ten jego przymilny, konfidencyjny ton. Całe szczęście, że Allenton nie pracował w terenie, bo wydobywanie od niego informacji byłoby jak zabieranie dziecku cukierków. „Ty naprawdę jesteś idiotą”, miała ochotę powiedzieć, ale zamiast tego udzieliła mu takiej odpowiedzi, na jaką czekał.

– Nie, jaki jest kryptonim Camerona?

Allenton uśmiechnął się zgryźliwie, podając jej przepustkę.

– Evelyn.

# 27

## Charlie

*Maj 1947*

Znów zapadła noc, druga, odkąd się dowiedziałam, że Rose nie żyje. Nadal bałam się tego, co zobaczę w swoich snach, ale nie chciałam się znów upijać do nieprzytomności. Dopiero co przeszedł mi pulsujący ból głowy.

Powinnam już była zejść na dół, żeby zjeść kolację z Eve i Finnem, ale wciąż jeszcze przerzucałam swoje ubrania w poszukiwaniu czegoś czystego. Niczego nie prałam, odkąd wróciliśmy z Oradour-sur-Glane i została mi tylko czarna sukienka, którą wytargowałam od tamtej drobnej sprzedawczynie w Paryżu. Była prosta, surowa i geometryczna, sięgała wysoko pod szyję, na plecach miała głęboki dekolt i podkreślała wszystkie moje proste linie, zamiast je ukrywać. „*Trés chic*”, usłyszałam śmiech Rose, i mocno zacisnęłam powieki, bo powiedziała dokładnie to samo, gdy miała siedem lat, a my poszliśmy do garderoby jej mamy i zaczęłyśmy przymierzać wieczorowe suknie. Rose z cekinami Schiaparelli ześlizgującymi się z ramion jej marynarskiej bluzki, ciągnąca za sobą długi tren z tafty i chichocząca: „*Trés chic!*”, gdy ja człapałam w za dużych satynowych wieczorowych szpilkach.

Zamrugałam, żeby odegnąć to wspomnienie, i przejrzałam się w nierównym lustrze w moim pokoju. Pomyślałam, że ta sukienka spodobałaby się Rose, i zeszłam na dół.

Eve i Finn poszli coś zjeść do kawiarni w budynku obok: była mała, przytulna i bardzo francuska, z czerwonymi markizami i stołami nakrytymi obrusami w paski. Ktoś włączył radio, akurat leciała Édith Piaf. Oczywiście. *Les trois cloches*, „Trzy dzwony”. Zastanowiłam się, czy w Oradour-sur-Glane dzwoniły dzwony, gdy kobiety zapędzono do kościoła...

Zobaczyłam powykręcaną dłoń Eve machającą z najdalszego stolika i zaczęłam się przeciskać przez tłum kelnerów trzymających tace.

– Cześć, jankesko – przywitała mnie. – Finn mówił, że poznałaś majora Allentona. Czy to nie uroczy człowiek?

– Ma okropne wąsy.

– Kiedyś miałam ochotę wyrwać mu je z korzeniami. – Eve pokręciła głową, obracając w palcach niezjedzoną skórkę bagietki. – Szkoda, że tego nie zrobiłam.

Finn siedział naprzeciwko Eve, trzymając łokieć przewieszony przez oparcie krzesła. Nie odezwał się ani słowem, ale zobaczyłam, że zauważył czarną sukienkę. Przypomniałam sobie, jak obudziliśmy się dziś rano, splątani i śmierdzący whisky, i próbowałam złapać jego spojrzenie, lecz unikał moich oczu.

– Finn powiedział mi o Oradour-sur-Glane. – Za to Eve patrzyła mi prosto w oczy. – I o twojej kuzynce.

Za mną szczebiotała Édith Piaf: „Wioska w samym sercu doliny, jakby zagubiona...”. Czekałam, aż Eve powie „a nie mówiłam?”, czekałam, aż powie, że od początku się tego spodziewała i że porwałam się na bezsensowną wyprawę.

– Przykro mi – rzekła. – Jeśli to cokolwiek warte. A nie jest nic warte, gdy tracimy przyjaciela. To, że mi przykro, nie jest nic warte, ale i tak mi przykro.

Przestałam zaciskać zęby.

– Rose nie żyje. Ja nie... – Zamilkłam i zaczęłam jeszcze raz. – To co teraz?

– No cóż – odparła – ja cały czas szukam René Bordelona.

– Życzę ci powodzenia. – Oderwałam kawałek bagietki. Finn w milczeniu obracał długimi palcami swój kieliszek z winem. Eve uniosła brwi.

– Myślałam, że ty też chciałaś go znaleźć.

– Tylko dlatego, że miałam nadzieję, że mnie doprowadzi do Rose.

Eve wypuściła powietrze. Drink przy jej łokciu był dopity dopiero do połowy, jej oczy miały zamyślony wyraz.

– Wydaje mi się, że możesz być nadal zainteresowana tym polowaniem. Allenton pewnie i jest dupkiem, ale powiedział mi różne fascynujące rzeczy.

– A właściwie czemu ty chcesz odnaleźć René? – odgryzłam się. – Mówiłaś nam, że był spekulantem i że go szpiegowałaś. – I że sypiała z nim, żeby z niego wyciągać informacje, że zaszła z nim w ciążę i że musiała pozbyć się tego problemu. Ale przecież nie będę o tym mówiła przy kawiarnianym stoliku, kiedy obok cały czas chodzą kelnerzy. – Jakie zło jeszcze siedzi w tym siedemdziesięcioletnim starcu, że trzeba go tropić jak psa?

– A to musi być coś jeszcze? – powiedziała Eve z błyskiem w oku.

– Tak. Czy to ma jakiś związek z twoimi odznaczeniami? Z tymi krzyżami wojennymi i Orderem Imperium Brytyjskiego? – Wbiłam w nią wzrok. – Najwyższy czas, żebyś nam wszystko powiedziała, Eve. Przestań kluczyć i mów.

Finn nagle wstał i poszedł w stronę baru.

– Ma dziś gorszy nastrój – skomentowała Eve, patrząc, jak jej kierowca przepycha się przez tłok. – Oradour-sur-Glane musiało w nim obudzić jakieś wspomnienia. – Tu obróciła się w moją stronę, próbując mnie ocenić. – Czy ty w ogóle masz charakter, jankesko?

– Słucham?

– Muszę to wiedzieć. Twoja k-kuzynka nie żyje, czy teraz wrócisz do domu i będziesz dziergać buciki dla bobasa? Czy interesują cię poważniejsze wyzwania?

To uderzyło mocno w mój czuły punkt, przywołując pytanie, nad którym sama się zastanawiałam: „I co teraz, Charlie St. Clair?”.

– Skąd mam wiedzieć, na co się piszę, skoro nie mówisz mi, o co w tym wszystkim chodzi?

– Chodzi o moją przyjaciółkę – powiedziała po prostu. – Blondynkę z perlistym śmiechem i odwagą, z którą mogłaby podpalić świat.

„Rose?”, pomyślałam.

– Lili – uśmiechnęła się Eve. – Louise de Bettignies, Alice Dubois, a kto wie, ile jeszcze miała nazwisk. Dla mnie na zawsze pozostanie Lili. Najlepsza przyjaciółka, jaką można było mieć.

Lili. Czyli Eve miała Lili, a ja miałam Rose. Same kwiaty.

– Jeśli chodzi o kobiety, są dwa rodzaje kwiatów – rzekła Eve. – Takie, które siedzą sobie bezpiecznie w pięknym wazonie, albo takie, które zdołają

przetrwać w każdych warunkach... nawet pośród zła. Lili właśnie taka była. A ty? Jakim kwiatem jesteś?

Chciałabym myśleć, że należę do tego drugiego rodzaju. Ale zło (jakkolwiek dramatycznie by to zabrzmiało) nigdy nie poddało mnie takim próbom, jakie były udziałem Eve albo Rose, albo tej nieznannej Lili. Nigdy nie napotkałam na swojej drodze zła, jedynie smutek, porażkę i złe wybory. Wymamrotałam coś na ten temat i szybko zadałam własne pytanie:

– Nigdy nie wspominałaś o tej przyjaciółce z czasów wojny. Ani razu. Skoro Lili była twoją najlepszą przyjaciółką w życiu, to kim jeszcze była? Dlaczego jest taka ważna?

Siedziałam cicho, a Eve mówiła. Opowiedziała mi o ich spotkaniu w Hawrze, o gorzkim, ale ciepłym „Witaj w siatce Alice”. O mocnym, pełnym nadziei uścisku dłoni, gdy patrzyły na nieudany zamach na kajzera. O wylanych łzach, spokojnych radach i aresztowaniu. Prawie widziałam tę przyjaciółkę Eve przed sobą, tak żywo została opisana. Dla mnie wyglądała tak jak Rose, gdyby Rose zdążyła dożyć trzydziestu pięciu lat.

– Twoja przyjaciółka była kimś wyjątkowym – powiedział Finn, gdy głos Eve ucichł. Dołączył do nas wkrótce po tym, jak rozpoczęła się opowieść, i usiadł, a przed nim cały czas stała nienapoczęta butelka piwa. Po malującym się na jego twarzy zdziwieniu zorientowałam się, że te historie były dla niego taką samą nowością jak dla mnie. – Musiała być wspaniałą wojowniczką.

Eve dopiła drinka jednym długim haustem.

– Och, tak. Później nazywali ją królową szpiegów. W czasie pierwszej wojny były też inne siatki szpiegowskie, zresztą potem dowiedziałam się o różnych kobietach, które w nich pracowały, ale żadna nie była tak szybka ani tak dokładna jak te w siatce Lili. Lili zawiadywała prawie setką kontaktów na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów frontu, jedna kobieta... Ludzie na górze bardzo rozpaczali, gdy została aresztowana. Wiedzieli, że skoro znalazła się w rękach Niemców, to już nie będą dostawali informacji takiej jakości. – Uśmiechnęła się ponuro. – I rzeczywiście nie dostali.

Rose i ja, Finn i jego Cyganka, Eve i Lili. Czy cała nasza trójka podążała za duchami z przeszłości, za kobietami zagubionymi pośród wojennej zawieruchy? Ja straciłam Rose w Oradour-sur-Glane, Finn stracił swoją Cyganekę w Belsen, ale może Lili nadal żyła i miała się dobrze? Czy gdyby Eve znów ją zobaczyła, to uleczyłoby ją z rozpacz i poczucia winy? Otworzyłam usta, żeby spytać, co się stało z Lili, lecz Eve znów zaczęła mówić, świdrując mnie wzrokiem.

– Spędziłam ponad t-t-trzydzieści lat, próbując się pozbierać po tym, co się stało w Lille. I właśnie dlatego ci mówię, że nie powinnaś za długo przeżywać żałoby po swojej kuzynce, jankesko. Zdziwiłabyś się, jak szybko tygodnie zamieniają się w lata. Przeżyj to: rozwal jakiś pokój, upij się, prześpij się z marynarzem, zrób, cokolwiek będziesz potrzebowała zrobić, ale potem już zostaw to za sobą. Czy ci się to podoba, czy nie, ona nie żyje, a ty owszem. – Eve podniosła się. – Daj mi znać, czy jednak jesteś Kwiatem Zła, a ja ci powiem, dlaczego powinnaś razem ze mną znaleźć René Bordelona.

– Czy ty naprawdę zawsze musisz być taka tajemnicza? – syknęłam, ale Eve już wstała i odeszła, zostawiając pustą szklanekę. Gapiłam się za nią, a frustracja i rozpacz gotowały się we mnie niczym dwie ścierające się ze sobą rzeki. „I co teraz, Charlie St. Clair?”

– Louise de Bettignies – powiedział wreszcie Finn, marszcząc brwi. – Królowa szpiegów. Tak teraz myślę, że już o niej słyszałem. Pewnie pamiętam to z jakiegoś starego artykułu o wojennych bohaterkach...

Umilkł, obracając kieliszek w palcach. Widziałam, że znów wchodzi w ten stan napięcia i podenerwowania, w jakim był, zanim opowieść Eve odwróciła jego uwagę. Jego zwyczajowy luz i swoboda zamieniły się w twardą sztywność.

– Finn, co się dzieje?

– Nic. – Nie patrzył na mnie, tylko tam, gdzie poodsuwano stoły, żeby zrobić miejsce na parkiet. Pary kołysały się w rytm muzyki. – To dla mnie normalne.

– Nieprawda.

– Jak wróciłem ze służby w pułku, to cały czas tak miałem.

Mój brat robił się spięty i nieprzyjemny, ilekroć ktoś go pytał, jak było naprawdę na atolu Tarawa. Jego twarz przybierała wtedy ten sam nieprzenikniony wyraz, a jeśli ktoś za bardzo naciskał, James wybuchął, strasznie klął i potem wybiegał. Zawsze za bardzo się bałam iść za nim, bałam się, że na mnie też tak napadnie, ale potem żałowałam, że ani razu za nim nie poszłam i nie wzięłam go za rękę. Tak po prostu, żeby wiedział, że jestem przy nim, że go kocham i rozumiem jego cierpienie. Choć tak naprawdę nic nie rozumiałam, a potem odszedł i było za późno.

Przyjrzałam się zamkniętej twarzy Finna i chciałam mu powiedzieć, że dla niego jeszcze nie jest za późno. Wiedziałam jednak, że żadne słowa do niego nie trafią, jeśli jest w takim nastroju, tak jak nie trafiały do Jamesa, więc po prostu dotknęłam jego dłoni.

Strząsnął ją.

– Przejdzie mi.

„Czy komukolwiek to naprawdę przechodzi?” Popatrzyłam na krzesło, na którym przedtem siedziała Eve. Cała nasza trójka goniła za bolesnymi wspomnieniami rozciągającymi się ponad ruinami dwóch wojen i nie wydawało się, by komuś z nas choć trochę przeszło. Pomyślałam o tym, co powiedziała Eve. Może nie chodzi o to, żeby coś rzeczywiście zostawić za sobą, tylko żeby próbować. Bo w przeciwnym razie tygodnie zamieniają się w miesiące i ani się obejrzyysz, a stracisz trzydzieści lat tak jak ona.

W radiu znów śpiewała Édith Piaf. Podniosłam się.

– Chcesz zatańczyć, Finn?

– Nie.

Ja też nie chciałam. Stopy miałam ciężkie jak ołów. Ale Rose kochała tańczyć. Mój brat też, przypomniałam sobie, że w przeddzień jego wyjazdu na wojnę niezdarnie tańczyliśmy boogie-woogie. Oboje już dawno byliby na parkiecie. Dla nich mogłam się tam powlec na tych swoich ciężkich nogach.

Podeszłam do grupy tańczących i jakiś roześmiany Francuz pociągnął mnie do środka. Poruszałam się w rytm muzyki z jego ręką obejmującą moją talię, a kolejną piosenkę przetańczyłam z jego kolegą. Nie słuchałam ich szeptanych po francusku komplementów, tylko zamknęłam oczy i poruszałam stopami, próbując... może nie zapomnieć o unoszącej się nade mną chmurze bólu, ale przynajmniej pod nią potańczyć. Moje stopy mogły

być teraz ciężkie, lecz być może któregoś dnia uda mi się tanecznym krokiem wyjść spod tej chmury.

Tak więc, piosenka po piosence, poruszałam się w takt melodii, a Finn siedział wciąż nad tym samym piwem i patrzył na mnie – i pewnie wszystko byłoby w porządku, gdyby nie pojawiła się Cyganka.

Przestałam akurat tańczyć, żeby zasznurować sandały. Finn wstał, by odstawić niedopite piwo. Oboje zobaczyliśmy starą kobietę z wózkiem ubraną w wyblakłe kolorowe chusty. Może nawet nie była Cyganką – miała śniadą cerę i kolorowe spódnice, lecz skąd ja mam wiedzieć, jak naprawdę wyglądają Cyganie? – ale zaczęła coś mamrotać, gdy wybiegł do niej właściciel kawiarni. Wyciągnęła do niego dłoń w geście prośby, on zaś zamachał nad nią rękami, jakby wyganiał szczura z kuchni.

– Tu nie wolno zebrać! – Popchnął kobietę. – Wynocha stąd!

Odeszła ciężkim krokiem, najwyraźniej do tego przyzwyczajona. Właściciel kawiarni odwrócił się, wycierając dłonie o fartuch.

– Cygańska dziwka – powiedział pod nosem. – Szkoda, że ich wszystkich nie wywieźli i nie zamknęli.

Zauważyłam, jak na twarzy Finna odbija się fala ciężkiego gniewu.

Rzuciłam się w jego kierunku, ale on już upuścił swoją butelkę, rozległ się ostry dźwięk tłuczonego szkła. W trzech susach przemierzył kawiarnię, chwycił zaskoczonego właściciela za kołnierz, przyciągnął go i powalił jednym brutalnym ciosem podbródkowym.

– Finn!

Mój krzyk zginął w dźwięku tłuczonej porcelany towarzyszącym upadkowi właściciela, który pociągnął za sobą stolik. Finn przewrócił go na plecy jednym kopnięciem, a w jego oczach wciąż płonęła wściekłość. Potem opadł kolanem na tułów mężczyzny.

– Ty... żalosny... mały... dupku... – precyzyjnie wymawiał słowa, każde punktując pięścią. Krótkie, skuteczne ciosy brzmiały jak uderzenia tłuczka do mięsa.

– Finn!

Serce mi waliło jak młotem. Przepchnęłam się łokciami między przestraszonymi kobietami i mężczyznami, którzy powstawali z serwetkami wokół szyi, wszyscy byli wzburzeni i mieli rozdziawione usta.



Przede mną do Finna dobiegł kelner i złapał go za ramię. Finn zadał cios też jemu krótkim wybuchem pięści pędzącej prosto do nosa. Zobaczyłam, jak krew bryzgnęła i opadła jaskrawą plamą na upuszczoną serwetkę. Kelner zatoczył się do tyłu, a Finn wrócił do bicia właściciela, który krzyczał, próbując osłonić twarz.

„Sześciu chłopca musiało mnie odciągać, jak zacząłem walić jego głową o futrynę – opowiadał Finn o bijatyce, przez którą wylądował w więzieniu. – Dzięki Bogu zabrali mnie, zanim zdążyłem mu rozbić czaszkę”.

Może i nie byłam sześcioma osobami, ale wiedziałam, że tego wieczoru nikt nikomu nie rozbije głowy. Złapałam ramię Finna, twarde jak skała, i pociągnęłam z całej siły.

– Finn, przestań!

Obrócił się, zamierzając się na tego kogoś, kto próbował go powstrzymać. Oczy mu się zmieniły, gdy się zorientował, że to ja, więc zapanował nad siłą, z jaką miał zadać cios, ale było już za późno, by zatrzymać sam impet. Jego kostki uderzyły skraj moich ust na tyle mocno, że poczułam piekący ból. Cofnęłam się, podnosząc dłoń do twarzy.

Finn zbladł, a pięść opadła bezwładnie wzdłuż ciała.

– Jezu... – Wstał, nie zwracając już uwagi na jęczącego mężczyznę leżącego na ziemi z zakrwawionym nosem. – Jezu, Charlie...

Cały czas będąc w szoku, dotknęłam swoich ust.

– Nic się nie stało. – Prawdę mówiąc, raczej czułam ulgę, że przestał bić właściciela i na jego twarzy nie było już widać tamtego tępego gniewu. Serce waliło mi w piersi tak, jakbym właśnie pobiegła w wyścigu. Zrobiłam krok do przodu i wyciągnęłam do niego rękę.

– Nic się nie stało.

Wzdrygnął się. W jego oczach widać było przerażenie.

– Jezu – powiedział znowu i zataczając się, wybiegł z kawiarni, by uciec ode mnie i od tłumu gadających klientów.

Właściciel już wstawał z pomocą kilku kelnerów, otumaniony i wściekły, ale nie poświęciłam mu nawet spojrzenia. Wybiegłam tak szybko, jak tylko mogłam, w tym samym kierunku, w którym uciekł Finn. Zdążył już minąć *auberge*, wślizgnąć się między budynki i zobaczyłam, jak znika w garażu w głębi. Weszłam za nim, przeciskając się między rzędami peugeotów

i Citroënów w stronę podłużnej sylwetki lagundy. Finn siedział na tylnym siedzeniu, tak samo jak tamtej nocy w Roubaix, kiedy rozmawialiśmy do trzeciej nad ranem. Spuścił głowę, a jego ramiona unosiły się i opadały. Nie zauważył mnie, dopóki nie otworzyłam drzwi i nie usiadłam obok niego.

– Idź sobie – powiedział zduszonym głosem.

Wzięłam go za rękę.

– Zraniłeś się... – Jego palce były posiniaczone, a skóra na kostkach zdarta. Nie miałam chusteczki, więc tylko delikatnie dotknęłam poharatanej skóry.

Wyszarpnął dłoń i zanurzył palce w swoich włosach.

– Żałuję, że nie rozbiłem głowy tego żalostnego drania na papkę.

– Wtedy by cię aresztowali i znów zamknęli w więzieniu.

– Moje miejsce jest w więzieniu. – Nadal siedział zgarbiony, z dłońmi we włosach. – Uderzyłem cię, Charlie.

Dotknęłam swojej wargi; skóra nie była pęknięta.

– Nie wiedziałeś, że to ja, Finn. Jak tylko mnie zobaczyłeś, powstrzymałeś się od...

– Ale i tak cię uderzyłem. – Dopiero wtedy na mnie spojrział, jego oczy były jak studnie pełne gniewu i poczucia winy. – Ty tylko chciałaś mnie powstrzymać, żebym go nie zabił, a ja cię uderzyłem. Co ty tu robisz, Charlie? Czemu siedzisz po ciemku z takim złym człowiekiem jak ja?

– Wcale nie jesteś złym człowiekiem, Finn. Jesteś teraz wrakiem człowieka, ale nie jesteś zły.

– Co ty tam wiesz...

– Wiem, że mój brat nie był zły, kiedy walił pięściami w ściany, wykrzykiwał przekleństwa i panikował w tłumie! Nie był zły, tylko złamany. Ty tak samo. I Eve. I ja, kiedy traciłam czas w szkole, płacząc w łóżku albo śpiąc z chłopakami, których nie lubiłam. – Wbiłam wzrok w Finna, tak bardzo się starając, żeby mnie zrozumiał. – To, co jest zepsute, nie musi takie zostać na zawsze.

Tak bardzo chciałam mu pomóc. Wziąć go w dłonie i posklejać pęknięcia, zrobić to, co nie udało mi się z Jamesem. I czego nie byłam w stanie zrobić dla moich rodziców, gdy ślepo pograżyli się w żałobie po nim.

– To nie miejsce dla ciebie. – Głos Finna był szorstki i urywany. Zobaczyłam po jego ramionach, jak gniewne napięcie wraca. – Powinnaś wrócić do domu. Urodzić dziecko, ułożyć sobie życie. Nic dobrego nie wyniknie dla ciebie z zadawania się z takimi zniszczonymi ludźmi jak Gardiner i ja.

– Nigdzie nie pójde. – Znow wyciągnęłam rękę w stronę jego dłoni.

Odsunął się.

– Nie rób tego.

– Czemu? – Poprzedniego wieczoru siedzieliśmy ramię w ramię, pijąc whisky. Położyłam głowę na jego kolanach, on gładził moje włosy i nikt nie czuł dyskomfortu. Ale teraz Finn bardzo się wobec mnie najeżył, a przestrzeń między nami była pełna napięcia.

– Wyjdź z samochodu, Charlie.

– Czemu? – Znow mu się postawiłam. „Niech mnie szlag trafi, jeśli teraz się wycofam”.

– Bo w takich chwilach jak ta albo się pije, albo się bije, albo się pieprzy. – Patrzył prosto w cienie, gniewnie cedząc słowa. – To pierwsze zrobiłem wczoraj, to drugie dwadzieścia minut temu, a teraz jedyne, na co mam ochotę, to zerwać z ciebie tę czarną sukienkę. – Popatrzył na mnie i to spojrzenie prawie mnie spaliło. – Naprawdę powinnaś wysiąść.

Gdybym go teraz zostawiła, siedziałby tak przez całą noc ze swoim gniewem, poczuciem winy i martwą cygańską dziewczyną.

– Czy ci się to podoba, czy nie – powiedziałam, powtarzając słowa Eve – ona nie żyje, a ty owszem. Oboje żyjemy. – Wyciągnęłam ręce do góry, zatopiłam dłonie w jego włosach i przyciągnęłam jego głowę blisko mojej.

Nasze usta brutalnie się zderzyły i nie rozłączyły nawet wtedy, gdy mnie podniósł, abym mogła na nim usiąść. Jego policzki były mokre, moje też. On zerwał ze mnie górę czarnej sukienki, ja zaczęłam szarpać jego guziki, odpychając na bok kolejne warstwy ubrań, by móc dotknąć jego gorącej skóry swoją skórą, i żadne z nas nie przejmowało się tym, że ktoś mógłby przechodzić obok okien lagundy i nas zobaczyć. W drodze do Oradour-sur-Glane pocałował mnie z cudowną czułością, za to teraz jego usta brutalnie wpijały się w miękką skórę między moimi piersiami, a jego rzęsy ocierały się o mój mostek. Przycisnęłam policzek do jego włosów i przesunęłam

dłonie po jego szczupłej klatce piersiowej w stronę paska, wtedy na chwilę się zatrzymał, z trudem łapiąc oddech i przesuwając swoje duże dłonie po moich plecach.

– Jezu, Charlie – powiedział niezbyt wyraźnie. – Nie tak to sobie wyobrażałem.

Może i nie były to róże, światło świec i romantyczny nastrój. Ale to, tutaj i teraz, było dokładnie tym, czego oboje potrzebowaliśmy. Poprzedniej nocy chodziło o odrętwienie, ból i chęć zapomnienia, nie mogłam pozostać przytomna, bo chybabym w tym zatonęła. I nie miałam zamiaru pozwolić, by Finn też zatonął. Nie miałam zamiaru go tak zostawić, nie tak jak innych, których zawiodłam i straciłam.

– Zostań ze mną – wyszeptałam tuż przy jego ustach, a mój oddech stał się tak samo urywany jak jego. – Zostań ze mną. – Wczepiliśmy się w siebie na skórzanym siedzeniu, strategiczne części mojej sukienki zostały zsunięte tak, by nie przeszkadzały, a koszula i pasek Finna znalazły się na podłodze.

Na ogół w takich momentach mój umysł odpływał od tego, co się dzieje. Przystawałam wtedy próbować coś poczuć i zamiast tego stawałam się nieobecna i rozczarowana tym, że nie czuję nic, że najprostsze równanie świata: kobieta plus mężczyzna, zawsze dawało zero. Jednak nie tym razem. Pulsujący węzeł ciał na siedzeniu, odgłosy skrzypiącej skóry i ciężkich oddechów były te same co za każdym razem, ale teraz już nie odpływałam. Rozpuszczałam się, płonęłam i drżałam z pragnienia. Finn też drżał, wyciągnięty nade mną, cień na tle innych cieni. Jego dłonie tak mocno wplotły się w moje włosy, że ból aż palił skórę mojej głowy, a jego usta wpijały się w moje gardło, uszy i piersi tak mocno, jakby miał mnie zaraz pożreć. Mocno go objęłam ramionami i udami, przywarłam tak silnie, jakbym chciała znaleźć się w jego wnętrzu, i głęboko wbiłam paznokcie w jego plecy. Przewalaliśmy się tak, przyciskając skórę do spoconej skóry, ale to nam wciąż nie wystarczyło. Szarpałam go, wciągając głębiej w siebie, jak z oddali słyszałam dźwięki, które z siebie wydawałam, gdy zderzaliśmy się w desperackim, wściekłym rytmie. Było to szybkie, brutalne i dobre, chaotyczne, spocone i przede wszystkim żywe. Jego twarz była mocno

przyciśnięta do mojej, gdy jednocześnie przeszył nas oboje ostatni dreszcz, a ja poczułam, jak pomiędzy naszymi policzkami spływa łza.

Nie wiedziałam czyja. To nie miało jednak znaczenia. Nie była to łza rozpaczy, i to wystarczyło.

# 28

## Eve

### *Październik 1915*

Jeśli istniał w tygodniu jeden dzień dobry na aresztowanie, była nim niedziela. Jedyna spośród siedmiu nocy, podczas której Eve nie pracowała. Nawet tak dekadenccka restauracja jak Le Lethe była zamknięta w Dzień Pański. Eve wróciła do Lille przed nadejściem niedzielnej nocy, nie tęskniąc za nocną zmianą. „Drobne przysługi”, powiedziała na głos. Pokój był dotkliwie zimny i choć nic się w nim nie zmieniło – ani wąskie łóżko, ani stojąca w rogu walizka o podwójnym dnie skrywająca jej lugera – sprawiał wrażenie opuszczonego. Brakowało Violette kroczącej głośno w swoich ciężkich butach, narzekającej na angielskich pilotów, zbyt nierozważnych, by odpowiednio się ukryć. Nie było też Lili, która tanecznym krokiem wpadała do pokoju, opowiadając o tym, jak udało jej się przekupić strażnika i przemyścić do domu kielbaski. Eve rozejrzała się po pozbawionym życia, małym pokoju, wspominając wieczory, które spędzały tu razem, paląc i śmiejąc się. Silne ukłucie żalu niemal odebrało jej oddech. Miała zadanie do wykonania i wykona je, choć zostało pozbawione wszelkiej radości. Pozostaną jedynie dni w Le Lethe i noce w sypialni René, to wszystko. Nikt poza Eve nie będzie już odwiedzał tego pokoju.

„Antoine będzie”, pomyślała. Możemy opracować nowy plan. Cichy, niewzruszony Antoine wiedział najwięcej o informatorach Lili. W końcu to on pod osłoną swojej księgarni sfalszował papiery dla wielu z nich. Być może potrafiłby też odtworzyć przebieg obchodów Lili, tak by ktoś mógł je przejąć. Musiał być jakiś sposób. Eve poddała się fali zmęczenia. Położyła się, nawet nie zdejmując płaszcza. Powinna być głodna, jednak natrętna myśl o zapachu drogiej wody kolońskiej René wywróciła jej żołądek do góry nogami. Bez wątpienia lękała się momentu powrotu do jego domu. Ukryła

nos w wąskiej poduszce, próbując przywołać zapach herbaty i angielskiego tweedu.

– Cameron – wyszeptała i ledwie namacalne wspomnienie jego włosów pod jej palcami, ust muskających jej skórę za uchem przemknęło przez jej głowę. Zastanawiała się, czy żałował spędzonego razem popołudnia. Zastanawiała się, czy nienawidził jej za to, że go uwiodła, by potem mu się wymknąć. Zastanawiała się...

W końcu wyczerpana strachem, aresztowaniem, bólem i miłością nie mogła dłużej opierać się czarnej fali snu.

Następnego dnia Eve z trudem przedzierała się przez lodowate, ostre powietrze, gdy zmierzała do Le Lethe owinięta szalem aż po sam czubek nosa. Zwykle o tej porze restauracja tętniła od zgiełku przygotowań do otwarcia: kelnerzy nosili sztuce i nakrycia dla pierwszych gości, kucharze klęli, przygotowując swoje stanowiska pracy. Dziś jednak było tu ciemno i pusto, a kuchnia nie działała. Eve zawahała się, zaskoczona. Rozpięła płaszcz. Na drzwiach ani przy barze nie było żadnej wiadomości, że restauracja jest zamknięta. René był zbyt łasy na zarobki, by zamykać restaurację, jeśli nic go do tego nie zmuszało.

Od strony apartamentów René dobiegł ją głos:

– To ty, Marguerite?

Eve zawahała się. Kusiło ją, by udać, że nic nie słyszała, i wymknąć się z powrotem na zimne powietrze. Czuła, jak jej nerwy napinają się, namawiając do ucieczki. Jednak wychodząc, wywołałaby podejrzenia.

– Tak, to ja – zawołała.

– Wejdz na górę.

Studio René tonęło w świetle pomimo zaciągniętych zasłon. Ciepło z kominka promieniowało na ozdobny dywan aubusson, na ametyst i szafir kolorowej komody dekorowanej szkłem Tiffany’ego, wzorzyste cienie kładły się na zielonej, jedwabnej ścianie. René czytał usadowiony w swoim ulubionym fotelu z lampką bordeaux w dłoni.

– Ach – przywitał Eve. – Jesteś, pieszcotko.

Eve pozwoliła sobie przybrać wyraz zakłopotania.

– Czyżbyś nie otwierał dziś restauracji?

– Nie dziś. – Zaznaczył miejsce, w którym skończył czytać, kawałkiem wyszywanego jedwabiu i odłożył książkę na bok. Choć René miał miły uśmiech, na jego widok Eve poczuła, jak przechodzą ją ciarki. – To w ramach niespodzianki.

„Uciekaj”, usłyszała cichy głos w swojej głowie.

– Niespodzianki? – Złączyła dłonie za plecami tak, by dotknąć gałki u drzwi. Przekręciła ją bezgłośnie. – Kolejny weekend poza miastem? Mówiłeś, że chciałbyś pojechać do G-Grasse...

– Nie, to inna niespodzianka. – René wziął nieśpieszny łyk bordeaux. – Niespodzianka od ciebie dla mnie.

Palce Eve zacisnęły się wokół klamki.

– Ode mnie?

– Tak. – René sięgnął pod poduszkę leżącą na podłokietniku jego fotela i wyciągnął pistolet. Mierzył do Eve z dziewięćmilimetrowego lugera P08, dokładnie takiego, jak jej własny. Eve wiedziała, że z tej odległości kula wwierci się między jej oczy na długo przedtem, zanim zdąży otworzyć drzwi.

– Usiądź, pieszczotko. – René wskazał na fotel naprzeciwko. Gdy Eve siadała, dostrzegła drobne draśnięcie na lufie. Znała je. Polerowała je za każdym razem, gdy rozkładała swoją broń. Broń, którą trzymał René, to nie był zwykły luger. To był jej luger. Nagle przypomniała sobie, że mdły zapach wody kolońskiej René towarzyszył jej wczoraj we własnym pokoju, i poczuła, jak strach uderza w nią z siłą rozpędzonego pociągu.

– Marguerite Le François – powiedział René tonem, którym zwykł rozpoczynać swoje krótkie wywody na temat sztuki – powiedz mi, kim naprawdę jesteś.

\*\*\*

– Dlaczego tak trudno ci w to u-uwierzyć? – Eve udawała jąkanie, pozwalając, by jej ręce drżały. Odgrywała każdą oznakę niewinności i zagubienia, jaką tylko udało jej się przywołać. – To pistolet mojego ojca. W-wzięłam go, bo się bałam. Niemieccy oficerowie tak się puszą, patrząc na tutejsze d-dziewczyny...

René wbił w nią świdrujące, podejrzliwe spojrzenie.



– Aresztowali cię w towarzystwie dziewczyny, która miała przy sobie sześć różnych dowodów tożsamości. Była bez wątpienia szpiegiem. Co z nią robiłaś?

– N-nie znałam jej! Zaczęłyśmy rozmawiać na stacji, a ona zapomniała swojej p-p... przepustki. Powiedziałam jej, żeby przeszła z m-moją. – Myśli Eve pędziły szybciej od słów, układając się w pośpiechu w chaotyczną linię obrony. Nie przyszło jej do głowy, że René dowie się o aresztowaniu. Jakie były szanse, że jakiś niemiecki znajomy René z nieskrywaną radością opowie o aresztowaniu Lili, wspominając mimochodem, że wraz z nią zabrano jękającą się dziewczynę. Marguerite jakąś-tam, którą wypuścili, bo każdy widział, że była niewinna.

Gdyby nie wspomnieli jej imienia, René nigdy by się nie dowiedział. Kiedy jednak to zrobili, na jego dźwięk świadomość możliwych konsekwencji musiała uderzyć René niczym fala przyływu, skoro natychmiast udał się do jej pokoju. Luger był jedyną podejrzaną rzeczą, jaką znalazł. Eve nie przechowywała żadnych szyfrów czy zakodowanych wiadomości. Dla niego jednak broń okazała się wystarczającą wskazówką. Tak więc siedzieli teraz w fotelach naprzeciwko siebie.

– Nie byłabyś tak głupia, żeby pozwolić obcej dziewczynie użyć swojej przepustki, pieszczotko – powiedział.

– Nie widziałam w tym nic złego! – Eve usiłowała się rozplakać, lecz nie miała już łez, które mogłyby wypełnić jej oczy. Histeryczny płacz wczoraj rano przy Rostelaerze, a potem znów, gdy zabrali Lili, sprawił, że jej oczy były suche jak kamień dokładnie w chwili, gdy potrzebowała, by wypełniły się łzami. Spuściła więc wzrok. „Wybrniesz z tego – powtarzała sobie w duchu. – Dasz radę”.

Jednak uwaga René była niezachwiana. Tak samo jak luger, którego nie opuścił ani na chwilę.

– Gdzie byłaś wczoraj? Po co w ogóle chciałaś wsiąść do tego pociągu?

– M-moja siostrzenica w T-T-Tournai miała k-k-k-k-komunię.

– Nigdy nie wspominałaś o rodzinie w Tournai.

– Nigdy n-nie pytałaś!

– To twoje jękanie jest w ogóle prawdziwe? Czy udajesz, żeby wszyscy myśleli, że jesteś prostą dziewczyną? To byłoby bardzo sprytne.

– Oczywiście, ż-że jest prawdziwe! Myślisz, że lubię mówić w ten sposób?  
– zawyła Eve. – N-nie jestem szpiegiem! Znalazłeś cokolwiek podejrzanego w m-moim pokoju?

– To – odparł René, uderzając lufą lugera w rzeźbioną poręcz swojego fotela. – Dlaczego go nie oddałaś, kiedy Niemcy zabronili cywilom posiadać broń?

– Nie m-mogłam się z nią rozstać, należała do mojego o-o-o...

– Przestań się jąkać! – Ryknął nagle tak, że tym razem wzdrygnęła się zupełnie bez udawania. – Myślisz, że jestem głupi?

„Oto jego prawdziwa obawa”, pomyślała Eve, bał się, że ktoś zrobił z niego głupca. Czy przypomniał sobie teraz wszystkie swoje opowieści na dobranoc, wszystkie plotki, którymi raczył Eve? Czy raczej zastanawiał się, co się stanie z jego szczególną pozycją, kiedy Niemcy dowiedzą się, że jego kochanka ich sekretami karmiła angielski wywiad?

Raczej to pierwsze. Nie bał się utraty niemieckiego zaufania czy przywilejów, tylko narażenia na szwank swojej dumy. René Bordelon musiał być najmądrzejszym człowiekiem w towarzystwie. Zawsze. Myśl, że nic niewiedząca, połowę od niego młodsza dziewczyna mogła się okazać sprytniejsza od niego, była nie do zniesienia.

Teraz Eve nie czuła się sprytna. Odczuwała jedynie strach.

„Wybrniesz z tego”, trzymała się kurczowo tej myśli, bo myśl o alternatywie zdawała się nie do wytrzymania. Ale co potem? Nawet jeśli przekona René o swojej niewinności, jej czas w Le Lethe będzie skończony. Nie mogłaby wrócić do Lille bez względu na rozkazy Allentona. Poczwała ukłucie ostrza porażki. Lecz gdyby tylko udało jej się z tego wybrnąć, być może zostałaby przeniesiona gdzie indziej.

Przez głowę przemknęła jej jeszcze jedna słodka myśl: „Już nigdy nie musiałabym spać z René Bordelonem”.

Być może René dostrzegł iskry w jej oczach, bo wyprostował się gwałtownie.

– O czym myślisz? Dlaczego jesteś...

Był dokładnie tak blisko, jak tego potrzebowała. Niewiele myśląc, poderwała stopę, która smagnęła niczym bicz, próbując dosięgnąć lugera. Uderzenie wytrąciło pistolet z ręki René. Broń poszybowała w stronę

kominka. Nie było czasu, by ją podnieść, Eve skierowała się więc w drugą stronę – do wyjścia. Gdyby tylko zdążyła się wydostać, kiedy René będzie sięgał po pistolet, gdyby zdołała dotrzeć do schodów, miałyby szansę uciec na ulice Lille. Nie ryzykowałyby podróży pociągiem. Pieszko dotarłyby do granicy z Belgią. Wszystkie te myśli przepłynęły przez jej głowę niczym topniejący odłamek lodu, kiedy przedzierała się przez wzorzysty dywan. Położyła dłoń na klamce. Wypolerowane, jaśniejące diamentowanym blaskiem srebro. „Dam radę”, pomyślała.

Lecz René nie sięgnął po broń. Ruszył wprost za nią i kiedy palce Eve zacisnęły się na klamce otwierającej drzwi do studia, jego ramię opadło na nią krótkim, brutalnym łukiem. Miniaturowe popiersie Baudelaire’a rozbiło się o rękę Eve.

Siła uderzenia rozplynęła się po jej prawym ramieniu. Poczowała rozgrzany do białości ból. Usłyszała głośnie chrupnięcie, gdy trzy kostki jej dwóch palców roztrzaskały się, uwięzione między klamką a popiersiem. Zdała sobie sprawę, że klęczy bez tchu przed drzwiami. Przebiegały ją kolejne fale trudnego do zniesienia bólu. Widziała, jak zbliżają się do niej lśniąca buty René, widziała, jak małe marmurowe popiersie zwisa niedbale w jego dłoni, kiedy zatrzymał się między Eve a drzwiami, oddychając ciężko.

– Cóż – zdołała wycedzić przez zaciśnięte z bólu zęby, ściskając drżącą rękę. – Szlag by to...

Wypowiedziała te słowa zupełnie bezmyślnie po angielsku, nie po francusku. Usłyszała, jak René gwałtownie wciągnął powietrze. Kucnął przy niej tak, by ich oczy znalazły się na tej samej wysokości. Jego spojrzenie płonęło. Czym? Strachem? Niedowierzaniem? Przede wszystkim dziką wściekłością.

– Jesteś szpiegiem – wydyszał, a w jego głosie nie było już cienia wątpliwości.

A więc stało się. Zdradziła się. Tak długo obawiała się tego momentu, że gdy w końcu nadszedł, wydał się jej zaskakująco płytki. Być może dlatego, że wiedziała, że nie było nic, co mogłaby powiedzieć, by przekonać go o swojej niewinności. Dlaczego zatem miałyby się nie przyznać?

René owinał wolną rękę wokół jej gardła, niezwykle długimi palcami dociskając je nieomalże do karku. W drugiej ręce wciąż trzymał popiersie.

Eve wiedziała, że bez wysiłku może je rozbić na jej skroni.

– Kim jesteś?

Ręka bolała ją tak, że z trudem łapała oddech. Zaciskała zęby z całych sił, by gromadzący się w jej gardle krzyk zginał, zanim zdąży naprawdę się narodzić. Zdołała się zdobyć na mały, wykrzywiony uśmiech. Nie walcząc z jego uściskiem, wbiła spojrzenie w jego oczy. Ten jeden raz patrzyła na niego naprawdę, a nie wyuczonym spojrzeniem jego małej, zachowawczej pieszczołki.

Wiedziała, że może umrzeć w tym ciepłym, luksusowym pokoju. Najpierw jednak chciała ujrzeć jego twarz, gdy się zorientuje, jak bardzo został oszukany. Powinna skarcić się za lekkomyślny i próżny impuls, lecz nie potrafiła go zatrzymać.

– Mam na imię Eve – wykrztusiła. Każde słowo brzmiało gładko jak jedwab. – Eve, nie pierdolona Marguerite. I tak, jestem szpiegiem.

René przeszył dreszcz. Eve kontynuowała, teraz po niemiecku.

– Mówię bardzo dobrze po niemiecku, ty tchórzliwy naciągaczu, i podsłuchiwałam twoich drogocennych klientów od miesięcy.

Obserwowała, jak przerażenie, niedowierzanie i wściekłość zalewają jego oczy. Udało jej się przywołać na twarz jeszcze jeden uśmiech i dodała, tym razem dla równowagi po francusku.

– Nie powiem ci ani słowa na temat mojej pracy, przyjaciół ani kobiety, z którą mnie aresztowali. Powiem ci za to, René Bordelon, że jesteś naiwnym głupcem, beznadziejnym kochankiem, a ja nienawidzę Baudelaire’a.

# 29

## Charlie

*Maj 1947*

– Wracaj do hotelu, Charlie. Prześpij się trochę. – Finn siedział w połowie pogrążony w cieniu i zapinał koszulę. Unikał mojego wzroku. Całe moje ciało aż wibrowało od tego, co wydarzyło się przed momentem, i przez chwilę szukałam słów, by mu powiedzieć, jak zupełnie inne było to od wszystkiego, czego wcześniej doświadczyłam. Lecz Finn spojrzał na mnie i spostrzegłam, że znów skrył się za swoim murem, że stał się niedostępny. – Idź się położyć, dziewczusko.

– Nie zamierzam cię tu zostawić na pastwę czarnych myśli – odparłam cicho. Nigdy więcej... Już nigdy nie zostawię nikogo bliskiego, by sam walczył ze swoimi demonami.

– Bez obaw – rzekł Finn. – Wracam do tamtej kawiarni. Muszę przeprosić parę osób.

To brzmiało jak niezły początek, coś, co pomoże mu poczuć się znów sobą, więc skinęłam głową. Wysiedliśmy z samochodu, każde po swojej stronie, i popatrzyliśmy na siebie ponad dachem lagondy. Przez moment myślałam, że mężczyzna coś powie, ale wtedy jego spojrzenie padło na moje skaleczone usta i Finn się wzdrygnął.

– Dobranoc.

– Dobranoc.

I oto leżałam sama na łóżku w pustym hotelowym pokoju, i nie mogłam zasnąć. Przez okiennice sączyło się do środka żółte światło latarni oraz przytłumione dźwięki nocnej ulicy. Raz po raz przesuwałam czubkami palców po moim brzuchu w tę i z powrotem. Drobnny Kłopot nie odzywał się od czasu, gdy postanowiłam nie jechać do Vevey. Pewnie mała stwierdziła, że może się odprężyć i po prostu rosnąć sobie, rosnąć i rosnąć, aż nadejdzie pora jej narodzin. Dopiero wtedy zorientuje się, że świat to zimne miejsce, a jej matka właściwie nie ma pojęcia, jak zapewnić córeczce dobre życie.

Przed Oradour-sur-Glane miałam chociaż swoją fantazję, magiczne równanie, w którym Charlie plus Rose w cudowny sposób równało się szczęśliwa przyszłość dla wszystkich. Teraz to przepadło.

– Przykro mi – powiedziałam do brzucha, który był wciąż jeszcze płaski pod moimi badawczymi palcami. – Mamusia jest dokładnie tak samo bezradna jak ty, maluszka.

Nie wiem, czemu sądziłam, że to dziewczynka, ale tak właśnie było. „Mała Rose”, pomyślałam, i nagle, ot tak, moja córeczka miała już imię. Ależ oczywiście. Druga Rose. Moja własna Rose.

Dzwon na kościelnej wieży wybił północ. Zaburczało mi w brzuchu, to przed chwilą obdarzony imieniem Drobnny Kłopot skarżył się, że nie jadł kolacji. Przedziwne, jak nasze ciała uparcie funkcjonują pomimo szoku, rozpacz czy wyrzutów sumienia.

\*\*\*

– To jedno zdążyłam zauważyć, Różyczko – oznajmiłam swojemu brzuchowi. – Może cię jeszcze nie widać, ale odkąd ze mną jesteś, dwa razy częściej chodzę do łazienki.

Wstałam z łóżka, otuliłam się swetrem, skorzystałam z toalety, po czym zorientowałam się, że idę dalej korytarzem. Pod drzwiami Finna nie było światła. Miałam nadzieję, że poradził sobie z przeprosinami, wrócił tu i zapadł w sen bez koszmarów. Zastanawiałam się, czy żałuje tego, co zrobiliśmy na tylnym siedzeniu. Ja nie żałowałam. Wahałam się chwilę, stojąc pod jego drzwiami, po czym na palcach ruszyłam w stronę pokoju Eve. Zobaczyłam żółty paseczek światła – nie spała. Otworzyłam drzwi bez pukania i weszłam do środka.

Eve siedziała przy oknie, spoglądając na ciemną ulicę. W przyćmionym świetle nie było widać spustoszeń na jej twarzy, wyglądała na kobietę w nieokreślonym wieku, wysoką i szczupłą, z wyrazistym profilem i podwiniętymi pod siebie bosymi stopami. Mogła być nawet dziewczyną, która przyjechała do Lille w 1915 roku... gdyby nie te straszne, zniekształcone dłonie spoczywające na podolku. W tych rękach kryło się wszystko. I wszystko się od nich zaczęło. Przypomniało mi się, jak żółć

podeszła mi do gardła, kiedy zobaczyłam je po raz pierwszy tamtej nocy w Londynie.

– Czy wy, jankesi, nie potraficie pukać? – Koniuszek papierosa rozżarzył się, gdy kobieta zaciągnęła się dymem.

Skrzyżowałam ramiona na piersi.

– Chodzi o to – odezwałam się tak, jakbyśmy kontynuowały dawno rozpoczętą rozmowę – że nie mam pojęcia, co teraz.

Eve wreszcie na mnie spojrzała. Uniosła brwi.

– Miałam plan, wszystko porozkładane na kolejne etapy jak w prostym zadaniu z geometrii. Znaleźć Rose, jeśli żyje, urodzić dziecko, nauczyć się sobie radzić. A teraz nie mam planu. I nie jestem gotowa na powrót do domu. Nie chcę wracać do matki i znowu się kłócić o to, jak mam żyć. Nie mam ochoty siedzieć na kanapie i robić na drutach bucików.

Przede wszystkim zaś nie chciałam stracić tego tria, którym staliśmy się niepostrzeżenie razem z Eve i Finnem w ciemnoniebieskim samochodzie. Jakaś część mnie miała już dość cierpienia, była gotowa wycofać się i uciec do domu, zamiast ryzykować, że następnego ranka Finn mnie odrzuci. Jednak druga część – mała, lecz coraz bardziej wymagająca, zupełnie jak Różyczka – chciała wytrzymać do końca, niezależnie od tego, jaki miał on być. Nie byłam pewna, co przyciągnęło do siebie naszą trójkę ani dlaczego okazało się, że wszyscy gonimy za jakimś wariantem jednej i tej samej rzeczy: czegoś, co pozostawiły za sobą kobiety zaginione podczas minionych wojen. Ja nie miałam już dokąd jechać, nie miałam celu u kresu drogi, niemniej dokądś zmierzaliśmy i nie byłam gotowa zrezygnować z tej podróży.

– Wiem, czego chcę, Eve. Potrzebuję czasu, żeby ustalić, co dalej. – Po omacku przedzierałam się przez ten gąszcz, a ona po prostu siedziała, nie zdradzając w żaden sposób, czy moje słowa do niej docierają. Spojrzałam na jej ręce i nabrałam powietrza. – I chcę usłyszeć dalszy ciąg twojej historii.

Kobieta wydmuchała dym. Zza okna dobiegł mnie odgłos klaksonu jakiegoś nocnego kierowcy.

– Spytałaś mnie dzisiaj, czy mam charakter. – W uszach słyszałam walenie własnego serca. – Nie mam pojęcia. Kiedy ty byłaś w moim wieku, brałaś udział w wojnie i zgarniałaś medale, ja nigdy nie zrobiłam niczego

podobnego. Ale mam na tyle charakteru, żeby nie wracać do domu z podkulonym ogonem. I żeby wysłuchać tego, co cię spotkało, choćby było to koszmarne. – Usiadłam, wpatrując się w te nieruchome oczy, w których płonęło wspomnienie bólu i zaciekle pogarda dla siebie samej. – Dokończ opowieść. Daj mi powód, żebym została.

– Potrzebujesz powodu? – Podała mi swoje papierosy. – Zemsta.

Paczka ślizgała mi się w dłoni.

– Zemsta za kogo?

– Za aresztowanie Lili. – W ciemności głos kobiety był niski, chrapliwy, okrutny. – I za to, co spotkało mnie tej nocy, gdy zostałam złapana.

I podczas gdy za oknem mrok ustępował miejsca brzaskowi, Eve doprowadziła opowieść do końca.



# 30

## Eve

### *Październik 1915*

Nie liczyło się to, co powiedziała, ani to, czego nie powiedziała. Bez względu na to, czy obrażała René, grzecznie mu odpowiadała czy też nic nie mówiła, popiersie Baudelaire'a gwałtownym ruchem spadało na jej rękę, każdym uderzeniem łamiąc kolejny paliczek. Nawet w spazmach bólu Eve była w stanie je policzyć, spoglądając z góry na swoje dłonie.

Jej palce miały łącznie dwadzieścia osiem kości.

Dziewięć z nich zostało już zmiażdżonych przez René.

– Oddam cię Niemcom. – Choć metaliczny głos René wydawał się opanowany, pod maską spokoju dosłyszała jego rosnące napięcie. – Ale najpierw porozmawiasz ze mną i powiesz mi wszystko, co będę chciał wiedzieć.

Siedział naprzeciwko, stukając jednym palcem w zaokrąglony czubek głowy Baudelaire'a. Marmur, który kiedyś lśnił czystością, był pokryty krwią. Jej pierwsze palce połamał bez wprawy, niezdarnie, wzdrygając się na dźwięk roztrzaskiwanych kości. Stawał się w tym jednak coraz lepszy, choć na widok krwi wciąż marszczył nozdrza z niesmakiem. „Tortury to dla ciebie nowość tak samo jak i dla mnie”, pomyślała Eve. Straciła poczucie czasu. Stał się elastyczny, rozciągając się i kurcząc wraz z rytmem jej udręki. Z kominka dobiegał błysk ognia, gdy tak siedzieli w skórzanych fotelach, oddzieleni stołem, na którym zwykli rozgrywać wieczorną partię szachów, zanim udali się do łóżka. Z tą tylko różnicą, że teraz ręce Eve były ciasno przywiązane do powierzchni tego samego stołu. René związał ją tak ciasno, że jedwabny sznur wyciągnięty z jednego z jego dywanów boleśnie wbijał jej się w nadgarstki. Zbyt ciasno, by mogła mieć jakąkolwiek nadzieję na to, że się uwolni.

Zresztą nawet nie próbowała. Ucieczka nie wchodziła już w grę. Mogła jedynie milczeć i nie okazywać strachu. Siedziała więc wyprostowana, choć

marzyła, by się zwinąć z bólu i wrzeszczeć. Zdołała uśmiechnąć się do René. Nie miał pojęcia, ile wysiłku ją to kosztowało.

– Nie wolałbyś zagrać w szachy? – zasugerowała. – Pozwalałam ci uczyć mnie, jak grać. Marguerite była z-zbyt prosta, by znać zasady, ale ja jestem całkiem niezła. Chętnie zagrałabym z tobą naprawdę, zamiast jak zawsze pozwalać ci wygrać, bylebyś tylko mógł poczuć się lepszy.

Gniew wykrzywił twarz René. Eve ledwo zdążyła się przygotować na kolejne uderzenie, po którym nastąpił znany już dźwięk łamanych kości.

Krzyknęła przez zaciśnięte zęby, co sprawiło, że René zadrżał podbródek. Z początku obiecała sobie nie krzyczeć. Piąty paliczek sprawił jednak, że się złamała. Ten był dziesiąty. Nie potrafiła już udawać, że nie czuje bólu. Nie potrafiła też już spojrzeć na swoją rękę. Kątem oka dostrzegała mieszaną krwi, czerniejących sińców i groteskowo powykręcanych palców. Do tej pory łamał kości tylko jej prawej ręki. Lewa spoczywała spokojnie obok, zaciśnięta w pięść.

– Kim była kobieta, z którą cię aresztowano? – Głos René był napięty. – Na pewno nie jest głową waszej siatki, ale może zna tego, kto nią jest.

W środku Eve uśmiechała się. Nawet teraz ani René, ani Hunowie nie potrafili docenić Lili. Nie doceniali niczego, co kobiece.

– Nazywa się Alice Dubois i jest nikim.

– Nie wierzę ci.

Do tej pory nie uwierzył w żadne jej słowo. Po szóstej kostce Eve spróbowała podać mu fałszywe informacje, cokolwiek, co w danym momencie podpowiadała jej wyobraźnia. Miała nadzieję, że to go powstrzyma. Jednak nie powstrzymało. Nawet kiedy udała, że się zgadza, by mu wszystko wyznać. Tortury mogły być dla niego nowością, ale oddawał się im gorliwie.

– Jak naprawdę nazywa się ta kobieta? Gadaj!

– Dlaczego? – Eve splunęła z wysiłkiem. – I tak nie uwierzysz w nic, co powiem. Oddaj mnie Niemcom i pozwól im zadawać pytania.

W tej chwili marzyła o niemieckiej celi. Hunowie mogli ją przesłuchiwać, kopać leżącą na podłodze, lecz ich nienawiść nie była tak osobista, jak ta, którą żywił do niej zdradzony, przechytrzony René. „Po prostu mnie

wydam”, modliła się w duchu Eve, przygryzając do krwi górną wargę, by zdusić swój jęk.

– Nie wydam cię, dopóki nie wyciągnę z ciebie wszystkiego – powiedział, jakby czytając w jej myślach. – Niemcy przestaną mi ufać, gdy się dowiedzą, że moja kochanka była szpiegiem. Muszę dać im coś wartościowego, żeby zmienili zdanie. Jeśli nic takiego nie będę miał, mogę darować sobie wszystkie podejrzenia i po prostu cię zastrzelić. – Zamilkł na chwilę. – Kto by się właściwie przejął zniknięciem kelnerki?

– Nie możesz mnie zabić. Nie ujdzie ci to na sucho.

Oczywiście, że mógł ją zabić. Mimo to jednak Eve zaczęła siać wątpliwości w jego głowie. Już o tym myślała, gdy pierwszy raz wycelował w nią pistolet.

– Myślisz, że mógłbyś mnie stąd wyprowadzić? Że poszłabym z tobą spokojnie na własnych nogach w jakieś odległe, puste miejsce, gdzie mógłbyś mnie zastrzelić i zostawić w krzakach moje ciało? Krzyczałabym i wrywałabym się całą drogę. Ktoś by w końcu zobaczył.

– Mógłbym cię zabić tutaj, w tym pokoju.

– A potem sam musiałbyś się mnie pozbyć. Twój niemiecki przyjaciele mogą być ci coś dłużni, ale nie pomogliby ci pozbyć się zwłok. Myślisz, że możesz wywlec ciało ze swojej restauracji, tak żeby nikt nie zauważył? To miasto jest pełne szpiegów, René. Niemieckich, francuskich i angielskich. Każdy wszystko widzi. Nigdy nie uszłoby ci to na sucho.

Ależ oczywiście, że uszłoby. Pieniądze, szczęście i dobry plan to jedyne, czego trzeba do morderstwa doskonałego. Eve wymieniała jednak kolejne przeszkody i widziała, jak na twarzy René maluje się coraz więcej wątpliwości. Nie miał żadnego planu, a teraz ugrzązł tutaj, walcząc ze swoją potrzebą kontroli. „Potrafisz wszystko zaplanować co do minuty – pomyślała Eve. – Ale w przeciwieństwie do mnie jesteś beznadziejny w improwizacji”. W istocie, René rzadko był zaskakiwany przez innych ludzi. Kiedy coś sprawiało, że tracił orientację, zupełnie nie wiedział, jak postępować. Eve odsunęła tę myśl. Bóg jeden wiedział, czy kiedykolwiek będzie jeszcze mogła to przeciw niemu wykorzystać. Mimo wszystko odsunęła tę myśl.

– Mógłbym cię zabić – powiedział w końcu – ale wolę wyciągnąć od ciebie informacje. Jeśli dam Niemcom nazwiska agentów, którzy zrobili tyle złego w tym rejonie, będą mi niezmiernie wdzięczni. Mówią, że nie mają dowodów, żeby skazać na śmierć dwie kobiety, które zatrzymali.

Tę myśl Eve również odsunęła.

René uśmiechnął się, uderzając palcami w marmurową głowę Baudelaire'a, a Eve nie mogła powstrzymać lodowatego dreszczu, jaki przeszedł całe jej ciało, omijając jedynie zmiażdżoną dłoń.

– A zatem kim była ta kobieta, Eve?

– Nikim.

– Kłamiesz.

– Tak – wykrztusiła Eve. – W-wiesz, że kłamię, i nie uwierzysz w żadne moje słowo. Nie masz zielonego p-pojęcia, jak się kogoś przesłuchuje. Tu wcale nie chodzi o to, żeby wyciągnąć ode mnie informacje, tylko o to, że cię przechytryłam. Chcesz mnie zniszczyć, bo byłam od ciebie mądrzejsza.

Wpatrywał się w nią z zaciśniętymi ustami i wściekłym rumieńcem na twarzy.

– Kłamliwa suka.

– Powiem ci więc coś, w co możesz uwierzyć. – Eve pochyliła się do przodu ponad zmiażdżoną dłońią. – Każdy jęk rozkoszy, jaki wydałam w twoim łóżku, był udawany.

Popiersie runęło na jej rękę. Pierwsza kość prawego kciuka została roztrzaskana i tym razem Eve nie zdołała zdusić krzyku. Zastanawiała się, czy sąsiedzi usłyszą wrzask tłumiony przez lśniąca, okrywające okno gęste zasłony i grube mury. „Nikt ci nie pomoże, nawet jeśli cię usłyszą – pomyślała. – Zmrok za oknem mógłby równie dobrze zapadać nad miastem na drugim końcu świata. Byle zemdleć, błagała po cichu, byle zemdleć”... Ale René już podniósł leżącą obok jego łokcia szklanę wody i chlusnął jej w twarz. Świat w mgnieniu oka odzyskał wyraźne kontury.

– Od początku zamierzałaś mnie uwieść? – Jego głos był napięty.

– T-tchórzliwa francuska ciota. Sam wpadłeś w moje sidła. – Eve kaszlnęła, usiłując się zaśmiać. Po jej podbródku spływała kropla wody. – Ale ucieszyło mnie to. To, jak rozgadywałaś się w łóżku, było warte każdych czterech minut sapania i jęczenia...

Tylko trzy kostki prawej dłoni były wciąż całe. René złamał teraz je wszystkie serią celnych uderzeń. Eve wrzasnęła. Przenikliwy odór uniósł się w eleganckim studiu René. Zamroczone bólem, zdała sobie sprawę, że straciła kontrolę nad swoim ciałem. Mocz i nie tylko spływały po delikatnej jak jedwab skórze drogiego fotela na dywan. Nawet w obliczu bólu i tortur, którym ją poddano, czuła, jak zalewa ją wielka fala wstydu.

– Zobacz, jaka z ciebie brudna zdzira – powiedział. – Nie ma się co dziwić, że kazałem ci się myć za każdym razem, zanim cię pieprzyłem.

Kolejna fala wstydu. Lecz strach był silniejszy. Silniejszy, niż kiedykolwiek to sobie wyobrażała. „Pułapka – to słowo krążyło po jej głowie, czuła się jak mysz szukająca kryjówki przed polującym kotem. – Jestem w pułapce”, myślała. Nikt nie przyjdzie, by ją ocalić. Najprawdopodobniej zginie tutaj, kiedy tylko René będzie zbyt zmęczony, by dalej zadawać jej ból. Gdy tylko uzna, że łatwiej będzie ją zastrzelić niż wydać Niemcom. Jej usta wypełnił suchy żwir strachu.

– To była pierwsza ręka – rzekł René jak gdyby nigdy nic, odkładając na bok popiersie. Miał iskry w oczach. Być może był tak pobudzony, ale być może były to iskry wstydu kogoś, z kogo zrobiono głupca. Bez względu na to, co je wywołało, René już się nie wzdrygał, nie marszczył nosa, zniesmaczony widokiem brudu i krwi dookoła, nie drażniły go już zapachy i dźwięki. – Masz jeszcze drugą. Wystarczy ci. Zostawię ją w spokoju, jeśli tylko zaczniesz gadać. Powiedz, kim była kobieta, z którą cię aresztowali. Powiedz, kto wami dowodzi. Czemu wróciłaś do Lille, chociaż udało ci się już uciec do Tournai.

„Verdun – pomyślała Eve. – Przynajmniej udało się wysłać wiadomość”. Musiała wierzyć, że było warto, że wiadomość, dla której ona i Lili zostały aresztowane, zdoła uratować czyjeś życie.

– Powiedz mi to wszystko, a opatrzę ci rękę, dam laudanum na ból i zabiorę cię do Niemców. Nawet zorganizuję chirurga, który poskłada ci palce. – René wyciągnął rękę, gładząc ją po twarzy. Opuszki jego palców przyniosły kolejną falę cierpienia, uczucie wstrętu tak głębokie, że dreszcz przeszedł Eve aż do samych kości. – Po prostu powiedz mi wszystko.

– Nie uwierzysz mi, nawet jeśli...

– Uwierzę, pieaszczotko, uwierzę. Bo myślę, że cię złamałem. Myślę, że w końcu jesteś gotowa powiedzieć mi prawdę.

Oczy Eve zaszyły łzami. Dotarła do niej okrutna prawda, że w istocie chciała mu wszystko powiedzieć. „Pracowałam dla Louise de Bettignies, kryptonim Alice Dubois. To ona zarządzała całą siatką”. Miała te słowa na końcu języka. Lili, której imienia Eve nigdy by nie poznała, gdyby tylko nie wpadły na peronie na niemieckiego generała. Gdyby tylko to nigdy się nie wydarzyło.

„Pracowałam dla Louise de Bettignies i to ona zarządzała całą siatką, kobieta nie wyższa niż metr pięćdziesiąt, za to odważna jak lwica. I gdyby była na moim miejscu, nie pisnęłaby słowa, bez względu na to, ile palców by straciła”, pomyślała Eve.

A może byłoby inaczej? Nikt nie potrafi tego przewidzieć, dopóki czternaście kości jego palców nie będzie zawzięcie miażdżonych marmurową rzeźbą.

Lecz to nie Lili siedziała teraz ze związanymi przed sobą rękami. Kto wie, co zrobiłaby Lili. Eve mogła być pewna jedynie tego, co zrobiłaby Eve Gardiner.

– Kim jest ta kobieta? – wyszeptał René. – Kim?

Eve marzyła, by móc się kpiąco uśmiechnąć. Jednak nie został jej już żaden uśmiech, którym mogłaby obdarzyć kogokolwiek. Marzyła, by przywołać jakąś ciętą ripostę. Lecz w jej głowie nie było już żadnych docinków. Splunęła więc na René, obryzgując krwią jego nienagannie ogolony policzek.

– Idź do diabła, ty tania, kolaborująca pizdo.

Oczy René zapłonęły.

– Oj, pieaszczotko – westchnął. – Dziękuję.

Delikatnym ruchem sięgnął do lewej ręki Eve. Zacisnęła mocniej pięść. Chciała z nim walczyć, lecz rozwarł jej palce i rozpląszczył dłoń na stole, przytrzymując jak imadło. „Pieprzony Baudelaire”, pomyślała Eve, obnażając przed René pokryte krwią zęby. Strach był nie do zniesienia.

– Kim jest ta kobieta? – René wyglądał na rozbawionego. Popiersie trzymał nad małym palcem jej lewej dłoni.

– Nawet gdybyś mi uwierzył – rzekła Eve – nie powiedziałabym ci.

– Masz czternaście szans na zmianę decyzji – odparł René, po czym uderzył marmurowym Baudelaire’em.

\*\*\*

Czas się zatrzymał. Najpierw przyszedł szkarłat bólu, potem aksamitna czerń nieświadomości. Słyszała, jak dobiega ją metaliczny głos René, który niczym stalowa igła zszył razem koszmar rzeczywistości i ulgę omdlenia. Szklanka wody już nie wystarczyła, żeby przywrócić Eve świadomość. Wbił więc kciuk dokładnie w jedną z jej zmiażdżonych kości i naciskał tak długo, dopóki nie przebudziła się z krzykiem. Potem bez pośpiechu zaczął wycierać opuszki palców w czystą chusteczkę i jego pytania oraz dźwięk łamanych kości znów wypełniły pokój.

Ból przychodził i odchodził, ale strach pozostawał. Czasem kuliła się, a łzy spływały po jej twarzy. Czasem była w stanie usiąść wyprostowana w ubrudzonym krześle, by spojrzeć René prosto w oczy. W obu przypadkach nie odpowiadała już na jego pytania. Cierpienie sprawiło, że nie potrafiła wydobyć z siebie ani słowa, ani nawet udawanego uśmiechu.

Kiedy rozbił ostatnią kość, poczuła coś na kształt ulgi. Spojrzała na swoje zmasakrowane dłonie i poczuła się, jakby przekroczyła linię mety. „Zakładam, że teraz mógłby zająć się stopami – pomyślała oddzielona od reszty świata ścianą płaczu i drżenia. – Albo kolanami”... Lecz ból był tak wszechogarniający, że myśl o kolejnym już jej nie przerażała. Dotarła aż tutaj, milczałaby więc dalej.

Przecież René nie mógł jej tu wiecznie trzymać, krwawiącej na jego dywan, kiedy restauracja była zamknięta, nie przynosząc zysku, a hałas dobiegający z jego mieszkania zaczynał niepokoić sąsiadów. Musiał w końcu przerwać tę grę. Musiał oddać ją Niemcom lub zabić. Eve przestało obchodzić, co wybierze. Obie możliwości oznaczały, że ból się skończy.

„Przetrwaj – usłyszała szept w swojej głowie. To był głos Lili. Lili nigdy jej nie opuści. – Przetrwaj, stokroteczko”. Przetrwać Niemców, kiedy już się do niej dobiorą, to będzie zupełnie inna gra. W przeciwieństwie do René oni będą mogli sprawdzić wszystkie jej kłamstwa i prawdy. Lecz nie miała siły

martwić się cierpieniem, jakie miało dopiero nadejść. Pozostało to, które nadal trwało.

Przetrwaj. W istocie, nie było to trudne. Nie trzeba już udawać, żyć pod przykrywką jak na krawędzi. Eve zleciała właśnie z krawędzi, upadając boleśnie na twarde podłoże. Ale przynajmniej nie musiała teraz kłamać. Tylko przetrwać.

A więc przetrwała.

\*\*\*

Z coraz częstszych omdleń obudził ją nie przeszywający ból, lecz ogień sączący się po gardle. René stał za nią i przechylając jej głowę do tyłu, przykładał do jej ust szklankę brandy. Eve zakaszła, czując, jak palący płyn spływa w dół przełyku. Spróbowała zacisnąć usta, ale René uderzył szklanką o jej zęby.

– Wypij to albo wydlubię ci oko łyżeczką do absyntu.

Eve myślała, że strach osiągnął już swój szczyt. Wciąż jednak wyłaniały się przed nią nowe horyzonty, nowe szczyty przerażenia, na które wlatywała. Otworzyła usta i przełknęła potężną dawkę brandy, która paliła żołądek. René wrócił do fotela naprzeciwko. Przyglądał się jej, jakby chciał ją pożreć.

– Eve – powiedział, jakby smakując jej prawdziwe imię. – Pasuje. Byłaś czystą pokusą. Nie musiałaś nawet podawać mi biblijnego jabłka. Wziąłem cię, choć byłaś nikim, i uczyniłem swoją mużę. „W twych marzycielskich oczach nocnych zwidzeń roje, a szaleństwo i groza kolejno tve ciało przyoblekają w chłodu i milczenia zbroję”<sup>[5]</sup>...

– Znowu pieprzony Baudelaire? – zdołała wykrztusić Eve.

– To z *Muzy chorej*. Również pasuje.

Siedzieli w milczeniu. Eva czekała na kolejne pytania, ale René tylko się w nią wpatrywał. Osunęła się znowu w ciemną toń i tym razem przebudzenie nadeszło powoli. Wypływała na powierzchnię rzeczywistości, ledwo czując ból. Fotel René był pusty. Jadeitowa zieleń lśniących, pokrytych jedwabiem ścian zdawała się falować, gdy Eve rozglądała się za nim. Zamrugła, starając się zatrzymać pulsujące jak w kalejdoskopie



mury. Potrząsnęła głową, skupiając wzrok na eleganckim szklanym abażurze. Był tam paw, którego ogon migotał tysiącem odcieni błękitu i zieleni. Eve zapłakała. Paw odwrócił głowę. Jego lśniące oczy odnalazły ją, a każde z oczu, w które układały się pióra jego ogona, również zdawało się jej przyglądać. Pawie oczka, czy nie tak mówią na wzór, w który układają się pawie pióra? Teraz odwróciły się w stronę Eve. Rozprysły się wokół abażuru i zadzwoniły brzękiem poruszającego się szkła.

„To jest tylko w twojej głowie”, niewyraźnie usłyszała w środku niewyraźny głos. Lecz gdy zamrużyła ponownie, szklany paw nadal tam był. Rozsiadł się na szczycie lampy ze złowieszczo rozłożonym ogonem. Oczy spoglądały na nią oskarżycielsko. Zrobiła się mokra od potu.

Paw przemówił głosem delikatnym jak jego szklane ciało.

– Kim jest kobieta, z którą cię aresztowano?

Eve znów zapłakała. Jej myśli urywały się, czuła, że całkowicie zwariowała. „Może René coś mi dał – pomyślała. – Coś było w brandy”... Jednak ta myśl odpłynęła, zanim zdążyła się jej złapać i ją rozważyć.

Paw przemówił ponownie.

– Kim jest ta kobieta, Eve?

– N-nie wiem. – W istocie nic już nie wiedziała. Dała się wchłonać światowi koszmarów i nic nie było pewne. Popiersie Baudelaire’a stało na stole. Szeroko otwarte oczy z marmuru zalewała krew. Czerwone krople spływały po zimnych policzkach.

– Kim jest ta kobieta? – zapytał Baudelaire. Dźwięk jego słów przypominał odgłos rozbijanego marmuru. – Przecież dobrze wiesz.

Nad kominkiem w podłużnym, złobionym wazonie stały lilie. Wysokie i pełne wdzięku. Złowrogie lilie, kwiaty zła uwięzione w szkłe. Usta paliły Eve, gdy patrzyła na zimną wodę, w której były zanurzone.

– Wody – wymamrotała. Czuła, jakby jej język pokrywał suchy piasek.

– Dostaniesz wody, jak tylko powiesz mi, kim jest ta kobieta.

Lilie zdawały się wpatrywać w Eve złowrogim spojrzeniem. „Żeby ugasić żar pragnienia, musiałbym wypić wina tyle, ile się zmieści w jej mogile”<sup>[6]</sup>. Grobowe lilie. Grób Lili. Eve rozplakała się. U jej stóp, pośrodku zdobionego dywanu, rozstępowała się ziemia.

– *Le vin de l'assassin*. – Popiersie wymówiło na głos tytuł wiersza. – *Wino mordercy*. Bardzo dobrze, Eve. Kim jest ta kobieta?

Wydało jej się, że słyszy chichot René, jednak nigdzie go nie dostrzegła. Zniknął. Widziała jedynie falujący jedwab ścian, które oddychały w rytmie jej dudniącego tętna. Widziała też pawia i jego rozłożony ogon. Popiersie z zakrwawioną twarzą. Ziejącą u jej stóp czeluść. Coś żyło na jej dnie. Wielka, wygłodniała bestia. Szarpnęła za sznur wokół nadgarstków Eve, budząc ból w jej dłoniach. Powoli wspinała się do dłoni Eve. Wiedziała, że jeśli otworzy oczy, ujrzy, jak lśnięcymi zębami pożera jej połamane palce. Krzyknęła, szarpiąc rozpaczliwie za linę, a ból rozlał się po jej rękach. Umrze z bólu, jedzona żywcem i świadoma tego, co się dzieje, aż do końca. Płakała, kołysząc głową w przód i w tył, podczas gdy garbata bestia leniwie przeżuwała jej nadgarstki.

– Kim jest ta kobieta, Eve?

„Lili – pomyślała. – Czy bestia już cię zabiła?” Nie знаła odpowiedzi. Nie pamiętała. Krople potu spływały po jej szyi z przemoczonych włosów.

Zmusiła się do otwarcia oczu. Chciała patrzeć bestii w oczy, gdy ta będzie ją zabijać. Spojrzała na swoje ręce, oczekując, że zobaczy je uwięzione pomiędzy zębiskami, i wzdrygnęła się. Jej dłonie wciąż tam były, jednak zmienione. Zmiażdżone palce próbowały się odrodzić. Rozmnożyły się, a każdy pokryty był krwią. Na czubku zamiast paznokcia wyrastały oczy. Wszystkie zamrugały jednocześnie, spoglądając na nią, ślepe i oskarżycielskie.

„To ja jestem bestią – pomyślała otumaniona bólem. – To ja jestem bestią. Czy to ja zabiłam Lili?”

– Kim jest ta kobieta, Eve?

„Czy to ja ją zabijam?”, myślała gorączkowo.

Usta Eve otworzyły się i pulsujący, obłąkany świat pochłonęła ciemność. Kolejne czarne fale bólu, przerażenia i zębów uderzały w Eve.

\*\*\*

– Czas wstawać, pieszcotko.

Gdy otworzyła oczy, poczuła bolesne ukłucie światła. Nic jednak nie kłuło tak jak srebrne igły głosu René. Usiadła prosto, czując, jak przez jej dłonie przechodzi dreszcz boleści. Wciąż była przywiązana do fotela. Jej usta wyschły na wiór, a czaszkę rozsadzał ból. René uśmiechał się pochylony przy oknie wychodzącym na ulicę. Miał na sobie szary dzienny garnitur, a jego uczesane włosy lśniły, nasmarowane olejem. W ręku trzymał filiżankę z herbatą. Światło wpadające przez okno było mocne i jasne. W istocie, był ranek, choć Eve nie miała pojęcia którego dnia. Nie wiedziała, czy minęła jedna czy dwie noce, czy też upłynął już miesiąc udręki i bólu...

Zęby. Pulsujące ściany, złowieszcze oczy i zęby. Spojrzenie Eve błędziło dziko po pokoju, który wyglądał tak samo jak zawsze przedtem. Zielony jedwab na ścianach nie oddychał. Paw ze szklanego abażuru na komodzie pozostał na swoim miejscu. Lilie w podłużnym wazonie były tylko kwiatami.

Lilie. Lili. Serce Eve podskoczyło. Spojrzała na René, który uśmiechał się, popijając parującą herbatę.

– Ufam, że teraz jest ci wygodniej.

Eve po raz pierwszy spojrzała na swoje ręce. Były owinięte czystym bandażem. Grube, bezkształtne rękawice, które skrywały w środku horror. Wciąż miała na sobie brudne ubrania, lecz jej twarz i włosy zostały obmyte. René wysilił się, by uczynić jej wygląd znośnym.

– Przyjdą po ciebie ludzie *Herr Rotselaera* – wyjaśnił, wyglądając przez okno na ulicę. – Powinni tu być prawdopodobnie... za pół godziny. Pomyślałem, że powinnaś wyglądać chociaż trochę schludniej dla swoich nowych oprawców. Niektórzy młodzi oficerowie są wciąż delikatni, kiedy przychodzi im skrzywdzić kobietę. Nawet angielskiego szpiega.

Ulga spłynęła na Eve z siłą lawiny. „Szkopy po mnie przyjdą”, pomyślała. Nie umrze tutaj, w tym pokoju. Trafi do niemieckiej celi. Nawet jeśli tylko po to, by wkrótce zostać rozstrzelaną, wystarczy, że nie spotka w niej René. Tortury dobiegły końca.

„Wytrzymałam – uzmysłowiła sobie w odrętwieniu. – Przetrwałam”.

W swojej głowie ujrzała uśmiechającą się Lili. Być może spotka ją i Violette w więzieniu. Razem będą mogły stawić czoło wszystkiemu, nawet

wycelowanej w nie broni.

– Twoja przyjaciółka – powiedział René, jakby czytając w jej myślach. – Pozdrów ją ode mnie, jeśli spotkasz ją w więzieniu. Louise de Bettignies. To, zdaje się, wyjątkowa kobieta. Szkoda, że nigdy jej nie poznałem.

Upił łyk herbaty, stojąc w świetle słońca. Eve wpatrywała się w niego, we wciąż widoczne ślady grzebienia na włosach, świeżo ogoloną brodę.

– Ty mi powiedziałaś, jeśli się nad tym zastanawiasz – oznajmił.

– Nie powiedziałam ci n-n – próbowała wycedzić przez zaciśnięte usta. – N-n-nie powiedziałam ci n... – Nic. *Rien*. Tak proste słowo, jednak nie mogła go z siebie wydusić. Jej język zamienił się w kostkę lodu.

– Louise de Bettignies *alias* Alice Dubois *alias* tuzin kolejnych imion. Wymieniłaś je wszystkie. Niemiecki *Kommandant* będzie bardzo szczęśliwy, kiedy się dowie, kogo aresztował *Herr* Rotselaer. Głowę lokalnej siatki. Zdumiewające, że jest nią kobieta.

Eva powtórzyła po raz kolejny:

– Nie powiedziałam ci n-n... – Własny język ją zawiódł, gdy usiłowała wypowiedzieć najważniejsze w swoim życiu słowo. Jąkała się, spanikowana, ledwie pamiętając o dawnym uczuciu strachu. Jej ciało nie potrafiło udźwignąć reakcji o takiej sile. Krążyła więc nad nią jak dryfująca góra lodowa, gotowa zmiażdżyć ją doszczętnie. „Nic mu nie powiedziałam”, powtarzała w myślach.

Przypomniała sobie jednak gorączkowe sny, ozywające popiersie Baudelaire’a...

René pokiwał głową. Bez wątpienia ujrzał zmieniający się wyraz twarzy Eve. Tak długo starała się ukryć przed nim swoje emocje. Teraz jednak mógł czytać w niej jak w otwartej książce.

– Miałaś wczoraj rację co do jednego. Nie było żadnego sposobu, żebym przebił się przez twoje kłamstwa. Jednak opium... – Zamieszał herbatę w filiżance. – Widzisz, opium podane w dużej ilości wywołuje osobliwe wizje i zmniejsza opór. Zdecydowanie ujrzałaś coś dziwnego w nocy... To uczyniło cię bardzo uległą.

Eve potrafiła jedynie powtórzyć niczym zacięta płyta:

– Nie powiedziałam ci n-n...

– N-n-n-nie, moja pieśczołko. Wygadałaś mi wszystko. Dałaś mi nazwisko swojej przyjaciółki, Louise, za co zarówno ja, jak i Niemcy jesteśmy ogromnie wdzięczni. – Wzniósł toast na jej cześć filiżanką herbaty.

„Zdrajczyni – Eve słyszała złowieszcze echo w swojej głowie. – Zdrajczyni”. Nie, nigdy nie zdradziłaby Lili.

Zna jej imię. Skąd miałby je znać, jeśli nie od ciebie?

Nie.

Zdrajczyni.

Nie...

– Naprawdę – René kontynuował, ignorując milczenie Eve – gdybym wiedział, że dzięki opium tak łatwo się dogadamy, twoje ręce nadal byłyby w jednym kawałku, a moje mieszkanie nie śmierdziałoby moczem. Nie wiem, jak pozbędę się tych plam z mojego aubussona. – Uśmiechnął się szerzej i niepokojąco. – Ale może było warto. Dobrze się bawiłem, łamiąc cię, Marguerite. Eve. Wiesz, tak naprawdę żadne z tych imion do ciebie nie pasuje.

„Lili stojąca pod ścianą z zawiązanymi oczami, unoszące się przed nią lufy pistoletów... Zdrajczyni. Zdrajczyni. Evelyn Gardiner, jesteś głupia i tchórzliwa”.

– Mam dla ciebie lepsze imię. – René odłożył filiżankę. Podszedł bliżej i pochylił się tak, by twarzą dotknąć policzka Eve. Poczowała zapach jego wody kolońskiej. – Mój mały Judaszu.

Ból w czaszce Eve kłuł jak ukąszenia węża. Była przywiązana do krzesła, a jej ręce były ciasno oplecione bandażem. Zdołała jednak złapać dolną wargę René zębami i ugryźć z całych sił. Poczowała metaliczny posmak krwi, gorzki jak smak jej porażki. Eve wbijała zęby coraz mocniej i mocniej, nawet kiedy René zaczął krzyczeć i szarpać jej włosy. To był ostatni, dziki pocałunek informatora i szpiega, oprawcy i jeńca, kolaboranta i zdrajczyni, usta złączone ze sobą zębami i krwią. René musiał się wyrwać, żeby się uwolnić. Fotel Eve przewrócił się. Uderzyła głową o podłogę z siłą, która sprawiła, że świat przysłoniła pulsująca rytmicznie mgła.

– Pieprzona suka – syknął René. Jego kołnierzyk pokryły plamy krwi, oczy pociemniały z wściekłości, głos uniósł się, niszcząc pozory

niezmaconego niczym spokoju. – Ty angielski szpiclu, mieszańcu, jędzowata, złodziejska dziwko... – kontynuował, a jego nienagane dotąd słownictwo zmieniło się w język wprost z francuskiego rynsztoka. Usta miał czerwone od własnej krwi. Wyglądał, jakby pożerał dusze, i w istocie tak było. Przez ostatnie miesiące pożerał ludzkie dusze i serca, i życia, wszystko, byleby coś na tym zyskać. W końcu twarz René Bordelona stała się twarzą wygłodniałej bestii, którą był naprawdę. Eve nie poczuła jednak nawet iskry zwycięstwa, gdy go złamała. Ona też została złamana z trzaskiem znacznie głośniejszym i bardziej wyraźnym niż wilgotne chrupnięcia jej zmiądzonych palców. Leżała tam, przywiązana do przewróconego fotela, nie mogąc powstrzymać płaczu, choć nie było na świecie dość łez, by wyrazić wstyd, jaki czuła, i opisać horror, jaki przeżyła. Tak, była Judaszem. Zdradziła najlepszą przyjaciółkę dla najgorszego wroga.

„Chcę umrzeć – pomyślała Eve, kiedy René doszedł do siebie i wrócił na swoje miejsce przy oknie w geście pełnym złości, przyciskając do ust kawałek materiału. – Chcę umrzeć”.

Nie przestała o tym myśleć, gdy zjawili się Niemcy, rozwiązali jej nadgarstki i wciąż łkającą wyprowadzili z mieszkania.

# 31

## Charlie

*Maj 1947*

– Jezu – powiedział Finn cicho.

Opowieść Eve tak mnie zmroziła, że nawet się nie zorientowałam, że wszedł.

– Nie – powiedziała Eve swoim niskim, chropowatym głosem. – Jezusa nie było nigdzie w pobliżu tego zielonego gabinetu. Był tylko Judasz. – Sięgnęła po paczkę papierosów, ale ta była już od dawna pusta. – To właśnie ten g-g-gabinet wraca do mnie w snach. Nie twarz René, nie trzask moich łamanych palców. Tylko gabinet. Te oddychające ściany, paw od Tiffany’ego i to popiersie B-Baudelaire’a...

Pogrążyła się w myślach, odwracając twarz i pokazując ostry profil. Gdzieś z oddali dobiegało bicie dzwonów i wszyscy wsłuchaliśmy się w ten smutny dźwięk: Finn oparty bokiem o ścianę ze skrzyżowanymi ramionami, ja zwinięta na siedzeniu w oknie, Eve naprzeciwko mnie, nieruchoma jak posąg, z dłońmi złożonymi na kolanach.

Te dłonie. Od początku chciałam się dowiedzieć, co się z nimi stało – teraz już wiedziałam. Były ceną, jaką Eve zapłaciła za służbę dla swojego kraju, wojennymi ranami, które każdego dnia przypominały jej o tym, jak ją złamano. Tak bezkompromisowe serce jak jej nigdy nie uznałoby, że to nie była jej wina, że uległa. Ona widziała jedynie swoje tchórzostwo i czuła z tego powodu taki wstyd, że nie zgodziła się przyjąć swoich odznaczeń. Popatrzyłam na swoje nieporanione dłonie, po czym wyobraziłam sobie marmurowe popiersie opadające wielokrotnie w dół, aż moje palce wyglądają jak palce Eve, i wstrząsnął mną dreszcz, głęboki aż do kości.

– Eve – usłyszałam swój głos. – Jesteś najodważniejszą osobą, jaką znam. Machnęła ręką.

– Złamałam się. Wystarczyło trochę opium w kieliszku i puściłam farbę.

Coś nie dawało mi w tej kwestii spokoju. Nie wszystko się tu zgadzało i już otwierałam usta, żeby powiedzieć dlaczego, ale Finn odezwał się cicho i gniewnie.

– Nie rób z siebie kapusia, Gardiner. Każdy się może złamać. Wystarczy uderzyć w odpowiednim miejscu, dowiedzieć się, co jest dla nas ważne, robić nam krzywdę wystarczająco długo i wszyscy się złamiemy. Nie ma się czego wstydzić.

– Owszem, jest, ty głupi Szkocie. Lili została przez to skazana, i Violette, i ja.

– Ale to wina René Bordelona, że to z ciebie wyciągnął torturami. To wina Niemców, że wydali wyrok...

– W tym zwiędłym sercu jest dość poczucia winy, żeby wystarczyło dla wszystkich. – Jej głos był bezwzględny w tych oskarżeniach. Nadal na nas nie patrzyła. – René i Niemcy odegrali swoją rolę, lecz ja tak samo. Violette nigdy mi nie wybaczyła i nie mam jej tego za złe.

– Co się stało z Lili? – spytałam. – Czy... czy stanęła przed plutonem egzekucyjnym? – Wyobraziłam ją sobie, jak staje pod ścianą, drobna i elegancka, z zawiązanymi oczami, i z trudem nabrałam powietrza. Eve sprawiła, że Lili stała się dla mnie tak prawdziwa i droga jak Rose.

– Nie – odrzekła Eve. – Zbyt mało czasu minęło od egzekucji Cavell. Niemcy spotkaliby się z za dużą krytyką za zastrzelenie kolejnej kobiety. Nie, naszą trójkę czekał zupełnie inny los. – Zadrżała, jakby szczur przebiegł jej po nerwach.

– Ale ty przeżyłaś – powiedziałam. Zaszło mi w ustach. – Violette przeżyła. Czy Lili...

– Wystarczy już o procesie i całej reszcie. Zresztą to nie jest historia na ciemne noce, a poza tym teraz to nie jest ważne. – Eve prawie dosłownie odepchnęła od siebie tę kwestię, czegokolwiek ona dotyczyła, i wbiła we mnie wzrok. – Teraz ważny jest René Bordelon. Wiesz już, co mi zrobił i jakim był człowiekiem. Kiedy wojna się skończyła i wróciłam do domu, miałam zamiar wrócić do Lille i odstrzelić mu ten paskudny łeb. Całe lata o tym marzyłam. Kapitan Cameron mi to uniemożliwił: tego dnia, gdy wróciłam do Anglii, skłamał mi prosto w oczy, mówiąc, że René nie żyje. – Ton jej głosu powoli zmieniał się z ochryple wzburzonego w zwyczajowo



szorstki, im bardziej oddalała się od opowieści o swoim cierpieniu. – Cameronowi pewnie się wydawało, że dzięki temu odzyskam spokój ducha. Ten człowiek był tak cholernie szlachetny, że w ogóle nie pojmował żądy zemsty. Tego, jak nie możesz spać po nocach, gdy trzęsiesz się z nienawiści, marząc o tym, że jak tylko poczujesz smak krwi w ustach, to wreszcie będziesz mogła zasnąć i nie mieć żadnych s-s-s-nów.

Finn tylko wściekle skinął głową. Rozumiał to. Ja też. Wystarczyło, że pomyślałam o niemieckich żołnierzach, którzy zastrzelili Rose i jej córeczkę, i natychmiast czułam przyływ gwałtownej nienawiści.

– Może i zajęło mi to prawie trzydzieści l-l-l... – Eve uderzyła się okaleczoną pięścią w kolano, uwalniając zaklinowane słowo. – Trzydzieści lat, ale wyrównam ten rachunek. René jest mi to winien. – Eve nie spuszczała ze mnie wzroku. – Zresztą tobie też.

Zamrugałam.

– Jak to?

– Mówisz, że potrzebujesz powodu, by nadal brać udział w tych poszukiwaniach, jankesko, i mogę ci go podać, ale będziesz musiała mnie o to poprosić. Czy na pewno chcesz to usłyszeć?

Zamrugałam jeszcze raz. Byliśmy wszyscy tak głęboko zanurzeni w przeszłości Eve, że czułam się jak aktorka, którą wciągnięto na scenę do niewłaściwego przedstawienia.

– Tak. Chcę to usłyszeć. Ale nie rozumiem, przecież ja nigdy nie poznałam René Bordelona.

– Mimo to on ma wobec ciebie dług. Bo nie tylko po prostu zatrudniał tę twoją kuzynkę. – Teraz Eve mówiła zwięźle jak oficer. – Musiałam się dowiedzieć, czym René się zajmował po przyjeździe do Limoges pod nazwiskiem René du Malassis, więc spytałam majora Allentona. To idiota, dlatego przez lata oczywiście ciągle awansował. Całkiem sporo robił w czasie drugiej wojny, zresztą ja też brałam w tym jakiś udział, więc miałam od czego zacząć rozmowę, która ostatecznie zatrzymała się na René du Malassis. Pod wpływem hojnych ilości wina i komplementów informacje zaczęły się wylewać z Allentona strumieniami: niektóre powszechnie znane, a niektóre bardzo tajne. Bogu niech będą dzięki za gadatliwych idiotów. Allenton koordynował współpracę z kilkoma siatkami

francuskiego ruchu oporu w czasie drugiej wojny światowej, organizował dostawy zaopatrzenia i zbierał informacje. Było powszechnie wiadomo, że *monsieur* du Malassis był spekulantem i kolaborantem w Limoges. W zamian za polityczne przysługi przekazywał informacje nazistom i milicji na rozkaz tych szumowin z Vichy. – Eve sięgnęła do torebki i wyciągnęła coś, co mi po chwili podała, trzymając w dwóch zdeformowanych palcach. – To jest René w czterdziestym czwartym. Był zamieszany w jakąś sprawę, Allenton miał fotografię.

Wzięłam ją. Została zrobiona podczas wykwintnej kolacji z miejscowymi notablami i nazistowskimi oficerami, wszyscy ustawili się w szeregu do zdjęcia. Postać mężczyzny stojącego z brzegu po lewej stronie została zakreślona, więc przyjrzałam mu się dokładniej. Odwieczny wróg Eve nareszcie dostał twarz, nie była ona jednak tak szlachetnie wilcza, jak sobie ją wyobrażałam, słuchając o nim opowieści. Ze zdjęcia patrzył na mnie starszy mężczyzna w ciemnym garniturze. Miał szczupłą twarz, siwe włosy zaczesał do tyłu, odsłaniając wysokie czoło. Z wiekiem stał się raczej bardziej kościsty niż korpulentny, jednak nie wyglądał na słabego. Laska ze srebrną główką przewieszona przez jedno ramię wyglądała raczej na dodatek do stroju. Przyjrzałam się lekkiemu uśmiechowi na tej pokrytej zmarszczkami twarzy, zwróciłam uwagę na sposób, w jaki trzymał kieliszek w dwóch palcach, i zaczęłam się zastanawiać, czy nie zasugerowałam się opowieściami z przeszłości, gdy pomyślałam, że jego spojrzenie było bardzo, bardzo zimne.

Finn przechylił się przez moje ramię, żeby popatrzeć, i cicho zaklął. To ten stary człowiek złamał Eve w swoim zielonym gabinecie. Ona zamieniła się potem w zgorzkniałą staruszkę czającą się pośród gruzów, koszmarów i butelek whisky, tymczasem on dalej zarabiał pieniądze, przyjaźnił się z kolejnymi niemieckimi najeźdźcami i wciąż niszczył ludziom życie. Strzelił młodemu *sous-chefowi* w plecy za kradzież. Zasiadał przy stołach zastawionych błyszczącymi kryształami i obwieszonych swastykami i uśmiechał się do zdjęć...

Patrzyłam na jego twarz i coraz bardziej go nienawidziłam.

– W czasie drugiej wojny był powszechnie znany jako spekulant – ciągnęła Eve cicho. – Ale już mało kto wie, że był częściowo odpowiedzialny

za p-p-p... za pogrom. Do majora Allentona dotarła wiadomość od informatorów z milicji, że jakiś cywil doniósł na działaczy ruchu oporu w pobliskim miasteczku: podał milicjantom nazwisko pewnej dziewczyny, twierdząc, że ona wraz z innymi członkami ruchu oporu była winna porwania i zabicia niemieckiego oficera. Oficer ten to bliski przyjaciel Sturmbannführera SS Diekmanna z regimentu Führera w dywizji „Das Reich”. Kiedy milicja przekazała tę informację dalej i kiedy się okazało, że pojmany oficer rzeczywiście został zabity, wszyscy spodziewali się po Diekmannie, że dziewczyna zostanie aresztowana i powieszona. Ale on postanowił uczynić przykład nie tylko z niej, ale z całej jej miejscowości. – Eve nie spuszczała ze mnie wzroku. – Dziewczyna posługiwała się nazwiskiem Hélène Joubert. Wieś nazywała się Oradour-sur-Glane. Informatorem, który o wszystkim doniósł, był René.

Ogarnęło mnie przerażenie. Przypomniałam sobie głos *madame Rouffanche*: „Mówiła, że się nazywa Hélène Joubert... ale wszyscy mówiliśmy na nią Rose”.

– Nie wiadomo, czy twoja kuzynka rzeczywiście należała do ruchu oporu – ciągnęła Eve. – Na pewno jednak miała z nim powiązania, zwłaszcza jeśli należał do niego ojciec jej dziecka. Nie było jej na listach członków siatek szpiegowskich, które znał Allenton, lecz to jeszcze o niczym nie świadczy. Być może przestała tam działać, gdy urodziła dziecko, albo może przekazywała informacje bezpośrednio ze swojego miejsca pracy w Limoges. Kto to wie? Moim zdaniem bez względu na to, czy szpiegowała nazistów przychodzących do Le Lethe, czy nie, René uznał, że twoja Rose była podejrzana. W tamtym czasie mógł się już obawiać podsłuchujących kelnerów. – Eve uśmiechnęła się gorzko. – Ale nawet jeśli twoja kuzynka należała do ruchu oporu, to nie była zamieszana w porwanie i zabójstwo niemieckiego oficera, bo w takich operacjach biorą udział bardziej doświadczeni żołnierze. W każdym razie René chciał jej się pozbyć, więc...

– Więc podał jej nazwisko w donosie? – wyszeptałam. – Czemu jej po prostu nie zwolnił, jeśli nie chciał, żeby się pokazywała w restauracji?

– Pewnie uznał, że bezpieczniej będzie pozbyć się jej na dobre. Oczywiście mógłby sam ją zastrzelić, przecież w tamtych czasach już się nie brzydził pociągnąć za spust. Może uznał, że nie powinien czegoś takiego zrobić po

raz drugi, na pewno nie po tym incydencie z *sous-chefem*. To mogłoby go kosztować zbyt wiele przysług. Dlatego po prostu podał nazwisko twojej kuzynki i nazwę wioski, do której wracała na weekendy, i w ten sposób rozwiązał swój problem. – Eve przekrzywiła głowę. – Trzeba jednak przyznać, że mógł nie wiedzieć, że cała wieś zostanie zgładzona. Nawet gdyby Niemcy okazali litość pozostałym mieszkańcom Oradour-sur-Glane, to twoja kuzynka z pewnością zostałaby znaleziona i zamordowana przez SS. Z winy René Bordelona.

Dostałam gęsiej skórki. Fotografia zaczęła palić moją dłoń. Jeszcze raz przyjrzałam się tej zadowolonej, starej twarzy.

– Nie możemy zemścić się na Niemcach, którzy osobiście zamordowali twoją kuzynkę – powiedziała Eve. – Sturmbannführer Diekmann, człowiek, który wydał rozkaz masakry, umarł parę tygodni później w zamachu zorganizowanym przez aliantów, o czym można przeczytać w wojskowych archiwach i co potwierdził Allenton. Żołnierze, którzy wykonywali jego rozkazy, albo zginęli wtedy razem z nim, albo zostali odesłani po wojnie do Niemiec, albo nadal siedzą w obozach jenieckich. Nie znamy ich nazwisk i żadnego nie postawiono przed sądem za to, co się stało w Oradour-sur-Glane, ani w Norymberdze, ani później, a jeśli nie doszło do procesu, jest mało prawdopodobne, że kiedykolwiek się dowiesz, kto konkretnie oddał strzały, które zabiły twoją kuzynkę.

Nie mogłam się poruszyć. Nie mogłam mówić. Nie mogłam oddychać. Siedziałam i patrzyłam na tę zadowoloną twarz. „Och, Rose...”.

– Charlie St. Clair, zamierzam odnaleźć René Bordelona, i sprawić, że zapłaci za to, co zrobił. – Eve zacisnęła swoje okaleczone ręce. – Czy będziesz mi towarzyszyć?

# 32

## Eve

*Bruksela, marzec 1916*

Proces trwał jeden dzień.

Godziny spędzone w ogromnej sali Eve pamiętała jak przez mgłę. Violette wpatrująca się przed siebie, gdy je wprowadzano, ruchome spojrzenie Lili, które rzucała to na wysoki, szklany sufit, to na dostojne krzesła i dumne belgijskie lwy. Eve skoncentrowała wzrok niżej, na ściśniętych przed nią, posiniaczonych, w połowie wyleczonych palcach. Pomimo upływu kilku miesięcy ból wciąż był trudny do zniesienia. Wydawał jej się znacznie ważniejszy niż płynące gdzieś ponad nią słowa Niemców.

Z wejściem następnych urzędników nastąpiła kolejna fala uprzejmości. Eve wędrowała wzrokiem od twarzy do twarzy. Niemieccy żołnierze, niemieccy dostojnicy, niemieccy pracownicy urzędu... I żadnych Francuzów, cywile nie zostali dopuszczeni do oglądania tego spektaklu. René Bordelon – za co Eve była bardzo wdzięczna – nie mógł przyjść, by patrzeć z dumą, jak bardzo ją zniszczył. Eve obawiała się widoku René bardziej niż swojego wyroku. Wiedziała, że gdyby go ujrzała, upadłaby i trzęsąc się, przyłgnęła do gęstego dywanu.

„Kiedyś nie byłam taka mała i strachliwa”, myślała podczas przemowy jednego z sędziów. Od miesięcy była na krawędzi załamania. Leżała w celi, drżąc i płacząc z najbliższych powodów. Nie potrafiła się do tego przyzwyczaić. Jedyne w odrzynie do samej siebie pozostała wytrwała i stanowcza.

„Zdrajczyni – szept zdawał się płynąć wraz z jej krwią. Pulsował w rytmie bicia jej serca. Złowieszczy i prawdziwy. – Zdrajczyni”.

Lili wiedziała o jej zdradzie. Zabraniano im rozmawiać, gdy przez ostatnie miesiące były zamknięte w oddzielnych celach, lecz Eve przekupiła strażnika, by przekazał Lili, co uczyniła. Nie uniosłaby ciężaru takiego kłamstwa. Serce Eve zabiło mocniej, gdy rozglądając się po sali,

zmusiła się do spojrzenia ponad odrętwiałą twarzą Violette na Lili. „Opluj mnie – błagała w myślach. – Zasłużyłam na to”.

Lecz Lili tylko się uśmiechnęła. Drobną twarz rozjaśniła się w jednym z jej łobuzerskich uśmiechów, jak gdyby nie siedziała otoczona wrogimi strażnikami, jak gdyby nadal była wolną kobietą. Przyłożyła do ust dwa palce i posłała Eve całusa.

Eve cofnęła się, jakby ten pocałunek był ciosem.

Przesłuchiwano je pojedynczo, aby nie słyszały swoich zeznań. Najpierw Violette. Jej prawdziwe imię, Leonie van Houtte, Eve usłyszała po raz pierwszy podczas swojego przesłuchania. Nadal jednak nie potrafiła myśleć o zastępczyni Lili inaczej niż jako o Violette. Ona przynajmniej dostrzegała w Eve zdrajczynię. Przyglądała się jej spojrzeniem pełnym nienawiści, kiedy strażnik wypełniał papiery. Potem nadszedł czas na jej przesłuchanie. Eve nawet nie próbowała się bronić. „Każdy w tej sali wie dobrze, jak to się skończy”, myślała. Stała, w milczeniu słuchając niemieckiego przemówienia. Jej ręce drżały. Wdychała zatechły zapach oleju do włosów i pasty do butów. Niedługo potem została wyprowadzona. To na Lili zależało im najbardziej. Czuła, jak nad salą zawisło wilgotne, niemal brutalne napięcie. Zastanawiała się, czy podobne napięcie czuła publiczność zgromadzona w Koloseum, czekając, aż strażnicy uwolnią lwy. Jedyne lwy w tej sali były złotymi rzeźbami, mimo to jednak były gotowe zadać śmierć.

Sędziowie zniknęli. Po trzydziestu minutach odmierzonych przez nieśpieszne tykanie zegara obrady się skończyły. Eve, Lili, Violette oraz kilku innych oskarżonych ustawiono w równym rzędzie. W sali zapanowała martwa cisza. Usta Eve były suche niczym kartka papieru. Zdawało się jej, że słyszy drzenie swojego ciała. Kątem oka dostrzegła wyciągnięte palce Violette – jakby chciała złapać rękę Lili. Lili stała nieruchoma jak posąg.

Usłyszały ogłoszony po niemiecku wyrok:

- Louise de Bettignies skazana na śmierć.
- Leonie van Houtte skazana na śmierć.
- Evelyn Gardiner skazana na śmierć.

Przez salę przepłynęła fala napięcia, a Eve poczuła, jakby coś uderzyło ją w klatkę piersiową. Nie było to jednak uderzenie strachu, lecz ulgi.

Zamglonym wzrokiem spojrzała na swoje posiniaczone ręce i pomyślała tak jak wtedy, gdy leżała zapłakana na podłodze w pokoju René, że chce umrzeć.

Nie będzie więcej więziennej monotonii, bólu, morfiny i poczucia winy. Tylko wymierzona w nią broń. Obraz widziany oczami wyobraźni był piękny. Seria wystrzałów, a potem nicość.

Lecz zanim mogła w pełni odetchnąć z ulgą, Lili wystąpiła do przodu. Jej głos zabrzmiał delikatnym, perfekcyjnym niemieckim. Po raz pierwszy w czasie całego procesu przemówiła w języku wroga.

– Drodzy panowie, proszę, nie zabijajcie moich przyjaciółek. Błagam was, zlitujcie się nad nimi przez wzgląd na ich młody wiek. – Przekrzywiła pokrytą jasnymi włosami głowę. – Ja pragnę jedynie godnie umrzeć.

– Przyjmuję swój wyrok. – Czystym i lekceważącym tonem wtrąciła się Violette. – Proszę mnie zastrzelić. Chcę jednak prosić o jedną rzecz, zanim umrę, i nie mogą mi państwo odmówić. Nie rozdzielajcie mnie z Lil...  
Z Louise de Bettignies.

Eve usłyszała swój własny głos:

– Ani mnie.

Rząd niemieckich twarzy przyglądał się im z góry wyraźnie zmieszany. Eve widziała ten sam wyraz dezorientacji już w Saint-Gilles. Jakim cudem mała Lili, jaskająca się Eve i Violette w okularach, wyglądająca jak nauczycielka, zostały szpiegami?

„Szkopy trzymały nas miesiącami – pomyślała Eve. – I nadal nie wiedzą, co sądzić o tych *kwiatach zła*”. Poczowała, jak ta myśl napawa ją dziką dumą, która pozwoliła jej triumfalnie wyprostować się na chwilę, zanim znów przygwoździło ją poczucie winy.

Trzem kobietom z siatki Alice pozwolono stać, kiedy dyskusja toczyła się szeptem między niemieckimi urzędnikami. Upłynęła kolejna godzina. Dłonie Eve zadrżały. Następne uderzenie w klatkę piersiową, lecz tym razem to nie była ulga. Tym razem była to rozpacz.

Proces został zakończony.

\*\*\*

– A więc – zaczęła Lili – nie zastrzelą nas.

Violette ciągle się trzęsła, kiedy czekały na podwórzu otoczone strażnikami. Eve stała wyprostowana i odrętwiała, lecz Violette, która jeszcze w sali rozpraw wydawała się gotowa na śmierć, była bliska załamania.

– Wysyłają nas do Niemiec... – wymamrotała.

Wyrok zmieniono, zostały skazane na piętnaście lat ciężkich robót w więzieniu w Siegburgu.

– Piętnaście lat? – Lili zmarszczyła nos. – Nie. Nasz wyrok skończy się, jak tylko Francja wygra.

– W-w-wolałabym, żeby nas rozstrzelali. – Usłyszała swój głos Eve.

Zaczerwienione oczy Violette spojrzały na nią gorzko i oskarżycielsko.

– Ty zasłużyłaś na rozstrzelanie – powiedziała, plując Eve w twarz. – Judaszu.

Strażnicy odciągnęli Violette kilka kroków dalej. Eve stała unieruchomiona, pozwalając, by ciepła ślina spłynęła jej po policzku. Inny strażnik, cofając się delikatnie, pozwolił Lili zbliżyć się na chwilę. Ta mała oaza prywatności była wszystkim, na co mógł liczyć więzień.

– Wybacz, stokroteczko. – Lili wytarła jej policzek znoszonym mankietem. Eve nieomal wzdrygnęła się, czując jej dotyk. Od tak dawna nikt nie okazał jej czułości. – Violette z trudem to znosi.

– Nienawidzi mnie – powiedziała Eve bez żalu w głosie. – Za to, że cię zdradziłam.

– Pff, kto to wie, jak szkopy się dowiedziały, jak naprawdę się nazywam albo że to ja zarządzam siatką? Przecież nie pamiętasz, żebyś nas wydała. Opium czy też nie... – Lili wzruszyła obojętnie ramionami. – Zidentyfikowali mnie. Jak im się to udało, to nie ma żadnego znaczenia.

– Ma – odrzekła Eve.

– Nie dla mnie. – Lili uśmiechnęła się.

Eve była bliska płaczu. „Nie wybaczasz mi – chciała zapłakać. – Błagam, nie wybaczasz mi!” Przebaczenie bolało dużo bardziej niż nienawiść.

Violette pozwolono do nich dołączyć. Wyglądała groźnie, lecz spokojnie. Eve była wdzięczna za tę cichą formę odrazy. Milcząc, czekały na



samochód, który miał je zabrać z powrotem do celi. Stamtąd prawdopodobnie w ciągu kilku dni zabiorą je do Siegburga.

Siegburg. Eve słyszała okrutne historie o tym miejscu. Spojrzała na wschód, w stronę Niemiec, i spostrzegła, że inna kobieta również patrzy w tę stronę, jakby wilgotne mury więzienia były w zasięgu ich wzroku.

– Nie myślcie o tym, *mes anges*. – Lili stanęła pomiędzy Eve i Violette, obejmując obie ramieniem i ściskając mocno. – Cieszcie się chwilą. Obie tu jesteście i ja jestem blisko was.

Eve oparła głowę na ramieniu Lili. Stały tak w blasku marcowego słońca, czekając, aż ruszą w dalszą drogę.

# 33

## Charlie

*Czerwiec 1947*

Przez wspomnienie zeszłej nocy wpatrywałam się w fotografię potwora i próbowałam nadać sens temu, co uczynił. „To przez ciebie zginęła Rose – powtarzałam w myślach. – Przez ciebie zginęła Rose”. Oficer SS wydał rozkaz, a niemiecki żołnierz pociągnął za spust, lecz moja kuzynka nie zginęłaby, gdyby nie ten mężczyzna w eleganckim garniturze z laską wykończoną srebrem w dłoni.

Nie potrafiłam odpowiedzieć na pytanie Eve. Byłam w zbyt dużym szoku, gdy zabrałam zdjęcie i w zupełnej ciszy pomaszerowałam do swojego pokoju. Czułam, jak niewidoczny ciężar przygniótł mnie do łóżka.

René Bordelon. Echo tego nazwiska wciąż rozbrzmiewało w mojej głowie. „To przez ciebie zginęła Rose”.

Od zawsze to on łączył mnie z Eve. Rose dla niego pracowała, Eve dla niego pracowała. Dwie spośród mnóstwa kobiet, które pracowały dla niego przez dekady. Właśnie ten nic nieznaczący fakt, jego imię na kawałku papieru, doprowadził mnie do Eve, a potem tutaj. Lecz nigdy nie sądziłam, że pod imieniem na kartce papieru kryje się coś więcej.

Byłam już ubrana i spakowana, gdy przed świtem kierowałam się do wyjścia z *auberge*. Nie zdziwiłam się, gdy ujrzałam tam Eve, z jej teczką u stóp, wyprostowaną i srogą, z pierwszym tego dnia papierosem w ustach. Odwróciła się i zobaczyłam, że jej oczy były tak zaczerwienione jak moje.

– Zrobię to – powiedziałam – pomogę ci go odnaleźć.

– Dobrze – odrzekła Eve rzeczowo, jakbym zgodziła się pomóc jej pójść po herbatę. – Finn poszedł po samochód.

Stałyśmy i czekałyśmy w różowym świetle poranka.

– Dlaczego właściwie chcesz, żebym ci pomogła? – Nie mogłam się powstrzymać, by zadać pytanie, na które próbowałam znaleźć odpowiedź całą noc. – Przez więcej niż trzydzieści lat marzyłaś, by spotkała go kara.

Nie byłoby ci łatwiej bez pilnowania jakiejś studentki w ciąży? Nie potrzebujesz mnie. – Choć ogromna część mnie chciała, aby potrzebowała. Pragnęłam opiekować się nią, mimo że potrafiła być nie do zniesienia.

– Nie, nie potrzebuję cię – odpowiedziała raźnie. – Ale drań skrzywdził nas obie, nie tylko mnie, a to oznacza, że masz prawo się zemścić, jeśli tylko tego chcesz. Ja wierzę w zemstę. – Eve spojrzała na mnie pouczająco. – Przez lata straciłam wiarę w wiele rzeczy, lecz nie w zemstę.

Stała tam wysoka i nieruchoma jak kamienny obelisk, a ja zastanawiałam się, w jaki sposób ma zamiar się zemścić. Wyrwałam się z cichego zamyślenia, gdy lagonda z hałasem zatrzymała się za rogiem.

– Poza tym – dodała po cichu Eve, kiedy Finn pakował torby do bagażnika – może i ciebie nie potrzebuję, ale potrzebuję jego. Stawiam fifty-fifty, że gdziekolwiek pójdziesz, on pójdzie za tobą.

Zamrugałam.

– Dlaczego tak myślisz?

Dotknęła czerwonego śladu na mojej szyi, który próbowałam zakryć luźnymi kosmykami włosów. Ślad, który usta Finna zostawiły poprzedniej nocy.

– Potrafię odróżnić ugryzienie komara od ugryzienia kochanka, jankesko.

– Poplotkowałyście sobie, moje panie? – Finn stanął po stronie kierowcy. – Poranek jest idealny do jazdy.

– Tak – wymamrotałam, czując, jak płoną mi uszy. Eve wyszczerzyła zęby, zajmując tylne siedzenie. Finn nie zauważył uśmiechu Eve, ale spostrzegł mój rumieniec, kiedy zajmował miejsce za kierownicą.

– W porządku, dziewczyno? – zapytał cicho.

Nie było jednego słowa, którym mogłabym opisać uczucia, jakie przyniósł ostatni dzień i spędzona wspólnie noc. Żal i nadzieja. Dogłębne zdziwienie i złość. Złość narastającą z każdym spojrzeniem na zdjęcie starca, którego zgodziliśmy się wspólnie odnaleźć. Za to gdy mój wzrok padał na Finna, moje ciało przechodziły dreszcze na wspomnienie tego, co wydarzyło się między nami niespełna dwanaście godzin wcześniej.

– W porządku – odpowiedziałam w końcu.

Finn pokiwał głową. Nie potrafiłam odczytać, czy żałował tego, co między nami zaszło, czy też nie. Odwróciłam się zatem do Eve, pozostawiając

Finna, który wrzucał właśnie bieg poza zasięgiem mojego wzroku.

– Jednego nam nie powiedziałaś. Jak odnajdziemy René Bordelona? Nie używa już ani tego nazwiska, ani tego drugiego. Nie wiemy, gdzie się udał po ucieczce z Limoges. Za czym właściwie podążamy?

Eve zaciągnęła się końcówką papierosa i wyrzuciła niedopałek na ulicę.

– Mam na to p-p-pewien pomysł. Często wspominał, że chciałby spędzić emeryturę w Grasse, że ma tam nawet jakąś niszczejącą starą willę, którą kiedyś chciałby odnowić. Ma teraz siedemdziesiąt trzy lata. To nie jest wiek na otwieranie kolejnej restauracji. Moim zdaniem to czas emeryta. Założę się, że wyjechał odbudować tę willę, czytać książki, grać tę swoją muzykę i cieszyć się południowym słońcem. Myślę, że powinniśmy jechać do G-G-Grasse.

– I co dalej? – Uniosłam brwi. – Jeździć dookoła, wyglądając przez okno?

– Trochę zaufania, jankesko. René nigdy mi nie powiedział, gdzie jest jego posiadłość, ale mam kilka pomysłów, jak ją znaleźć.

– A co, jeśli go tam nie ma? – Głos Finna był pełen wątpliwości. – Jedyne, co mamy, to wspomnienia jego planów sprzed trzydziestu lat.

– Czy któreś z w-w-was ma lepszy pomysł, jak zacząć?

W istocie, nie miałam. Wzruszyłam ramionami. Finn sięgnął po mapy leżące u moich stóp.

– Jeśli utrzymamy dobre tempo, dotrzemy do Grasse w dwa dni. Przenocujemy w Grenoble...

– A zatem Grenoble. – Eve odchyliła głowę do tyłu, zamykając oczy. – Gaz do dechy, Szkocie.

Lagonda sunęła na południowy wschód. Wszyscy milczeliśmy, pogrążeni we własnych myślach. Złapałam się na tym, że znów przyglądam się fotografii René. Myślałam, jak wyglądał oficer SS, który wydał rozkaz zmasakrowania wioski. Myślałam, jak wyglądali niemieccy żołnierze, ci, którzy strzelili do dziewczyny uciekającej z płonącego kościoła z dzieckiem na ręku. Poczułam palącą w środku złość i przypomniałam sobie słowa Eve. Że prawdopodobnie nigdy się nie dowiem, kim byli żołnierze, którzy zabili Rose.

Może jednak kiedyś się uda. Musiały być jakieś dowody, dokumenty. Być może niemieccy żołnierze, którzy przetrwali, mogliby stanąć przed sądem.

Nie tylko za to, co zrobili Rose, ale też za *madame* Rouffanche i jej wymordowaną wioskę. Oradour-sur-Glane zasługiwało na sprawiedliwość tak samo jak ofiary wszystkich zbrodni osądzonych w Norymberdze.

Nie był to czas, by o tym myśleć. Tutaj, w drodze do Grasse, naziści, którzy przyczynili się do śmierci Rose, byli poza moim zasięgiem. Być może jednak pozostawał w nim René Bordelon.

Gdy samochód przedzierał się przez niekończące się wzgórza, piękne pejzaże z jeziorami i pastwiskami, naszła mnie kolejna myśl. Jeśli dodać Rose i Lili i podzielić wynik przez Eve oraz mnie, otrzymamy René Bordelona. Cztery kobiety i mężczyzna. Wpatrywałam się w jego twarz na szarzejącej fotografii, próbując odnaleźć ślady skruchy, poczucia winy, okrucieństwa. Nie znalazłam jednak nic poza twarzą starca jedzącego kolację na mieście.

Próbowałam wetknąć zdjęcie z powrotem do torebki Eve. Smagnęła mnie jednak swoją zdeformowaną dłonią i powiedziała:

– Zatrzymaj je.

Włożyłam fotografię do notatnika. Czułam, jak puste oczy ze zdjęcia wpatrują się we mnie przez skórzaną oprawę. Odwróciłam się więc i ponownie spojrzałam na Eve. Wyglądała teraz spokojniej, delikatniej niż przytłoczona poczuciem winy postać, którą ujrzałam wczoraj przy oknie. Wyciągnęłam rękę i czule pogładziłam jej dłoń.

– Nie opowiedziałas nam wczoraj o swoim procesie – powiedziałam. – Ani o tym, co stało się potem z tobą, Lili i Violette.

– To nie jest dobra opowieść na dobranoc.

Odwróciłam głowę ku gorącym promieniom słońca.

– Nie wygląda, jakby miało zacząć się ściemniać.

Wzięła głęboki oddech.

– Nie wygląda.

Słuchaliśmy razem z Finnem opowieści o procesie. O belgijskich lwach, dudniących, zadawanych po niemiecku pytaniach, ucinanych zdaniach, Violette plującej jej w twarz. Przypomniałam sobie starszą Violette z Roubaix, która zrobiła to samo, i wzdrygnęłam się na dźwięk tego imienia. Violette... Poczulałam, jak uwiera mnie pewna myśl. Natarczywa myśl, która pojawiła się w mojej głowie już wczoraj. Równanie, którego

wynik uparcie się nie zgadzał. Postanowiłam jednak wrócić do tego później,  
gdy Eve powiedziała:

– A potem dotarliśmy do Siegburga.

# 34

## Eve

*Marzec 1916*

Gdy wojna się skończyła, Eve nie mogła się nadziwić temu, jak niewiele z jej wspomnień dotyczyło zdających się nie mieć końca dni spędzonych w więzieniu w Siegburgu. Niecałe sześć miesięcy pracowała jako szpieg w Lille, jednak wspomnienie tych dni było czyste i wyraźne. Dwa i pół roku w Siegburgu upłynęło niczym czarno-biały sen, nie sposób było odróżnić od siebie poszczególnych dni.

– Zabrać ją do celi.

To było jej powitanie w Siegburgu wiosną 1916 roku. Jadowity ton rozkazu, a potem ciężka ręka pośrodku pleców pchająca ją wzdłuż ciemnego korytarza za Lili i Violette. Żadna z nich nie miała okazji przyjrzeć się, jak więzienie wygląda od zewnątrz. Było ciemno, kiedy trzęsący się van zaparkował na dziedzińcu.

– Nieważne – wyszeptała Lili – przyjrzymy się, kiedy już nas uwolnią.

Teraz jednak, kiedy strażnicy popychali je wzdłuż korytarza śmierdzącego moczem, potem i rozpaczą, nie było łatwo myśleć o uwolnieniu. Eve poczuła, że cała się trzęsie, zaciskając mocno zęby, aby głośno nie szczękały. Szczęk przekręcanego klucza, skrzypienie zawiasów, a następnie odgłos otwieranych ogromnych drzwi.

– Gardiner – burknął strażnik. Ta sama ciężka ręka wepchnęła Eve do środka.

– Poczekajcie... – Odwróciła się, gorączkowo szukając wzroku Lili i Violette, ale drzwi już się zatrzasnęły. W środku panowała całkowita ciemność. Lepka, lodowata ciemność.

„Każdy się łamie pierwszej nocy”, usłyszała później Eve od współwięźniów. Lecz gdy Eve przybyła do Siegburga, już była złamana. Ciemność nie była nawet w połowie tak straszna, jak jej własne myśli. Spróbowała więc rozluźnić szczękające zęby i zniekształconymi palcami

zbadać wnętrze celi. Kamienne mury, mniejsze niż jej cela w Saint-Gilles, brudne, twarde jak drewniane deski łożko śmierdzące potem, wymiotami, strachem. Eve zastanawiała się, jak wiele kobiet w nim spało, płakało, tłumilo krzyk. Zza drzwi dobiegały nikłe odgłosy płaczu, raz usłyszała wybuch przeraźliwego śmiechu, lecz żaden strażnik nie odpowiadał na wołanie. Wkrótce zrozumiała, że gdy z nadejściem nocy zamykano cele w Siegburgu, nie otwierano ich aż do rana. Kobiety mogły umrzeć z powodu gorączki, zakażenia, wrzeszczeń z bólu nad złamanymi kośćmi, skręcać się w agonii podczas porodu, drzwi pozostawały zamknięte aż do nadejścia świtu. Wiele z nich tak straciło życie. Eve przypuszczała, że o to właśnie chodziło. Nie zdołała położyć się na zapaskudżonym łożku. Skuliła się w rogu kamiennej celi. Trzęsąc się z zimna, oczekiwała nadejścia poranka. Świt nastał wraz z przybyciem strażnika, który przyniósł jej stos ubrań: niebieskie, szorstkie pończochy, brudną, kiedyś białą suknię z ogromnym krzyżem więziennym wyszytym na klatce piersiowej. Tak zaczęły się ciągnące się w nieskończoność dni spędzone w zamknięciu.

\*\*\*

Głód. Zimno. Wszy. Ciosy strażników. Codzienna praca w okrutnych warunkach: szycie ponakłuwanymi palcami, polerowanie klamek żrącym płynem, łączenie małych metalowych przycisków. Informacje wymieniane szeptem z innymi kobietami: Czy to prawda, że była bitwa na Mont Sorrel? Nad Sommą? Czy to prawda, że Brytyjczycy zwyciężyli w La Boisselle? W Contalmaison? Więźniarki pragnęły informacji bardziej niż jedzenia. A od strażników słyszały tylko, że Niemcy wygrywają.

– Kłamcy – prychnęła Lili – obrzydliwi kłamcy. Przegrywają i dobrze o tym wiedzą. Musimy tylko przetrwać.

„Przetrwać”, pomyślała Eve. Minął rok wypełniony szarością kolejnych dni, ciosami strażników, wszami i nocnymi wrzaskami. Niczym niezmacona wiara Lili zdawała się jeszcze silniejsza, nawet gdy jej ciało zmieniło się w samą skórę i kości. Bezsenna czerń nocy na przesiąkniętym zapachem brudu łożku. Kobiety, które umierały, pocąc się w mękach gorączki, marniejące pod ciężarem nierozłącznych w więzieniu zimna



i głodu. Chwiejąc się, zmierzały do szpitala, ogromnej sali za paskudnymi zielonymi zasłonami śmierdzącymi odchodami i krwią. Niektórzy nazywali to miejsce lazaretem. Inni po prostu piekłem. Do szpitala nie trafiało się po to, by zostać wyleczonym, lecz po to, by umrzeć. Niemcy nie musieli marnować kul na zabijanie więźniarek, kiedy zaniedbanie i choroba robiły to za nich. „Sprytna strategia”, pomyślała Eve bezwiednie. Im więcej kobiet umierało w szpitalnych łózkach, a nie pod ścianą straceń, tym mniejsze było oburzenie środowisk międzynarodowych.

I cóż to były za kobiety! Niemożliwe do odróżnienia szkielety z przypiętym krzyżem więziennym i brudnymi włosami. Kwiaty zła o pustym spojrzeniu. Wybuchowa Louise Thuliez, która pracowała dla Edith Cavell, pomagając żołnierzom przedostać się przez granicę. Urodzona w Belgii *madame* Ramet, której syn został zastrzelony, a dwie córki towarzyszyły jej w drodze do więzienia. Spokojna księżna de Croy, która zorganizowała siatkę szpiegowską w Belgii... Przed trafieniem do Siegburga Eve nie zdawała sobie sprawy, jak wiele kobiet zaryzykowało wszystko, biorąc udział w wojnie. Nawet teraz, na swój sposób, kontynuowały walkę.

– *Madame* Blankaert mówi, że te małe stalowe główki, które musimy montować, to główce granatów – wyszeptała Lili. – Nie powinniśmy czegoś z tym zrobić?

– Lili – powiedziała Violette zmęczonym głosem – nie prowokuj ich.

– *Ta gueule*. To po prostu nie do pomyślenia, że pomagamy w produkcji amunicji, która jest używana przeciwko naszym rodakom.

I tak w nadchodzących dniach w więzieniu wybrzmiał krzyk: „W imię Anglii, Francji, Belgii i innych państw alianckich upraszam moje współtowarzyszki, aby stanowczo odmówiły pracy przy produkcji amunicji. Niemcy nie mają prawa wymagać od nas działań, które przyczynią się do śmierci naszych rodaków, zmuszać nas do produkcji broni, która podczas walki zostanie użyta przeciwko naszym ojcom, naszym braciom, naszym mężom i naszym synom. Razem będziemy kontynuować walkę i cierpienie za króla, za nasze flagi i ojczyzny”...

Szare twarze wychudłych mieszkanek Siegburga rozjaśniły się nagle. Więźniarki krzyczały jak Walkirie, nawet gdy strażnicy zaczęli biegać tam

i z powrotem, wrzeszcząc, bijąc je i popychając. Eve krzyczała na całe gardło, nawet gdy uderzenie zaciśniętej pięści wykręciło jej głowę do tyłu niczym bat. Świat rozjaśnił się na chwilę, a martwą szarość zastąpiły ostre jak dawniej kolory. Eve krzyczała, aż została wepchnięta z powrotem do celi, a Lili zanosila się śmiechem, nawet gdy strażnicy zaciągnęli ją i *madame* Blankaert do izolatki za wywołanie strajku.

– Było warto – powiedziała, kiedy w końcu wypuszczono ją miesiąc później.

Eve zaczynała się martwić. Lili upodobniła się do worka kości. Jej omal bezcielesna postać coraz bardziej przypominała cień. Eve zarzuciła swój koc na ramiona innej więźniarki. „Przetrwać – myślała. – Jedyne, co musimy zrobić, to przetrwać”.

Nastał kolejny ciągnący się w nieskończoność rok. Zimny początek wiosny 1918 roku obudził w więźniarkach ostrożne nadzieje.

– Szkopy przegrywają. – Z upływem roku coraz częściej dało się słyszeć ten szept. – Są pokonani. Wycofują się ze wszystkich frontów.

Chodziło o coś więcej niż przekazywane szeptem plotki o angielskich zwycięstwach czy zagarnięciu niemieckich terenów przez Francuzów. Ciężar na barkach strażników stawał się coraz bardziej widoczny, a gorliwość zapewnień o niemieckich zwycięstwach coraz lepiej słyszalna. Zapowiedź zbliżającego się końca wojny zdawała się wisieć w powietrzu.

„Gdyby tylko skończyła się wcześniej – myślała potem Eve, gdy nocami długo wpatrywała się w lufę lugera. – Gdyby tylko skończyła się kilka krótkich miesięcy wcześniej”.

## Wrzesień 1918

– Dziękuję, że przyszedł, stokroteczko.

Gdy Lili leżała w zimnym szpitalu, zarys jej ciała był ledwie widoczny pod kocem. Eve przysiadła na skraju pryczy, trzęsąc się z zimna w swoim więziennym okryciu. Powinna była pracować wraz z innymi kobietami, ale niedawny wybuch epidemii tyfusu sprawił, że gdy tylko zgłosiła gorączkę, wysłano ją do szpitala. Nie było trudno wymknąć się ze swojej pryczy, żeby porozmawiać z Lili.

– Jak się czujesz? – zapytała.

– Nie tak tragicznie. – Lili pogładziła się po boku. Między żebrami miała ropień opłucnej, lecz wciąż była dobrej myśli. – Chirurg go przebije i będzie po wszystkim.

Operacja miała się odbyć o czwartej, czyli już niedługo.

– Sprowadzają chirurga z Bonn? – Eve próbowała zagłuszyć swoje obawy. Przebicie ropnia było z pewnością prostą operacją. Jednak w tej dziurze, w której brakowało personelu, operacja na głodującej kobiecie...

„Lili się nie boi – upominała się w duchu Eve. – Ty też nie waz się bać”.

Być może jednak Lili się bała, gdyż posłała Eve nadzwyczaj trzeźwe spojrzenie. Jej pełne życia oczy zdawały się tonąć w twarzy.

– Proszę, zaopiekuj się Violette, jeśli... – Lili wymownie wzruszyła ramionami.

– Wszystko będzie dobrze – wtrąciła Eve, zanim Lili zdążyła skończyć. – Musi być.

Trzymała się tej myśli już od ponad dwóch lat. Evelyn Gardiner zdradziła swoje przyjaciółki, złamała się i sprawiła, że wylądowały w tym obskurnym miejscu. Gdyby udało jej się wytrzymać, aż stąd wyjdą, jakaś część tej zdrady mogłaby zostać zapomniana, jeśli nie wybaczona. Myślała o tym, gdy codziennie wpychała połowę swojej porcji chleba w dłoń Lili, gdy próbowała oddać swoje koce Violette, choć ta wciąż patrzyła na nią kamiennym wzrokiem. „Wyprowadź je stąd bezpiecznie, a odpokutujesz”, powtarzała sobie.

I prawie jej się udało. Wojna z pewnością nie potrwa już długo. „Jesteśmy blisko, prawie w domu”, myślała.

Być może Lili ujrzała desperację w oczach Eve, bo wyciągnęła swoje wychudzone palce i położyła na jej zniekształconej dłoni.

– Dbaj o siebie, stokroteczko. Jeśli nie będzie mnie tu, by wyciągnąć cię z kłopotów...

– Nie mów tak. – Eve ujęła rękę Lili, czując, jak dusi ją panika. Nie może stracić Lili, nie przez jakiś ropień. Nie teraz. Nie po więcej niż dwóch latach od uwięzienia, nie kiedy ten koszmar już prawie się skończył. – To tylko prosty zabieg. Na pewno go przetrwasz.

– Niemcy nie mają żadnego interesu w tym, żebym przetrwała, *ma petite*.

Oczy Eve zaszyły łzami. Nie mogła temu zaprzeczyć: władze Siegburga nienawidziły każdej cząstki sprawiającego wiele kłopotów ciała Lili i nie ukrywały tego.

– Nie powinnaś była zaczynać tego strajku albo...

Albo co? Nie prowokować konfliktów od momentu, kiedy tylko przekroczyła próg więzienia? Nie planować skomplikowanych ucieczek i nie podnosić morale swoimi żartami i opowieściami? Gdyby Lili była z tych, którzy potrafią się nie wychylać, nie zarządzałyby najlepiej zorganizowaną siatką szpiegowską w całej Francji.

– Wszystko będzie dobrze – powtórzyła z uporem Eve. Chciała coś jeszcze dodać, lecz zjawilo się dwóch sanitariuszy.

– Wstawaj, Bettignies. Chirurg już jest.

Lili ledwo trzymała się na nogach. Eve objęła ją ramieniem, pomagając się podnieść. Miała na sobie ubranie w kolorze szmaty do wycierania naczyń. Skrzywiła się na jego widok.

– Ile bym dała za różowy jedwab!

– I kapelusz o wątpliwej moralności? – zdołała powiedzieć Eve.

– Wystarczyłoby wątpliwej moralności mydło. Moje włosy są obrzydliwe.

– Lili... – wykrztusiła Eve.

– Pomodlisz się za mnie, gdy tam będę? – Ostro zarysowanym policzkiem wskazała w stronę sali operacyjnej. – Potrzebuję, żeby ktoś się za mnie modlił. Napisałam list do mojej dawnej matki przełożonej, ale będę też wdzięczna za twoją modlitwę, Evelyn Gardiner.

Po raz pierwszy Lili użyła jej prawdziwego imienia. Nawet po procesie używały starych kryptonimów. Wydawały się prawdziwsze.

– Nie mogę się za ciebie pomodlić – wyszeptała Eve. – Już nie wierzę w Boga.

– Ale ja wierzę. – Lili ucałowała różaniec opleciony wokół jej palców, gdy sanitariusze wzięli ją pod łokcie.

Eve zmusiła się do kiwnięcia głową.

– W takim razie pomodlę się – powiedziała. – I do zobaczenia za kilka godzin. Do zobaczenia.

Gdy wyprowadzali Lili z pokoju, Eve wciąż za nimi podążała. Z sali operacyjnej wyszła pielęgniarka i na chwilę Eve ujrzała chirurga z Bonn

palącego cygaretkę. Eve zobaczyła, że nie było żadnego krzątania się, nikt nie sterylizował narzędzi, nikt nie przygotowywał eteru czy chloroformu...

„Lili – pomyślała ogarnięta uczuciem grozy. – Lili, nie idź tam”...

W oddali usłyszała wyraźny głos Lili odmawiającej różaniec.

– Módl się za nami grzesznymi teraz i na wieki wieków...

Na korytarzu na zewnątrz zebrał się tłum kobiet. Louise Thuliez, księżna de Croy, Violette, każda spośród kwiatów zła, której udało się wymknąć ze swojej zmiany, wszystkie wpatrywały się z niepokojem i modliły za królową szpiegów. Sanitariusze przyśpieszyli kroku, poganiając Lili, której recytacja wciąż rozbrzmiewała spokojnym głosem na korytarzu. Przez chwilę Eve pomyślała, że Lili złamie się w końcu, że się przewróci i zacznie płakać, że będą musieli zanieść ją na salę operacyjną.

Lecz nie. Wyprostowała się, trzymana przez sanitariuszy, i uniosła podbródek w dawnym, zawadiackim geście, wodząc wzrokiem po twarzach swoich przyjaciółek. Jaskrawe światło zatańczyło na jej zmierzwionych blond włosach splecionych w warkocze, sprawiając, że wyglądały jak korona.

– *Mes amies* – powiedziała cicho, a gdy mijała Violette, włożyła różaniec w jej drżące dłonie. – *Je vous aime...*

Wmieszała się w ten tłum, drobna niczym dziecko pomiędzy postaciami sanitariuszy. Zdawało się, że dryfuje, gdy szła wzdłuż korytarza lekkim krokiem i z lekkim sercem. Eve czuła własne serce bijące dziko ponurym odgłosem bębna. „Lili”, pomyślała.

I tuż zanim całkiem zniknęła, Lili odwróciła się po raz ostatni, rzucając jej krótkie, łobuzerskie spojrzenie. Posłała całusa do swoich kwiatów zła, a Eve fizycznie poczuła jego podmuch. Potem Lili znalazła się już za drzwiami sali operacyjnej, lecz jej głos wciąż unosił się ponad ich głowami, pogodny i spokojny.

– Pan musi być chirurgiem? Zastanawiałam się, czy mogę dostać trochę chloroformu, dzisiejszy dzień był bardzo *pisser*.

Wtedy Eve poczuła, jak uginają się pod nią kolana. Wtedy już wiedziała.

– Będzie dobrze – powiedziała Louise Thuliez. – Trzeba czegoś więcej niż ropień opłucnej, żeby dobić naszą Lili.

– Nie ma niczego takiego...

Pomruk zgody i zapewnień, że będzie w porządku, przetoczył się wokół. Violette ścisnęła różaniec tak mocno, że oplecione wokół dłoni paciorki wbiły się w jej palce.

– Wyjdzie stąd w ciągu tygodnia. A nawet szybciej...

Lecz Violette nie było w szpitalu przez kolejne cztery godziny. Była tam za to Eve. Strażnicy przegnali więźniarki, ale Eve została na obserwacji ze względu na objawy tyfusu. Od Lili dzielił ją tylko korytarz i zamknięte drzwi, słyszała jednak jęki i zduszone krzyki. Odgłosy, które wydawała kobieta operowana bez eteru, bez chloroformu, bez morfiny. Eve siedziała skulona na pryczy, czując, jak odpływa z niej cała niezłomna dotąd nadzieja, i łkając tak, że omal nie zagłuszyła agonii Lili. Jednak jej się nie udało. Słyszała wszystko, od początku do końca. Płakała tak długo, że nadejście poranka odebrało jej głos.

Odebrało jej również Lili.

W *La guerre des femmes* wydrukowano wspomnienie dotyczące zasług wojennych Louise de Bettignies. Napisał jej Antoine Redier słowami podyktowanymi przez jego żonę Leonie van Houtte, kryptonim Violette Lameron.

Jej śmierć była taka jak życie. Bohaterska.

Żyła i zmarła jak żołnierz.

# 35

## Charlie

*Czerwiec 1947*

Bolało mnie serce.

Tak wielką miałam nadzieję, że królowa szpiegów żyje i że może ją spotkamy podczas tej podróży, tak jak spotkaliśmy Violette. Teraz miałyby już siwe włosy, ale nadal byłaby drobna, odważna i wesoła. Tak bardzo chciałabym ją poznać, lecz ona nawet nie miała szansy się zestarzeć.

„Eve, tak bardzo mi przykro”, chciałam powiedzieć do zgarbionej postaci na tylnym siedzeniu, ale te słowa były jak powietrze i po takiej opowieści na nic by się zdały. Finn zatrzymał lagondę na poboczu dwadzieścia minut wcześniej i najpierw słuchaliśmy, a teraz siedzieliśmy w ciszy letniego dnia, zastygli w bezruchu.

Wyciągnęłam rękę do guzowatych dłoni Eve, gdy opuściła je ze swojej twarzy, lecz ona znów zaczęła mówić, a bezlitosne światło słońca ukazywało jej bladość i wycieńczenie.

– To tyle. Teraz wiecie już wszystko. Lili umarła najokropniejszą śmiercią, jaka mogła spotkać dzielną kobietę. I to wszystko moja wina. To ja posłałam ją do tej celi i to mnie nie udało się jej stamtąd wydostać.

Czułam tak wściekły sprzeciw, że aż się we mnie gotowało. „Nie. Nie, to nie twoja wina. Nie możesz tak myśleć”. Jednak ona właśnie tak myślała i żadne słowa świata nie byłyby w stanie uwolnić jej od nienawiści do samej siebie. Tyle wiedziałam o Evelyn Gardiner. I o ile zawsze pragnęłam naprawiać wszystko, co było popsute, to nie potrafiłam zrobić nic, co pomogłoby naprawić Eve.

Ale czy na pewno?

Przesunęła zdeformowaną dłonią po drżących ustach.

– Jedź dalej, Szkocie – powiedziała chrapliwie. – Jak tak będziemy stali na poboczu, to nigdy nie dojedziemy do Grenoble.

Finn wjechał z powrotem na drogę i resztę długiej podróży spędziliśmy w milczeniu, wymęczeni trudnym do zaakceptowania, okropnym zakończeniem wyznań Eve. Ona sama siedziała z tyłu z zamkniętymi oczami. Finn zachowywał się jak zwykły szofer, nie spuszczać oczu z drogi i odzywając się tylko po wskazówki z mapy. Ja natomiast rozważałam pewien pomysł.

Grenoble to urocze miasto: małe domki, malownicze kościółki, leniwe zakola rzek Drac i Izery, a wszystko to obramowane widocznym z oddali łańcuchem spowitych chmurami Alp. Trafiliśmy do kolejnej *auberge*. Finn pomógł Eve wnieść bagaże na górę, zerkając do tyłu na mnie.

– Muszę iść zadzwonić – powiedziałam, a on pewnie pomyślał, że chcę porozmawiać z kimś z rodziny. Jednak rozmowa, którą zamówiłam przy recepcji, po długiej dyskusji z francuskim operatorem nie była z nikim ze Stanów Zjednoczonych. Chciałam się połączyć ze sklepem z porcelaną w Roubaix, którego nazwę na szczęście zapamiętałam.

– *Allô?* – Widziałam się z nią tylko raz, ale jej głos rozpoznałam natychmiast. Wyobraziłam sobie, jak obraca głowę, błyskając okularami.

– Violette Lameron? – zapytałam.

Po drugiej stronie nastąpiła długa pauza.

– Kto mówi?

– Charlotte St. Clair, *madame*. Widziałyśmy się niedawno. Przyjechałam do pani sklepu z Eve Gardiner, pani знаła ją jako Marguerite Le François. Proszę się nie rozłączać. – Wiedziałam, że ma ochotę to zrobić, było to słycać po jej kontrolowanym, chrapliwym oddechu w słuchawce.

– Czego pani chce? – W jej głosie pojawił się chłód. – Nie pomogłabym tej zdradzieckiej dziwce, nawet gdyby jej dom się palił, więc jeśli chodzi pani o przysługę dla niej...

Zwalczyłam wzbierającą we mnie falę gniewu i ochotę, by się odgryźć, że Eve naprawdę nie była niczemu winna. Ochotę, by spytać, jak niby Violette byłaby w stanie się opierać, gdyby to jej połamali wszystkie palce i podali szklankę opium. Ale Violette wierzyła w winę Eve tak samo mocno jak sama Eve i żadne moje słowa nie mogły skłonić ich do zmiany zdania. Co innego – fakty. A do faktów potrzebowałam właśnie Violette.



– Ktoś powinien jeszcze raz przejrzeć akta procesu, w którym pani, Eve i Lili zostały skazane. – Ściszyłam głos, odwracając się plecami do ciekawskiego recepcjonisty. – Uważam, że gdzieś tam jest ukryte kłamstwo.

Pomyślałam o tym, jak tylko usłyszałam o wymianie informacji, która doprowadziła do skazania Lili. Coś tam się nie zgadzało. „Proszę podać wartość X”.

W głosie Violette słuchać było nutę pogardy.

– Przecież pani jest Amerykanką. Co pani może wiedzieć o aktach sprawy sprzed trzydziestu lat w Europie?

Byłam w stanie wyciągnąć dużo więcej wniosków, niż jej się wydawało. Podczas wszystkich tych wakacji, które spędziłam, pracując w kancelarii ojca specjalizującej się w prawie międzynarodowym, katalogowałam i zapisywałam francuskie i niemieckie książki o tematyce prawniczej, archiwizowałam akta spraw, słuchałam, jak mój ojciec deliberuje przy kolacji, porównując prawo europejskie i amerykańskie...

– Proces, w którym trzy kobiety oskarżone były o szpiegostwo w samym środku wojny, musiał być bardzo dobrze udokumentowany – powiedziałam Violette. – Byłyście słynnymi bohaterkami. Niemieccy oficerowie, francuskie gazety, belgijscy urzędnicy, angielscy dyplomaci: tego dnia wszyscy byli skupieni na was. Absolutnie wszystko na temat waszego procesu musi być gdzieś w dokumentacji, chociażby po to, żeby w razie czego były dowody, że miało to prawidłowy przebieg. Jeżeli gdzieś tam wkradło się kłamstwo, wystarczy przejrzeć akta. Czy mi pani pomoże?

– Jakie kłamstwo? – spytała Violette, mimowolnie zdradzając zaciekawienie w głosie.

„Mam cię”, pomyślałam. I powiedziałam jej jakie.

Zapadła jeszcze dłuższa cisza.

– Dlaczego pyta pani właśnie mnie? Przecież mnie pani nie zna, *mademoiselle*.

– Ale słyszałam o pani umiejętnościach, bo Eve bardzo dużo o pani opowiadała. Nie spocznie pani, dopóki nie pozna prawdy. Nie wiem, czy akta sprawy już zostały po tylu latach odtajnione, jeśli jednak nadal są tajne, podejrzewam, że pani byłoby dużo łatwiej do nich dotrzeć niż mnie.

Ponieważ to pani była tego dnia sądzona, może pani się domagać poznania wszystkich szczegółów. A nie zna ich ani pani, ani Eve, gdyż nie były panie obecne w trakcie wszystkich rozmów. – Dołożyłam jeszcze trochę miodu, uznawszy, że to nie zaszkodzi. – Violette, jest pani bohaterką wojenną. Jestem przekonana, że jest wielu wysoko postawionych ludzi, którzy panią szanują, są pani winni przysługę i byliby gotowi załatwić, co trzeba. Jeżeli tylko ta informacja tam jest, na pewno znajdzie pani sposób, żeby do niej dotrzeć.

– I co, jeśli tak rzeczywiście będzie?

– Proszę dać mi znać, czy miałam rację. Proszę.

Tak długo się nie odzywała, że pomyślałam, że przerwało nam rozmowę. Stałam przy recepcji i poczułam, że zaschło mi w ustach. „Proszę”, błagałam w duchu.

Gdy Violette w końcu się odezwała, sprawiała wrażenie zamyślanej, ale jednocześnie słyhać było wzmożoną uwagę, jakby szpieg ukryty we wnętrzu szanowanej właścicielki sklepu otworzył oczy po raz pierwszy od wielu lat. Przypuszczałam, że ta część osobowości nigdy nie umiera – nie u takich kobiet jak Eve i Violette.

– *Mademoiselle* St. Clair, jak mogę się z panią skontaktować, jeśli uda mi się coś znaleźć?

Obiecałam, że nazajutrz zadzwonię do niej z Grasse i podam nazwę naszego hotelu. Gdy odłożyłam słuchawkę, czułam się roztrzęsiona. Zarzuciłam sieci i teraz mogę jedynie czekać, aż coś się złapie. Wracając na górę, zastanawiałam się, czy powinnam powiedzieć Eve, co zrobiłam, ale sama sobie odpowiedziałam stanowczym „nie”. W samochodzie sprawiała wrażenie tak kruchej i delikatnej, że przy byle uderzeniu mogłaby się zupełnie rozsypać. Nie miałam zamiaru wzbudzać w niej nadziei, dopóki nie dowiem się czegoś konkretnego.

Weszłam do swojego cichego, uroczego pokoiku, otworzyłam okiennice i wyjrzałam na zewnątrz. Już prawie zapadł zmierzch. W dole przechadzały się pary, idąc ramię w ramię, a ja przypominałam sobie, jak któregoś razu śmiałyśmy się z Rose, że kiedyś będziemy na tyle dorosłe, że zaczniemy chodzić na podwójne randki. Zobaczyłam wysoką blondynkę idącą za rękę z roześmianym chłopakiem, ale moja pamięć tym razem nie

upierała się, żeby dać jej twarz Rose. To była po prostu jakaś obca dziewczyna. Wyglądało na to, że przeżyła halucynacje, podczas których widziała Rose, gdziekolwiek spojrzałam, skończyły się po wizycie w Oradour-sur-Glane. „Wróć – pomyślałam, patrząc w tłum. – Wróć, Rosie”. Ale to oczywiście nie nastąpi. Rose nie żyje, tak samo jak mój brat.

Usłyszałam pukanie. Pomyślałam, że może to Eve przyszła mi powiedzieć, co zamierza zrobić po przyjeździe do Grasse, był to jednak Finn. Wyglądał inaczej i dopiero po dłuższej chwili zorientowałam się dlaczego. Ogolił się, włożył marynarkę (powycieraną na łokciach, ale w ładnym, granatowym kolorze), a jego buty były wypolerowane na wysoki połysk.

– Chodź ze mną na kolację – powiedział bez zbędnych wstępów.

– Myślałam, że Eve nie będzie już dzisiaj jadła. Wyglądała tak, jakby dzisiaj na kolację miała ochotę na samą whisky. – Byle tylko jak najszybciej pograżyć się w zapomnieniu. Teraz, gdy wiedziałam, jak umarła Lili i jak to prześladowało Eve, było mi łatwiej to wszystko zrozumieć.

– Gardiner już ma dosyć na dzisiaj. – Finn poklepał się po kieszeni, w której zadzwoniły kule z nocnego arsenału Eve. – Pójdziemy tylko my. Chodź ze mną na kolację, Charlie.

Coś w jego głosie sprawiło, że się wyprostowałam. Patrząc na jego strój, zorientowałam się, że nie miał na myśli zwykłego wyjścia do najbliższej kawiarni.

– Czy to ma być... randka? – spytałam, powstrzymując dłoń przed przeczesaniem swoich rozczochranych włosów.

– Tak. – Patrzył na mnie spokojnie. – To właśnie robi mężczyzna, kiedy podoba mu się kobieta. Wkłada marynarkę. Pastuje buty. Zaprasza ją na kolację.

– Nie znam żadnego mężczyzny, który by się tak zachowywał. W każdym razie na pewno nie po tym, jak my już... – Nagle wróciło do mnie wspomnienie tego, co robiliśmy poprzedniego wieczoru w samochodzie: zaparowane szyby, urywane oddechy.

– Twój problem polega na tym, że do tej pory miałaś do czynienia z chłopcami, a nie z mężczyznami.

Uniosłam brwi.

– Czy to głos siwobrodej mądrości dobiegający z ust trzydziestoletniego mężczyzny?

– To, o czym mówię, nie ma nic wspólnego z wiekiem. Zdarzają się pięćdziesięcioletni chłopcy i piętnastoletni mężczyźni. Chodzi o to, co robią, a nie ile mają lat. – Zrobił pauzę. – Kiedy chłopiec zrobi coś źle przy dziewczynie, to ucieka, nie próbując nic naprawiać. A jeśli mężczyzna popełni błąd, to go naprawia. Przeprasza.

– Czyli żałujesz tego, co się wydarzyło. – Przypomniałam go sobie z poprzedniego wieczoru, kiedy przesuwiał dłonie po moich nagich plecach i powiedział niewyraźnie, że nie tak to sobie wyobrażał. Serce mi się ścisnęło. Ja wcale tego nie żałowałam.

– Ani trochę – powiedział spokojnie. – Szkoda tylko, że to stało się tak szybko, nie po kolacji i randce, tylko po bijatyce i posiniaczonej twarzy. Nie tak się zaczyna sprawy z dziewczyną, która ci się podoba. A ty mi się podobasz, Charlie. Podoba mi się, że jesteś najmądrzejszą kobietą, jaką znam, takim małym kalkulatorem w czarnej sukience. Podoba mi się też, że masz ostry język. Ale oprócz tego próbujesz ratować każdego, kogo spotkasz, od kuzynki i brata do takich beznadziejnych popaprańców jak Gardiner i ja. I to podoba mi się najbardziej. Dlatego przyszedłem cię przeprosić. Dlatego zapraszam cię na kolację. I dlatego przyszedłem w marynarce. – Pauza. – Nie cierpię marynarek.

Próbowałam walczyć z uśmiechem, który koniecznie chciał się pojawić na mojej twarzy, lecz nie udało mi się. Finn odwzajemnił uśmiech, zrobiły mu się zmarszczki wokół oczu, a mnie na ten widok znowu zmiękły kolana. Odchrząknęłam, wygładziłam swoją bluzkę w paski i powiedziałam:

– Daj mi dziesięć minut, to się przebiorę.

– Jasne. – Zamknął za sobą drzwi, a po chwili usłyszałam jego głos z korytarza.

– A możesz znów włożyć tę czarną sukienkę?

\*\*\*

– Nie mówiłem, że to będzie jakieś nie wiadomo co – powiedział. Staliśmy oparci o kamienną balustradę starego mostu nad Izerą, a między nami

leżała paczka kanapek. Finn kupił je w kawiarni przy Place Saint-André i jedliśmy je prosto z papierowych opakowań. – Jestem trochę splukany.

– W eleganckiej restauracji nie mielibyśmy takiego widoku. – Ciemna, gwieździsta noc, światło księżyca rozbite na falach rzeki i pomruk otaczającego nas miasta.

– Jaka jest twoja ulubiona potrawa? – spytał nagle Finn.

Roześmiałam się.

– Czemu pytasz?

– Bo tego nie wiem. Jest wiele rzeczy, których o tobie nie wiem, panno St. Clair. – Wyciągnął dłoń i strzepnął okruszek z mojej wargi. – Od tego są pierwsze randki. To jak: ulubione jedzenie?

– Kiedyś uwielbiałam hamburgery. Z cebulą, sałatą, odrobiną musztardy, bez sera. Ale odkąd pojawiła się Różyczka – poklepałam swój brzuch – to najbardziej lubię bekon. Chrupiący, trochę przypalony. Jem go teraz tyle, że zanim dziecko się urodzi, we Francji nie zostanie ani jedna świnia. A jaka jest pańska ulubiona potrawa, panie Kilgore?

– Ryba z frytkami z dobrego stoiska, dużo octu. Ulubiony kolor?

Popatrzyłam na jego marynarkę, która sprawiała, że jego włosy wydawały się ciemniejsze, a ramiona szersze.

– Niebieski.

– Mój też. Jaką książkę przeczytałaś ostatnio?

Przerzucaliśmy się tak dalej, gadając trochę głupstw i świetnie się przy tym bawiąc. Finn pytał mnie o studia, więc opowiedziałam mu o Bennington i o zajęciach z algebry. Ja spytałam go, skąd tyle wie o samochodach, więc opowiedział mi o tym, jak zaczął pracować u swojego wujka w warsztacie, kiedy miał jedenaście lat. Drobne szczegóły, to, o czym ludzie sobie mówią, żeby się lepiej poznać. Na ogół takie rozmowy odbywają się na wczesnym etapie znajomości, jeszcze zanim ktokolwiek zdąży się rozebrać na tylnym siedzeniu kabrioletu, ale u nas wszystko wyszło odwrotnie.

– Co byś najpierw kupiła, gdybyś miała tysiąc funtów?

– Odkupiłabym perły babci. Uwielbiam je. A ty?

– Bentleya Mark VI, rocznik czterdziesty szósty – odparł Finn bez namysłu. – To pierwszy samochód wyprodukowany przez Bentleya i Rollsa,

piękna maszyna. A gdybym miał dziesięć tysięcy, to szarpnąłbym się na Ferrari 125 S. Zupełnie nowy model, jeździł już w trzynastu wyścigach na torze w Piacenzy i sześć wygrał...

Zaczął mi opowiadać o silniku V12 i było to urocze. Nie potrafię powiedzieć dlaczego, bo kiedy Trevor Preston-Greene postawił mi koktajl mleczny po zajęciach z literatury angielskiej i przez godzinę nawijał o swoim chevrolecie stylemaster coupé, miałam ochotę wylać mu czekoladową maź na głowę. Tymczasem teraz byłam zupełnie zachwycona, gdy Finn opowiadał mi o tylnym zawieszeniu typu de dion.

– Ale gładzę – przerwał w końcu, widząc mój uśmiech.

– Tak – odparłam. – Strasznie przynudzasz. Powiedz coś jeszcze o pięciostopniowej skrzyni biegów.

– Przez nią samochód robi „ziuum” – odpowiedział z kamienną twarzą. – Teraz twoja kolej przynudzać.

– Twierdzenie Pitagorasa – powiedziałam, wybierając coś łatwego. –  $A^2 + B^2 = C^2$ . Czyli we wszystkich trójkątach prostokątnych kwadrat przeciwprostokątnej jest równy sumie kwadratów przyprostokątnych... – Finn udał, że wrywa sobie włosy z głowy. – Oj, bez przesady, przecież to podstawy geometrii euklidesowej, nie trzeba od razu rozpaczać!

Oboje się roześmialiśmy, rzucając skórki chleba gęsiom, które głośno gęgały w dole. Potem po prostu oparliśmy się o kamienie i patrzyliśmy na wodę w przyjemnej ciszy. Nie byłam przyzwyczajona do ciszy na randkach. Dziewczęta nie powinny pozwalać, żeby zapadła cisza, przecież należy cały czas podtrzymywać rozmowę, by chłopiec nie uznał, że jesteś jakąś smutaską. „Bądź interesująca! Bądź błyskotliwa! Albo drugi raz się już z tobą nie umówi!” Jednak teraz cisza była tak samo komfortowa jak rozmowa.

Finn przerwał ją pierwszy i odezwał się nieco zamyślony:

– Sądzisz, że Gardiner ma rację i że Bordelon siedzi gdzieś w Grasse i tylko czeka, aż go znajdziemy? Czy już trochę jej odbiło?

Zawahałam się, nie chcąc zakłócać spokoju tej chwili.

– To bardzo mało prawdopodobne, jednak Eve częściej miewa rację, niż się myli. – Nagle sama zadałam pytanie. – A co, jeśli naprawdę go

znajdziemy? Co Eve wtedy zrobi?

– Jeśli będzie w stanie udowodnić, że to René du Malassis z Limoges, który kolaborował z nazistami, donosił milicji i strzelił swojemu pracownikowi w plecy za drobną kradzież, będzie mogła doprowadzić do jego aresztowania. – Finn otrzepał dłonie z ostatnich okruszków. – De Gaulle nie obchodzi się miło ze spekulantami i zabójcami, nawet jeśli to już starzy ludzie. Bordelon poszedłby do więzienia, zwłaszcza gdyby udało się udowodnić, że jego działania doprowadziły do tego... co się wydarzyło w Oradour-sur-Glane. Straciłby reputację i wolność...

– Czy Eve to wystarczy?

Finn popatrzył na mnie. Ja popatrzyłam na niego.

– Nie – powiedzieliśmy jednocześnie, a on położył dłoń na mojej dłoni opartej na kamiennej balustradzie mostu.

– Musimy ją powstrzymać przed zrobieniem czegoś, czego nie da się odkręcić, Finn. – Życie to nie film, w życiu człowiek musi ponieść konsekwencje zemsty. Takie jak więzienie, a Eve wprawdzie przeżyła Siegburg jako młoda dziewczyna, ale nie wydawało mi się, żeby zdołała przeżyć więzienie teraz, gdyby została skazana za napaść, czy jak to się nazywa we Francji. – Nie pozwolę jej puścić z dymem tej reszty życia, jaka jej pozostała, tylko po to, by pozbyć się tego drania.

– To jest jednak jej życie, prawda? – Finn wsunął swoje palce między moje, aż nasze dłonie powoli się splotły. – Pracuję dla Gardiner już od jakiegoś czasu i mogę zrozumieć, że ona jest gotowa zaryzykować to wszystko, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

– Nazywasz zabicie starego człowieka sprawiedliwością? Ja nie mam zamiaru brać w tym udziału, nawet jeśli on sam jest mordercą strzelającym ludziom w plecy. – Zadrżałam, po części przez tę straszną myśl, a po części dlatego, że Finn głaskał kciukiem wierzch mojej dłoni, aż przeszły mnie ciarki. – Będziemy musieli dopilnować, żeby kompletnie nie zwariowała. – To dopiero było zadanie.

– Jutro się tym zajmiemy. – Finn odciągnął mnie od balustrady. – Charlie, obiecaj mi coś.

– Co?

– Nie patrz jutro na to zdjęcie. Tylko ciesz się z podróży.

Wróciliśmy okrężną drogą do hotelu, trzymając się za ręce, idąc przeważnie w milczeniu. Finn otworzył przede mną drzwi i dotknął opuszkami palców moich nagich pleców ponad brzegiem dekoltu w kształcie litery V. Dostałam gęsiej skórki. Odprowadził mnie korytarzem do mojego pokoju tak oficjalnie, jakby tam stał mój ojciec, łypiąc na zegar i mając mi za złe, że wróciłam tak późno.

– Było mi bardzo miło – powiedział poważnie. – Jutro zadzwonię do ciebie.

– Chłopcy nigdy nie dzwonią.

– Ale mężczyźni tak.

Jeszcze przez chwilę pozostaliśmy wewnątrz kruchej bańki naszego szczęścia, takiego, jakie przykrywa melancholię, jak lukier przykrywa ciasto. Nie chciałam z niej wychodzić.

– Nie jestem w tym dobra, Finn – powiedziałam wreszcie. Jankeska w czarnej sukience plus Szkot w marynarce razy letni wieczór i paczka kanapek podzielić przez niezręczną ciszę i fakt, że jankeska jest w ciąży. Nie miałam pojęcia, jakie było rozwiązanie tego równania. – I co teraz?

– To zależy tylko i wyłącznie od ciebie – powiedział chropowatym głosem.

– Aha. – Stałam tak przez chwilę, patrząc na niego, a potem wspięłam się na palce. Nasze usta się spotkały, miękkie niczym pióra na wietrze, a ja rozpuściłam się w nim, gdy objął dłońmi moją talię. Całowaliśmy się powoli i bez końca. Finn ścisnął moje miękkie i nieopierające się ciało między drzwiami a swoją twardą klatką piersiową, ja sięgnęłam po omacku za siebie w poszukiwaniu klamki. Drzwi wreszcie się otworzyły i wpadliśmy do środka, całując się i potykając, aż moje buty wylądowały na jego zrzuconej pośpiesznie marynarce. Finn wyjął dłoń z moich włosów i zatrzasnął drzwi. Podniósł mnie, jeszcze raz pocałował, a potem rzucił na łóżko z wysokości, która wydawała mi się tak wielka, aż krzyknęłam. Przez chwilę stał, patrząc na mnie, a mnie trudno było uwierzyć, że mam taką tremę. Przecież już to robiliśmy, ale nie w łóżku, nie przy zapalonym świetle...

Opadł na mnie z jękiem, wyciągając się nade mną, wysoki i wspaniały.

– Łóżko – powiedział, całując mnie powoli po szyi, a jego szkocki akcent zabrzmiał bardzo wyraźnie – jest wygodniejsze od tylnego siedzenia



samochodu.

– Ja się mieszcę i tu, i tu. – Pociągnęłam jego koszulę.

– Bo jesteś karzełkiem. – Pozwolił mi ściągnąć sobie koszulę przez głowę, a potem, uśmiechając się, popchnął mnie, żebym znów się położyła. – Nie śpiesz się tak! Przecież to nie sprint!

– Myślałam, że lubisz szybko. – Udało mi się wtrącić. W tym świetle był szczupły, opalony i piękny. – Z tymi twoimi pięciostopniowymi skrzyniami biegów...

– Bo samochody powinny być szybkie. A łóżka powinny być wolne.

Wplotłam palce w jego włosy, czując łuk swoich pleców, gdy rozpiął zamek mojej sukienki centymetr po centymetrze.

– Jak wolne?

– Bardzo... bardzo... wolne... – wyszeptał tuż przy moich ustach. – Tam, gdzie się wybieramy, będziemy jechali całą noc.

– Całą noc? – Objęłam go udami i spojrzałam w jego ciemne oczy, które były tak blisko moich, że ocieraliśmy się rzesami. „Zakochuję się w tobie – pomyślałam. – I to bardzo”. – Przecież jutro będziesz musiał prowadzić przez całą drogę do Grasse – wyszeptałam zamiast tego. – Co ze snem?

– Jakim snem? – Tak mocno wplotł palce w moje włosy, że aż mnie zabolęło, kiedy wydyszał mi do ucha: – Przestań głądzić.

# 36

## Eve

*Marzec 1919*

Eve postawiła stopę na angielskiej ziemi po raz pierwszy od czasu, kiedy rozpoczęła karierę szpiega. Cameron stał na brzegu w Folkestone, machając jej na pożegnanie, gdy odpływała do Hawru. Był tam i teraz. Płaszcz falował wokół jego kolan, gdy czekał na nią na molo.

– Panna Gardiner – powiedział, gdy zeszła z promu. Od jej uwolnienia minęło kilka miesięcy. Większość tego czasu spędziła w wannie, szorując się zapalczywie, kiedy jej powrót do Anglii z tymczasowego mieszkania w Louvain był dopinany na ostatni guzik.

– Kapitan Cameron – odparła. – Zaraz, nie, został pan majorem, zgadza się? – Zreflektowała się, przyglądając się jego nowym odznaczeniom. Poza odznaką majora na jego lewej piersi była przyszyta niebiesko-czerwona wstążka, Order Zaszczytnej Służby. – Wygląda na to, że s-s-sporo mi umknęło.

– Miałem nadzieję, że szybciej uda mi się sprowadzić cię z powrotem.

Eve wzruszyła ramionami. Kobiety uwięzione w Siegburgu zostały wypuszczone jeszcze przed podpisaniem zawieszenia broni. Uwolnione z cel przez strażników, którzy porażkę mieli wypisaną na twarzy, skąd łkając radośnie, zniknęły gdzieś w powodzi pociągów, które miały zabrać je do domu. Gdyby Lili podążała z nią ramię w ramię, Eve również płakałaby z radości. Jednak po jej śmierci to, jak szybko wyjdzie z więzienia w Siegburgu, przestało mieć znaczenie.

Teraz przyszła kolej na Camerona, by mógł się jej przyjrzeć i zobaczyć, jak bardzo się zmieniła. Eve wiedziała, że wciąż była chuda jak patyk, a jej krótko obcięte włosy stały się wysuszone przez płyny przeciw wszom. Nie wyciągała rąk z kieszeni, nie chciała, żeby zobaczył jej powykrzywiane palce. Nie mogła jednak ukryć swoich oczu, które już nigdy nie będą spokojne. Eve przyglądała się teraz światu krótkimi, gwałtownymi

spojrzeniami, wypatrując, czy z którejś strony nie nadciąga niebezpieczeństwo. Nawet tutaj, na przystani, stanęła w pobliżu najbliższego słupa, który mógł dać schronienie. Dostrzegła w zawsze spokojnych oczach Camerona szok, gdy ujrzał, jak głęboki ślad zostawiły w niej ostatnie lata.

Jego również nie oszczędziły. Głębokie zmarszczki wokół ust, pęknięte żyły na czole, pasma szarości na skroniach. „Kochałam cię”, pomyślała Eve. Była to jednak pusta myśl, niemal bez znaczenia. Zanim Lili zmarła, znała różne uczucia. Teraz czuła głównie żal, gniew oraz winę, które pożerały się nawzajem jak wąż zjadający własny ogon. I niemilknący nigdy szept jej pulsującej krwi „zdrajczynie”.

– Spodziewałam się fanfar i cyrku – powiedziała w końcu Eve, rozglądając się po pustej przystani. Była jedną z nielicznych wysiadających osób. Po wojnie Folkestone stało się sennym miejscem. Nie było śladu po doradcach i wojskowych attaché. – Major Allenton ciągle mówił o ceremonii powitalnej.

Najwyraźniej teraz Eve Gardiner była bohaterką. Tak jak i wiele innych więźniarek; powrót Violette, jak się dowiedziała Eve, był świętowany w całym Roubaix. Świętowano by i jej powrót, gdyby Eve na to pozwoliła. Było to jednak wykluczone.

– Odwiodłem Allentona od tego pomysłu – powiedział Cameron. – Chciał, żeby przywitało cię kilku generałów, jacyś dziennikarze, orkiestra dęta...

– Na szczęście wybiłeś mu to z głowy. Myślałam, że z radością przyłożę mu czymś prosto w głowę. – Eve zarzuciła sobie na ramię torbę i podążyła w dół przystani.

– Myślałem, że zobaczę cię we Francji. – Cameron szedł obok niej. – Na pogrzebie Louise de Bettignies.

– Chciałam przyjechać. – Eve dotarła do samej Kolonii, gdzie pierwotny grób Lili miał zostać otwarty po to, by ciało można było przetransportować do jej ojczyzny. Nie zdołała jednak nawet wyjść z pokoju hotelowego. Upiła się i omal nie zastrzeliła pokojówki, która przyniosła jej kolację. Przez chwilę jej krępa budowa ciała i kwadratowa twarz sprawiły, że przerażona Eve uznała ją za Frog, okropną kobietę, która w Lille rozebrała

i przeszukała Eve i Lili. Na to wspomnienie Eve poczuła zawroty głowy, więc głęboko odetchnęła morskim powietrzem.

Głos Camerona był niski.

– Dlaczego nie przyjechałaś?

– N-n-nie potrafiłam się z tym zmierzyć. – Tak naprawdę pożegnała się z Lili w korytarzu śmierdzącym tyfusem i krwią. Nie potrzebowała grobu, salw honorowych ani francuskich generałów. Jednak tego nie powiedziała Cameronowi. Przyśpieszyła tylko kroku, czując nagle, że chce się znaleźć z dala od niego.

Długie nogi Camerona dogoniły ją z łatwością.

– Czy ktoś przyjdzie się z tobą spotkać? Masz gdzie przenocować?

– Poradzę sobie.

Złapał ją za łokieć.

– Eve, przestań. Pozwól sobie pomóc, na miłość boską.

Wyrwała się z uścisku. Nie chciał zrobić jej krzywdy, Eve nie mogła jednak znieść niczyjego dotyku. Od wyjścia z więzienia odkrywała coraz więcej rzeczy, które były dla niej nie do przyjęcia. Otwarte okna. Tłumy. Otwarte przestrzenie bez ścian, na których mogłaby oprzeć swoje plecy. Sen...

– Może jednak zostaniemy przy panie Gardiner, Cameron. Tak będzie dużo lepiej. – Spojrzała na ocean, by uniknąć jego wzroku. Jego delikatne oczy mogły pochłonąć ją całą, a ona nie umiała być delikatna. Nie teraz. – Powiedz mi coś – odezwała się zamiast tego – bo nie docierało do nas wiele wiadomości, kiedy byliśmy w więzieniu. Ostatnia wiadomość, jaką otrzymała Lili, dotyczyła ataku na Verdun. – Eve wciąż się zastanawiała nad przebiegiem tej bitwy. Czy coś zmieniły, przekazując tę wiadomość. – Jak to się skończyło?

– Francuski komendant otrzymał waszą wiadomość. – Wydawało się, że Cameron chciał na tym zakończyć, jednak kontynuował, czując na sobie przeszywający wzrok Eve. – Raport o nadchodzącym ataku został doręczony, ale nikt nie chciał w niego uwierzyć. Straty... Cóż, były ogromne.

Eve zacisnęła powieki, czując, jak w jej gardle rośnie fala śmiechu lub krzyku, jedno z dwóch.

– A więc to wszystko na nic. – Poświęciły wolność Lili, by doręczyć wiadomość. Eve zostawiła senne ramiona Camerona, by narazić się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Cóż, w końcu takie raporty były warte ryzykowania życia. A wszystko okazało się bezcelowe. – Żadne moje działania we Francji nie przyczyniły się do niczego.

– Nie – odpowiedział stanowczo. – Nie wolno ci tak myśleć. – Pochwyciłby ją w ramiona, ale wyczuł, jak odruchowo się cofa. – Siatka Alice ocaliła setki ludzi, Eve. Być może nawet tysiące. Stworzyłyście najlepszą siatkę szpiegowską w całej Europie. Inne, prowadzone we Francji czy Belgii, nie mogły się z nią równać.

Eve automatycznie się uśmiechnęła. Kogo obchodziła chwała, jeśli porażek było więcej niż zwycięstw? Szansa, by zabić cesarza w 1915, zmarnowana. Zatrzymanie ataku na Verdun nieudane. Utrzymanie siatki po aresztowaniu Lili również nieudane.

Cameron kontynuował:

– Nie wiem, czy czytałaś komunikaty majora Allentona. Mówił, że nigdy nie było od ciebie odpowiedzi. W każdym razie zostałaś odznaczona. Chciał ci wręczyć medale podczas pogrzebu Louise. Ona dostała takie same, pośmiertnie.

Eve odmówiła wzięcia pudełka, więc po chwili niezręcznej ciszy Cameron sam je otworzył. Przed oczami Eve zalśniły cztery medale.

– Krzyż Wojenny. Krzyż Wojenny z palmą. Krzyż Legii Honorowej. Oraz Order za Zasługi dla Imperium Brytyjskiego.

„Błaszane zabawki”, pomyślała Eve. Wyciągnęła w końcu rękę z kieszeni, by rzucić je na ziemię i zdeptać.

– Nie chcę żadnych medali.

– W takim razie major Allenton przechowa je dla ciebie.

– Może je sobie wsadzić w tyłek!

Cameron podniósł medale i włożył je z powrotem do pudełka.

– Uwierz mi, ja również nie chciałem dostać swoich.

– Ale musiałeś je wziąć, bo wciąż jesteś w armii. – Eve zaśmiała się. – Mnie armia już nie chce. Zrobiłam, co do mnie należało, ale wojna się skończyła, więc obwieszają mnie jakimiś k-kawałkami blachy i każą zjeżdżać

z powrotem do archiwów. Cóż, mogą sobie zachować te pieprzone metalowe śmieci.

Cameron wzdrygnął się, słuchając jej wulgarnego języka. Spuścił wzrok i Eve zdała sobie sprawę, że nie schowała ręki z powrotem do kieszeni. Zmierzył ją od dłoni po twarz i z powrotem, jakby chciał w niej odnaleźć tę niepozorną, cichą dziewczynę, którą wysłał do Francji z torbą podróżną, dziewczynę z delikatnymi dłońmi i niewinną twarzą. Przytrafiła się jej wojna, tortury, więzienie, René Bordelon i nic nie zostało z dawnej Eve. Stała się uszkodzonym wrakiem kobiety z plugawym językiem, zniszczonymi rękami i na pewno nie było w niej już niewinności. „To nie twoja wina”, chciała mu powiedzieć, widząc w jego oczach poczucie winy, ale nie uwierzyłby jej. Westchnęła, zginając swoje zniekształcone palce.

– Musiałeś o tym w-w-w... musiałeś o tym wiedzieć – powiedziała. – Napisali raport.

– Wiedzieć to nie to samo, co zobaczyć. – Wyciągnął rękę, by złapać jej kaleką dłoń, ale powstrzymał się. Ulżyło jej. Nie chciała go od siebie odpychać, nie zasłużył na to. Tym razem to Cameron westchnął.

– Chodźmy się napić.

To był okropny bar w porcie, miejsce tego rodzaju, gdzie kobiety z ochrypłym głosem dolewały ginu do szklanek mężczyzn, którzy już o dziesiątej rano byli pijani. I właśnie tego potrzebowała Eve. Anonimowego, taniego miejsca bez okien, by nie musiała się martwić skradającymi się za jej plecami ludźmi. Dwie kolejki ginu i szklanka piwa wystarczyły, by uspokoić jej gwałtowny puls. Kiedyś była dumna ze swojego pulsu, który pozostawał spokojny nawet w czasie niebezpieczeństwa. Minęło jednak dużo czasu, od kiedy ostatni raz potrafiła zachować zimną krew w obliczu zagrożenia. Udało jej się to w zielonym pokoju René.

René. Przełknęła kolejny łyk piwa, czując w ustach smak nienawiści. W Siegburgu nienawiść miała gorzki smak, ale teraz wydała jej się słodką. Teraz mogła coś z nią zrobić. W torbie leżącej u jej stóp wciąż miała lugera. Nie swojego starego lugera z rysą na lufie, którego zabrał René. Ale i ten wystarczy.

Cameron, choć jak zawsze zachował postawę dżentelmena, pił gin tak samo szybko jak Eve.

– Za Gabrielle – wymruczał, wznosząc toast. Eve uniosła brwi, wyjaśnił więc. – Gabrielle była kolejną z moich rekrutek. Zastrzelona w kwietniu szesnastego roku. Wyliczam je, te, które straciłem. – Uniósł szklanę z piwem i zanim wypił do dna, powiedział: – Za Leon.

– Byłam w twojej wyliczance?

– Nie, tylko te, których śmierć potwierdzono. – Oczy Camerona znów były pełne delikatności, w której można było utonąć. – Co tydzień od czasu twojego procesu spodziewałem się wiadomości o twojej śmierci w Siegburgu.

– Po śmierci Lili ja również prawie umarłam.

Przyglądali się sobie przez dłuższy czas i zamówili następną kolejkę ginu.

– Za Lili.

Oboje zamilkli, aż Cameron wspomniał coś o rencie dla Eve.

– Przyda ci się bardziej niż medale. Wiem, że nie miałaś rodziny, więc przepchnąłem pomysł renty dla ciebie przez nasze Biuro Wojenne. To niewiele, ale pomoże ci się utrzymać. Może pomoże ci uzbierać na dom w Londynie.

– Dziękuję. – Eve nie chciała medali, ale rentę przyjęła. Nie zanosilo się, by powróciła do pisania na maszynie ze swoimi palcami. Musiała z czegoś żyć.

Cameron bacznie się jej przyglądał.

– Twoje jąkanie się poprawiło.

– Idź do więzienia, a zobaczysz, że istnieje dużo rzeczy gorszych od zacinającego się języka. – Pociągnęła kolejny łyk piwa. – I to pomaga.

Odłożył swoją szklanę.

– Eve, jeśli mogę...

– Więc co teraz zamierzasz? – przerwała mu szybko, zanim zdążył powiedzieć coś, czego by żałował.

– Wysłano mnie na jakiś czas do Rosji podczas przewrotu. Syberia. To, co tam widziałem... – Przez chwilę jego twarz wydawała się nie mieć wyrazu, a Eve zastanawiała się, co widział we wspomnieniach za zasłoną

rosyjskiego śniegu. Nie zapytała jednak. – Teraz jadę do Irlandii – kontynuował – żeby prowadzić zajęcia w szkole.

– Jakiej szkole?

– Dla ludzi takich jak ty.

– Kto jeszcze potrzebuje ludzi takich jak ja? Wojna się skończyła.

Zaśmiał się gorzko.

– Zawsze znajdzie się jakaś wojna, Eve.

Eve nie chciała nawet myśleć o następnej wojnie ani o kolejnym pokoleniu świeżo wyszkolonych szpiegów żarłocznie chłonących wiedzę. Przynajmniej będą mieli dobrego nauczyciela.

– Kiedy wyjeżdżasz?

– Wkrótce.

– Twoja żona też jedzie?

– Tak. I nasze dziecko.

– Cieszę się, że masz... To znaczy, wiem, że twoja żona chciała mieć dziecko. – Ten rodzaj uprzejmości był dla Eve męczący. Czowała, jakby zmagala się z ogromnym głazem. – Jak ma na imię?

– Evelyn – odpowiedział delikatnym głosem.

Eve wbiła wzrok w klejący się stół barowy.

– Dlaczego nie Lili? – Usłyszała swój głos. – Dlaczego nie Gabrielle albo którakolwiek z twoich rekrutek?

– Gdybyś mogła siebie zobaczyć, nie pytałabyś.

– Wiem, jak wyglądam. Jak wrak.

– Nie, Eve, nic nie może cię zniszczyć. Potrafisz przetrwać wszystko.

Eve zadrżała.

– Przepraszam, że cię zawiodłam. Że uciekłam, kiedy spałeś, i wróciłam do Lille, chociaż nie chciałeś, żebym tam wracała. – Słowa głucho brzmiały w jej ustach. – Tak mi przykro.

– Wiem.

Eve spojrzała na stół, na którym dłoń Camerona leżała tuż obok jej okaleczonej ręki. Przesunął ją nieco, by móc kciukiem pogłaskać czubek jej najbliższego palca.

– Chciałabym – zaczęła Eve, jednak się powstrzymała. Czego właściwie chciała? Żeby nie był żonaty? Eve w tym stanie nie mogłaby zająć miejsca u



jego boku, nawet gdyby był wolny. Żeby znaleźli gdzieś łóżko, na którym mogliby się razem położyć? Eve nie mogła nawet znieść myśli o dzieleniu z kimś pokoju, jej koszmary były zbyt okrutne. Żeby mogli się cofnąć o kilka lat? Do kiedy? Zanim trafiła do Siegburga? Zanim zmarła Lili? Zanim wybuchła wojna? – Chciałabym, żebyś był szczęśliwy – powiedziała w końcu.

Cameron nie uniósł jej dłoni do swoich ust tak jak kiedyś. Zamiast tego pochylił głowę w stronę stołu i dotknął ciepłymi ustami jej wykrzywionych palców.

– Jestem zniszczonym oficerem armii, na którego rękach jest krew wielu zabitych rekrutów, Eve. Nie potrafię już być szczęśliwy.

– Mógłbyś opuścić armię.

– Nie mogę, naprawdę. Przede mną jest jeszcze więcej ludzi od tych, których straciłem. W Irlandii czekają na szkolenie... I wiem, że będę dla nich lepszy niż taki dupek jak Allenton.

Eve zdała sobie sprawę, że Cameron jest już dosyć mocno pijany. Nigdy wcześniej nie obraził swojego przełożonego.

– Wciąż mogę się przydać – powiedział, ostrożnie wymawiając każde słowo. – Mogę jechać do Irlandii, wyszkolić kolejne pokolenie, które stanie się mięsem armatnim, i właśnie to zrobię. Będę pracował tak długo, na ile starczy mi sił. Tak długo, aż umrę.

– Albo odejdiesz na emeryturę.

– Emerytura zabija takich jak my, Eve. Tak właśnie umieramy, jeśli kule nie dopadną nas pierwsze. – Uśmiechnął się gorzko. – Kule, nuda albo brandy. Tak umierają ludzie jak my, Bóg wie, że nie potrafimy żyć w czasach pokoju.

– Nie. Nie potrafimy. – Tym razem to Eve się pochyliła, przyciskając usta do jego dłoni. A potem pili, aż nadszedł czas, kiedy Cameron musiał iść na pociąg. Upijał się w angielskim stylu. Jego oczy błyszczały, ale gdy zmierzali w stronę molo, trzymał się prosto jak kij.

– Wyjadę do Irlandii w ciągu najbliższego tygodnia. – Jego głos brzmiał ponuro, jakby udawał się do piekła. – A ty dokąd zmierzasz?

– Z powrotem do Francji. Tak szybko jak to możliwe.

– Co takiego jest we Francji?

– Wróg. – Eve podniosła wzrok, odgarnęła z oczu suche kosmyki włosów. Czuła ciężar broni w swojej torbie. – René Bordelon, Cameron. Zabiję tego człowieka, nawet jeśli ma to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

Taka była jej rola, teraz, gdy wojna się skończyła.

Nie wiedziała, co wyrażał wzrok Camerona. Mieszankę udręki i niezdecydowania. Później, gdy wracała pamięcią do tego momentu i uważnie przypatrywała się w głowie jego spojrzeniu, zdała sobie sprawę, jak mydlił jej oczy.

– Eve – powiedział w końcu. – Nie wiedziałaś? René Bordelon nie żyje.

# 37

## Charlie

*Czerwiec 1947*

Następnego dnia przygotowałam się na sarkastyczne komentarze Eve, wiedziałam bowiem, że absolutnie każdy, kto spojrzy na Finna i na mnie, domyśli się bez pudła, co się wydarzyło. Powieki ciążyły nam obojgu z niewyspania, a Finn tyle razy zerkał na mnie z ukosa, że chyba tylko cudem wyjechaliśmy z Grenoble, nie kończąc w jakimś rowie.

Eve jednak milczała od momentu, kiedy wsiadła do lagondy. Kiedy na nią spojrzałam, wpatrywała się we wzgórza w oddali, co było zdecydowanie lepsze niż kąśliwe uwagi o tym, że z przodu Finn i ja ukradkiem trzymamy się za ręce.

– Co zrobimy, kiedy dojedziemy do Grasse? – spytałam na próbę.

Odpowiedzią był enigmatyczny uśmiech.

Jęknęłam.

– Jesteś strasznie irytująca, wiesz?

Mimo to nie potrafiłam się gniewać. Palce Finna splecione z moimi były szorstkie i ciepłe, i ogarnęło mnie oszałamiające szczęście. Kiedyś długo trwałam w otępieniu, później rozbitym przez żal, poczucie winy i gniew – one wciąż mi towarzyszyły, teraz jednak przykryła je intensywna, cicha błogość. Nie spowodowały jej spędzone wspólnie bezsenne noce, ale momenty, kiedy Finn schodził na dół po kawę, podczas gdy ja się czesałam, a potem wracał z talerzem chrupkiego bekonu, który z pomocą swojego uroku osobistego wyłudził od hotelowej kucharki, bo wiedział, jak wielką mam na niego ochotę. Oraz to, że gdy patrzyłam na swoje odbicie w lustrze, nie widziałam już wścieklej dziewczyny wysuwającej bojowo podbródek, by oznajmić światu, że ma wszystko w nosie, lecz szczęśliwą młodą kobietę z francuską opalenizną i garstką piegów na nosie. Była to twarz osoby, którą obchodzą ludzie wokół i którą ktoś w zamian również otoczył troską.

Lekko pokręciłam głową, żeby odpędzić te myśli. Postanowiłam nie zastanawiać się za długo nad swoim szczęściem ze strachu, że mnie opuści. Wolałam zostawić je w spokoju i po prostu nie puszczać dłoni Finna, a kiedy powoli zaczęliśmy zbliżać się do Grasse, odwróciłam się i po raz drugi zaczęłam Eve.

– No to mów: jak znajdziemy Bordelona?

– Wciąż analizuję plan pod kątem słabych punktów, jankesko – odparła. – Doskonale wiem, że jeśli chodzi o René, nie jestem całkiem obiektywna...

– Chyba raczej, że masz obsesję... – wymamrotał Finn.

– Wszystko słyszę, Szkocie. – W jej głosie nie było złości. – To dla mnie drażliwy temat, dobrze o tym wiemy, więc muszę się upewnić, że w planie nie ma luk. Wystarczy jedno potknięcie i wszystko wysypie się w diabły, a do tego nie zamierzam dopuścić.

– Mogę ci jakoś pomóc? – zapytałam, ale zanim Eve zdążyła odpowiedzieć, Finn mruknął coś pod nosem. – Co jest?

– Olej nam wycieka. – Puścił moją rękę i pokazał wskaźnik. – Trzeba by dokręcić to i owo...

– Do Grasse została tylko godzina. – Walnęłam dłonią w deskę rozdzielczą. – Cholerne pudło!

– Nie tym tonem, dziewczuszko. To już starowinka i zasługuje na odpoczynek.

– To samochód, nie żywe stworzenie, Finn.

– Może tobie tak się wydaje.

Wymieniając żartobliwe przytyki, skręciliśmy w boczną drogę. Kto by pomyślał, że sprzecznianie się może być takie przyjemne? W oddali po obu stronach wyrastały zielone wzgórza, a powietrze wypełniał nieznany mi uderzający do głowy zapach. Uświadomiłam sobie, że kawałek stąd na południe jest morze. Wszędzie wokół unosił się leniwy śródziemnomorski duch.

Nagle wyrwał mi się cichy okrzyk. Lagonda zjechała z drogi i silnik zgasł. Przez chwilę wszyscy troje patrzyliśmy przed siebie bez słowa. Zbocze pod nami pokrywał dywan pędów o niebiesko-fioletowych szpicach, a wokół unosił się upojnie słodki zapach. Hiacynty – tysiące, dziesiątki tysięcy hiacyntów.

Wychyliłam się tak mocno, że omal nie wypadłam z auta, i zaciągnęłam głęboko.

– To pewnie jedna z tutejszych upraw.

Grasse była stolicą producentów perfum, wiedziałam o tym, ale po raz pierwszy zobaczyłam na własne oczy pole kwiatów, na których ów przemysł się opierał. Wygramoliłam się z auta i nie zamykając drzwi, kucnęłam, żeby zanurzyć nos w najbliższej kępie. Od zapachu zakręciło mi się w głowie. Dalej w dół zbocza ujrzałam falującą gęstwinę róż. Z jeszcze większej oddali płynął mocny aromat jaśminu. Odwróciłam się i ujrzałam Eve, nieruchomą, napawającą się mieszaniną zapachów, i uśmiechniętego Finna, który wyciągał z bagażnika skrzynkę z narzędziami. Nie mogłam się powstrzymać i dałam nura w błękitne fale, muskając palcami kwiatowe czuby. Czułam się, jakbym brodziła w wonnym szafirowym jeziorze.

Gdy przybiegłam z powrotem, Finn zamykał maskę.

– Eve! – zawołałam. Pochyliłam się i złożyłam jej na kolanach naręcze hiacyntów. – To dla ciebie.

Spojrzała na górę kwiatów, delikatnie przesuwając zmaltretowanymi dłońmi po miękkich płatkach, a ja poczułam pieczenie pod powiekami. „Kocham cię, ty cholerna, uparta stara złośnico”, pomyślałam. Eve podniosła na mnie wzrok, uśmiechając się z trudem. Zastanawiałam się, czy odpowie czymś równie czułym.

– Wiem już, co zrobimy, kiedy dot-trzemy do Grasse. – Usłyszałam zamiast tego.

Parsknęłam śmiechem. To była jednak głupota spodziewać się po Eve ckliwych wyznań. Kiedy Finn stanął obok, skinęła głową w jego stronę.

– Będzie ci potrzebny elegancki garnitur, Szkocie, no i wizytówki. Ty, jankesko, odegrasz moją kochającą wnuczkę. Wszyscy musimy uzbroić się w cierpliwość, bo to zajmie trochę czasu.

Resztę planu nakreśliła w kilku zdaniach. Słuchaliśmy jej, potakując.

– Może się udać – orzekł Finn. – Zakładając, że Bordelon w ogóle jest w Grasse.

– A co będzie, kiedy już go znajdziemy? – spytałam.

Eve uśmiechnęła się bezbarwnie.

– Czemu pytasz?

– Zrób mi przyjemność i odpowiedz. – Przypomniałam sobie wczorajszą rozmowę na moście i duszący strach na myśl o tym, że Eve jest spragniona krwi. – Co zrobisz, kiedy go znajdziesz?

Odpowiedziała cytatem po francusku:

– „I będę dawać ci, moja drżąca, uściski zimne jak blask miesiąca... Pieszczoty będę dawać widmowe węża, co czołga się ponad rowem”<sup>[7]</sup>.

Jęknęłam.

– Niech zgadnę. Baudelaire?

– M-mój ulubiony wiersz, *Le Revenant*, czyli *Upiór*, ale po francusku lepiej brzmi. Słowo pochodzi od czasownika *revenir*.

Wrócić.

– Nie spodziewał się mojego powrotu. Bardzo, ale to bardzo się zdziwi.

Finn i ja wymieniliśmy spojrzenia, tymczasem Eve znów się ożywiła.

– No, dzieciaki, wsiadać do auta. Nie możemy cały dzień gapić się na kwiaty.

Świtało, kiedy wjechaliśmy do Grasse, miasta kwadratowych wież, wąskich, krętych uliczek, morelowych dachów i śródziemnomorskich barw, gdzie nad wszystkim unosił się zapach kwiatnych pól. W hotelu Eve zdecydowanym krokiem podeszła do recepcjonisty. Otworzyła usta, ale ją ubiegłam.

– Dwa pokoje – zażądałam, spoglądając na Finna. – Jeden dla g *randmaman* i drugi dla nas, zgadza się, kochanie? – dodałam bez zająknięcia, swobodnie kładąc mu rękę na ramieniu, żeby recepcjonista zauważył obrączkę. Tak jak mówiła Eve, kluczem do sprzedania wiarygodnej historyjki było wyrecytowanie bez potknięć najdrobniejszych szczegółów.

– Dwa pokoje – potwierdził Finn lekko zdławionym głosem. Recepcjonista ani mrugnął. Później zadzwoniłam do Violette, do Roubaix, z informacją, gdzie mnie może złapać. Dotarliśmy do Grasse i rozpoczęło się polowanie.

\*\*\*

Nowe wizytówki Finna były wytłaczane i wyglądały na drogie.

– Masz je rozdawać z protekcyjną miną – pouczyła go Eve. – Na miłość boską, moglibyście przestać chichotać?

Ale Finn i ja dalej skręcaliśmy się ze śmiechu. Każda z wizytówek imponującym krojem pisma głosiła:

Donald McGowan, radca prawny

– Mój Donald! – wykrztusiłam wreszcie. – Matka zawsze chciała, żebym znalazła sobie prawnika.

– Radcę prawnego – poprawiła mnie Eve. – Angole mają radców prawnych, w dodatku szalenie wyniosłych. Musisz opracować dobry grymas, Finn.

I w istocie, kiedy cztery dni później podawał wizytówkę szefowi sali, grymas miał imponujący. Zdążył poćwiczyć.

– Chciałbym zadać kilka pytań w imieniu pewnej damy – oznajmił cichym głosem. – Sprawa jest dość delikatna.

*Maître d'hôtel* otaksował go spojrzeniem. Na Finna Kilgore'a w jego pomiętej koszuli i ze zmierzwionymi włosami tu, w Les Trois Cloches, jednej z najelegantszych restauracji w Grasse, nikt by nawet nie splunął. Ale Donald McGowan w grafitowym garniturze i wąskim krawacie w paski wymagał od rozmówcy lekkiego wyprostowania pleców.

– Czym mogę panu służyć, *monsieur*?

Trwała cicha godzina między lunchem a obiadem, kiedy w restauracji było mało gości; Eve zawsze dokładnie pilnowała pory naszego przybycia, żeby obsługa miała czas poplotkować. Albo odpowiedzieć na pytania.

– Moja klientka, pani Knight. – Finn wskazał na Eve w czarnej jedwabnej sukience i kapeluszu z szerokim rondem. Wyglądała na słabą i bezbronną, kiedy wsparta na moim ramieniu, z dłońmi ukrytymi w rękawiczkach z koźlęcej skóry, ocierała oczy chusteczką z czarnym rąbkiem. – Wiele lat temu wyjechała do Nowego Jorku, ale większość jej rodziny została we Francji – wyjaśnił. – A ponieważ tak wielu spośród nich zginęło na wojnie...

Szef sali przeżegnał się pospiesznie.

– Oj, wielu.

– Zdołałem odnaleźć świadectwa zgonu jej ojca, ciotki i dwóch wujów. Lecz jeden z kuzynów wciąż uznawany jest za zaginionego.

– Skoro ty możesz włóczyć się po całej Francji w poszukiwaniu kuzynki, to ja też, oznajmiła Eve, tłumacząc nam, jak wpadła na ten pomysł. Kto w Europie nie ma w dzisiejszych czasach jakichś zaginionych krewnych?

– Dowiedzieliśmy się, że w czterdziestym czwartym uciekł przed Gestapo z Limoges do Grasse... – Finn ściszone głosem rzucił kilka zawołanych aluzji do działalności ruchu oporu i wrogów z Vichy. W paru zdaniach namalował portret towarzysza dziecięcych zabaw Eve (dzielnego patrioty, który o włos uniknął aresztowania), za którym ona (jedyna ocalała z rodzinnej masakry) ogromnie tęskni.

– Ktoś się na to nabierze? – zapytałam podczas postoju na polu hiacyntów. – Historia całkiem jak z Hollywood.

– Właśnie dlatego się nabiorą. Po wojnie takiej jak ta wszyscy są g-głodni szczęśliwego zakończenia, nawet jeśli nie miałyby dotyczyć ich osobiście.

I rzeczywiście, *maître d'hôtel*, podobnie jak wielu przed nim, kiwał głową z wyraźnym współczuciem.

– René du Malassis – podsumował Finn. – Choć możliwe, że posługuje się innym nazwiskiem. Szukała go milicja. – Tu nastąpiła wymiana spojrzeń; nawet teraz, dwa lata po wojnie, każdy jeżył się na wzmiankę o Milicji Francuskiej. – To bardzo utrudnia pani Knight poszukiwania. Ale mamy zdjęcie...

Na kontuarze wylądowała fotografia René, złożona i przycięta tak, by ukryć jego współbiedniaków noszących swastyki. Szef sali przyjrzał jej się bacznie. Ramiona Eve zadrżały, a ja z troską poklepałam ją po plecach.

– Nie denerwuj się, *grandmaman*. – Moja rola: spotęgować współczucie. Potarłam obiema rękami obleczoną w rękawiczkę dłoń Eve, z łomoczącym sercem obserwując wahanie mężczyzny.

– Nie – powiedział wreszcie i pokręcił głową, a ja poczułam cięższe tym razem bicie serca. – Nie, obawiam się, że go nie rozpoznaję.

Skreśliłam Les Trois Cloches z naszej listy. Tymczasem Finn dyskretnie przesunął po blacie banknot, szepcząc:

– Gdyby go pan zobaczył, proszę się ze mną skontaktować...

Kolejne miejsce odfajkowane, zostało jeszcze kilkaset.

– Nie rób takiej ponurej miny – upomniała mnie Eve, kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz. – Przecież mówiłam, że t-to będzie wymagało sporo roboty



i fartu, pamiętasz? To właśnie ta n-niehollywoodzka część. Nie spodziewasz się chyba, że ten, którego szukasz, wyskoczy od razu jak królik z kapelusza?

– Jesteś pewna, że to najlepszy sposób, żeby go znaleźć? – spytał Finn, zakładając fedorę. Minęły czasy, kiedy kroczył przez świat bez kapelusza; Donald McGowan, radca prawny, był człowiekiem dbającym o poważny wygląd.

– W jednym z tych miejsc – Eve dźgnęła palcem zmiętą listę w torebce – na pewno będą go znali.

Jej wywód był prosty: René Bordelon ceni sobie luksus. To jedno z pewnością się nie zmieniło. Nadal odwiedza najlepsze kluby, pije w świetnych lokalach, chodzi do teatrów i jest zauważalnym gościem, ponieważ zostawia sowite napiwki, dobrze się ubiera, potrafi pogadać z sommelierem o winach, a z przewodnikiem muzealnym podyskutować o Klimcie. Nasze zdjęcie zrobiono stosunkowo niedawno i Eve była przekonana, że jeśli obejdziemy te miejsca w Grasse, gdzie spotykają się ludzie kulturalni, ktoś gdzieś rozpozna jego twarz. A wtedy ustalimy jego nazwisko.

Stojąc pośród kwiatów w słoneczny dzień, zastanawiałam się na głos:

– Ile czasu nam to zajmie?

– W Paryżu trwałoby całą wieczność. Ale Grasse nie jest wielkim miastem.

Finna niepokoiło coś złowrogiego.

– A jeśli się dowie, że ktoś go szuka? Kobieta o zdeformowanych dłoniach i w wieku, w którym byłaby dziś jego mała Marguerite?

Eve zgromiła go wzrokiem.

– Jestem profesjonalistką, Finn. Okaż odrobinę zaufania. Myślisz, że zamierzam paradować po Grasse z tubą, ogłaszając wszystkim wokół swoje przybycie?

Stąd właśnie wzięli się pani Knight i pan McGowan, a także rękawiczki, w których ukrywała dłonie.

– Mam jeden warunek, Gardiner – odparł na to Finn. – Luger zostaje w hotelu.

– Zdaje ci się, że jeśli zobaczę René Bordelona na ulicy, podejdem i wpakuję mu kulke w łeb?

– Nie jestem idiotą. Nie mam zamiaru ryzykować.

Poszukiwania trwały od czterech dni. Ledwie zdążyliśmy rozpakować się w hotelu, a Eve już zaczęła zbierać informacje i tworzyć listy. Gdy tylko Finn dostał wizytówki oraz garnitur, ona zaś z zdobyła odpowiednie rękawiczki i wdowi kapelusz, pod którym mogła ukryć twarz, nie sprawiając wrażenia, że robi to celowo, zabraliśmy się do dzieła.

Kiedy zawitaliśmy z naszą zmyśloną historyjką do pierwszej eleganckiej kawiarni, omal nie zjadły mnie nerwy. Teraz, sześć restauracji, trzy muzea, jeden teatr, pięć klubów i cztery dni później, powoli zaczynało się robić nudno. Nie licząc chwil napięcia, gdy kolejny konsjerż bądź kelner pochylał się nad zdjęciem René, a ja myślałam, że może tym razem...

– Witaj w świecie prawdziwej szpiegowskiej roboty – powiedziała Eve po wyjściu z Les Trois Cloches, prostując się i na moich oczach porzucając maskę zgarbionej staruszki. – Jest przede wszystkim zmudna, ekscytująca bywa od czasu do czasu.

Oczy jej lśniły i przyszło mi na myśl, że wygląda o wiele lepiej niż w dniu, kiedy ją poznałam. Tamtej udreżonej, pomarszczonej i bladej kobiecie dałabym sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt lat. Teraz, kiedy otrząsnęła się z żalu i apatii, które przyginały ją do ziemi, postarzały i dodawały jej kruchości, przeszła zadziwiającą przemianę. Jej twarz nabrała kolorów, choć okolice ust i oczu nadal przecinały głębokie bruzdy. Nowa Eve poruszała się szybko i zdecydowanie, a jej siwe włosy błyszczały podobnie jak bystre spojrzenie. Znowu wyglądała na swój wiek, jak pięćdziesięcioczerolatka, której zostało jeszcze mnóstwo wigoru.

– Odkąd tu przyjechaliśmy, ani razu nie obudziła się z krzykiem – powiedziałam do Finna tego samego wieczoru przy kolacji, patrząc, jak Eve oddała się po schodach na piętro. – I nie chleje już tyle whisky.

– Pościg dobrze jej robi – stwierdził Finn i dopił kawę. – To urodzona łowczyni. Przez ostatnich trzydzieści lat tkwiła w miejscu. Powoli umierała, bo nie miała za czym gonić. Może lepiej, żeby to polowanie jeszcze trochę potrwało.

– Cóż – odparłam – ja z pewnością nie miałabym nic przeciwko temu.

Spojrzał na mnie z tym swoim uśmiechem w kącikach oczu, od którego miękły mi kolana.

– Wykończyło mnie to łożenie. A ciebie?

– Padam z nóg. Powinniśmy iść się położyć.

A jednak nieduży pokój z niebieskimi okiennicami i szerokim, miękkim łóżkiem rzadko służył nam do spania. Ani ja, ani Finn nie protestowaliśmy, kiedy poszukiwania Eve przeciągnęły się do tygodnia, potem do dziesięciu dni. Poranki były dla całej naszej trójki: kruszące się płatkami croissanty i czarne jak atrament espresso przy stoliku tak małym, że stykaliśmy się kolanami. Później polowanie, powtarzalność aktów opracowanego do perfekcji przedstawienia: przystanek w sklepie z ręcznie robionym obuwiem nieopodal Place aux Aires i w atelier z drogą wodą kolońską. Spacer wąskimi, krętymi uliczkami *vieille ville*, ku klubom i teatrom, gdzie obsługa być może rozpozna ulubionego gościa, a następnie, podczas sennej godziny przed obiadem, wizyty w restauracjach pełnych lamp z abażurami i ciężkich srebrnych sztuców. Wreszcie powrót do hotelu i kolacja, butelka różowego prowansalskiego wina i talerze z górami *frites*. Za dnia oboje z Finnem chętnie pozwalaliśmy Eve wodzić prym, ponieważ noce należały tylko do nas.

– Czy już ci wspominałam – zapytałam pewnego wieczoru, opierając głowę na jego ramieniu – że szalowo wyglądasz w garniturze?

– Ano wspominałaś.

– Chyba warto to powtórzyć. – Pochyliłam się, żeby dopić resztkę wina, które zabraliśmy ze sobą do łóżka. Byłam całkiem naga i ani trochę się już nie wstydziłam, gdy leżał z dłońmi splecionymi za głową i patrzył na mnie z zachwytem. – Kiedy będziemy mogli odebrać lagodę?

– Za jakiś tydzień.

Dowiedziawszy się, że zostaniemy w Grasse dłużej, Finn oddał auto do warsztatu, żeby się pozbyć tego nieuchwytnego wycieku. Co drugi dzień dzwonił do mechanika, wpytując o swój skarb niczym niespokojna matka.

– Finn, potrzebny ci nowy samochód.

– Wiesz, ile to dziś kosztuje i jakie było w czasie wojny zapotrzebowanie na metal?

– W takim razie zdrowie lagondy. – Podałam mu kubek, którego używaliśmy zamiast kieliszka. – Chętnie pojeździłabym po Grasse, zamiast wszędzie chodzić na piechotę. Bolał mnie stopy, a myślałam, że czeka mnie to dopiero za kilka miesięcy, kiedy będę naprawdę wielka.

Tuż po przyjeździe do Grasse opuściły mnie poranne mdłości, a wraz z nimi wieczne zmęczenie. Nie wiedziałam, czy zawdzięczam to zapachowi kwiatów w powietrzu, dużej ilości seksu czy po prostu temu, że Pączek Róży był ze mną już prawie cztery miesiące, ale nagle poczułam się wspaniale, pełna nieokiełznanej energii i gotowa na wszystko, nawet na niekończące się piesze wędrówki po mieście. Mimo to tęskniłam za naszym samochodem.

Finn wychylił resztkę wina i przekręcił się tak, że teraz siedział oparty plecami o przeciwległy szczyt łóżka. Kiedy zaczął masować mi palce stóp pod kołdrą, poruszyłam się z rozkoszy. Noc była ciepła, a przez otwarte okna do pokoju płynął zapach jaśminu i róż. W świetle lampki łóżko zmieniło się w okręt na środku ciemnego morza. Zgodnie z umową w tym miejscu nie rozmawialiśmy o René, wojnie ani wszystkich związanych z nimi okropnościami. Noc była czasem przeznaczonym na miłsze tematy.

– Zaczekaj, aż będziesz w ósmym miesiącu – prorokował Finn, masując mi podbicia. – Wtedy to dopiero zaczynają boleć stopy.

– A cóż pan może wiedzieć o ósmym miesiącu, panie Kilgore?

– Napatrzyłem się na żony kolegów. Chyba tylko ja jeszcze się nie chajtnąłem, większość chłopaków z sześćdziesiątego trzeciego zaraz po powrocie do domu zmajstrowała dzieciaka jakiejś dziewczynie i ożeniła się. Jestem przynajmniej potrójnym ojcem chrzestnym.

– Wyobrażam sobie, jak stoisz nad chrzcielnicą z rozwrzeszczanym zawiniątkiem całym w koronkach!

– Rozwrzeszczanym? W życiu. Dzieci za mną przepadają. Zасыpiają, kiedy tylko wezmę je na ręce. – Chwila ciszy. – Lubię takie małe kajtki. Zawsze chciałem mieć gromadkę własnych.

Oboje pozwoliliśmy, żeby te słowa zawisły w powietrzu, i dopiero po chwili ostrożnie podjęliśmy temat.

– Co jeszcze lubisz? – zapytałam, podsuwając mu drugą stopę. – Poza bentleyami?

Zeszłej nocy Finn odczytał na głos z pisma motoryzacyjnego opis budowy modelu Bentley Mark VI, okrutnie przedrzeźniając przy tym mój amerykański akcent, podczas gdy ja okładałam go poduszką.

– Mężczyźnie, który ma bentleya, niczego więcej nie potrzeba, dziewczusko. No, może poza dobrym warsztatem. Ten, do którego oddałem lagondę, jest dobry.

Połąskotałam go po piersi palcami stóp.

– Sam mógłbyś taki prowadzić.

– Do tego trzeba czegoś więcej niż ręki do samochodów. – Finn zrobił smutną minę. – Znasz mnie. Książeczka bankowa wylądowałaby pod kanistrem z olejem. Z poplamionych smarem kwitków nie dałoby się nic odczytać i wkrótce cały interes przejęłyby banki.

Ale gdybym to ja pilnowała rachunków... Nie dokończyłam tej myśli nawet we własnej głowie, po prostu odsunęłam ją od siebie delikatnie i w zamian opowiedziałam mu o prowansalskiej kafejce, którą tak dobrze pamiętałam, i o tym, jak tamten dzień sprzed wielu lat sprawił, że pasiaste markizy, Édith Piaf, kozi ser i kanapki to moja wizja rajy na ziemi.

– Chociaż szkoda, że nie było angielskiego śniadania. Znaczy, w tej idealnej kafejce.

– Wiesz, robię sadzone pierwsza klasa...

Oboje wiedzieliśmy, co się dzieje podczas tych leniwych nocnych pogawędek. Szkicowaliśmy przyszłość i niepewnie, niemal ze strachem zaczynaliśmy wpisywać w nią siebie nawzajem, za każdym razem z półuśmiechem cofając się przed tym, co niewypowiedziane. Czasem noc przynosiła koszmary, łatwiejsze do zniesienia, kiedy można się było wtulić w ciepłe ramiona. Gdy nadchodził smutek, po prostu wtapiał się w ciemność, stając się częścią wypełniającej noc słodyczy.

„Nie znam cię na tyle długo, żeby tak za tobą szaleć – pomyślałam, przyglądając się profilowi Finna w miękkim świetle. – A jednak szaleję”.

Pewnego popołudnia, dwa i pół tygodnia po przyjeździe do Grasse, pijąc espresso po lunchu, Eve powiedziała:

– Może René tu nie ma.

Finn i ja spojrzeliśmy po sobie. Bez wątplenia oboje myśleliśmy o wszystkich ludziach kręcących głowami nad zdjęciem, odkąd tu

przybyliśmy. Trzech kierowników restauracji i drogi krawiec mieli wrażenie, że poznają twarz człowieka z fotografii, ale nie mogli sobie przypomnieć jego nazwiska. Poza tym nic.

– Może p-powinniśmy dać spokój. Niech Charlie wróci do domu dziergać małe buciczki, a ty – skinęła głową Finnowi – odwieziesz mnie z powrotem do krainy ryby z frytkami.

– Nie jestem jeszcze gotowa wracać do domu. – Nadałam głosowi lekki ton, ale kiedy Finn ścisnął moją dłoń, odpowiedziałam tym samym.

– Dajmy sobie jeszcze tydzień albo dwa – zaproponował. Eve pokiwała głową. – Dziś po południu zrobimy sobie wolne. Chcę pójść do warsztatu i sprawdzić, co z lagondą.

– Zadręczy tych biednych mechaników na śmierć – zachichotała Eve, kiedy odchodził.

– Albo przeprosi samochód, że nie odwiedzał go częściej – dodałam.

Przez chwilę siedziałyśmy, kończąc espresso, a potem Eve na mnie spojrzała.

– Kiepsko sobie radzę z wolnymi popołudniami. Zajrzyjmy do paru restauracji. Myślę, że p-poradzimy sobie z kelnerami bez ciągnięcia ze sobą naszego radcy prawnego.

Popatrzyłam na nią. Łobuzersko przekrzywiła na czole swój wielki kapelusz, a jej szare oczy lśniły na tle opalanej skóry.

– Może tym razem powinnaś przedstawić mnie jako swoją córkę. Nie jesteś już tak wiarygodna w roli babci staruszki.

– Pff.

– Mówię poważnie! To ten kwiatowy zapach w powietrzu, działa jak eliksir młodości.

Przemierzałyśmy właśnie najstarszą część miasta, gdzie szczyty budynków górowały łukami nad ulicą, wsparte o siebie niczym dobrzy przyjaciele, i uświadomiłam sobie, że kocham Grasse. Wspomnienia innych miast, przez które przejechaliśmy – Lille, Roubaix, Limoges – zatarły się, przesłonięte poszukiwaniem Rose. Ale tutaj, w Grasse, przystanęliśmy wreszcie, by odetchnąć, i miasto stopniowo odkrywało przede mną swoje uroki tak jak tamto pole jaśminu. „Nie chcę stąd wyjeżdżać”, pomyślałam jeszcze, zanim na nowo skupiłam się na naszym śledztwie .

Po bezowocnych wizytach w dwóch restauracjach Eve wyciągnęła mapę, żeby odnaleźć trzecią. Podjadając smażone kwiaty cukinii, od których Pączek Róży uzależnił się niemal tak bardzo jak od bekonu, zerkałam na witrynę pobliskiego sklepu. Wystawę w całości wypełniały dziecięce ciuszki: marynarskie komplety, spódniczki z falbanami i rozłożona na wystawowym dziecięcym wózku maleńka koronkowa sukieneczka haftowana w pędy róż. Spojrzałam na nią i natychmiast dopadło mnie czyste pożądanie. Oczyma wyobraźni widziałam Pączek Róży ubrany tak na swoich chrzcinach. Teraz już ją czułam – niemal z dnia na dzień mój całkiem płaski dotąd brzuch lekko się zaokrąglił. Pod ubraniem nie było go widać, a jednak tam był, mój maleńki brzuszek. Finn nic nie mówił, ale nocą muskał go palcami, a jego dotyk był delikatny jak pocałunki.

– Kup ją – powiedziała Eve, kiedy zorientowała się, na co patrzę. – Ten zwitek koronek, nad którym tak się ślinisz, po prostu go sobie kup.

– Wątpię, żeby było mnie na nią stać. – Ze smutkiem przełknęłam ostatni smażony kwiat. – Na pewno kosztuje więcej niż wszystkie moje ciuchy z odzysku razem wzięte.

Eve wcisnęła mapę do torebki i wmaszerowała do sklepu, a kilka minut później wyłoniła się z niego z brązową paczką i rzuciła mi ją bezceremonialnym gestem.

– Może teraz przyspieszysz wreszcie kroku.

– Nie musiałaś...

– Nie znoszę słuchać podziękowań, jankesko!

Ruszyłam za nią.

– Dużo ostatnio wydajesz, Eve. – Pieniądze za perły się skończyły i teraz to ona pokrywała nasze rachunki, choć przysięgałam, że wszystko jej zwrócę, kiedy tylko dobiorę się do mojego londyńskiego konta.

– A na co mam wydawać? Chyba tylko na whisky, zemstę i niemowlęce sukienki.

Uśmiechnęłam się, przyciskając pakunek do piersi.

– Zgodzisz się zostać jej matką chrzestną?

– Wciąż mówisz „jej”, a zobaczysz, że na złość urodzi się chłopak.

– W takim razie jego matką chrzestną. – Zamilkłam, nagle poważna, choć powiedziałam to ot tak. – Eve, ja nie żartuję. Zgodzisz się?

– Nie potrafię się zachować w kościele.

– Biorę to pod uwagę.

– W porządku. – Uśmiechnęła się z trudem i ruszyła przed siebie sztywnym krokiem niczym brodząca w głębokiej wodzie czapla. – Skoro nalegasz.

– Nalegam – potwierdziłam głosem grubym ze wzruszenia.

Restauracja znajdowała się tuż przy Place du Petit Puy z jego białą katedrą. Dawno minęła pora lunchu i już wkrótce do lokalu mieli zacząć napływać amatorzy popołudniowych drinków. Jaskrawe słońce zastąpił półmrok, a ja zmrużyłam oczy, na powrót wchodząc w rolę troskliwej krewnej, podczas gdy Eve już opierała się o mnie, jakby była zbyt słaba, żeby chodzić samodzielnie.

Podeszłam do szefa sali i uderzyłam w stałą gadkę Finna, którą potrafiłabym wyrecytować przez sen. Eve ocierała oczy chusteczką, a już po chwili na stole wylądowało zdjęcie. Moje myśli wciąż krążyły wokół dziecięcej sukienki; w zasadzie nie myślałam o człowieku, którego ścigaliśmy.

Do momentu, kiedy *maître d'hôtel* pokiwał głową na znak, że go rozpoznaje. To było jak cios obuchem.

– *Bien sûr, mademoiselle.* Dobrze znam tego pana, to jeden z naszych ulubionych klientów. *Monsieur René Gautier.*

Na moment zamarłam. René Gautier. Nazwisko tłukło mi się po głowie jak odbijający się rykoszetem pocisk. René Gautier...

Eve za mną zrobiła krok do przodu. Nie miałam pojęcia, jakim cudem wciąż trzymała się roli kruchej staruszki. Ale w końcu dostała cztery ordery za szpiegostwo. Zrozumiałam dlaczego, kiedy słabym głosem, bez drgnienia powieki, powiedziała:

– O, *monsieur*, jakże mnie pan uszczęśliwił! Mój René, po tylu latach! A zatem René Gautier, takie przyjął nazwisko?

– Tak, *madame.* – Szef sali uśmiechnął się, wyraźnie delektując się tym, że może być posłańcem dobrych wiadomości. Eve miała rację, po wojnie wszyscy byli głodni szczęśliwych zakończeń. – Mieszka w uroczej małej willi poza miastem, ale często do nas wpada. Na rillettes de canard,



podajemy najlepsze rillettes na Lazurowym Wybrzeżu, jeśli wolno mi tak nieskromnie powiedzieć...

Guzik mnie obchodziły cholerne rillettes. Nachyliłam się bliżej, a krew łomotała mi w uszach.

– Ma pan może adres jego willi?

– Tuż za polami mimozy w bok od Rue des Papillons, *mademoiselle*. Czasem dostarczamy tam skrzynkę wina Vouvray, którego nie sposób dostać nigdzie indziej w Grasse...

Eve już poprawiała kapelusz.

– Dziękujemy, *monsieur*, bardzo nas pan uszczęśliwił – rzuciłam pospiesznie, sięgając po ramię Eve, ale w tym momencie *maître d'hôtel* spojrzął na kogoś za naszymi plecami i rozpromienił się.

– Ach, co za szczęście! Oto i *monsieur* we własnej osobie.

# 38

## Eve

Gdy odwróciła twarz w stronę wroga, przeszłość nałożyła się na terażniejszość. Był jednocześnie rok 1915 i 1947 – była zakrwawioną, złamaną dwudziestodwulatką, a zarazem drżącą, i też złamaną, pięćdziesięcioczerolatką; René Bordelon był wytwornym ciemnowłosym lekkoduchem, a zarazem tym starym mężczyzną o sztywnych ramionach oraz srebrnych włosach i w doskonale skrojonym garniturze. Teraz, gdy zbiegały się różne chwile, jedno i drugie było prawdą.

Potem przeszłość i terażniejszość splotły się z trzaskiem i był już tylko rok 1947, piękny letni wieczór w Grasse, a dawną agentkę dzieliła od wroga jedynie kilkumetrowa przestrzeń wykafelkowanej podłogi. Gdy Eve na niego patrzyła – wysokiego, sztywno wyprostowanego, z tą samą laską o srebrnej ręczce przewieszoną przez ramię – jej żołądek przeszył spazm przerażenia, a cała zgromadzona odwaga zniknęła z jednym długim cichym jękiem.

Nie rozpoznał jej. Obrócił w dłoniach czarny kapelusz, unosząc brew mimo entuzjastycznej reakcji kierownika sali.

– Widzę, że ktoś mnie oczekuje?

Eve zadrżała, słysząc ten monotony głos ze swoich koszmarów. Poczula ból w odzianych w rękawiczki dłoniach, gdy wciąż otumaniona niedowierzaniem zerknęła na mężczyznę, który je zniszczył. Nie przyszło jej do głowy, że może go zobaczyć, zanim będzie gotowa. Sądziła, że po raz pierwszy spotkają się na jej warunkach, że go zaskoczy, gdy będzie dobrze przygotowana. A tymczasem zaskoczył ją los, ona zaś wcale nie była gotowa.

Właściwie się nie zmienił. Jego włosy posiwiały, a bruzdy na czole... były niczym okienna dekoracja, nic więcej. Pajęcze palce, płaski głos, marna dusza dręczyciela wyglądająca zza drogiego garnituru i wyrafinowania – to wszystko było takie samo.

Z wyjątkiem blizny na wardze. Eve zrozumiała, że to ona zostawiła ten ślad, gdy ugryzła go podczas ostatniego jadownego pocałunku.

Kierownik sali usilnie coś wyjaśniał, a Eve jak przez mgłę poczuła Charlie dotykającą jej łokcia i mamroczącą coś, czego nie słyszała przez szum w uszach. Wiedziała, że powinna coś powiedzieć, coś zrobić, lecz zdołała tylko nieruchomo trwać.

Ciemne oczy René znów powędrowały ku jej twarzy. Ruszył przed siebie.

– Pani Knight? Nie rozpoznaję nazwiska, *madame*...?

Eve nie miała pojęcia, jak jej się to udało, ale wyszła mu na powitanie z wyciągniętą ręką. Uścisnął jej dłoń, a gdy poczuła ten znajomy chwyt długich palców, ogarnęło ją dawne obrzydzenie. Chciała odtrącić jego rękę i uciec jak tchórz, bolejąc nad dawnym przerażeniem i cierpieniem.

Za późno. On tu był, ona też. Evelyn Gardiner nie zamierzała dłużej uciekać.

Uścisnęła mocno jego dłoń i zobaczyła, jak zmienia się jego twarz, gdy wyczuł deformacje ukryte pod rękawiczką. Pochyliła się do przodu, by tylko on mógł ją usłyszeć. Jej słowa były ciche, spokojne, doskonale wyważone.

– Być może znajome będzie nazwisko Marguerite Le François, panie René Bordelon. Albo Evelyn Gardiner?

Nagle pracownicy restauracji zaczęli się wokół nich krzątać. Oto pod dachem lokalu odbywało się radosne spotkanie, kelnerzy uśmiechali się przyjaźnie, a kierownik sali zaproponował najlepszy stolik. W samym środku tego szumu Eve i René zmierzyli się spojrzeniami, jakby stawali do walki na miecze.

W końcu ten drań puścił jej dłoń i wskazał stolik, który tak ochoczo przygotowywali kelnerzy.

– Usiądziemy?

Eve zdołała skinąć głową. Odwróciła się, nie wiedząc, jak to możliwe, że nie potyka się po drodze do stolika. Charlie stanęła u jej boku niczym giermek rycerza – była zupełnie blada, gdy ujęła Eve za łokieć. Ta dzielna drobna dłoń cudownie przywracała jej równowagę.

– Eve – wymamrotała, rzucając spojrzenia na mężczyznę za nimi. – Co mogę zrobić?

– Nie wchodź mi w drogę – odrzekła pod nosem Eve.

Charlie St. Clair nie powinna się zbliżać do miejsca pojedynku; René poradziłby sobie z nią jednym ciosem, tak jak okaleczył mimochodem tak wielu innych ludzi. Eve rozszarpałaby go na strzępy, zanim pozwoliłaby mu skrzywdzić kolejną osobę, na której jej zależało.

„Rozszarpałabyś go na strzępy? – zadrwił jej umysł. – Ledwie udaje ci się spojrzeć mu w oczy”. Odrzuciła tę myśl razem z lękiem i usiadła naprzeciw niego – między nimi rozciągała się przestrzeń pokryta śnieżnobiałym lnem. Charlie przycupnęła na krześle u boku Eve, wyjątkowo milcząca. Kelnerzy byli dobrze wyszkoleni, krążyli tak, by nie słyszeć rozmowy i zapewnić prywatność tym, którzy z taką radością właśnie się spotkali.

René odchylił się i ułożył palce w piramidkę. Eve ogarnęły mdłości, zobaczyła, jak te same palce zaciskają się wokół zakrwawionego popiersia Baudelaire’a i jak przesuwają się po jej nagich piersiach w łóżku.

– Cóż – powiedział łagodnie po francusku. – Marguerite.

Serce prawie przestało jej bić, gdy usłyszała z jego ust to imię. Razem z nim wrócił dawny chłód, który ogarnął ją niczym fala. Zimna krew pulsowała w niej powoli i po raz pierwszy, odkąd zobaczyła jadowitego starca w drzwiach restauracji, patrzyła na niego z pozornym spokojem.

– René Gautier. Mniemam, że to nawiązanie do Théophile’a Gautiera? Poety, któremu Baudelaire zadedykował *Kwiaty zła*? W Limoges nazywałeś się du Malassis po wydawcy Baudelaire’a, czyli wciąż nie odkryłeś kolejnego poety.

René wzruszył ramionami tak swobodnie, jakby toczyli najzwyczajszą rozmowę przy posiłku.

– Skoro już znalazłem najlepszego, to czemu przy nim nie zostać?

– To wymyślny sposób, by powiedzieć, że twój umysł trwa w stag-nacji.

Podbiegł do nich kelner, prezentując butelkę szampana.

– To przecież spotkanie, które warto uczcić, prawda, *monsieur*?

– Owszem – mruknął René. – Czemu nie?

– Chętnie się napiję – zgodziła się Eve. Lepsze byłoby wiadro whisky, ale szampan musiał wystarczyć. Zacisnęła dłonie w pięści na kolanach, uświadamiając sobie, gdy René skrzywił się na dźwięk otwieranej butelki, że on też nie jest taki spokojny, jak udaje. I dobrze.

Gdy kelner się wycofał, jednocześnie sięgnęli po kieliszki. Nikt nie wzniósł toastu.

– Masz na twarzy tyle bruzd – powiedział. – Co ze sobą zrobiłaś przez te wszystkie lata?

– Żyłam intensywnie. Nie muszę pytać, co ty robiłeś. To samo co wtedy, kiedy spotkaliśmy się ostatnio: wygodnie sobie żyłeś, pomagałeś Niemcom, sprowadzałeś na rodaków śmierć. Ale teraz nie przeszkadza ci, żeby samemu do nich strzelać. Na starość już nie jesteś taki wrażliwy, co?

– To dzięki tobie straciłem wrażliwość, kotku.

To słowo przebiegło po jej skórze niczym szczur.

– Nigdy nie byłam twoim kotkiem.

– Judasz bardziej ci pasuje?

To był mocny cios, ale Eve – z trudem – udało się zachować kamienną twarz.

– Mniej więcej tak, jak tobie pasuje naiwniak.

Uśmiechnął się sztywno. Gdy Eve patrzyła, jak siedzi w tym swoim drogim garniturze i długim nosem wciąga bąbelki idealnie schłodzonego szampana, poczuła rosnącą furję. Tylu ludzi przez niego zginęło – Lili w obskurnym więzieniu, Rose z dzieckiem wśród gradu kul, młody kucharz z kieszenią pełną kradzionych sreber – a co on robił przez te wszystkie lata? Pił szampana i spał bez koszmarów.

Koszmary Eve zaczęły się po Siegburgu. Kiedy w celi więziennej drżała z potwornego zimna na brudnej pryczy, nie miała żadnych snów, dopiero potem pojawiły się przerażające obrazy gabinetu o zielonych ścianach, lilii o złych oczach, spadającego na nią popiersia. Zawsze tylko pokój, nigdy człowiek. Sny o miejscu, w którym ją zniszczył, wyrwały wokół jej oczu bruzdy, którym się z taką pogardą przyglądał. On wyglądał, jakby przez ostatnie trzydzieści lat świetnie sypiał.

Eve zerknęła na twarz Charlie – bladą i nieruchomą, choć na ogół była taka ożywiona – i zastanawiała się, czy jankeska myśli o tym samym. Przypomniała sobie, jak Charlie mówiła, że nigdy nie zmierzyła się ze złem tak jak Eve.

„Teraz się z nim mierzysz”.

René wypił trochę szampana, wydał z siebie pomruk zadowolenia i otarł usta serwetką.

– Przyznaję, że jestem zaskoczony tym spotkaniem, Marguerite. Mogę tak do ciebie mówić? Nigdy nie zdołałem myśleć o tobie inaczej.

– Dziwię się, że w ogóle o mnie myślałeś. Nigdy nie oglądałeś się na zniszczenia, które po sobie zostawiałeś.

– Cóż, byłaś wyjątkowa. Sądziłem, że może pojawisz się w Limoges, szukając mnie po pierwszej wojnie.

Gdyby nie kłamstwo Camerona...

– Dość dobrze zatarłeś ślady, gdy wyjechałeś z Lille do Limoges.

– Nietrudno o nowe dokumenty, kiedy ma się kontakty na czarnym rynku. – Machnął ręką. – Wciąż mogłaś mnie znaleźć, gdy wypuścili cię z więzienia w Siegburgu. Nasłuchiwałem wieści o twoim uwolnieniu. Czemu dopiero teraz mnie znalazłaś?

– Czy to ważne? – Eve jednym łykiem wypła połowę kieliszka. Teraz szybciej znajdowała słowa, weszła w dawny rytm, który kiedyś tak dobrze wykorzystywała przeciw René w rozmowie. – Jestem tu.

– Żeby strzelić mi między oczy? Przypuszczam, że zrobiłabyś to już w drzwiach, gdybyś miała broń.

„Niech Bóg przeklnie Finna Kilgore’a”, pomyślała Eve. Gdyby nie on, miałyby przy sobie lugera.

– O ile ten mizerny wrak, który nazywasz ręką, jest jeszcze w stanie strzelać.

René przywołał kelnera, unosząc palce.

– Proszę rillettes de canard. Jestem dość głodny.

– Oczywiście, *monsieur*. A dla *madame*?

– Nic, dziękuję.

– Mniej się jąkasz – zauważył René po odejściu kelnera. – Mówisz płynniej, kiedy się boisz?

– Kiedy jestem wściekła. – Eve uśmiechnęła się. – Kiedy ty się złościś, pojawia się mały tik w rogu twojego oka. Właśnie to widzę.

– Jesteś chyba jedyną kobietą, przez którą kiedykolwiek straciłem panowanie nad sobą, Marguerite.

– Liczą się małe zwyczajstwa. Ciągłe masz to popiersie Baudelaire’a?

– To mój skarb. Czasami w nocy słyszę trzask twoich palców i zasypiam z uśmiechem.

Powróciło wspomnienie gabinetu o zielonych ścianach, zapachu krwi i strach, ale Eve go zignorowała.

– Kiedy ja chcę zasnąć, wspominam twoją twarz w chwili, gdy zrozumiałeś, że pieprzysz się ze szpiegiem.

Nawet nie mrugnął, ale jego spojrzenie stężało. Eve poczuła skurcz wewnątrz czaszki, ale znów się uśmiechnęła, osuszając kieliszek i nalewając sobie kolejny. „Ciągle wiem, jak ci dopiec, stary draniu”.

– Pewnie chcesz zemsty – rzucił oschle René. – Zemsta to nagroda pocieszenia dla przegranego.

– To my wygraliśmy.

– Ale przegrałaś ty. Jak zatem zamierzasz się zemścić, Marguerite? Pewnie nie starczy ci tupetu, by mnie zamordować. Ta załamana, obsikana kruszyna, którą widziałem ostatnio łkającą na moim aubussonie, nie zdołałaby nawet podnieść głowy, nie mówiąc już o pistolecie.

Eve wzdrygnęła się gwałtownie. Pod wieloma względami pozostała tą załamaną kruszyną przez ponad trzydzieści lat. Aż którejś wilgotnej londyńskiej nocy zaledwie miesiąc temu usłyszała pukanie do drzwi. Aż do wyraźnego trzasku przed restauracją dzisiaj, kiedy splotły się przeszłość i teraźniejszość. Aż do teraz.

Już nie będzie załamaną kruszyną. Nigdy.

René wciąż mówił.

– Może sądzisz, że zdołasz mnie upokorzyć, ujawnić, że czerpałem zyski z wojny? Jestem w Grasse bardzo szanowany i mam wpływowych znajomych. A ty jesteś zwariowaną wiedźmą, której z żalu pomieszało się w głowie. Jak myślisz, komu uwierzą?

– Jesteś człowiekiem, który doniósł na Oradour-sur-Glane. – Głos Charlie opadł na nich jak kawał lodu. Eve spojrzała na nią wystraszona. „Nie odzywaj się, nie zwracaj na siebie uwagi” ... Charlie mówiła jednak dalej z ogniem w oczach. – Odpowiadasz za śmierć sześciuset osób. Nie obchodzi mnie, ilu masz wpływowych znajomych, stary draniu. Francja ci tego nie wybaczy.

René przyjrzał się twarzy Charlie i zatrzymał na niej wzrok, lecz odezwał się znów do Eve.

– Kim jest to dziecko, Marguerite? To nie córka ani wnuczka, jak sądzę. Ta twoja wysuszona stara pizda nie wydałaby na świat czegoś tak ładnego.

Eve nie odpowiedziała. Zamiast tego spojrzała na Charlie, czując w środku ucisk obcego uczucia. Może to miłość.

– Możesz jej mówić Merkury, René. To skrzydlata posłanniczka, która zapukała do moich drzwi. Właśnie z jej powodu tutaj siedzę. Z jej powodu tym razem nie ujdzie ci to na sucho. Ona jest twoim końcem. – Eve uniosła kieliszek jak do toastu. – Poznaj Charlotte St. Clair.

Zmarszczył brew.

– Nie znam tego nazwiska.

– Znasz nazwisko mojej kuzynki. – Palce Charlie zacisnęły się wokół kieliszka z szampanem tak mocno, że Eve była zaskoczona, że go nie rozgniotła. – Rose Fournier, używająca też nazwiska Hélène Joubert. Była piękną blondynką i pracowała dla ciebie w Limoges, a ty doprowadziłeś do jej śmierci, sukinsynu. Podałeś jej nazwisko milicji, bo obawiałeś się, że może być szpiegiem, a ona zginęła tak jak niemal wszyscy pozostali w Oradour-sur-Glane.

Właśnie wtedy kelner przyniósł rillettes de canard. René dalej w zamyśleniu przyglądał się Charlie, rozkładając serwetkę, smarując trójkątny kawałek chleba pasztetem z kaczego tłuszczu i jedząc go z pomrukiem zadowolenia.

– Pamiętam ją – powiedział w końcu, gdy kelner się oddalił. – Mała suka, która lubiła podsłuchiwać. Nie przepadam za wścibskimi kelnerkami. – Zerknął na Eve. – Widzisz, uczę się na błędach przeszłości.

– Dlaczego jej po prostu nie zwolniłeś? – Słowa zabrzmiały chropawo, jakby przemocą wydzierały się z gardła Charlie. – Czemu na nią doniosłeś?

– Tak na wszelki wypadek. I szczerze mówiąc, to mi sprawiło przyjemność. Uważam szpiegujące kobiety za antypatyczne. – Wzruszył ramionami. – Ale chyba nie obwiniasz mnie za śmierć wszystkich ludzi w wiosce? To byłoby zadziwiająco nielogiczne. Nie jestem winien temu, że jakiś niemiecki generał postanowił tak bardzo obejść zwyczajowy protokół.



– Winię cię za jej śmierć – wyszeptała Charlie. – Nie wiedziałeś, czy w ogóle była w ruchu oporu, a i tak na nią doniosłeś. Mogła być niewinna, ciebie jednak to wcale nie obeszło. Ty draniu...

– Cicho, dziecko. Dorośli rozmawiają. – René sięgnął po kolejną kromkę. – Jeszcze szampana, Marguerite?

– Chyba już skończyliśmy. – Eve opróżniła kieliszek i wstała. – Idziemy, Charlie.

Dziewczyna zamarła. Eve patrzyła, jak drży, i wiedziała, jak wielki gniew nią zawładnął, jak bardzo chce się rzucić przez stół do gardła tego starca, by je dźgnąć, choćby za pomocą zwykłego noża do masła. Eve doskonale rozumiała to uczucie.

„Jeszcze nie, jankesko. Jeszcze nie teraz”.

– Charlie. – Głos Eve trzasnął niczym bicz.

Dziewczyna wstała, wyraźnie się trzęsąc. Spojrzała na René, który siedział spokojnie, z kaczym tłuszczem połyskującym na ustach, a potem wyszeptała:

– To jeszcze nie koniec.

– Właśnie, że tak. – Mówił nad jej ramieniem do Eve. – Jeśli jeszcze raz cię zobaczę, ty zdiro, jeśli się dowiem, że próbujesz znaleźć mój dom albo mnie oczernić, każę cię aresztować. Skażę cię na wieczne zapomnienie i wrócę do życia, w którym nie muszę o tobie myśleć.

– Stale o mnie myślisz – rzuciła Eve. – Myśl o mnie gnębi cię codziennie. Ponieważ jestem chodzącym dowodem na to, że nigdy nie byłeś taki bystry, za jakiego się uważałeś.

Jego oczy zapłonęły.

– Jesteś zdrajczynią, która odwróciła się od własnych ludzi za sprawą łyżeczki opium.

– Ale i tak cię oszukałam. I to cię zżera żywcem od trzydziestu lat.

W końcu maska opadła. Eve zobaczyła jego nieokiełznaną furię. Oczy René płonęły, jakby chciał ją położyć trupem na miejscu, na co odpowiedziała mu pogardliwym uśmiechem. Zastygli, tocząc pojedynek na spojrzenia w jadowitym bezruchu, podczas gdy kelnerzy spoglądali po sobie zdezorientowani. To spotkanie nie było jednak takie radosne, jak z początku sądzili.

– *Au revoir*. – Eve sięgnęła do jego talerza, podniosła kromkę i powoli ją zjadła. – „Legnę, gdzie się każda drabina zaczyna: we wstrętnym serca sklepie ze starzyzną”<sup>[8]</sup>.

– To nie Baudelaire – powiedział.

– To Yeats. Mówiłam ci, żebyś odkrył innego poetę. – Eve sięgnęła po kapelusz. – W tym marnym sklepie ze starzyzną, który ty nazywasz sercem, René, przyznaj sam przed sobą, że się boisz. Bo twój *fleur du mal* wrócił. – Żelaznym uściskiem ujęła Charlie za ramię i skierowała się do drzwi. – Prześpij się z tym.

# 39

## Charlie

Zatrzymałam się przed restauracją i stałam tam, łapczywie chwytając powietrze, jakbym cudem uratowała się z chmury trującego gazu. W uszach wciąż brzmiał mi ten niewzruszony metaliczny głos oznajmiający, że wydał Rose na śmierć „tak na wszelki wypadek”. Że sprawiło mu to przyjemność.

Eve tyle razy go opisywała. Jego beznamietne oczy, długie palce, wytworną powierzchowność. Jednak nie oddała mu sprawiedliwości. W tamtej restauracji naprzeciwko mnie nie siedział człowiek. To była żmija w ludzkiej skórze.

Miałam ochotę zwymiotować. Eve wyminęła mnie i ruszyła ulicą niemal biegiem, więc zmusiłam się, żeby pójść za nią.

– Eve, nie musimy biec – zawołałam, usiłując ją dogonić. – Przecież on nie będzie cię ścigał.

– Nie – odparła, nie zwalniając kroku. – To ja ścigam jego.

Przez moment miałam ochotę jej przyklasnąć. Pomyślałam o tym człowieku i nie poczułam ani odrobiny niepokoju towarzyszącego mi w chwili, gdy po raz pierwszy zdałam sobie sprawę z morderczych zamiarów Eve. Pół kieliszka szampana w towarzystwie René Bordelona wystarczyłoby, żeby przekonać każdego, że staruszkowie niekiedy zasługują na śmierć.

Jednak przez czerwoną mgłę furii przebił się w końcu rozsądek.

– Eve, zaczekaj. Nie możesz tak ryzykować, przecież...

– Pospiesz się! – Dalej gnała krętymi ulicami, a oczy jej płonęły. Jakiś wysoki Francuz spojrział na jej minę i usunął się z drogi. Ja zaś czułam się rozdarta. Zdrowy rozum kazał mi ją powstrzymać, podczas gdy wściekłość we mnie krzyczała: „Niby dlaczego?”.

Skreśliłyśmy po raz ostatni i zobaczyłam zaparkowaną przed naszym hotelem lagondę, lśniącą i granatową. Co za ulga. Potrzebowałam Finna: jego spokoju, logicznego myślenia, a gdyby wszystko inne zawiodło, jego

niezawodnych ramion, które powstrzymałyby Eve przed rzucając się na oślep w paszczę katastrofy. Lecz nie było go przy ukochanym aucie, natomiast kiedy weszliśmy do hotelu, recepcjonista podał mi liścik napisany pochyłym pismem Szkota.

– Wyszedł na drinka z mechanikiem – odparłam na natarczywe spojrzenie Eve. – Zaproponowali mu pracę w warsztacie, coś przy reperowaniu silników...

– To dobrze. – Kobieta ruszyła na górę, pokonując po dwa schody naraz. Wcisnęłam liścik do kieszeni i podążyłam za nią.

– *Madame*, jest do pani telegram z Roubaix... – zawołał za mną recepcjonista.

– Wrócę po niego – rzuciłam przez ramię. Kiedy wpadłam do pokoju Eve, ona zdążyła już wydobyć lugera z szuflady w nocnej szafce. Na jego widok stanęłam jak wryta.

– Cholera – powiedziałam pierwszy raz w życiu.

Eve posłała mi posępny uśmiech, ściągając rękawiczki.

– Nie mów mi, że jesteś zaskoczona.

Przycisnęłam palce do pulsujących bólem skroni. Wściekłość ewidentnie ustępowała przed strachem.

– Czyli pojedziesz do niego i go zabijesz? Poczekasz, aż zje rillettes i wróci do domu, wejdiesz tam i wpakujesz mu w głowę siedem kulek?

– Tak. – Załadowała pierwszy nabój. – „Uroczą małą willa”, powiedział kelner. Zaraz z-z-za polami mimozy, niedaleko Rue des Papillons. Powinnam ją znaleźć bez kłopotu.

Założyłam ręce na piersi.

– Odłóż ten pistolet i mnie posłuchaj. Niezależnie od tego, czy uda ci się, czy nie, pójdziesz do więzienia. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Ale mnie tak. – Złapałam ją za ramię. – Chcę, żeby moja córka miała matkę chrzestną.

Wsunęła ostatni nabój na miejsce.

– A ja chcę śmierci tego człowieka.

Jakaś część mnie się z tym zgadzała. Lecz jego życie nie było warte przyszłości Eve, bo już odebrał jej za dużo z przeszłości. Poza tym nie

zamierzałam przez współudział w morderstwie ryzykować własnego życia, które właśnie zaczynało się układać.

– Eve, zastanów się przez chwilę.

– Już to zrobiłam. – Obejrzała lufę lugera. – Jeżeli zabiję René u niego w domu, nie będzie świadków. Nie ma obrączki, więc żadna żona czy dzieci nie wejdą mi w drogę. Zamierzam zostawić na podłodze ścierwo tego padalca i wyjść stamtąd wolna jak ptak.

– W restauracji wiedzą, że go szukałaś i pytałaś, gdzie mieszka. Zresztą nie tylko w tej dzisiejszej. Przecież od kilku tygodni rozpytujemy o niego w całym Grasse. – Usiłowałam przywołać jakieś logiczne argumenty w nadziei, że do niej trafią. – Jeżeli teraz znajdą go martwego...

– Policja może nas szukać, ale niby jak nas znajdzie? Wszyscy podawaliśmy fałszywe nazwiska, i tu w hotelu, i gdzie indziej. Zresztą nie p-planuję zostawać w Grasse tak długo, żeby ktokolwiek zdążył mnie tu znaleźć.

– A jak zamierzasz wydostać się z Grasse, skoro nie ma Finna? Albo jak w ogóle dostaniesz się do domu Bordelona?

– Taksówką, jeśli będzie trzeba.

Brzmiało to tak spokojnie, jakby Eve planowała podwieczorek. W tamtej restauracji wyczuwałam lęk pod jej lodowatym chłodem, widziałam, jak pod stołem drżą jej ręce. Teraz jednak sprawiała wrażenie, jakby uniosła się w górę, wysoko ponad strach; była daleka i nieubłagana niczym szybujący orzeł. Wsunęła do torby pistolet, zrzuciła pantofle, które nosiła jako szacowna pani Knight, po czym wcisnęła stopy w swoje stare sandały.

– Jak chcesz, możesz pojechać i pomóc mi go zabić. Ty też masz prawo chcieć jego śmierci.

– Nie. Nie pomogę ci zamordować tego człowieka.

– Nie sądzisz, że zasłużył na śmierć?

– Owszem, ale życzę mu czegoś gorszego. Chcę, żeby został zdemaskowany, upokorzony, żeby trafił za kraty. Żeby cały świat mógł go oglądać i widzieć go takim, jaki naprawdę jest. Eve, to go powoli zabije. To najgorsza kara, jaka może spotkać kogoś tak próżnego. – Odetchnęłam głęboko, nakazując jej w duchu, żeby mnie posłuchała. – Chodźmy na policję. Mamy jego zdjęcie w otoczeniu hitlerowców, mamy twoje zeznania,

możemy skontaktować się z tą kobietą z Limoges, która widziała, jak z zimną krwią zastrzelił swojego pracownika. Może René Bordelon ma wpływowych przyjaciół, ale ty także. Jesteś przecież bohaterką wojenną, ludzie na pewną ci uwierzą. Więc zdemaskuj go i zmień jego życie w piekło na ziemi.

Mnie coś takiego by wystarczyło. Zobaczyć tego człowieka w celi ze świadomością, że trafił tam za naszą sprawą, patrzeć, jak znosi publiczne upokorzenia we Francji de Gaulle'a, która pogardzała kolaborantami i paskarzami, uważając ich za śmieci. Koniec ze schłodzonym szampanem i rillettes; dożyłby swoich dni w poniżeniu i cierpiałby tak jak kiedyś Eve.

– On nigdy nie trafi za kratki. – Jej głos był nieprzejednany. – René Bordelon to mistrz unikania konsekwencji. Jeśli oskarżymy szanowanego obywatela, który ma pieniądze i koneksje, to udowodnienie tych oskarżeń będzie musiało potrwać. On wykorzysta ten czas i czmychnie, bo zawsze tak robi. Udało mu się uciec od złych decyzji podczas dwóch wojen, a teraz ucieknie, ponieważ wie, że nie przestanę go tropić. Jeśli zaufam nakazowi aresztowania, ten człowiek zniknie, zanim po niego przyjdą, i osiedli się tam, gdzie nigdy go nie odszukam. – Wzięła do ręki torbę z lugerem. – Dlatego zaufam kuli.

Miałam ochotę nią potrząsnąć.

– Nie widzisz, ile rzeczy może pójść nie tak? Przecież on może zastrzelić ciebie albo wezwać policję i spokojnie patrzeć, jak skutą wyprowadzają cię za drzwi...

– Zaryzykuję. – Zastawiłam jej drzwi, a Eve zmierzyła mnie wzrokiem. – Zejdź mi z drogi, Charlie St. Clair.

Spojrzałam jej prosto w oczy.

– Nie.

Ruszyła w moją stronę. Nie próbowałam jej odepchnąć. Otoczyłam ją ramionami i mocno objęłam.

– Zamierzasz wlec mnie drącą się wniebogłosy ze sobą po schodach? – zapytałam i dotarło do mnie, że jestem bliska łez. – Nie puszcę cię, Eve. Nie puszcę.

Straciłam brata. Straciłam Rose. Już nigdy więcej nie zamierzam stracić kogoś, kogo kocham.

Eve zeszywniała w moim uścisku, jakby zbierała się do walki, a potem jej napięte mięśnie zwiótzały. Usłyszałam, jak z jej gardła wyrywa się szloch, i torba z pistoletem ześliznęła się na podłogę. Stałyśmy tak bardzo długo, Eve płakała, aż niebo za oknem przybrało liliowy odcień i przyszedł zmierzch. A ja po prostu tuliłam ją, czując w piersi trzepot ulgi.

Kiedy łyzy obeschły, nie powiedziała już ani słowa. Dała mi się namówić na położenie do łóżka, wypła whisky, którą jej nalałam, i pozwoliła przykryć się kocem, pod którym jej ciało drżało od czasu do czasu. Siedziałam przy niej, gryząc paznokieć kciuka i modląc się, żeby Finn w końcu przyszedł. Wiedział lepiej ode mnie, jak się nią zajmować, gdy była w takim stanie. Usłyszałam, jak jej oddech staje się głębszy, więc na palcach zesłam do recepcji, ale nikt nie wiedział, dokąd poszedł Finn ze znajomym mechanikiem.

– Pani telegram, *madame* – przypomniał mi recepcjonista. – Z Roubaix.

Zupełnie zapomniałam. To musiała być Violette. Serce zaczęło mi walić jak młotem z całkiem nowego powodu, kiedy chwyciłam kartkę w ręce. Wiadomość była lakoniczna, nawet jak na telegram.

**KŁAMSTWO POTWIERDZONE. WINNA NIEJAKA TELLIER .**

W moich uszach rozbrzmiały anielskie chóry. Poczułam, że głową sięgam nieba. Moje podejrzenia były słuszne, miałam rację! Po raz pierwszy było to w mojej mocy, mogłam naprawić to, co zniszczone. Tego – właśnie tego – potrzebowała teraz Eve.

Z bijącym sercem popędziłam do jej pokoju.

– Eve, popatrz...

Drzwi były otwarte na oścież. Łóżko puste. Torba z pistoletem zniknęła.

Moja nieobecność nie trwała nawet pięciu minut. Eve musiała wstać, kiedy tylko wyszłam z pokoju. Musiała być tak samo spokojna i opanowana, jak chwilę wcześniej roztrzęsiona i szlochająca. Znów runęła na mnie fala strachu, uderzając w skronie lodowymi sztyletami. Podbiegłam do otwartego okna i wyjrzałam na ulicę, ale nigdzie nie dostrzegłam wysokiej, chudej postaci. „Ty podstępna suko”, pomyślałam z furją, wściekła na nią, że mnie oszukała, i na siebie, że dałam się oszukać.

Wiedziałam, dokąd się kieruje. Nie mogłam zadzwonić na policję ani czekać na Finna. Lagonda stała zaparkowana pod oknem.

Wcisnęłam do kieszeni telegram od Violette, sięgnęłam po kluczyki leżące na nocnej szafce w moim pokoju i pobiegłam.



# 40

## Eve

To było – jak przypuszczała Eve – nieczyste zagranie.

– Szybciej – powiedziała do taksówkarza, rzucając garść franków na przednie siedzenie. Nie obchodziło jej, czy wyda pieniądze do ostatniej monety. Nie musiała oszczędzać ich na drogę powrotną.

Taksówka pędziła, podczas gdy Eve siedziała, rozkoszując się uspokajającym ciężarem lugera na kolanach. Jej oczy były suche. Wszystkie te krokodyle łyzy, łatwo ronione i równie łatwo wycierane. Podstępne i pozbawione skrupułów. Uważała jednak, że nie miała innego wyjścia, widząc Charlie stojącą nieruchomo między nią i drzwiami z ustami zaciśniętymi w zdecydowaną linię. Eve uśmiechnęła się. Jak bardzo różniła się teraz ta dziewczyna od tamtej wojowniczej, ale niepewnej dziewczyny, którą znalazła na swoim progu.

– Przykro mi, że już nigdy cię nie zobaczę – pomyślała. – Tak bardzo mi przykro.

– Wygląda dziś pani bardzo poważnie – powiedział figlarnie taksówkarz.

– Nie mówiła pani, że wybiera się do przyjaciółki?

– Tak.

– Długa wizyta?

– Bardzo.

Co do zasady, wieczna. Dostawszy się do domu René Bordelona, Eve nie miała zamiaru go opuszczać. To właśnie był powód, dla którego nie bała się więzienia. Martwej kobiety nie można wsadzić za kratki.

W lugerze znajdowało się siedem kul. Sześć dla René – i mogła potrzebować ich wszystkich, źli ludzie mocno trzymają się życia. Siódmą kulę Eve trzymała dla siebie.

– Zupełnie jak ty, Cameron – wymamrotała na głos, nie dostrzegając ciemnych uliczek Grasse przemykających za oknem. Zamiast tego ujrzała nagłówek wycinka z gazety: „Śmierć żołnierza”. „Kiedy to było – pomyślała. – W dwudziestym drugim? Nie, w dwudziestym czwartym”. Słowa uderzyły

Eve pomimo potężnego kaca. „Jeśli chodzi o śmierć majora C.A. Camerona”...

Świat zniknął. W końcu Eve udało się znowu dotrzeć do nagłówka – z zagranicznej gazety, przysłanej jej przez radcę prawnego – i przeczytać go mimo palących, suchych oczu. Rozległ się zduszony głos i zajęło jej chwilę, nim się zorientowała, że dochodzi on z jej własnego gardła.

„... śmierć majora C.A. Camerona z Królewskiej Artylerii Polowej, który zginął w barakach w Sheffield w wyniku postrzału z rewolweru, koroner ustalił, że było to samobójstwo”.

Cameron martwy. Cameron ze swoimi ciepłymi oczami i szkockim akcentem. Cameron obcałowujący jej siniaki, mrużący „biedna, odważna dziewczynko”...

Do jego śmierci nie widzieli się od ilu, od pięciu lat? Od tamtego dnia w Folkestone. Ale czasem dzwonili do siebie, zwykle we wczesnych godzinach nocnych, gdy jedno z nich było pijane. Eve wiedziała, że wrócił z Irlandii, opowiadał trochę o szkoleniu, z większym podnieceniem mówił o tym, że zostanie attaché w Rydze...

Zamiast tego strzelił sobie w łeb.

„Dowody wskazują, że zmarły był zrozpaczony ze względu na niewyznaczenie go na stanowisko attaché w Rydze – pisano w gazecie. – Nominację anulowano z powodu odbytego przez niego wyroku ciężkich robót”.

„Armia ukarała go za stary grzech”, pomyślała Eve gorzko. Dopóki trwała wojna, oficer ze splamionym honorem im nie przeszkadzał, ale potem stanowił problem.

„Będę pracował, dopóki będę w stanie – zadzwonił znowu głos Camerona w jej głowie, tak głośny i czysty, że równie dobrze mógłby siedzieć w taksówce razem z nią. – Potem, jak sądzę, umrę. Pociski, nuda albo brandy, tak na ogół odchodzą tacy jak my, bo jeden Bóg wie, że nie stworzono nas do czasów pokoju”.

– Nie stworzono – mruknęła Eve.

Dopiero kiedy następnego dnia na jej progu zjawił się radca prawny, załamała się zupełnie. Radca prawny najpierw wysłał Eve ogłoszenie o śmierci Camerona, a teraz przynosił dokumenty prawne i zapewniał

o swojej całkowitej dyskrecji... mówiąc, że emerytura, która przez ostatnie pięć lat służyła na jej konto, nie pochodziła wcale z Ministerstwa Wojny, ale właśnie od Camerona. Że upewnił się, że będzie to trwało również po jego śmierci, dokonał sekretne zapisu w ostatniej woli bez wiedzy rodziny i wyłączył część środków ze spadku, który miał trafić do wdowy. Że środki te zostały dobrze zainwestowane, jak powiedział uczciwy radca, i powinno ich wystarczyć, dopóki Eve będzie żyła.

Przegnała radcę wrzaskami, a potem załamała się zupełnie, wczłogała się do łóżka niczym ranne zwierzę i ukrywała tam przez całe miesiące. „Jak to zrobiłeś, Cameron? – zastanawiała się, wpatrzona we własnego lugera. – Lufa przy skroni? Pod brodą? Czy może między zębami, pocałunek zimnej stali i smaru do broni jako ostatnie doznanie na ziemi?” Potem przez lata Eve często grała w tę grę, w ciemne noce, gdy poczucie winy nie dawało jej spać. Kolejne etapy samobójstwa z pomocą lugera... Ale nigdy nie dociągnęła spustu do końca.

„Za dużo we mnie upartej suki”, zwykła o sobie myśleć. Za mało w jej duszy romantyzmu albo szlachetności, jak u Camerona. Lecz teraz, gdy taksówka wyjechała za Grasse i mijala pola mimozy, Eve zastanawiała się, czy zamiast uporczywości nie był to los. Może żal i poczucie winy nie mogły zostać zaspokojone, dopóki nie dokona się sprawiedliwość. Może to zimna, wyszkolona na szpiega część mózgu podpowiadała jej, że pomimo trwającego dziesięciolecia kłamstwa Camerona wróg wciąż istniał i trzeba było się z nim rozprawić. A dopóki to się nie stało, lufa pomiędzy zębami nie mogła wystrzelić.

Cóż, tej nocy wróg miał umrzeć. Dla Lili, dla Rose, dla Charlie, dla Eve. Tej nocy walka Evelyn Gardiner miała dobiec końca. Dobre trzydzieści lat za późno, ale lepiej późno niż wcale.

Pomyślała o ostatniej kuli, wiedząc, że Charlie znienawidzi ją za ten strzał, tak samo Finn. Częściowo jednak robiła to dla nich, o czym dowiedzą się dopiero później. Ciało morderczyni tuż obok ofiary zostawiałoby ich poza podejrzeniem. Nikt nie zostałby pociągnięty do odpowiedzialności poza tą, która była winna. Oni mogliby podryfować razem w stronę zachodzącego słońca, jak łabędzie.

– *Madame*, jesteśmy na miejscu.

Taksówka zatrzymała się na krańcu prywatnej drogi, która wiodła do dostojnej niczym klejnot willi jakieś czterysta metrów dalej. Białe mury lśniły w blasku księżyca, dach wrzynał się w ciemne niebo. W kilku oknach przez zasłony prześwitywało światło. Był w domu. Eve zastanawiała się, jak długo po opuszczeniu przez nią i Charlie restauracji René siedział w niej jeszcze, skubiąc grzanki. Podejrzewała, że niedługo. To by znaczyło, że wciąż się jej obawiał.

„I powinienes”, pomyślała.

– Czy zawieźć panią pod drzwi, *madame*?

– Przejdę się – odparła i wysiadła z taksówki.

# 41

## Charlie

„Przepraszam, Finn”, myślałam za każdym razem, gdy słyszałam zgrzyt biegów w lagondzie. Nie prowadziłam często samochodu w ostatnim roku, było zupełnie ciemno, a ja ledwo sięgałam pedałów, samochód jęczał, gdy jechałam nim wąskimi francuskimi drogami. „Przysięgam, że jeśli po tym wszystkim znajdziesz na swojej dziecinie choćby zadrapanie, wynagrodzę ci to”. Hamulce pisnęły gorzko, aż się skrzywiłam.

Nie jechałam szczególnie dobrze, ale jechałam szybko. Momentalnie wydostałam się z Grasse, a potem zaczęła się zabawa. „Tuż za polami mimozy” nie było precyzyjną instrukcją w mieście otoczonym hektarami kwiatów. Półksiężyc piał się po niebie, gdy gnałam drogą, świadoma, że zegar tyka, a Eve ma nade mną przewagę. Myślałam o niej opierającej mi się w hotelu, o tym, jak mówiła, żebym zeszła jej z drogi. Wyglądała jak wyczerpany rycerz opuszczający przyłbicę do ostatniej szarży, wynędzniały, posępny, lecz opanowany i spokojny.

Zdałam sobie sprawę, że mój brat miał taki wyraz twarzy, gdy ostatni raz widziałam go żywego. Była to twarz mówiąca: „Jestem gotów na śmierć”.

„Nie, Eve – pomyślałam. – Proszę, tylko nie Eve. Jeślibym ją zawiodła, straciła, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła”.

Od Rue des Papillons odchodziło pełno prywatnych uliczek prowadzących do wiejskich willi bogaczy. Pierwsza, w którą wjechałam, wiodła do posesji z wielkim napisem „Na sprzedaż”, druga do domu, w którym sześcioro dzieci gromadziło się w środku na kolację i ewidentnie nie było to obejście należące do René. Teraz pochyliłam się do przodu i na tle ciemnego nieba zobaczyłam niewyraźny szczyt dachu kolejnego domu. Z łomocącym sercem zjechałam na bok i wygramoliłam się z samochodu. Była tam skrzynka na listy i wystarczająco wiele księżycowego blasku, by odczytać zawijasy napisu: GAUTIER.

To był ten dom. Nie zobaczyłam żadnej taksówki, ani śladu Eve. „Nie pozwól, żeby było za późno”, pomodliłam się i pobiegłam w stronę

zabudowań. Woń mimozy wisiała w powietrzu delikatnie i słodko, pachnąc tak, jak wyobrażałam sobie zapach dziecięcych włosów. Moja dłoń dotknęła maleńkiej wypukłości mojego brzucha, gdy biegłam i przez chwilę zeszywniałam z przerażenia nie z obawy o bezpieczeństwo Eve, ale moje własne, bo nie tylko mnie samej mogła tej nocy stać się krzywda.

„Nikommu nie stanie się dziś krzywda. Jakoś to zrobię”, myślałam.

Obiegłam narożnik domu, kierując się w stronę tylnych drzwi.

# 42

## Eve

Większość kuchni na wsi pozostałaby otwarta, przynajmniej w czasie pokoju. Kuchnia René Bordelona nie była otwarta. Eve spodziewała się tego, odłożyła torbę i wyjęła z włosów dwie spinki. Minęło wiele czasu od ostatnich lekcji otwierania zamków w Folkestone, ale nie było to trudne: wystarczyła jedna spinka, by przytrzymać bębenek, i druga do delikatnego popracowania nad bolcami zamka.

Mimo to manipulowanie spinkami jej zniszczonymi palcami ciągnęło się przez długie, bolesne minuty. Gdyby nie to, że był to bardzo stary i bardzo prosty zamek, Eve mogłaby sobie nie poradzić. Kiedy wreszcie usłyszała kliknięcie, zaczekała jeszcze chwilę na progu, by uspokoić się i spowolnić oddech. Miała jedną jedyną szansę, a nie strzelałaby celnie z galopującym sercem i niepewną ręką. Wreszcie Eve zaufała sobie na tyle, by wejść do środka z wyciągniętym lugerem. Teczke zostawiła na progu.

Duża wiejska kuchnia, pusta. Tylko stoły kozłowe i wiszące garnki oświetlone blaskiem księżyca. Eve ruszyła, trzymając się cienia, po czym nacisnęła klamkę drzwi na drugim krańcu pomieszczenia. Usłyszała ciche skrzypienie i zamarła na chwilę, nasłuchując.

Nic.

Wślizgnęła się do korytarza, na którego ścianach wisiały obrazy i kinkiety świecowe. Płachta drogiego dywanu sprawiła, że jej kroki były bezgłośnie; zamiłowanie René do luksusów ułatwiało zadanie zabicia go. W powietrzu unosiła się słaba nić muzyki. Eve przechyliła głowę, nasłuchując chwilę, a potem jak duch przemknęła do korytarza, który rozgałęział się na prawo. Muzyka brzmiała coraz głośniejsze, zawiła i pełna barw. „Débussy”, pomyślała z uśmiechem.

# 43

## Charlie

– Nie – szepnęłam. – Nie...

Drzwi do kuchni willi stały otworem. Teczka Eve leżała na schodku. Przetrzęsnałam ją szybko. Brakowało lugera. Zjawiłam się za późno.

Nie słyszałam jednak żadnych strzałów, żadnych głosów. Dom był cichy jak nieodpalony granat.

Chciałam rzucić się do przodu, wykrzykując jej imię, ale byłam teraz na terenie René Bordelona i nie zamierzałam ostrzegać tej zmił, jeśli wciąż jeszcze nie wiedział, kto po niego idzie. Jeśli. Być może nie był w stanie się bronić. Czy Eve już go zabiła? Krew buzowała mi w żyłach, nakazując uciekać, chronić siebie i Różyczkę i nie robić choćby jednego kroku dalej w stronę gniazda niebezpieczeństwa. Ale była tam moja przyjaciółka, szłam więc dalej.

Ciemna kuchnia. Uchylone drzwi. Długi korytarz, bogato zdobiony i cichy. Moje serce łomotało. Niewyraźny odgłos muzyki. Czy to były kroki? Półmrok zdawał się pulsować. Podążyłam za muzyką i gdy pokonałam zakręt, ujrzałam ich, zamkniętych w szerokiej ramie łuku drzwi, jak obraz.

Eve w zarysie, ciemny kształt na tle jaskrawego światła, które dochodziło z gabinetu. Wyglądało dokładnie tak jak w Lille w scenie, o której mi mówiła: obite zielonym jedwabiem ściany, obracająca się płyta w gramofonie i lampa Tiffany'ego promieniująca kolorowym światłem. René w nieskazitelnie czystej koszuli z krótkim rękawem stał nad otwartą walizką podróżną, nieświadomy, odwrócony plecami do drzwi. Eve unosiła lugera. Za późno, abym mogła wkroczyć. Zamarłam, krew pulsowała mi w żyłach.

Ani ja, ani Eve nie wydałyśmy żadnego dźwięku, lecz odwieczny instynkt węża musiał wysłać podświadome ostrzeżenie, bo się odwrócił. Nagły ruch przestraszył Eve. Nacisnęła spust, nim wyprostowała do końca lufę lugera. Strzał zrykoszetował o marmurowy gzyms, zadzwoniło mi w uszach. René sięgnął do swojej walizki. Na jego twarzy nie było zaskoczenia, nie było



strachu, tylko gwałtowny, nienawistny grymas, kiedy unosił coś w kierunku Eve, podczas gdy jej ramię prostowało się znowu. Scena była powolna niczym obraz zastygły w bursztynie: dwa mierzące lugery, dwa ściągane spusty, dwie wystrzelone kule.

Jedno upadające ciało.

Eve.

\*\*\*

Gdy ten nieskończenie długi moment wreszcie minął, wszystko wydarzyło się jednocześnie. Luger Eve brzęknął o podłogę, a jej wychudzone ciało zwiotczało i upadło na dywan. Skoczyłam na korytarz, ale nie dość szybko. René zrobił już krok naprzód i kopnął pistolet Eve na bok, do kąta pracowni. Zamierzałam rzucić się na niego, zanim zdążyłby wystrzelić ponownie, lecz on cofał się poza mój zasięg z bronią wycelowaną we mnie.

– Na kolana – powiedział.

Tak szybko. Wszystko wydarzyło się tak szybko. Eve wydała słaby jęk u moich stóp, jej okaleczone dłonie zaciskały się na lewym ramieniu. Klęknęłam przy niej. Gdy chwyciłam ją za palce, poczułam gorącą strużkę krwi.

– Nie, Eve, nie... – Jej oczy były otwarte, pozbawione barwy, mrugały powoli.

– Cóż – powiedziała wysokim, wypłaszczonym głosem – niech to szlag.

Płyta dobiegła końca, sycząc pod igłą gramofonu. Słyszałam teraz zgrzytliwy chór naszych oddechów, własny porywany szarpanymi haustami, płytkie tchnienie Eve i szybki, głęboki dech René, który gapił się na nas w śmierdzącym prochem gabinecie. Ciemna wstęga krwi spływała powoli wzdłuż białego kołnierzyka. Połowa jego ucha zwisała w strzępach, na ten widok jęknęłam cicho.

Tak blisko. Eve była tak blisko. Ta myśl przemknęła przez moją głowę, gdy wpatrywałam się w nieskończoną ciemność lufy lugera wycelowanej pomiędzy moje oczy.

– Przesuń się, dziewczyno. – Lufa wskazała kierunek. – Z dala od tej starej suki.

– Nie. – Moje ręce naciskały na dłonie Eve znajdujące się na jej ranie. Nie byłam pielęgniarką, ale wiedziałam, że potrzebowała bandaża i ucisku. Pomyślałam, że nie ma na to szans, René chętniej zobaczy ją martwą, ale jednak powiedziałam „nie”.

Wystrzelił znowu i krzyknęłam, gdy framuga drzwi obok mnie rozszczepiła się od kuli.

– Zostaw ją i przesun się przy ścianie w tamtą stronę.

Głos Eve był urywany, lecz wyraźny.

– Zrób to, jankesko.

Moje palce zacisnęły się tak mocno wokół palców Eve, że zmusiłam się, by je rozluźnić. Jej ręce były całe we krwi, a jeszcze więcej krwi sączyło się na jej tułów, powoli i nieubłaganie. Lufa pistoletu René podążyła za mną, gdy odsunęłam się i oparłam o wysoką biblioteczkę, jego spojrzenie pozostało jednak przyklejone do Eve, podczas gdy udało jej się unieść i oprzeć o framugę w pozycji półsiedzącej. Jej oczy były martwe jak kamienie i pełne bólu, ale myślę, że to nie z powodu postrzału. Bolało ją, że on wciąż stał na własnych nogach.

„Zawiodłam – mówiło jej spojrzenie, pełne pogardy dla siebie. – Zawiodłam”.

Tak naprawdę to ja zawiodłam. Nie potrafiłam jej ochronić.

– Zdejmij ręce z rany, Marguerite. – Głos René grzechotał, zniknął pozbawiony tonów spokój, który utrzymywał w restauracji. – Zamierzam patrzeć, jak umierasz, i nie chcę, żeby coś to opóźniło.

– To może chwilę potrwać. – Eve spojrzała na swoje ramię. – Nie ma tu nic nie-nie-niezbędnego do przeżycia.

– I tak wy-wy-wykrwawisz się na śmierć, pieszczoszko. Nawet tak wolę; jest wolniej.

Eve odsunęła dłonie od ciemnej, rosnącej plamy. Moje gardło ścisnęło się, gdy to zobaczyłam. Ledwie rana na ramieniu, ale i tak miała ją zabić. Miałyśmy siedzieć w tej wytwornej pracowni, siedlisku wszystkich koszmarów Eve, i patrzeć, jak się wykrwawia.

René zignorował postrzał Eve, jego oczy były wlepione w jej splecione, zakrwawione ręce.

– Po południu miałaś rękawiczki – zauważył. – Chciałem zobaczyć, jak wyglądają po tych wszystkich latach.

– Niezbyt ładnie.

– Ach, myślę, że są wspaniałe. Wyszło mi prawdziwe arcydzieło.

– Ciesz się, ile chcesz. – Eve kiwnęła na mnie. – Lecz pozwól dziewczynie odejść. Nie ma z tym nic wspólnego, miało jej tu w ogóle nie być.

– Ale jest – przerwał René. – A ponieważ nie mam żadnego sposobu, żeby sprawdzić, co jej powiedziałaś i jakie komplikacje mogłaby spowodować, ona również umrze. Kiedy będzie po tobie, zajmę się nią. Myśl o tym, gdy będziesz się wykrwawiać, Marguerite. Widzę, że jest dla ciebie ważna.

Byłam po szyję zatopiona w strachu jak w lodowatym okopie, z rękami splecionymi ciasno wokół brzucha i kielkującego w nim życia. Nie miałam nawet dwudziestu lat, a czekała mnie śmierć. A moja Różyczka nie miała nawet zacząć żyć.

– Nie możesz zaryzykować zabicia jej, René. – Głos Eve był równy, mówiła niemal tonem przypominającym pogawędkę i nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, ile musiało ją to kosztować. – Ja mogę być starą babą bez przyjaciół i rodziny, która się mną zainteresuje, ale z nią jest inaczej. Czekają na nią bogaci ludzie. Zabij ją, a wpakujesz się w kłopoty, z których nawet ty się nie wykaraskasz.

René wstrzymał się, a moje serce niemal stanęło w piersi.

– Nie – powiedział wreszcie, krzywiąc się, gdy dotknął rozszarpanego ucha. – Włamałyście się do mojego domu i próbowałyście mnie okraść, starego, słabego człowieka, który żyje samotnie. Udało mi się odpowiedzieć strzałem na wasz strzał, naturalnie w mroku nie mogłem mieć pojęcia, że jesteście kobietami, a co dopiero kobietami, które zaczepiły mnie dziś w restauracji. Musiałem przysiąc z sercem kołatającym po strzelaninie i zanim zdołałem zadzwonić na policję, niestety obie byłyście już martwe. Prości ludzie ze wsi, jak ci tutaj, nie lubią intruzów.

Moje nadzieje upadły. Nie byłam do końca pewna, czy wywinąłby się z tego tak łatwo, bo obsługa restauracji z pewnością zeznałaby, że nas znał... Ale mógł płatać sprawę wystarczająco długo, by uciec, gdyby to okazało się konieczne. Ewidentnie już wcześniej szykował się do ucieczki, czego dowodziła spakowana walizka. Eve miała rację: René Bordelon

zawsze unikał konsekwencji. Uniknął następstw dwóch wojen i z pomocą pieniędzy i szczęścia – dwóch rzeczy, których zdawało mu się nigdy nie brakować – mógł uniknąć ich i teraz.

„Po moim cholernym trupie”, pomyślałam i niemal wybuchnęłam histerycznym śmiechem, bo dokładnie w ten sposób miało się to stać. Najpierw miała umrzeć Eve, potem ja, a później on miał przestąpić nad naszymi trupami. Gdyby myślał jasno, pewnie już dawno by mnie zabił, byłam młoda i silna i wciąż stanowiłam zagrożenie. Ale nie myślał jasno. Kobieta, która go przechytrzyła i upokorzyła, leżała umierająca tuż przed nim. Dopóki nie odejdzie, miała być dla niego całym światem, a ja byłam sprawą na później. Jego oczy pożerały ją.

– My-my-myślisz, że potrafisz strzelić dziewczynie między oczy, podczas gdy ona będzie na ciebie patrzeć, René? – Eve wciąż się spierała, wciąż gapiała się na niego. Ale krew coraz szybciej płynęła z jej ramienia. – Jedyne przypadek, kiedy pociągnąłeś za spust, zdarzył się, gdy strzelałeś człowiekowi w plecy.

Nie miałam wątpliwości, że potrafi zabić mnie z zimną krwią. Żadnych. Mógł być zbyt wygodny, by załatwiać swoją brudną robotę samemu w czasach, gdy Eve go poznała, ale teraz był innym człowiekiem.

– Eve, nic nie mów. – Mój głos brzmiał metalicznie. – Oszczędzaj siły.

– Na co? – René wydawał się lekceważący. – Na ratunek? Zapewniam cię, że nikt nie słyszał naszych strzałów. Najbliższy sąsiad jest co najmniej pięć kilometrów stąd.

Ratunek. Moje myśli pobiegły w innym kierunku, w stronę Finna, któremu zostawiłam na biurku pośpiesznie skreśloną wiadomość, w której pisałam, gdzie pojechałyśmy i po co, na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Cóż, z całą pewnością coś poszło nie tak. Przez krótką chwilę miałam w głowie deliryczny obraz Finna z krzykiem wyłaniającego się z ciemności nocy, żeby nas uratować, ale nie sądziłam, żeby los był tak łaskawy.

– Zapewniam cię, że nie będę miał najmniejszych skrupułów, żeby zabić tę twoją małą Amerykankę. – Jedną dłonią René wyciągnął chusteczkę z kieszeni na piersi i przyłożył do rozszarpanego ucha. – Mój gabinet jest już zniszczony. Odrobinę więcej krwi na ścianach nie zrobi mi różnicy.

„Rose – pomyślałam w chwili nagłego ukłucia udręki. – Rose, co ja robię?” Sama nie wiedziałam, czy pytałam swoją kuzynkę czy córkę. Szukałam wzrokiem broni, ale pistolet Eve leżał po drugiej stronie pokoju. Moje spojrzenie powędrowało po półkach biblioteczki za mną, para srebrnych lichtarzy, za daleko, zabiłby mnie, zanim zdążyłabym wstać. Ale bliżej, na środkowej półce...

– Pozwól jej żyć, René. Błagam cię.

Ledwo słyszałam prośby Eve. Na środkowej półce ponad moją głowę znajdował się biały kształt. Miniaturowe popiersie patrzące pusto poprzez pokój. Nigdy nie widziałam tego popiersia, choć byłam całkiem pewna, że je rozpoznawałam.

Baudelaire.

– Przyznam, że nie sądziłem, że znajdziesz mój dom tak szybko. – René kroczył przez pokój sztywno, jak gdyby jego wiek na powrót osiadał w kościach po chwili gwałtownej akcji. – Kto dał ci mój adres, Marguerite?

– Potrafię wyciągnąć informację od każdego, René. Czy nie udowodniłam tego?

Fala wściekłości natychmiast przebiegła przez jego twarz. Wyglądał nedorzecznie, przejęty gniewem na myśl o błędzie sprzed dziesięcioleci. Ale jego wściekłość była użyteczna. Można było obrócić ją przeciwko niemu. Zmierzyłam wzrokiem popiersie nad moją głową. Jeden dobry skok, jedno dobre machnięcie i mogłam mieć je w dłoni.

– „A wróg mroczny, co serca nasze chciwie ssie, krwią, którą my broczymy, tuczy się obficie”<sup>[9]</sup> – zacytował René. – Wygląda na to, że ukryty wróg nie jest aż tak niebezpieczny, jak mu się wydawało.

– Właśnie, że jest – powiedziałam. – Twoim ukrytym wrogiem nie jest Eve, ty stary draniu. Ukrytym wrogiem jestem ja.

Jego wzrok przeskoczył na mnie, René wydawał się zaskoczony. Jak gdyby zapomniał, że w ogóle byłam w pokoju. Część mnie pragnęła wrzasnąć i ukryć się przed jego spojrzeniem i przed pistoletem, którego lufa zmierzała w moim kierunku, ale ustawiłam brodę w stylu najbardziej pogardliwego „nie zależy mi”.

Nigdy mi tak nie zależało.

– Zamknij się, jankesko – warknęła Eve. Pociła się, jej twarz traciła kolor. Ile jeszcze jej zostało? Nie miałam pojęcia.

„Dostań się bliżej niego”, pomyślałam. Eve powiedziała kiedyś, że René doskonale planował, ale kiepsko improwizował. Musiałam wymusić na nim coś nieprzemyślanego i wiedziałam, że mogę. Mogłam nigdy dotąd nie spotkać tego człowieka, ale znałam go poprzez Eve. Przejrzałam go na wskroś.

Posłałam mu najbardziej pogardliwe spojrzenie, na jakie było mnie stać.

– Wrogiem jestem tutaj ja – powiedziałam znowu. – To ja znalazłam twoją restaurację w Limoges. To ja dotarłam do Eve. Ja ciągnęłam ją tu aż z Londynu. Ja. Wydawało ci się, że jesteś taki sprytny, że zaczniesz nowe życie, a żeby cię znaleźć, wystarczyła dziewczyna z college’u i parę rozmów telefonicznych.

– Zamknij się. – Jego głos był lodowaty.

Ach, jak bardzo chciałabym. Lecz to nie ocaliłoby mnie ani Różyczki. Mogłam albo zaryzykować i sprowokować go teraz, albo biernie czekać na śmierć zaraz po tym, gdy umrze Eve.

– Nie przyjmuję rozkazów od takich idiotów jak ty – powiedziałam, czując pot spływający w dół kręgosłupa. – Ta twoja obsesja Baudelaire’em jest nie tylko bardzo nudna, ale też sprawia, że łatwo cię znaleźć. Nie jesteś sprytny, jesteś przewidywalny. Gdybyś nie nazwał swojej restauracji dwa razy z rzędu tytułem tego samego wiersza, nadal sączyłbyś szampana do kolacji, zamiast szykować się do ucieczki. Po raz trzeci w tym twoim banalnym życiu.

– Powiedziałem, zamknij się.

– Po to, żebyś ty mógł mówić? Uwielbiasz mówić. Wszystkie te rzeczy, które powiedziałeś Eve tylko dlatego, że patrzyła na ciebie tymi wielkimi oczami łani. Jesteś gadułą, René. – Nigdy w życiu nie zwróciłam się do starca po imieniu, nie bez słowa „pan” albo „*monsieur*”, ale uznałam, że teraz jesteśmy już na ty. Pociski plus krew, plus nieuchronna śmierć równa się pewna poufałość. – Nawet nie myśl o strzelaniu do mnie – dodałam, gdy jego usta zwięzły się, a luger drgnął. – Mój mąż jest teraz w Grasse i jeśli mnie zabijesz, pogrzebie cię żywcem. Zostawiłam mu wiadomość, jest już

w drodze. Może śmierć Eve ujdzie ci płazem, mnie jednak nie możesz zabić z zimną krwią.

Oczywiście, że mógł. Próbowалаm tylko zmacić wodę, zdenerwować go. Jego pistolet znowu drgnął i zmroził mnie strach, dopóki nie zdałam sobie sprawy, że patrzy na moją obrączkę, bada wzrokiem moją twarz. Próbował ocenić, czy mówię prawdę.

– To prawda – powiedziała Eve. Wykrwawiając się czy nie, wciąż potrafiła kłamać jak z nut. – Jej mąż to temperamentny Szkot, radca prawny z kontaktami po obu stronach Atlantyku.

– To zaczyna wymykać się spod kontroli – naciskałam. – Spójrz na siebie, stoisz tu, jak gdybyś właśnie wygrał. Przegrałeś. Nie możesz tego wszystkiego kontrolować. Wpuść mnie, pozwól opatrzeć Eve.

Jego wzrok prześlizgnął się z powrotem na nią.

– Czekałem trzydzieści lat, żeby zobaczyć, jak umiera, ty mała amerykańska krowo. Nie oddam tej przyjemności za nic na świecie. Kiedy zdechnie, stanę nad zwłokami i napiję się szampana, wspominając, jak lkała na moim dywanie po wydaniu swoich tajemnic.

– Nie wydała żadnych tajemnic, ty obrzydliwy kłamco.

– Nie masz o niczym pojęcia – powiedział chłodno René Bordelon. – Ta biadoląca suka była tchórzem i miała ozorem.

Kątem oka zobaczyłam, że broda Eve drgnęła. Najstarsza, najgłębsza rana: jej zdrada Lili. Czulałam, jak telegram Violette niemal płonie mi w kieszeni. Gdyby tylko dotarł dzień wcześniej, zapewne zdołałabym zapobiec temu wszystkiemu.

Być może wykrwawiała się, ale nie było jeszcze za późno, żeby poznała prawdę.

– Okłamałeś ją – powiedziałam. – Eve nigdy nic ci nie powiedziała, nawet pod wpływem opium. Informacja, która przesądziła o skazaniu Louise de Bettignies, pochodziła z innego źródła, od *mademoiselle* Tellier. – Violette musiała to ustalić po poszukiwaniach w archiwach procesów, wśród fragmentów zeznań, których w tamtym czasie obrona nie poznała. Któż wiedział, kim była ta *mademoiselle* Tellier. Jeśli przeżyłybyśmy tę noc, mogłybyśmy to sprawdzić. – Dowiedziałeś się od swoich niemieckich przyjaciół, że mają już wszystko, czego potrzebują, żeby skazać Louise de

Bettignies, i wiedziałeś, że nie ma sensu dłużej torturować Eve. Ale zanim ją wydałeś, upewniłeś się, żeby myślała, że to ona jest informatorem. – Wzięłam głęboki oddech. – Przyznaj, René. Eve cię pokonała. Wygrała. Skłamałeś, żeby myślała, że to ty pokonałeś ją.

Jego przesywające spojrzenie straciło na ostrości. Spod uczucia przygniatającego strachu uderzyła mnie nagła, obezwładniająca fala triumfu. Eve próbowała usiąść prosto pod ścianą. Nie potrafiłam powiedzieć, jak głęboko dotarły do niej moje słowa. Luger René przesunął się z powrotem w jej kierunku. „Nie, nie – myślałam. – Na mnie, patrz na mnie”.

– Jakie to uczucie? – szydziłam. – Próbowałeś ją złamać, ale się nie udało. Od tamtego dnia, gdy cię przechytrzyła, nic nie szło po twojej myśli. Skończyła jako odznaczona bohaterka wojenna, a ty dwa razy musiałeś zaczynać życie od nowa, bo byłeś tak cholernie głupi, żeby wybrać niewłaściwą stronę w dwóch kolejnych wojnach.

Pękł. Zbyt wściekły, by strzelić do mnie z bezpiecznej odległości, ruszył na mnie: człowiek, który zabił Rose, unosił lugera, w miarę jak postępował. Ale ja zerwałam się już z podłogi, moja dłoń sięgnęła do półki nade mną, a sekundy ciągnęły się niemiłosiernie, kiedy szukałam, szukałam, szukałam, aż wreszcie chwyciłam popiersie Baudelaire’a. Wykonałam nim szeroki zamach, uderzając w ramię René, zanim zdążył wystrzelić. Pozbawiony równowagi, zatoczył się do tyłu, w stronę biurka, a mnie serce skoczyło do gardła. „Upuść pistolet, upuść”, myślałam, lecz chociaż uderzył łokciem o wystające drewno tuż obok lampki, jego starzejąca się dłoń wciąż pewnie trzymała pistolet.

– Charlie – powiedziała Eve czysto i wyraźnie. Wiedziałam, o co jej chodziło, i natychmiast rzuciłam się naprzód z okrzykiem nienawiści, utrzymując popiersie w potężnym, opadającym łuku. René uniósł wolną rękę, chroniąc twarz, ale ja nie celowałam w twarz. Z obrzydliwym chrzęstem popiersie Baudelaire’a spadło na długie, chude jak u pająka palce, które trzymały lugera. Słyszałam kości miażdżone pod ciężarem marmuru, a on krzyknął. Krzyczał, jak krzyczała Eve, gdy miażdżył kostki jej dłoni, jedna po drugiej, krzyczał, jak krzyczała Lili na stole chirurga w Siegburgu, krzyczał, jak krzyczała Rose, gdy pierwsze niemieckie pociski



przeszły ciało dziecka i weszły w jej własne. I ja krzyczałam, ponownie waląc popiersiem jak młotem, znowu słysząc chrupot kości, gdy rozgniatałam te długie paluchy w krwawą papkę.

Puścił lugera.

Spadł na podłogę, a ja rzuciłam się za nim, lecz René chwycił mnie nieuszkodzoną dłonią za włosy, wciąż wyjąc z bólu, spróbował szarpnąć mnie do tyłu. Wtedy po prostu kopnęłam pistolet, posyłając go w stronę Eve. Ona uniosła skrwawione dłonie i chwyciła lugera René z czerwieniejącej podłogi. Wymierzyła broń, z wysiłku zaciskając zęby, a ja wyrwałam włosy z mściwego uścisku i zanurkowałam na ziemię.

Eve tymczasem strzeliła René Bordelonowi pomiędzy oczy.

Jego twarz zniknęła w krwawej mgiełce. Pistolet trzasnął znowu, gdy Eve umieściła kolejne pociski w jego klatce piersiowej.

Runął do tyłu, padając na podłogę ze zmiażdżoną ręką wyrzuconą w powietrze, jak gdyby zaskoczony. Zaskoczony do końca, że istniał ból, którego nie potrafił przewyciężyć, zemsta, przed którą nie potrafił uciec, konsekwencje, których nie mógł uniknąć. Kobieta, której nie zdołał zwyciężyć.

Powietrze okropnie śmierdziało – prochem strzelniczym i ostrą wonią jatki. Cisza zapadła jak ołowiany ciężar. Zbierałam się z podłogi, z palcami wciąż wczepionymi w popiersie Baudelaire'a. Nie mogłam oderwać wzroku od poskręcane go ciała René. Powinien wydawać się mały i stary w chwili śmierci, godny pożałowania. Ale ja widziałam tylko starą żmiję z obcięętą głową, jadowitą do końca. Mój żołądek ścisnął się i nagle poczułam odruch wymiotny. Odwróciłam się, obejmując brzuch jedną ręką, postępując chwiejnie w stronę Eve, która wciąż ścisnęła lugera w okaleczonej dłoni. Była wyczerpana i opryskana krwią, ale wspaniała i przerażająca. Posłała mi bezlitosny uśmiech niczym Walkiria w triumfalnym pochodzie ponad ciałami wrogów.

– Został jeszcze jeden pocisk – powiedziała całkiem wyraźnie, wciąż patrząc na ciało René, i ku mojemu przerażeniu przyłożyła lugera do swojej skroni.

# 44

## Eve

Palec Eve ściągał spust lugera, kiedy ból rozszczepił jej świat na pół. Nie tępy ból w ramieniu, wolno pulsująca krew, ale gorąca, jasna jak iskry agonii przecinająca jej palce. Charlie St. Claire z tym samym barbarzyńskim krzykiem, który rozdarł jej gardło, gdy rzuciła się na René, zamachnęła się popiersiem Baudelaire'a na dłoń Eve. Luger wystrzelił, gdy lufa zsunęła się ze skroni, ogłuszając Eve, której i tak dzwoniło już w uszach. Pocisk trafił w ścianę. Eve zdusiła krzyk, tuląc dłoń i pusty pistolet do piersi.

– Ty jankeska suko – wydusiła przez ściśnięte zęby, łzy zaczęły spływać jej z oczu. – Moja przeklęta ręka... jest złamana. Znowu.

– Oszukałaś mnie i uciekłaś z hotelu. Należało ci się.

Charlie padła na kolana, nagłym szarpnięciem wyrwała lugera z uścisku Eve i odrzuciła go na bok.

– Nie pozwolę ci się zastrzelić.

– Nie muszę do siebie strzelać, żeby umrzeć.

Luger byłby lepszą, bardziej poetycką formą dokonania sprawiedliwości: gdy Eve ujrzała odrapaną lufę pistoletu w rękach René, dostrzegła, że był to jej własny, który odebrano jej tyle lat temu. Ten, który dostała od Camerona. Ale Eve nie potrzebowała pocisku, żeby umrzeć. Mogła się po prostu wykrwawić tu i teraz – jedyne, co musiała zrobić, to... Nic nie robić.

– Zejdź ze mnie – naskoczyła na Charlie, która próbowała lepiej przyjrzeć się jej ranie. Ból gryzł jak dzikie zwierzę, powoli i równomiernie. – Zostaw to, dziewczyno. Po prostu puść.

– Nie – ryknęła Charlie. Ruszyła wokół pokoju w poszukiwaniu przyborów, kompletnie ignorując ciało na podłodze. Wróciła z naręczem lnianych koszul z walizki René i karafką brandy.

– Pozwól, że to oczyszczę. Wystarczy za dezynfekcję do czasu, aż znajdziemy lekarza.

Eve odepchnęła ją złamaną ręką. Ból był rozdzierający. Znowu uczucie rozgrzanego do czerwoności piasku chrupiącego w jej kłykciach. Eve miała ochotę zwinąć się w kłębek. Zwinąć się w kłębek i umrzeć. Była słaba, wstrząśnięta i skończona. Nie miała więcej wrogów do zabicia. Nienawiść była stalową podporą, która trzymała ją w pionie, teraz czuła się jak ślimak bez skorupy, miękka i bezbronna. To był czas, żeby odejść, czy dziewczyna tego nie widziała?

Oczywiście, że nie. Charlie była jak żywe srebro, nawet nie pomyślała o rezygnacji. W tamtej chwili, gdy rzuciła w twarz René, że był za głupi, by wybrać właściwą stronę w dwóch wojnach, Eve miała ochotę wiwatować. Jak gdyby Charlie zamieniła się w Lili na jej oczach, drobna i zawzięta jak rosomak, tańcząc z ryzykiem, ledwie na grubość włosa od krawędzi katastrofy, improwizując ucieczkę ze szponów śmierci. Koniec końców Lili została pokonana, ale nie Charlie.

– Nie musisz umierać. – Charlie zacisnęła zwój lnu wokół ramienia Eve. Szybko nasiąkał krwią. – Nie musisz, Eve.

Musisz? Eve chciała umrzeć. Była przesączoną whisky kaleką, jękającą się i pozbawioną przyszłości. Większość jej życia pograżyła się w ruinie z powodu poczucia winy, żalu i jednego złego człowieka. A Eve wiedziała wystarczająco dużo o sprawiedliwości, żeby zdać sobie sprawę, że zabicie René nie wystarczy, by jej życie na powrót stało się słodkie.

Część z tego musiała wymruczeć, bo Charlie spierała się z nią.

– Nie słyszałaś, co mu powiedziałam? Nie zdradziłaś Lili. Niemcy dostali te informacje od kogoś innego. Od chwili, gdy powiedziałaś mi, że zostałam odurzona i dopiero wtedy się poddałam, roz- myślałam, czy...

Eve pokręciła głową, czując drżenie łez w oczach.

– Nie. To byłam ja.

To musiała być ona. Oskarżenie Charlie rzucone René w twarz przeszło mimo uszu. Żyła z poczuciem winy tak długo, że stało się częścią jej duszy. Kilka słów nie miało mocy unieważniającej.

– Opium nie jest narkotykiem prawdy, Eve. Sprawilo, że miałaś halucynacje, ale nie sprawilo, że zaczęłaś mówić. Poprosiłam Violette, żeby przyjrzała się procesowi, rzeczom, które powiedziano, gdy obrońcy byli

nieobecni. Miałam rację. To była ta Tellier, kimkolwiek była, inną więźniarką?

Eve zaczęła kręcić głową w lewo i w prawo.

– Czy nie warto spróbować dowiedzieć się więcej? Przyjrzeć się archiwom procesu? Jesteś szpiegiem, masz Order Imperium Brytyjskiego, a tacy ludzie jak major Allenton są ci winni przysługi. Zadzwoń do Violette, poznaj więcej szczegółów.

– Nie. – W lewo i w prawo, w lewo i w prawo.

– Przekłeta suko, nie chcesz pozbyć się całej tej winy? Czy zamierzasz w niej trwać jak osioł w uprzęży? – Charlie zbliżyła twarz do Eve i ryknęła: – Nie zrobiłaś tego!

Łzy polały się po policzkach Eve. Po południu roniła krokodyle łzy, żeby uciec od tej dziewczyny, ale te były prawdziwe. Łkała i łkała i przez chwilę Charlie tuliła ją, szlochającą w chude ramię dziewczyny.

Potem Charlie zaczęła ją ciągnąć i namawiać, żeby wstała.

– Nie możemy tu zostać. Oprzyj się na mnie i trzymaj materiał mocno przyciśnięty do rany.

Eve pragnęła pozwolić mu opaść, żeby wraz z nim wypłynęła jej krew. Pragnęła pozwolić policji odnaleźć o poranku dwa skulone ciała, informatora i szpiega, porywacza i porwanego, kolaboranta i zdrajczyni, szczepionych razem do samego końca. Ale...

„Nie zrobiłaś tego”.

Krew spływała po boku Eve, gdy Charlie ją prowadziła, a właściwie wlokła w dół korytarza, z powrotem do ciemnej kuchni i na zewnątrz, w ciepłą francuską noc. Szloch wciąż wstrząsał Eve, ból w jej ręce był rozdzierający.

– Zostań tu. Przeprowadzę samochód – powiedziała Charlie. – Nie dasz rady przejść czterystu metrów.

Wtedy jednak u wylotu drogi pojawiła się kolejna para reflektorów, tuż obok ciemnego kształtu lagondy. Reflektorów na tyle mocnych, by przebić się nawet przez mgłę bólu i łez Eve. Policja?

– P-p-p-p – jej język poddał się zupełnie, nie mogła wydusić choćby słowa. Szarpnęła niezgrabnie lniany opatrunek na ramieniu. Prędzej wykrwawi się, niż pójdzie do kolejnego więzienia.

Usłyszała, jak Charlie krzyknęła „Finn”, i chwilę później szkocki akcent zagrzecotał głoskami pełnymi furii. Silne ramię otoczyło Eve w pasie, przejmując jej ciężar. Eve ześlizgnęła się w nieświadomość, mając nadzieję, że to śmierć, mając nadzieję, że to już koniec.

Mimo to wciąż w jakiejś obudzonej na nowo, krytycznej części mózgu myślała: „Nie zrobiłaś tego”.

# 45

## Charlie

Dwadzieścia cztery godziny później byliśmy w Paryżu.

– Eve potrzebuje lekarza. – Były to pierwsze słowa, jakie powiedziałam do Finna przed willą René po wstępnych gorączkowych wyjaśnieniach. – Ale jeśli zabierzemy ją do szpitala, zostanie złapana. Wezmą pod uwagę każdego z raną postrzałową, kiedy znajdą... – Spojrzałam wymownie na dom.

– Chyba mogę ją doprowadzić do porządku na tyle, żebyśmy zdążyli opuścić Grasse. – Finn wylał znowu trochę brandy na prowizoryczne bandaże i owinał nimi ciasno nieprzytomną Eve leżącą bezwładnie na tylnym siedzeniu lagondy. – Kula chyba niczego poważnie nie uszkodziła. Eve straciła sporo krwi, ale przy odpowiednim opatrunku...

„Złapani”. To słowo ciągle rozbrzmiewało w mojej głowie. „Złapią nas”. Gdy Finn zajmował się Eve, pobiegłam z powrotem do cuchnącego krwią gabinetu i owijając skrawkiem koszuli rękę oraz omijając krew, by nikt nie zobaczył małych kobiecych odcisków stóp, straciłam lampę z ogonem pawia i gramofon, a potem wysunęłam szuflady, jakby ktoś szukał kasetki z pieniędzmi. Może uda się upozorować nieudane włamanie. Może... Ręką owiniętą w koszulę zaczęłam grzebać w kieszeni i znalazłam fotografię René, którą pokazywaliśmy w całym Grasse, zgiętą tak, żeby było widać tylko jego twarz. Teraz ją odgięłam, by był widoczny rząd nazistów ze swastykami obok René, i upuściłam fotografię na zwłoki na podłodze.

Poczułam falę mdłości, kiedy Finn na mnie wołał i nie było już czasu, więc wepchnęłam oba lugery i małe popiersie Baudelaire’a do torby Eve, szybko wytarłam klamki i wszystko, czego mogłyśmy dotknąć, potem wybiegłam. Pojechałam lagondą z powrotem do hotelu, wioząc Eve na tylnym siedzeniu, a Finn prowadził auto, które pożyczył od zarządcy hotelu.

Pierwsza noc była najgorsza. Eve ocknęła się na chwilę i to wystarczyło, by zdołała wejść do hotelu, ukrywając zakrwawioną rękę pod płaszczem

Finna i mijając ziewającego recepcjonistę, po czym zemdlała na piętrze. Finn położył ją do łóżka, przemył jej i opatrzył ranę, wykorzystując pościel z hotelowej szafy, a potem mogliśmy tylko czuwać przez całą noc, gdy Eve leżała w przerażającym bezruchu. Wpatrywałam się w nią zamglonymi oczami, kiedy Finn wziął mnie w ramiona.

– Zabiłbym ją za to – wyszeptał. – Tak cię naraziła...

– To ja za nią poszłam – szepnęłam w odpowiedzi. – Usiłowałam ją powstrzymać. Wszystko poszło nie tak. Finn, mogą ją aresztować...

Objął mnie mocniej.

– Nie pozwolimy na to.

Nie. Nie pozwolimy. Bóg wie, że usiłowałam powstrzymać Eve przed zabiciem René, ale teraz, gdy było po wszystkim, nie zamierzałam pozwolić, by dopadła ją policja. Dość już wycierpiała.

Spojrzałam na nią, kruchą i nieprzytomną na łóżku, i już po chwili trzęsłam się od szlochu.

– Finn, ona próbowała się z... zabić.

Pocałował mnie w czubek głowy.

– Na to też nie pozwolimy.

Wymeldowaliśmy się skoro świt, prowadziłam Eve, podtrzymując ją w pasie. Ziewający recepcjonista nie zwrócił na nas uwagi; po godzinie byliśmy już poza Grasse. Finn mknął lagondą o wiele szybciej niż zwykle.

– Gardiner – wymamrotał, gdy biegi się buntowały – jesteś mi winna nowe auto. Nigdy nie zmyję tej krwi z siedzenia, a silnik już nigdy nie będzie taki sam.

Przez cały długi dzień jazdy Eve milczała, kuliła się tylko na tylnym siedzeniu jak sterta wysuszonych kości. Nawet gdy wjechaliśmy do Paryża i przejechaliśmy nad ciemnymi wodami Sekwany, kiedy patrzyła, jak wyrzucam przez okno do wody popiersie Baudelaire'a, nie odezwała się ani słowem. Widziałam jednak, jak konwulsyjnie drży.

Bóg jeden wie, jak to możliwe, ale Finn znalazł lekarza, który bez zadawania pytań obejrzał ranę Eve.

– Takich ludzi zawsze da się znaleźć – powiedział, gdy mężczyzna wyszedł po zdezynfekowaniu i zaszyciu rany. – Pozbawieni uprawnień

lekarze, dawni wojskowi. Jak myślisz, w jaki sposób się szyje byłych skazańców, kiedy nie chcą, żeby wpisano im do akt, że wdali się w bójkę?

Teraz, gdy palce Eve zostały usztywnione, a ramię opatrzone, gdy miała tabletki na ból i przeciw zakażeniu, postanowiliśmy się więcej nie wychylać.

– Potrzebuje czasu, żeby wyzdrowieć – powiedziałam, bo ciągle była niepokojąco apatyczna, całkowicie pozbawiona dawnego temperamentu. – A Paryż jest dość duży, by się w nim ukryć, jeśli ktoś...

„Jeśli ktoś zacznie za nami węszyć, gdy znajdą René”, pomyśleliśmy oboje. Nie rozmawialiśmy ani ze sobą, ani z Eve o René. Znaleźliśmy tanie pokoje w dzielnicy Montmartre, gdzie pozwoliliśmy Eve spać, zażywać pigułki i wyzywać nas za to, że nie przynosimy jej whisky. Minęło pięć dni, zanim Finn zobaczył artykuł w gazecie.

„Pod Grasse zginął były restaurator”.

Chwyciłam gazetę, pochłaniając szczegóły. Pokojówka René Bordelona przyjechała na cotygodniowe sprzątanie i znalazła zwłoki. Zmarły był bogaty i mieszkał sam; w pokoju widać było ślady włamania. Upływ czasu sprawił, że trudno było zebrać dowody...

Oparłam głowę na gazecie, czując nagle, że kręci mi się w głowie. Nie było wzmianki o tym, że starsza kobieta i jej prawnik wypytywali o niego w całym Grasse. Może policja o tym wiedziała, a może nie, w każdym razie nikt nie wspomniał o takich rozmowach. Nikt nie próbował powiązać bogatej amerykańskiej wdowy oraz imponującego adwokata z przykutą do łóżka Angielką i szemranym kierowcą w Paryżu.

– Znaleźli go po pięciu dniach – powiedział Finn w zamyśleniu. – Gdyby miał rodzinę albo przyjaciół, odkryliby to wcześniej. Ktoś by zatelefonował, zaczął się o niego martwić. Ale on nie nawiązywał przyjaźni. Nikt go nie obchodził, nikt nie był mu bliski.

– Zostawiłam na jego piersi fotografię. Tę, na której jest z kolegami nazistami. – Powoli odetchnęłam, znów czytając krótki tekst. – Uznałam, że jeśli policja zobaczy, że z nimi współpracował, nie będzie zbyt dokładnie szukać zabójcy. Kradzież czy zemsta, po prostu... odpuszczają.

Finn pocałował mnie w kark.

– Sprytna dziewczyna.



Odepchnęłam gazetę. Było tam zdjęcie René, eleganckiego, uśmiechniętego, od tego widoku czułam skurcz w żołądku.

– Wiem, że go nie poznałeś, ale proszę, uwierz mi. Był potworem. – Teraz to mnie śniły się zielone pokoje pełne wrzasków.

– Cieszę się, że go nie poznałem – odparł cicho Finn. – Widziałem już dość potworności. Lecz i tak żałuję, że mnie przy tym nie było. Że was nie ochroniłem.

Cieszyłam się, że go nie było. To on był karany; na pewno skończyłby za kratkami, gdyby nas złapano. Ostatecznie wystarczyłyśmy Eve i ja, żeby zająć się René, nie powiedziałam jednak tego głośno. W końcu Finn miał swoją dumę.

– Pójdziemy powiedzieć Eve, że chyba jest bezpieczna? – spytałam zamiast tego.

– Może dzięki temu nie będzie nas obrzucać obelgami.

Eve słuchała bez słowa. Zdawało się, że ta wiadomość, zamiast przynieść jej spokój, raczej ją pobudziła. Skubała szyny wokół złamanych palców i skarżyła się na bandaż na ramieniu. Myślałam, że będzie mnie zadręczać pytaniami o swój proces z 1916 roku, o dowody, które na moją prośbę wygrzebała Violette, lecz nawet o tym nie wspomniała.

Dziesięć dni po tym, jak została postrzelona, zapukałam do drzwi, przynosząc jej croissanta, i znalazłam na poduszce liścik.

Finn wyrzucił z siebie wszystkie znane przekleństwa, ale ja tylko wpatrywałam się w oschłe słowa. „Pojechałam do domu. Nie martwcie się”.

– „Nie martwcie się”. – Finn przecesał palcami włosy. – Gdzie, do cholery, uciekła ta zbzikowana wydra? Myślisz, że do Violette? Chce się dowiedzieć więcej o procesie?

Pobiegł na dół, żeby połączyć się telefonicznie z Roubaix, ale ja stałam wpatrzona w liścik od Eve z innym podejrzeniem. Przecesałam pokój – oba lugery zniknęły.

Finn szybko wrócił.

– Violette przysięga, że nie widziała Eve ani nie miała od niej wieści.

– Nie sądzę, żeby pojechała do Lille czy do Roubaix – wyszeptałam. – Myślę, że jedzie do domu, żeby umrzeć. Odejdzie tam, gdzie nie powstrzymamy jej przed pociągnięciem za spust.

Naiwnie wierzyłam, że jeśli Eve będzie wiedziała, że nie zdradziła Lili, to uleczy starą ranę, którą tak długo nosiła. Odkryła, że nie była zdrajczynią, sama odebrała życie swojemu wrogowi – liczyłam, że to wystarczy. Miałam nadzieję, że teraz spojrzę w przyszłość, a nie na splamioną przeszłość. Ale może Eve, patrząc w lustro, nie dostrzegала powodu, żeby żyć, gdy już zniknęły nienawiść i poczucie winy. Widziała tylko lufę pistoletu.

Tak jak mój brat.

Zaczynałam mieć kłopoty z oddychaniem.

– Musimy iść, Finn. Musimy natychmiast wrócić do Londynu.

– Może nie pojechała do Londynu. Jeśli chce się zabić, mogła wynająć inny pokój dwie ulice stąd; nigdy się nie dowiemy gdzie. A może poszła na grób Lili albo...

– W liściku pisała o domu. Od ponad trzydziestu lat jej jedynym domem był Londyn. Jeśli chce tam umrzeć...

„Proszę, nie. Nie”.

Druga podróż przez Francję była zupełnie inna od pierwszej. Samochód wydawał się pusty bez cierpkiej pasażerki na tylnym siedzeniu, nie zaglądaliśmy też do Rouen ani do Lille. W kilka godzin przyjechaliśmy z Paryża prosto do Calais, a potem prom przewiózł nas z powrotem w angielską mgłę. Następnego ranka lagonda mknęła w stronę Londynu. Ścisnęło mnie w gardle i nagle oszołomiła mnie myśl, że dziś są moje dwudzieste urodziny. Całkiem o tym zapomniałam.

Dwadzieścia lat.

Gdy miałam dziewiętnaście, niecałe dwa miesiące temu, wysiadłam z pociągu w deszczową noc z fotografią Rose i wielkimi nadziejami. Evelyn Gardiner była tylko nazwiskiem na skrawku papieru. Nie znałam Eve, Finna ani René Bordelona. Nie znałam nawet samej siebie.

Niecałe dwa miesiące. Tyle się zmieniło w tak krótkim czasie. Pogłaskałam się po zaokrąglającym się brzuchu i zastanawiałam się, kiedy Różyczka zacznie się poruszać.

– Hampson Street, numer 10 – mruknął Finn, przejeżdżając lagondą przez dziurawe ulice. Londyn wciąż nosił powojenne blizny, ale w ten ciepły letni dzień ludzie przechadzający się wzdłuż zniszczonych dróg mieli bardziej sprężysty krok i wyglądali radośniej, niż kiedy tu przyjechałam.

Tylko nasze twarze były tutaj ponure. – Gardiner, lepiej, żebyś była w domu.

„W domu i bezpieczna”, modliłam się, bo wiedziałam, że jeśli przekroczę próg domu Eve i zobaczę, że leży tam z pistoletem w zeszywniałej dłoni, nigdy sobie tego nie wybaczę. „Nie odpuszczę – powiedziałam jej w Grasse. – Nie mogę cię stracić”. Gdyby tak się stało...

Jednak dom numer 10 przy Hampson Street był pusty. Nie tylko pusty – wystawiono przy nim znak: „Na sprzedaż”.

### *Sześć tygodni później*

– Gotowa? – spytał Finn.

– Właściwie to nie. – Obróciłam się, żeby mógł mnie obejrzeć. – Wyglądam wystarczająco wspaniale jak na Park Lane?

– Wyglądasz cudnie, maleńka.

– Już nie taka maleńka.

Teraz ciężę było już widać z daleka, czarna sukienka ciasno opinała mój zaokrąglający się brzuch. Niedługo miała przestać na mnie pasować, ale dziś wcisnęłam się w nią, żeby przyniosła szczęście. Wyglądałam w niej bardzo elegancko i dorosłe, a to było mi dzisiaj potrzebne. Moi rodzice przyjechali do Londynu i czekali na mnie w hotelu Dorchester przy Park Lane.

Matka i ja często do siebie telefonowałyśmy, odkąd wróciłam do Londynu. Niezależnie od tego, co mi powiedziała przy ostatnim spotkaniu, była moją mamą i wiedziałam, że się o mnie troszczy.

– *Chérie*, musisz mieć jakiś plan – rzuciła parę tygodni temu. – Spotkamy się, porozmawiamy...

– Przykro mi, ale nie chcę wracać do Nowego Jorku.

To, że matka się ze mną nie kłóciła, pokazywało, jak bardzo się denerwowała.

– No to my przyjedziemy do Londynu. Twój ojciec i tak musi tam niedługo jechać w interesach. Pojadę razem z nim, usiądziemy wszyscy razem i coś zaplanujemy.

Miałam już plany. Dopracowałam je w ostatnich tygodniach, mieszkając z Finnem w jego małym pokoiku. Martwiliśmy się o Eve, prawie codziennie chodziliśmy do jej domu i pukaliśmy, ale podczas śniadań z jednego garnka nie rozmawialiśmy tylko o niej. Mówiliśmy też o Róźyczce, dla której powoli gromadziłam odpowiednią wyprawkę. Mówiliśmy o przyszłości i o tym, jak sobie z nią poradzimy – Finn przedstawiał pomysły, a ja notowałam liczby na swoich wyciągach z banku, żeby zobaczyć, czy te pomysły mogą stać się rzeczywistością (bankierzy bez problemu pozwalali mi wypłacać własne pieniądze, kiedy przychodziłam z fałszywą obrączką na palcu). Nie byłam wprawdzie pewna, jak bardzo moje plany będą interesować rodziców. Dlatego przygotowałam się na to, że powiedzą, jakie decyzje podjęli, a także na to, że im odmówię. Nieważne, że byłam jeszcze nieletnia, mieli się przekonać, że już nie tak łatwo mną pomiatać. Gdy człowiek staje twarzą w twarz z mordercą z pistoletem w ręce, rodzice nieco mniej liczą się na liście osób, których trzeba się bać.

Obawiałam się jednak, że spotkanie zrobi się nieprzyjemne, kiedy tupnę nogą, a tego nie chciałam. Mimo wszystko tęskniłam za nimi. Chciałam im powiedzieć, że mi przykro, że sprawiłam im tyle kłopotów, że teraz lepiej rozumiem, jak mocno zraniła ich utrata Jamesa. Chciałam powiedzieć, jak bardzo pragnę ich odzyskać.

– Na pewno mam z tobą iść? – Finn włożył grafitowy garnitur, który nosił w Grasse jako Donald McGowan, radca prawny (mój Donald!). – Chyba nie zrobiłem dobrego wrażenia na twojej matce w Roubaix.

– Tak łatwo się nie wywiniesz, Finnie Kilgore. Idziemy.

Uśmiechnął się szeroko.

– Wezwę taksówkę. – Lagonda znów była w warsztacie, gdzie Finn pracował nad jej silnikiem, gdy nie reperował aut innych ludzi. Ostatnia jazda z Paryża bardzo zmęczyła staruszkę, a szkoda. Zyskałabym sporo pewności siebie, zajeżdżając pod Dorchester lagondą. Może pod maską bardziej przypominała złom, ale ciągle była bardzo stylowa.

Sięgnęłam po kapelusik – był czarny i naprawdę piękny, a ja wydałam na niego pieniądze, bo przypomniałam sobie, jak Eve kręciła głową na zamiłowanie królowej szpiegów do moralnie wątpliwych kapeluszy. Ta mała chmurka czarnej gazy i piór zdecydowanie była moralnie wątpliwa,

a ja się uśmiechnęłam, przekrzywiając ją nad okiem. Wyobraziłam sobie, jak Eve mówi: „Bardzo ładnie, jankesko”, i jak zwykle poczułam ucisk w żołądku. W firmie, która wystawiła jej dom na sprzedaż, nie dowiedzieliśmy się niczego. Otrzymali instrukcje w telegramie. Mogliśmy tylko zostawić liścik z adresem Finna i błaganiem, żeby się do nas odezwała, oraz zaglądać do jej domu, kiedy tylko się dało, z nadzieją, że uda nam się ją zobaczyć. Tydzień temu przeczytaliśmy jedynie informację na drzwiach, że dom został sprzedany.

„Gdzie jesteś?” Eve chyba wołała, żebyśmy się nad tym zastanawiali. W dni, kiedy się nie bałam, że nie żyje, sama chciałam ją zabić za to, że mnie tak straszy.

– Charlie, dziewczuszko. – Głos Finna w otwartych drzwiach zabrzmiał dziwnie. – Chodź, zobacz.

Wzięłam torebkę i dołączyłam do niego u progu. To, co miałam powiedzieć, uwięzło mi w gardle, gdy wyjrzałam na zewnątrz. Przy krawężniku stał zawadiacko przepiękny samochód. Kabriolet o połyskującej srebrnej karoserii lśnił w porannym słońcu.

– Bentley Mark VI z czterdziestego szóstego – szepnął Finn, podchodząc do niego jak lunatyk. – Silnik cztery i pół litra... niezależne przednie zawieszenie na spiralnych sprężynach... dzielony wał napędowy... – Z niedowierzaniem przesunął dłonią po błotniku.

Ale to nie samochód, choć przepiękny, sprawił, że mocniej zabiło mi serce. Pod wycieraczką tkwiła duża biała koperta z naszymi imionami zapisana znajomym czarnym pismem. Zaschło mi w ustach, gdy rozdzierałam kopertę. Na dnie było coś grubego, najpierw jednak wyciągnęłam pojedynczą kartkę papieru. List zaczynał się bez przeprosin, bez pozdrowienia, bez powitania. A jakże.

Zaczęłaś proces z Violette, jankesko, ale sama musiałam znaleźć szczegóły, żeby w to uwierzyć. Imię Lili i jej zaangażowanie w sieć Alice zdradziła była współwięźniarka, panna Tellier, która w zamian za złagodzenie wyroku przekazała Niemcom pięć listów i obciążające zeznanie, gdy ja byłam przesłuchiwana przez René Bordelona. Z trudem to wyszukałam w protokołach rozpraw, utajnionych dokumentach i innych

zdobytch potajemnie źródłach, ale w końcu potwierdziłam. Potwierdziłam też coś jeszcze: Tellier otruła się po zawieszeniu broni.

René skłamał. To nie byłam ja.

Miałaś rację.

Zorientowałam się, że płaczę jak bezradne dziecko. Tyle że wcale nie byłam bezradna. Tak długo słuchałam paskudnego wewnętrzznego głosu, który mi mówił, że tak jest, że zawiodłam brata, rodziców, Rose, samą siebie. Ale nie zawiodłam Eve. I może nie zawiodłam też innych aż tak bardzo, jak zawsze sądziłam. Zrobiłam, co mogłam, dla Rose oraz Jamesa – nie zdołałam ich ocalić, lecz to nie moja wina, że zginęli. I ciągle mogłam naprawić relacje z rodzicami.

A jeśli chodzi o Charlotte St. Clair, byłam w stanie się nią zaopiekować. Bo ona rozejrzała się po beznadziejnym chaosie, który ją otaczał, odrzuciła pozbawione znaczenia zmienne, te  $y$  oraz  $z$ , które się nie liczyły, by znaleźć  $x$ . Rozpisała wszystko na bardzo proste równanie – ona plus Finn plus Różyczka, wiedziała też dokładnie, jaki jest wynik.

Eve pisała dalej w liście:

Napisała do mnie Violette. Jestem w drodze do Francji, gdzie razem odwiedzimy grób Lili. Potem wybieram się w podróż. Wrócę na chrzciny. Tymczasem jestem ci winna perły, a Finnowi samochód.

Finn sięgnął po kopertę i ją rozchylił. Na jego dużą dłoń wysunęły się połączone przedmioty: kluczyki do bentleya zaplątane w sznur idealnych mlecznych pereł – moich pereł. Poszłam do lombardu, gdy tylko wróciłam do Londynu, ale mój kwit stracił ważność i pereł nie było. A mimo to miałam je przed sobą. Ledwie je widziałam, tak szybko napływały mi do oczu łzy. I jeszcze jedna linijka listu:

Niech to będzie prezent ślubny.

EVE

Jadąc do Dorchester i z powrotem, zatrzymaliśmy cały ruch. Bagażowi, gońcy hotelowi, mężczyźni w eleganckich kapeluszach i ich żony w białych rękawiczkach – wszyscy odwracali się, by popatrzeć, jak bentley zatrzymuje się przed fasadą hotelu. Mruczał jak kociak i jechał jak marzenie, a perłowszara tapicerka otulała mnie niczym uścisk. Finn z niechęcią oddał kluczyki obsłudze.

– Proszę go odprowadzić – powiedział, okrążając auto, żeby otworzyć mi drzwi od strony pasażera. – My z żoną zostajemy na lunch.

Pod markizą hotelu zobaczyłam matkę w falbaniastej błękitnej sukience oraz ojca rozglądającego się po ulicy. Widziałam, jak mama z uznaniem zerka na Finna w ładnym garniturze, jak ojciec przygląda się eleganckiej sylwetce auta, a potem jak oboje otwierają usta z zaskoczeniem, gdy Finn wyciągnął rękę do mnie ubranej w szalowy kapelusz i francuskie perły.

– *Maman* – powiedziałam, biorąc Finna pod ramię i uśmiechając się. – Tato. Chcę wam przedstawić pana Finna Kilgore’a. Jeszcze nie jesteśmy po ślubie – dodałam, widząc, jak mama rzuca okiem na moją lewą dłoń. – Ale zamierzamy się pobrać, wkrótce. Mamy mnóstwo planów na przyszłość i chcę, żebyście oboje w nich uczestniczyli.

Matka zaczęła się wachlować, ojciec też, ale dyskretniej, gdy Finn wyciągnął dłoń. Potem, gdy we czworo odwróciliśmy się do drzwi hotelu Dorchester, które otwierały się na bardzo eleganckie wnętrze, zerknęłam przez ramię i zobaczyłam ją po raz ostatni. Rose z rozwianymi jasnymi włosami stała pod markizą hotelu w białej letniej sukience. Zerknęła na mnie psotnie – tym spojrzeniem, które tak dobrze pamiętałam – i pomachała do mnie.

Odmachałam jej, przełykając gulę w gardle. Uśmiechnęłam się. I weszłam pierwsza do środka.

## Od autorki

Louise de Bettignies jest postacią historyczną, obecnie mało znaną – zupełnie niesłusznie. Odwaga, pomysłowość i zaradność kobiety zwanej królową szpiegów bez żadnej przesady może się stać tematem fascynującej lektury. Zwerbowana przez kapitana Cecila Aylmera Camerona, który założył wcześniej komórkę wywiadu w Folkestone i miał dar wychwytywania talentów, była guwernantka Louise de Bettignies przyjęła pseudonim Alice Dubois (jako jeden z wielu, chociaż jej przezwisko Lili to mój pomysł) i wykorzystwała swoje zdolności językowe oraz zmysł organizacyjny na potrzeby wywiadu. Dzięki temu powstała jedna z najbardziej skutecznych siatek szpiegowskich w czasie pierwszej wojny.

Siatka Alice była zasilana przez wiele kontaktów Louise rozlokowanych w regionie Lille i składała raporty o lokalnym odcinku niemieckiego frontu z szybkością i dokładnością, która sprawiała, że brytyjscy żołnierze i wojskowi nie mogli wyjść z podziwu. „Służba Louise de Bettignies jest nie do przecenienia”. „Prawdziwa współczesna Joanna d’Arc”. „Gdyby cokolwiek się jej przytrafiło, byłaby to prawdziwa katastrofa”. Niemcy byli pod równie wielkim wrażeniem (nawet jeśli doprowadzało ich to do pasji) niesamowicie starannego przepływu tajnych informacji, tak skutecznego, że nowe stanowiska artyleryjskie często bombardowano zaledwie kilka dni po ich założeniu. Większe wywiadowcze skarby również padły łupem siatki Alice: wizyta cesarza, kiedy jego pociąg ledwo uniknął bombardowania, czy też planowany atak na Verdun, jeden z ostatnich raportów Louise, któremu niestety dowództwo nie dało wiary.

Alice, liderka siatki, ciągle krążyła między okupowaną przez Niemców Francją, wolną Francją, Belgią, Anglią i Holandią. Przekazywała raporty, zbierała informacje, odwiedzała swoich agentów, a jej metody przemycania informacji (zakodowane wiadomości owinięte na pierścionkach lub szpilkach do włosów, ukryte pod ciastami w pudełkach, wsunięte między strony gazet) są wszystkie prawdziwe, tak jak je opisałam. Była niezwykle odważna. Wielokrotnie prześlizgiwała się przez granicę wroga, pod niemieckimi szperaczami i wzrokiem uzbrojonych strażników, po ziemi



usłanej ciałami uchodźców, którzy zostali zauważeni i zastrzeleni, a mimo to pozostała niewzruszona nawet po tym, jak para uciekinierów zginęła tuż przed nią, wchodząc na minę. Być może jeszcze bardziej niezwykła była jej zdolność do szybkiego podejmowania decyzji. Louise de Bettignies miała niesamowitą umiejętność skutecznego blefowania na punktach kontrolnych, na przykład zonglowała paczkami tak długo, aż poirytowany strażnik pozwalał jej przejść, albo angażowała dzieci grające w berka do przemycenia jej glectów (oba opisane przypadki są prawdziwe). Prawdziwa jest również ta niezwykła sytuacja, kiedy Louise w drodze na spotkanie została rozpoznana przez niemieckiego generała, który pamiętał ją z rozegranej partii szachów w czasach, gdy była jeszcze guwernantką, i po dzentelmeńsku oddał jej swój samochód do dyspozycji.

Eve Gardiner jest postacią fikcyjną, ale dwie jej cechy są bardzo prawdziwe. Jedną to jękanie się – mój mąż całe życie się z nim borykał, a jego zmagania są zmaganiem Eve: chwilowe trudności podczas zwyczajnych rozmów, przyływy gniewu czy silnych emocji, które dodają mowie płynności, frustracja i złość, gdy ktoś mu przerywa, dopowiada albo z góry zakłada, że jest mniej inteligentny. To był pomysł męża, żeby moja młoda szpieg z czasów pierwszej wojny światowej była jękałą i zmieniła to w atut, uczyniła ze słabości broń i użyła jej przeciw tym, którzy jej nie doceniają. Kolejną rzeczywistą cechą Eve jest jej pseudonim. Gdy Louise de Bettignies w końcu na jesieni 1915 roku opuściło szczęście, młoda kobieta – Marguerite Le François – została aresztowana razem z nią. W trakcie przesłuchania, które trwało kilka godzin, Niemcy szybko ustalili, że przerażona młoda Marguerite nie była szpiegiem, tylko zwyczajną miejscową dziewczyną, która z głupoty zgodziła się, żeby sympatyczna nieznajoma pożyczyciła od niej przepustkę na punkcie kontrolnym. Historyczna Marguerite Le François była najprawdopodobniej jedynie niewinną ofiarą oszustwa... ale co, jeśli nie była? Gdy czytałam historyczny zapis aresztowania, w trakcie którego kobiety były rozbierane, przeszukiwane, terroryzowane, a młoda Marguerite wzbudziła w Niemczech litość, łkając i mdlejąc, podczas gdy Louise doprowadziła ich do pasji, zjadając zakodowaną wiadomość i prosząc o brandy, nie mogłam nie zastanawiać się, czy przypadkiem te dwie uwięzione kobiety zakute

w niemieckie kajdany nie odegrały swojego ostatniego i najlepszego blefu. Tak narodziła się Eve Gardiner, którą dodałam jako, w większości fikcyjną, trzecią osobę do historycznego duetu tworzonego przez Louise i jej główną porucznik.

Okularnica Leonie van Houtte zapisała się w historii, działała pod pseudonimem Charlotte Lameron (który zmieniłam na Violette Lameron, ponieważ miałam już jedną Charlotte). Leonie najpierw włączyła się w działania wojenne jako pielęgniarka Czerwonego Krzyża, a niedługo potem została zrekrutowana jako wierna asystentka i lojalna przyjaciółka Louise de Bettignies. „Byłam gotowa pójść za nią wszędzie – zanotowała później Leonie – ponieważ instynktownie wiedziałam, że ta dziewczyna jest zdolna do rzeczy wielkich”. Chociaż Leonie została aresztowana krótko przed Louise, obie były sądzone razem, skazane razem i razem odsiadywały wyrok w Siegburgu. Louise umarła w Siegburgu z powodu ropniaka opłucnej, ale Leonie przeżyła – odznaczona medalami jako szpieg weteran, wyszła za dziennikarza i po wojnie prowadziła sklep z porcelaną w Roubaix. Jej mąż na podstawie relacji żony napisał później *La guerre des femmes* – zapis wojennych działań Louise de Bettignies. Precyzyjne, pochodzące z pierwszej ręki opowieści Leonie były dla mnie bezcenne, w tym dokładny opis operacji wywiadowczych, aresztowania Louise, procesu, lat spędzonych w Siegburgu, pełnych straszliwych przejść i nielicznych chwil triumfu – jak ten, gdy Louise zachęciła współwięźniów do strajku zamiast produkowania amunicji. Wiele z błyskotliwych bon motów Louise również zaczerpnęłam prosto z tej książki.

Kolejną historyczną postacią na liście członków siatki Alice jest Antoine, epizodycznie wspomniany w tej książce jako fałszerz dokumentów dla Lili. Prawdziwy Antoine le Four był księgarzem z duszą poety, specjalistą od podrabianych antyków, który – jak dopiero teraz odkrywają jego potomkowie – najprawdopodobniej użył swoich umiejętności demaskowania fałszerstw w przeciwnym celu i produkował fałszywe dokumenty dla siatki Alice. Część jego rodziny mogła również należeć do tej grupy, w tym jego młodsza siostra Aurélie le Four, która eskortowała kurierów, została zgwałcona przez niemieckich żołnierzy i zaszła w ciążę, co opisuje Violette w rozdziale 22. Aborcja, którą następnie przeszła,

potwierdzona w archiwach rodzinnych, została przeprowadzona przez pielęgniarkę, przyjaciółkę Louise de Bettignies, choć nie jest pewne, czy tą pielęgniarką była Violette/Leonie. Wydaje się, że zarówno Aurélie, jak i Antoine kontynuowali swoją pracę dla ruchu oporu nawet po uwięzieniu Louise, ale szczęśliwie sami uniknęli aresztowania. Ich listy pozwalają z całą wyrazistością dostrzec dojmujący ogrom cierpienia Francuzów i siłę ich patriotyzmu.

Angielski patriotyzm jest równie mocny – uosabia go historyczna postać kapitana (a później majora) Cecila Aylmera Camerona. Człowiek znany przez swoich agentów jako wujek Edward zwerbował nie tylko Louise de Bettignies, lecz również Leona Trulina, kolejnego francuskiego szpiega, który został męczennikiem, aresztowany i zastrzelony przez Niemców. Niezwykła przeszłość Camerona, jego aresztowanie pod zarzutem oszustwa ubezpieczeniowego, wyrok, jaki odsiedział, rzekomo chroniąc żonę, przywrócenie go do służby w wywiadzie w trakcie wojny i jego samobójstwo po wojnie – to wszystko prawda, chociaż moje spekulacje na temat motywów oszustwa, stanu jego małżeństwa, czy też charakteru jego żony są fikcją stworzoną na potrzeby opowieści. Jednakże jeden z pseudonimów Camerona w trakcie wojny brzmiał „Evelyn” i takie imię dał swojej jedynej córce.

René Bordelon, podobnie jak Eve, jest postacią fikcyjną, stworzoną na podstawie skrawka prawdy historycznej. Spekulanci tacy jak on z pewnością istnieli, a jego postać stała się dla mnie pomostem między dwoma wojnami i dwoma porządkami chronologicznymi. On również stał się historycznie bezimiennym informatorem, który przekazał milicji, a więc nazistom, nazwę Oradour-sur-Glane w trakcie drugiej wojny światowej.

Masakra mieszkańców Oradour-sur-Glane pozostaje tyleż tajemnicą, ile tragedią. Istnieje mnóstwo nieporozumień i sprzecznych informacji. Najwyraźniej informator doniósł milicji, że działania francuskiego ruchu oporu skupionego na tym terenie doprowadziły do uprowadzenia i egzekucji niemieckiego oficera, ale nie wiadomo, czy ruch oporu skupił się w Oradour-sur-Glane czy pobliskim Oradour-sur-Vayres ani czy w ogóle istniał. Zapewne nigdy się nie dowiemy, dlaczego oficer SS, który zajmował się tą sprawą, postanowił w akcie zemsty zmasakrować całą wioskę (za co

później został wyraźnie potępiony przez swoich niemieckich przełożonych) ani czy początkowo miał zamiar doprowadzić do masakry. Istnieją przypuszczenia, że materiały wybuchowe należące do ruchu oporu były już zgromadzone w kościele w Oradour-sur-Glane, wywołując eksplozję i pożar, które zabiły tak wiele osób. Jedyną pewną rzeczą w tej mglistej historii wojennej jest to, że mężczyźni z Oradour-sur-Glane zostali w większości otoczeni i rozstrzelani w stodołach i okolicznych budynkach wiejskich, podczas gdy kobiety i dzieci spędzono do kościoła i zabito. O ile niektórzy ocaleli z pozostałych miejsc egzekucji, tylko jedna osoba przeżyła piekło w kościele: *madame Rouffanche*. Zaczerpnęłam historię jej ucieczki niemal słowo w słowo z zeznań podczas procesu w 1953 roku, kiedy żyjący oficerowie SS, o których wiadano, że brali udział w masakrze, byli sądzeni i zostali skazani za swoje zbrodnie. Prawdą jest, że młoda matka i jej dziecko usiłowali wydostać się przez okno za *madame Rouffanche* i zginęli od strzałów, jednak była to miejscowa kobieta, Henriette Joyeux i jej synek, a nie fikcyjna Rose Fournier. Miasteczko Oradour-sur-Glane stoi puste po dziś dzień jako dziwaczny pomnik miasta widma: porane kulami budynki bez dachów, spalone zegary, które na zawsze zatrzymały się na czwartej po południu, zardzewiały peugeot na stałe zaparkowany na placu targowym. *Madame Rouffanche* mieszkała nieopodal przez resztę swojego długiego życia.

Finn Kilgore jest postacią fikcyjną, chociaż jego doświadczenia w wyzwolaniu obozu koncentracyjnego w Belsen są wzięte ze świadectw żołnierzy 63. pułku przeciwpancernego królewskiej artylerii, którzy brali udział w wyzwoleniu obozu. Charlie St. Clair i jej rodzina również są fikcyjni, choć sytuacja niezamężnych dziewcząt była niemal tak samo straszna w jej czasach jak w czasach Eve. Aborcja była nielegalna, ale dostępna dla kobiet wystarczająco bogatych (jak Charlie), żeby zapłacić za bezpieczną operację, lub wystarczająco zdesperowanych (jak Eve), żeby zaryzykować raczej śmierć niż ciążę. Wiele kobiet na okupowanym przez Niemców terytorium w trakcie pierwszej wojny światowej stawało przed takimi trudnymi wyborami. Listy Aurélie le Four, która błaga Boga i swoją rodzinę, żeby wybaczyli jej, że postanowiła nie urodzić dziecka swojego gwałciciela, są niezwykle poruszające. Eve czekałyby jeszcze straszniejsze

konsekwencje niż niechciane macierzyństwo, biorąc pod uwagę historyczne podwójne standardy dla kobiet pracujących w wywiadzie. W tamtych czasach szpiegostwo nie miało efektownej otoczki, jaką później otrzymało dzięki Jamesowi Bondowi i Hollywood. Nie było postrzegane jako zawód dla dżentelmenów, a tym bardziej dla dam. Jeśli kobieta miała skalnąć się szpiegostwem, musiała dbać o dobrą reputację i bardzo starano się podkreślić, że agentki takie jak Louise de Bettignies były cnotliwe. „Mogły być kokietkami, ale nigdy prostytutkami – napisał szczerze o kobietach z siatki Alice biograf Louise. – Nigdy nie posuwały się do typowych kobiecych forteli, żeby zdobyć informacje”. Kobiety takie jak Eve i Louise żyły w brutalniejszej rzeczywistości, ale wiedziały bardzo dobrze, że kobiety w roli szpiega były postrzegane albo jako Madonny, albo jako dziwki; nieskazitelne obrazy czystości, jak umęczona Edith Cavell, lub namiętne, niegodne zaufania ladacznice, jak Mata Hari.

Jak zwykle pozwoliłam sobie na swobodę w korzystaniu z zapisów historycznych, przesuwając niektóre wydarzenia i łącząc ze sobą inne, żeby pasowały do opowieści. Promy przewożące samochody, jak ten, którym cenna lagonda Finna przyłynęła do Francji, istniały w 1947 roku, ale nie mogłam zweryfikować, czy taki prom kursował między Folkestone a Hawrem. Louise de Bettignies i Marguerite Le François zostały przewiezione do Tournai na przesłuchanie przed oficjalnym zwolnieniem Marguerite i aresztowaniem Louise. Minęło kilka dni między procesem w Brukseli a powiadomieniem kobiet, że ich wyroki śmierci zostały zamienione na kary więzienia.

Kwestia skazania Louise i dowodów, jakie zgromadzili przeciw niej Niemcy, pozostaje dyskusyjna. Odmówiła wyjawienia czegokolwiek podczas długich miesięcy więzienia, w końcu Niemcy skłonili jej współwięźniarkę, pannę Tellier, do przekazania listów, które napisała Louise, jednak trudno powiedzieć, czy dowiedzieli się z nich czegoś, co by ją obciążało. Zestawiłam istniejące sprzeczne doniesienia tak, żeby stworzyć wyraźny punkt kulminacyjny, ale możliwe, że Louise Bettignies została skazana na podstawie szczątkowych twardych dowodów, oprócz faktu, że została zatrzymana z wieloma dowodami tożsamości, gdy próbowała przedostać się przez punkt kontrolny na podstawie pożyczonego gletju.

Sekwencja zdarzeń poprzedzających śmierć Louise to kolejne miejsce, w którym zagęściłam fabułę. Operacja ropnia opłucnej miała miejsce wcześniej w tym samym roku, jako że Louise nie umarła zaraz po zabiegu, ale zdołała przeżyć kilka miesięcy jako inwalidka. Jest to kolejny przykład jej niezwykłej wytrzymałości, ponieważ – według *La guerre de femmes* – operacja trwała cztery koszmarnie godziny w nieogrzewanym i niewłaściwie odkażonym pomieszczeniu w okrytym złą sławą ambulatorium w Siegburgu, gdzie niewiele wcześniej szalała epidemia tyfusu. Nie sposób powiedzieć, czy władze Siegburga oczekiwały, że operacja ją zabije; brak higieny i odpowiedniej opieki medycznej były przyczyną śmierci wielu tamtejszych pacjentów bez dodatkowych niecznych zamiarów. Jednak Louise na pewno była dla Niemców więźniem kłopotliwym i gdy umierała, nie okazywali jej współczucia. Odmówili spełnienia jej ostatniego życzenia, by mogła zostać odesłana do domu i umrzeć pod opieką matki, a następnie odesłali ją z Siegburga na samotne łoże śmierci do Kolonii, z dala od wiernych przyjaciół i współwięźniów. Bardzo pragnęłabym móc zmienić historię i dać Louise lepszy los: przyznaję się, że skróciłam jej pooperacyjne cierpienia. Wielki pogrzeb Louise odbył się nie w 1919 roku, ale w 1920, dopiero gdy jej ciało wróciło do ojczyzny.

O kobietach szpiegach z czasów pierwszej wojny światowej w większości zapomniano. O ile ich wkład w trakcie wojny był doceniany, o tyle nie bardzo wiadano, jak potraktować je po wojnie. Kobiety, które aktywnie włączyły się w działania wojenne, były postrzegane głównie na dwa sposoby: jako te, które pozbyły się wszelkiej kobiecości i stały się twarde oraz męskie dzięki niebezpieczeństwu wojny, lub jako dzielne drobne kobietki z poczucia obowiązku zmuszone do dźwigania ciężaru niebezpieczeństwa, lecz wewnątrz wciąż pozostające delikatnymi kwiatami. Louise de Bettignies była podziwiana, wychwalana i obsypywana medalami, lecz jej współcześni dużo mniej skupiali się na jej hardości i odwadze niż na jej drobnej posturze, kobiecości i patriotyzmie. „Louise była najbardziej kobiecą kobietą, jaką można sobie wyobrazić... Nie było w niej nic z amazonki”. Niewiele się zmieniło po drugiej wojnie światowej, gdy Charlie St. Clair widziała apele do Rosie de Riveter, żeby odrzuciła trudy wojny i wróciła do ogniska domowego, gdzie jej miejsce.

Jasne jest, że kobiety aktywnie uczestniczące w walce niepokoiły swoich współczesnych, ale i tak pozostawiły spuściznę. Dziewczyny w latach trzydziestych i czterdziestych dołączały do Kierownictwa Operacji Specjalnych, żeby szkolić się na szpiegów, ponieważ zainspirowały je książki i opowiadania o kobietach takich jak Louise de Bettignies, i nie chodziło tu wcale o kobiety wdziek. Inspirowała je odwaga, siła i niezachwiana chęć działania, co, jak sądzę, Charlie podziwiała w Eve. Takie kobiety były zaiste *fleurs du mal* – z żelazną determinacją, wytrwałością i polotem kwitły wśród zła i zapalały do tego innych.

## PODZIĘKOWANIA

Jestem winna serdeczne podziękowania wielu ludziom, którzy pomogli mi przy pisaniu tej książki. Mojej matce, która pomagała mi rozplątywać niezliczone zawilości fabuły podczas długich spacerów i jeszcze dłuższych rozmów telefonicznych. Mojemu mężowi, który dopracował jąkanie się Eve w każdej ze scen i często powtarzał: „Ty pisz, ja zrobię kolację”. Moim cudownym partnerkom i krytyczkom, Stephanie Dray i Sophie Perinot, których czerwone ołówki i uwagi okazały się bezcenne. Mojej agentce Kevan Lyon i redaktorkom Amandzie Bergeron i Tessie Woodward, cheerleaderkom najwyższej klasy. Moim przyjaciołom Lisie Christie i jej mężowi Ericowi za odpowiadanie na moje pytania dotyczące klasycznych samochodów i sprawdzanie faktów motoryzacyjnych oraz za załatwienie mi wycieczki po cudownej kolekcji samochodów Henry’ego Petronisa. I w końcu Annelori Ferell, której dwujęzyczność okazała się nieocenioną pomocą w tłumaczeniu francuskich dokumentów badawczych i nauce barwnych francuskich przekleństw, a która pozwoliła mi spojrzeć na realia okupacji północnej Francji w czasach pierwszej wojny światowej oczami dawnych pokoleń jej rodziny. Wujeczny prapradziadek Anny – Antoine le Four i jego dzielna siostra Aurélie występują w książce jako członkowie siatki Alice.



## Przypisy

- [1] Tłum. Artur Międzyrzecki.
- [2] Charles Baudelaire, *Leta*, tłum. Mieczysław Jastrun.
- [3] Charles Baudelaire, *Oczy Berty*, tłum. Andrzej Nowak.
- [4] Charles Baudelaire, *Wino mordercy*, tłum. Włodzimierz Słobodnik.
- [5] Charles Baudelaire, *Muza chora*, tłum. Jan Opęchowski.
- [6] Charles Baudelaire, *Wino mordercy*, tłum. Włodzimierz Słobodnik.
- [7] Charles Baudelaire, *Upiór*, tłum. Maria Leśniewska.
- [8] William Butler Yeats, *Ucieczka menażerii*, tłum. Janusz A. Ichnatowicz.
- [9] Charles Baudelaire, *Wróg*, tłum. Antoni Lange.

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)